

JUAN PEDRO GUTIERREZ

BRUDNA TRYLOGIA O HAWANIE

NOWE RZECZY W MOIM ŻYCIU

Dziś rano od razu zobaczyłem w skrzynce różową kartkę pocztową od Marka Pawsona z Londynu. Wielkimi literami napisał: 5 June 1993 some bastard stole the front wheel of my bicycle. Choć minął już rok, wciąż go wkurzał ten incydent. Przypomniałem sobie maleńki klub koło domu Marka. Każdego wieczoru Rodolfo rozbierał się w nim i odstawiał bardzo erotyczny taniec. Ja zapewniałem dziwaczny tropikalno-aleatoryczny podkład: bębenki bongo, grzechotki, gardłowe okrzyki i co mi tylko przyszło do głowy. Świetnie się bawiliśmy, było piwo gratis i dwadzieścia pięć funtów za wieczór. Szkoda, że tak krótko to trwało. Rodolfo był rozchwytywany, wszyscy szaleli za Murzynem. Pojechał do Liverpoolu uczyć nowoczesnego tańca, a ja zostałem w Londynie bez grosza. Mieszkalem u Marka, aż mi się w końcu znudziło i wyjechałem.

Teraz się wprawiam, by niczego nie brać na serio. Człowiek może popełniać mnóstwo małych błędów. To bez znaczenia. Jeśli jednak te błędy są wielkie i ciążyą na jego życiu, musi nauczyć się nie brać siebie na serio. Tylko w ten sposób uniknie cierpienia. Zbyt długie cierpienie jest śmiertelnie groźne.

Przykleiłem pocztówkę na drzwiach od wewnątrz i puściłem kasetę ze Snake Rag Armstronga. Zrobiło mi się lekko na sercu i przestałem myśleć. Przy muzyce nigdy nie potrafię myśleć, a ten jazz na dodatek autentycznie mnie cieszy i każe mi nawet tańczyć solo. Na śniadanie wypilem herbatę, poszedłem się wysrać, a potem czytałem homoseksualne wiersze Allena Ginsberga. Zdumiały urnie jego Sphincter i Personals ad. I hope my good old asshole holds out. Nie mogłem się jednak zdumiewać zbyt długo, bo przyszło dwóch moich bardzo młodych przyjaciół, żeby się zapytać, czy to dobry pomysł wypłynąć na tratwie z San Antonio w stronę przylądka Catoche, czy też lepiej byłoby pchać się od razu na północ, prosto do Miami. Było właśnie lato 1994, czas wielkiego exodusu. Dzień wcześniej zadzwoniła do mnie pewna moja przyjaciółka i powiedziała: Uciekają wszyscy mężczyźni i cała młodzież. Och, to będzie dla nas problem! Nie do końca tak było. Mnóstwo ludzi zostało, bo nie każdy jednak potrafiłby żyć gdzieś daleko.

No więc dobrze, kiedyś pływałem trochę po Zatoce i wiem, że to może być prawdziwa pułapka. Z mapą w rękę przekonałem ich, by nawet nie próbowali przeprowadzić się do Meksyku. Później zeszliśmy zobaczyć tę ich wielką sześciuosobową tratwę. Była to konstrukcja z desek przywiązanych linami do trzech opon z kół samolotu. Mieli latarkę, kompas i race. Życzyłem im szczęścia, a potem postanowiłem przejechać się trochę na rowerze. Po drodze kupiłem kilka plasterów arbuza. Dojechałem do domu mojej byłej żony. Jesteśmy teraz dobrymi przyjaciółmi. To dużo lepszy układ. Nie było jej akurat. Zjadłem trochę arbuza i zostawiłem łupiny na stole. Lubię zostawiać ślady. Resztę plasterów włożyłem do lodówki i od razu wyszedłem. W tym miejscu przez dwa lata byłem zbyt szczęśliwy. Niedobrze jest tu teraz być samemu.

Obok mieszka Margarita. Dawno się nie widzieliśmy. Kiedy przyszedłem, prała i była cała spocona. Ucieszyła się i chciała zaraz wziąć prysznic. Dwadzieścia lat temu była moją jakby to powiedzieć potajemną narzeczoną (nieważne, muszę jakoś to nazwać). Każde nasze spotkanie zaczynało się wtedy od ostrego seksu, a dopiero potem, już na luzie, rozmawialiśmy. Tak więc nie pozwoliłem jej się wykapać. Ściągnąłem z niej ubranie i przejechałem językiem po wszystkich częściach jej ciała. Po tym całym rowerze na słońcu też byłem okropnie spocony. Ona przytyła i wyraźnie wróciła do formy. Już nie była wymizerowana. Znow miała krągłe, twarde i jędrne pośladki, i to mimo tych swoich czterdziestu sześciu lat. Murzyni już tacy są: mocno zbudowani, muskularni i bez niepotrzebnego tłuszczu. Do tego jeszcze gładka, czysta skóra. Och, nie mogłem oprzeć się pokusie. Najpierw pobawiliśmy się trochę nawet dość długo, bo zażyła mieć trzy orgazmy i potem wepchnąłem jej swoją łagę w tyłek. Pomalutku, centymetr po centymetrze i dobrze nawilżoną tymi wszystkimi jej waginalnymi płynami. Nie śpieszyłem się. Powoli wchodziłem i wychodziłem, cały czas masując ręką jej łechtaczkę. Margarita wariowała z bólu, lecz równocześnie prosiła o więcej. Gryzła poduszkę, wyrzucała biodra do tyłu i krzyczała, bym wsadził jej głębiej, aż do końca. To nieprawdopodobna kobieta. Żadna nie potrafi dochodzić tak jak ona. Robiliśmy to przez dłuższą chwilę. Gdy wreszcie wyciągnąłem kutasa, był cały umazany gównem. Zbrzydziło ją to. Mnie nie. Mam w sobie dyżurnego cynika, który zawsze czuwa. To on mi mówi, że seks nie jest dla higienistów. Seks jest wymianą płynów i fluidów; seks to ślina, zdyszany oddech, ostre zapachy,

mocz, sperma, gówno, mikroby i bakterie. Albo nie ma seksu. Jeśli seks ogranicza się do czułości, eterycznych nastrojów i uduchowienia, jest tylko nudną i jałową parodią tego, czym mógłby być. Jest po prostu niczym. Wzięliśmy prysznic i dopiero wtedy mogliśmy spokojnie porozmawiać przy kawie. Margarita chciała, bym z nią pojechał jutro do El Rincón. Miała tam do wypełnienia jakiś ślub, który złożyła świętemu Łazarzowi, i bardzo nalegała, żebym jej towarzyszył. Prosiła mnie o to tak gorąco, że w końcu się zgodziłem. U kobiet kubańskich myślę, że chyba u wielu innych też, na przykład w Ameryce albo w Azji to jest właśnie cudowne: kiedy cię o coś proszą, robią to tak czule, że nie potrafisz odmówić. Europejki są inne. Europejki są tak oschłe, że dają ci wszystkie szanse, by powiedzieć NIE! I jeszcze mieć z tego satysfakcję.

Potem wróciłem do domu. Pod wieczór trochę się ochłodziło. Byłem głodny. Nic dziwnego: od rana w brzuchu miałem tylko herbatę, plaster arbuza i kawę. W domu zjadłem kawałek chleba i znów popiłem herbatą. Pomału się już przyzwyczajam do wielu nowych rzeczy w moim życiu. Przyzwyczajam się do nędzy. Do godzenia się ze wszystkim. Oduczyłem się mieć wymagania. Inaczej bym nie przeżył. Całe życie mi czegoś brakowało. Zadręczałem się, chciałem mieć wszystko od razu, zawsze walczyłem o coś więcej. Teraz uczę się, że nie wszystko muszę mieć na zawołanie. Że mogę żyć prawie bez niczego. W przeciwnym razie musiałbym pozostać przy mej tragicznej wizji życia. Dlatego teraz nędza nie przeszkadza mi zbyt.

Właśnie wtedy zadzwoniła Luisa. Chce do mnie przyjechać na weekend. Luisa to cudowna kobieta. Może jest trochę za młoda dla mnie. Ale to nieważne. Nic nie jest ważne. Zaczęło padać grzmieć. Okropna wilgoć i huraganowy wiatr. Tak to jest na Karaibach. Świeci słońce, a tu nagle zrywa się wichur, leje i człowiek jest pośrodku cyklonu. Cholernie potrzebowałem odrobiny rumu, ale nie było skąd go zdobyć. Miałem nawet jakieś pieniądze, tyle że nic się nie dało za nie kupić. Położyłem się spać. Spocony i w brudnej pościeli, ale lubię czuć zapach swego potu i brudu. Rajcuje mnie ten smród. I Luisa niebawem tu będzie. Chyba w końcu zasnąłem. Było mi wszystko jedno. Nawet gdyby wiatr miał zerwać nad moją głową te eternitowe płyty. Nieważne.

WSPOMNIENIE CZUŁOŚCI

Szukałem jakiejś dobrej muzyki w radiu i wreszcie nastawiłem stację, która zawsze nadawała muzykę latynoamerykańską: salsę, son i tego typu rzeczy. Skończył się właśnie muzyczny kawałek i wtedy odezwał się ten facet, który chrapliwym głosem i na kompletnym luzie gada zwykle o wszystkim: o swoich dzieciach, o rowerze albo o tym, jak spędził zeszły wieczór. Głos ma rzeczywiście imponujący, a do tego jeszcze ten wulgarny i knajacki akcent, zupełnie jakby gość całe życie spędził na ulicach Hawany Centrum. Możesz sobie wyobrazić, że to jakiś czarnuch podchodzi do ciebie i mówi: He, białas, nie uciekaj! Mam biznes do ciebie.

Moja żona i ja często go słuchaliśmy. Podobał się nam. Dotąd nikt tak nie mówił w radiu. Facet znał się na latynoskiej muzyce. Coś tam zawsze powiedział, zażartował, a potem od razu puszczał płytę i już. Żadnych rozwlekłych wyjaśnień i pokazywania, jaki to on jest mądry. Wyglądał na inteligentnego Murzyna, a ja się zawsze bardzo cieszę, gdy trafiam na inteligentnych i pewnych siebie Murzynów, nie takich, którzy nigdy nie patrzą ci w oczy mając tę swoją cholerną i pokurezoną mentalność niewolników.

No dobrze. A więc zawsze słuchaliśmy go w domu w tamtych czasach, gdy byliśmy szczęśliwi i nieźle się nam powodziło, mimo że musiałem zarabiać na życie chorym i tchórzliwym dziennikarstwem, pełnym nieustannych koncesji i bezlitośnie cenzurowanym. Dręczyło mnie to, nie powiem, bo coraz bardziej się czułem żalonym najemnikiem, któremu co dzień równo płacą kopniakami w tyłek.

Później moja żona wróciła do Nowego Jorku. Chciała, by ją widziano i żeby o niej słyszano. To normalne. Wszyscy tego chcą. Nikt nie chce być skazany na ciemność i milczenie. Wszyscy chcą być widziani i słuchani w świetle reflektorów. A gdyby się dało, to jeszcze kupowani, wynajmowani i kuszeni. Napisałem wszyscy chcą? Powinienem poprawić: Wszyscy chcemy być widziani i słuchani.

Moja żona jest rzeźbiarką i malarką. W świecie sztuki o takich mówi się, że są wysoko notowani. Znaczy to, że są nieźli jako rzeźbiarze czy malarze. To bardzo budujące mieć wysokie notowania. No więc w końcu moja żona wyjechała. Mnie wywalili z dziennikarstwa, bo z każdym dniem stawałem się coraz bardziej wisceralny. Wylewałem z siebie wszystko na zewnątrz. Takich typów się nie lubi. No dobra. To była długa historia. W każdym razie powiedzieli mi mniej więcej coś takiego: Potrzebujemy ludzi rozsądnych i rozważnych. Z wyczuciem. Żadnych weredyków, bo kraj jest akurat w trudnym momencie. To może być decydujący etap w naszej historii.

Wtedy też dowiedziałem się, że ten facet o ochryplym i zapitym głosie nie jest wcale Murzynem. Że to jakiś młody biały mężczyzna, i na dodatek po studiach. No cóż, tamten jego image świetnie do niego pasował.

Zostałem straszliwie samotny. Zawsze tak jest, gdy człowiek zakocha się na amen, zupełnie jakby był niedorostkiem. I oto twoja miłość wyjeżdża na długo do Nowego Jorku ktoś by powiedział, że bierze dupę w

troki a ty zostajesz sam i jeszcze bardziej zagubiony niż rozbitek pośrodku prądu zatokowego. Tyle że ktoś młody szybko z tego wychodzi, natomiast taki czterdziestoczteroletni facet jak ja długo nie może się pozbierać i cały czas myśli: Kurwa, znów mi się to zdarzyło. Dlaczego byłem taki głupi?

Z Jacqueline było jeszcze gorzej, bo do niej należy rekord, który bardzo podbudował moje męskie ego: pewnego razu miała ze mną dwanaście orgazmów. Pod rząd. Mogła mieć ich więcej, ale nie wytrzymałem i w końcu miałem też swój. Gdybym na nią poczekał, doszłaby co najmniej do dwudziestu. Zwykle miała od ośmiu do dziesięciu orgazmów i tamtego rekordu nigdy nie pobiła. Cieszyliśmy się seksem, bo byliśmy szczęśliwi. Nie chodziło przecież o bicie rekordów. To nie miały być zawody, tylko zabawa. Taki fajny sport, który pozwala zachować młodość i kondycję. Zawsze powtarzam: Dont compete. Play. Tak czy inaczej, Jacqueline jest zbyt delikatna, by mogła żyć w Hawanie w 1994 roku. Urodziła się na Manhattanie, a pochodzi z rodziny, w której w ciągu trzech pokoleń wymieszali się Anglicy, Włosi, Hiszpanie, Francuzi i Kubańczycy z Santiago de Cuba. Ci ostatni rozsiali się po całych Karaibach od Nowego Orleanu po Wenezuelę i Kolumbię. Zupełnie zwariowana rodzina. Ojciec Jacqueline był weteranem wojennym, przeżył Dzień D w Normandii. W każdym razie Jacqueline była tworem zbyt skomplikowanym i trudno przyswajalnym dla takiego tropikalnego i wisceralnego samca jak ja. Wciąż mi powtarzała: Ach, w Hawanie nie ma już kulturalnych ludzi. Wszyscy są coraz bardziej wulgarni i chamscy, a do tego fatalnie się ubierają. Coś mi tu nie grało: albo ta elegancja Jacqueline, albo hawańskie chamstwo, albo ja po prostu byłem głupi, bo w sumie nie widziałem dokoła nic straszego i czułem się niezłe w tej mojej Hawanie, choć owszem, bieda zwiększała się w galopującym tempie. Kiedy zostałem sam, miałem czas, żeby to sobie przemyśleć. Mieszkałem w najlepszym chyba miejscu na świecie: w malutkiej klitce na dachu starego ośmiopiętrowego budynku w Hawanie Centrum. Późnym popołudniem przygotowywałem sobie szklanekę mocnego rumu z lodem i pisałem bardzo ostre wiersze (czasem pół na pół ostre i melancholijne), które później zostawiałem gdziekolwiek. Albo pisałem listy. O tej porze wszystko staje się złociste, więc właśnie wtedy przyglądałem się światu. Na północy błękitne i nieprzewidywalne morze stworzone ze złota i nieba. Na południu i na wschodzie było stare miasto zniszczone i sponiewierane przez czas, sól, wiatr i ludzką niedbałość. Na zachodzie nowoczesne dzielnice z wieżowcami. Wszędzie inni ludzie, ich własny gwar i muzyka. Lubilem popijać rum w owe złociste popołudnia, gdy mogłem patrzeć przez okno lub długo tkwić na tarasie, obserwując port i jego wejście oflankowane dwiema starodawnymi twierdzami z nagiego, nie otynkowanego kamienia, które w łagodnym świetle przedwieczoru stają się jeszcze bardziej odwieczne i piękne. Wszystko to stymulowało mnie do w miarę jasnego myślenia. Zastanawiałem się, dlaczego moje życie jest akurat takie. Próbowałem zrozumieć jego sens. Czasami lubię tak wylatywać nad siebie i z wysoka przyglądać się temu Pedrowi Juanowi. Tak naprawdę owe popołudnia z rumem, złocistym światłem, ostrymi lub melancholijnymi wierszami i z listami do odległych przyjaciół pozwalały mi odzyskać pewność i zaufanie do siebie. Jeśli masz jakieś własne idee nawet jeśli jest ich niewiele powinieneś zrozumieć, że wciąż będziesz spotykać różnych strasznych ludzi, którzy będą próbowali ci przeszkadzać, dołować cię i uświadamiać, że opowiadasz bzdury, że musisz unikać takiego czy innego gościa, bo to wariat, pedał, aspołeczny typ albo zwykły bęcwał, tamten znów to onanista, zboczeniec i podglądacz, jeszcze inny to zaboboniarz, spirytysta lub ćpun. Masz też uważać na te wszystkie kurwy, nimfomanki, lesby i inne wyzwolone bezwstydnice. Sprowadzają ci cały świat do kilku hybryd, do garstki nudnych, monotonnych, bezpłciowych i doskonałych osób. Chcą z ciebie zrobić gówna: gościa, który odrzuca każdą inność. Masz się zaprzedać jednej jedynej sekcji, a całą resztę spuścić z wodą.

Będą ci mówić: Takie jest życie, mój drogi. Selekcja i eliminacja. My posiadliśmy prawdę. Inni niech się w dupę ugryzą. Jeśli będą ci to wbijać do głowy przez trzydzieści pięć lat, a potem nagle zostaniesz sam, uznasz się za najlepszego. Cholernie dużo stracisz. Stracisz coś najpiękniejszego w życiu: radość z różnorodności i z zaakceptowania faktu, że nie wszyscy jesteśmy tacy sami. Że dzięki temu może ominąć nas nuda.

Dobra. Oto właśnie facet o ochrypłym i zapitym głosie znów pojawił się w moim radiu. Coś tam popierdolił, a potem puścił salsę z Portoryko. Przez chwilę tańczyłem ją solo. W końcu pomyślałem: Kurwa, co ja robię, tańcząc tak sam ze sobą? Wyłączyłem radio i wyszedłem z domu. Pojadę do Mantilli zadecydowałem. Pokręciłem się trochę po ulicy, aż nadjechał autobus, potem przesiadłem się do drugiego i w końcu dotarłem do Mantilli, która jest już na peryferiach Hawany i bardzo mi się podoba, bo człowiek może tam wreszcie zobaczyć czerwoną ziemię, zielone pola i pastwiska. Sporo lat przemieszkiałem w Mantilli i mam tam kilku przyjaciół. Wstąpiłem do Joseita, który kiedyś był taksówkarzem, a potem, gdy nadszedł kryzys, stracił pracę i zaczął zarabiać na życie hazardem. Od dwóch lat już tak żył. W Mantilli było dużo miejsc, gdzie nielegalnie dało się pograć. Od czasu do czasu policja robiła nalot na parę wybranych szulerni, wygarniała stamtąd ludzi, wsadzała ich do więzienia i po kilku dniach wypuszczała. Dałem się namówić Joseitowi. Miałem wszystkiego jakieś trzysta peso, a on dziesięć tysięcy. Zapowiadało się ostro. Poszliśmy do meliny, gdzie Joseito podobno zawsze miał szczęście. I faktycznie. Ja swoje trzy stowy przegrałem w kwadrans. Szlag mnie trafiał, że dałem się

wyciągnąć Joseitowi do tej cholernej szulerni. Mnie nigdy nie udaje się wygrać ani centa, za to Joseito od samego początku miał farta. Wyszedłem, kiedy był do przodu o jakieś pięć tysięcy peso. Ten to ma szczęście! Nieźle bym sobie pożył, gdybym też miał takie. Joseito zresztą wcale nie narzeka. Siedzi sobie w tej swojej Mantilli i zawsze mi mówi: Kurwa, Pedro Juan, gdybym wcześniej wpadł na to, dawno bym olał tę pierdoloną taksówkę.

Wkurzały mnie te stracone trzy stowy. Nie lubię przegrywać. Zawsze mnie to bolało, a teraz na dodatek widziałem, jak łatwo Joseitowi przychodziła forsa. Ja, gdy tylko tknę się kart albo kości, od razu jestem splukany. Po prostu mam pecha, i to takiego, który tylko mnie dotyka, bo innym przynoszę szczęście. Zawsze. Kiedyś kupiłem sobie auto: starego i zdezelowanego grata, który stał mi przed domem przez tydzień, bo miał parę rzeczy spieprzonych, a mnie brakowało pieniędzy na naprawę. No i po paru dniach podszedł do mnie taki stary dziadek, Hiszpan z pochodzenia, i powiedział mi, że wszyscy dokoła stawiają na numery z mojej tablicy rejestracyjnej: 03657.

Oj, Pedro Juan, chyba musisz upomnieć się o procent śmiać się. Wczoraj facet z mięsnego wygrał trzy patyki na pięćdziesiąt siedem. I co ty na to?

A co ja mogę? Niech mi skurwiel odpali coś na mechanika. Od tygodnia tu stoję, bo nie mam kasy.

O kurde, ty to masz niefart! Na twym samochodzie wszyscy zarabiają, a tobie gównem z tego.

I tak było zawsze. Do dupy idzie mi w hazardzie. I w wielu innych rzeczach też.

Gdy wychodziłem z szulerni, w której Joseito zbijał kasę, miałem jeszcze trochę drobnych w kieszeni. Wystarczyłoby mi na autobus do Hawany, ale musiałem sobie golnąć. Cholernie mnie rąbnęła ta przegrana i zaczęła we mnie wzbierać agresja. W takich sytuacjach rum runie uspokaja. Zobaczą, czy Rene jest w domu pomyślałem. Rene (ja po starej znajomości i poufale ignoruję ten snobistyczny akcent na ostatniej sylabie) był niezłym fotografem prasowym. Często pracowaliśmy razem. Łata temu. Kiedyś przyłapali go, jak robił zdjęcia aktów. Takie zwykłe fotki ładnych dziewczuch na golasa. Żadne porno, żadne robienie lasek czarnuchom. Nic w tym rodzaju. Po prostu fajne akty. Ale i tak zrobiła się chryja. Wywalili go z partii, z redakcji, a potem ze związku dziennikarzy. W końcu nawet żona pokazała mu drzwi i powiedziała, że się na nim zawiodła. Takie były czasy. Kuba, która gorączkowo budowała socjalizm, chlubiła się purytańską czystością obyczajów w najlepszym inkwizytorskim stylu. Facet nagle znalazł się na samym dnie. Zamieszkał w obskurnej norze w Mantilli, w jednym pokoiku z synem narkomanem, który żył z handlu trawką. Zresztą ten jego syn i tak więcej czasu spędzał w kryminale niż w domu, gdzie sprzedawał marihuanę, którą sprowadzał z Baracoa. Stamtąd też brał olej kokosowy, kawę i czekoladę, ale najlepszym interesem była jednak góraska maryśka: świetna i tania, bo miał jej zawsze dużo.

Teraz Rene był sam. Jego syn narkoman popłynął na tratwie do Miami podczas wielkiej ucieczki w sierpniu dziewięćdziesiątego czwartego. Odtąd już o nim nie słyszał.

Nie wiem, gdzie on teraz jest. Może w Miami, a może go wyłowili Amerykanie i zabrali do bazy w Guantañamo. Może jest w Panamie. Pojęcia nie mam. Niech to szlag zwali, Pedro Juan! Do dupy jest ten świat. Kiedy mieszkał tu ze mną cały dzień mi pyskował, że gdyby nie on, to bym już dawno wyładował na ulicy. Pierdołę to wszystko. Tak mi już dokopali w dupę, że o nikim i o niczym nie chcę niczego wiedzieć. Rozplakał się. Pochlipywał przez nos i wyglądało, że sam jest już na niezłym haju. Słuchaj, Rene, jestem twoim kumplem. Nie pierdol, tylko chodźmy i poszukajmy gdzieś rumu. Jest jeszcze trochę w kuchni. Przynieś go tutaj.

Był to straszny bimber. Pół butelki trutki na karaluchy. Pociągnąłem łyk z gwinta. Na miłość boską Rene! Czym ty się trujesz? Z czego to robisz? Z cukru, choć może tego nie czuć. Mam to od sąsiada. Wiem, że to gównem, ale już się przyzwyczaiłem. Chcesz się sztachnąć? Skręć sobie jointa. Suport jest w szufladzie. Czemu tak mówisz? Skąd ci się to wzięło? Chcesz być cool? Przyczepiło mi się od kurw, które tu przychodzą. Małpują tych swoich Hiszpanów i chcą mówić jak oni. Wyloguj się, masz fajny interfejs, sorry, to krytyczny wyjątek. To idiotki. Jakiś kawałek mózgu im się wyzerował. Mnie też. Mnie też wyzerował się kawałek mózgu i mówię jak ci wszyscy półwyspiarze i ich czarne dziwki. Zapaliliśmy po skręcie i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Zamknąłem oczy, by lepiej czuć marihuanę. Żadna nie ma takiego smaku i zapachu jak ta z Baracoa. Ale i tak daje kopa. Nie zaciągałem się za mocno. Pomyślałem sobie, że powinienem pojechać do Baracoa i przywieźć stamtąd parę paczek trawki. Syn Renego zawsze przywoził jeszcze olej kokosowy, kawę i czekoladę, bo kawa zabija zapach marihuany. Ja też tak zrobię. Zastanawiałem się nad tym wszystkim, kiedy nagle Rene wstał, wyciągnął z szuflady album ze zdjęciami i położył mi go na kolanach. Zobacz to sobie, Pedro Juan. Trochę plątał mu się język po alkoholu i maryśce. Zmęczonym i zniechęconym ruchem opadł znów na fotel. W ogóle nie powinienem był tu przychodzić. U Renego człowiek od razu zanurza się w ciężkiej atmosferze gówna i beznadziei. To jest cholernie zaraźliwe. Zupełnie jakbyś wdychał jakiś trujący gaz, który cię dusi i przenika do krwi. Nie, Rene nie był kimś do rozmowy. Mnie potrzebny był jakiś twardy kumpel. Facet, który pomógłby

mi wyjść z tego mojego dołka i przy którym potrafiłbym zapomnieć o dawnych i szczęśliwych czasach. Teraz sam musiałem stać się twardy jak kamień. Otworzyłem album. Same gołe baby. Na oko jakieś trzy setki. We wszystkich pozycjach. Murzynki, Mulatki, białe, blondynki, brunetki. Roześmiane, poważne, jakie kto chce. Niektóre były po dwie: całowały się, obejmowały, szczypały za cycki. Rene, co to jest? Kurwy, chłopie, po prostu kurwy. Taki katalog kurw. Prawie każdy taksówkarz ma przy sobie ten album. Turysta pyta o towar, pokazujesz mu zdjęcia, on wybiera, a ty odwozisz go pod same drzwi. Świetnie, Rene! A więc masz akredytację u hawańskich gwiazd! Rene, oficjalny fotograf gwiazd! Rene, fotograf kurw. Chłopie, zniszczyli mnie. Jestem teraz gównem. Nie pierdol, Rene. Jeśli robisz na tym kasę... Wiesz, że jestem artystą a to gówniane zajęcie, naprawdę... Słuchaj, ręce opadają. Nie bądź taki dupek. Wykorzystaj te kurwy. Rób te swoje świńskie zdjęcia i rób je dobrze. Niech to będą ostre akty, na przykład czarnobiałe. Pstrykaj te dziwki w pokoju, w łóżku, wszędzie. Złap atmosferę, a potem, za parę lat, zrobisz cholernie fajną wystawę: Hawańskie kurwy. Napiszesz taki wstęp do katalogu, że niech się schowa sam Sebastiao Salga do. Co ty, w tym kraju? Hawańskie kurwy? W tym albo w innym. Zabierz się do roboty, a potem pomyślisz, gdzie będzie wystawa. W końcu jeśli źle ci tutaj, zwijaj manatki i spieprzaj gdziekolwiek, byle dalej od Kuby. Ale najpierw weź się w garść, bo nie możesz reszty życia przesrać w tej cholerniej norze. Wiesz co... Może to jest pomysł. Jasne. Tylko rusz się. Zobaczysz, że wyjdiesz z tego dołka. Słuchaj, czy twój syn ma jakichś kumpu w Baracoa? A po co ci oni? Chcę stamtąd przywieźć trochę marihuany. Nie mam kasy, Rene, i muszę pomyśleć, jak skombinować parę peso. Zapytaj o Ramoncita. Ramoncito Wariat, tak go nazywają. Mieszka na skraju, przy szosie do La Farola. Każdy go tam zna. Powiedz, że jesteś ode mnie i że to ja potrzebuję maryški, może ci ją sprzeda trochę taniej. Tylko uważaj i nie pokazuj się z nim za bardzo, bo wszyscy tam wiedzą, że dziadek żyje z marihuany, i policja może cię namierzyć. Będziesz spalony. Dobra, bracie, dzięki. Trzymaj się i na razie. Powinienem jak najszybciej pojechać do Baracoa. Biznes biznesem, ale może znajdę tam sobie jakąś dupiastą Indiankę, i to taką przy której każdy facet czuje się prawdziwym macho. Ci Indianie prawie w ogóle się nie wymieszali ani z białymi, ani z czarnymi. Chyba warto się tam wybrać. Tam są inni ludzie.

DWIE SIOSTRY I POŚRODKU JA

Całe ich mieszkanie było pełne gnoju. Choć dopiero od paru lat tam mieszkali, wszystko śmierdziało kurzym gównem i świniami, które hodowali na tarasie. Łazienka lepiła się od brudu i chyba od początku nikt jej nigdy nie sprzątał. Mnie to nie przeszkadza. Murzyni już tacy są. Przyszedłem, bo chciałem się zobaczyć z Haydą ale zastałem tylko Caridad. Pogadaliśmy trochę. Stały repertuar: żarcie, dolary, bieda, głód, Fidel, kto wyjechał, kto został, Miami.

Kiedyś mieliśmy z sobą taki drobny flircik. Nic specjalnego, poszło błyskawicznie. Było to już dawno. Spędziliśmy razem cały dzień, czekając na autobus do Hawany. Gdy w końcu dostaliśmy się do któregoś z rzędu, był już wieczór. Po drodze urządziliśmy sobie małe bachanalie przy fontannach spermy. Byliśmy młodzi, a za miodu człowiek jest rozrzutny, bo nie myśli, że w końcu coś mu się może wyczerpać. No i dobrze, bo choćby oszczędzał, na starość i tak mu zabraknie. Dojechaliśmy do Hawany i Caridad najwyraźniej czekała, aż pójdziemy do jakiegoś pokoju na godziny i dokończymy wszystko w łóżku jak trzeba. Ale nie. Ja jestem raczej biały i miałem wtedy takie pieprzone poczucie obowiązku, przez które traciłem wiele naprawdę ważnych rzeczy. Wpojono mi do głowy za dużo dyscypliny, odpowiedzialności i nieugiętych zasad połączonych z potężną dawką despotyzmu. Fajnie, że mam już ten etap za sobą.

No i ona wtedy się obraziła. Kobiety zwłaszcza czarne nie lubią niczego odwlekać. Pomyślała, że ja wszystko robię tylko do połowy, i później już nigdy nie dała się namówić. W tamtych czasach była mistrzynią w tenisie i miała jakieś osiemnaście lat. Podróżowała po świecie, była ładna i jej kariera niezłe się zapowiadała. Faktycznie ją robiła, i to szybko. W każdym razie nie chciała już o mnie słyszeć. Potem poznałem jej siostrę Haydę i rozpoczęliśmy romans, który trwał dwadzieścia lat. Oczywiście z przerwami. Hayda jest zupełnie inna: bardzo chuda i wysoka Murzynka. Pracuje jako pielęgniarka społeczna w poliklinice i musiało jej to wyostrzyć jakieś wewnętrzne włókna. W dzieciństwie miała wypadek z naftowym prymusem i zostały jej blizny po prawej stronie ciała, od szyi aż po biodro. Jest niepewna siebie, nieufna, trochę neurotyczka, ale na pewno nikomu nie zrobiłaby świństwa. Jej skóra ma cholernie mocny zapach. Bardzo czarni Murzyni zawsze tak cierpko i zbyt ostro pachną. W każdym razie przez lata przeszkadzało mi to wsadzić język w jej dziurę. Hayda jest jednak bardzo napalona. Tutaj nie ma żadnych zahamowań. Może zrobić wszystko. Później jeszcze o niej opowiem.

Teraz miałem przed sobą Caridad. Dwadzieścia lat po tamtej autobusowej przygodzie. Właściwie później była jeszcze jedna:

wtedy Caridad miała już męża, urodziła córkę, była gruba, piersiasta i wszędzie obrośnięta tłuszczem. Była

trenerką i cały czas mówiła o swej pracy, jak to wszyscy źle ją traktują że już nigdzie nie wyjeżdża i że jej mąż to próżniak, który w weekendy potrafi tylko grać w baseball. Oni nie są wobec mnie w porządku, a ja przecież nikomu nie zrobiłam krzywdy. To zazdrość. To po prostu cholerna zazdrość.

Zmuszałem się do słuchania tej kretyńskiej gadaniny, bo liczyłem, że lada moment przyjdzie Hayda. Caridad postawiła na stole butelkę wódki z gwajawy i zaczęliśmy pić. Doszliśmy do połowy, a Haydy ciągle nie było. Caridad mnie namawiała, żebym napisał taki dłuższy reportaż o niej z czasów jej wielkiej tenisowej kariery. Uparcie wracała do tego tematu, a oczy już nam porządnie błyszczały. W końcu podszedłem do niej i ją pocałowałem. Caridad wstała, i to z taką ochotą jakiej bym nigdy się po niej nie spodziewał. Całowaliśmy się długo i głęboko, a potem wsadziłem jej rękę między nogi. Była całkiem wilgotna. Ciekło z niej po prostu. Nie wytrzymałem. Była jednak zbyt gruba, by robić to na stojąco. Popchnąłem ją na łóżko i dopiero tam jej wpakowałem kutasa. W sumie gówno z tego wyszło, bo byłem zbyt napalony, żeby na nią czekać. Spuściłem się od razu. Gdy zdałem sobie sprawę z tej mojej katastrofy, próbowałem dalej to ciągnąć, ale zrobiło się jakoś nerwowo. Gdyby teraz nagle pojawił się jej mąż, zatłukłby nas tym swoim baseballowym kijem. Facet był silnym Murzynem. Nie tyle nawet dużym, ile niezłe napakowanym.

No dobrze. Ubraliśmy się i usiedliśmy znowu przy drzwiach otwartych na ulicę. Nalałem sobie jeszcze trochę wódki i zaraz potem poszedłem.

Później opowiedziałem to Haydzie. Po pewnym czasie dopiero i jako coś bez znaczenia. Do tej pory zresztą wydaje mi się, że ja sam dla Haydy nie znaczyłem zbyt wiele. Miała to być taka zabawna historia. W życiu nie skończyłem pieprzenia tak żałośnie i w tak ekspresowym tempie. Wyglądało, że Hayda przełknęła to gładko, ale później zrobiła Caridad awanturę. Że niby ta upija kochanka swej siostry, by potem się z nim pieprzyć. Ot, taka babska zazdrość. Ja nie rozumiem kobiet. Mają w sobie za dużo prymitywnego egoizmu rodem z bulwarowych komedii. Człowiek powinien być zazdrosny o coś, co jest naprawdę tego warte. Co jest autentycznie ważne. Nie można się rozdrabniać i być zazdrosnym o wszystko. Kobiety tak jednak nie myślą. Potrafią być równocześnie zazdrosne o męża, o kochanka i o jakąś parę z przeciwka. Tak samo zaciekle. Znają się na życiu. A może mają po prostu dużo praktycznego zmysłu.

Długo o całej tej historii nie było między nami mowy. Była sekretem nas trojga. Ale oto dziś znów byliśmy sami, Caridad i ja. Córeczka bawiła się na ulicy, a mąż gdzieś się włóczył. Był, zdaje się, na rybach. Na razie dał sobie spokój z baseballlem. Coś mnie skusiło, by palnąć: Ach, gdyby tu była jakaś butelka... Pamiętasz?

Nie, nic z tego. Nawet gdyby tu była butelka.

Dlaczego?

Bo niektórzy, gdy się napiją przestają być mężczyznami. Mają za długi język. O wszystkim muszą gadać.

No i zaczęło się. O mało co nie wykopała mnie z domu. Jestem według niej zwykłym gnojkiem, bo wygadałem się jej siostrze. A poza tym to ona ma do mnie większe prawo, bo była pierwsza. Strasznie to skomplikowane. Nigdy nie byłem zbyt mocny w tych wszystkich wartościach etycznych, prawach i obowiązkach. Jestem cynikiem. Tak jest prościej. Przynajmniej dla mnie jest prościej.

Wreszcie udało mi się jakoś zmienić temat. Zeszło na Brazylię. Caridad dostała propozycję, by przez rok trenować małych Brazylijczyków w jakimś mieście pod Sao Paulo. Sprawdziliśmy to miasto na mapie. Wygląda, że jest rzeczywiście niedaleko. Dam ci parę listów do moich przyjaciół w Sao Paulo. Spotkasz się z nimi i oni ci pomogą. To bardzo fajni ludzie. Trochę się uspokoiła, a potem nawet odprowadziła mnie parę przecznic. Hayda mieszkała na samych peryferiach i szło się do niej spory kawał drogi. W końcu Caridad zostawiła mnie i powiedziała: Dalej pójdziesz prosto. Po drodze będzie takie stare mango i tam skęcisz w lewo, a potem zapytasz o cegielnię.

Tak też zrobiłem. Przeszedłem przez to całe osiedle, w którym mieszkali naprawdę biedni ludzie, ale przynajmniej odpowiadali na moje pytania i wyprowadzili mnie z tego labiryntu blaszanych baraków, przegniłych drewnianych bud i slumsów z odpadów z cegielni. Hayda akurat się kąpała. Otworzyła mi drzwi w samych majtkach i biustonoszu. Była jeszcze mokra. Nie wiem, czy w ogóle zamieniliśmy choć parę słów. Od razu zaczęliśmy od rżnięcia. Fajnie było. Kilka razy pozwoliłem jej dojść. Najpierw językiem. Aż trudno uwierzyć, ale to już jej wystarczy. Ekspłduje, gdy tylko jej przejadę językiem po lechtaczce. To był dopiero pierwszy orgazm. Bez pośpiechu robiłem dalej swoje. Lubię tę kobietę. Potem zwykle odwraca się i staje na czworakach, bym mógł jej wsadzić od tyłu. Już dawno się domyśliłem, że z mężem od trzech lat była mężatką nie może sobie na to pozwolić. Murzyński kutas to murzyński kutas i nie do wszystkich akrobacji się nadaje. Cholernie się pociliśmy. Mieszkanie Haydy to ciasna i niska nora. Dwa pokoiki i łazienka. W końcu już nie wytrzymałem i wystrzeliłem. Wszystko było jak zwykle. Zawsze gdy się spuszcza, krzyczę jak zdesperowany i autentyczny wariat. Jakbym wleciał pod słońce, a potem runął na ziemię. Jak Ikar, któremu roztopiły się skrzydła. Uf! Skończyliśmy. Wyczerpani, przez dłuższą chwilę leżeliśmy na plecach i patrzyliśmy w sufit.

Prawdę mówiąc, to ja byłem wyczerpany, bo ona chyba nie bardzo. Ona jest niezmordowana. Dla niej dziesięć orgazmów pod rząd to nic. Zawsze chciałaby jeszcze. Przerażliwy był jednak ten upał.

Skorzystaj, że jest woda, i umyj się powiedziała.

Nigdzie nie widziałem mydła, więc zapytałem o nie.

Nie ma mydła, Pedrito. Już zapomniałam, kiedy było.

I co? Myjesz się samą wodą?

A co mam robić?

Nalałem wody do blaszanej puszki i kilka razy polałem się z góry na dół. Niewiele to pomogło. Sama woda nie zmywa potu i cały ten jego zapach pozostaje. Wytarłem się i ubrałem. Hayda zrobiła to samo. Usiedliśmy, by trochę porozmawiać.

Chyba pojedę do Hawany, by zapolować na ulicy. Ja już tak dłużej nie mogę.

Zwariowałaś? Ty się nie nadajesz, do tego trzeba mieć specjalny dryg...

Ale posłuchaj... Zostały mi dwie pary majtek, i to całkiem podartych. Zupełne sito. Nie mam mydła, nie mam jedzenia, nie mam nic. W tej mojej poliklinice pracuję chyba z rozpędu. Sama nie wiem, po co. Tak się nie da żyć... A do tego mój mąż to kompletny głupek... Ja go już nie trawię.

Hayda, on niekoniecznie jest głupek. Po prostu takie są czasy. Nie jest łatwo zdobyć parę dolarów.

Wiem. Ale trzeba się przynajmniej postarać. Jasne, że nikt ci ich sam nie przyniesie. On nie robi nic. Siądzie sobie przed domem, zapali, golnie rumu, jak akurat jest. Uchleje się jak świnia. A potem nie jest nawet w stanie się pieprzyć. Po cholere mi taki mąż?

Kurwa mać! A nie mógłby tak sobie sprawić wieprzka? Pohodować go, sprzedać... Pokombinować trochę.

Skąd! Nie. On nie robi nic, palcem nie mszy. Czasami mi się wydaje, że to jakiś cofnięty umysłowo... No więc co ty na to? Gdybym tak pojechała do Hawany...?

Śluchaj, daj sobie spokój. Nawet o tym nie myśl. Rynek jest już zapchany. W Hawanie masz kupę dwudziestek, które wyglądają jak modelki. Śliczne i zgrabne dziewczuchy, które potrafią robić takie rzeczy, o jakich się tobie nie śniło. Mają układy z policją z taksówkarzami, z portierami w hotelach. W ogóle o tym zapomnij.

Kurde, Pedro, no to co ja mam robić?

Podsunałem jej pomysł, by coś picheiła na sprzedaż. Wszyscy w Hawanie chodzili wygłodzeni. Za cokolwiek do żarcia płaciliby jak za woły.

Śluchaj, ja ci pomogę. Znam ludzi, którzy mają zielonej są gotowi je wydać, byle tylko coś wrzucić na ruszt. No cóż, raz na tydzień będziesz musiała przyjechać do Hawany... Niewielka fatyga.

Gadaliśmy jeszcze, aż zrobiło się ciemno. Myślałem, że w końcu przyjdzie jej mąż. Moglibyśmy się upić w trójkę, może trochę potaćzyć. A potem byśmy się pobawili. Ona w łóżku zawsze mi o tym opowiada. Mówi, że chętnie by się przespała z nami obydwoma. Ja wziąłbym ją od tyłu, a on od przodu. Bardzo się napalam, kiedy o tym słyszę. W końcu jednak facet się nie pojawił, więc wyszedłem. Wyglądało, że na wieczór Hayda ma tylko trochę ryżu, i jakoś głupio mi było. Potem już nie miałem z nią kontaktu. Minęło parę miesięcy i nie przyjechała do Hawany. Niektórzy mają chyba jakiś defekt w mózgu. Zupełnie nie umieją robić interesów i w końcu umierają z głodu.

TWARDZIELE

Od pewnego czasu wszystko szło mi kiepsko, więc pomyślałem, że warto by się poradzić. Wziąłem rower i pojechałem wzdłuż morza przez cały Malecón aż do Marianao. Mocno zaniedbałem świątych, a przecież America dawno mi już mówiła, że powinienem mieć wojownika. Nie chciałem się jednak za bardzo angażować. Tak to już jest: póki wszystko się układa, nie myślisz o tych sprawach. Gdy zaczyna być źle, przypominasz sobie o świątych.

America, pochylona nad niskim hydrantem, nalewała wodę do wiader. U niej w kamienicy zawsze brakowało wody. Trochę jej pomogłem, bo ma już swoje lata, a na tym upale była kompletnie spocona. Wiadro po wiadrze, wkrótce napełniliśmy prawie cały zbiornik i wtedy nagle zrobiło się cholerne zamieszanie na schodach. Jakaś kobieta dostała ataku i zwiwała się w konwulsjach przed drzwiami swo jego mieszkania.

Zmarły w nią wszedł. Poczekał tu chwilę, pójdę coś z tym zrobić powiedziała stara i zostawiła mnie z wiadrami.

Wolałbym skończyć z tą wodą, żeby potem America mogła się mną zająć. Nie chciałem spędzić całego dnia w Marianao, a na dodatek w tym domu człowiek zawsze się w coś wplącze. Co rusz wybucha jakaś chryja, przyjeżdża policja i tak dalej.

Wtedy właśnie America zawołała wystraszona:

- Pedro Juan, chodź tu szybko, synku!

Najwyraźniej zmarły nie chciał opuścić swej ofiary. Coraz więcej bab gromadziło się dokoła.

- Idź tam do środka i zrób coś! Na miłość boską ściągnij go! Wszedłem do pokoju tej kobiety. Jej syn wisiał na kablu elektrycznym, który miał zadzierzgnięty na szyi. Był całkiem nagi i umazany krwią. Ciemną skrzepłą krwią która wypłynęła z mnóstwa zadanych chyba nożem ran. Niektóre z nich były głębokie.

- Wezwijcie policję!- wrzasnałem.

Wlałem na krzesło i chciałem gościa zdjąć. Nie dałem rady, był dla mnie za ciężki. Ani rusz nie mogłem rozluźnić zaciśniętej pętli. Facet był duży i dobrze zbudowany, a teraz na dodatek sztywny i zimny jak lód. Przy tej szarpamnie niektóre jego rany znów zaczęły cieknąć i cały upaprałem się krwią.

America machała rękami nad histeryzującą kobietą kropiła ją zimną wodą lecz zmarły wcale nie zamierzał z niej wyjść. W końcu babka zemdlła i upadła na podłogę. Wtedy właśnie przyszedł jeszcze jeden sąsiad. Patrząc, a on z płaczem obejmuje wisielca i zaczyna go całować. Potem prosi mnie, bym pomógł mu go zdjąć.

Nic już nie rozumiałem. Przecież ten facet w całym domu uchodził za stuprocentowego twardziela. Nie wyglądało, że w ogóle może go coś ruszyć, atnagle płacze i całuje w usta powieszzonego chłopaka. Wspólnymi siłami zdjęliśmy denata.

Facet wziął go na ręce, delikatnie przeniósł na łóżko i powiedział:

Zostawcie mnie samego. Zrobię coś z nim, żeby jakoś wyglądał.

W sumie jestem zadowolony, że ktoś zajmie się trupem. Mogę sobie pójść. Umazałem się krwią i chciałbym jak najszybciej się umyć. America w końcu docuciła matkę wisielca. Patrząc na drzwi: tłoczy się tam cała kupa ludzi. Każdy boi się wejść. Kobiety zęgnają się i modlą. America podchodzi do faceta, który zaczął już myć nieboszczyka, i chce mu pomóc, ale ten ją odpycha.

Powiedziałem już, zostawcie mnie samego. Idźcie stąd.

America łapie mnie za ramię i ciągnie do swego pokoju.

Siadaj, zaraz zrobię ci kawę. Dziś nic ci nie powiem. Na drodze jest trup. I krew. Dużo krwi.

Co się tam właściwie stało?

Ten, który się powiesił, to pedał. Przecwelili go, gdy był jeszcze dzieckiem. W ośrodku resocjalizacyjnym dla nieletnich. Spodobało mu się i potem już całe życie miał przesrane. Ładny chłopak, taki typ twardego faceta, a kobiety zupełnie go nie brały. Zdziwaczał, stał się takim mrukiem i popatrz, jak skończył. Trzeba mieć coś nie tak w głowie, by najpierw poharatać się nożem, a potem zabębnić piętami o stółek. Wiesz, co on wczoraj zrobił? Po obiedzie ujeżdżał konia tu na boisku za domem. Chyba za mocno chlasnął go batem, koń się spłoszył, stanął parę razy dęba i facet zleciał na ziemię. Wtedy wkurwił się i zabił biedne bydło. Tak po prostu, nożem w kark. Potem gdzieś uciekł. Nie było go cały wieczór. W nocy musiał wrócić i wtedy się powiesił.

Jak to? I matka nic nie słyszała?

Nie. Ona często wychodzi na noc z facetami. Wraca zupełnie pijana. Czasem na parę dni znika.

Kto to był ten gość, który pomagał mi go ściągać?

Sąsiad. Kręcili z sobą od pewnego czasu. Ja tego nie rozumiem. Chłop jest przystojny, z jajami, ma żonę, dzieci, dobre układy z policją. No dobra, widać zakochali się w sobie i cóż zrobić?

Wypiłem kawę, a America przygotowała mi kąpiel. Ledwie się namydlilem, przyjechała policja i wzięła nas na przesłuchanie. Spieprzony dzień raz, że nic nie wyszło z porady, a dwa, że musiałem wywalić na śmietnik ubranie, bo plamy nie puściły.

JA, KLAUSTROFOB

Od dawna próbowałem się pozbyć tego całego gówna, jakim obrosłem przez lata. To nie było takie łatwe. Jeśli przez czterdzieści lat będziesz dobrze oswojonym i potulnym typem, który wierzy we wszystko, co mu ładują do głowy, nieprędko się potem nauczysz mówić: nie, spadaj albo pocałuj mnie w dupę.

Ale mnie zawsze powiedzmy, prawie zawsze udaje się osiągnąć to, czego chcę. O ile, oczywiście, nie jest to milion dolarów albo mercedes. Choć kto wie? Gdybym tak naprawdę chciał... W końcu najważniejsze jest chcieć. Gdy czegoś mocno i autentycznie pragniesz, jesteś już na dobrej drodze. To tak jak z tym łucznikiem w zen, który nie mierzy w tarczę, tylko wypuszcza strzałę. Uparcie powtarza to przez lata i wbrew logice w końcu trafia w cel.

No dobrze. Kiedy dałem spokój ważnym sprawom to znaczy sprawom, które były ważne dla innych i zacząłem myśleć i działać bardziej na własny rachunek, wszedłem w trudny okres. Długo w nim trwałem i zawsze na krawędzi. Zawsze balansując nad przepaścią. Mając czterdzieści lat, człowiek wciąż jeszcze może wyzwolić się z rutyny, z owej ciężkiej i jałowej nudy. Jeszcze ma czas, by zacząć żyć inaczej. Tyle że prawie

nikt się na to nie odważa. Jest dużo bezpieczniej tkwić ciągle w tym samym aż do końca. Stawałem się twardy. Miałem trzy możliwości: albo będę twardy, albo oszaleję, albo się powieszę. Wybór był prosty: będę twardy.

Na razie jednak nie wiedziałem, jak oczyścić się z tego całego gówna. Plątałem się tu i tam, wzdłuż i wszerz po tej mojej małej wyspie. Poznawałem ludzi, co rusz byłem w kimś innym zakochany i ostro się pieprzyłem. Ostro i dużo. Seks pozwalał mi uciec od samego siebie. Byłem wtedy akurat w okresie klaustrofobii. Jakiegokolwiek choć trochę zamknięte pomieszczenie, a już dusiłem się i wyłem jak wariat. Wszystko zaczęło się pewnego dnia, gdy ugrzęzłem w windzie u nas w domu. Ta winda to takie stare urządzenie z lat trzydziestych: żelazna, ażurowa klatka z kraty. Jest brzydka, bo zbudowali ją Amerykanie. Nie ma nic wspólnego z pięknymi europejskimi windami z tej samej epoki: kunsztownymi cackami, które do dziś łagodnie przesuwały się między piętrami hoteli przy bulwarze Villette albo w innych starych dzielnicach Paryża. Nie. Nasza winda to prymitywny i zrujnowany rupieć, wiecznie ciemny, bo wszyscy kradną żarówkę. Zawsze śmierdzi w niej moczem, brudem i codziennymi rzygami pijaka, który mieszka na czwartym. Gdy człowiek pomału wznosi się nią lub opuszcza, ma czas, by kontemplować wciąż ten sam pejzaż: beton, kawałek schodów, egipska ciemność, znów obłupane schody, drzwi na piętro, za którymi czasami ktoś czeka, a potem jednak idzie na piechotę, bo winda staje, kiedy i gdzie chce. Często między piętrami. Wtedy masz przed sobą szorstką betonową ścianę i wrzeszczysz: Kurwa, niech mnie ktoś stąd wyciągnie, bo to cholerstwo znów się zacięło! Ta winda jest jak stary sklerotyk: pomalutku sunie do góry i na dół, potem znów do góry, zapomina, gdzie stanąć, chwije się, dygocze, sapie, jakby lada chwila miała już wyzionąć ducha. No więc gdy raz tak niespodziewanie zatrzymała się w połowie drogi, kucnąłem i wsadziłem rękę między kratę i ścianę szybu, próbując dosięgnąć drzwi na poprzednim piętrze, żeby je domknąć. Był to jedyny sposób, by zmusić windę do dalszej jazdy. Udało się:

czubkami palców przyciągnąłem drzwi do środka i wtedy winda znów ruszyła, tyle że nie zdążyłem już wyciągnąć ręki ze szpary między metalową kratą i murem. Ta szpara ma dokładnie trzy centymetry szerokości (wiem, bo ją później zmierzyłem). To była okropna historia, bo winda powoli wlokła mnie tak aż na siódme piętro. Potwornie wrzeszczałem i wilem się z bólu. Byłem przekonany, że moja ręka jest jednak krwawą miazgą. Ale nie. Nawet kość: nie była złamana. Zdarło mi tylko skórę z ramienia i z grzbietu dłoni. Do żywego mięsa. Zdawało mi się, że mam wszystkie nerwy na wierzchu w ohydnej pulpie z krwi, błota i psiego gówna. Idealne puree na diabelski stół. I zaczęło się. Galopująca klaustrofobia. Gdy tylko wyszedłem z windy lub raczej: gdy wyciągnęli mnie z windy znów ugrzęzłem, ale tym razem w samym sobie. Długie lata tkwiłem w tej pułapce. Zapadłem się w siebie, byłem uwieczony, przygnięciony sobą.

To była tak straszna klaustrofobia, że nieraz nocą budziłem się w panice i wyskakiwałem z łóżka. Czułem się zamknięty w nocy, w pokoju, w sobie. Dusił mnie, brakowało mi w łóżku powietrza. Musiałem się wtedy wysikać, napić wody, a potem wychodziłem na taras, gdzie patrzyłem na czarny ogrom morza i głęboko w płuca wciągałem pełne soli i jodu powietrze. Dopiero wtedy trochę się uspokajałem.

Och, tak naprawdę nie zaczęło się to wszystko od windy. Tamten wypadek był tylko kroplą, która przepełniła czarę. Przedtem zdarzyło się mnóstwo innych rzeczy, o których jeszcze kiedyś pomału i spokojnie opowiem. Kiedyś, nie teraz. Niech to będzie tak, jakbym za pośrednictwem jakiejś wiedzącej rozmawiał ze zmarłym: jakbym cierpliwie składał mu w ofierze kwiaty, wodę, modlitwy, by wreszcie znalazł spokój i odpierdził się od nas, którzy jesteśmy po tej stronie muru.

Dobrze. No więc żyłem przerażony w tym moim stanie koszarnej klaustrofobii. Czułem się jak rozgnieciony karaluch. Ciągle gdzieś się włóczyłem. Gdziekolwiek, byle nie być w domu. Ciągle uciekałem. Dom był dla mnie piekłem. Pewnego dnia zaniósł mnie na seminarium dla filmowców. Pomyślałem sobie, że kto wie, może później napiszę z niego notatkę dla tygodnika, w którym wtedy pracowałem: był to taki dość głupkowaty magazyn, ale z pretensjami.

Seminarium trwało aż cztery dni i odbywało się w takiej szkole filmowej pod Hawaną. Od razu jedna babka zwróciła moją uwagę: nazywała się Rita Cassia, była Brazylijką, miała złocistą skórę i cudowne nogi, chciała robić kasę na scenariuszach do telewizyjnych seriali, a na razie próbowała zapomnieć o swym niedawnym rozwodzie. Wyglądało, że po prostu szuka jakiegoś tropikalnego faceta, który sprawiłby jej kupę radości.

I tak było. W spojrzeniu, jakie na mnie rzuciła, był sam skoncentrowany erotyzm. Jej migdałowe oczy były słodkie jak miód (słyszałem to w jakimś romantycznym bolero). Patrzyła na mnie i czułem, jakbym się już z nią całował. Potem wszystko poszło bardzo szybko. Jakiś kubański dokumentalista, który robił kapitalne filmy, mówił właśnie, że nie ma pojęcia, dlaczego mu te filmy tak dobrze wychodzą. Do tego stopnia opierał się na intuicji, że nawet tej swojej fantastycznej intuicji nie zauważał. Na szczęście nie próbował słuchaczom tłumaczyć tego zbyt poważnie. Dowcipkował, opowiadał różne anegdotki i w sumie był dość fajny, ale olaliśmy go i poszliśmy się przejść do lasku za szkołą. Przez chwilę rozmawialiśmy o jakichś głupstwach, a gdy pole

elektromagnetyczne wokół nas osiągnęło wartość krytyczną nagle przywarliśmy do siebie ustami. Potem powiedziała mi, że podczas karnawału w Rio lubi rozbierać się prawie do rosołu i tańczyć sambę na ulicach. Myślę, że ma to coś wspólnego z jej oczami i polem elektromagnetycznym.

Zaczynało się ściemniać. W tym niezbyt gęstym lasu było sporo ludzi, bo tutejsi studenci co zresztą jest logiczne mają bardzo swobodne obyczaje. Tuż obok nas dwóch chłopaków całowało się bez najmniejszej żenady. Chwilę później mieli już rozpięte spodnie. Położyli się na trawie, jeden drugiemu wyciągnął kutasa i zaczął mu go obrabiać w klasycznym 69. Napaliło mnie to jeszcze bardziej. Zrezygnowaliśmy z dalszego spaceru. Pojechaliśmy do małego mieszkania, które Rita Cassia wynajmowała w Hawanie. Nawet nie zdążyłem się rozebrać, a już mi obciągała laskę. Zobaczyłem na stole dobry, siedmioletni rum. Ach, jak dawno nie widziałem tych fajnych, smukłych butelek! Wrzuciłem lód do szklanki, nalałem sobie niezłą banie, potem następną. Cholera! Różniłem się już od godziny, wsadzałem jej kutasa w każdą dziurę i nic. Nie mogłem skończyć. Ona wyginała się, podrzucała biodrami, dochodziła raz, drugi, trzeci, a ja ciągle nic. Nabierała rumu do ust, wydmuchiwała go na mnie, a potem zbierała językiem. U mnie czasem tak jest: rum nie pozwala mi dojść. Lagami stoi, ale nic z tego nie wynika.

Byłem już zmęczony, więc wziąłem się w garść i postanowiłem skończyć. Jeszcze trochę i udało się. Wskoczyłem w porę i wytrysnąłem jej na brzuch. Do końca. Och, to był prawdziwy potop! Nie pieprzyłem się już chyba od tygodnia może nawet dłużej i trochę mi się tego w jajach zbierało. Rita Cassia była zachwycona: Ach, tak! Jeszcze, jeszcze, cudownie! Potem była już jedna wielka orgia. Po seminarium był festiwal kina latynoamerykańskiego. Hawana przynajmniej dla nas zmieniła się w autentyczny raj: fajne filmy, rżnięcie na okrągło, mnóstwo rumu i wysmienite żarcie. Już wtedy na Kubie zaczynał się najgorszy głód w jej historii. Było to w dziewięćdziesiątym pierwszym. Nikt nie przypuszczał, że jest to dopiero początek prawdziwego kryzysu. Ja też nie. Wtedy martwiłem się tylko swą galopującą klaustrofobią i szukałem czegokolwiek do żarcia. W ciągu paru miesięcy schudłem osiemnaście kilo. Po prostu nie było co jeść.

Inną z naszych rozrywek były codzienne podchody z Marią Alexandrą autorką scenariuszy do najbardziej popularnych w Brazylii telewizyjnych seriali. Był to prawdziwy Don Juan w spódnicy. Szturmowała Ritę Cassię, używając całego arsenału uwodzicielskich środków: ni stąd, ni zowąd i o dowolnej porze pojawiała się z bukietem kwiatów w jej mieszkaniu, zabierała ją na wszystkie możliwe koktajle i przyjęcia oraz powtarzała w kółko, że pomoże jej napisać dobry scenariusz i wepchnie go do samego O'Mundo.

Innym jej manewrem zakochanego zalotnika było wydanie mi czegoś w rodzaju zimnej wojny. Prowadziła ją na dwa sposoby:

albo ignorując mnie olimpijsko, albo traktując z góry i protekcyjnie. Maria Alexandra tak szaleńczo zadurzyła się w Ricie Cassii, że zmiażdżyłaby każdą przeszkodę, jaka stałaby na drodze jej miłości. Każdą. Była absolutnie pewna, że ode mnie Rita Cassia nie dozna ani odrobiny tej ogromnej zmysłowej i seksualnej rozkoszy, jakiej by ona, Maria Alexandra, dostarczyła jej swoją pieśczęcią. Tak po babsku Rita Cassia wołała mnie, lecz gdy pojawiał się tamten absztyfikant, który miał jej otworzyć złote bramy O'Mundo, natychmiast robiła do niego słodkie oczy.

I tak mijały dni. Bawiliśmy się. Byłem szczęśliwy i zapomniałem, że jestem zwykłym głodomorem. Romantycznym i pełnym godności głodomorem. No dobrze, mówiłem już, że na Kubie zaczynał się kryzys i głód był coraz większy, ale człowiek zawsze lepiej dostrzega wszystko u innych. Łatwiej powiedzieć, że na Kubie ludzie chudną z niedożywienia, niż tak po prostu i brutalnie: Nie dojadam i dlatego chudnę. Wszędzie płaciła Rita Cassia, boja nie miałem ani centa i musiałem się zgodzić, by ona wszystko mi fundowała. A jakie miałem wyjście? Mogłem siedzieć w domu, nudzić się, jeść fasolę z ryżem i stracić kupę frajdy. Tak to wyglądało. Aż wreszcie nadszedł koniec.

Leżałem na łóżku i popijałem ostatnią już szklankę siedmioletniego rumu. Rita Cassia ubierała się, bo chcieliśmy jeszcze pójść na Malecón i pożegnać się nad morzem, tak jak powinni to zrobić prawdziwi kochankowie w Hawanie. Miał to być taki filmowy finał: gwiazdy, może nawet księżyc. Rita Cassia była już spakowana, bo o trzeciej w nocy miała jechać na lotnisko. Zobaczyłem, że w pokoju zostawiła mnóstwo cennych rzeczy: gumowe klapki używane, ale wciąż w dobrym stanie pół buteleczki szamponu, jakiś dżem, blok listowy, parę nie dokończonych mydełek, jednorazową maszynkę do golenia.

Zostawiasz to wszystko?

No pewnie. Przecież to już niepotrzebne.

Jak to, niepotrzebne? Klapki, szampon, mydło... Dla ciebie może nie, ale tutaj wszystko jest potrzebne.

Dobrze. Zaraz poszukamy gdzieś torby i weźmiesz sobie, co chcesz.

Potem było pożegnanie na Malecónie. Mieliśmy się już nigdy nie zobaczyć. Powiedziała mi, że boli ją widok

tej całej nędzy, którą próbuje się przesłonić ogromnym politycznym teatrem. Dlatego nie ma ochoty tu wracać. Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy nad brzegiem i słuchaliśmy morza. Mówiła, że czuje jego zapach. Ja nic nie czułem. Chyba węch mi się już przyzwyczaił. Ja lubię słuchać morza, późno w nocy na Malecónie. Wreszcie ostatni pocałunek, pożegnaliśmy się, wziąłem torbę i ruszyłem w stronę domu. Powoli, bardzo powoli. Było mi dobrze. Powoli szedłem do domu, nie oglądając się za siebie.

W POSZUKIWANIU WEWNĘTRZNEGO SPOKOJU

Wciąż jeszcze nie odnalazłem odpowiedniej proporcji między samotnością i towarzystwem ludzi. Żyłem w stanie permanentnej nierównowagi i moja samotność zdawała mi się zbyt dokuczliwa.

Pomału zbliżałem się do najlepszego momentu w swoim życiu, ale dużo mnie to kosztowało. Pedro Juana też. Nielatwo było mu mieszkać sam na sam ze mną. Klóciliśmy się, co rusz wybuchał jakiś nowy konflikt. Podczas ostatniej naszej awantury nie chciałem go uderzyć, więc całą nagromadzoną złość i agresję wyładowałem na moich okularach przeciwko astygmatyzmowi. Wziąłem je w garść i zgmiotłem. Aż dziw, że się nie pokaleczyłem. Tyle zyskałem, że potem ciągle bolała mnie głowa i chodziłem jak zamroczony. Wtedy na Kubie nie było nawet śrubek do oprawki, a co dopiero mówić o szklach. W końcu zdobyłem gdzieś nowe okulary i obiecałem sobie, że teraz jednak muszę dojść z sobą do ładu i uspokoić się. Słuchaj, Pedro Juan, albo siebie lubisz, albo nienawidzisz. Zdecyduj się, a przy okazji rozwiążesz problem tej twojej prywatnej wojny ze światem.

No więc właśnie byłem na tym etapie. Pomagała mi America, mądra i wiedząca babka z Marianao, do której ciągle jeździłem na rowerze. Kiedyś postanowiła odczynić mi głowę i dlatego teraz wiozłem jej potrzebne do tego rytuału rzeczy: orzechy kokosowe, białe kwiaty, rum, jajka, miód, świece i kilka różnych ziół. Wracając, przejeżdżałem nad rzeką Almendares obok miejsca, skąd zwykle wszyscy desperaci zaczynali swą podróż do Miami. Klecili liche tratwy z opon, desek i sznurów, po czym roześmiani wypływali w morze, jakby się wybierali na piknik. Było to w lipcu albo sierpniu dziewięćdziesiątego czwartego. Od czterech lat w całym kraju panował głód i ogólny obłęd, ale najbardziej dotknęło to Hawanę. Jeden z moich przyjaciół ciągle mi powtarzał: Wiesz, Pedro Juan, żeby żyć w tym kraju, trzeba być wariatem, alkoholikiem albo w ogóle się nie budzić. Czasem ktoś rozsądny podchodził do takiego kamikaze i coś mu tam tłumaczył, ale ten zawsze miał jedną odpowiedź: Ja chcę po prostu wyrwać się z tego gówna. Tam dopiero jest życie. Ci ludzie naprawdę byli zdesperowani. Chyba też odważni. Albo głupi, nie wiem. Podejrzewam, że odwaga i głupota często idą w parze. Przystanąłem na chwilę i wmieszałem się między gapiów. Zobaczyłem gliniarza, który czterem facetom pomagał przygotować tratwę. Teraz się wam chyba nie rozleci mówił. Kto wie, może wam się uda. Ja nic nie rozumiem z tej całej polityki. Przez ponad trzydzieści lat każdego, kto uciekał na tratwie do Stanów, starano się złapać i wsadzić do więzienia, a gdy się już komuś udało przechytryć rekiny, fale i prąd zatokowy, w Miami był od razu bohaterem dnia. I oto teraz tutejsi i tamtejsi politycy postanowili nagle zamienić się rolami. Ciekawe, że ciągle są jeszcze ludzie, których dziwi absurd, surrealizm i sztuka abstrakcyjna. Wystarczy przecież pożyć tu trochę i porozglądać się dookoła. A co? Może tak nie jest? Kiedy znudziło mi się już tak gapić, wziąłem rower i pojechałem dalej. Pomalutku. Lubię tak sobie wolno pedałować po Malecónie. Gdy byłem już chyba w połowie drogi do domu, przyszło mi do głowy, że mógłbym zajrzeć do szkoły, by sprawdzić, co słychać u Pedro Juana. Przeczucie? Nie wiem. Pomyślałem sobie: Pedro Juan jest trochę narwany, może lepiej zobaczę, co tam dziś u niego. Tyle tylko. Nic poza tym. Przed szkołą ledwie zsiadłem z roweru, podbiegło do mnie dwóch chłopaków:

Pedro Juan wypadł z autobusu! Zabrali go do szpitala! Nogi się pode mną ugięły. Niewiele brakowało, bym upadł. Jakoś się opanowałem. Powiedzieli mi, dokąd go zabrali, i od razu pognałem tam jak wariat. Był to najgorszy szpital w Hawanie. Najbardziej brudny i zaniedbany. Mój syn i jeden z nauczycieli A siedzieli już tam od dwóch godzin i nikt się jeszcze nimi nie zainteresował. Pedro Juan miał złamany nadgarstek. Jechał, wisząc w drzwiach zatłoczonego autobusu. W pewnej chwili ręce zaczęły mu słabnąć. Czuł, że lada moment się puści i wyleci na asfalt. Krzyknął do faceta, który wisiał obok: Słuchaj, chwyć mnie, bo zaraz spadnę! No to spadaj, co mi tam powiedział ten skurwysyn. I w końcu Pedro Juan wypadł na jezdnię z pędzącego ponad siedemdziesiąt na godzinę autobusu. Przekatulało go parę razy, cud, że się nie zabił. Musiałem zainterweniować. Znalazłem dwóch ortopedów i skłoniłem ich, by wreszcie zajęli się moim synem.

Zrobili mu rentgen i założyli gips na nadgarstek i część przedramienia. Wróciliśmy do domu. Ręka jednak wciąż go bolała i coraz bardziej puchła. Chyba źle mu ją usztywnili. Może oszczędzali gips. Jutro trzeba będzie pojechać do innego szpitala, niech mu to poprawią. Na razie dałem mu aspirynę i w końcu po niej zasnął. Było już dobrze popołudniu. Kiedy wreszcie w domu zapanowała cisza, wziąłem kawę i wyszedłem na taras, żeby

zapalić i popatrzeć na morze. Byłem wykończony. Te wszystkie moje próby odzyskania wewnętrznej równowagi zawsze mnie wtrącały w jeszcze większy chaos. Marzyłem o spokoju ducha. Pomyślałem, że coś sobie poczytam z Zen. A Way of Life. Na próżno. Czytałem i nic we mnie nie zostawało. Znalazłem notes Pedro Juana. Ostatnio mój syn czytał mnóstwo książek naraz. W notesie były cytaty z tych wszystkich jego lektur. Niezła mieszanka. Hermann Hesse, Garda Marquez, Grace Paley, Saint-Exipéri, Bukowski i Thor Hejerdhal. Do tego jeszcze rock i piętnastoletni chłopak nie ma prawa się nudzić. Mocno to musi przeżywać. No i dobrze. Tak mi się wydaje. Najważniejsze to się nie nudzić.

Wtedy też zadzwoniła do mnie Maria. Jest autorką dziwnych opowiadań i traktuje mnie jak swój prywatny słownik. Lubi ze mną konsultować te wszystkie swoje gwary na semantyce, które w sumie tworzą specyficzną poetycką atmosferę jej tekstów. Gadaliśmy przez chwilę i w końcu jej powiedziałem: Olej tych profesorów od literatury. Po co ci językoznawcy, krytycy i spece od teorii? Oni tylko cię zgnoją. Słuchaj siebie i koniec. Więcej czasu ci to zajmie, ale tak będzie lepiej... Choć nie: nie będzie lepiej ani gorzej. To po prostu jest jedyny sposób. No dobrze, a jeśli mi coś powie jakiś pisarz? zapytała, chyba nie do końca przekonana. To go posłuchaj, ale nie za bardzo. Nikogo nie słuchaj za bardzo. Później już niczego nie pamiętam. Moja żona wtedy już prawie moja była żona wyjechała do Nowego Jorku. Siedziała tam niemal zupełnie bez pieniędzy i wciąż szukała jakiejś dobrej galerii, która by wystawiła jej rzeźby, a ja tymczasem tkwiłem w Hawanie, zadręczałem sam siebie i obwiniałem wszystkich o wszystko. Przez tyle lat chyba się za bardzo nad sobą rozczulałem i teraz czułem do siebie pogardę. To było najgorsze: nie znosiłem siebie. Nie chciałem być sam na sam ze sobą. Porozmawiać z tym kimś, który był mną. Myślę, że cholernie mi zaszkodziło to moje uparte poszukiwanie wewnętrznego spokoju. Po kiego diabła wbiłem to sobie do głowy? Żeby się cieszyć wewnętrznym spokojem, trzeba być idiotą. Co? Może nie?

PEDAŁ I SAMOBÓJKA

Zadzwonił telefon. Powiedzieli mi, że Aurelio próbował popełnić samobójstwo i leży teraz nieprzytomny na intensywnej terapii w szpitalu, który akurat miał dyżur. Niedaleko. Poszedłem tam na piechotę. Po drodze zdążyłem się już niezłe nabuzować:

Kurwa mać, dobrze, że jest nieprzytomny, bobym powiedział coś temu pedałowi! Tak, najlepiej zabić się samemu! Nie, żeby ktoś cię zabił, żeby najpierw wyrzucić trochę adrenaliny, tylko sobie po prostu zafundować taką gównianą śmierć. Ja pierdołę. Wszystko można przecież rozwiązać. Butelka rumu i wygadać się komuś. Zawsze się ktoś znajdzie: kobieta, Bóg, przyjaciel.

W holu szpitala spotkałem jego siostrzeńca. Odniosłem wrażenie, że facet by się najbardziej ucieszył, gdyby Aurelio jak najszybciej umarł. W sumie nic nie wiedział. Niczego nie chciał wiedzieć. Zacząłem szukać jakiegoś lekarza. Żaden nie miał ochoty ze mną rozmawiać. Byłem coraz bardziej wpięprzony. W końcu pielęgniarka fajna młoda czekoladka, ale akurat w kiepskim humorze przeczytała mi parę linijek z karty chorobowej.

A kim właściwie dla pana jest ten pacjent? zapytała.

To mój przyjaciel.

Ach, rozumiem...

Usłyszałem jakby kpinę w tym jej ach, rozumiem. I tak już byłem mocno wkurzony, więc nie wytrzymałem:

Kurwa, nie mów do mnie jak do pieprzonego pedała! Co to za jakieś ach, rozumiem?

Zaraz, zaraz! Trochę kultury proszę!

Chrzanię kulturę, co z nim jest? Próba samobójstwa. Koktajl z narkotyków, środków nasennych i barbituranów. Potem jeszcze wstrzyknął sobie do żyły powietrze. Zastosowano płukanie żołądka i obecnie pacjent jest w stanie dość ciężkim, doszła uogólniona infekcja. A wiesz, czemu powiedziałam ach, rozumiem? Bo to jest klasyczna metoda u homoseksualistów. Chcą się zabić, ale nie mają... No wiesz. Prawdziwi faceci strzelają sobie w łeb, wieszają się albo skaczą

z okna... A teraz lepiej poproś Bożę, żeby ci nie zabrała tego twojego przyjaciela.

Uśmiechnęła się kpiąco, wstała i odeszła, kręcąc prowokacyjnie tyłkiem na wysokości moich oczu. Nie mogłem tego tak zostawić, więc krzyknąłem za nią:

Ale masz dupcię, mamuśka! W sam raz, żeby coś ci w nią wsadzić!

Obróciła się i popatrzyła na mnie z jeszcze większą kpinią.

Jasne! Od dup to ty jesteś ekspertem... ciotuchno.

Nic się nie martw. Od przodu też cię mogą zerznąć. Chyba nie usłyszała, bo nic mi już nie odpowiedziała. Kołysząc biodrami, przeszła przez cały korytarz. Przed drzwiami na intensywną terapię zatrzymała się i krzyknęła:

Słuchaj, kotusiu, informacja dla rodziny jest o szóstej! O innych godzinach tu nie przychodź.

Codziennie o szóstej wieczór przychodziłem do szpitala. Aurelio w końcu odzyskał przytomność. Po paru dniach przenieśli go na normalną salę. Wciąż miał tę swoją uogólnioną infekcję, bardzo silną ale można go było odwiedzać. Przez cały dzień zmieniali się przy nim jego przyrodnia siostra, szwagier i ten abuliczny siostrzeniec. Nie można go było zostawić samego. Na dwudziestu pięciu chorych w sali przypadały tylko dwie pielęgniarki. Zaraz drugiego zaofiarowałem się, że ja też mogę trochę przy nim posiedzieć, ale oni uprzedzili mnie i już wcześniej zdecydowali, że mam zostać na całą noc przy Aureliu.

Aurelio był bardzo słaby. Nie mógł nawet ruszyć ręką, a tlen podawali mu przez rurkę do nosa.

Mąż jego przyrodniej siostry powiedział mi, że ostatnio Aurelio zupełnie odizolował się od świata. Siedział zamknięty w domu, nie chciał widywać się z ludźmi, nikomu nie otwierał drzwi. Trudno było coś dla niego zrobić. Parę razy zachodziłem do niego, ale nie wpuścił mnie do środka. Wpadł chyba w jakąś paranoję.

Aurelio zawsze był typem samotnika. Jego ojciec pracował przy obrabiarce do metali. Nudny i bezbarwny facet, pozbawiony jakiegokolwiek polotu. Upierdliwy pedant, który wszystko musiał precyzyjnie zmierzyć. Matka Aurelia była pianistką postrzeloną chimeryczką która sprawiała wrażenie, jakby przed chwilą spadła z księżycy. Od ojca Aurelio zwykle dostawał cięgi, a od matki słodycze. Sam po trosze wdał się w nich oboje: był równocześnie fantastą i pedantem, wariatem i nudnym rutyniarzem, na pół facetem i na pół babą. Poznaliśmy się w gimnazjum i od początku miałem podejrzenie, że jest po prostu pedałem, choć nigdy specjalnie nie interesował się seksem.

Kiedyś siedzieliśmy na plaży obok jego domu. Piliśmy piwo i byliśmy już nieźle zatankowani, gdy zobaczyliśmy, że jakieś dwie samotne dziewczyny od czasu do czasu patrzą w naszą stronę. Podkreśliło mnie to.

Chodź, stary. Pójdźmy do tych lasek, może je poderwiemy.

Aurelio jednak chwycił mnie za ramię.

Nie, nie, daj spokój, ja nie idę.

Ejże, chłopie, co ci się stało? Pedał jesteś, sam sobie trzepiesz czy masz jakiś inny problem?

Jestem pedałem, sam sobie trzepię i nie mam żadnych problemów. A ty co? Naprawdę z ciebie taki macho czy tylko udajesz?

Zaraz, zaraz. O co ci chodzi? Co tymi tutaj opowiadasz?

Właśnie to. Może ty też lubisz murzyńskie kutasy? Nudzi mnie już to twoje ciągle robienie z siebie koguta.

Wiesz co, Aurelio? Odpierdol się ode mnie. Straciłem poczucie humoru. Aurelio jak prawdziwy pedał obraził się i poszedł. Przysiadłem się do tamtych dziewczyn. Cholera, nie pamiętam, co było potem. W każdym razie przez kilka lat nie spotykaliśmy się już z Aureliem. W końcu pewnego dnia pomyślałem, że co mnie obchodzi, czy facet jest pedałem czy nie. To jego dupa, a nie moja. Od dziecka byliśmy kumplami i to ja wszystko spieprzyłem. Poszedłem do niego z butelką rumu na zgodę. Nie wiem, jak to wygląda u Eskimosów. U nas na Karaibach młody i dziarski mężczyzna, który ma przyjaciela pedała, wystawia na szwank swą reputację rozplodowego buhaja. Ja nigdy się za bardzo nie przejmowałem swoją reputacją. Jeśli nawet czasem brałem pod uwagę opinię, jaką mam u innych, pakowałem się od razu w jakieś gówno, a potem musiałem się wycofywać i zaczynać wszystko od nowa.

No więc poszedłem. Przywitaliśmy się. Nie przeproszałem go. Otworzyliśmy butelkę. Jego rodzice już nie żyli, a on sam od trzech lat był żonaty. Przedstawił mi swoją żonę. Nazywała się Lina. To osobna historia. Poznali się jeszcze w gimnazjum i chodzili z sobą ale jej rodzice byli przeciw. Wciąż mówili, że Aurelio to pedał, że jest brzydki, chudy, garbi się, a na dodatek umie tylko grać na fortepianie. Zerwała z nim, wyszła za męża za faceta, który był całkowitym przeciwieństwem Aurelia. Mieli dwójkę dzieci, a zdradzał ją z każdą kobietą jaka mu się nawinęła, więc w końcu Lina nie wytrzymała i ich małżeństwo się rozpadło. Wtedy zaczął się na nowo romans między sopranistką Liną i Aureliem, pianistą i muzycznym erudytą. Każde z nich miało już wtedy ponad trzydziestkę. Aurelio bardzo się zmienił. Przestał wyglądać jak zbity pies. Cały swój czas poświęcał żonie. Odtąd często się już widywaliśmy i wreszcie, po dwudziestu latach przyjaźni, zaczęliśmy otwarcie i na luzie rozmawiać o seksie. Powiedział mi, że ze swoją żoną pieprzy się teraz gdziekolwiek i w każdy możliwy sposób: pod prysznicem, na kuchennym stole, wszędzie. Pokazał mi kiedyś Ananga Ranga, ale niektóre pozycje stamtąd są chyba zbyt dziwne dla kogoś, kto nie jest akurat Hindusem. Jednak życie Aurelia nie było tylko rżnięciem się na okrągło. Również a może przede wszystkim przygotował swej żonie kompletny repertuar. Uczył ją śpiewać po włosku, niemiecku i francusku. Żył tylko dla niej. Nie mieli dzieci. Zerwał ostatecznie to wszystko, co jeszcze ocalało z braterskiej i siostrzanej miłości między nim a jego przyrodnią siostrą córką z poprzedniego małżeństwa ich ojca. Został jeszcze bardziej sam. Skoncentrował się tylko na Linie i postawił wszystko na tę jedną kartę. Ich małżeństwo przetrwało dziewięć lat. Ona dała mu seks i uśmiechy. W zamian Aurelio zrobił z niej artystkę. Ostatnio rzadko ją widywał, bo ciągle była na jakimś tournée. Poza Hawanę albo w ogóle poza Kubę. Aurelio tymczasem coraz bardziej stronił od ludzi. Ona była radosna, beztroska, olśniewająca, a on

zgaszony, zdeprimowany i cały czas przeżywający swą frustrację. Myślę, że on to lubił. Lubiał tak bez końca rozpamiętywać swą samotność i pielęgnować poczucie przegranego życia. Palcem by nie ruszył, żeby wreszcie coś zmienić, wysłać to wszystko w diabły i wyjść z tego swego psychicznego dołka.

I oto teraz leżał przede mną na szpitalnym łóżku, z rurką od tlenu zaintubowaną do nosa i z igłami od kroplówek w żyłach. Przestraszony, wymizerowany, zbyt słaby, by walczyć z tą cholerną infekcją która niszczyła jego organizm i była odporna na wszystkie kombinacje antybiotyków. Ostatnio byłem ciągle poza Hawaną więc długo już się nie widzieliśmy. Może jakieś dwa albo trzy lata.

Uniósł lekko powieki. Poznał mnie i próbował się uśmiechnąć. Szeptem zaczął do mnie coś mówić. Nachyliłem się, żeby go usłyszeć. W sali było cicho i niemal całkiem ciemno. Od czasu do czasu wchodziła pielęgniarka, zapalała jedną czy dwie lampy i rozdawała jakieś pigułki i inne lekarstwa pacjentom. Potem gasiła światło, wychodziła i znów zapadała cisza.

Wiesz, Pedro, ja chyba już umieram.

Nie opowiadaj. To nieprawda. Lepiej odpocznij. Nie jesteś śpiący?

Nie. Chciałbym wszystko zacząć od nowa. Czasem mi się wydaje, że umrę, ale tak gdzieś w głębi myślę, że może jednak nie. Że będę mógł zacząć od nowa. Gdyby Lina wróciła z Hiszpanii, może zaczęlibyśmy jeszcze raz.

Lina jest teraz w Hiszpanii?

Tak. Wiem to od siostry. Wczoraj mi powiedziała. Ma tournée po Włoszech i Hiszpanii. Wyjechała. Zostawiła mnie nieprzytomnego i wyjechała. Pedro, ona musiała to zrobić. Ja ją rozumiem. W jej zawodzie, jak tylko sobie coś odpuści, od razu ją odsuną na bok. Ach! Jak ja ją strasznie Kocham! Ona jest dla mnie wszystkim.

Przezań. Jak możesz tak mówić? Ty tutaj o mało co nie odwaliles kity, a ona sobie akurat wtedy wyjeżdża do Europy? Nie bądź taką ciamajdą.

Widzisz... To dla niej był ogromny cios.

Jaki cios?

Aurelio kilka razy głęboko odetchnął i zaczął płakać. Łzy ciekły mu po twarzy. Przez chwilę pozwalałem mu na to, ale szlochał coraz bardziej i bałem się, że smarki z nosa zatkają mu tę jego rurkę z tlenem.

Nie, nie, daj spokój. Opanuj się, nie płacz. Zatkasz sobie rurkę i szlag cię może trafić. No już, dość, dość!

Pedro Juan, ze mnie naprawdę jest zasrany pedał.

Przezań! Co to ma teraz do rzeczy?

Ma, i to dużo. Zakochałem się w takim chłopaku. Jest tenorem i śpiewa w duecie z Liną. Uwierz mi, nie mogłem się mu oprzeć, to prawdziwy Adonis. Straciłem głowę. Trzy razy poszliśmy do łóżka. Robiliśmy wszystko. On jest sto razy większym pedałem niż ja! Ale potem wygadał się przed Liną.

Jak to? Powiedział jej?

Tak. Nie wiem dlaczego, ale powiedział. Mieliśmy próbę u nas w domu. Byliśmy razem przy fortepianie i nagle ten skurwiel wpadł w histerię. Krzyczał, że rzuciłem się na niego, że zacząłem go całować, że wyciągnąłem mu kutasa i tak dalej. Że ja go po prostu zgwałciłem. Dobre sobie! Zgwałciłem faceta, który trenuje na siłowni i wygląda jak Charles Atlas: jedna wielka kupa mięśni.

No dobrze, ale potem można było wziąć baseballa i przypierdolić mu w łeb.

Nie, nie, ja się tak zdenerwowałem, że zacząłem płakać. Poza tym Lina nie dała mi czasu. Zrobiła mi tak straszną awanturę, że aż sąsiedzi słyszeli. Nakrzyczała na mnie, że dawno już to podejrzewała i że ja zawsze budziłem w niej wstręt. Kilka razy mi to powtórzyła: że w niej budzę tylko wstręt. Potem wyleciała z domu, wołając, że idzie szukać adwokata, by jej załatwił rozwód. Że chce się w końcu uwolnić ode mnie i wyjechać do Europy. Kiedy zostałem sam w tym ogromnym domu, dopiero wtedy mnie rąbnęło. Najbardziej to, że wszyscy się dowiedzą...

A co cię to obchodzi, Aurelio? Twoje życie jest twoim życiem. I wtedy postanowiłeś się otruć?

Nie. To wszystko zdarzyło się w południe. Czekałem do późnego wieczoru, a Lina ciągle nie wracała. Nie byłem w stanie wyjść z domu. Nie potrafiłem nawet ruszyć się z fotela. Nie miałem sił. Poszukałem wszystkich pigułek, jakie były w domu, połknąłem je, a potem jeszcze wstrzyknąłem sobie powietrze do żyły. Wziąłem pas i zacząłem się walić po plecach. Och, gdybym miał wtedy bat jak dawni biczownicy! Rozsiekałbym się nim. Zmasakrował. Nie, nie chcę już o tym mówić. Ja wtedy po prostu oszalałem.

Dobrze, wystarczy już, uspokój się.

Ja tylko potrzebuję, żeby Lina wróciła. Może naprawdę uda się nam zacząć od nowa. Ona dla mnie jest wszystkim, Pedro Juan, ja bez niej nie mogę. Co mi odbiło, że się zakochałem w tym typie! Przecież to cynik, obrzydliwy zdrajca!

Wszystko to mówił z histerycznym łkaniem. Dusząc się od szlochu. Ledwie mogłem go zrozumieć. Nagle zamknął oczy i znieruchomiał. Szybko wezwałem pielęgniarkę. Wyglądało, że znów stracił przytomność. Pielęgniarka zbadala mu puls i w popłochu wybiegła po nosze. Zabrali go z powrotem na intensywną terapię. Chciałem tam za nim wejść, ale mi nie pozwolili.

Proszę poczekać! Tu nie można wchodzić.

Za drzwiami słyszałem odgłosy gorączkowej bieganiny. Ktoś krzyknął przestraszony:

On nam tu zaraz zejdzie! Szybko, defibrylator! Gdzie jest ten cholerny defibrylator?

Nie wytrzymałem. Rozplakałem się jak dziecko. Podeszła do mnie jakaś kobieta, wzięła mnie za ramię i powiedziała:

Musisz być silny, synu. Czy masz wiarę?

Obróciłem się i popatrzyłem na nią. Pamiętam, że w ręce miała chyba różaniec i Biblię. Wrzasnąłem z furii:

Kurwa, jaki silny i jaka wiara?! Spierdalaj, paniusko, i zostaw mnie w spokoju!

ZAPOMI NAJĄC O DOBRYCH OBYCZAJACH

Dobre parę godzin rozmawialiśmy na Malecónie i podobaliśmy się sobie coraz bardziej. Żartowaliśmy, śmialiśmy się, trochę się z sobą droczyliśmy. O pierwszej w nocy mogliśmy już przysiąc, że znamy się od zawsze. Zamilkliśmy na chwilę. Przyglądałem się jej uważnie i czułem, jak mi staje kutas. Przytuliłem ją, pocałowałem, a potem położyłem jej rękę na mej mocno już nabrzmiałej łasce. Ścisnęła mi ją przez spodnie i wtedy ja zapytałem: No to co robimy? Chodźmy do mnie odpowiedziała. Wzięła dziecko, które tymczasem zdążyło już zasnąć, i poszliśmy.

Miriam mieszkała niedaleko, w starej kamienicy przy Trocadero 264. W cuchnącej bramie domu stali jacyś ludzie. Jej mieszkanie było obskurną i zrujnowaną norą: ciasny pokój trzy na cztery metry i mała kuchonka naftowa. Musiałem cały czas się schylać, bo mniej więcej w połowie wysokości tej klitki zbudowano z desek rodzaj antresoli, na którą wchodziło się po drabinie. Na górze było łóżko. Na jego brzegu Miriam położyła dziecko, a na pozostałej części urządziliśmy sobie małą orgietkę, która zajęła nam dobre parę godzin. Miriam spodobało się, że byłem z nią czuły i delikatny. No, przynajmniej próbowałem być taki. Inni nawet nie pomyślą żeby na mnie poczekać mówiła. Robią swoje, spuszcza ją się i koniec.

Właśnie tak sobie baraszkowaliśmy, kiedy z sufitu zaczął sypać się tynk. Słuchaj, to wszystko zaraz się zawali! Nie, nie przejmuj się, to normalne.

Wystraszyłem się jednak. Skończyłem i wyszedłem. Wróciłem na Malecón. Od jakiegoś faceta kupiłem butelkę wódki. To nawet nie był bimber, tylko chyba kwas solny. Gołnałem parę łyków z gwinta, a tymczasem gość znów podszedł do mnie.

Ej, szefie, chcesz trochę marihuany? Poczeka moment, zaraz ci przyniosę.

Słuchaj, stary, ja wiem, że musisz jakoś zarabiać na życie, ale to, co mi sprzedałeś, to prawdziwy zajzajer. Jeśli trawka ma być taka sama...

Nie, nie. Na maryskę daję ci gwarancję. Przyniosę kilka jointów, zapalisz sobie jednego na próbę, jak ci się nie spodoba, to mi nie zapłacisz.

OK, no to przynieś.

Kwas solny i trawka: o czwartej nad ranem byłem już niezły, ale ten czarnuch ani rusz nie chciał się ode mnie odczepić. Najwyraźniej czekał, aż się do końca zaprawię, bo wtedy na pewniaka mógłby mnie obrobić z wszystkiego. Cały czas mi coś gadał i zawracał głowę, więc wreszcie wysłałem go w diabły, a sam wróciłem na Trocadero 264. Miałem jeszcze pół butelki wódki i jednego jointa. Obudziłem Miriam. Napila się trochę, zapaliła, a potem znów zrobiliśmy sobie takie małe rżniętko.

Miriam była niezbyt wysoką Mulatką może zbyt szczupłą z niedożywienia, ale w sumie ładną i fajnie zbudowaną. Ja nie lubię chudych kobiet, które wyglądają jakby były z samych gnatów, ale grube też mi się nie podobają. Miriam przydałoby się jakieś pięć lub sześć kilo więcej. Miała trzydzieści jeden lat, dwuletniego syna i męża mówiła, że czarnego jak smoła który odsiadywał dychę w więzieniu. Zostało mu jeszcze osiem lat. Podobno próbował zabić policjanta. Dziecko musiało być jego, bo też było cholernie czarne, dużo bardziej niż matka. Najfajniejsze u Miriam było to, że nie uznawała pruderii. Szczegółowo opowiadała mi o wszystkich swoich przygodach z facetami.

Przez jakiś czas kurwiła się z turystami na Malecónie i w hotelach w centrum. Kiedyś mi powiedziała: Ach, kotku, gdybyś wtedy mnie widział! Byłam okrągłutka, z tyłkiem jak marzenie, ale cóż, wpłatałam się w tego mojego czarnucha. Widzisz, na punkcie Murzynów ja mam autentycznego fioła. Oni dopiero mnie kręcą! Teraz ten mój siedzi w więzieniu, lecz i tak urodziłam mu syna. Wiesz co, nie gniewaj się, ale to on jest moim prawdzi-

wym facetem. Ty jesteś słodki, miły, ale on ma coś... Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Jak dostanie przepustkę, będziesz musiał zniknąć. Czasem zniemacka pojawia się tutaj na weekend. Kiedy urodziło się dziecko, Miriam nie miała już czasu dla turystów. Zwinęła interes i znów zaczęła się bieda. Jej brak zahamowań graniczył z kompletnym bezwstydem. Podobało mi się to. Z każdym dniem ja też byłem coraz bardziej bezwstydnym. Miriam lubiła czarnych i to takich bardzo czarnych bo przy nich czuła się lepsza. Ciągle mi to mówiła: Jak taki zaczyna mi szurać, to ja do niego: spierdalaj, czarnuchu! Zawsze mi łatwiej, bo jestem jasna jak cynamon. Prawdę mówiąc, chyba była nawet jaśniejsza niż cynamon i wszystko też tak wartościowała: czarni na dole, a im kto bielszy, tym wyżej. Czasem próbowałem z nią dyskutować, ale nigdy jej nie przekonałem. Zawsze upierała się przy swoim. No dobrze, w końcu dałem spokój, bo było mi wszystko jedno. Niech każdy sobie myśli, co chce. Kupę życia spędziłem w pieprzonym dziennikarstwie, przeświadczony, że tylko ja posiadam absolutną prawdę i że powinienem do niej przekonywać innych. Nie mogłem już tak dłużej. Przez ponad dwadzieścia lat pracowałem jako dziennikarz i nigdy nie mogłem pisać z szacunkiem dla czytelników. Choćby z odrobiną uznania dla ich własnego rozumu. Nie. Zawsze kazano mi pisać tak, jakby czytali mnie sami idioci, którym systematycznie trzeba pakować do głowy jedynie słuszne idee. Miałem już dość. Do diabła z tym wszystkim. Do diabła z tą całą elegancką prozą, która absolutnie nie mogła urazić moralności ani dobrych obyczajów. Już tak nie potrafiłem. Nie potrafiłem być dłużej poprawny, dobrze wychowany, uśmiechnięty i miły. Porządnie ubrany, schludny, ogolony, pachnący wodą kolońską i z punktualnie nastawionym zegarkiem. I przekonany, że wszystko jest niezmiennie. Że wszystko jest na zawsze. Nie. Teraz pomału uczyłem się, że nic nie jest na zawsze. Bardzo dobrze czułem się w tej śmierdzącej ruderze wśród prymitywnych i całkiem nieinteligentnych ludzi, którzy nie mieli pojęcia o niczym i wszystkie swoje problemy rozwiązywali raz lepiej, raz gorzej za pomocą krzyku, przekleństw, pięści i kopniaków. Tak było. Gównno obchodziła mnie reszta. Dość długo tam mieszkałem. Lubię ulicę Trocadero. Trochę dalej, pod 162, mieszkał kiedyś Lezama Lima. Umarł w 1976. Przy bramie do jego domu jest nawet specjalna tablica, ale w 1994 już mało kto go pamiętał. Może paru najstarszych. Ach, ten stary grubas, który tutaj mieszkał? Tak, tak, zawsze bardzo elegancki. Garnitur, krawat. Miał żonę wariatkę. Czy to nie był przypadkiem pedał?

Lezama często chodził do pizzerii, która jest tuż obok: Piękny Neapol. Nic tam teraz nie pieką bo nie mają gazu. Na pustym placu przed pizzerią ustawili prymitywny ruszt. Palą pod nim drzewem i na tej zaimprovizowanej kuchence pichcą co mogą: trochę zupy rybnej, ryż. Wcześniej rano Miriam stawała w kolejce i koło południa kupowała parę porcji. Tak jakoś żyliśmy.

Pokój robił się wyjątkowo obrzydliwy, kiedy po deszczu wylewało szambo. Wtedy przez parę dni na podłodze w sieni stało czarne i cuchnące bajoro, które w końcu gdzieś wsiąkało. Kobiety próbowały później oczyścić trochę sień, a kłęły przy tym i pomstowały na każdego, kto się im akurat napatoczył. Dziecko Miriam zaczęło mieć ataki astmy. Miriam mówiła, że to uczulenie na fekalia z szamba, i była z nim nawet u znachorki. Nigdy nie pytałem, co ta jej powiedziała i na czym miałyby polegać kuracja. W dzień chłopczyk dalej łąził bosa i na pół goły, taplał się w gównie, a nocami dusiła go astma. Gdy przychodziły deszcze, wszyscy drżeli ze strachu, bo dom był cholernie stary i zbudowano go bez użycia cementu: z samych cegieł połączonych zaprawą. Ulewy na Karaibach są jak biblijny potop i mogą trwać kilka dni. Z nieba leją się tony wody i wieje huraganowy wiatr. Przy każdej takiej nawałnicy ściany domu coraz bardziej pękały i sypał się z nich gruz. Zawsze się bałem, że w końcu to wszystko runie nam na łeb. Zresztą nie tylko ja: wszyscy się bali, nikt nie spał, a stare babki modliły się po cichu. Mieszkałem u Miriam, bo nie miałem gdzie się podziać. Nie znalazłbym lepszego ani gorszego miejsca. W sumie było nieźle. Fajnie nam się rżnęło. Miriam czasem gdzieś coś sprzedawała, skombinowała parę peso i znów jeden dzień do przodu. Coraz bardziej pociągała mnie ta kobieta. Miała w sobie coś ze zwierzęcia. Żyła tylko dla mnie i dla swego dziecka. Wyznawała starą zasadę, że miejsce kobiety jest w domu, a mężczyzna może być cały dzień poza nim. Podniecało ją że przychodziłem do niej brudny, spocony i nie ogolony. Podniecało ją mieć przy sobie dzikiego i prymitywnego samca z nieustanną, dwudziestoczworgodziną erekcją. Lubiła czuć się samicą której ja bronię przed innymi wygłodniałymi samcami. Ubierała się prowokacyjnie: cienkie i bardzo opięte między nogami szorty, goły pepek i sterzące sutki pod bawełnianą koszulką. Później, gdy pieprzyliśmy się w łóżku, powtarzała mi wszystkie świńskie komentarze, jakie usłyszała od mężczyzn. Mnie też to podniecało. Wtedy zwykle chciała, żebym ją uderzył. Lubiła dostać parę razy w twarz: od razu miała orgazm. Zawsze potrafiła załatwić jakieś pieniądze i coś do jedzenia. Wystarczyło, żebym powiedział: Napiłbym się trochę rumu. Nic nie mówiła, tylko wychodziła i po chwili wracała z butelką rumu i paczką papierosów. Staralem się jej nie traktować źle, lecz problem polegał na tym, że ona myliła to z miłością. Mówiła, nikt dotąd nie był dla niej dobry. Nikt. Ja byłem pierwszy. Rozmawiałem z nią, byłem miły, troszczyłem się o nią. Nie chciałem znów się zakochać. Za dużo już miałem

kłopotów z miłością. Miłość zakłada potulność i oddanie się. Nie miałem ochoty być już dłużej potulny ani tym bardziej oddawać się komuś albo czemuś. W końcu znalazłem pracę w radiu. Nie mogłem jednak występować na fonii, a to by mi się najbardziej podobało. Miałem tylko pisać krótkie komentarze, którymi od czasu do czasu przerywano program. Ot, takie głupoty. Że warto rzucić palenie, że nie wolno prowadzić po pijanemu i że trzeba pilnować dzieci, bo najwięcej wypadków jest w domu. Były to bardzo pedagogiczne i altruistyczne komentarze, ale wpierdalały mnie jak cholera. Nikt ich nie słuchał, bo wszyscy nadal palili, upijali się, a szpitale były pełne pokiereszowanych dzieci. Jednak moja szefowa Mulatka i córka Ochun, choć znała niemiecki i lubiła uchodzić za elegancką i powściągliwą kobietę mówiła, że te komentarze są całkiem sensowne i rozsądne.

Zawsze je tak określała. I właśnie to było nie do wytrzymania. Od tego czasu nie cierpię tych dwóch słów: sensowny, rozsądny. Są pełne fałszu i obrzydliwej pedanterii. Służą by ukrywać prawdę i kłamać. Wszystko jest bezsensowne i nierozsądne. Historia, życie i wszystkie epoki są zawsze bezsensowne i nierozsądne. My też. Każdy z nas z natury jest nierozsądny i bezsensowny. Zawsze jednak dajemy się zapędzić do stada i pozwalamy nałożyć sobie uzdę i kaganiec. Długo prowadziłem to podwójne życie: w rozgłośni byłem sensowny i rozsądny, bezsensowny i nierozsądny w domu razem z Miriam. Wciąż nie czułem się wolny, lecz byłem już na dobrej drodze. Tak naprawdę nie interesuje mnie nic, co byłoby proste i liniowe. Coś, co najkrótszą drogą przechodziłoby od punktu A do punktu B i o czym dałoby się dokładnie powiedzieć, gdzie ma swój początek i koniec. Nie, tak nie można. Nie można być zawsze sensownym i rozsądnym. Nie da się prowadzić liniowego i precyzyjnie określonego życia. Życie jest zawsze czymś nieprzewidywalnym.

JA, BIZNESMEN

Już od wielu miesięcy nosiłem worki z cementem, cegły i wiadra pełne zaprawy. Po południu byłem wykończony, ale w domu czekała na mnie Miriam z całą swoją czułością, butelką rumu i czymś do jedzenia, zupełnie jak wtedy, gdy miałem wygodną pracę w radiu i pisałem tamte idiotyczne wstawki do programu. Miriam była zawsze jak balsam. Wypijaliśmy po szklaneczce rumu, reanimowałem się i potem było ostre rżnięcie. Myłem się dopiero po wszystkim, późno wieczorem. Miriam lubiła mój pot, ten jego męski zapach, jak mówiła. Był to naprawdę mocny zapach, bo nie pozwalała mi używać dezodorantów.

Wiedziałem, że długo tak nie wytrzymam. Miałem czterdzieści pięć lat, żywiłem się tylko ryżem i jakimiś rybkami, od rana do wieczora ciężko harowałem na upale, a potem jeszcze Miriam o dwadzieścia lat młodsza regularnie kazała mi się spuszczać raz lub nawet i dwa razy dziennie. Czułem, że się wkrótce rozchoruję. Moje ciało zwykle mnie ostrzega, gdy coś jest w nim nie tak. Zaczęły boleć mnie nerki.

Spotkałem wtedy na ulicy dawną przyjaciółkę jeszcze z czasów dziennikarstwa. Wciąż byłem sprawny i silny, ale widać było po mnie, że jestem ogólnie zmęczony i niedożywiony. Chyba chciała mi pomóc, bo powiedziała: Wiesz, Pedro Juan, sprzedaję starą lodówkę. Chcę za nią dziesięć tysięcy. Mógłbyś mi poszukać kupca? Poszliśmy do niej obejrzeć tę lodówkę. Była w niezłym stanie. Pomyślałem, że chyba mógłbym ją opchnąć za jakieś piętnaście tysięcy. Fajnie by było. Miałbym z tego pięć tysięcy peso. Trzyletni zarobek Pedra Juana, pomocnika murarza.

No dobra, musiałem ją sprzedać, bo jak nie, to bym się prędzej czy później wykończył przy tym cemencie i ceglach. I tak w pracy kradłem, co się tylko dało: cement, narzędzia, okucia, klamki mosiężne, wszystko. W końcu ktoś kiedyś powiedział (nie pamiętam, kto), że każda własność jest już kradzieżą. To nie to samo okradać bogatych którzy mają wszystko, i to aż za dużo, i nawet się nie spostrzegą że im to czy tamto zginęło i podwędzić klucz francuski jakiemuś biedakowi, który w warsztacie naprawia rowery i ogólnie jest tak samo przegrany jak ty. A więc to pomagało mi jakoś przeżyć. Sprzedawałem te wszystkie fanty i mieliśmy troszeczkę luzu. Ciągle wtedy kręciłem się koło takiego luksusowego sklepu, który miała na Miramarze pewna włoska diwa. Pojęcia nie mam, kto w 1994 roku na Kubie mógł kupować te wszystkie ekstrawaganckie ciuchy po czterysta dolarów sztuka. Jednak baba jakoś je sprzedawała. W każdym razie te moje podchody były bezskuteczne. Nie widziałem sposobu, żeby włamać się do tak dobrze chronionego sklepu. Tutaj trzeba by prawdziwego specja, a ja miałem dookoła tylko samych prymitywów. Właśnie dlatego ich życie było takie zasrane. I odwrotnie: mieli zasrane życie, więc byli prymitywami. No więc zdecydowałem się sprzedać tę lodówkę. Poza tym musiałem zniknąć na jakiś czas z Hawany, bo kiedy weszylem koło sklepu, przyczepił się do mnie jakiś gliniarz. Ciągle na niego włożyłem, chodził za mną jak cień. Kiedyś wylegitymował mnie, potem sprawdził w komputerze i wiedział już, że mnie wylali z redakcji i jeszcze parę innych rzeczy. Że z forszą u mnie jest ogólnie cienko, że ledwie utrzymuję się na falach uczepony jakiejś maluteńkiej deski. Że lada moment mogę pójść na dno. Skurwysyn chyba się domyślił, że mam ochotę na ten sklep. Nie było to znów takie trudne. Kiedyś mi zagroził, że mnie przewencyjnie zatrzyma. To świetny wynalazek ten przewencyjny areszt. Wsadzają

cię do pierdła, bo przeczuwają że możesz zrobić coś złego. To taka telepatia. Chronią cię przed tobą samym. Facet był całkiem pokręcony i miał mentalność prawdziwego zbira. Przeszedł pranie mózgu, a potem wszczepili mu iluzję władzy. Tak się właśnie produkuje najemników: trzeba ich przekonać, że są częścią władzy. To nieprawda: są daleko na jej przedpokojach, ale nie mogą tego wiedzieć. Dlatego dobiera się ich spośród największych prymitywów. Albo spośród najbardziej pokręconych psychopatów. Potem, po latach, odkrywają jaki był ich rzeczywisty status, ale jest już za późno. Mają poczucie porażki i straconego czasu. Tak, mieli władzę, tyle że była to władza pistoletu i pałki. Mogli się nad innymi znęcać, upokarzać ich i zamykać w celach. Niektórzy z nich dopiero wtedy rozumieją że przez całe życie byli żalonymi goryłami, którym dano kij do ręki. Wtedy jednak tak bardzo się już boją że nie potrafią odłożyć tego kija. Wyjechałem z Hawany. Wtedy ludzie na prowincji mieli dużo więcej pieniędzy. Nie było co kupować, więc trzymali w domu gotówkę. Nie zdawali sobie sprawy, że te ich gówniane banknoty dewaluują się i że wkrótce będą mieć wartość zwykłej makulatury. Przez cały dzień błąkałem się po jednej z takich małych miejscowości i szukałem jakiegoś dachu nad głową. Było tam o wiele mniej policji niż w Hawanie. To normalne. W dużych miastach zawsze bardziej przykręcają śrubę. W dużych miastach ludzie częściej się buntują. Późnym wieczorem trafiłem do domu moich znajomych. Jedynych zresztą jakich tam miałem. To było takie małżeństwo, Hayda i Jorge Luis. Jakies dwadzieścia lat wcześniej ona i ja mieliśmy romans. Długi i namiętny, choć oczywiście z przerwami. Poza tym zawsze byliśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi. Przed czterema laty Hayda wyszła za mąż za Jorgego Luisa. Od kilku miesięcy nie widziałem się z Haydą. Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, zaczął się właśnie kryzys między nią i mężem. Nie mogli mieć dzieci. On kompletnie oszalał z miłości i żądzy posiadania (te dwie rzeczy w tropikach zwykle się mieszają co daje temat do namiętnych bolero i bywa powodem wielu zbrodni w afekcie). Stał się piekielnie zazdrosny. Po prostu nie pozwała mi żyć mówiła Hayda. To właśnie wtedy Jorge Luis przyłapał ją w parku, jak rozmawiała z jakimś facetem, który ogarnął ją ramieniem i przytulił. Jorge Luis poleciał do domu, wrócił z nożem i zaczął nim wymachiwać przed Haydą wrzeszcząc jak opętany. Zabrał ją do domu, a tam Hayda też chwyciła za nóż i też zaczęła krzyżeć. Opanowała sytuację. Wszystko skończyło się w łóżku, bo gość cholernie się podniecił, gdy Hayda odebrała mu knypa i dała parę razy po twarzy, by przestał histeryzować. Odtąd ich życie układało się idealnie. Hayda robiła, co chciała, Jorge Luis w niczym jej nie przeszkadzał, upijał się tylko, palił, jeśli akurat były papierosy, i najchętniej by ją dmuchał trzy razy na dzień. Na to jednak Hayda nie zawsze mu pozwalała. Chciała korzystać z życia, lecz z drugiej strony bała się zerwać z Jorgem Luisem. Miałaby ochotę pojechać do Hawany, powłóczyć się trochę po hotelach i upolować jakiegoś turystę, który zapłaciłby jej dolarami. Pedro Juan, znasz jakiś inny sposób, żeby mieć coś z życia? Porządnie zjeść, napić się, ubrać? Ten mój mąż to kompletny dupek. Dostaje w pracy jakies gówniane pieniądze i taki jest efekt, że w domu nie ma co do gęby włożyć. Nic, Pedro Juan, nie mamy nic. Widziałeś, jaka się zrobiłam chuda?

Teraz Hayda była zachwycona, kiedy mnie ujrzała. Jej mąż nie bardzo. Z pieniędzmi stali fatalnie, jeszcze gorzej niż ja. Mieszkali w biednej dzielnicy na samym skraju miasteczka, w ruderowatym domku z na pół przegniłymi deskami. Byli cholernie urodziwą parą: dwoje trzydziestopięcioletnich, wysokich i postawnych Murzynów. Nieraz w nocy na ich podwórko zakradał się jakiś okoliczny zboczek, by posłuchać, jak sapią i dyszą w łóżku.

Nie mieli prawie nic: parę ubrań, stół, kilka krzeseł, łóżko, naftowy prymus i rower. Na podwórku trzymali paromiesięcznego prosiaka. Był tam jeszcze pies: mały, czarny i wychudzony kundel z olbrzymimi uszami i z pyskiem absolutnego wariata. Poza tym nic.

Samo miejsce było przepiękne. Zaraz za płotem zaczynała się ogromna i zielona łąka, a za nią był już tylko czerwony zachód słońca. Jorge Luis wyszedł. Dałem mu parę peso, żeby załatwił nam wódkę. Sąsiad obok robił ją nielegalnie, i to podobno całkiem niezłą z cukru. Bez Jorgego Luisa pokusa była już przemożna i nie potrafiliśmy się jej oprzeć. Objąłem Haydę, zaczęliśmy się całować i wachać. Wodziłem dłonią po jej ciele. Był upał, pociliśmy się. Hayda miała na sobie tylko krótkie i obcisłe szorty oraz malutki opalacz. Prawie nic. Potem znów spokojnie usiedliśmy przed domem, bo Jorge Luis wrócił z wódką. Zostało mu trochę pieniędzy, więc kupił jeszcze banany. Hayda je usmażyła. Potem piliśmy wódkę. Trochę potańczyliśmy. Skończyła się butelka, więc znów dałem pieniądze Jorgemu Luisowi. Po chwili przyniósł następną wódkę i papierosy. O mało nas nie zaskoczył, jak całowaliśmy się z Haydą a ja miałem palec wetknięty w jej szparę. Hayda była już gotowa i czułem zapach tej jej wilgoci, który odbierał mi kontrolę nad wszystkim, co robiłem. Zabraliśmy się do drugiej butelki. Hayda wciąż chciała tańczyć tylko ze mną. Była cholernie napalona, a mnie laska też od dawna już stała. Hayda ocierała się o mnie, a Jorge Luis siedział przed domem i udawał, że niczego nie widzi. Ze jest mu wszystko jedno. To się musiało źle skończyć, a ja wcale nie chciałem się potem bić z Jorgem Luisem. Wprost przeciwnie, miałem nadzieję, że oni oboje pomogą mi sprzedać tę łódzkę i sami też coś przy tym zarobią. Ale

cóż? Ciało jest słabe i grzeszne. Przynajmniej moje ciało. Myślę, że tak jest u wszystkich, lecz ludzie wolą nie przyjmować tego do wiadomości i wynaleźli dwa poręczne pojęcia: przyzwoitość i nieprzyzwoitość. Tyle że nikt nie wie dokładnie, gdzie biegnie granica między tym, co jest przyzwoite i nie przyzwoite. No więc podkreślałem Haydę i mówiłem jej szeptem do ucha: Moglibyśmy zrobić to w trójkę. Kiedyś narzekałaś, że on ma strasznie długą laskę i że nie może ci jej całej wepchnąć do dupy. No to co? Ja od tyłu, on od przodu i dopiero będziesz miała frajdę! A na to ona: Nie, nie. Ja bardzo chętnie, ale on jest cholernie nieśmiały, i do tego jeszcze zazdrosny. To nie przejdzie. Lepiej tu zostań przed domem i na razie nie wchodź do środka. Podeszła do Jorgego Luisa i zaczęła go głaskać i całować. Wkrótce facet się nieźle napalił. Weszli razem do domu. Po chwili rozległo się skrzypienie łóżka i głośny szept Haydy, która najwyraźniej chciała, żebym ja słyszał w tej nocnej ciszy na zewnątrz: Ach, to boli! Jeszcze, jeszcze! Głębiej, przebij mnie na wylot! Później już tylko jęczała, prosiła, żeby ją gryzł, i miała jeden orgazm po drugim. Skończyli razem ze Irmą, bo ja też cały czas trzepałem sobie kutasa. Pośliniłem jego czubek, by lepiej chodził pod skórą i wolno naciągałem i ściągałem napletek, wsłuchując się w odgłosy, jakie dobiegały z domu. W szklance zostało mi jeszcze trochę wódki. Wypiłem ją jednym haustem. Wszedłem do domu. Oboje już spali wyciągnięci na łóżku, spokojnie oddychali, nadzy, piękni i kompletnie pijani. Miałem ochotę położyć się obok, ale udało mi się jakoś powstrzymać. Skutki pijaństwa zaczynały mi się już dawać we znaki: wszystko wokół mnie wirowało. Zgasilem światło i położyłem się na podłodze, ale przedtem ściągnąłem z krzesła jakieś brudne spodnie i zwinąłem je sobie pod głowę. Zasnąłem natychmiast, jednak po paru godzinach obudziłem się. Była głucha noc, ciemno, pełno komarów i wilgotny upał. Obudziłem się przestraszony, miałem sucho w ustach i okropny atak klaustrofobii. Czuję się uwięziony w ciemnościach, w tym małym i dusznym pokoiku. Zupełnie jakby mnie wsadzono do jakiejś ciasnej klatki. Opanowałem się. Cały czas powtarzałem sobie w duchu: Nie jesteś wariatem. Uspokój się. Oddychaj równo i głęboko. Często mi się to zdarza w nocy. Budzę się nagle w panice i czuję się jak wilk zamknięty w klatce. Jak mocny i potężny wilk, który szczyrzy kły i pokazuje pazury, lecz jest zupełnie unieruchomiony. Pamiętam, że wtedy chyba się trochę modliłem, ale nie bardzo mi to szło, bo wciąż po głowie płała mi się Rimbaud, a konkretnie jeden jego werset: Je est un autre. Ze tin otr. W końcu odzyskałem kontrolę nad sobą i znów na chwilę zasnąłem. Zbudziłem się, kiedy przez szpary w okiennicach zaczęło przenikać pierwsze światło świtu. W półmroku widziałem, jak leżeli na łóżku: zbyt piękni, żebym mógł w to uwierzyć. Po cichutku wyslizgnąłem się z domu. Nabrałem trochę wody z cysterny na podwórku. Umyłem twarz, przepłukałem usta i poszedłem.

PRZYWALONY GÓWNEM

W tamtych czasach byłem facetem, którego prześladowała nostalgia. Zawsze tak było. Nie umiałem się pozbyć tych wszystkich nostalgicznych nastrojów i wreszcie zacząć żyć normalnie.

Dotąd się tego nie nauczyłem i przypuszczam, że nigdy się nie nauczę, ale teraz przynajmniej wiem już coś bardzo ważnego: nie można się pozbyć nostalgii, bo nie można się pozbyć pamięci. Nie można się wyrzec tego wszystkiego, co kiedyś się w życiu kochało.

Cała ta pamięć zawsze będzie towarzyszyć człowiekowi. Człowiek zawsze będzie chciał odtwarzać dobre momenty ze swego życia, a równocześnie zapomnieć, zniszczyć pamięć o wszystkim, co w jego przeszłości było złe. Chętnie byśmy wymazali nasze niechlubne uczynki, zatarli wspomnienia o ludziach, którzy wyrządzili nam krzywdę, odesłali w niebyt nasze minione smutki i nieszczęścia.

Tak więc być nostalgikiem jest czymś jak najbardziej ludzkim i trzeba się tylko nauczyć z tą nostalgią żyć. Kto wie, może będziemy mieć szczęście i nasza nostalgia przestanie być czymś przygniatającym i wyłącznie smutnym, i zmieni się w iskrę, która nas rozpali, wystrzeli ku czemuś nowemu, pozwoli nam odnaleźć nową miłość, nowe miejsce, nowy czas. Może lepsze, może gorsze, ale inne. Przecież właśnie tego codziennie szukamy: żeby nie marnować w samotności życia, żeby kogoś spotkać, żeby się mu oddać, unikać rutyny i mieć swój malutki udział w fieście.

Wtedy tak właśnie się czułem. I pomału dochodziłem do tych wszystkich wniosków. Obłąd był ode mnie o krok, a ja starałem się przed nim uciec. Za dużo się na mnie zważyło i w zbyt krótkim czasie, więc wyjechałem na parę miesięcy z Hawany. W takim jednym miasteczku na prowincji zająłem się interesami: sprzedawałem używane lodówki i handlowałem innymi rzeczami. Mieszkałem u dziewczyny, która była autentyczną wariatką, wariatką w stanie czystym, bez domieszek. Sporo czasu spędziła w więzieniu i całe ciało miała pełne tatuaży. Najbardziej mi się podobała strzałka nad jej lewą pachwiną: celowała w jej cipkę, a niżej był napis: WŁAŻ I KORZYSTAJ. Na jednym pośladku miała wytatuowane: JESTEM DLA FELIPE, na drugim: KOCHAM CIĘ, NANCY, a na jej lewym ramieniu wielkimi literami wypisane było słowo JEZUS. Do tego jeszcze malutkie serduszka na kostkach wszystkich palców, a w nich inicjały niektórych jej chłopaków.

Olga miała dopiero dwadzieścia trzy lata, ale sporo zdążyła się już nauczyć. W jej życiu było mnóstwo marihuany, alkoholu, a przede wszystkim seksu, i to najrozmaitszego typu. Kiedyś złapała syfa, ale teraz ta sprawa była już pod kontrolą. Wytrzymałem z nią miesiąc, bo mnie to bawiło. Mieszkać w jednym pokoju z Olgą to jakby nieustannie być na planie pornograficznego filmu. Ja też się od niej nauczyłem wielu rzeczy. Może kiedyś napiszę Vademecum zbrodni.

W końcu wróciłem do Hawany. Zdobyłem już tyle pieniędzy, że przez jakiś czas spokojnie mogłem nie pracować. Kiedy Minam mnie zobaczyła, była przerażona: Natychmiast stąd znikaj! On już o wszystkim wie i właśnie cię szuka. Powiedział, że cię zabije. Miniam była posiniaczona i miała rozciętą lewą brew. Okazało się, że facetowi skrócili odsiadkę i wypuścili go nie po dziesięciu, tylko po trzech latach. Kiedy pojawił się w domu, sąsiedzi od razu mu powiedzieli o mnie i o Miniam. O mało co jej wtedy nie zabił. Potem znalazł gdzieś nóż do szlachtowania wieprzy i poprzysiągł, że mnie odnajdzie i mi go wsadzi pod żebra.

Ten Murzyn był naprawdę niebezpieczny. Pomyślałem, że rzeczywiście warto by się wynieść z dzielnicy Colón i poczekać, aż mu trochę przejdzie. Problem był tylko w tym, że nie miałem gdzie się podziać. Pozostała mi Ana Maria. Poszedłem do niej i powiedziałem, jak wygląda sprawa. W końcu pozwoliła mi się przespać u niej parę nocy, ale wyraźnie przeszkadzałem jej w romansie z Beatriz. Nocami słyszałem, jak się po swojemu pieprzą. Beatriz grała rolę faceta i strasznie mnie to podniecało. Masturbowałem się wtedy, ale raz nie wytrzymałem i wmaszerowałem do ich pokoju ze stojącym i twardym kutasem. Zapaliłem światło i powiedziałem: Jazda! Teraz zabawimy się w trójkę! Beatriz była przygotowana na tego typu najście. Sięgnęła pod łóżko, wyciągnęła kawałek elektrycznego kabla cholernie grubego i z ołowianą osłoną poczym rzuciła się na mnie jak tygrysyca: Ty skurwysynu, to moja dziewczyna, pierdol się ze swoją matką! Nigdy nie przypuszczałem, że kobieta może być aż tak silna. Zmasakrowała mnie tym kablem. Rozwaliła mi wargi, nos, wybiła parę zębów i wreszcie osunąłem się na podłogę ogłuszony potężnym ciosem w głowę. Na pół przytomny słyszałem tylko krzyki Any Manii, która prosiła, żeby Beatriz dała mi już spokój. Potem wylały mi trochę wody na twarz i wywlekły mnie do sieni. Zostawiły mnie tam na podłodze i zamknęły drzwi. Beatriz cały czas powtarzała: Cóż to za skurwiel! Ale się odpląca! Mówię ci, Ana Maria, nie warto być dobrym dla nikogo.

Długo tak leżałem pod drzwiami ich mieszkania. Nie miałem siły wstać, bolały mnie również żebra i plecy. W końcu jakoś się podniosłem i z trudem stanąłem na nogach. Cały czas widziałem, jak Beatriz znów otwiera drzwi i spuszcza mi kolejne manto. Nie miałyby litości. Była silniejsza i bardziej brutalna niż niejeden dresiarz. Zataczając się, szedłem ulicą Industria i dotarłem do parku La Fraternidad. Położyłem się na ławce. Ludzie myśleli, że jestem pijany, więc ciągle ktoś podchodził i przetrząsał mi kieszenie. Co pół godziny, ale ja byłem sprytny i wszystkie pieniądze schowałem w jednej z książek u Any Marii.

O świcie powlokłem się na pogotowie. Opatrzyli mnie z grubsza. Nie miałem przy sobie ani grosza i właściwie powinienem jak najszybciej pójść po swoją fonsę do Any Manii. Lepiej byłoby jednak poczekać parę dni. Byłem pobity, brudny, zarośnięty i zdesperowany. W sam raz, żeby spróbować pozebrać. Poszedłem pod kościół Bożego Miłosierdzia na rogu Salud i Campananio, usiadłem na schodach, przybrałem żałosny i wygłodzony wyraz twarzy i wyciągnąłem rękę. Niezbyt poskutkowało. Wszyscy dawali pieniądze jakiejś starej żebraczce, która zainstalowała się obok. Miała obrazek ze świętym Łazarzem i tekturowe pudełko z napisem, że zbiera, by wypełnić ślub. Do wieczora, gdy zamknęli kościół, udało mi się zebrać tylko parę monet, ale za to byłem przeraźliwie głodny. Od dwudziestu czterech godzin nic nie jadłem. Zapukałem do jakiegoś domu i poprosiłem o coś do jedzenia, ale wszędzie panował straszny głód. W 1994 roku wszyscy w Hawanie głodowali. Jakaś stara Murzynka dała mi kawałek juki, a potem popatrzyła mi w oczy i powiedziała: Co się z tobą stało? Przecież jesteś synem Chango. I Ochón też. Tak, ale Chango jest twoim ojcem, a Ochón to twoja matka. Pomódl się do nich i poproś ich o pomoc. Na pewno cię tak nie zostawią. Dziękuję, babciu. Przebiedowałem tak przez kilka dni, aż wreszcie przestało mnie wszystko boleć. Znalazłem na ulicy kawałek żelaznego pręta, wsadziłem go sobie za pasek, przykryłem koszulą i poszedłem do Any Marii. Było to wczesnym popołudniem i pomyślałem sobie, że o tej porze Beatriz powinna być w pracy. Zapukałem i otworzyła mi Ana Mania. Już chciała zatrzaskać drzwi, kiedy wsadziłem w szparę żelazny pręt. Potem popchnąłem drzwi i wszedłem. Odsunąłem ją na bok, zaczęła krzyczeć i pobiegła do kuchni po nóż. Ana Mania, uspokój się. Nic ci nie zrobię. Zaraz sobie pójdę, chcę tylko wziąć taką jedną rzecz, którą tu zostawiłem. Tu nic twojego nie ma. Wynoś się! Wy wszyscy jesteście tacy sami: myślicie tylko o sobie. Wykorzystać innych i już. Gdyby tu była Beatriz, to by ci łeb rozwaliła. Wynoś się! Miałem już książkę, otworzyłem ją i w środku zabłysnęły moje banknoty. Schowałem je do kieszeni i wyszedłem. Ann Maria nagle zamilkła i chciałem jak najszybciej zniknąć. Gdyby teraz zaczęła krzyczeć, że ją okradłem, łapać złodzieja i tak dalej, ładnie bym wyglądał. Pierwsza rzecz, jaką chciałem zrobić, to poszukać gdzieś rumu. Od dawna już nie miałem w ustach alkoholu. Poszedłem do jednego z moich znajomych i kupiłem od niego butelkę. Był to rum z przemytu, drogi jak diabli, ale dobry. Od razu

otworzyłem flaszkę i obaj sobie golnęliśmy. Zapytał mnie, dlaczego jestem taki zbradziażony, i coś mu tam opowiedziałem, ale nie za dużo. Słuchaj, chłopie, czemu się nie zaopiekujesz jakimś staruchem? Tutaj obok za rogiem jest taki kaleka, który mieszka sam. Ma już chyba siemdziesiątkę na karku i paskudny charakter. To trudny facet, ale poradzisz sobie z nim przy odrobinie cierpliwości. Parę miesięcy temu umarła mu żona i on też lada moment kipnie z głodu, brudu i niechłujstwa. Wkręc się do niego, trochę go doczyścisz, znajdziesz mu coś do żarcia, a jak umrze, to będziesz mieć mieszkanie. Zawsze to lepiej, niż żyć na ulicy. Skończyliśmy butelkę. Kupiłem jeszcze jedną i poszedłem oglądnać starego. Faktycznie, kiedyś to musiał być twardy gość. Stary Murzyn, który mocno oberwał od życia, ale wciąż jeszcze się nie poddawał. Mieszkał na San Mzaro 558. Całymi dniami siedział w bramie domu na wózku inwalidzkim, nic nie mówił, tylko patrzył na ulicę, wdychał spaliny i sprzedawał papierosy trochę taniej niż w sklepie. Kupiłem od niego jedną paczkę. Otworzyłem ją i chciałem go poczęstować. Odmówił. Zaproponowałem mu rum i też nie chciał. Byłem w dobrym humorze. Gdy mam trochę forsy w kieszeni, butelkę rumu i paczkę papierosów, świat od razu nabiera dla mnie kolorów. Powiedziałem o tym dziadkowi i tak pomału zaczęła się rozmowa. Miałem w sobie pół butelki rumu i w takiej sytuacji lubię sobie pogadać i pożartować. Mniej więcej po godzinie i po kilku dobrych łykach (w końcu napił się ze mną) stary dał mi jakiś punkt zaczepienia: powiedział, że pracował w teatrze. W którym? W Jose Marti?

Nie. W Szanghaju. Ach! I co pan tam robił? Mówią że tam były same gołe baby i tego typu rzeczy. A poza tym chyba go zamknęli zaraz na początku rewolucji? Tak, ale ja tam pracowałem dużo wcześniej. Byłem Supermanem. Zawsze miałem osobny afisz: Superman, jedyny na świecie, tylko tutaj. Wiesz, ile miał mój kutas, kiedy dobrze stanął? Trzydzieści centymetrów. To był prawdziwy fenomen. I tak mnie zawsze zapowiadali: Cud natury... Superman... Trzydzieści centymetrów, dwanaście cali...! Supenkutas...! Tylko dla państwa i tylko dzięki państwu... Superman! I pan był tak sam na scenie? Tak, tylko ja. Wchodziłem owinięty w jedwabną czerwono-noblękitną pelerynę. Stawałem twarzą do widowni, otwierałem pelerynę i zrzucałem ją z ramion. Pod spodem byłem całkiem goły, z miękkimi zwisającym kutasem. Siadałem na krześle i udawałem, że patrzę na publiczność, a tak naprawdę patrzyłem na śliczną blondynkę, która kładła się na łóżku w kulisach. Ta dziewczyna cholernie mnie nakręcała. Rozkładała nogi, przesuwiała palcem po szparze, a kiedy już była gotowa, przychodził taki biały i zabierał się do niej. Ach, czegoż oni nie robili! Wszystko. To było niesamowite. Nikt ich nie widział, tylko ja. Specjalny numer dla mnie. Patrzyłem i laska pomału mi stawała. Robiła się twarda, gruba i wyglądało, żerni za chwilę ją rozsadzi. Nawet nie musiałem jej dotykać, by wytrysła. Miałem dwadzieścia parę lat i potrafiłem strzelać potężnymi fontannami spermy, które sięgały pierwszych rzędów widowni i obryziwały wszystkich siedzących tam pedałów. I mógł pan tak co wieczór? Tak, co wieczór. Zawsze mi się udawało. Kupę forsy wtedy zarabiałem. Gdy czułem, że lada moment się spuszcze, otwierałem usta, zaczynałem jęczeć, dyszeć, stawiałem oczy w słupek, wyginałem się na krześle jak epileptyk i wybuchałem jak gejzer. Strugi spermy leciały jak serpentyny na balu, a wszystkie cioty z dalszych rzędów pchały się do przodu, żeby ich także dosięgnął ten deszczyk. Na scenę sypały się banknoty i cała sala krzyczała:

Brawo, brawo, Superman! Taką miałem publiczność! Byłem prawdziwym artystą który wiedział, czego ludzie chcą i jak ich można uszczęśliwić. W soboty i w niedziele zarabiałem najwięcej, bo wtedy teatr był pełny. Tak sławny się zrobiłem, że turyści z całego świata przyjeżdżali, żeby mnie zobaczyć. I czemu pan to zostawił? Bo takie jest życie. Raz jesteś na górze, a raz na dole. Gdy miałem jakieś trzydzieści dwa lata, zaczęło mi brakować amunicji. To nie były już takie eksplozje jak kiedyś. Czasem nie umiałem się skoncentrować, kutas nagle mi flaczał i dopiero po chwili znów stawał. Potem zdarzało się, że w ogóle nie byłem w stanie wystrzelić. Zaczynałem pomału wariować, bo przez tyle lat musiało mi się to rzucić na mózg. Brałem sproszkowany szylkret i wyciąg z żeńszenia, chodziłem do chińskiej apteki w Zanja, gdzie kupowałem specjalny syrop, który mi nawet pomagał, ale robiłem się po nim strasznie nerwowy. Nikt sobie nie zdawał sprawy, jak bardzo wyczerpująca była ta moja praca. Miałem żonę. Byliśmy razem jak to się mówi całe życie: od mego przyjazdu do Hawany aż do teraz, bo dopiero parę miesięcy temu umarła. Przez cały tamten czas nigdy nie mogłem z nią dojść. Nie mieliśmy dzieci, no bo jak? Dwanaście lat pilnowałem, by zawsze w porę przerwać. Ona miała anielską cierpliwość. Wiedziała, że nie możemy się pieprzyć, jak Pan Bóg przykazał, bo gdybym się w nią spuścił, wieczorem nie mógłbym mieć swego numeru w Szanghaju. Przez całą dobę gromadziłem w jajach zapas, by potem robić za Supermana. Na to potrzeba było cholerniej autodyscypliny. Gdybym jej nie miał, to bym umarł z głodu. W tamtych czasach nie tak łatwo było zdobyć coś do żarcia. Teraz też nie. No właśnie. Tu czy tam, teraz czy kiedyś, biedny zawsze ma i będzie mieć gówno. I co było potem? Nic. Pracowałem jeszcze jakiś czas w teatrze. Statystowałem, dawali mi zastępstwa, miałem też taki własny numer z blondynką ludziom się nawet podobało. Na afiszach było napisane: Superkutas i Złota Cipka, czyli raj na ziemi. Ale to już nie było to. Zarabiałem grosze. Potem znalazłem pracę w cyrku. Robiłem tam za kłowna, opiekuna lwów i za fundament ludzkiej wieży. Wszystkiego po trochę. Moja żona czasem coś szyła, umiała gotować. Jakoś tak sobie radziłyśmy

przez całe lata. W Samie życie jest do dupy. Niczego nie możesz być pewny. Skończyliśmy butelkę. Pozwolił mi zostać na noc i następnego dnia załatwiłem mu parę pism pornograficznych. Superman był zawodowym yoyeuem: jedynym chyba facetem na świecie, który potrafił zarabiać na życie, podglądając, jak inni się pieprzą. Polubiliśmy się już trochę, więc pomyślałem, że zrna zrobię frajdę tymi świerszczykami. Zaczął je przeglądać. U nas jest to już zakazane od trzydziestu pięciu lat. Jeszcze trochę, a w tym kraju zakazą człowiekowi się śmiać. Ja lubiłem takie rzeczy. Moja żona też. Czasem patrzyliśmy na te blondynki i choć byliśmy razem, każde z nas lubiło sobie dogodzić z osobna. Twoja żona była Murzynką? Tak, ale wykształconą i bardzo kulturalną. Umiała szyć, haftować, gotowała też w bogatych domach. To nie była taka zwykła czarnucha. Ale świetnie pasowaliśmy do siebie. W łóżku była taką samą wariatką jak ja. No i co, Superman? Już ci się nie podobają świerszczyki? Weź je sobie, to prezent ode mnie. Nie, chłopcze. Po co mi one teraz...? Popatrz.

Podwinął koc, który okrywał mu kikuty. Nie miał już kutasa ani jaj. Razem z nogami amputowali mu wszystko. Nie miał już nic. Obcięli go aż do bioder. Z miejsca, gdzie kiedyś był kutas, wystawała mu gumowa rurka. Nieustannie sączył się z niej żółty płyn, który spływał kroplami do plastikowego worka przytroczonego do boku. Co ci się stało? Cukrzyca. Obie nogi zżarła mi gangrena. Obcinali mi je po kawałku aż do końca. Aż do jaj. Ale heca, nie? Superman z Szanghaju, czyli facet bez jaj! Ha, ha, ha! Niezła byłaby sensacja! No dobrze, teraz to mam już przesrane, ale co przeżyłem, to moje.

I znów się roześmiał. Szczerze, bez śladu sarkazmu. Podobał mi się ten stary, twardy Murzyn, który umiał się tak śmiać z samego siebie. Właśnie tego chciałem: chciałem się nauczyć z siebie śmiać. Śmiać się zawsze, nawet gdyby mi obcięli jaja.

PIORUNUJĄCA MIŁOŚĆ

Zawsze żyłem, jak gdybym miał być wieczny. Chodzi mi o to, że wciąż wszystko niszcę i znów odtwarzam od zera. Nigdy nie brałem pod uwagę, że mogę skończyć jako wariat lub samobójca. Może po prostu się przyzwyczaiłem, by niczego nie pielęgnować, nie troszczyć się o nic, nie przewidywać. Pomału zwiększał się ciężar na mych plecach. Za dużo zgromadziłem gruzu. W ten sposób nauczyłem się wykorzystywać wszystkich i wszystko. Takie cholerne, praktyczne podejście do życia. Cały czas kalkuluję. Obliczam, ile dałem i ile otrzymałem w zamian. Kiedyś miałem się za porządnego gościa, ale ten piekielny zwyczaj, żeby wszystko liczyć, kompletnie mnie zniszczył i zdołował. I wtedy właśnie w moim życiu pojawiła się piękna dziewczyna. Zwróciła na mnie swe zielone oczy i telepatycznie wysłała mi miłosny list. Uwierzyłem. Musiałem uwierzyć. Kiedy czujesz się tak straszliwie sam, łatwo ci pochwycić taki przekaz. Odbierasz go, chowasz głęboko w sercu, wzbiera w tobie entuzjazm i myślisz, że wszystko się już rozwiązało. No dobrze, ona po prostu nie dała mi czasu. Codziennie ją widziałem w pracy. Kontrolowała gaśnice, a tam, gdzie pracowałem, było mnóstwo gaśnic. Piękna kobieta, krótko ostrzyżona, o cudownym, opalonym ciele i o zielonych, rozmarzonych oczach. Do tego jeszcze jędrny tyłek i wielkie, fascynujące piersi. Przez kilka dni nic nie mówiliśmy, tylko patrzyliśmy na siebie, aż wreszcie podjąłem decyzję. Dotąd czekała na mnie jak kotka i dopiero teraz, na koniec, zamruczała. Zaproponowałem, żebyśmy poszli gdzieś wieczorem. Wylądowaliśmy w jakimś barze. Zamówiłem kilka drinków i bez słowa zaczęliśmy się całować i pieścić. Nie spuszczałem oczu wszystkie moje neurony były w najwyższym pogotowiu z jej ślicznych piersi autentycznej dwudziestolatki. Kutas twardo stał mi od samego początku, więc zapłaciłem i wyszliśmy. Znałem obok takie jedno wygodne i zaciszne miejsce. Byłem w euforii i nie mogłem się doczekać. Ona też. Zaczęliśmy się szybko rozbierać. Zdjęła biustonosz i wtedy piersi opadły jej na brzuch. Były wielkie, miękkie i obwisłe. Dwa ogromne sflaczałe worki, jak u starej mamki. Aż trudno uwierzyć, żeby ładna i młoda kobieta miała tak beznadziejne cyce. Próbowałem jednak. Nie mogłem. Nie miałem ani pół erekcji. Ani ćwierci. Kutas ani rusz nie chciał mi stanąć. Było jej dość głupio, chyba się nawet obraziła. Ubraliśmy się i wyszliśmy. Później nie dawała się już zaprosić. Wciąż jednak musiała sprawdzać gaśnice, więc w końcu zostaliśmy przyjaciółmi. Wielu lat potrzebowaliśmy, żeby się zaprzyjaźnić.

ZAKOTWICZONY NA ZIEMI NICZYJEJ

Wróciłem z Malagi i chodziłem jak błędny. Malaga cholernie mnie rąbnęła, ale na razie nie chcę o tym mówić.

Jeszcze nie potrafię. Musi minąć parę lat i dopiero wtedy opowiem, co mi się naprawdę zdarzyło w Maladze. Teraz mogę tylko powiedzieć, że wszystkie marzenia to jedno wielkie gówno. My, ludzie, powinniśmy się pozbyć złudzeń, wykarczować je, stanąć twardo na ziemi i krzyknąć: Kurwa! Teraz tak! Teraz jestem dobrze zakotwiczony na ziemi i niech sobie przyjdzie huragan! Tylko w ten sposób można dotrzeć do końca, uniknąć większych awarii i nie dać się zatopić. Co najwyżej mieć tylko trochę brudnej wody w zębie.

No dobrze, więc byłem kompletnie rąbnięty, piłem mnóstwo rumu i prawie nie spałem. Problem był tylko w tym, że te okresy chaosu zupełnie mi już nie służyły. Wiedziałem, że powinienem się gdzieś zakotwiczyć, odrzucić wszelką czułość, zapomnieć o miłości, o tego typu rzeczach. Nie, musiałem być twardy, musiałem tworzyć sobie pancierz, a ja tymczasem wiedziałem, że jedna kobieta czeka na mnie w Rio, inna w Buenos Aires, do tego jeszcze te wszystkie Mulatki i Murzynki w Hawanie. Gubiłem się wśród tych wszystkich kobiet, nie mówiąc już o tamtym ciosie, który dostałem w śródziemnomorskiej Maladze. Koło południa położyłem się trochę, ale mieszkam na ósmym piętrze Mam taras z widokiem na morze, ale mam też sąsiadów. To tacy sami ludzie jak ja. Może nawet bardziej biedni i na pół analfabeci. Dobrze, jest jak jest, tyle że dwie dziewczyny wyszły na taras i zaczęły krzyczeć do jakichś czarnuchów, którzy łazili po Maleconie: Dobra, pokaż go Pokaż, co masz! Ale dziadostwo! Ha ha ha! No jeszcze, nie wstydz się. Ale czarny! Poczekaj, poczekaj zaraz cię zgarnie policja! I tak przez pół godziny darły się z tarasu na ulicę. Nie mogłem zasnąć. Wkurzyłem się, wyszedłem na taras i powiedziałem: Słuchajcie, a może byście tak zeszły i obciągnęły druta tym czarnuchom? Chciałbym się trochę przespać, kurwa, a wy mi nie dajecie! Patrzcie, patrzcie, jaki delikatny! Pedro Juan chce sobie pospać w południe. A czemu ty nie zejdziesz i im nie obciągniesz, ty łysy burżuju? Psiakrew, a kto tu się tak napalił? Ja czy wy? A może chcecie, żebym was po kolei przedmuchał? Zamknąć mitu mordy i jazda do siebie, bo chcę spać! Coś mi tam odpowiedziały, ale w końcu poszły z tarasu. Już u siebie w pokoju puściły kasetę z salsa. Chyba NG La Banda albo coś w tym rodzaju. Na ful. Pomyślałem, że jeszcze trochę, a ściany się zawalą. Rozboliła mnie głowa. Na szczęście nie miałem pod ręką pistoletu, bo w takich sytuacjach mój instynkt kryminalny rozgrzewa się do białości. Gotowałem się cały, niemal czułem, jak krew bulgocze mi w żyłach. Znow wyszedłem na taras i usiadłem na murku. Tymczasem pogoda zaczęła się psuć. Tak to jest na Karaibach. Słońce, błękitne niebo, a tu nagle ciemno, zrywa się wichur, morze szaleje i masz cyklon. Na to nic nie poradzisz. Jedna chwila i zaczyna się piekło. Cyklon niszczy wszystko. No więc właśnie wyglądało to na cyklon. Za pół godziny, może nawet wcześniej. Wróciłem do swej nory i wtedy przyszedł jakiś bachor z dołu. Że niby Dalia, taka moja sąsiadka, która mieszkała pode mną, bardzo prosi, bym do niej zajrzał. Nawet się ucieszyłem, bo gdyby rzeczywiście zaczęły mi się nad głową rozlatywać te płyty z eternitu, to przynajmniej nie musiałbym na to patrzeć, a to już zawsze coś. To jednak różnica, czy cię pomału torturują, czy też nagle dadzą ci jednego kopa w jaja. Trach i już. Zszedłem. Dalia była okropnie stara i niewiele już jej brakowało do śmierci, ale chyba w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy. Mieszkała na siódmym piętrze. Chciała, bym coś jej zrobił z drzwiami na balkon, które były kompletnie przegniłe, bez zawiasów i ledwie się trzymały. W ogóle cała zewnętrzna ściana była popękana, a zaprawa między cegłami niemal zupełnie się już wykruszyła. Zabezpieczyłem drzwi, jak umiałem, ale zaczęła się zlewa, cholernie wiało i wkrótce w pokoju było pełno wody. Słuchaj, Dalia, jeszcze trochę, a ściana się rozleci. Matko Boska, nawet nie mów! Czy będę mówił czy nie, jak mają szlag trafić, to i tak ją trafi. Lepiej się pomódl, żeby wytrzymała. Może zaraz to przejdzie. To dlatego, że w tym domu mieszkają same prymitywy. Dzikusy. Wszystko niszczą i rujną... Nie, Dalia. To cholernie stary budynek i nikt go nigdy nie remontował. Nic dziwnego, że się sypie. Doprowadzili go do takiej ruiny. Rządu nic nie obchodzi. Teraz mogę to mówić, bo jestem stara i nic mi już nie robią. Ale z drugiej strony, widzisz, synku, przecież podróżujesz, więc wiesz: nigdzie na świecie rząd nie może zajmować się wszystkim. Dlatego cała ta dzielnica tak wygląda. Kiedyś, gdy była tu właścicielka, ten nasz dom przypominał cacuszko. Wychuchany, wypieszczony, aż przyjemnie było patrzeć. Co miesiąc płaciłam dziewięćdziesiąt peso czynszu, ale było za co. Właścicielka nie pozwalała, by ktokolwiek sam coś naprawiał, choćby kran w łazience. O wszystko dbała ona. Ale tu też mieszkali inni ludzie: nauczyciele, kupcy... Dobrze, Dalia, to było kiedyś. Teraz o tym zapomnij. Nie, to jeszcze wróci. Nie może tak być, żeby dalej wszystko niszczało i żeby ludzie patrzyli na to, nic nie robili i jeszcze im za to płacono. Chodź, coś ci pokażę. No chodź! Przeszliśmy do drugiego pokoju. Otworzyła szafę i zaczęła wyjmować sukienki, kilka par butów, torebkę. Wszystko nowiutkie i dopiero co kupione. Dalia, skąd to masz? Sprzedałam parę kosztowności i trochę porcelany, a potem zrobiłam zakupy. A wiesz dlaczego? Bo przecież przez całe życie nie może być tylko głód i nędza. To się skończy. Wiem dobrze, że to już niedługo się skończy, i trzeba coś mieć, żeby się pokazać, żeby pójść na spacer, zobaczyć ludzi. Nie wierzę, żeby mi się trafił jeszcze jakiś kawaler, ale kto wie, prawda? Kto wie? Tak, Dalia, nigdy nie wiadomo. Człowiek do końca ma nadzieję No właśnie, ja też to mówię. Człowiek do końca ma nadzieję Porozmawialiśmy tak sobie przez chwilę. Sąsiedzi mówili, że Dalia jest ciągle dziewicą. Miała osiemdziesiąt trzy lata, ale nadal wierzyła, że znajdzie narzeczonego i w końcu wyjdzie za mąż. Często mi opowiadała, że kiedy była młoda i zbliżało się Boże Narodzenie Christmas, jak mówiła jeździła do Miami i tam w najlepszych sklepach kupowała sobie suknie i buty. Mówiła mi też, że umiała grać na fortepianie i haftować. Jej ojciec, Katalończyk, miał ogromne piwnice z winami, silna osobowość i dość trudny charakter. Umarł, jak miał sto cztery lata. Przepędzał wszystkich narzeczonych Dalii, bo byli zbyt biedni, i

ciągle czekał, aż się pojawi kandydat z odpowiednią forszą. Wiało i lało coraz mocniej. Poszedłem do siebie na górę i położyłem się spać. W nocy, tuż nad ranem, po czternastogodzinnym cyklonie, obsunęła się cała jedna ściana naszego budynku i runęła na ulicę. Huk słyhać było w promieniu kilku sąsiednich kwartałów. Dom wydawał się solidny, ale ta ściana była kompletnie spękana i gdy namokła od deszczu, po prostu poleciała. Budynek miał teraz dość niesamowity wygląd. Był jak domek dla lalek: z jednej strony otwarty, z wszystkimi meblami i wnętrzami mieszkań na widoku. Zrobił się straszny rwetes. Przyjechali strażacy i wyciągnęli z gruzów dwa trupy. Sprawdzili konstrukcję i powiedzieli, że reszta jest w porządku, że nie ma zagrożenia i że możemy dalej tam mieszkać. Mojej norze na ósmym nic się nie stało, bo mieszkam akurat po przeciwnej stronie niż ta zawalona ściana. Po południu zszedłem zobaczyć, co słyhać u Dalii. Była przerażona. Razem ze ścianą straciła połowę mieszkania. Została jej tylko kuchnia, łazienka, jeden pokój i drzwi wejściowe z kawałkiem korytarza. Tuż obok tych drzwi ziała przepaść, a trzydzieści metrów niżej była ulica. Trochę dziwnie to wyglądało i nie powiem, robiło wrażenie. W pierwszej chwili miałem odczucie, że to jakiś sen. Dalia w ogóle nie była w stanie mówić. Siedziała jak skamieniała na krześle. Cóż mogłem zrobić, zostawiłem ją tak i poszedłem. Później o niej zapomniałem. Dalej żyłem jak ogłupiały i wciąż nie mogłem dojść z sobą do ładu. Jakiś miesiąc później usłyszałem, że Dalia umarła. Powiedziała mi o tym taka inna staruszka, która mieszkała naprzeciw: Właściwie Dalia umarła, bo sama tego chciała. Odkąd jej się zawaliła ta ściana, zamknęła się w sobie. Postanowiła tak po prostu umrzeć na tym swoim krześle. Nie wstawała nawet, żeby sobie przynieść choćby szklanek wody. Parę razy próbowałam coś dla niej zrobić, ale zawsze wyrzucała mnie z domu i mówiła, że bym się nie mieszała w jej życie. Nie za bardzo się tym wszystkim przejąłem. Obym ja tak mógł dożyć osiemdziesięciu trzech lat i wciąż zachować jakieś złudzenia. Nawet takie głupie: że znajdę sobie jeszcze narzeczoną, ożenię się i uwierzę w miłość. Że ten cały głód i nędza kiedyś wreszcie się skończy.

WIELKIE, UDUCHOWIONE ISTOTY

Ten mój Meksykanin był ezoterykiem i długie tygodnie spędzał w Tepoztlan. Mówił, że ludzie z całego świata jeżdżą tam tylko po to, by się naładować kosmiczną energią. Powiedziałem mu, że byłem kiedyś w Tepoztlan i niczego specjalnego nie poczułem. Tak to jest odpowiedział. Tu nie chodzi o to, czy coś jest naprawdę wysyłane, tylko żebyś umiał to przyjąć. Facet przyjechał do Hawany prosto z Tepoztlan. Przyszedł do mnie do domu (to znaczy do tej mojej rudery na dachu ośmiopiętrowego budynku, z ohydnyim wspólnym kibelem dla pięćdziesięciu osób) i przyniósł mi list od takich moich przyjaciół z Morelii. Pogadaliśmy przez chwilę. Powiedział, że nie ma za dużo pieniędzy, i w końcu wylądował u mnie na kilka tygodni. Sprawiał rzeczywiście wrażenie skromnego i raczej biednego faceta, choć czasem faktycznie nie mogłem opędzić się od myśli, że jego rodzice to jakieś bogate skurwysyny, a on sobie dla fantazji wybrał takie życie. Po południu zwykle siadał w pozycji jogi i medytował; resztę dnia spędzał na czytaniu albo na nieśpiesznych spacerach wzdłuż morza po Malecónie. Jadał tylko żytni chleb i popijał go herbatką z ziół, które sam sobie nazbierał na zboczach ogromnej skalistej góry nad Tepoztlán. I tak sobie żył. Fajnie mieć takiego współmieszkańca: młodego i milczącego ezoteryka, który sam sobie załatwia jedzenie i w niczym nie komplikuje ci życia. Dlatego właśnie pozwoliłem mu tak długo u mnie mieszkać. Spał na podłodze, na której rozkładał sobie taki indiański kolorowy koc. Zupełnie mu nie przeszkadzały karaluchy, które wychodziły ze wszystkich kątów i w najlepsze dokazywały po całym mieszkaniu, gdy tylko zgasiło się żarówkę. Mówił, że tak powinno być. Miał całą swoją teorię na temat pokojowego współlistnienia. Raz mi tłumaczył, że kiedy medytując, wznosi się do bety (albo do alfy, nie pamiętam), czuje pozytywną wibrację dochodzącą do niego od tych stworzeń. Facet nie był zbyt rozmowny. Kiedyś mi coś tam mówił o potrzebie wyciszenia się, o koncentracji, o wewnętrznej energii, ale ja nie zwracałem na to specjalnej uwagi, bo nie mogłem przecież sobie pozwolić na żadne wyciszenie, medytowanie czy koncentrację. Z samej energii wewnętrznej nie będę miał pieniędzy ani żarcia. Wtedy właśnie rozwijałem interes z puszkami po piwie. Zbierałem je po wszystkich śmietnikach na Miramarze, a zwłaszcza w pobliżu zagranicznych biur i ambasad. Czasem za jedno przedpołudnie miałem i dwieście takich puszek. Żeby pozbyć się wieczek, szorowałem wierzchem każdej o beton na tarasie, a potem sprzedawałem je na wagę w lodziarniach, gdzie robili ohydne śluzowate lody z grejpfruta, prawie bez cukru, ale ludzie i tak stali po nie godzinami w kolejce. Lodziarze kupowali ode mnie te puszki, bo nie mieli nawet papierowych kubków, a klienci byli zachwyceni, że w ogóle są lody. W latach dziewięćdziesiątych w całym kraju nie było nawet wody do picia. Brakowało wszystkiego. Był tylko głód i bieda. W Hawanie i tak żyliśmy lepiej, bo zawsze dało się pokombinować. Tak jak jaz tymi puszkami. Ludzie patrzyli na mnie ze wstrętem, kiedy nurkowałem w śmietnikach. Parę razy przyczepili się do mnie inspektorzy ze służby sanitarnej. Że puszki są brudne, że może się to skończyć epidemią i tak dalej. Nie dyskutowałem z nimi. Znudzili mnie dyskusje, bo wiem, że na koniec i tak

mi skopią dupę. Nie dyskutuję z nikim, tylko od razu rżnę głupka, takiego półmongoła, i wtedy zwykle dają mi spokój. Czasami myślę, że dla biednego najgorzej być inteligentnym. Najlepiej ma idiota. Przynajmniej taki trochę idiota, i jeśli do tego jest twardy. (Inteligentny biedak jest świetnym materiałem na potencjalnego samobójcę albo na przyszłego bojownika światowej rewolucji. Albo na obu naraz). Nie wolno mu się skarżyć. Nic nie da płacz, narzekanie czy współczucie. Nie warto rozczulać się nad sobą ani nad innymi. Trzeba być bezlitosnym dla wszystkich. To wymaga treningu, ale jest osiągalne. Dadzą człowiekowi w dupę, parę razy kopną go w jaja i nauczy się, że powinien być trochę bardziej twardy. Iść zawsze do przodu i jakoś sobie radzić. Nie ma innej możliwości. No bo jak żyć inaczej? I tak nam leciało. Ja miałem swoje zajęcie z puszkami, a Meksykanin stawał się coraz większym ezoterykiem. Najbardziej fascynowało go morze. Czasem wieczorami wychodziliśmy na taras, siadaliśmy na murku i wtedy mówił mi, że musi nauczyć się przechwytywać energię nad brzegiem oceanu (nigdy nie używał słowa morze, ludzie z kontynentu patrzą na wszystko w innej skali). To duża różnica, czy przyjmuje się dary Kosmosu na szczytach skalistych gór czy nad ciepłą, niebieską i bezkresną płaszczyzną Morza Karaibskiego. Wreszcie wyjechał, żeby spędzić kilka dni na plaży. Chyba wynajął sobie jakiś domek w Santa Maria. Powiedział mi, że potrzebuje trochę postu i medytacji na plaży w jakimś ustronnym miejscu, gdzie nikt mu nie będzie przeszkadzał. W ogóle nie dyskutowałem z nim o tym, powiedziałem mu tylko: Rób, co chcesz, ale wykitujesz na tym swoim chlebie i ziółkach. Zanim wyjedziesz, zjedz coś porządnego. Naprawdę nie lubisz ryżu z fasolą? Uśmiechnął się pobłaźliwie, uściśnął mi rękę i poszedł. Wrócił po czterech dniach. Przyprowadził bardzo fajną i wesołą Mulatkę o idealnym ciele. Mówiła, że ma szesnaście lat, ale wyglądała na dużo bardziej doświadczoną. Oho, koniec z ezoteryzmem pomyślałem. I rzeczywiście. Dziewczyna nazywała się Grace. Dopiero później przyznała się, że tak naprawdę ma na imię Greis, a nie Grace. Pokazała mi swój dowód osobisty, który zawsze nosiła przy sobie, bo u nas policja dwadzieścia razy na dzień żąda go od czarnych, zwłaszcza gdy wyglądają na kurwisonów. Facet przyniósł torbę, a w niej były dwie butelki rumu, ser, czekolada i kilka puszek szynki konserwowej. Skończyło się wyciszenie, ziółka i żytni chleb. Grace poszukała jakiejś salsy w radiu, otworzyliśmy butelkę rumu i po godzinie wszyscy troje byliśmy w wyśmienitych humorach. Grace tańczyła ze mną i coraz bardziej rozwiązywał się jej język. W pewnym momencie szepnęła mi do ucha: Ach, gdyby ten dureń ożenił się ze mną i zabrał mnie stąd jak najszybciej... Przedtem poprosiła mnie, żebym jej przygotował jakąś kanapkę z szynką i serem. Sama nie chciała tego zrobić, bo facet mógłby pomyśleć, że jestem interesowna, a ja naprawdę umieram z głodu. Dziewczyno, nie gadaj. Jak możesz wyjść za tego idiotę? Nie widzisz, że to jakiś nedorobiony półgłówek? Wiem, on nawet nie umie się pieprzyć, ale go ucze. Najgorsze, że ma strasznie małego ptaszka. Prawie go nie czuję. Ale to nieważne. Grunt, że się ze mną ożeni. Już mi to obiecał. On się naprawdę zakochał! On? Niemożliwe! Jak ty to zrobiłaś? Mam parę sposobów, żeby facet oszalał. Dałam mu wsadzić w każdą dziurę. Swoją drogą ja zawsze gdy zobaczę kutasa, to dostaję bzika. Strasznie mi się podobają kutasy, może nie wszystkie, ten jego na przykład nie bardzo, ale robię to przez rozum. Skończyliśmy butelkę i wtedy Grace zaproponowała, żebyśmy poszli do niej do domu. Przedstawi nas swojej matce, zaprosi jeszcze jakąś przyjaciółkę, a wracając, dokupimy trochę jedzenia i picia na wieczór. Grace mieszkała niedaleko. Na ulicy Industria, w takim niezbyt dużym domu. Jej mieszkanie było jeszcze mniejsze od mojego: malutki pokój, trzy na cztery, wszędzie pełno gratów i gipsowych figurek. Po drewnianej drabinie wchodziło się na antresolę, gdzie była zaimprovizowana sypialnia Grace i jej matki: grubej i dobrodusznej Murzynki, która pracowała w pizzerii i przyjęła nas, jakbyśmy byli autentycznymi VIPami. Meksykanin przykleił się do Grace i nie dawał jej spokoju. Cały czas obłapywał ją jak ośmiornica. Wpieprzają mnie takie palanty. Ale cóż zrobić? Niestety, na świecie palantów jest od cholery. Wreszcie Grace udało się na chwilę odczepić od zaślinionego Meksykanina. Przeszła po kilku sąsiednich mieszkaniach. Od czasu do czasu wołała mnie, żebym się pokazał w drzwiach. Jej przyjaciółki patrzyły na mnie, coś tam szeptały między sobą lecz w końcu żadna do mnie nie podeszła. Kurwa, nie jestem aż taki brzydki, więc nie wiem, co się stało. Postanowiliśmy wrócić do mnie, choć ta gruba matka Grace proponowała Meksykaninowi, że może z jej córką przenocować u niej: Gdybyście chcieli tu zostać, to bardzo proszę. Ja się przeniosę obok, do mojej kумы, więc będzie wam wygodnie. Stara miała tylko jeden cel: za wszelką cenę chciała wysłać Grace do Meksyku, choćby do burdelu, a potem się spokojnie w domu i czekać na dolary. Jestem pewien, że po naszym wyjściu złożyła ofiarę ubranej na żółto Ochón, która drwiącym wzrokiem przyglądała się nam z kąta, zawsze gotowa, by przy takich okazjach pomagać ludziom swą kurewską władzą. Kiedy byliśmy już na ulicy, Grace powiedziała: Jeśli chcesz sobie podymać, musisz znaleźć jakiegoś Murzyna, bo coś dzisiaj nie masz szczęścia do dziewczyn. Wtedy właśnie nadeszła jeszcze jedna jej przyjaciółka. Błada, chuda, spocona, w brudnej sukience, a na dodatek skórę miała matową i pokrytą białymi plamami. Była obrzydliwa. Grace poszeptała z nią chwilę. Dziewczyna przyjrzała mi się i powiedziała, żebyśmy poczekali na nią to pójdzie się umyć. Za parę minut wróciła, lecz dalej wyglądała tak samo. Chyba nie miała mydła. Trudno. Pomyślałem, że jeśli całą noc mam sobie sam trzepać ko-

nia i słuchać, jak Grace rżnie się z Meksykaninem, to wolę mieć choćby i taką flejtuchę. Poszliśmy do hotelu Deauville. Podczas gdy Grace i Meksykanin robili zakupy w dolarowym sklepie, Mercedes i ja czekaliśmy na Malecónie. Prawie nie rozmawialiśmy, bo Mercedes była w fatalnym humorze. Powiedziała, że właśnie wróciła z Diezmero, gdzie miała odebrać jakieś pieniądze, ale w końcu jej nie zapłacili. Do tego jeszcze pokłóciła się z rodziną. Nie mam ani peso i cholera wie, kiedy będę miała. Do dupy jest to życie. Wiedziałem, o co jej chodzi, ale udawałem, że nie rozumiem. Chuda, brudna, zła, z jakąś paskudną egzemą i jeszcze chce pieniędzy. To raczej mnie powinna zapłacić. W tym właśnie momencie z hotelu wyszły nasze dwa gołąbki. Z dwiema wypchanymi torbami. No to fajnie. Przynajmniej dziś wieczór zapomnę o ryżu z fasolą i zjem coś porządnego. Wróciliśmy do mnie. Puściliśmy muzykę, otworzyliśmy rum, a Meksykanin powiedział, że zrobi omlet na szynce. Nie pozwalał, by Grace choć na krok odchodziła od niego, ona jednak urwała się na chwilę i podeszła do nas, żeby nas podkręcić. Nachyliła się nade mną i powiedziała mi do ucha: Mercedes jest dzisiaj nie w sosie, bo pożarła się ze swymi kuzynami, ale daj jej trochę rumu, to jej przejdzie. Jak sobie łyknie, to się pierdoli z każdym. Wtedy jest jej wszystko jedno: czarny, stary, gruby... Mówię ci, daj jej rumu i zobaczysz. Słuchaj, co ty mitu pieprzysz? Ja nie jestem ani czarny, ani stary, ani gruby. Co to ma w ogóle znaczyć? Ale nie jesteś cool, popatrz na siebie do lustra... Która dziewczyna dałaby ci dzisiaj dupy? Chyba ślepa. Ha, ha, ha! Pomyśl lepiej, komu ty dajesz dupy. Ten twój głupek to niby co? Głupek, nie głupek, ale będę sobie potem żyła w Meksyku, a ty dalej tu, biedaczku... Powiedziała to niby żartem, ale chyba nie do końca. Mercedes tymczasem wyszła na taras i patrzyła z góry na ulicę. Było już prawie ciemno. Wyniosłem jej trochę rumu, a potem chleb z serem i kawałek omletu. Próbowałem z nią porozmawiać, potańczyć, rozruszać ją. Minęła godzina. Wypiła ileś tam szklaneczek rumu, zjadła, co się dało, i nic. Była uparta jak muł. Nie chciała gadać, nie chciała tańczyć, nie dawała się w ogóle dotknąć. Tymczasem Grace rozgrzała już Meksykanina i teraz właśnie rżnęli się na moim łóżku. Żeby nie tracić czasu, wszedłem do pokoju i trochę się pomasturbowałem. Nie zauważyli mnie, bo byli pijani, a do tego przesadne jęki i stękania Grace zagłuszały wszystko. Wróciłem na taras do Mercedes. Teraz byłem już naprawdę napalony. Zawsze taki jestem po rumie i gdy się pobawię kutasem. Objąłem Mercedes i przyciągnąłem do siebie. Jej włosy śmierdziały brudem, ale nie przeszkadzało mi to specjalnie. Chodziło mi tylko o jedno: potrzebowałem po prostu jakiegokolwiek dziury. Byłem gotów przelecieć ją Grace albo Meksykanina. Albo wszystkich troje. Merci, chodź do środka. Grace już się tam pieprzy z tym swoim Meksykańcem. Słyszysz chyba, nie? Słyszę. Ich sprawa. Niech się pieprzą. Oj, dziewczyno, ciebie to w ogóle nie bierze? No chodź, nie bądź taka. Natarłem na nią od tyłu biodrami, żeby poczuła, jak sterczy mi laska. Nie, nie. Spadaj! Nie mam ochoty. Odepchnęła mnie. Słuchaj, ja już od godziny łażę za tobą i czego ty właściwie chcesz? Już ci powiedziałam. Żebyś się odwalił. Ty chyba nie mówisz tego poważnie? Nie? A niby dlaczego? Po prostu mówię, żebyś się odwalił. Przedtem nie byłaś taka mądra! Najeść się, napić, nasepić, to proszę bardzo, a teraz można robić fochy! Ty skurwysynu! Ty to nie sępisz, skąd! Wszystko kupił Meksykanin, ciebie to nic nie kosztowało! Nie bądź taki łaskawca! A co cię to, kurwa, obchodzi? To jest mój dom! Strzeliłem ją dwa razy w twarz. Spierdalaj, i to już, bo jak jeszcze raz przyłożę, to ci zęby przez dupę wylecą! Próbowała mi oddać, więc walnąłem ją mocniej. Odgłosy tej naszej bijatyki sięgnęły na taras sąsiadów. Wybiegli też Grace i mój Meksykanin, oboje półnaczy. Grace zaczęła bronić Mercedes. Odepchnąłem ją i z wrzaskiem upadła na taras. Wmieszał się Meksykanin, coś tam pieprzył o szacunku dla kobiet i też chciał się bić, więc dostał parę razy w ryj. Sąsiedzi mnie dopingowali: Brawo, Pedro Juan! To był nokaut! Jeszcze, przyładuj mu! Świetnie się bawili, ale ja naprawdę byłem wściekły. Złapałem Mercedes i Grace i wywlokłem je na schody. Jazda stąd! Kurwić się możecie w burdelu! Zapinając spodnie, przyleciał za mną Meksykanin. Próbowałem go zatrzymać: Słuchaj, zostaw te kurwy. Niech sobie idą. Ty nie masz wstydu, Pedro Juan! Gnojek z ciebie! Jeszcze tego pożałujesz! Stary, ty nie wiesz, w co się wpakowałeś. Te kurwy zrobiły cię w konia. Ciesz się, że masz z głowy to gównno. Pożałujesz. Jeszcze pożałujesz! I poszedł. Wróciłem do mieszkania. Zamknąłem drzwi, żeby zniechęcić sąsiadów, którzy wciąż jeszcze stali na tarasie. Usiadłem, nalałem sobie rumu i zapaliłem papierosa. Minęło pół godziny i usłyszałem łomotanie do drzwi. Meksykanin i dwóch policjantów. Facet przyszedł po swoje rzeczy. Zabrał wszystko, nawet jedno jajko, które zostało po kolacji, i butelkę z resztką rumu na dzień. Kiedy skończył się pakować, gliniarze zażądali, żebym poszedł z nimi na komisariat. Podobno sam komendant chciał mnie przesłuchać. Na komisariacie Meksykanin, któremu po rumie trochę plątał się język, oskarżył mnie, że tymi moimi puszkami stwarzam zagrożenie epidemiologiczne i że jestem kontrrewolucjonistą. Ma pan na to jakieś dowody? zapytał komendant. Zbiera puszki po śmietnikach, a potem je sprzedaje jako opakowania na żywność. To jest poważne wykroczenie przeciwko zdrowiu innych obywateli. Poza tym jest kontrrewolucjonistą bo kiedyś mi tłumaczył, że na Kubie żyje się ciężko i ludzie nie mają co jeść. To wszystko? No dobrze. Puszki nas nie interesują to sprawa służb sanitarnych. A jeśli chodzi o ten drugi zarzut, to brakuje nam jedzenia. Jak długo jest pan w tym kraju, co pan tu robi i w którym hotelu pan mieszka? przecież wszyscy wiedzą że na Kubie jest teraz

kryzys i że często Jestem na Kubie od trzech tygodni i przyjechałem w celach turystycznych. Mieszkam, a raczej mieszkalem u tego faceta, ale to kontrrewolucjonista i zagraża zdrowiu publicznemu. Powinniście go arestować. Nie tak prędko. Teraz posłuchamy jego. Może nam pan wyjaśnić, o co tutaj chodzi? Opowiedziałem mu wszystko ze szczegółami. Kazał Meksykaninowi wyjść. Grace i Mercedes to okropne dziry powiedział Z nimi są zawsze problemy. Facet się wyraźnie rozluźnił. Pogadaliśmy jeszcze przez chwilę. Ten Meksykanin wygląda mi trochę na pedała. Nie wiem, ale jest jakiś dziwny. Miałeś rację, stary. Jak można przyjść do faceta najeść się, napić, a potem żegnać i hop do łóżka z innym? Ja bym zrobił tak samo, tylko że jakbym przyłożył, nie skończyłoby się na paru siniakach. Dobra, możesz iść, tylko na przyszłość unikaj takich konfliktowych ludzi. Spokojnie zbieraj te swoje puszki. Nie spotkałem już więcej ani Meksykanina, ani tych dwóch dziewczuch. Minęły trzy lata i dalej ciągnę interes z puszkami. Nawet nieźle mi idzie.

SAM, NIE PODDAJĄC SIĘ

Martica zaczęła się robić histeryczką. Już od dawna nie miała ze mną orgazmów i coraz bardziej głupiała. Nie przychodziła już do mnie. Nigdy się jej specjalnie nie podobałem, ale cóż, w końcu sam do niej poszedłem. Nie widzieliśmy się już od dobrych kilku dni, a ja źle znoszę samotność, zwłaszcza seksualną. Przyjęła mnie bardzo chłodno i zrozumiałem, że właściwie od razu powinienem się pożegnać. Problem był tylko taki, że ilekroć ją widzę, zaraz staje mi laska. Teraz też tak było. Skorzystałem, że byliśmy sami, rozpiąłem spodnie i wyciągnąłem na wierzch kutasa. Pomyślałem, że jak go zobaczy, to może się napali. Mam bardzo fajnego kutasa: jest gruby, ciemny, długi na sześć cali i z różowym pulsującym czubkiem. A dokoła kupa czarnych włosów. Naprawdę lubię tę swoją twardą muskularną i zawsze gotową laskę. Torbę z jajami też mam imponującą. Ale cóż z tego? Martica znów zaczęła histeryzować: Schowaj to, Pedro Juan! Zaraz dziecko może tu przyjść i co ja mu powiem? Wstydu nie masz! Schowaj to zaraz! Byłem uparty i nie rezygnowałem. Podszedłem do niej, ściskając w rękę kutasa. Odskoczyła jak oparzona. Po chwili jednak przybrała w miarę rozsądny wyraz twarzy i wykonała ręką parę uspokajających gestów. Proszę cię, Pedro Juan, opanuj się. Wiem, że ci się podobam, że masz na mnie ochotę, ale ja ciebie nie chcę. Opanuj się. Schowaj to, idź sobie i więcej tu nie wracaj. Martica, musimy porozmawiać. Na spokojnie wszystko da się jakoś wyjaśnić. Schowałem kutasa do spodni i zasunąłem zamek. Nie, tu nie ma nic do wyjaśniania. Nie próbuj się już do mnie dobierać. Pedro Juan, ja po prostu nie lubię facetów! Jak ci to mogę jaśniej powiedzieć? Nie lubię facetów kurwa nie lubię facetów! A teraz spadaj i raz na zawsze się ode mnie odpierdol. Te wasze kutasy mnie brzydzą. Byłem zdruzgotany. Domyślałem się tego, ale mam taki głupi zwyczaj, że udaję Greka, kiedy wolę o czymś nie wiedzieć. Do czasu, bo w końcu to coś wali mi się na głowę i wtedy jest już na ogół za późno. Zebrałem się jeszcze jakoś i spytałem: Masz kogoś? Tak. Jestem z taką dziewczyną. Bardzo mi się podoba. Pocałuję ją i już dochodzę. Dotykam jej uda i mam pod rząd trzy orgazmy. Ona jest boska. Nie cierpię kutasów. Zawsze kiedy ci dawałam, musiałam myśleć o jakiejś kobiecie. No więc teraz bardzo cię proszę, idź sobie i daj mi spokój! Dobrze, idę już. No to na razie! Nie, nie na razie. Na zawsze. Nie chcę cię więcej widzieć. Wyszedłem i właściwie nie bardzo wiedziałem, dokąd chcę iść. Kiedyś Martica opowiedziała mi swoją historię. Takie rzeczy zdarzają się wielu kobietom, które jednak potem nie stają się lesbami. Martica urodziła się w takim małym miasteczku w Villa Clara. Miała ojczyma, który przez całe lata się do niej dobierał. Ciągłe próbował ją zgwałcić. Matki to nie obchodziło. Mówiła, że Martica go prowokuje. Dom stał się dla niej piekłem, więc gdy skończyła szesnaście lat, wyszła za męża, żeby się stamtąd wyrwać. Lekarstwo okazało się gorsze od choroby. Była dziewczicą aż do nocy poślubnej i wtedy przekonała się, że ten jej facet jest prawdziwą bestią. Miał dwadzieścia sześć lat i był to taki głupi wiejski ogier, który chciał pokazać, co potrafi. Przez kilka godzin rznął ją bezlitośnie i wpychał kutasa w każdą dziurę. Żadnej czułości, nic. Gdy zobaczył krew, jeszcze bardziej go wzięło. Ona płakała z bólu i upokorzenia, a on pił rum i nieubłaganie wciąż mu stała laska. Był to dla niej szok, tym bardziej że matka jej mówiła, jak się powinna zachować wobec męża. Miała być uwodzicielska, miła, kochająca. Ona to wzięła bardzo poważnie. Po ślubie pojechali do hotelu, gdzie mieli wynajęty pokój. Zamknęła się w łazience. Zrobiła sobie kąpiel. Wyperfumowała się i wymalowała. Włożyła czerwoną bieliznę, bardzo sexy, i kiedy wreszcie wyszła z łazienki, nieśmiała i wystraszona, facet ryknął śmiechem: Ha! Ale się wypindrzyłaś! Wyglądasz jak idiotka! I jak prawdziwa kurwa! Był pijany i wykorzystał to, żeby zmieszać ją z błotem. Wyśmiał ją, obrzucił wyzwiskami i podarł jej całą bieliznę. Potem zaczęła się orgia. Po dziewięciu miesiącach od tamtej nocy Martica urodziła córeczkę, a jej małżonek postanowił tymczasem przelecieć wszystkie kobiety z całej dzielnicy. Wszystkie. Najbardziej go pociągały mężatki. Wyglądał jak typowy latin loyer: złoty łańcuch na szyi, złotosrebrna bransoletka na prawym przegubie, takie same spinki, a do tego jeszcze białe spodnie i buty. Zabójczo przystojny uwodziciel, taki modelowy tropikalny kochanek o inteligencji rozplodowego byka. Dwie dziewczyny z sąsiedztwa zakochały się

w nim jak durne. Zaszły w ciążę i w ten sposób facet dorobił się dwójki nieślubnych dzieci. Martica z trudem znosiła to przez parę lat. Wreszcie nie mogła. Rozwiodła się. Wzięła córkę i wyjechała do Hawany. Zatrzymała się u swojej ciotki, starej i zgorzkniałej kobiety, która mieszkała sama. Ciotka była jak kwas zbyt żrąca, by z nią wytrzymać dłużej. Martica już była gotowa się poddać i wrócić do tej swojej zapyziałej mieściny, kiedy ciotka nagle zmarła na rozległy zawał. Alleluja. Po śmierci ciotki Martica odżyła. Wróciłem do mojej nory na tarasie, a właściwie na płaskim dachu siedmiopiętrowego budynku. W Hawanie Centrum. To niezłe miejsce. Najgorsi są tylko sąsiedzi i wspólna ubicajka. Ohydny kibel z umywalką jeden na pięćdziesięciu lokatorów, oczywiście, w teorii, bo tych ciągle przybywa. Większość z nich jest z Oriente, bo ludzie stamtąd ściągają do Hawany całymi stadami. Uciekają przed biedą. Facet na przykład wstępuje do policji w Guantanamo i od razu go przenoszą do Hawany (w Hawanie nikt nie chce być gliniarzem). Razem z nim przyjeżdża cała rodzina i gnieźdzą się wszyscy na kupie w malutkim pokoiku, cztery metry na cztery. Nie wiem, jak to robią ale jakoś im się udaje. Nic więc dziwnego, że nasz wspólny kibel jest zawalony gównem aż po sufit. Dziennie sra tu, sikaj myje się co najmniej dwieście osób. Zawsze jest kolejka. Choćbyś miał narobić w spodnie, nie przepuszczą cię, musisz odstać swoje. Niektórzy na przykład ja nie stoją. Ja zawsze wolę się wysrać na gazetę, zwinąć ją i wyrzucić pakunek na dach sąsiedniego budynku, który jest trochę niższy. Albo na ulicę. Wszystko jedno. To okropne, ale cóż zrobić. Człowiek jest czasem w różnych sytuacjach i powinien się umieć do wszystkiego przystosować. Dość zdołowany usiadłem na łóżku. Było już prawie ciemno i w miarę cicho. Na półce przed sobą miałem trochę drobiazgów, ot, takie różne pamiątki: kamyczki, muszelki, popielniczki, monety, gliniane figurki i pojedynczą obręcz z kajdan. Dawno temu znalazłem ją na pół zakopaną w czerwonej ziemi na po lach trzciniowych pod Matanzas. Kawał kutego żelastwa, które kiedyś ścisnęło nogę jakiegoś Murzyna przywiezionego z Afryki. Biednego niewolnika, którego batem zapędzono do ścinania trzciny. Nikt nigdy się nie dowie o nim ani o jego cierpieniu na tamtych ogromnych polach pod Matanzas. Poczulem nagle jakby czyjaś obecność i zadrżałem. Nie miałem ochoty na tego typu towarzystwo. Żeby się otrzeźwić, wylałem sobie trochę alkoholu na głowę. Wziąłem tę żelazną obręcz, wyszedłem na taras i rzuciłem ją jak najdalej od siebie. Było już po zmroku, więc nie widziałem, gdzie spadła. Znów zmoczyłem sobie głowę rumem. Teraz już byłem sam. Powietrze wokół mnie stało się jakby rzadsze. Sporo mnie kosztowało pogodzić się z samotnością. To nie tak łatwo nauczyć się być samowystarczalnym. Wciąż uważałem, że to niemożliwe. Że to po prostu nieludzkie. Tyle razy mi przecież powtarzali: Człowiek jest istotą społeczną. Do tego jeszcze tropikalny upał, moja łaćńska krew i nieprawdopodobne pomieszanie ras. To wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie, oplątało mnie jak sieć i uczyniło kompletnie niezdolnym do samotności. To był mój problem, a równocześnie wyzwanie: musiałem nauczyć się żyć i cieszyć się życiem wewnątrz samego siebie. Sprawa nie jest taka prosta: narody o tysiącletnich kulturach Hindusi, Chińczycy, Japończycy przez całe wieki rozwijały filozofię i obmyślały techniki wewnętrznego życia. A jednak co roku tysiące ludzi przygniecionych samotnością popełnia samobójstwo. To nie jest tak, że ktoś sam wybiera samotność. Niezauważenie z każdym dniem wszyscy stajemy się coraz bardziej samotni. I nie ma na to rady. Trzeba się tylko nie poddawać. Wchodzisz na bezkresną pustynię i nie wiesz, kurwa, co robić. Przeważnie wtedy myślisz, że najlepiej byłoby uciec. Do innego kraju, do innego miasta, gdziekolwiek. Nie możesz jednak uciec jesteś w pułapce. Czasem ci się wydaje, że nie powinieneś myśleć za dużo o sobie ani o tej swojej cholernej samotności, która staje się tym bardziej dolegliwa, im więcej jej poświęcasz uwagi. No więc dobrze, trzeba działać i nie myśleć tyle. Bierzesz się w garść i idziesz. Szukasz jakiegoś przyjaciela albo kobiety, która by ci dała trochę seksu. Nie wiem. Kogokolwiek, byłeś tylko nie musiał być sam, bo już wiesz, że w samotności nawet rum i marihuana dołują cię jeszcze bardziej. Więc może trochę seksu. Albo przynajmniej ktoś, z kim dałoby się porozmawiać.

Tak sobie myślałem o tym i nagle zerwałem się na równe nogi. Roześmiałem się. Na całe gardło. Głośny, szczerzy śmiech bez powodu to znakomity środek tonizujący. Zawsze skutkuje. A jeśli uda mi się tak pośmiać kilka minut, na zewnątrz i od środka, to jeszcze lepiej. Idę pomyślałem. Idę poszukać przyjaciela.

Zszedłem po schodach. Nasz dom jest z 1936 rokuj w swoich dobrych czasach przypominał owe imponujące gmachy z Bostonu albo Filadelfii, w których zwykle się mieszczą jakieś solidne i sprawnie działające banki. Właściwie jego fasada do dziś zachowała się w całkiem dobrym stanie i budzi zachwyt turystów, którzy zawsze chętnie ją fotografują. Widziałem zresztą jej zdjęcia w jakichś pismach. To obłądny widok, zwłaszcza gdy szaleje sztorm: szaroniebieska poświata jak zwykle podczas cyklonu, morze wściekle szturmujące Malecón i nasz budynek w kłębach piany. Majestatyczny, mocny i starodawny zamek, który zwycięsko opiera się huraganowi. W środku jednak wszystko się sypie. Wnętrze naszego domu to nieprawdopodobny labirynt zrujnowanych schodów bez poręczy i ciemnych, ciasnych korytarzy śmierdzących stęchlizną gównem i karaluchami. Malutkie klitki mieszkań, a do tego ciągle bójki i awantury między Murzynami. Wszedłem na ulicę i zobaczyłem przed sobą stary, brudny i prawie już nieczytelny napis: Rewolucja bez ryzyka nie jest praw-

dziwą rewolucją. Zaryzykuj, bądź rewolucjonistą! Nie było podpisu pod tym hasłem, wyglądało jednak na złotą myśl Fidela albo jego brata Raula. Za rogiem był inny billboard, tym razem całkiem nowy: czarny sportowiec skacze na tle błękitnego nieba. Niżej ogromne litery krzyżały: Kuba, kraj ludzi na poziomie. Nie wiem. Nie było to zbyt zrozumiałe.

Pomyślałem, że zobaczę, co robi Hugo. Dawno się już z nim nie widziałem. Musiałem przejść kawałek na piechotę, poczekałem na autobus, potem przesiadłem się do jeszcze jednego. No dobrze, w końcu jakoś dotarłem. Hugo mieszkał na Cerro, prawie już za Hawanę gdzie diabeł mówi dobranoc. Nikt go tam nie odwiedzał. Kiedyś był technikiem w telewizji i bardzo się przyjaźniliśmy. Później ja wyjechałem i na jakiś czas straciliśmy kontakt. Gdy znów się spotkaliśmy, był już kompletnym wariatem po całej serii elektrowstrząsów i na różnych prochach, które musiał brać kilka razy dziennie. Hugo był cholernie inteligentnym facetem, ale z pewną obsesją, ato jest zabójcza mieszanka. Na jego twarzy i w oczach widać było ślady tych elektrowstrząsów. Wciąż opadały mu powieki. Jeszcze raz musiałem wysłuchać historii o jego szefie, który zaczął zatruwać mu życie, gdy się dowiedział, że cała jego rodzina jest w Miami. Ciągłe łąził za nim, by go przyłapać jakimś naruszeniem regulaminu. Co rusz i bez żadnego powodu ostrzegał go: To jest socjalistyczny zakład pracy i u nas nie ma miejsca dla kontrewolucjonistów. Hugo nie mógł spać po nocach, bo ciągle śnił mu się ten facet. W końcu nie wytrzymał. Po którejś z takich prowokacji rzucił się na niego ze śrubokrętem i wybił mu oko. Zamknęli go w celi z dwoma czarnymi kryminalistami i wtedy do reszty oszalał. Całymi dniami wył i toczył pianę z ust. Przewieźli go do psychiatryka i rąbnęli prądem. Siedem lat spędził tam na elektrowstrząsach.

No więc Hugo nie mógł pić rumu, aja potrzebowałem jakiegoś kumpla do kieliszka. Poza tym strasznie się wzburzył, gdy opowiadał swą historię. Zawsze tak było, gdy go odwiedzałem. W godzinę wypalił dwadzieścia papierosów. Wyszedłem. Cóż mogłem innego zrobić? Tylko pójść i zostawić go w spokoju. Sam już miałem dość. Pomyślałem sobie, że już go więcej nie odwiedzę.

Byłem głodny i bez pieniędzy o dwunastej w nocy w Hawanie w 1994 roku. Na ulicach było prawie pusto. Szedłem powoli i nie śpiesząc się. Powinienem się położyć. Potrzebowałem tego. Spory kawałek Malecónu był ciemny. Wyłączyli latarnie. Na murku nad brzegiem morza dwie dziewczyny całowały się zapamiętale. Przyssały się do siebie i nic więcej ich nie obchodziło. Popatrzyłem na nie przez chwilę w półmroku, ale nie zatrzymałem się. Cholera, dzisiaj jest Gay Day czy co? Przeszedłem obok. Pięć metrów dalej jakiś Murzyn gapił się na te dwie babki i trzepał sobie konia. Stał twarzą do morza i tyłem do przechodniów, lecz widać było, jak jego ręka rytmicznie się porusza. Następne kilka metrów i na murku siedziała kolejna dziewczyna. Biała i całkiem ładna. Patrzyła na Murzyna jak zafascynowana. Była wyraźnie napalona. Wierciła się niespokojnie i co chwila przesuwiała się kawałek w jego stronę. Wyglądało, że prędzej czy później dokona abordażu i wtedy oboje będą mieli frajdę.

Nie wzięło mnie to. Nie dałem się. Muszę nauczyć się sposobu na przetrwanie. Na przeżycie. Muszę nauczyć się przyjmować ciosy i natychmiast wstawać po każdym. Inaczej mnie wyliczą i przegram. Wyniosą mnie z ringu.

PEWNEGO DNIA MIAŁEM JUŻ DOŚĆ

Rano na ulicy znaleziono zabitą kobietę. Piękna wysoka Mulatkę w kusej, czarnej spódnicy, w białym staniku i w białej, przesiąkniętej krwią bluzce. Dokoła na chodniku też było pełno krwi. Ludzie mówili, że zdradzała męża. Facet w końcu nie wytrzymał i zadźgał ją nożem. Po tej ilości krwi widać było, że wpadł w prawdziwą furję. Na twarzy kobiety zastygł wyraz strasznego bólu, a usta i nos miała zmasakrowane od uderzeń pięścią.

To było zwykłe zabójstwo w afekcie. Takie rzeczy wszędzie się zdarzają u nas jednak nie wolno o nich pisać. Od trzydziestu pięciu lat w gazetach nie może być żadnych niepokojących i nieprzyjemnych informacji tego typu. U nas wszystko jest zawsze OK. W naszym wzorowym społeczeństwie nie ma zbrodni ani żadnych innych brzydkich i niemiłych Spraw. Ale człowiek musi wiedzieć. Jeśli nie dostajesz pełnej informacji, nie możesz myśleć, mieć swego zdania, decydować. Zmieniasz się w głupek, który jest gotów uwierzyć we wszystko. Właśnie dlatego rozczarowałem się do dziennikarstwa i zacząłem pisać te moje ostre i okrutne rzeczy. We wrednych czasach nie da się pisać łagodnie. Nie można tworzyć subtelnych tekstów, gdy rzeczywistość dokoła jest tak brutalna. Moje pisanie ma drażnić i zmuszać innych, by powąchali gówno. Niech poczują ten smród. W ten sposób nastraszę tchórzy, a tym, którzy chcieliby nas zakneblować, napsuję trochę krwi.

Nie mogłem dłużej milczeć. Miałem już dość pisania bzdur w zamian za jakieś rzucane mi z łaski ochłapy. Zbyt rygorystyczne były dla mnie reguły tej gry, w której mogłem mówić tylko tak. Uznałem, że nie warto. Wypiąłem się na to wszystko i zacząłem pisać brutalną prawdę. Niech moje teksty będą nagie i bezwstydnym,

niech idą między ludzi i głośno krzyczą: Wolności! Wolności! Chcemy wolności! Przez całą godzinę stałem na tarasie i gapiłem się na policję i na ludzi tłoczących się wokół trupa. Mieszkam na dachu siedmiopiętrowego budynku, czterdzieści metrów nad ulicą, ale na szczęście sąsiadka pożyczyła mi lornetkę. W ten sposób byłem jakby w pierwszym rzędzie, miałem świetny widok i podobniejak inni mogłem zaspokoić swą chorobliwą i chyba trochę wampirową ciekawość. Wieczorem wielu z nas obstawiło w ruletce 50. W chińskiej numerologii 50 to policja, 67, nóż, 63, morderca, 84, krew, a 12 to zła kobieta.

Później jeszcze raz przeczytałem to, co Babel mówił Paustowskiemu o swojej technice pisarskiej. Teraz już na ogół nie czytam tych wszystkich wyznań pisarzy. Bardzo mi zaszkodziły. Kazały mi uwierzyć, że są jakieś metody i techniki. Nie ma nic takiego. Każdy pisarz tworzy siebie, jak urnie. Sam. Nie naśladowując nikogo. Może to brutalne, ale taka jest prawda. Babel jednak ma rację.

No dobrze, miałem już dość tych wszystkich moich problemów i chciałem trochę odetchnąć. Pojechałem na parę dni do mojej matki, która mieszka w takiej małej miejscowości pod Hawaną. Zwykle tam jeżdżę, by podła dować akumulatory, a potem wracam na mój dach. W sumie mam szczęście, że mogę coś takiego robić.

Przyjechałem do mojej matki w południe. Nie było jej w domu, musiały gdzieś wyjść. Ciągłe coś sprzedawała, kupowała, robiła interesy, żeby przeżyć. Jej sześćdziesiąt peso emerytury to po prostu kpina z kogoś, kto ma sześćdziesiąt osiem lat. Na szczęście matka dobrze się trzyma (chwilami) i może chodzić. Nie traci też ducha. Czasem jej daję jakieś pieniądze. Jeśli akurat mam. No więc wziąłem sobie coś dojedzenia i usiadłem w fotelu, w pokoju, gdzie można było palić. Lubie jeździć do mojej matki. Nie muszę tam nic robić, ajak mam ochotę, zawsze mogę przejść się po okolicy i porozmawiać z przyjaciółmi, którzy zwykle mi mówią: Jakoś cię nie widać w telewizji, nie piszesz w gazetach... Co się dzieje? Nic się nie dzieje odpowiadam. No właśnie: nic się nie dzieje.

Tak więc sobie siedziałem rozluźniony, piłem kawę, paliłem i wtedy nagle pojawiła się Estrella. Zawsze wpada jak bomba i zawsze ma jakieś złe wieści. Jest to najbardziej wulgarna, chamska i wrzaskliwa kobieta, jaką znam. No dobrze, znam inne wulgarne, chamskie, wrzaskliwe i wredne kobiety, ale przynajmniej mają jakiś styl. To je właśnie ratuje. Estrella jest nieobliczalną półwariatką i półhysteryczką przypuszczam, że też trochę kurwą. Wszystko jedno, w każdym razie nie ma stylu. Wyszła za męża za takiego mojego wujka, który mieszka na wsi. I oto teraz wtargnęła jak cyklon, w ogóle się nie przywitała, nawet nie spojrzała na mnie, tylko rzuciła torebkę na stół, naląła sobie wody i dopiero wtedy spytała mnie o matkę.

Nie ma jej. Cholera, ciągle gdzieś się włóczy. Ta starajest nie do zdarcia. W końcu się jednak doczeka przez te swoje interesy. Zgarnie ją policja i dopiero będzie miała. Ty wiesz, że ona handluje nawet szpilkami? Powiedz lepiej, co dobrego słychać. Dobrego, nic. Wszystko jest do dupy. Czego się spodziewasz? Popatrz dokoła na to gównu. No to spierdalaj, Estrella. Oj, chłopcze! Jak masz zły humor, to się nie wyżywaj na mnie. Ja mam zły humor? Ale skąd!

Tak, miałem zły humor. Zawsze wpieprzała mnie ta kretynka, która umiała tylko narzekać, opowiadać głupoty i udawać wariatkę. Strasznie się dziś zdenerwowałam. Ty zawsze się denerwujesz. Bierz jakieś pigułki. Wiesz? Wczoraj Luisito wyrzucił z domu żonę. Złapał ją jak przyprawiała mu rogi z sąsiadem. To był Roque. Rozumiesz? Nasz sąsiad, znamy go od lat. Zawrócił w głowie dziewczynie, mówił, że się z nią ożeni. Teraz nie można już nikomu ufać. Jają nawet lubiłam. Ma piętnaście lat, więcej chyba nie, i jest bardzo pracowita. Pomagała mi w domu i wyglądała na porządną. Dobrze, ciesz się. Za to samo dziś rano u nas taki Murzyn zadźgał nożem swoją żonę. Ona przyprawiała mu rogi, a on teraz siedzi. Dadzą mujakieś dwadzieścia lat co najmniej. Ciesz się, że ten twój Luisito tylko wyrzucił swoją żonę. Tak mówisz? No nie, masz rację. Ledwie sześć miesięcy temu wzięli ślub, ale już ją wszyscy polubiliśmy. Będzie nam jej teraz brakować.

Ale jak to się stało? Luisito śledził ją czy co? Tak, Luisito coś już podejrzewał. Powiedział jej, że idzie do miasta, a potem będzie zbierał kraby na plaży i wróci dopiero nad ranem. Ale to nieprawda, bo wrócił zaraz po południu i wtedy ich nakrył. Roque ma siostrę i to było u niej. Dała im metę. Ale Luisito nikogo nie pobił, wszystko było spokojnie. Wziął żonę za ramię i zaprowadził do domu. Zebrał wszystkie jej rzeczy, zawinał je w ręcznik, dał jej ten pakunek i powiedział: A teraz się wynoś! Dziewczyna w płacz i mówi, że to pomyłka, że to wcale nie było tak, jak on myśli. I to wszystko na moich oczach. Ja nic z tego nie rozumiałam, wmieszałam się i zaczęłam krzyżeć. Popatrz, całe ramię mam posiniaczone, bo Luisito mnie odpychał, aja ciągle wracałam. Nie wiedziałam przecież, co się stało. Dopiero potem, gdy wyprowadził ją na ulicę, opowiedział mi o wszystkim. Zachował się w porządku, prawda, Pedro Juan? Ja na jego miejscu chyba bym obojgu połamała gnaty. Jej i temu facetowi. Takich to się powinno zatłuc dla zasady. Ale Luisito jest wielkoduszny. Ja bym wykopała ją za drzwi bez niczego, tak jak stała. Przecież to on jej wszystko kupił. Wszyściuteńko. Pół roku temu przyszła do nas tylko w tym, co na sobie, i w podartych pantoflach na gołych nogach brudnychjak święta ziemia. Aleja się nie martwię o Luisita. Ma ryż i dolary, bo dużo sieje, dużo zbiera i dużo sprzedaje. Jedzenia i dolarów mu nie brak, a

kobietom teraz tylko o to chodzi. Skończyła się miłość! Teraz ważne jest żarcie i żeby mieć kupę dolarów na shopping. Za parę dni Luisito znajdzie sobie inną. Dobrze, Estrella, tak już jest na tym świecie. Nic nie zmienisz, więc się nie denerwuj. Idę do klopa. Siądź i poczekaj, stara zaraz przyjdzie. Poszedłem do klozetu. Lubię się wysrać spokojnie i bez pośpiechu. U nas w domu jest to niemożliwe. Mamy tylko jedną ubikację i sraję w niej wszyscy, którzy mieszkają na dachu. To naprawdę rozpacz. Ledwie sobie siądziesz na sedesie, a tu już się ktoś dobi ja do drzwi i wrzeszczy, żebyś kończył, bo on zaraz narobi w spodnie. No więc teraz nawet wziąłem gazetę, żeby sobie poczytać i wreszcie się nie śpieszyć. Estrella jest jednak hiperkinetyczką i polazła za mną. Ja na sedesie, a ona przez drzwi nadal ciągnie rozmowę: U nas ostatnio bez przerwy coś się dzieje. Pamiętasz Tatcha? Mieszkał obok tej twojej ciotki Siomary. Tak, pamiętam. Otruł matkę. Matkę? Tak, swoją własną matkę. To była taka paskudna starucha, miała osiemdziesiąt cztery lata i cały czas się tylko kłóciła z wszystkimi. Jak on to zrobił? Wlał jej chyba jakiś kwas do mleka. Podobno już po jednym łyku stara zaczęła drzeć się, żejapali w brzuchu, i zaraz potem z pianą na ustach umarła. Skąd wiedzieli, że to on? Zrobił głupotę, bo resztę mleka wylał świniakowi, którego oboje z żoną hodowali na podwórzu. Wieprzek zdechł tak samo jak stara: kwicząc i tocząc pianę z pyska. Nie wiem, skąd się o tym policja dowiedziała. Pewnie ktoś doniósł. No i po dwóch dniach wykopali starą. Zrobili sekcję i wyszła w niej ta sama trucizna, co u wieprzka. To była końska dawka, naprawdę! Ludzie zaczynają już gadać, że dziesięć lat temu tak samo załatwił swego teścia. Chodziło wtedy o spadek, trzydzieści tysięcy peso. I teraz Tacito do końca życia będzie gnąć w więzieniu. On już nie jest taki młody. Dawno stuknęła mu sześćdziesiątka. Wytarłem sobie tyłek, spuściłem wodę i wyszedłem z klozetu, a potem w ogóle z domu. Wkurzyła mnie ta Estrella. Ona ma kompletnie porąbane w głowie. Miałem już dość jej wrzaskliwego głosu i tych wszystkich bzdur, które mi opowiadała. Potrzebowałem takiego ziele, które u nas nazywają gorzką różgą. Chciałem oczyścić swoje mieszkanie na tarasie. Ostatnio dwa razy poczułem w nim lekki zapach kobiety: takie delikatne technienie, jakby jakaś niewidzialna istota przesuwiała się obok mnie. Nie lubię tego. Niedobrze jest mieć koło siebie duchy, i to jeszcze nie wia domo jakie. No więc wyszedłem. Na skraju miasta, gdzie zaczynają się już pola, mieszka para moich bliskich przyjaciół. Takie czarne małżeństwo, Raysa i Carlos. Ona i ja przeżyliśmy kiedyś długi i bardzo erotyczny romans, który wciąż jeszcze od czasu do czasu się odnawia, ale w zasadzie nam już przeszło, odkąd ma męża. Raysa jest piękną i pełną wdzięku Murzynką. Gdy przyszedłem, radio grało u niej na pełny regulator. Spikerka powtarzała: Wolność, miłość, nadzieja. Te trzy rzeczy można powiedzieć o Kubie. Wolność, miłość, nadzieja. Miała bardzo miły i łagodny głos. Raysa była sama. Wyłączyła radio, żebyśmy mogli porozmawiać. Zrób mi kawę. Zaraz przyjdę, tylko narwę sobie u ciebie trochę gorzkiej różgi. Aj, Pedrito, nie mam kawy. U nas nawet wstydu nie ma. Za to gorzkiej różgi jest, ile chcesz. Pełno jej rośnie tam za domem. Zebrałem cały pęczek i położyłem go w kącie. Chcesz oczyścić mieszkanie? spytała. Tak. Mam sąsiadkę, która zna się na tych rzeczach. Mówi, że trzeba oczyścić moje i jej mieszkanie, bo są obok siebie. My z Carlosem też powinniśmy pójść do jakiejś takiej wiedzącej. Oboje. Niech mu w końcu powie, kim naprawdę jest. Może wtedy Carlos wreszcie się zdecyduje, odejdzie i pozwoli mi przeżyć moje własne życie. Nie rozumiem. Pedrito, ten facet nic nie robi, tylko pije, a potem, gdy się już uchleje, zaczyna płakać. Ostatnio mu się tak porobiło. Do tego jest cholernie zazdrosny i nie daje mi żyć. Parę dni temu byłam u Caridad. To taka moja przyjaciółka z dawnych czasów. Przyszedł wtedy sąsiad. Chwilę rozmawialiśmy i nagle on mówi: Caridad, zostaw nas samych z tą dziewczyną. Muszę jej coś powiedzieć. Nie znalazłam gościa, więc od razu pomyślałam, że on chce... No wiesz... Poderwać mnie albo coś w tym rodzaju. Ale nie. Nic nie mów powiedział. Opowiem ci, co widzę. Powinnaś o tym wiedzieć, a mnie właśnie po to tu przysłałi. Mieszkasz w małym, ciemnym i bardzo nędznym domu. Brakuje w nim powietrza, za to niebawem poleje się tam krew. Twój mąż to Murzyn. Lubi pić bimber i słuchać głośniejszej muzyki. Ale to nie jest twój mężczyzna. Widzę, jak leży w łóżku z innym facetem. Śpią. Obaj są nadzy i obejmują się. Ciebie to nie obchodzi. Twój mężczyzna jest biały, ma siwe włosy i lubi to samo, co ty. Jest romantyczny, czuły, pije rum albo wino i woli cichą muzykę. Był kiedyś u spirytystki i odtąd cię szuka, bo spirytystka opisała mu ciebie. Jeśli będziecie się szukać, w końcu się spotkacie. Ale nie będzie to łatwe. Zawsze, gdy ma romans z Murzynką, myśli, że już cię znalazł, ale potem widzi, że to nie ty. I znów cię szuka. Strzeż się swego męża, bo on cię nie chce zostawić. Wie, że twój los jest inny, lecz się z nim nie godzi. To ty odejdziesz. Widzę, jak wychodzisz z walizką. Idziesz przez kałużę krwi. Wszędzie jest pełno krwi, ale to nie jest twoja krew. Strzeż się. W każdą sobotę o świcie zapal świeczkę świętej Barbarze. Kurwa, Raysa, tego naprawdę można się przestraszyć! No więc boję się! Gdy tylko o tym pomyślę, aż mi się zimno robi. Zostaw Carlosa. Odejdź, zanim będzie za późno, bo to się może źle skończyć. Wiem. Ja już tak dłużej nie mogę. Mam przyjaciółkę, która teraz jest w Varadero. Żyje z turystów i ze swego tyłka. I to jak żyje! Ma w co się ubrać, ma na perfumy, ma wszystko. Ja nie mam nawet mydła. Zawsze mi to mówisz, kiedy tu przychodzę, a potem i tak nic nie robisz. Jesteś taka sama jak on. Dzień po dniu ci ucieka, a ty ciągle chodzisz głodna. Nie, teraz już zdecydowałam. Jadę do Varadero. Choćby na dwa

tygodnie. Marzę, by sprawić sobie coś do ubrania i zdobyć parę dolarów. I zabawić się trochę. Spróbować wszystkiego. Mogę się lizać z jakimiś dziewczynami albo niech mnie zerznie czterech facetów naraz. Co wieczór mogę też się upijać. Chcę się bawić i korzystać z życia! Pomyśl, ile ty masz lat, Raysa! Trzydzieści sześć. I ciągle jeszcze chcesz się zabawić? Tak, tylko nie wiem, kiedy wreszcie będę mogła. No to czemu nie zostawisz Carlosa? Bo nie mam gdzie się podziąć. A poza tym w łóżku on naprawdę jest dobry. Ty wiesz, jaką on ma laskę? Taką grubą i długą że jak mi wsadzi, czuję ją aż w gardle. To mnie przy nim trzyma. Ja bym bez tego nie mogła. Słuchaj, Pedrito, on potrafi się spuścić i dalej ma twardego kutasa. I to jak! Ja też wiem, jak mu dogodzić. Ale od tyłu mu nie dajesz. Sama mówiłaś, że ma za wielkiego i że od tyłu ci się nie mieści. Teraz już tak. Pomalutku i musi go sobie natłuścić. Trochę wazeliny i może mi go wsadzić aż po jaja. I to jest właśnie mój pech. Za bardzo mi się to podoba. I tak sobie rozmawialiśmy. Oboje chcieliśmy się napalić. Ona opowiadała, jak to robi z Carlosem, a mnie cały czas stał kutas. Wreszcie już nie mogłem, wyciągnąłem go i zacząłem się powoli masturbować. Pedrito, zwariowałaś? A jak przyjdzie Carlos? On zaraz wróci z pracy. Tym lepiej. Może mu się spodoba moja laska i mi ją obciągnie, skoro ty nawet nie chcesz jej dotknąć. Mów dalej, jak to było z tym lustrem.

Gdyby Carlos nas wtedy przyłapał, byłaby chryja, jakby sam Changó w to się wmieszał. Już po chwili byłem gotów. Kupę spermy nzbierałem w jajach, bo od wielu dni byłem sam. Chciałem, by wzięła mi do ust kutasa, ale nic z tego. Trudno. Trzy razy strzyknąłem na stół. Nie lubię marnować tak spermy. Raysa natychmiast ją starła. Usiedliśmy i znów włączyła radio. Coś tam próbowała mówić, ale rozmowa zupełnie się nam nie kleiła. Nie mogłem się skupić. Cały czas myślałem, jak zerznąć Raysę i jak wykopać Carlosa, gdyby się przypadkiem pojawił. Ale nie. Czterdziestoczeroletni facet nie może robić takich głupot. Wziąłem mój pęczek gorzkiej różgi i poszedłem. W końcu chciałem tylko odpocząć, a nie dalej komplikować sobie życie.

ŻYCIE NA DACHU

Teraz mieszkałem trochę lepiej. Udało mi się zdobyć pokój na tarasie, gdzie były jeszcze tylko dwie podobne klitki. Zostawiłem też ten swój interes z puszkami. Nie dało się inaczej. Za duża konkurencja i znudziły mi się te ciągle bijatyki na śmietnikach Miramaru. Bywało, że przez cały dzień nie uzbierałem nawet i dwudziestu puszek. Zmieniłem biznes i od razu mi się polepszyło.

Mój pokój był czysty, miałem naftowy prymus i własną ubikację. A przede wszystkim dużo powietrza. Znów mieszkałem na dachu, ale tym razem był to dach dziewięciopiętrowego budynku, też na Malecónie i też nad samym morzem. Sąsiedzi byli w porządku: starsze i wciąż kłócące się z sobą małżeństwo oraz taki jeden piosenkarz, specjalista od bolero, i jego żona.

Poznałem faceta jakieś piętnaście lat temu. Był wtedy młody i stworzył własny zespół muzyczny: Armandito Villalón i Los Cometas. Mieli sporo takich szlagierów, które później wszyscy nucili. W radiu, gdzie wtedy pracowałem, niektóre z nich były na samym początku listy przebojów naszej dzielnicy. Później Armandito dostał bzika na punkcie pieniędzy. Rozwiązał zespół i zaczął śpiewać sam z backgroundem, w trzech klubach co wieczór. Zgarniał kupę szmalu wciąż na tych samych bolerach. W końcu siadł mu głos, a po tym całym rumie i cygarach wrzód na żołądku przeszedł mu w regularnego raka. W latach dziewięćdziesiątych w kraju zaczął się kryzys. Armandito był chudy, zagłodzony, pomarszczony, miał na dodatek zawał i jakby mu nie brakowało kłopotów, związał się z grupą obrońców praw człowieka. Wtedy władza go po prostu zaszczuła. Pod byle pretekstem wsadzali go do więzienia, gdzie siedział w celi z kryminalistami.

I oto teraz znów się spotkaliśmy. Byłem jego nowym sąsiadem i chciałem z nim się przywitać jak dawniej, kiedy pracowałem w radiu, a on nagrywał tam swoje bolera, lecz miałem przed sobą całkiem innego faceta. Armandito był oschły, zgorzkniały i owładnięty tylko tą swoją ideą wolności i praw człowieka. Prawdziwy obsesjonista, a do tego jeszcze głodomór. Miał już tylko pracę w klubie Salem od piątku do niedzieli. Pewnego wieczoru chciałem nawet tam pójść i napić się czegoś, a przy okazji posłuchać tych boler Armandita. W końcu jednak nie wszedłem do środka. W drzwiach była krata i zwalisty Murzyn w charakterze goryla. Przed każdym gościem podnosił to żelastwo, a potem znów je opuszczał i zamykał na kłódkę. Zupełnie mi się to nie spodobało. Nie miałem ochoty czuć się jak więzień i za ciężkie pieniądze pić kiepski rum w tym dość obskurnym lokalu. Czarnuch powiedział mi, że w ten sposób mają pełną kontrolę nad sytuacją, zanim przyjedzie policja. Jak się zaczynają bić, to ja zasuwam kratę i nikt stąd nie może wyjść, póki ja nie zechcę, hua, hua, hua zaśmiał się ten prymityw z gębą autentycznego kretyna. Następnego dnia wspomniałem coś o tym Armanditowi, a on mi od razu urządził cały wykład na temat praw człowieka: Tak, zatraciliśmy poczucie godności. Nasz kraj jest jednym wielkim więzieniem i cały nasz sposób myślenia oparty jest na schemacie represji. Regulaminy, kraty, bariery, dyscyplina i kontrola to jedyne znane nam środki, żeby rozwiązać jakikolwiek problem. To jest naprawdę nie do

wytrzymania, Pedro Juan. Ja powiedziałem mu tylko: Oszalejesz, stary. Ja ze swoimi sprawami ledwie sobie radzę i mam się jeszcze mieszać do polityki? Tam są same skurwysyny, które robią co chcą i dbają tylko o własny interes. Tak jest wszędzie. Polityka to sztuka nabierania innych. Na to on: Właśnie dlatego tak wyglądamy. To wszystko przez ten pesymizm i konformizm. Trzeba się postawić i zdemaskować te ich kłamstwa. Trzeba walczyć i mówić prawdę. Skaranie boskie z tym facetem. To kompletny bzik. W kółko to samo. Prędzej czy później skończy na elektrowstrząsach. Na tarasie urządził sobie hodowlę kur i trzymał dwa wieprzki. Mieli prawdziwego świra na punkcie tych zwierzaków. On i jego żona. Całymi godzinami potrafili stać oparty o kojec, gapić się na nie i rzucać im jakieś lupiny czy okruchy. Odkąd w 1990 roku zaczął się kryzys, mnóstwo ludzi hodowało kury i świnie na podwórzach, tarasach albo po prostu w łazienkach. W ten sposób mieli przynajmniej co jeść. Żona Armandita pracowała w stołówce robotniczej i przynosiła stamtąd resztki dla świń. Ona też była chuda i mocno wyniszczona. Z pierwszą żoną Armandito rozwiódł się, gdy wykryto u niego raka i gdy miał ten swój zawał. Jej i dwójce dzieci zostawił mieszkanie, a sam przeniósł się do tego właśnie pokoju na dachu, gdzie sprowadził sobie taką jedną Mulatkę. Kiedyś to była bardzo ładna kobieta. Wysoka, zgrabna, pełna tego łobuzerskiego wdzięku, który jest tak częsty u Mulatek. Teraz już nie. Postarzała się i wychudła, choć od czasu do czasu wciąż pojawiał się w niej jakiś błysk. Moi drudzy sąsiedzi to małżeństwo staruchów również hodowali kury i oprócz tego mieli jeszcze gołębnik. Sprzedawali gołębie na potrzeby kultu. Sam stary też znał się na tych sprawach. Był to taki ponury milczek, z nikim nie rozmawiał, tylko wciąż żarł się ze swoją żoną. Właściwie nic o nich nie wiedziałem. W ogóle nie odzywali się do mnie. Tak bywa. Czasem ktoś cię nienawidzi po prostu dlatego, że jesteś biały. No dobra, OK, nic o nich nie wiedziałem, i w końcu nie musiałem wiedzieć.

W zimie, gdy wiał ostry wiatr od morza, wszystko było fajnie. W kwietniu nadeszły upały i cały taras zaczął śmierdzieć gównem. Do tego jeszcze meszki i moskity. To było nie do wytrzymania. Ani te staruchy, ani Armandito nigdy nie myli tych swoich kojców. No nie, czasem myli. Polewali je odrobiną wody. Z wodą zawsze mieliśmy problem. Musieliśmy ją nosić wiadrami z cysterny, która była w piwnicy. Dziewięć pięter bez windy. Co pięć, sześć dni w cysternie było trochę więcej wody i wtedy włączał się hydrofor. To był prawdziwy luksus, bo nagle woda pojawiała się w kranach. No więc w lecie cały dach potwornie cuchnął, w dzień gryzły nas meszki, a w nocy moskity. Nie dało się spać. Nie jestem jakimś specjalnym miłośnikiem pięknych zapachów. Teraz na przykład nie potrafię sobie przypomnieć, jakich perfum używała taka czy inna kobieta. Nie lubię ich. A raczej po prostu mnie nie interesują. Nigdy natomiast nie zapomnę smrodu świeżego gówna, gdy w Zatoce Meksykańskiej rekiny rozszarpały takiego jednego chłopaka. Łowiliśmy tuńczyki. Facet siedział na rufie i wyciągał jedną po drugiej te piękne, srebrzyste ryby. Nagle wypadł za burtę. Za ławicą tuńczyków szły trzy ogromne rekiny. Ciach i chłopak nie miał już nogi i połowy brzucha. Nawet dość szybko go wyciągnęliśmy. Żył jeszcze. Z przerażenia oczy wyszły mu z orbit. Wszystko trwało może minutę. Nic nie mówił i chyba nawet nie rozumiał, co się stało. Zaraz potem umarł. Wykrwawił się. Wiele miesięcy spędziliśmy razem na tej rufie, ale teraz nie przypominam sobie ani jego imienia, ani twarzy. Doskonale jednak pamiętam, jak strasznie śmierdział ten nieszczęsny chłopak, gdy na pokład wylewały się ekskrementy z flaków w jego rozszarpanym brzuchu. W moim życiu były jeszcze inne okropne zapachy, ale nie chcę o nich teraz mówić. Już wystarczy. Smród kurzego łajna i świń zaczął przyciągać karaluchy. Nigdy ich nie brakowało, ale teraz to była już prawdziwa plaga. Do tego jeszcze szczury: cholernie wielkie bydlaki, które wspinały się na taras z piwnic. Czterdzieści metrów w pionie. Wylaziły z otworów, którymi spływała deszczówka, i biegły do kojców w poszukiwaniu jakichś resztek. A potem znów znikwały w czeluściach kanalizacji. Zatkaliśmy kamieniami wszystkie odpływy na tarasie. Pewnego dnia szczur wyskoczył mi z klozetu, przebiegł przez pokój i zniknął gdzieś na tarasie. Zrobił to błyskawicznie. Nie wierzyłem oczom. Nigdy bym nie przypuszczał, że takie zwierzę jest w stanie sforsować czterdziestometrową zapchaną gównem rurę, a potem przedostać się przez syfon w muszli. Wkurzyłem się. Tego było już za dużo. Poszedłem pogadać z Armanditem i ze staruchami. Nic z tego. Nie ma mocnych. Nie ruszą swoich kurników, choćby szczury miały nas wszystkich pozagryzać. Na swoim kawałku tarasu mogę sobie robić, co chcę, ale im nie mogę niczego zabronić. Nie mam takiego prawa. Na dowód pokazali mi wycinek z gazety, na którym był regulamin użytkowania tarasów. Próbowałem z nimi rozmawiać spokojnie, ale nie wytrzymałem. W końcu posłałem ich wszystkich do diabła.

Był sierpień i za duży upał. Po tej całej dyskusji z sąsiadami byłem tak wkurzony, że zacząłem się zastanawiać, jak wytruć te wszystkie ich zwierzaki. Pomyślałem o strychninie. Miałem w domu dwa nasiona kulczyby dokładnie zawinięte w papier. Znalazłem je kiedyś pod tym drzewem w ogrodzie botanicznym w Cienfuegos i jakiś ukryty instynkt kryminalny kazał mi je wziąć i schować. Mógłbym je teraz ugotować z ryżem i w nocy podrzucić do kojców. Ale nie, zorientowaliby się. Lepiej trochę poczekać i dopiero potem po kolei ukatrupić te stworzenia. No dobrze, a jeśli na przykład zjedzą taką zdechłą kurę i później sami wykitują?

Cholera, za bardzo mi to zaczęło pachnieć kryminałem. Nie, tak się nie da. Upał, wilgoć, smród, wściekle meszki, a ja zastanawiam się, jak podłożyć trutkę. Musiałem trochę ochłoniąć. Zostały mi cztery dolary. Wziąłem je i poszedłem na bulwar San Rafael. Może trafię na jakiegoś kmiota, któremu je sprzedam po sześćdziesiąt. Ostatnio strasznie spadły dolary i teraz chodzą po pięćdziesiąt, a jeszcze miesiąc temu dawali za nie nawet sto dwadzieścia. Rząd walczył z kryzysem i ściągał z rynku wszystko: dolary i peso. Mnie ciągle się wydawało, że głód i nędza są coraz gorsze, ale państwo twardo trzymało łapę na pieniądzach i nie pozwalało im wypływać z kasy. Tuż przed San Rafael, na Galiano, przeleciał obok mnie jakiś facet, a za nim pędził chłop z nożem w ręku i wrzeszczał: Zablokuj go! Podłóż mu nogę! Nawet nie próbowałem. Rozjuszony chłop minął mnie i obaj gdzieś zniknęli. Chyba jeden drugiemu sprzedał fałszywe dolary, a kiedy ten wykiwany się zorientował, oszust był już daleko. Później ktoś mi powiedział, że ten kmiotek w końcu dopadł cinkciarza. Dziabnął go nożem w ramię, a potem sam od policjanta zarobił parę razy w mordę. To dosyć sprytna sztuczka, ale ludzie już ją znają i mało kto się daje nabrać: jedynki w czterech rogach banknotu zakleja się piątkami lub dwudziestkami skserowanymi z autentycznych takich nominałów. Potem sama transakcja musi być bardzo szybka, przy kiepskim świetle i trzeba pamiętać, by kciukiem zasłonić Waszyngtona. Najlepiej znaleźć sobie klienta, któremu się śpieszy, a na koniec i tak warto mieć dobre nogi. Na San Rafael spędziłem parę godzin i nie znalazłem nikogo, kto chciałby ode mnie kupić dolce. Dużo ludzi próbowało je sprzedać... A chłopów jak na lekarstwo. Tylko chłopci mają pieniądze. Zbijają kupę szmalu na tym naszym głodzie. Nadeszła nowa epoka. Nagle okazało się, że potrzebne są pieniądze. Zawsze były potrzebne. Pieniądz wszystko może. Trzydzieści pięć lat tworzyliśmy nowego człowieka, a teraz koniec. Teraz trzeba się przestawić. I to szybko. Niedobrze jest być maruderem.

ODZYSKUJĄC WIARĘ

Zawsze żyłem na pełnych obrotach, a teraz potrzebowałem odpoczynku. Chciałem trochę pobyc sam. Zaszyć się gdzieś na bezludziu i pomyśleć. Nie wiedziałem, o czym, ale czułem, że powinienem sobie zrobić małą przerwę na myślenie. Żeby zajrzeć w głąb siebie, popatrzeć trochę do tyłu. Potem niech wszystko będzie znów po staremu, mogę dalej biec przed siebie jak wariat. Zazdrościłem Swamiemu Nirmanalandzie, który przysyła mi z Indii swoje książki i nie robi nic. Siedzi wśród drzew i dzikich zwierząt na tych swoich wzgórzach w Karnatace, medytuje i wdycha kadzidła.

Trudno jest jednak powiedzieć sobie stop, jeśli codziennie atakują cię wszystkie możliwe pokusy. Dziś przyszedł list z Paryża. Le Peintre Nato zaprasza mnie na przegląd swoich happeningów, Art and absence of clothes, który latem przyszłego roku odbędzie się w Boissise Le Roi. Ten wariat nie zdaje sobie sprawy, że ja nie mam pieniędzy nawet na słoik neski. Poza tym martwi mnie, że od wielu miesięcy jestem nieustannie zmęczony. Nie wiem, czy to anemia czy AIDS. Czasem znów dopada mnie przygnębienie i ogólna depresja. I wciąż walczę ze strachem. To tak się mówi: walczę. Sam nie potrafię walczyć ze strachem. Wieczorami modłę się i proszę Boga, by usunął lęk z mego serca i rozjaśnił mrok w mojej głowie. Ten lęk i ten mrok paraliżują mnie. I jak tylko się da, Bóg mi pomaga i zsyła różne drobne znaki. Przez długi czas żyłem bardzo daleko od tego niewidzialnego i równoległego świata. Gdy miałem trzynaście lat, rozbiłem piłką krucyfik, który matka powiesiła mi nad łóżkiem. Zrobiłem to ze złości. Katechizm chciał, bym niezachwianie wierzył w Tróję Świętą oraz w Adama i Ewę. O nie! Odwołałem się do Darwina. W duszy zaczęło mi się prawdziwe trzęsienie ziemi. Wkrótce potem nastąpiła inwazja rosyjskich podręczników marksizmu i wieczorowych kursów kształcenia rewolucyjnego. Wreszcie wzięli mnie do wojska, i to od razu na cztery i pół roku (zawsze miałem pecha i jak wpadałem w gówno, to po szyję).

Moja jednostka była w Rancho Boyeros i każdego roku żołnierze mogli oglądać pielgrzymkę, która szesnastego grudnia ciągnęła do sanktuarium w El Rincón. Ludzie szli do świętego Łazarza prosić go o coś albo dziękować mu za jakieś łaski. Tysiące mężczyzn i kobiet ubranych w jutowe worki sunęło wielokilometrową aleją, wlokąc za sobą łańcuchy, kamienie i kawałki szyn lub dźwigając gigantyczne drewniane krzyże. Niektórzy czołgali się na odartych ze skóry kolanach lub wymyślali sobie jeszcze jakieś inne najdziwniejsze umartwienia. Nic z tego nie rozumieliśmy i traktowaliśmy to jako niezłą rozrywkę. Czuliśmy się nieskończenie wyżej i dalecy od tych fanatycznych tłumów i ich obsesyjnie perwersyjnych rekwizytów. Większość z nas tak się czuła. Kiedyś byliśmy wierzący, ale później powiedzieli nam: Nie, to wszystko jest gówno warte. Jeśli ktoś myśli inaczej, to go tu nie chcemy. Niech stąd spieprza, zanim dostanie w łeb. Proste, nie? Albo jesteś z nami, albo won z naszej ulicy. I decyduj się szybko. W życiu zawsze tak jest: jeśli szybko podejmiesz decyzję, możesz wygrać lub przegrać; jeśli tego nie zrobisz jesteś głupkiem, bo i tak cię wykluczą a na dodatek nazwą niedojdą i kompletnym zerem. A przecież nikt nie chce być dla innych zerem.

No więc przez długie lata tak żyłem. Triumfalnie szedłem przed siebie, w jednej ręce dzierząc absolutną

prawdę, a w drugiej czerwony sztandar. Potem zaczął się krach i nagle wszystko szlag trafił. Skończyła się pewność. Człowiek jednak nie może zbyt długo płynąć sam. Musisz się w końcu czegoś złapać albo pójdziesz na dno. Teraz już wszyscy wiedzą że nawet szef państwa ma swoje figurki, naszyjniki i dziesięciu czarnych kapłanów, którzy się o niego troszczą. Kurwa, to już są naprawdę jaja! Dobra. Mniej więcej wtedy wszystko zaczęło mi się w życiu pieprzyć. Za długo już tak dryfowałem targany sztormem i na łasce fal. Gdy w takiej sytuacji nie masz czego się chwycić, prędzej czy później huragan wyrzuci cię gdzieś i roztrzaska. Z czystej ciekawości poszedłem do takiej jednej spirytystki, która miała jakichś afrykańskich przodków. Nie za wiele się po tym spodziewałem, baba jednak przez czterdzieści pięć minut mówiła mi jedną prawdę po drugiej, opisywała całkiem konkretnych ludzi i podawała mi ich imiona. Wy tłumaczyła mi, co się ze mną dzieje i jak powinniśmy temu zaradzić. Zrobiliśmy to. No i jest teraz ze mną jak jest. Nie chce mi się o tym opowiadać. To moja sprawa. W każdym razie zacząłem odzyskiwać wiarę i teraz od czasu do czasu chodzę do El Rincón.

Przyznam jednak, że nie za bardzo lubię tam być z tymi wszystkimi sprzedawcami fetyszy i z tłumem naiwniaków, którzy je kupują. Nie podoba mi się zwłaszcza facet, który pilnuje ołtarza i każe opuszczać ramiona wszystkim co bardziej rozmodlonym babom (my, mężczyźni, modlimy się po cichu, ale kobiety są inne, hałaśliwe, podnoszą ręce, płaczą wzdychając). Gościa nic nie obchodzi: mówi, że ma być porządek i tyle. A ja już mam dość gadania o porządku, dyscyplinie, powadze i poświęceniu. Przez całe życie byłem właśnie taki: porządny, zdyscyplinowany, poważny i gotów do poświęceń. No dobrze. Czasem więc tam zaglądam i nawet trochę się modłę. Potem wychodzę i widzę tych wszystkich biedaków z leprozorium i chorych na AIDS, którzy kryją się wśród mangowców i drzew awokado. Nie wiem, po co ja tutaj o tym opowiadam. Może dlatego, że ogarnia mnie pewna melancholia, gdy pomyślę o losie Jose'go Montalyo z San Antonio w Teksasie. Jego ostatni list był z 1991 roku. Montalyo miał raka i leczył się metodami naturalnymi, bo chemioterapia już nie skutkowałą. Zarabiał na życie, opiekując się bezdomnymi w samym sercu Aztlánu, pisał wiersze, męczył się z tym swoim zrujnowanym domem, który tam kupił, i próbował sam wychowywać trzyletniego syna. Napisał do mnie bardzo serdeczny list. Na każdego capa w końcu przyjdzie kreska i będziesz mógł w końcu wydać te swoje rzeczy. Na razie skub go dalej za brodę. To było trzy lata temu. Nie wiem, czy jeszcze żyje. Byłem wtedy całkiem skołowany i pełen lęku i nie miałem głowy, by myśleć o Montalyo i jego teksańskim nowotworze. Żegnał się ze mną tym listem, a ja mu nie odpowiedziałem. Dzisiaj znów czytałem jego listy i książki. Tak to jest. Jak z wahadłem. Odchodzi i przychodzi. Niekiedy wracam do jakichś papierów sprzed lat, czytam je i czuję, że cały ten czas nie minął dla mnie bez śladu: jestem jeszcze bardziej sam. Pomału wszyscy stajemy się coraz bardziej samotni. Gdzieś po drodze zostały kobiety, które kochałem. Miejsca, w których byłem szczęśliwy. Dzieci, które są coraz dalej. Przyjaciele. Wszystko to, co się ma i co się traci. I to, co chciałem zachować, ale i tak wyrzuciłem za burtę. Trochę się dziwię, bo piszę jakbym się już zbliżał do kresu. I Bóg nie chce mi pomóc, bym w końcu mógł rozjaśnić swój umysł i bym nauczył się przyjmować wszystko takie, jakie jest.

JA, ROZGRZEBYWACZ GÓWIEN

Gordon pomału przesuwiał się nad Karaibami. Z północnego wschodu na południowy zachód. Nie śpieszył się. Wędrował już od czterech dni i zostawiał za sobą swój ślad: dwa tysiące zabitych na Haiti, trzystu na Santo Domingo. Morze wściekle atakowało Malecón. Wiatr rozpylał pianę i pokrywał cząsteczkami soli fasady starych i zrujnowanych budynków. Nie miałem nic do roboty. Przynajmniej nic pilnego. Na dłuższą metę zawsze ma się jakieś oczekiwania, nadzieje, plany, wszystko będzie lepiej. Bóg nas nie opuści i tak dalej. Ale to zawsze jest na dłuższą metę. Na razie, w tej konkretnej chwili, nic.

Na dole parku Maceo jakiś Murzyn pokazywał przechodzącym kobietom swego długiego kutasa. Naciągał go i masował. Był wyraźnie niespokojny, kręcił się dokoła i rozglądał na boki. Trzepał tę swoją długą, czarną i obwisłą laskę, żeby mu wreszcie stanęła. Kiedy mnie zobaczył, znieruchomiał i patrzył na mnie z głupkowatym uśmiechem. Musiał być po marihuanie, koce albo jakichś prochach. Ludzie są oburzeni, gdy natkną się gdzieś na takich durniów. Ja nie. Mnie to nie rusza. Myślę, że wiele kobiet lubi nawet oglądać kutasy w miejscach, gdzie na ogół się ich nie widuje. Niektórym mężczyznom chyba też to się podoba. Mogą przynajmniej pozazdrościć i pomyśleć: Ach, gdybym ja miał taką wielką i muskularną łagę! Oczywiście, nigdy się do tego nie przyznają choćby ich nawet przypiekano ogniem. A gdy ktoś im to powie, gorszą się, obraża ją i mówią: Ty jesteś zboczony, Pedro Juan, i myślisz, że wszyscy są tacy. Moim zdaniem ekshibicjonista (jest ich coraz więcej w parkach, autobusach i bramach) pełni ważną i piękną rolę społeczną: erotyzuje przechodniów, wydobywa ich na chwilę z codziennego stresu i przypomina, że mimo wszystko jesteśmy tylko pierwotnymi i słabymi stworzeniami. Biednymi zwierzętami, które są wciąż niespokojne i nienasycone. Najcudowniejszą rzeczą na

świecie jest iść przed siebie Malecónem, podczas gdy dokoła szaleje cyklon. Idziesz i czasami myślisz. Czasami nie myślisz. Lepiej jest nie myśleć, ale to bardzo trudne, prawie niemożliwe. Trzeba mieć wprawę. Jakiś meksykański turysta nagle podchodzi do mnie, uśmiecha się i mówi z tym swoim akcentem z Michoacan: Cóóóó to? Burza wróciła? Wygląda, że taaak. Nie wiem, czy wróciła, czy właśnie odchodzi, i jest mi to obojętne. Facet przestaje się uśmiechać, zostawia mnie i idzie dalej. Teraz deszcz zmienił się w prawdziwe oberwanie chmury. Na całym Malecónie nie ma żywej duszy. Jest dopiero piąta, ale przez to zasnułe niebo zrobił się już niemal wieczór. Szare, zimne i wilgotne światło, niezwykle na tej wyspie zawsze pełnej ostrego i rażącego blasku. Błada poświata sącząca się przez kurtynę deszczu, soli i jodu. Chowam się za słupem i czekam, aż trochę zelżeje ulewa. Chyba będę się musiał przyzwyczaić do tych cyklicznych ataków melancholii i smutku. To jest tak, jakbym żył ze starą raną po kuli, która zawsze zaczyna boleć, kiedy zbliża się niż. Może nawet i mam parę powodów do smutku, ale tak się nie da. Życie może być świętem albo żałobą człowiek sam decyduje. Dla mnie głównie wart jest smutek, więc staram się go pozbyć. No i tak właśnie żyję: próbuję pozbyć się smutku, żalu, cierpienia i tym podobnych rzeczy.

Kiedy minęła najgorsza nawałnica, poszedłem w górę ulicą Campanario. Zaraz za rogiem tłumek gapiów otaczał dwóch policjantów, którzy zatrzymali młodego, może szesnastoletniego Mulata. Założyli mu kajdanki i kazali stanąć pod ścianą. Czekali na radiowóz, żeby go zabrać na komendę. Chłopak próbował ukraść rower. Stał teraz zgnębiony, z pochyloną głową i wzrokiem wbitym w ziemię. Przyglądałem mu się przez chwilę. Nagle ugięły mu się nogi. Osunął się po murze i upadł. Był tak przerażony, że nie potrafił ustać. Dokoła rozległ się szmer: Ach, ty dupku! Teraz masz cykora? Trzeba było wcześniej pomyśleć. Odszedłem.

Skrzyłem w bok. Parę przecznic od Malecónu wiało dużo mniej. W parku u zbiegu San Rafael i Galiano było już prawie ciemno, ale nie brakowało całej tamtejszej fauny. Usiadłem na ławce. Obok mnie jakaś bardzo chuda i bardzo fertyczna kobieta rozmawiała z inną: Już po pierwszym razie, przed ślubem, pomyślałam sobie, że będę miała za męża byka rozplodowca... Jak mi wsadził, och! Czterech synów mi zrobił, jednego po drugim. On to umiał strzelać! W końcu ja powiedziałam stop, czterech mi wystarczy, i dałam sobie założyć spiralę. Gdyby to od niego zależało, mielibyśmy dziesięciu albo i dwunastu chłopaków, ha, ha, ha... Taki tatuś buhaj ! Nagle przystąpił do niej jakiś młody facet i coś jej szepnął do ucha. Wstała i natychmiast poszła. Szybciuteńko. Nawet się nie pożegnała z przyjaciółką. No cóż, biznes to biznes. Tak to jest na ulicy. Jak się nie pośpieszysz, to ci go ktoś sprzątnie sprzed nosa. Ja dziś nie jestem w nastroju do biznesów. Mam w kieszeni dwadzieścia dolarów. To prawdziwa fortuna. Zastanawiam się, jak przerobić to moje opowiadanie o Rogelii, które zaczyna się od zdania: Kurwa, przestańcie mi już srać na tarasie! Nie chcieli mi go wydać w Kadyksie, bo już w pierwszej linijce pojawiła się ta kurwa. (Zupełnie tego nie rozumiem, Don Kichote jest całym katalogiem tego typu słów. No dobrze, może Don Kichote nie jest najlepszym przykładem dobrej literatury. W końcu Cervantes umarł w nędzy). Powiedzieli mi: To jest za mocne. Ha! Oni nie wiedzą, co naprawdę jest mocne. Przerobię to opowiadanie, ale ta kurwa zostanie na swym miejscu. Ta kurwa jest nie do ruszenia. Przysiadł się do mnie jakiś brudny, stary Murzyn. Chyba chciał sobie pogadać. Powiedział mi, że był kiedyś marynarzem, a oprócz tego mistrzem akrobacji na wrotkach. Zwiedził wszystkie kontynenty. W portach brał swoje wrotki, schodził na ląd i urządzał popis. W samym Nowym Jorku trzy razy. Podniósł koszulę i pokazał mi płataninę łańcuszków. Portfel, potężny nóż, jakieś foliowe woreczki z dokumentami, aluminiowa papierośnica wszystko przyczepione łańcuszkami do paska. Powiedział, że nauczył się tego od Greka, z którym pływał na Caiman Island. Nawet ciekawe rzeczy opowiadał, ale nie. Grzecznie się z nim pożegnałem i poszukałem sobie innej ławki. Było już ciemno i nie chciałem mieć nikogo obok siebie. Gdyby ktoś mi ukraść te moje dwadzieścia dolarów, byłbym na całym zerze. Czarnuch rozproszył mnie i zgubiłem wątek tego mojego opowiadania o Rogelii. Napisałem je lata temu, zaraz po śmierci Rogelia. Wiele faktów z jego życia poprostu wymyśliłem. To nie jest dobre opowiadanie. Najlepsza jest zawsze naga rzeczywistość. Surowa i brutalna. Taka, jaką widzisz dokoła na ulicy. Chwytasz ją w ręce, dźwigasz jeśli starczy ci siły i przenosisz na papier. I już. Tylko tyle. Żadnych retuszy. Czasem ta rzeczywistość jest tak okrutna, że ludzie ci nie wierzą. Czytają opowiadanie i mówią: Nie, nie, Pedro Juan, tak nie jest. Tutaj trochę przesadziłeś. A to nieprawda. Nic nie przesadziłem. Po prostu znalazłem dość siły, by chwycić tę całą potworną rzeczywistość i rzucić ją na papier. No więc tak właśnie było. Później się dowiedziałem, że kiedy Rogelio był jeszcze małym dzieckiem, kazali mu zidentyfikować jego matkę w kostnicy. Kochanek rozrąbał ją na sześć kawałków. Rogelio miał wtedy osiem lat. Od tego czasu coś w nim pękło. Dwadzieścia razy na dzień zmieniał mu się nastrój: w gnieniu oka potrafił przejść od ckliwych i sentymentalnych pochlipowań do brutalnej i bezwzględnej agresji. Raz był lękliwym niedojdą a potem nagle zmieniał się w supermana, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych. Jednym słowem, facet był pełen sprzeczności i brakowało mu charakteru. Tak ogromnie potrzebował miłości i tak bardzo był tchórliwy i uzależniony od innych, że cierpiał, ale bez Szemrania godził się na wszystkich kochanków swojej żony. A ci

zmieniali się jeden po drugim. Zawsze był jakiś. Gdy miał czterdzieści sześć lat, facet nie wytrzymał. Nagle dostał zawału i umarł. Teraz, cztery lata później, jego żona jest chodzącym szkieletem. Ma jakąś chorobę kości, chyba nieuleczalną. Ich młodsze dziecko, syn, pół życia spędza w więzieniu, a przez drugą połowę jest obłąkanym i zdesperowanym wariatem. Córka kurwi się po hotelach dla cudzoziemców, zresztą bez specjalnego powodzenia. Cała trójka ma tylko jedną obsesję: wyjechać. Dla nich wybawienie jest tylko w Stanach. Na razie głodują nie mają ani centa i zapomnieli zupełnie, że Rogelio kiedykolwiek istniał. Muszę więc przerobić to opowiadanie. Będzie teraz dużo bardziej mocne. Bez żadnego kłamstwa. Zmienię im tylko imiona. To jest właśnie mój zawód: rozgrzebywacz gównien. Nikt tego nie lubi. Czyż normalni ludzie nie zatykają sobie nosów, kiedy przejeżdża śmieciarka? Czy nie udają że nie widzą zamiataczy ulic, grabarzy, czyścicieli szamb? Nie krzywią się ze wstrętem, kiedy pada słowo padlina? No więc właśnie dlatego nikt się do mnie nie uśmiecha i woli patrzeć gdzie indziej, gdy mnie spotka. Jestem rozgrzebywaczem gównien. I nie chodzi oto, że ja czegoś tam szukam. Zwykle niczego tam nie ma. Nie mogę powiedzieć: Och, patrzcie! Znalazłem brylant w tym gównie! Albo że znalazłem jakąś cenną ideę. Albo w ogóle coś interesującego. Nigdy tak nie jest. Niczego nie szukam i niczego nie znajduję. Nie mogę więc pokazać, że jestem praktycznym i pożytecznym społecznie facetem. Jestem raczej jak dziecko, które zrobi kupę, a potem się nią bawi, wacha i próbuje zjadać. Wreszcie przychodzi mama, odciąga je od tego paskudztwa, myje, perfumuje i mówi, że tak nie wolno robić.

To wszystko. Po prostu nie interesują mnie rzeczy, które są ładne, miłe, przyjemne, sympatyczne. Dlatego też zawsze powątpiewałem w talent pewnej rzeźbiarki, która przez jakiś czas była moją żoną. Jej rzeźby nie mogły być dobre, bo za dużo w nich było harmonii. Sztuka ma sens, kiedy burzy autorytety, drażni, budzi koszmary i wściekłość. Tylko sztuka niepokorna, gniewna, bezczelna, gwałtowna i brutalna może ukazać nam tę drugą stronę świata, której nigdy nie widzimy lub raczej nie chcemy widzieć, by nie mącić sobie spokoju sumienia. No więc niech tak będzie. Żadnego spokoju, żadnej równowagi ducha. Jeśli ktoś je osiąga jest za blisko Boga, żeby być artystą. Wsadziłem ręce do kieszeni. Pod palcami poczułem dwudziestodolarowy banknot. Mogę sobie kupić butelkę rumu i paczkę papierosów. Na moim dachu musi teraz wiać jak diabli. Świetnie byłoby sprowadzić sobie na wieczór jakąś Mulatkę. I wtedy właśnie nie wiadomo skąd wylazła ta zwariowana czarnucha. Prawie się nie znamy, spotykam ją tylko czasem na ulicy. Udaję, że jej nie zauważam, ale jej to nie przeszkadza, zawsze podchodzi do mnie i próbuje nawiązać ze mną pogawędkę. W ciągu ostatnich kilku lat najpierw była najbardziej niechlujną brudną i śmierdzącą Murzynką w całej naszej dzielnicy, później zmieniła się w luksusową prostytutkę ostre perfumy, makijaż, lśniące, obcisłe sukienki, przeważnie białe lub czerwone a na koniec stała się jehowitką. Rzuciła wszystko i zaczęła nas nawracać. Nosi teraz grube szkła, w rękę ma zawsze Biblię, ubiera się skromnie i w rzeczy o dyskretnych i stonowanych kolorach. Niestety, zobaczyła mnie. Nie miałem szans. Podbiegła do mnie i od razu zaczęła: Bracie, czytasz czasem Biblię? Jest taki piękny psalm, o którym chciałam z tobą porozmawiać. Pięćdziesiąty pierwszy. Posłuchaj: »Zmiłuj się nade mną, Boże, w miłosierdziu swoim; w ogromie swej litości zgładź nieprawość moją. Obmyj mnie zupełnie z mojej winy i oczyść mnie z grzechu mojego«. Wiesz, dlaczego Dawid prosi o oczyszczenie? Nie wiesz? Na pewno nigdy się nad tym nie zastanawiałeś.

Och, nie. Tego już nie mogłem. Czasami tak jest. Człowiek ma dość i nic się na to nie poradzi. Poszedłem po rum i papierosy. Potem pomyślę, co będę robić dalej.

DZIECKO CHAOSU

W domu naprzeciw widziałem przez otwarte okno starą siwą kobietę, dość zaniedbaną i chyba trochę brudną. Kołysząc się wściekle na bujanym fotelu, bez przerwy śpiewała pomieszane kawałki Międzynarodówki, Marszu 26 Lipca, Hymnu alfabetyzatorów, Hymnu milicji, potem znów Międzynarodówkę i tak w kółko. Czasem milkła na chwilę, jakby brakowało jej tchu, i wtedy głośno zaczynała pytać: Kto tu jest ostatni? Nikt? Przepraszam, kto jest ostatni w tej kolejce? Dobrze, jeśli nikt nie jest ostatni, to ja będę pierwsza. Ach, bardzo mi przykro, pytałam, ale nikt mi nie odpowiedział. Towarzysze, kto tu jest ostatni po chleb? A później od nowa: Wyklęty, powstań, ludu ziemi, powstańcie, których dręczy głód.

Czekałem na wujka, aż wróci z pracy. Pół godziny już tak siedziałem i słuchałem tej wariatki z przeciwka. Z początku mnie denerwowała, później już nie. Przyzwyczaiłem się do tej jej paranoi.

No więc siedziałem i zaczęło mi się już nudzić, kiedy nagle do domu wpadł jak bomba jakiś chłopak, szesnaście lat, może trochę więcej. Machnął głową w mój kierunku, rzucił jakieś hmm i od razu dopadł moją ciotkę, starszą panią która miała już prawie sześćdziesiąt lat. Daj mi białą koszulę i krawat wujka. Ale zaraz.

Po co ci one? Muszę sobie zrobić zdjęcia do wizy i paszportu. Ciociu, pośpiesz się, błagam! Więc jednak się zdecydowałeś? Chłopak chyba w ogóle jej nie słyszał. Podeszedł do ściennej szafy w przedpokoju, otworzył ją i zaczął w niej grzebać. Popatrz, ta będzie akurat! Wyprasuj mi ją. Wrócili do saloniku. Carlitos, przywitałeś się

z Pedrem Juanem? A kto to jest? Przecież się znacie. Pedro Juan jest siostrzeńcem twego wuja. Dawno się nie widzieliście, bo on mieszka w Hawanie. A to jest Carlitos, ja jestem jego cioteczną babką. Ani rusz nie mogę sobie przypomnieć chłopaka. Potem tak, chyba rzeczywiście widziałem go, ale wtedy był jeszcze dzieckiem. Takim nadpobudliwym bachorem. To syn Odalys, tej twojej siostrzenicy? pytam. Tak. Najmłodszy. Ach, tak! Teraz go pamiętam. To rodzina byłej żony mego brata. A równocześnie kobieta, z którą teraz rozmawiam, jest żoną mego wuja. Czasami się w tym wszystkim gubię. Człowiek przyjeżdża do rodzinnego miasta i wszędzie spotyka kuzynów i siostrzeńców swoich własnych siostrzeńców. Nagle okazuje się, że są setki osób, które należą do mojej rodziny. Choć tak naprawdę chyba nie należą. Carlitos wciąż jeszcze nie rozumiał. W końcu ciotka mu wytłumaczyła: To jest syn Zoili. Ten najstarszy. Och, kurczę jasne! Tylko teraz schudłeś i zrobiłeś się łysy. Wita się ze mną radośnie, ja też się do niego uśmiecham. Ciotka dalej się niepokoi. No więc w końcu się zdecydowałeś? Dawno się zdecydowałem! Posłuchaj, Carlitos, to poważna sprawa. Decyzja na całe życie. Wiem. Ale co ty tam będziesz robić? Przecież nic nie umiesz. Jak to nie? Poza tym tatuś ma tam elektrownię i zawsze mogę pracować u niego. Twój ojciec pracuje w elektrowni. Nie, tatuś ma elektrownię. Och, Carlitos, twój ojciec mieszka w New Jersey, a ty nawet nie znasz angielskiego. Chłopak odwraca się do niej plecami i mówi do mnie: Wiesz, Pedro Juan? Mój stary jest już tam cztery lata i ma elektrownię. Teraz przysłał wszystkie papiery i chce mnie do siebie sprowadzić. Mnie i mego brata. Ale mój brat nie chce jechać. To mięczak, może i chciałby, ale się boi. Nie potrafi podjąć męskiej decyzji. Ja jadę. Przecież tu się nie da żyć. Ale jesteś pewien, że twój ojciec ma tę elektrownię? Może raczej... Kurwa, Pedro Juan! Mówię ci, że ma. Sorry, ale dziś się spieszę i nie mam czasu ci tego tłumaczyć. Kiedyś pogadamy. Stary ma łeb do interesów i dzisiaj jest już milionerem. Powiedz mi, jak się wiąże krawat. Biorę krawat i wiążę go w powietrzu. Więc jedziesz do New Jersey, tam gdzie jest twój ojciec? Tak, to tam ma tę swoją elektrownię. Na północy jest cholernie zimno. Będzie ci brakować Kuby. Niczego mi nie będzie brakować. Sziur. Lubię zimno. Kurwa, Pedro Juan, robisz się jak moja ciotka! Przestańcie już pieprzyć! Może lepiej znasz kogoś, kto chciałby kupić japoński zegarek i motor? Podtyka mi pod nos zegarek, który ma na ręce, a potem pokazuje na ulicę. Widzisz? Tam jest ten motor. Nikiel i inne bajery. Tanio. Potrzebuję forsy, bo muszę jakoś przeżyć, nim mnie stąd wypuszczą. Koszula była już wyprasowana. Ciotka nic nie mówiła, tylko . podnosiła brwi. Carlitos włożył jeszcze gorącą koszulę i zawiązał krawat. Możesz mi poprawić węzeł? zwrócił się do mnie. Ciotka po raz ostatni spróbowała perswazji: A twoja dziewczyna i dziecko? Niech sobie tu siedzą! Ciociu, nie nudź! Ja już nie mogę dłużej żyć w tym gównie i umierać z głodu. Za rok przyplnę tu do was własnym jachtem. Nie, nie będę latać samolotem. Zaraz na początku kupię sobie jacht, a potem jakąś fajną brykę. Później dom. Taką porządną rezydencję, z basenem. Słuchaj, za rok będę milionerem. Zobacysz! Potem zaczął się umawiać ze mną. Jeszcze pogadamy. Zrobię te zdjęcia i jutro jadę do Hawany, żeby złożyć papiery. Jak mi je przyjmą, jedną nogą będę już w rajku, a drugą ciągle jeszcze w tym piekle.

TAJEMNICZE ŻYCIE KEJT SMITH

Myślę, że życie Kejt Smith pozostanie już na zawsze tajemnicą. Nikt nigdy się nie dowie, czym było naprawdę te jej osiemdziesiąt dziewięć lat, które przeżyła aż do śmierci. Do śmierci, która z technicznego punktu była morderstwem. Tylko z technicznego, bo oficjalnie Kate zmarła naturalną śmiercią.

Znam dwie wersje życia Kate: jedna pochodzi od niej samej, drugą opowiedziała mi sąsiadka, która jej nienawidziła.

Kiedyś te nasze klitki na dachu były trzema luksusowymi apartamentami, które wynajmowała trójka żyjących samotnie Amerykanów. Stać ich było na niebotyczny czynsz, od czasu do czasu urządzali dyskretne orgietki z efebami i odaliskami we wszystkich dostępnych kolorach oraz żywili się wyłącznie szynką oliwkami i whisky. Tak mówił Abelardo, stary Asturyjczyk, który dawniej był gońcem w sklepie kolonialnym na rogu, gdzie teraz stoi podobny do naszego budynek

Gdy w 1959 zwyciężyła rewolucja, jeden z tych Amerykanów zrezygnował z tropikalnej fiesty i wyjechał z Kuby. Drugi próbował zamordować Fidela według bardzo oryginalnego planu przygotowanego przez CIA: dowiedział się, że nasz komendant lubi nurkować, zaprzyjaźnił się z nim i w końcu podarował mu piękny kauczukowy skafander nasączony od środka jakąś śmiercionośną substancją. Później przez dwadzieścia lat mógł cieszyć się towarzystwem efebów (może trochę nieokrzesanych) w jednym z więzień w Hawanie. Została tylko Kate i dalej mieszkała na dachu w tym swoim zakratowanym zewsząd apartamencie. Właściciele budynku uciekli do Miami. Czynsze spadły. Dom zapełnił się ludźmi. Z każdym dniem jest nas coraz więcej i już się nie mieścimy na tej naszej wyspie. Ci, którzy nami rządzą nazywają to zagęszczeniem. My, którzy jesteśmy zagęszczeni, mówimy, że żyjemy tu wszyscy razem na kupie. Ci, którzy rządzą, nawet sobie nie wyobrażają co

to znaczy mieszkać w sześć lub siedem osób w jednym pokoju o powierzchni cztery metry na cztery. A jeśli sobie wyobrażają to i tak ich to gównu obchodzi. No ale wróćmy do rzeczy. Kate zachowała swój apartament i kawałek tarasu od strony Malecónu i morza. W pozostałych dwóch, podzielonych teraz na malutkie klitki, zagnieździło się mnóstwo obcych i pospolitych ludzi. W sumie takie dość wulgarnie towarzystwo. Może ja też jestem wulgarnym i pospolitym typem. Nie wiem. Wolę tego nie wiedzieć. To musi być deprymujące mieć świa domość, że jest się takim zwykłym i nieciekawym gościem. Wszędzie na drzwiach i oknach Kate pozakładała kraty i kłódki. Nawet w środku, żeby móc zamykać poszczególne pokoje. Dawała lekcje angielskiego, zwłaszcza konwersacji, i z tego jakoś żyła.

Kiedyja wprowadziłem się do jednej z tych nor na dachu, Kate musiała już mieć co najmniej osiemdziesiątkę. Wciąż jednak była sprawna, silna, gimnastykowała się i starczało jej jeszcze energii, by co jakiś czas schodzić na Malecón i polować tam na tych ogromnych Murzynów, którzy za ciężkie pieniądze szli z nią na górę do mieszkania i robili, co chciała. Później im płaciła i żegnał, kochasiu, jeśli cię widziałam, to i tak nie pamiętam. Podobno żadnego z nich nie powtórzyła. No dobrze. Ja nie jestem duży ani czarny może lekko szarawy ale stara wyraźnie się na mnie uwzięła. Ciągle miałem od niej jakieś propozycje: a to że będzie mi dawać za darmo lekcje angielskiego, a to że możemy zagrać w pingponga, a to żebyśmy poćwiczyli jujitsu. Ktoś jej powiedział, że przed kryzysem i nim się wprowadziłem do tej obrzydliwej rudery, pracowałem jakiś czas w radiu, zaczęła więc mnie zapraszać do siebie, by wspólnie słuchać Wagnera. Nie cierpię Wagnera. No to niech będzie Mozart. Dobra. W końcu byłem u niej parę razy. Opowiadała mi różne historie z początku wieku, gdy była młodą węgierską emigrantką w Nowym Jorku. Podobno gdy miała siedem lat, umiała mówić tylko po węgiersku. Pewnego dnia w barze, gdzie sprzedawała losy na tombolę, spotkało ją jakieś okropne upokorzenie związane z jej nieznaną języka. Przez jeden miesiąc opanowała angielski, szybko zapomniała węgierskiego i nawet zmieniła sobie imię i nazwisko. Później, jako młoda dziewczyna, wstąpiła do organizacji popierającej bolszewików. Ścigana przez policję, uciekła do Meksyku, a potem na Jamajkę. Około 1950 roku trafiła wreszcie na Kubę. To był jej wersja. Nigdy mi nie wyjawiała swego nazwiska (poznałem je dopiero później, poprzez wirujący stolik). Kiedyś głupio się odezwałem (zawsze źle się kończy, kiedy głupio coś gadam, ale u mnie to nieuniknione, że mówię głupoty, a potem za to płacę) i powiedziałem, że moglibyśmy napisać książkę o jej życiu. Byłby to prawdziwy hit. Obrzuciła mnie obelgami i kazała mi się natychmiast wynosić. Nie, ja się muszę ukrywać! krzyczała. Chcą mnie zabić! Ciąglej jeszcze chcą mnie zabić! Mój kraj nigdy minie wybaczyć! Pan jest idiotą! Kretynem! Proszę stąd iść, nie chcę pana widzieć!

Wariatka. Kompletna wariatka. Pożegnałem się z nią uprzejmie: Ugryź się w dupę, ty popierdolona starucho! Sama jesteś idiotką i spróchniałą kurwą! Pieprz się z tymi swoimi Murzynami! Poszedłem i koniec. Więcej już z nią nie rozmawiałem.

Drugą wersję powoli udało mi się wyciągnąć od takiej innej staruchy, która do śmierci mieszkała w pokoiku obok. Przez długie lata baba pracowała w jakichś służbach specjalnych, przypuszczam, że w wywiadzie, ale w końcu odkryli, że coś nie tak jest w jej życiorysie, i ją wywalili. Dużo wiedziała o takich rzeczach, o jakich normalni ludzie nie wiedzą. Czasem mi mówiła o milionach dolarów, które dostała taka czy inna partyzantka, o Brygadzie Ameryka, o Wenezuelczyku Carlosie, o tym i o tamtym. Na razie nie będę o tym pisać. Nie chcę się wpakować w jakieś gówno.

Otóż, według tej starej, Kate była nazistką, wojnę spędziła w Niemczech, pilnując kobiet w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. W 1945 uciekła do Ameryki. Przez dziesięć lat krążyła tu i tam, aż w końcu wylądowała na Kubie. BRAC (Biuro Powstrzymywania Działalności Komunistycznej) był u nas wtedy w pełnym rozkwicie. Kate specjalnie pomieszała daty, ale ta emerytowana agentka zapewniała mnie, że to musiał być rok 1955. No więc żadna tam działalność bolszewicka, bo gdyby tak było, BRAC jak na tacy podałby Kate FBI. Kate była okropna. Kiedy zrobiła się już całkiem stara, zaczęła wchodzić w układy z młodymi ludźmi. W zamian za opiekę dawała im mieszkanie u siebie. Natychmiast też pisała testament, w którym czyniła ich swymi jedynymi spadkobiercami. Nikt jednak nie wytrzymał z nią dłużej niż parę tygodni. Wszyscy rezygnowali, mówiąc, że wolą odejść, zanim ją własnoręcznie powieszą. Nigdy się do końca nie dowiedziałem, co ona im takiego robiła. Sami dezercerzy nie chcieli o tym mówić, myślę, że godność im nie pozwalała. Ja zresztą też zbyt nie dociekałem, bo miałem za dużo własnych kłopotów, by jeszcze się przejmować jakąś starą i świniętą kurwą. Wreszcie trafiła na młode małżeństwo, które było gotowe na wszystko, byle tylko zdobyć mieszkanie. Nie mieli gdzie się podziąć, byli bez grosza i przymierali głodem. Nigdy im się nawet nie śniło mieszkanie z telefonem, kuchenką gazową, gramofonem, telewizorem i widokiem na morze. Gdy przyszedli do Kate, poczuli, że złapali Pana Boga za nogi. Powiedzieli sobie: Och, nie! Stąd nie pójdziemy, choćby nas wykurzali siarką jak krety. Dlatego kiedy stara zaczęła im jeździć po głowie i życzyć sobie, żeby na przykład podcierali jej dupę albo żeby facet kładł się z nią do łóżka, bo ona się boi być w nocy sama, nakupili proszków

na uspokojenie, i to najmocniejszych, jakie można dostać. Faszerowali ją nimi co wieczór i Kate spała jak Śpiąca Królewna z Dachy, chrapiąc przy tym jak tartak. I tak ją trzymali na tych prochach, stara jednak rano budziła się i znów łąziła po domu, wpięprzając ich dokumentnie. Wreszcie mieli już dość. Zwiększyli dawkę. Kate wpadła w śpiączkę. Trzy dni dogorywała w zamkniętym pokoju, leżąc na podłodze i charcząc. W końcu zawieźli ją do najgorszego szpitala w Hawanie. Powiedzieli, że nie wiedzą, co jej jest. Żaden lekarz nawet jej nie zbadał. Była zbyt śmierząca i brudna od kału, moczu i wymiocin. Po dwóch godzinach umarła. By nie mieć kłopotów z pogrzebem, zwłoki przekazali na wydział medycyny. I tak skończyła się Kate. Ale wia domo, że złe ziele twardo się trzyma i nie tak łatwo je wyplenić. Kate Smith wciąż krąży po naszym dachu. Gdy tylko może, pcha się, gdzie nikt jej nie prosi. Czasem mówi przez stolik. Podaje tylko swoje inicjały: K.S. Kiedy indziej znów: K. Smith. Mordercy mieszkają teraz w tym zakratowanym apartamencie. Myślą że to naprawdę jest luksusowy penthouse, i nie rozmawiają z nami, którzy gnieździmy się w tych wszystkich pozostałych klitkach. Zastanawiają się, jak postawić mur, który by ich od nas ostatecznie odgradził. Nie wiedzą że my mamy stolik. I że ten stolik działa. Nie wiem jak, ale wiruje i działa. K.S. przychodzi co wieczór. Zawsze odpowiada, gdy pytamy o jej zabójców. O nich mówi wszystko, ale milknie i odchodzi, gdy pytamy o jej własne życie. Wciąż nie traci nad sobą kontroli. Ta kurwa naprawdę jest córką Szatana.

BOŻE NARODZENIE 94

Wczesnym rankiem w niedzielę 25 grudnia wyszedł do mnie na dach Angelito. Miał wtedy jakieś sześćdziesiąt lat i mieszkał na czwartym piętrze. Bardzo spokojnie i grzecznie poprosił, żebym mu pozwolił zajrzeć do cysterny. Dopiero później zrozumiałem, że kiedy ze mną rozmawiał, ten jego spokój był po prostu beznadziejnym smutkiem. Powiedział, że od kilku dni w jego mieszkaniu nie ma wody. Wspiął się na cysternę i natychmiast skoczył na ulicę. Czterdzieści pięć metrów w pionie. Najpierw do jego roztrzaskanego ciała podeszły dwa włóczące się psy. Chapnęły po kawałku ciepłego jeszcze mózgu. Miały szczęście. To była niezła przekąska na śniadanie. Wszyscy starzy ludzie z sąsiedztwa bardzo się przejęli tym zdarzeniem. Byli zaniepokojeni. W ciągu ostatnich kilku dni był to już piąty trup w naszej dzielnicy. Lily, ekspedientka ze spożywczego, mówiła, że grudzień to taki dziwny miesiąc. W grudniu porządni ludzie nie podróżują nie robią interesów, nie bawią się i nie pchają żadne ryzykowne sprawy. Jeśli ktoś jest religijny, to wie, że ze starym rokiem Bóg bierze, a z nowym daje. Młodych to nie obchodziło. Dla nich śmierć nie istnieje. Jest za daleko. Od lat Angelito chodził ciągle pijany. Rodzina mu się rozsypała. Córka tak długo się kurwiła, aż wyszła za męża i wyjechała do jakiegoś miasteczka pod Segowią, gdzie jest wzorową żoną i matką. Syn popłynął na tratwie do Miami. Jego żona, gdy została sama i tylko z dobrze odchowanim już dzieckiem, odżyła. Zrobiła się z niej taka wesoła nibywdówka. Znalazła sobie zespół, który grał salsę, zaczęła w nim śpiewać i tańczyć. Nagle los się do niej uśmiechnął: wyjechała do Meksyku, gdzie dostała pracę w radiu. Miała własny program: Lady Salsa. Angelito został sam z żoną, z którą nieustannie się kłócił, i z wnukiem, synem Lady Salsy i tego gościa od tratwy. Żona mu wkrótce umarła na zawał i odtąd stary mieszkał już tylko z wnukiem, który nazywał się Eduardo i był moim przyjacielem. Nikt nie pamiętał, że dwudziesty piąty grudnia to jest święto. Młodzi nic o tym nie wiedzieli. Może coś tam słyszeli od starszych o Wigilii i o Bożym Narodzeniu, ale ogólnie im to zwisalo. Była piękna i zimna niedziela z osłepiającym słońcem i morzem wściekle szturmującym Malecón: biała, rozpylona piana, a za nią głęboki, intensywny błękit. Do tego jeszcze niebo ze strzępami chmur pędzonymi szybko przez północny wiatr. Nawet ten cudowny widok nie powstrzymał Angelita. Postanowił skoczyć i skoczył. Policja zabrała Eduarda na komisariat. Spisali protokół. Koło południa Eduardo wrócił i od razu przyszedł do mnie na taras. W domu miałem schowaną całą baterię butelek ze spirytusem. Eduardo był w doskonałym humorze. Słuchaj, stary, dziś wieczór zrobimy dobry interes. Jak to? Będiesz mieć czas mimo tej całej historii z twoim dziadkiem? Jasne! Tamto już się skończyło. Mówią że potem będą coś ode mnie chcieli na medycynie sądowej, nie wiem co, ale mnie zawiadomią. Zostało ci trochę alkoholu, prawda? Tak, sprzedałem kilka butelek, ale niedużo. Dobra. Mam dwieście pastylek meprobamatu. Dziś w nocy na cmentarzu Colón zbierają się takie świrusy. Frickies. Jak nic opchniesz im dziesięć butelek. O kurczę! To fantastycznie! Po ile? Jeden Waszyngton za butelkę i drugi za dwadzieścia pigułek. OK, może być. Słuchaj, Pedro Juan, tylko nie nawal! Przyjdę po ciebie koło jedenastej i zasuwamy na cmentarz. Byłeś już tam kiedyś? Nic się nie martw. Mam kogoś, kto nam to załatwi. Nie będzie żadnych problemów. Tamtej nocy rzeczywiście zrobiłem dobry interes. Weszliśmy na cmentarz od tyki, od takiej małej uliczki. Akurat wyłączyli prąd i wszędzie było ciemno jak w dupie u Murzyna. Frickies zbierali się w ogromnym panteonie z kamienia, brązu i szkła. Teraz ta budowla była już na pół zrujnowana, brudna i zapuszczona, a witraże ktoś powytłukiwał. Nad portykiem napis ze stalowych liter inkrustowanych na czarnym marmurze głosił: Rodzina Gómez-Mesa. W środku panteonu był ogromny sarkofag z jakąś leżącą postacią kunsztownie wyrzeźbioną z różowego marmuru.

Kilku frickies usa dowiło się na tym sarkofagu. W rękach mieli zapalone świece i czaszkę, którą każdy całował i zaraz potem podawał następnemu. Wszyscy palili marihuanę i łykali jakieś pigułki. Ktoś grał na gitarze i śpiewał mroczny i ponury rock. Udało mi się, bo od razu kupili ode mnie cały alkohol. W kącie czarny grabarz, który krył tych świrusów i pozwalał im wchodzić na cmentarz, rznął jednego z nich od tyłu. Byłyby niezłe jaja, gdyby się teraz pojawiła policja. Nie chciałem mieć kłopotów, więc przerwałem czarnuchowi i dałem mu dolara. Zostało mi dziewięć. Atmosfera zaczęła się coraz bardziej rozgrzewać i wyglądało, że Eduardo nie ma zamiaru odchodzić. Chyba też wziął jakieś prochy. Kutas stał mu twardo, a on sam patrzył jak sroka w kość na Murzyna, który wpychał swą wielką, czarną łagę w tyłek stojącego przed nim na czworakach faceta. Zmyłem się stamtąd. Nie będę ukrywać, że się bałem.

OCH, SZTUKA!

Postawiłem ekspres do kawy na kuchence. Akurat świeciło, więc wyjrzałem przez okno. Fajnie popatrzeć stąd z góry, jak słońce wschodzi nad morzem. Spoglądać w wieczność to dobra metoda, by uciec przed ohydą naszej cholerniej rzeczywistości. Choć prawdę mówiąc, ja się już do tej ohydy prawie przyzwyczailem. Z okien widzę nie tylko morze, chmury i całą tę nieskończoność, lecz również dachy i tarasy sąsiednich budynków. Moje mieszkanie jest w najwyższym punkcie całej okolicy. No więc patrzę i niemal oczom nie wierzę: na sąsiednim dachu, jakieś osiemdziesiąt metrów ode mnie, dwie gołe dziewczyny obrabiały jednego faceta. Gość siedział na skrzynce od piwa, a one poszły na całość. Ale się ruszały! Jedna z nich, brunetka o długich, rozpuszczonych włosach, miała duże i idealne w kształcie piersi oraz cudowne, białe ciało. Okrakiem usiadła facetowi na kolanach, by rytmicznie i z zapamiętaniem unosić się i opadać. To musiała być frajda! Druga była szczupła, lecz dobrze zbudowana. Pomagała im z boku: gryzła ich w plecy i w szyję, wsadzała język między ich usta, gdy się całowali, a równocześnie szukała czegoś ręką między pośladkami tej pierwszej. Później położyła się na tarasie i szeroko rozsunęła nogi, by tamci mogli dobrze widzieć jej szparę i czarne, gęste włosy dookoła. Zaczęła się masturbować. Och! I ja musiałem na to patrzeć z daleka! Pilnowałem się, żeby mnie nie zobaczyli. Kutas dawno mi już stanął, był twardy jak skała i teraz powoli go masowałem. Niemal mogłem ich słyszeć. W mieszkaniu Luisa zaczęła się budzić. Zawołałem ją, by też się nacieszyła tym widokiem. Ale nie. Nie lubię patrzeć na takie rzeczy. Wyszła na taras, by nad kamiennym zlewem umyć sobie zęby. Ja dalej nalegałem, więc rzuciła okiem, ale to naprawdę jej nie brało. Cholera! To dziwne, bo Luisa jest prawdziwą wariatką kiedy się pieprzmy, zawsze mi opowiada, jak to robiła z innymi. Potrafi tak bez końca. Jesteśmy z sobą od czterech miesięcy i wygląda, że repertuar tych jej historii jest niewyczerpany. Kiedy w nią wchodzę i oboje tonimy w naszej wymieszanej i wspólnej już wilgoci, Luisa zaczyna swoje opowieści i mówi: Ach, jak ja lubię takie twarde kutasy! Strasznie jestem na nie napalona. Pamiętam, że kiedyś... Coraz lepiej jej to idzie. Opowiada ze wszystkimi szczegółami i wyraźnie ją to rajcuje. To niesamowite. Lepsze niż jakaś hot line. Gratis i na żywo. Nie cierpię elektroniki. W hot lajn zawsze jest elektronika pomiędzy. Teraz facet sam sobie trzepał, a tamte dwie dziewczyny rozłożyły nogi i masturbowały się na jego oczach. I tak przez dłuższą chwilę. Potem ubrali się, usiedli na skrzynkach po piwie i zaczęli spokojnie rozmawiać. Facet wyglądał jak europejski odkrywca na wyprawie do dzikich krajów. Nawet ten jego oliwkowy plecak pasował do obrazu nieustraszonego podróżnika, który zapuścił się w tropikalny gąszcz i teraz rozmawia z tubylczymi kurwami, żeby poszerzyć swoje horyzonty myślowe. Facet uśmiechał się i słuchał. One mówiły coś, gestykulowały i też się uśmiechały. Starły się być sympatyczne, żeby wyciągnąć od gościa trochę więcej forsy, choć tutaj kurwy są na ogół tanie. Ach, te cudowne, wilgotne ilubieżne tropiki! Tropiki na każdą kieszeń. Skończyli w porę. Na sąsiednich tarasach pojawili się ludzie, którzy zaglądali do cystern. Sprawdzali, czy jest w nich woda, czy też przez kilka następnych dni trzeba się będzie bez niej obywać. Zrobiłem sobie kawę i nagle usłyszałem krzyk takiej jednej staruchy, która mieszka na parterze: Pedro Juan, telefon! Czysty zysk dla niej, gdy jestem akurat w tej mojej norze na tarasie, bo bierze ode mnie po peso za każdy taki telefon. Dzwoniła Carmita. O siódmej rano potrafi już zawracać głowę. Mam zaraz do niej przyjść. Och, kurczę, znów jakiś pilny poranny biznesik! Luisa wyszła do tej swojej pracy na poczcie. Zarabia tam niewiele. Sto razy jej mówiłem, żeby rzuciła to w diabły. Gdyby zajęła się handlem, wyciągnęłaby trzy razy więcej. Ponieważ u nas nie ma niczego (choć z drugiej strony, jest wszystko, tyle że w sklepach za dolary i po cenach z Tokio), wystarczy pohandlować długopisami, zapalniczkami, kopertami i innymi tego typu drobiazgami, żeby wyjść na swoje. Można wtedy gwizdać na godziny pracy, szefów i na wszystkie kontrole. Wystarczy mieć trochę sprytu, by zbić niezłą kasę. Trzeba umieć wykorzystać kryzys: w mętnej wodzie ryby dobrze biorą. Szkoda, że nie jestem z tymi rekinami na górze, które umieją wyrwać najlepsze kąski. Ale cóż: gdzie rekin żeruje, dla innych zawsze też coś zostaje. To normalne. Nalałem sobie jeszcze kawy. Zapaliłem papierosa, a potem wyszedłem. Już o ósmej rano na bulwarze San Rafael zaczyna się ruch. Pełno jest też policji, która próbuje kontrolować te wszystkie interesy ubi jane na

chodniku, ale i tak co chwila ktoś podchodzi do ciebie i szepcze ci na ucho: pizza, hamburgery i zimna oranżada, dolary po pięćdziesiąt, szybko, zostały mi już tylko dwa, orzeszki i kokosy, orzeszki i kokosy i tak w kółko. Można kupić wszystko. Od trzydziestu pięciu lat nie słyhać na Kubie wydzierających się ulicznych sprzedawców. Teraz jednak pomału znów się zaczynają pojawiać. Na razie lekliwie i ostrożnie. Nie krzyczą tylko szepczą. Czasem tak cicho i szybko, że nie bardzo rozumiesz. Zdarza się też, że policja łapie jakiegoś pechowca i konfiskuje mu torbę z pizzami lub hamburgerami. Nieszczęśnik oddaje mu ją bez żadnych protestów, bo wie, że inaczej będzie grzywna, sąd i wpis do rejestru skazanych. Przestępca i gliniarz mają wiele wspólnego. Przeciwności się przyciągają.

Kryzys był naprawdę głęboki i dotykał nas wszystkich, przenikając cały nasz umysł i duszę. Głód i nędza są jak góra lodowa: na powierzchni nie widać ich największej i najważniejszej części. Wszystko trzeba robić stopniowo, towarzysze, i nie tracić kontroli nad tymi przemianami. Powoli dojdziemy do gospodarki rynkowej i zintegrujemy się ze współczesną globalną rzeczywistością ale nigdy nie zapomnimy o pryncypiach, itd., itd. Kurwa! Niezapomniane lata dziewięćdziesiąte! Pomału jednak przychodziłem do siebie. Zupełnie. I byłem nasycony seksem. Codziennie dwa lub nawet trzy razy spuszczałem się w Luisę. To bardzo dobrze robi na umysł. Pozbywasz się spermy w miarę, jak ją produkujesz. Nic nie zalega ci w magazynach i mnóstwo rzeczy od razu się układa. Tak samo z siebie. Nie musisz się już nimi przejmować. Zawsze mówiłem, że mężczyzna bez kobiety to kompletna katastrofa. Przystanąłem, żeby popatrzeć na choinki. Ot, kilka małych, zielonych sosenek. Od lat nie widziałem, by ktoś sprzedawał u nas choinki. Konkretnie od czasu, gdy zniesiono dekretem Wigilię, Boże Narodzenie, Trzech Króli i wszystkie tego typu rzeczy. Sporo ludzi zatrzymywało się i patrzyło. Większość z nich przez całe swoje zasrane życie nie widziała bożonarodzeniowego drzewka. Nagle słyszę za sobą jakiegoś Murzyna: Kotku, daj się ugryźć w cycek! Na to ona: Zjeżdżaj albo ja ciebie ugryzę w kutasa! Facet nalega: No, nie bądź taka! Tylko raz i nie mów tak głośno, bo ludzie na nas patrzą. I tak przekomarzali się jeszcze przez chwilę. Obejrzałem się. Piękna czarna dziewczyna i wielki, mocny Murzyn. Oboje świetnie się bawili.

Lubię ten bulwar. Mogę tam spotkać wszystkich kumpli od interesów i czasem mi coś z tego kapnie. Teraz jednak śpieszyłem się, bo czekała na mnie Carmita, i oto musiałem akurat wleźć na Panchita. Cholera! Ten to ma zawsze gadane. Próbowałem mu się jakoś wymknąć. Nic z tego. Hej, Pedro Juan! Słuchaj, stary, śpieszę się. Pogadamy później. Nie, nie, poczekaj! Kurczę, stary, nie mam czasu. Jestem umówiony. Nie wygłupiaj się, Pedro Juan! Chodź, chciałem się o coś spytać. Znasz kogoś, kto sprzedaje dętki do roweru? Nie, ja w tym nie siedzę. Myślałem, że może. Jestem załatwiony. Ja nie potrafię bez roweru. Te autobusy do Montilli to kurewstwo. Cześć, Panchito. Muszę iść. Dobra, stary. No to na razie. Trzymaj się. Panchitowi trzeba zawsze przerwać, bo inaczej zagadałby człowieka na śmierć.

W końcu doszedłem na róg Zanja i Dragones. Carmita mieszkała u wejścia do dzielnicy chińskiej, w czymś, co było dawniej szerokim korytarzem dokładnie nad redakcją dziennika Chung Wa. Przerobiła trochę tę norę i osiadła w niej z ojcem inwalidą który nie wstawał z wózka. To było paskudne miejsce: niskie, ciemne, duszne i zawsze pełne kurzu. Nie wiem, jak można było tam mieszkać. No dobra, ale co mnie to obchodzi. Nigdy nie pytałem, co się stało ze wspaiałą rezydencją którą jej rodzina miała w naszym mieście. To był taki fajny pałacyk z początków wieku, a dokoła same ogrody. Czasami lepiej jest nie pytać. Carmita zawsze do mnie dzwoniła, gdy kroił się jakiś dobry interes. Teraz miałem siedzieć u niej i czekać, aż nas zawia domi, a potem pójść w takie jedno miejsce, gdzie były dwa obrazy do zabrania: Lam i Portocarrero. Mieli tam też małego Picassa, ale na niego było jeszcze za wcześnie. Na razie wszyscy w Hawanie mówili, jak to z rezydencji pewnego bogatego faceta na Miramarze zniknął ten właśnie Picasso. Taka prosta sztuczka: abrakadabra, był obraz, nie ma obrazu, szukaj wiatru w polu.

No więc pójdę, przyniosę Lama i Portocarrera i dadzą mi za to sto dolców. Dobra, mogę czekać. Spędziliśmy cały dzień, pijąc rum i zagryzając frytkami. Siedzieliśmy pod czymś w rodzaju szklanej ściany zamykającej ten przerobiony na mieszkanie korytarz. To był pomysł Carmity, która chciała w ten sposób wpuścić do środka trochę dziennego światła. Nieźle jej to wyszło: drewniana konstrukcja z wprawionymi płytkami z kryształowego szkła, a wewnątrz pomieszczenia stosy książek, mnóstwo starych mebli, porcelany, figurek z kości słoniowej, jadeitu i brązu. Zupełnie jak w muzeum. To była prawdziwa fortuna. Było jednak coś przykrego i przygnębiającego w tej zagraconej galerii. Nie wiem co, ale wyraźnie to czułem. Siedziałem smutny i zgaszony, jakbym się miał za chwilę rozplakać. Z początku myślałem, że to rum, choć z drugiej strony, po rumie zwykle jestem swobodny i beztronski. Nie rozumiałem, co się ze mną dzieje. Carmita też to zauważyła.

Co jest z tobą? Czemu nic nie mówisz? Nie wiem. Tak mi się zrobiło smętnie. Masz jakieś kłopoty? Zawsze mam kłopoty. Już się przyzwyczałem. Wiesz, że w końcu naprawdę jestem gotowa w to uwierzyć? W co? Te szyby są z trumien. Matko Boska, Carmita! Wzięłaś je z cementarza? Ja wierzę tylko w Boga i w świętych. Te

wszystkie wasze zabobony to kompletna bzdura. To niedobrze, Carmen, bardzo niedobrze. Dlaczego musiałaś wstawić akurat te szyby? Bo normalnych u nas nie ma. Przecież wiesz. Za żadne pieniądze ich nie dostaniesz. Te sprzedał mi taki grabarz z cmentarza Colón. Pasowały mi do tej ściany. Ale faktem jest, że wiele osób ; tu siada i czuje to samo, co ty. Niektórzy nawet płaczą. Kurwa, ty zupełnie zwariowałaś! Tego się nie robi. Ci zmarli tutaj autentycznie są. Ja ich czuję. Dlatego tak ci nic nie idzie. Musisz wyrzucić te szyby i oczyścić dom. Niczego nie będę wyrzucać ani oczyszczać! Ja nie wierzę w te cholerne gusła. Nie gniewaj się, ale te twoje naszyjniki, figurki i czerwona chustka to naprawdę idiotyzm! Rób, jak chcesz, ale lepiej tak nie mów. Wtedy akurat przyszła dziewczyna Carmity. Od dawna już były razem. Carmita i ja znaliśmy się od dziecka. Mieszkaliśmy w tej samej dzielnicy i chodziliśmy do tej samej szkoły. Carmita zawsze mi się podobała. Była miła i ładna. Później utraciliśmy z sobą kontakt. Wyjechałem z mego rodzinnego miasta i dopiero po latach pewnego dnia spotkaliśmy się w Hawanie. Skończyła architekturę i była już zdecydowanie lesbijką. Schudła, wyglądała dość mizernie i w oczach miała jakby pewną melancholię. Nie pracowała w zawodzie, tylko prowadziła jakieś podejrzanym interesy z antykami i dziełami sztuki. Znała się na tym, a zwłaszcza wiedziała, ile co kosztuje u nas i za ile mogą to sprzedać w Europie te wszystkie skurwysyny z ambasad, które były jej klientami. Fajnie być dyplomatą. Masz immunitet i walizkę, której nikomu nie wolno otworzyć. To dobrze. To tak, jakby ci mówili: rób, co chcesz, wszyscy mogą ci naskoczyć. Policja, prokurator, więzienia dla ciebie nie istnieją. Ty jesteś ponad tym. Jesteś supermanem. Carmita i jej dziewczyna poszły do niży, która była w głębi mieszkania. Zostałem w tej galerii pełnej zakurzonych gratów, piłem rum i zrobiłem się jeszcze bardziej smutny niż pingwin na pustyni. Po chwili mnie zawołały. Była dziesiąta wieczór, wigilia świętego Łazarza. Carmita miała jego malutki ołtarzyk, który teraz ozdobiła kwiatami. Chciała, żebym ja też zapalił świeczkę. Postaliśmy jakiś czas przed ołtarzem, był tam także jej ojciec na wózku. Przypuszczam, że po zapaleniu świeczki każdy chciał się trochę pomodlić. Kiedy skończyliśmy, cała galeria za nami płonęła. Wszystko było w ogniu: książki, meble, drewniany strop i szklana ściana. Żar był piekielny. Kurwa, Carmita, mówiłem ci! Nie pierdol teraz, Pedro Juan, tylko pomóż mi wyciągnąć obrazy! W trójkę udało nam się wydobyć kilka obrazów schowanych za bibliotecznymi szafami: Amelię Pelaez, Romanacha i Poncego. Potem jeszcze jakąś figurkę z kości słoniowej. Płomienie były gigantyczne i na głowy leciały nam kawałki sufitu. Zbiegliśmy po schodach. Poparzyłem się trochę, ale na szczęście niegroźnie. Na ulicy była już policja, za to strażaków ani śladu. Patrzyliśmy jak skamieniali na ten pożar. Zaczął się w galerii i po paru minutach ogarnął całe piętro. Ja gapiłem się jak zahipnotyzowany na niebieskie graffiti na murze: Lilliam, przeszłaś samą siebie, niech inni też o tym wiedzą. Erick. Gdy akurat strzelały płomienie, napis rozbłyskiwał na czerwono i pomarańczowo, a potem znów nikał w ciemnościach. Ocknąłem się, gdy usłyszałem krzyk policjanta. Kazał nam się odsunąć. Potem podszedł do nas jeszcze jeden gliniarz. Został ktoś w środku? Są ofiary? Wtedy przypomnieliśmy sobie o ojcu Carmity. Carmita krzyknęła, rzuciła na ziemię obrazy i figurkę, po czym wbiegła w płomienie, wołając: Tatusiu! Tatusiu! Już z nich nie wyszła. W końcu przyjechali strażacy. Opanowali pożar. Chińczycy z gazety kręcili się nerwowo, podskakiwali i jęczeli, że tracą swoją redakcję. Zbiegło się mnóstwo gapiów. Dziewczyna Carmity siedziała na krawężniku i zanosila się płaczem. Jeden z gliniarzy zebrał z chodnika obrazy i figurkę. Nie miał pojęcia, co to jest, ale w każdej chwili mógł przyjść jakiś inny, który będzie wiedział. Uznałem, że czas się stamtąd zmywać. W ogólnym zamieszaniu bez problemu udało mi się przejść przez policyjny kordon. Nikt mnie o nic nie pytał. Poszedłem przez Dragones w stronę Pra do. Była już prawie północ. Za parę minut miał się zacząć dzień Świętego Łazarza. Usiadłem na ławce i pomodliłem się. Prosiłem świętego Łazarza, by mi teraz pomógł. Nagle usłyszałem w głowie jakiś głos, który kilka razy powtórzył: Pomogę ci, wędrowcze. Pomogę ci, wędrowcze. Czasem chyba nawet zawsze lepiej jest kierować się tylko intuicją i nie myśleć za dużo. Zastanawianie się potrafi człowiekowi spieszyć wiele rzeczy w życiu. No więc w ogóle nie myśląc, wstałem i poszedłem w stronę Casablanki. O czwartej nad ranem miałem stamtąd pociąg do Matanzas. Wybierając najciemniejsze ulice, dotarłem w końcu na nabrzeże. Nie chciałem się nadziać na jakiegoś policjanta, który mógłby mnie wylegitymować. Całą godzinę przeczekałem w bramie. Wreszcie pojawiła się łódź. Przepłynąłem zatokę. W Casablance kupiłem bilet i wsiadłem do pociągu. Elektrowóz, który pięćdziesiąt lat temu służył w cukrowniach Herseya, i trzy towarowe wagony, przerobione teraz na osobowe: w ścianach miały wycięte otwory, które udawały okna, a do środka wstawiono im po siedemdziesiąt wąskich i twardych jak stal plastikowych siedzeń. U sufitu zamontowano w każdym po jednej kłozetowej żarówce. Wokół tych żarówek tłuste pająki rozpięły swe sieci i kołyszając się na nich, łapały dziesiątki małych ciem, które leciały ogłupiałe ku tym mizernym źródłom światła. Pająkom nie brakowało jedzenia, choć ich menu było dość monotonne. Przypuszczam, że chętnie od czasu do czasu wysysałyby sobie jakąś smakowitą muchę. Pociąg odjechał punktualnie o czwartej. Niesamowite! W tym kraju coś jeszcze funkcjonuje. Był prawie pusty. Wśród pasażerów najbardziej rzucał się w oczy taki młody chłopaczek, najwyraźniej pedał. Jechało z nim jeszcze trzech innych i wszyscy wyglądali na jakichś świrusów,

narkomanów albo na coś w tym rodzaju. Może uciekli z przytułku dla adidasów. W wagonie był też potężny, brudny Murzyn w spodniach uszytych z jutowego worka. Wybrał się do świętego Łazarza, by spełnić jakiś ślub. Obok mnie siedziała gruba i chyba dość stuknięta starucha, która parę razy próbowała nawiązać ze mną rozmowę. Zawsze kładła mi przy tym rękę na udzie, aż w końcu kazałem jej się odpierdolić i poszukałem sobie miejsca w przeciwnym kącie wagonu. I wreszcie taka jedna biało-czarna para. Ona, piętnastoletnia farbowana blondynka o mocno nieświeżym wyglądzie, paliła jednego papierosa po drugim. W lewej ręce trzymała chustkę, którą zasłaniała szyję. Z początku myślałem, że miała jakąś operację albo coś, potem przyjrzałem się jej uważniej. Nie. Na jej szyi było pełno malinek i śladów po ukąszeniach. Jej towarzysz czarny i ogromny orangutan cały czas wpatrywał się w nią obejmował ją, głaskał i ślinił się obrzydliwie. Ona była w siódmym niebie. Opuszczała chustkę, pokazywała mu swoje siniaki i mówiła głośno, by wszyscy wiedzieli, że potrafi wyzwolić aż tak dziką pasję: Popatrz, co mi zrobiłeś! Nie rób tego więcej!

Nie mogłem spać. Nie dało się na tych siedzeniach. Podniosłem z podłogi stronę wyrwaną z jakiegoś czasopisma: na wyspie Wight poszukiwacze skamieniałości ukradli odcisk nogi dinozaura sprzed stu dwudziestu milionów lat. Musieli podpłynąć od morza, użyć specjalnych pił, wyciąć dwustukilowy skalny blok i potem przenieść go do łodzi, a wszystko po to, żeby zarobić czterysta dolarów. Aż trudno uwierzyć, że komuś chciało się tak męczyć i ryzykować dla gównianych w sumie pieniędzy. Ale cóż, ludzie się nudzą. Zobaczą film o dinozaurach i zachowują się jak dzieci. Od razu im się marzy, żeby mieć w ogrodzie taką ogromną skamielinę. Nie, ja jednak wolę zajmować się obrazami i antykami. Szkoda tylko, że teraz te moje interesy szlag trafił. Pociąg powoli sunął przez ciemności nocy, dwadzieścia, dwadzieścia pięć na godzinę. Nie mógł szybciej, bo wagony wyskoczyłyby z szyn. Do Matanzas dojechał zgodnie z rozkładem. O ósmej dziesięć. Znow byłem w miejscu, gdzie się urodziłem. Znow witała mnie ta cholerna dziura z całym moim starym ładunkiem gówna i ra dości. Ciągle mnie tu zna za dużo ludzi. Już o ósmej rano wszyscy są na ulicy, biegają patrzą, węszą, szukają kilku peso. Powinienem gdzieś się ukryć. Pomogę ci, wędrowcze. Pomogę ci, wędrowcze. Nie miałem jednak żadnego pomysłu. OK. Wyszedłem z dworca. Minałem kilka przecznic, zobaczyłem z daleka dom, w którym mieszkałem przez dwadzieścia pięć lat. Byłem tam szczęśliwy, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Dopiero kiedy szczęście minie, człowiek urnie je dostrzec. Miałem w Matanzas kuzynkę. Odnalazłem jej dom. Nie wiedziałem jeszcze, co jej powiem. Po drodze nie musiałem nic mówić, bo nie spotkałem żadnych starych przyjaciół (ani starych wrogów, co byłoby jeszcze gorsze). To była taka fajna kuzynka. Wyszła za męża za bardzo porządnego i pracowitego faceta, tyle że okropnie szorstkiego. Drapał jej życie niczym papier ścierny. Zaparzyła mi kawę i nałożyła na talerz trochę ryżu z fasolą. Zjadłem, a potem zrobiłem sobie długą drzemkę. Obudziłem się w dużo lepszej formie i pomyślałem, że czas się już pożegnać i iść dalej. Wtedy jednak przyszedł jej mąż. Wracał ze swo jego pola, które miał pod Matanzas. Był to mocny, sześćdziesięcioletni mężczyzna. Postawił na stole rum. Kiepski i śmierdzący naftą, ale facet rozpyływał się nad nim, jakby to było jakieś markowe brandy. Wtedy postanowiłem się przyznać, że jestem bez pracy, że ostatnio ciągle puszczają mi nerwy i że mam chyba jakiś psychiatryczny problem. Że chciałbym uciec na jakiś czas z Hawany i pozbierać się trochę. Ciągle mnie kusi, żeby wyjść na taras i skoczyć te czterdzieści metrów w dół na ulicę. Ach, Pedrito, niech cię Bóg bron! Nawet tak nie mów! wykrzyknęła moja kuzynka. Dość mam tego dzia dowania, głodu i tych wszystkich ludzi dookoła. Każdy tylko myśli, jak cię wykantować i orznać na kilka marnych peso. Bo to jest właśnie bieda. Gówno ciągnie do gówna. Wtedy odezwał się ten facet: Zostań u nas, to sobie odpoczniesz. Możesz mieszkać w szałasie na działce. Tam jest spokój i nie będziesz się widywać z nikim. Przy okazji trochę mi pomożesz. Znasz się na robocie w polu? Różne już rzeczy robiłem. Co tam masz? Jukę, kukurydzę, fasolę, maniok, dynie, orzeszki. Wszystkiego po trochę. Dzięki temu jakoś żyjemy. To kompletne zadupie, trudno trafić, ale ziemia jest dobra, wypoczęta. Dawniej były tam same chwasty. Co tylko zasiejesz, pięknie rośnie. Dobrze. Zostanę. Następnego dnia obudził mnie o piątej. Doszliśmy na tę jego działkę o świcie. To był autentyczny raj. Od lat nie byłem poza miastem, nie szedłem w ciszy przez pola otulone poranną mgłą w której było tylko widać niewyraźne sylwetki krów pasących się na mokrej od rosy trawie. Drzewa, krzewy i delikatna szara zieleń. Facet miał na działce kryty palmową strzechą szałas i nawet studnię. Wieczorem zostawił mnie tam, aja podałem przez niego kartkę do mojej kuzynki: Zostaję. Chcę trochę podkurować nerwy. Gdyby ktoś o mnie pytał, nic nie wiesz. No i tu jestem. Diczęję. Moja kuzynka mówi, że zawsze byłem stuknięty. Niech tam sobie siedzi. Wkrótce mu się znudzi. Ale nie. To cudownie być tak samemu w górach, gdzie jest tylko zieleń i błękit. Żadnych trosk. Żadnych obaw. Na nic się nie czeka. Tylko ziemia, niebo i dokoła zieleń. Przepięknie. A poza tym, gdyby mnie dopadli w Hawanie, dopiero dostalby w dupę.

NIC DO ROBOTY

Kiedy mówi się, że człowiek jest tygrysem, nie znaczy to, że ma pazury i pręgowaną skórę.

Miasta, jak sny, są zbudowane z pragnień i lęków, nawet jeśli wątek ich mowy jest utajony, zasady absurdalne, perspektywy złudne, a każda rzecz kryje w sobie inną.

ITALO CALVINO, Niewidzialne miasta

(tłum. Alina Kreisberg)

NIC DO ROBOTY

Koło południa poszedłem odwiedzić moją ciotkę, która mieszka w Starej Hawanie. Ma raka jelit. Lekarze postawili już na niej krzyżyk. Nie chcą jej trzymać w szpitalu, bo nie bardzo wiedzą co mogliby z nią zrobić. Lekarze to świetni dplomaci. Nigdy się nie przyznają do błędów albo że czegoś nie wiedzą. No dobrze, ich błędy kryje ziemia, a ignorancję też można zamaskować. Powiedzieli mi: Pańska ciotka jest już w terminalnym stanie. Niech ją pan weźmie do domu. Zostały jej może jakieś dwa tygodnie życia. Stara kona już dwa lata. Wariuje z bólu, ma ciągle krwotoki i okropnie boi się śmierci. Zawsze była wredną babą, ale nie wydaje mi się, że Bóg powinien aż w taki sposób kogoś karać. Lecz cóż, z Bogiem nie da się dyskutować. Opiekuje się nią sąsiadka. Za kilka peso miesięcznie jakoś tam próbuje jej pomóc. Ciotka jest chuda jak szkielet, ciągle wyje z bólu, ale na mnie to już nie robi wrażenia. Człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. Szedłem powoli przez miasto. W soboty jest mało autobusów w Hawanie. Właściwie w ogóle ich nie ma. Najlepiej jest się nie przejmować. Nie przejmować się, że ciotka umiera na raka, że brakuje jedzenia, że autobusy nie jeżdżą że nie mam pracy. Tak jest najlepiej. Dzisiaj na pierwszej stronie w gazecie był wywiad z jakimś ważnym i nadętym ministrem. I oto, co powiedział ten gruby i za dowolony z siebie facet: Kuba nie jest ani rajem, ani piekłem. Ja bym od razu zapytał: No to czym jest? Przedpiekłem? Ale nie. Dziennikarz tylko uśmiechnął się przymilnie i zrobił z tego zdania wielki nagłówek wywiadu. Byłem wyluzowany i spokojny. Seksu miałem dużo, za to żadnych trosk. No dobrze, zawsze są jakieś troski, ale teraz nauczyłem się je od siebie oddalać. Nabierałem do nich pewnego dystansu, odsuwając je w przyszłość. To dobry sposób, żeby się stały trochę mniej wyraźne i żeby je można było ignorować. Miałem w domu kobietę. Przytyłem parę kilo. I żyłem. Żyłem, nie mając nic do roboty. To się chyba nazywa wegetacją. Człowiek prześlizguje się przez życie i na nic już nie czeka. To takie proste. Przed Muzeum Narodowym ślamazarnym krokiem szła para turystów. Grubi, wielcy, gąbczaści, brzydzy, biali, czerwoni, łuszczący się, nie z tego świata. Tak właśnie wyglądali. On, starszy facet z laską taszczył ogromną ciężką torbę. Nie wiem, co mógł w niej mieć. Było spokojne, słoneczne, sobotnie popołudnie. Prawdopodobnie wybrał się z żoną na spacer. Ona była równie przerażająca. Oboje ubrali się jak gdyby właśnie byłajesień w jakimś zimnym mieście nad fiordem. Byli spoceni, oszołomieni i rozglądali się na wszystkie strony. W skupieniu czytali przewodnik, a potem patrzyli na historyczny okręt i historyczne samoloty pod historycznymi drzewami. Nic nie rozumieli. Facet spojrzał na mnie. Usta miał zapadnięte, jak gdyby ktoś go strzelił pięścią w twarz. Patrzył na mnie i patrzył. Skorzystałem z okazji i wyciągnąłem swoje trzy błyszczące monety po jednym peso, z wizerunkiem Che: Good afternoon. How are you? Do you like a coin? Js a commemeratiye coin with Che Gueyara image. Only one dollar eyery one. No, shit, yougrrrrhttcchssyyye, aut, out! Nie zrozumiałem, co miało znaczyć to warczenie. Na dodatek facet zamachnął się na mnie laską. Kurczę! Tacy ludzie w ogóle z domu nie powinni wychodzić! Wątroba im na pewno do reszty wygniła i jak otworzą usta, to zionie od nich trupem. Ugryź się w dupę, ty stara pierdoło! Też mnie nie zrozumiał, ale przynajmniej ulżyło mi, że coś mu odpowiedziałem. Boże, co za ludzie! Na szczęście nie wszystko jest takie gówniane. Szedłem przez Trocadero w stronę domu i gdzieś koło numeru 162 spotkałem takie młode małżeństwo z malutką dziewczynką. Też wybrali się na spacer. Ona była niewiarygodnie piękną Mulatką w krótkiej białej spódniczce i z krągłym, twardym, dobrze ulokowanym tyłeczkiem. Taka Mulatka wprowadza niepokój w krajobraz. Nie chodzi tylko o ten jej tyłek, ale o nią całą. O nią, ciepłą zmysłową o jej obcisły podkoszulek, o jej cynamonową skórę. Takie Mulatki umieją się poruszać. Chodzą rytmicznie i z cudowną gracją. Wiedzą jaką mają władzę. Idą przez Życie, burząc spokój i wywracając wszystko. Obok niej był jej mąż taki dobrze ubrany Murzyn i mała, może trzyletnia córeczka. Właśnie dlatego Kubańczykom jest tak trudno żyć poza krajem. Tutaj możesz głodować, możesz niczego nie mieć, ale ludzie są zupełnie inni. Tacy jak ta Mulatka. Teraz ma jakieś dwadzieścia trzy lata, lecz gdy skończy czterdzieści lub nawet pięćdziesiąt, będzie tak samo piękna. Wiesz, że ona tu jest, że możesz się w niej zakochać. I że możecie być razem szczęśliwi. Przynajmniej przez jakiś czas. Nim jeszcze wróciłem do domu, wstąpiłem na róg Manrique i Laguna. Był rum. Stałem w kolejce, by kupić swoją przydziałową butelkę. Jedną na miesiąc. Miałem akurat przy sobie książeczkę zaopatrzeniową której normy teraz, w 1995 roku, zakrawają na autentyczną kpinę. Kolejka posuwała się wolno. Miałem kupę czasu. Zająłem miejsce i poszedłem do mojego budynku. U takiej jednej zgrzybiałej staruchy na pierwszym piętrze kupiłem pustą butelkę. Wróciłem do kolejki.

Oczywiście, był już tam Trajkotka. Coś tam podśpiewywał, pieprzył i zawracał głowę jak zwykle. Trajkotka to taki brudny i obdarty dziadyga. Zawsze udawało mu się wyciągnąć od kogoś trochę rumu. Miał go w puszcze po piwie, którą stale nosił przy sobie. Śpiewał, opowiadał głupoty i zaczepiał ludzi w kolejce. Ci z początku próbowali go ignorować, ale on z pi jackim uporem czekał, aż ktoś na niego choćby mimochodem spojrzy. Wtedy kłaniał się i dziękował, a gdy ten ktoś podchodził wreszcie do lady, Trajkotka wyciągał swoją puszkę. To był jego stały numer. Coś mu tam zawsze kapnęło. Centymetr rumu raz na pół godziny wystarczał, by Trajkotka mógł się utrzymać na permanentnym rauszu. No i właśnie teraz Trajkotka popatrzył na takiego młodego chłopaka, pół-Mulata o nieco orientalnych rysach. Ukłonił się mu i zaczął coś śpiewać o piwie i o rumie, a wtedy tamten facet najeżył się i krzyknął: Odwal się ode mnie, ty stary pi jaku! Nie ze mną takie numery! Lepiej nie podchodź, bo ci wpakuję kulę w ten twój bandzioch! Podniósł bluzę i pokazał pistolet. Trajkotka wziął to za wyzwanie. E tam! Trzeba mieć jaja, żeby wyciągnąć pistolet! Słyszę, jak ktoś za mną mówi: Ten gówniarz jest z policji. Taki porypany skurwiel. To się może źle skończyć. Facet zaciska usta i patrzy gdzieś w bok. Pozuje na twardziela. Trajkotka dalej go prowokuje. Zginiesz! Myślisz, że mężczyznę można tak łatwo przestraszyć? Siegnij tylko po tę pukawkę, a zobaczysz! Ciekawe, kto tu ma jaja! Z końca kolejki jakieś dwie kobiety wołają: Chodź tu, Trajkotka! Zaśpiewaj nam coś lepiej! Facet ma jeszcze bardziej zacisnięte usta i piorunuje Trajkotkę spojrzeniem. Nie sięga jednak po pistolet. Trajkotka idzie na koniec kolejki i zagaduje do tych dwóch kobiet. Nagle ktoś woła dyszkantem: Oj, zbiją nam policjanta! Ludzie się śmieją, a facet robi się czerwony jak burak. Chyba cała krew mu napłynęła do twarzy. Na końcu kolejki Trajkotka coś opowiada o najeździe żółtków, którzy paskudzą Hawanę. Potem zaczyna śpiewać jakiś kuplet, w którym Hawana rymuje się z marihuaną. No dobra. Rozeszło się po kościach. W końcu jest moja kolej. Podchodzę do beczki. Napełniajami rumem butelkę. Stempluję kartkę. Płacę. Idę prosto do mojej klitki na płaskim dachu budynku. Nie ma tam teraz nikogo. Stary dziadek, który mieszkał obok, niedawno się zabił. Jego żona dostała fobii do tego mieszkania, bała się być sama, więc przeprowadziła się do córki. Luisa też gdzieś wyszła. W powietrzu wisi ciężki zapach perfum. Wylała na siebie chyba pół butelki. Luisa lubi takie ostre perfumy. U niej wszystko jest ostre i wyzywające. Teraz na pewno łązi po Malecónie. Jest już prawie wieczór. Może dziś w nocy zrobi gdzieś porządną kasę. Piątki i soboty są niezłe, choć z każdym dniem jest coraz większa konkurencja. Nalałem sobie szklanekę rumu i usiadłem spokojnie na tarasie. Morze jest całkiem gładkie, a zachodzące słońce złoci fort na El Morro. Ogromny i pusty tankowiec wypływa właśnie z porw. Widzę trzech marynarzy, którzy coś robią na dziobie. Zbierają jakieś rzeczy. Słyszę łagodny szum maszyn. Statek jest tak wielki i płynie tak blisko, że niemal czuję wibrację jego stalowych płyt. Cały jest zielono-czerwony i szybko się oddala. Niknie w przedwieczornej mgłę. Jakiś samotny facet w białym ubraniu stoi na trzecim pokładzie. Wychyła się przez reling i patrzy na piękne, złote miasto. Ja też patrzę na zielono-czerwony statek, który jest coraz dalej i rozplywa się we mgłę.

MISTRZOWIE I TCHÓRZE

Lubię się masturbować, wachając sobie pachy. Podnieca mnie zapach potu. Bezpieczny i aromatyczny seks. Zwłaszcza wtedy, gdy wieczorem czuję się napalony, a Luisa jest gdzieś na mieście, szukając kilku peso. Choć teraz to już nie jest to samo. Gdy ktoś ma czterdzieści pięć lat, to mu słabnie libido. Nie mam już tyle spermy. Raz na dzień jeden rachityczny wytrysk. No cóż, zaczyna się takie męskie klimakterium: mniejsza potencja, mniej zainteresowania, jaja pracują coraz wolniej. Ale i tak wokół mnie jest ciągle pełno kobiet. Myślę, że mam też więcej życia duchowego. Ha, ha! Ja i życie duchowe! Nie, to wcale nie znaczy, że jakoby teraz jestem bliżej Boga. Ładnie brzmi takie zdanie: Och, czuję się tak blisko Boga! Nie. Ja tak nie mówię. Bóg czasem daje mi jakieś znaki. A ja wciąż próbuję. I tyle. No dobra, koniec. Masturbować się, to jakby tańczyć solo: z początku jest fajnie i Okej, ale potem nagle zdajesz sobie sprawę, że wyglądasz na durnia. Kurwa! Co ja tu robię przed lustrem, trzepiąc sobie konia? Ubieram się i wychodzę. Wszystko na mnie jest brudne i przepecone. Wiem, że dziś wyglądam zdecydowanie obrzydliwie. Na schodach, na piątym piętrze, spotykam tych naszych dwoje głupków. Płaczą. To taka młoda para. Niedorozwinięci, downy, kretyni, nie wiem. W każdym razie na pewno nie są do końca normalni. Od lat mieszkają razem i aż śmierdzą z brudu. Ciągłe po kryjomu srają na schodach i sikają, gdzie popadnie. Często chodzą na golasa po domu, a czasem nawet pokazują się tak na zewnątrz. Ślinią się, nieustannie jest z nimi jakiś problem. No i teraz ona właśnie siedzi na stopniu i płacze wniebogłose. Zalana łzami powtarza w kółko swemu facetowi: Ja cię bardzo kocham, ale tak dłużej nie mogę. Ja cię bardzo kocham, ale tak dłużej nie mogę. Ja cię bardzo kocham. Aj, mój słodziutki, aj, ja cię bardzo kocham, ale tak dłużej nie mogę! On tymczasem pali papierosa, odsuwa się, żeby zrobić mi przejście, i mówi: Ja wiem, że ty mnie kochasz, mój skarbie; ja wiem, że ty mnie kochasz, mój skarbie. A potem sam też zaczyna płakać. Przynajmniej dzisiaj nie zesrali się na schodach. Tak naprawdę to przydałaby się im szcztotka, mydło i dużo zimnej wody. Wychodzę

na ulicę w blask wczesnego popołudnia. Zatrzymuję się. Jest czwarta. Co ja mam robić? Iść na siłownię, żeby poboksować trochę, czy na róg Paseo i Dwudziestej Trzeciej? Ostatnio wygrałem tam dwadzieścia dolarów w rosyjską ruletkę. Jest dobra pora. Na pewno ktoś tam będzie. Pójdę na rosyjską ruletkę. Lubię chodzić powoli, ale nie potrafię. Zawsze mnie coś goni. To bez sensu. Skoro zgubiłem kierunek, to po co mam się śpieszyć? Ja wiem? Może właśnie dlatego: jestem tak pogubiony, że ciągle muszę biec. Boję się stanąć choćby na chwilę i odkryć, że właściwie nie wiem, gdzie ja, kurwa, jestem. Wstąpiłem do Las Vegas. Las Vegas jest wieczne. Zawsze tam było, jest i będzie. To właśnie w Las Vegas ona śpiewała bolera. W kącie jest wciąż to samo pianino, tak samo stoją butelki nad barem, tak samo rum podają lodem. Wszystko jest jak zawsze. Dobrze jest wiedzieć, że są jakieś rzeczy niezienne. Strzeliłem sobie dwa rumy. Było bardzo cicho, bardzo zimno i bardzo ciemno. Na zewnątrz upał, wilgoć, światło i cholerny hałas, aty wchodzisz do tego kabaretu i nagle jesteś w innym świecie. Zupełnie jakbyś wszedł do grobowca, w którym czas się zatrzymał. Usiadłem i od razu mój mózg zaczął intensywnie pracować. Duch i materia. I to jest wszystko. Wypi jam szklanekę rumu i już zaczyna się między nimi konflikt. Bolesny konflikt. Duch ciągnie w jedną stronę, a materia w drugą. Ja jestem pośrodku: rozdarty. Rozkawałkowany. Próbowiałem zrozumieć coś, ale to było trudne. Jest prawie niemożliwe zrozumieć cokolwiek. I do tego jeszcze ten strach. Strach, który od dziecka mi towarzyszy. Teraz zawzięłem się, żeby go pokonać. Zaczęłem trenować boks, stawałem się twardy. Chodziłem na siłownię, żeby boksować się, z kim popadnie, ale w środku wciąż cały drżałem. Starałem się bić mocno: starałem się być odważny, ale nic z tego. Strach tkwił we urnie i dalej robił swoje. Mówiłem sobie: nie przejmuj się, przecież wszyscy się boją. Pierwsze, co się u ludzi pojawia, to strach. Musisz o nim zapomnieć. Zapomnij o strachu. Rób wszystko tak, jakby go nie było. I żyj. Zamówiłem dwa następne rumy. Cudowna rzecz! To znaczący czułem cudownie, bo rum był raczej kiepski. Smakował jak ropa do diesla. W końcu poszedłem na rosyjską ruletkę. Zostało mi siedem dolarów i dwadzieścia peso. Nieźle. Bywało już gorzej, ale i tak wypływałem zawsze jakoś na powierzchnię. Na rogu Paseo i Dwudziestej Trzeciej było sporo ludzi. I oczywiście Formuła 1 ze swoim rowerem. Pora była w sam raz: dochodziła piąta. Na tym skrzyżowaniu zawsze jest duży ruch. We wszystkie strony. Uzgodniliśmy warunki. Zakład stanął na jeden do pięciu. Postawiłem wszystkie moje siedem dolarów. Jeśli chłopakowi się uda, dostanę trzydzieści pięć dolców. Ja zawsze stawiam, że się mu uda. Inaczej niż taki Murzyn, który też często tam jest. Ma kupę szmalu i cały jest obwieszony złotem, nawet na kostkach u nóg. To kompletny kretyn. Ja stawiam na krew mówi. Zawsze stawiam na krew. Mnie nawet nie trzeba pytać. Ile razy się tam spotykamy, zakłada się że nrańo pięć do jednego, że z chłopaka będzie mokra plama. No cóż, i tak nie zgarnąłem nigdy żadnej grubszej forsy. Raz mi się udało, miesiąc temu. To był rekord: trzydzieści pięć dolarów za jednym zamachem. Miałem szczęście. Była wtedy ze mną Delfina. Ja nazywam ją Delfi, bo ma chyba najbardziej kretyńskie imię w całej Hawanie. No więc gdy jej pokazałem ten cały plik zielonych, o mało nie oszalała. Pojechaliśmy od razu na plażę. Wynajęliśmy pokój i przez dwa dni mieliśmy prawdziwe święto z mnóstwem zarcia, rumu i marihuany. Delfi jest piękną i prowokującą Murzynką, ale ja już chyba jestem za stary na takie orgie. Dla Delfi istnieją tylko kutasy, rum i marihuana. W takiej właśnie kolejności. Ale ja nie mogłem się pieprzyć cały dzień. Kiedy już nie chciał mi stanąć, wciąż nienasycona Delfi wsadzała mi palec do tyłka, myśląc, że coś w ten sposób osiągnie. Waliłem ją wtedy po twarzy i krzyczałem: Wyjmij mi ten palec z dupy, ty cholerna czarnucho! No i potem ciągnęliśmy to jakoś dalej. Chyba z rozpędu. Kiedy skończył się rum, marihuana i dolary, odzyskałem władzę nad mózgiem. Wszystko mnie bołało: głowa, tyłek, gardło, kutas, jaja, wątroba, żołądek. Delfi za to czuła się doskonale. Ma dwadzieścia osiem lat i jest silną, twardą i wysportowaną Murzynką. Wtedy spokojniejsze przez kilka dni mogłaby się dalej rznąć. Jest niezmordowana. Niesamowita. To taki dziw natury. Tymczasem chłopak, który miał zagrać w rosyjską ruletkę, siedział już na rowerze. Właściwie to był jeszcze taki gówniarz, mógł mieć jakieś piętnaście lub szesnaście lat. Mulat z czerwoną chustką zawiązaną na głowie. Nie rozstawał się ze swoim rowerem. Schodził z niego chyba tylko po to, żeby się wysrać. Był to mały, lecz bardzo solidny rower o szerokich oponach i niklowanej ramie. Chłopak żył z niego. Za każdym razem, gdy mu się udało, brał dwadzieścia dolarów. To całkiem sporo. Czasem urządzał pokaz akrobacji, i też za pieniądze: układał na chodniku dziesięcioro dzieci, jedno przy drugim, odjeżdżał kawałek, zegnał się, rozpędał i przeskakiwał rowerem nad leżącymi bachorami. Robił to wszędzie, gdzie tylko znaleźli się chętni. Ludzie zakładali się między sobą, lecz w tym chłopak już nie uczestniczył. Brał swoje dwadzieścia dolarów i znikał. Był dumny z siebie i ciągle powtarzał: Jestem Formuła 1! Teraz Formuła 1 pojechał w górę Paseo. Po drodze pokazał kilka ewolucji, przemykając się między samochodami: podskakiwał, obracał się w powietrzu, stawał na tylnym kole. To był prawdziwy mistrz. Ludzie patrzyli na niego, lecz nawet się nie domyślali, co za chwilę ma zamiar zrobić ten chłopaczek. My w siódemkę staliśmy w cieniu pod murem od zakonnicy i udawaliśmy, że nic z tym nie mamy wspólnego. W pobliżu nie było ani jednego gliniarza. Formuła zawrócił, zatrzymał się i czekał, aż ktoś z nas da mu znak. Zapaliło się zielone światło dla Dwudziestej Trzeciej i

w tej samej chwili facet obok mnie machnął ręką. Formuła pojechał jak burza w dół Paseo. Na Dwudziestej Trzeciej, od strony La Rampa, było jakieś trzydzieści samochodów, które ruszyły z kopyta, by zdążyć na zielone. Z przeciwka, od Almandares, drugie tyle, a może nawet więcej ryczących maszyn zrobiło to samo. O tej porze wszyscy się śpieszą. W sumie Formuła miał w tej loterii jakieś siedemdziesiąt losów przeciwko i tylko jeden, że mu się uda i go nie rozjadą. No i na szali było też moje siedem dolarów. Jeśli się chłopak zabije, zostanę na kompletnym zerze. Cholernie mi zależało, żeby Formuła przedarł się przez skrzyżowanie i dostał te swoje dwadzieścia dolarów. I zrobił to! Kurwa, nie wiem jak, ale zrobił! Błyskawicznie. Przeleciał między autami jak mucha i oto już był po drugiej stronie. Szcherzył zęby w uśmiechu i znów pokazywał te swoje sztuczki na rowerze. Gdy zmieniło się światło, podjechał do nas roześmiany: Jestem Formuła 1! Zainkasowałem swoje trzydzieści pięć dolców. Pięć dałem od razu Formule, a potem odciągnąłem go na bok. Uścisnąłem mu rękę. Były suche i w ogóle mu nie drżały. Popatrzyłem chłopakowi w oczy i zapytałem: Ty się nigdy nie boisz? Wzruszył ramionami: Nie pierdol, białasie. Ja jestem Formuła 1. Formuła 1, stary! Na tym skrzyżowaniu zabiło się już czterech chłopaków. Nie, nie chcę o tym myśleć. Dwóch innych się spietrało: nawet nie próbowali przejechać. Tak to jest. Przeżyć mogą tylko mistrzowie albo tchórze.

WYCHODZILIŚMY Z KLATEK

Jeździłem na wieś, kupowałem żarcie, przywoziłem je do Hawany i sprzedawałem. W Hawanie wszystko można było sprzedać. Czosnek, cytryny, wołowinę. Wszystko, co dało się zjeść. Pojechałem do znajomego chłopca. Na podwórzu u niego leżał akurat zdechły koń. Brzuch miał już porządnie wzdęty. Facet z trudem powstrzymywał tłum Murzynów, którzy cisnęli się ku zwierzęciu. Mieli maczety, noże, worki. Chcieli natychmiast poćwiartować bydłę i zabrać kawałki mięsa. Byli jak zgraja wygłodniałych psów. Policzyłem ich: ośmiu chudych, brudnych, czarnych głodomorów ubranych w jakieś łachy i z obłędem w oczach. Facet tłumaczył im, że koń padł od jakiejś zarazy i że już się zaczyna rozkładać. W ogóle go nie słuchali. Chcieli tylko, żeby pozwolił im wyciąć parę ochłapów, a oni potem sami zakopią całą resztę: łeb, kopyta i wszystko, co zostanie po tym wychudłym zwierzęciu. Po sparszywiającej skórze konia spacerowały zielone muchy. Z odbytnicy wyciekała mu ropa i wylażyły jakieś robaki. Czemu im nie dasz zeżreć tej padliny? zapytałem. Niech ją sobie wezmą i idą w diabły. Nie. Ja czekam na policję. Jeśli nie napiszaw protokole, że koń sam zdechł, będę mieć sprawę w sądzie. A potem? Potem niech go sobie zjedzą. Mniejest wszystkojedno. Zapytałem, czy ma kury, jajka lub cokolwiek innego do żarcia. Facet na razie nie chciał ze mną rozmawiać. Nie miał głowy do tego, czekał na policję, żeby jak najszybciej pozbyć się kłopotu. Widzisz, co się tutaj dzieje? Zawsze nam się wydawali dzi-kusami tacy na przykład Angolczycy, bo jedzą pieczone myszy. Albo Etiopczycy z tymi ich śmierdzącymi krowimi flakami. No i teraz przyszła na nas kolej. Tutaj w całej wsi nie ma ani jednego kota. Ludzie dawno już je pozjadali. Jakbyś znalazł gdzieś kota, od razu go od ciebie kupię. Bez kota mnie samego zjedzą tutaj szczury. Wyglądało, że jest naprawdę przestraszony. Murzyni zaczęli się robić agresywni.

Jednego z nich znałem. Kiedyś pomagał mi znajdować chłopów, którzy mieli żarcie i byli gotowi je sprzedać. W ostatnich kilku latach on i jego rodzina trzy razy zmieniali nazwisko i ciągle nie byli pewni, czy w końcu trafili na właściwe. Sto lat temu niewolnicy nosili nazwiska swoich właścicieli. Na chrzcie dawano im jakiegokolwiek chrześcijańskie imię, a nazwisko pochodziło od pana. Ci jednak nie mieli pojęcia, do kogo należeli ich pradziadkowie i dziadkowie. Jeszcze mniej wiedzieli o jakiejś Nigerii czy Gwinei. Wszystko zapomnieli. Wystarczyło zaledwie sto lat. Teraz by się tylko chcieli wymieszać z białymi. Mówią, że na tym polega ulepszanie rasy. I mają rację. Mieszkańcy są pod każdym względem lepsi od czystej krwi Murzynów i od czystej krwi białych. Mieszanie się ras to bardzo dobry biznes. Był to bardzo sympatyczny Murzyn. Wesoły, zawsze roześmiany. Hej! Co u ciebie, Gener Iglesias Pimienta? To, co zwykle, Hawańczyku. Szukam żarcia. Właśnie widzę. Daj spokój, to padlina. Otrujesz się. Nic się nie otruję. Trzeba ją tylko upiec. Słuchaj, znasz kogoś, kto ma do sprzedania żarcie? Pomyślał chwilę i powiedział: Tak. Ten stary komuch Carmelo. Wczoraj miał biały ser. Może mu coś zostało. Poszedłem szukać Carmela. Nie miał już sera. Ile można go mieć z dwóch krów? To, co miał, ludzie rozchwyтали natychmiast. Wkrótce odjeżdżał pociąg do Hawany. Nie miałem czasu, by dłużej łązić po wsi. Niewiarygodne, lecz niestety prawdziwe: wracałem z pustymi rękami. Pociąg odjechał kilka minut po szóstej. Głodny i zmęczony przedrzemałem całą noc w ciemnym, brudnym i śmierdzącym uryną wagonie. Był tłok. Mnóstwo ludzi wracało do Hawany z kurami, wieprzkami i baranami. Z workami pełnymi ryżu i innych prowiantów. Tylko ja jak ostatni dureń nie wiozłem z sobą nic. Kurwa, jak tylko sobie o tym pomyślałem, miałem ochotę walić głową w ścianę wagonu. Na pewno źle szukałem. Przecież mogłem coś znaleźć: cytryny, pomarańcze, cokolwiek, żeby mi się chociaż zwrócił bilet. Oto właśnie wypuszczono nas w dżunglę. Wgnano kopniakami w tyłek.

Wychodziliśmy z klatek i odtąd sami musieliśmy walczyć o życie. To właśnie w tym był problem. Wychodziliśmy znużeni i pełni obaw. Z atrofią woli i ducha. Nie wiedzieliśmy, jak naprawdę wygląda walka o byt. Teraz musieliśmy ją podjąć. Przez trzydzieści pięć lat byliśmy zamknięci w zoo. Karmili nas ochłapami i gdy trzeba było, dawali jakieś lekarstwa. Nikt nam nigdy nie mówił, jaki jest ten świat za kratami. No i nagle mamy żyć w dżungli. Z uśpionym umysłem i ze słabymi, zdrętwiałymi mięśniami. W dżungli tylko najlepsi mogą przeżyć. Ja próbuję. Staram się, jak mogę. Z całych sił. Pociąg przyjechał do Hawany o świcie. Mieszkam niedaleko dworca. Poszedłem do domu, ledwie wlażłem na to moje ósme piętro i od razu rzuciłem się na łóżko. Śnił mi się koszmar: jakiś facet, którym byłem ja sam, podchodził do mnie z nożem i wycinał mi z brzucha befsztyki. Cały czas coś mówił, aleja go nie słyszałem. Nie wiem, o co mu chodziło. Krzyczałem z bólu, gdy wykrawał mi kolejny kawałek mięsa. Nie było w ogóle krwi. Widziałem tylko te piękne czerwone filety i krzyczałem. Wtedy się obudziłem. Ktoś walił w drzwi i wołał: Pedro Juan! Pedro Juan! To była Caridad. Cała rozhisteryzowana i z dzieckiem, które ciągnęła za rękę. Rozstaliśmy się przed pięcioma laty i mamy tego sześciolatniego teraz chłopczyka. Caridad jest ładną i gorącą Murzynką. Nawet bardzo ładną. Z Lazarita wyszedł Mulat, i to w luksusowej wersji. Przy tych swoich sześciu latach wygląda na dziesięć. Po nas obojgu odziedziczył to, co najlepsze. O czymś takim pisałem właśnie przed chwilą. Caridad wpadła jak bomba i nie dała mi czasu, żebym coś powiedział. Od roku mieszka z takim białym bubkiem, który najchętniej by się tylko pieprzył, i to z każdą dupą. Caridad nie lubi czarnych. Nakryłam Roberta, jak trzepał konia Lazaritowi! Wziął mu siusiaka do ust i obciągał. Co za skurwysyn! Pedro Juan, powinienes go zabić! Zabij go! To pierdolony pedał i ja nie chcę, żeby z mego syna zrobił też pedała! Poczekaj, uspokój się. Siądź i opowiedz, co się stało. No i co? Chcesz to tak zostawić? Nic nie zrobisz? Chłopie, ty jaj nie masz czy co? Dobra, mam jaja, ale najpierw powiedz mi coś więcej. Nie, nic. Nic ci nie będę opowiadać. Wysłałam wcześniej rano, ale zaraz wróciłam. On się mnie nie spodziewał. Wtedy ich przyłapałam. Rzuciłam w niego nożem, ale nie trafiłam. Kurwa, gdybym miała trochę lepszy cel! Chłopak się jeszcze do końca nie obudził, a ten skurwiel wsadził sobie jego siusiaka do ust i obrabiał go jak stara dziwka. Lazarito był cały przerażony i płakał. A teraz idę na policję i oskarżę go o deprawowanie nieletnich! Już ja pokażę temu skurwysynowi! Nie odpuszczę, póki go nie wsadzą do pierdła! Potem obróciła się do dziecka i zaczęła szarpać za ramię. A ty masz wyrosnąć na mężczyznę! Kurwa, masz wyrosnąć na mężczyznę! Czemu pozwoliłeś, żeby cito robił? No, powiedz! Czemu mu na to pozwoliłeś? Lazarito płakał coraz głośniej. Nie płacz, kurwa! Mężczyźni nie płaczą! Nie płacz, bo jesteś mężczyzną! Ruszyła do drzwi, wlekąc za sobą dziecko. Masz go znaleźć i dokopać mu! Mówię poważnie, Pedro Juan: masz go znaleźć i zabić! Ja idę na policję. Nie zabiłem gościa ani go nawet nie szukałem. Spałem aż do późnego popołudnia. Potem wstałem. Byłem głodny jak wilk. Chciałem się wykapać, a potem pójść skombinować sobie coś do żarcia. Wtedy właśnie wróciła Caridad. Nie przeszło jej. Wciąż histeryzowała i wciąż miała z sobą Lazarita. Jesteś tchórzem! Teraz to już nie jest twój syn, bo nie umiesz go bronić. Dlaczego nie zabiłeś tamtego skurwysyna? Nie mów, że się go boisz! Jesteś mięczakiem i śmierdzącym tchórzem! Nie chcę cię widzieć i ty też nie próbuj nawet zobaczyć mego syna. Nie zbliżaj się do nas. Roberta już posadzili i wkrótce będzie miał sprawę, ale to ja go będę oskarżać. Ja, a nie taki gnojek jak ty. Dla Lazarita odtąd ja jestem i ojcem, i matką. Ty się możesz ugryźć w dupę, nie potrzebujemy takich gównianych strachajłów, którzy tylko udają facetów. Zabrała dziecko i wyszła, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. Długo stałem w drzwiach. Zastanawiałem się. Nie, nie miałem nad czym się zastanawiać. Wyzerowałem sobie umysł. Cholera, nie miałem ani trochę rumu pod ręką.

MÓJ TYŁEK W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Na szczęście przesiedziałem tylko siedem dni. Jakiś ogromny gość chciał mi koniecznie wsadzić kutasa w dupę, a ja nie wiedziałem, jak się przed tym wybronić. Przydałby mi się chyba nóż, żeby mu go wpakować pod zebra. Staralem się z nikim nie rozmawiać, trzymać cały czas dystans, ale kiedyś mnie tak sprowokował, że rzuciłem się na niego z pięściami. To był absolutny młot. Cofnięty umysłowo orangutan. Nie miałem szans. Od razu mnie znokautował. No więc nie udało mi się mu pokazać, że jednak jestem mężczyzną. Zresztą jemu było wszystko jedno. Inni w celi opowiadali mi, że jeśli gość się na kogoś zaważmie, prędzej czy później dobierze się mu do dupy. Wcześniej zrobił to z takim młodym Murzynem. Chłopak dostał krwotoku i trzeba go było szybko zabrać do szpitala. Udało mi się uratować tyłek. Postanowiłem, że przez jakiś czas będę się zachowywał jak trusia. Miałem rozprawę i zasądzi mi grzywnę. Dziesięć tysięcy peso, i tylko za to, że dałem się złapać z dwudziestoma langustami. Gdyby to było dzień wcześniej, trafiliby na wołowinę. Dostałbym trzy albo cztery lata. Wtedy z moim tyłkiem byłoby naprawdę krucho. I z bębenkami w uszach. Znalazłem sobie pracę. Paskudną bo w rzeźni i przy mielonce z soją. Cały dzień targałem skrzynki z jakąś obrzydliwą padliną: były to kawałki na pół zgniłej skóry, krowie pyski, flaki, łój, oczy, uszy i inne ohydztwa, których nikt nawet nie potrafił

łby sobie wyobrazić. Cuchnęło to jak cholera. Razem z takim Murzynem ustawialiśmy te skrzynki przy młynku. Z drugiej strony stały kontenery z soją. Dwóch facetów przygotowywało mieszankę: wpychali do młynka to ściervo i dosypywali soi. To są proteiny, towarzyszu. Dużo protein dla naszego społeczeństwa! przekrzykując hałas młynka, darł się do mnie jeden z tych facetów: taki gruby i roześmiany typowy czarny obibok. Dotąd nie wiem, czy miał to być żart, czy gość mówił serio. Nigdy z nim nie rozmawiałem. On zawsze wołał do mnie to samo i na tym się kończyło. Nie chciałem mieć problemów, więc pilnowałem się bardzo, żeby nic nie mówić. U nas nawet proteiny mogą być sprawą polityczną. Cholera wie, może to jakaś trutka, którą nam dosypują, żeby potem zwalić winę naj ankesów. Nie, ja wołę być od tego z dala. Gęba na kłódkę i robić swoje. Ale ja mam specjalny talent, by się pakować w kłopoty. Kiedyś wychodzę sobie o czwartej z tej mojej rzeźni. Nie chce mi się czekać na autobus, więc postanawiam, że pójde na piechotę. Przechodzę przez Karola 3, a potem idę wzdłuż Espada w stronę San Lazaro. Po drodze napotykam bar. Ha! Jest w nim Hayana Club. Kurczę, ale fajnie. Tego rumu prawie nigdzie nie ma. To taki prymitywny bar i na dodatek w samym środku Cayo Hueso, ale o tej porze jest tu spokój. Długa lada i barowe stołki. Sprzedają tutaj również tanie zupki dla okolicznych nędzarzy. Usiadłem na skraju. Zamówiłem podwójny rum i trochę się wyciszyłem. Rum zawsze mnie wycisza. Łagodzi zmęczenie i działa jak narkoza. No i tak sobie siedzę, prawie już na samym chodniku. Drzwi do baru takie, co się je podnosi do góry są otwarte na oścież. Lubię siadać przy drzwiach. Gdy coś się dzieje, człowiek może od razu wyjść. Facet, który siedzi i pije obok mnie, zaczyna opowiadać mi o swych problemach. Jest spawaczem i tydzień temu podłapał jakąś niezłą fuchę. Przez parę dni pracował od ósmej rano do dziesiątej wieczór i kiedy skończył, niemal nic nie widział przez piekące oczy. Zarobił jednak sześć dolarów. Żona od razu je porwała i kupiła synowi tenisówki, bo chłopak chodził już bez butów. Po czterech dniach tenisówki się rozleciały. Stary, tak się nie da żyć. Kto ma trochę rozumu w głowie, to powinien pryskać z tego kraju. No i dalej nawi ja mi w ten sposób. Słuchałem tej jego historii, ale oczy miałem cały czas wbite w takąjedną Mulatkę, która wciąż śmiała się i coś tam mówiła do jakiejś cholernie grubej baby i do Murzyna z sześcioma złotymi łańcuszkami na szyi. Murzyn płacił wyłącznie banknotami po dwadzieścia peso. Za bardzo się skoncentrowałem na jej ustach, piersiach i na tej jej ewidentnej chęci, żeby użyć życia. Nawet nie spostrzegłem, jak mi stanął. Gruby i twardy jak skała. Już od wielu dni nie przeleciałem żadnej babki, więc nie mogłem pozwolić, by mi ta Mulateczka przeszła obok nosa. Barman, napakowany czarnuch z twarzą przystojnego zbira, powtarzał co dwie minuty: Potraweczka z małżyków, palce lizac... Dużo pieprzu, świetna na potencję... Potraweczka, dużo pieprzu, palce lizac. Kończę mój drugi podwójny rum, kiedy nagle do baru wtaczają się dwaj faceci. Zakrwawieni, dźgają się nożami i ostatkiem sił próbują ustać na nogach. Wszyscy w barze ich widzą tylko nie ja, bo są dokładnie za moimi plecami. Dlatego też nie reaguję w porę. Wał się na mnie. Obaj. Nim się zakłuli, musieli być niezłe pijani albo na potężnym hajku. Chcę wstać ze stołka, ale nie mogę, bo jestem przygnieciony do bufetu. Jeden z nich zdążył mnie jeszcze drasnąć nożem. W ramię i w prawy bok. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że jestem kompletnie ogłupiały. Cisza, żadnych krzyków, jęków, nic. Nagle widzę, że mam na sobie dwa trupy. Dwie krwawe kupy mięsa. Bar w jednej chwili opustoszał. Przy drugim końcu bufetu został tylko barman. Nawet te uliczne głodomory porzuciły w popłochu swe zupki. Do baru wpada jakaś kobieta. Płacze i krzyczy: On mi go zabił! On mi go zabił! RzUCA się na jednego z nieboszczyków i obejmuje go. Chcę sobie pójść, ale nie mogę. Z tyłu mam bufet, a z przodu blokują mnie dwa trupy i kobieta. Mimo wszystko usiłuję się ruszyć. Najwyższy czas się stąd zmywać. Nic z tego. W barze jest już gliniarz. Chwyta mnie za ramię i żąda ode mnie papierów. Próbuje mu tłumaczyć: Wstałem tu tylko na rum. Mam takie dziwne wrażenie, że mówię jakby z tłumikiem. Sam siebie nie słyszę. Lub raczej słyszę, ale gdzieś z bardzo daleka. W tylnej kieszeni spodni szukam dowodu osobistego. Podaję go policjantowi i widzę, że jestem umazany świeżą krwią. Moją własną i tych dwóch denatów. Cały jestem we krwi. Nie, tak nie wygląda ktoś niewinny. Za dużo na mnie tej krwi. No i zaczęła się cała sekwencja wydarzeń: radiowóz komisariat przesłuchanie nie rozumieją dlaczego jestem ranny i skąd na mnie tyle krwi, skoro nic nie wiem szukają jedyne go świadka, to znaczy barmana świadka nie można odnaleźć tymczasowy areszt na siedemdziesiąt dwie godziny, aż do wyjaśnienia są inne sprawy o mojej zapomniano spędzam dziesięć dni w areszcie amator mego tyłka siedzi na szczęście gdzie indziej w końcu mnie wypuszczają mam już pracy w rzeźni chyba znów się zajmę kontrabandą langust i wołowiny.

WESOŁE, SWOBODNE I HAŁAŚLIWE

Czasem potrzeba ci niewiele. Wystarczy seks, rum i jakaś kobieta, która ci opowiada głupoty. Nie musi być inteligentna. Mam dosyć mądrych i przebiegłych ludzi. Potem ona sobie idzie, a ty zostajesz sam i masz święty spokój. Dalej pijesz sobie rum. Albo bierzesz prysznic i kładziesz się spać. Rano budzisz się świeży i wypoczęty. Uśmiechasz się do ludzi i mówisz, że jest świetnie i że życie jest cudowne. A ludzie na to: Och, jak

fajnie! Wreszcie można spotkać kogoś, kto jest za dowolony z życia. Ale nie zawsze tak jest. Czasem bywa trudniej i nie wszystko idzie jak po maśle. Czasem trafiam na kobiety, które mnie wkurzają. Jak na przykład Carmen. Carmen należy do ludzi, dla których w życiu liczy się tylko jedno kryterium: masz pieniądze albo ich nie masz. Coraz więcej spotykam takich kobiet. Może zawsze było ich sporo, ale dopiero teraz zaczynam je zauważać. No dobra, nie chce mi się pisać o Carmen. Za dużo jest w niej cynizmu. To znaczy takiego pragmatycznego cynizmu. A może to nawet w ogóle nie jest cynizm. Pragmatyczny cynik jest mimo wszystko kimś, kto ma jakąś koncepcję. Carmen nie. U Carmen jest wyłącznie intelektualna pustka. Całkowicie jej ona wystarcza, by wydusić forszę z jakiegoś biednego gorylowatego gościa. Carmen może go nie cierpieć, ale i tak odegra przed nim komedię i każe sobie za nią zapłacić. Nie, nie warto tutaj mówić o Carmen. Potem pojawiła się Maria. Zupełne przeciwieństwo. Sam ogień. Rozbuchana poetka z Guanabacoa. Pisała dla mnie wiersze na zielonym papierze i później tapetowała mi nimi mieszkanie. Dużym i zaokrąglonym pismem wyznawała: Konam wplątana w gwałtowny kataklizm tego, co jest niemożliwe. Albo: Twój oddech jest wulkanem w moim ciele, wyją moje lustra.

Nie wytrzymałem tego żaru. Wykończyła mnie nienasycona zachłanność nienasyconej Mulatki. Bardzo szybko spaliłem mą skórę i serce. Odrodziłem się z popiołów. I dalej byłem sam. No i teraz tu jestem. Nie mam nic do roboty. Mieszkam sobie spokojnie na tym moim dachu. Wieczorem piję rum. Nie chcę już z kimkolwiek szukać jakichś bliższych związków. Za bardzo mnie już one poraniły i wolę nie narażać się na powtórkę. Postanowiłem żyć sam. Żyć normalnie, jak zwykle, ale sam. Jasne, co jakiś czas mnie ktoś fascynuje. Rozbłyskuje na chwilę jak gwiazda. Dobrze. Ja to lubię. Ale niech nic nie będzie na zawsze. Ale żeby człowiek mógł żyć, nie wystarczy mu tylko miłość od czasu do czasu i samotność. Musi coś robić, żeby mieć pieniądze, żeby jeść i żeby wieczorem napić się piwa. Straciłem pracę w rzeźni i na razie nie miałem widoków na inną. W 1995 kryzys rozpalił się do czerwoności. Objął wszystko: idee, nasze kieszenie, całą teraźniejszość. A o przyszłości w ogóle szkoda mówić. Pewnego popołudnia piję sobie w barze piwo. Obok mnie siedzą tacy starsi faceci. Ci sami, co zawsze. Tak dla hecy powiedziałem do nich: Co słyhać u niezmiennych elementów tego barowego pejzażu? Nie zrozumieli. Zaczęliśmy rozmawiać. Ot, tak po trochę o wszystkim. Któryś z nich pyta, co obecnie robię. Mówię, że nic, że nie mam pracy. Wtedy jeden, który dotąd milczał, odzywa się do mnie: A co byś powiedział na pracę w miejskim szpitalu? To niezła fucha. Nie namęczysz się zbytnio. Dziś stamtąd odszedłem, więc jest wolny etat. Czemu odszedłeś, skoro to taka dobra praca? pytam. Co tam właściwie robiłeś? Byłem w kartoflami. Idź, pogadaj z doktorem Simónem. Powiedz, że jesteś ode mnie. Że Rafael cię przysłał. Spodoba ci się ta robota. Wszystkim się podoba. Następnego dnia poszedłem do miejskiego szpitala i zapytałem o doktora Simóna. Myślałem, że będę musiał przez cały dzień obierać kartofle. Wysłali mnie gdzieś w głąb ciemnych korytarzy, wczekałem się sporo, ale w końcu stanąłem przed doktorem Simónem: Rafael mi powiedział, że bym się z panem zobaczył. Podobno został po nim wolny etat. Tak. Musieliśmy go wyrzucić. Ach! On mi wcale nie mówił, że go wyrzuciono. Miał szczęście, że na tym się skończyło, bo mogliśmy zgłosić tę sprawę na policję. Jaką sprawę? Profanację zwłok. Zaraz, zaraz. On mi mówił, że pracował w kartoflami. Tak tu wszyscy nazywają prosektorium, choć to zabronione. Pan jest kolegą tego Rafaela? Nie, spotkaliśmy się przypadkiem. To nienormalny facet. Przyłapaliśmy go, jak gwałcił zwłoki młodej kobiety. Ja sam próbowałem go odciągnąć, ale się nie dał. Robił swoje do końca. Kurczę, on naprawdę spuścił się w trupa! Z miejsca wywaliłem go z pracy, a ten idiota odwołał się do związku. Jasne, że nic z tego nie wyszło. To jakiś niedorozwinięty? Na granicy normy. Nie wiem. Powiedział, że przecież zawsze to robił, a pracował u nas od trzech lat. No tak, ludzie są różni. Jest więc wolny etat w prosektorium. Będzie pan pomagał lekarzom przy sekcjach. Och, panie doktorze, chyba nie dam rady. Kroić trupy? Nie, nie! Ja nie potrafię. Trzeba się z tym oswoić. Większość ludzi tego nie urnie. My jako istoty ludzkie jesteśmy oswojeni z życiem, a nie ze śmiercią. Jeśli pan szuka pracy w szpitalu, to niech pan da spokój filozofii. Dobrze. Nie będzie żadnej filozofii. Chyba przy autoklawie potrzebują kogoś do pomocy. Poszedłem do autoklawu. Było to wielki kocioł z parą pod ciśnieniem. Wkładano do niego wszystkie użyte instrumenty. Gorąca para dezynfekowała je i można było znów ich używać. Moim zadaniem było zbieranie wszystkich narzędzi do sterylizacji. Jeździłem z wózkiem po salach i odwoziłem do autoklawu różne kleszcze, strzykawki i inne tego typu rzeczy. Dzień w dzień pchałem wózek po całym szpitalu i dostawałem za to sto dwadzieścia peso na miesiąc. To zupełna nędza. Niższej stawki chyba nie ma. Praca jednak była dość lekka i przyjemna. Ostatecznie można się było pobawić w to kilka miesięcy i czekać na coś lepszego. Tak właśnie człowiek spędza życie: czekając wciąż na coś lepszego. Poza tym były jeszcze pielęgniarki. Takie wesołe pielęgniarki. Niektóre mi się podobały i ja im chyba też. Kilka mi się udało poderwać. Pielęgniarki są bardzo fajne. Sympatyczne, beztrudne i swobodne dziewczyny. Nie są zbyt inteligentne i nie kombinują za dużo. Nie, nie ma w nich żadnych psychologicznych komplikacji. Człowiekowi z nimi jest po prostu dobrze. Jest tylko jeden problem: wszystkie chciałyby się powydawać za lekarzy, a potem przyjeżdżać do

pracy samochodem, chodzić z ważną miną po szpitalu i udawać, że w zaaferowaniu nikogo się nie widzi. Ostro się malować oraz nosić naszyjniki i piękne białe kitle przysłane im w prezencie z Miami przez rodziny ich mężów. Niektórym nawet udało się już złapać jakiegoś lekarza na lep. Lub raczej na swój tyłek. No i dobrze. Te, które wciąż jeszcze czekają na okazję, nadal są swobodne, wesołe i hałaśliwe. A przede wszystkim są proste i zwyczajne. Do czasu, aż i one znajdą swoich lekarzy. Zacząłem wtedy kręcić z takąjedną. Wesołą, swobodną i bardzo hałaśliwą. Była wysoką Mulatką wciąż jeszcze ładną ale już w odwrocie. Nazywała się Rosaura. Miała dziecko z lekarzem, oczywiście białym, ale facet się z nią nie ożenił, więc nic nie wyszło z auta. Dalej jeździła do pracy autobusem. Skończyła czterdzieści lat i wtedy się poddała. Za duża konkurencja młodych i ładnych dziewczyn. No więc kombinowaliśmy z sobą było nam fajnie. Nie wiem dlaczego, ale pielęgniarce na ogół nie majązahamanowań. Zawsze są gotowe rozebrać się przed tobą obciągnąć ci laskę, pomasturbować się, napić rumu. Opowiadają ci na ucho różne historyjki. Ostre porno, i to autobiograficzne. Masz sex-show za darmo. Nie wiem, może po prostu miałem szczęście i trafiłem na najbardziej napalone. Ale ja lubię takie dziewczyny. Wszystko dlatego, że nie cierpię krętaczy, a ludziom, którzy są pruderyjni w łóżku na golasa, w ubraniu też nie można ufać. Nieraz się już o tym przekonałem. No więc wszystko było OK. Nie przeszkadzała jej moja nędzna praca i symboliczna pensja. Najważniejsze, że byłem biały, dobrze szło nam w łóżku i zawsze graliśmy z sobą fair. Dla niej tylko to się liczyło. Mulatki to okropne rasistki. Gorsze niż białe lub czarne kobiety. Trudno mi to pojąć, ale nie znoszą Murzynów. Rosaura często mi powtarzała: Nigdy nie miałam czarnego faceta. Przespać się z Murzynem? Ja miałabym to zrobić? O, nie! Ledwie taki czarnuch się spoci, ażuś śmierdzi jak cholera. Pozatymto są straszne chamy. No dobrze, w końcu to nie jest żaden dramat. Kiedyś byłem u niej w domu i poznałem wtedy jej matkę, bardzo czarną Murzynkę. Od razu mi powiedziała, że ojciec Rosaury był czystej krwi białym. Mówią o tym na głos i bez skrępowania. No właśnie: nie ma w tym żadnego dramatu. To raczej taka komedia intrygi. Rosaura ma dwóch braci. Nie pracują więc byli akurat w domu. Napiliśmy się razem rumu i trochę pogadałiśmy. Ot, tak normalnie. Potem stara powiedziała mi, żebym kiedyś przyszedł, to się poradzimy świętych. Zaprowadziła mnie do ich pokoju. Był niezłe urządzone i naprawdę zrobił na mnie wrażenie. Myślę, że stara pokazała mi to miejsce, żeby mnie ostrzec: Popatrz, co tu jest. Jeśli zrobisz krzywdę Rosaurze, pożałujesz. To twarda starucha i chyba dużo może. Troszczy się o swoją rodzinę. Dla niej istnieją tylko dzieci i wnuki. No dobrze, na razie wszystko nam się układało z Rosaurą. Na luzie i beztrosko. Fajnie nam było. Aż tu pewnego dnia wpada do dyżurki taki jeden lekarz. Jest cały spocony i chce mu się pić. Idzie do lodówki i wyciąga wodę, którą tam sobie włożyła Rosaura. Pije prosto z butelki. Rosaurze się to nie podoba, więc krzyczy: To moja butelka! Daj mi tę wodę! Podchodzi do niego, żeby mują odebrać. Lekarz chce być dowcipny, więc ostatni łyk wody wydmuchuje Rosaurze na twarz. Fatalny wybrał moment. Rosaura jest naprawdę wściekła. Policzkuje lekarza, który wciąż myśli, że to tylko żarty. Trenuje karate, więc odstawia butelkę i zakłada Rosaurze chwyt, żeby ją obezwładnić. Szarpią się przez chwilę. Lekarz podcina jej nogi i Rosaura z rozmachem siada na podłodze. Łamie sobie kręgosłup. Później okaże się, że miała osteoporozę. Ma operację i wsadzają ją w gips od szyi aż po kość ogonową.

Gdyjej bracia dowiadują się o tym, łapią noże i lecą do szpitala, żeby się porachować z lekarzem. Szukają go po całym budynku. Lekarzowi udało się schować, a tymczasem jego koledzy wezwali policję. Obaj Murzyni lądują w areszcie. Rosaura wnosi skargę do prokuratora, a potem skarży jeszcze jednego lekarza o współudział i o fałszywe zeznania. Obu grozi wyrzucenie z pracy i odebranie prawa wykonywania zawodu. Rosaurajest zawięta i mówi: Załatwię tych drani. Załatwię ich do końca. Rosaura ma bezwładne nogi. Odłamek kości uszkodził jej rdzeń. Wygląda, że resztę życia Rosaura spędzi na wózku.

Tymczasem stara też nie zamierza darować: Moja najładniejsza córka jest kaleką a obaj synowie są w więzieniu. Ten skurwysyn mi za to zapłaci. Zapłaci za wszystko, co zrobił. Pedro Juan, musisz mi przynieść jakąś rzecz, która należała do tego faceta. Koszulę, chustkę, cokolwiek. Ja z niego też zrobię kalekę. Kurwa, znam takie zioła, które go załatwią! Nie wstanie z wózka! Pożałuje, że się w ogóle urodził! Mam na to sposób, tylko ty, synku, musisz mi pomóc. Ukradnij mu coś, na czym jest jego pot. Przynieś mi to, ajajuz zajmę się resztą. Synku, musisz to zrobić, bo teraz jesteś jedynym mężczyzną w tym domu. Cholera, a tak mi już było dobrze. Po co ja się w ogóle popatrzyłem na tę Mulatkę?

WĄTPLIWOŚCI, MNÓSTWO WĄTPLIWOŚCI

Bieda była coraz większa i pustoszyła Kubę. Każdy tylko myślał, jak wyjechać. Wyjechać gdziekolwiek i natychmiast. Carlitos, dziecko chaosu, codziennie dzwonił do matki i do brata. Płakał. Nie spał po nocach, nie potrafił żyć w tym Miami. W ogóle go nie cieszył tenj ego american dream. Wydawał majątek na telefon i nie znajdował woli ani energii, by czymkolwiek się zająć. Po prostu nie mógł. Nosił w sobie całą rozpacz chaosu.

Jego serce było jakby zamknięte za żelazną kratą.

W tym właśnie czasie miałem trochę seksu z jego siostrą. Była lekarką, czytała Bécquera, pasjonowała ją meksykańskie seriale i uduchowione baśnie poetyckie Benedettiego, które przepisywała mi na blankietach recept i zasypywała mnie nimi, żebym nauczył się trochę poezji. Postanowiła zająć się moją edukacją estetyczną. Odkąd znalazła u mnie w domu tomik Wierszy przeciwko łysieniu Nicanora Parry, była dogłębnie przekonana o moim złym guście w kwestiach literatury. Chętnie używała zwrotów: uprawiać miłość, możemy być szczęśliwi, ja nigdy nie kłamię i tym podobnych banałów. Była strasznie zagubiona. To się często zdarza. Człowiek się gubi, gdy ma za dużo ludzi dokoła. Zaczyna się szarpać między tym, co powinien, co może i co chciałby. I między tym, czego nie powinien, czego nie może i czego by nie chciał. Wciąż dręczyły ją zawroty głowy, bo faszerowała się środkami na uspokojenie. Miał już za sobą próby samobójcze i chyba ten zamiar wciąż trwał u niej w ukryciu. Dużo czasu poświęcała sesjom u psychologa, który starał się mimo wszystko pogodzić ją jakoś ze światem. W każdym razie ta lekarka nie była najbardziej godna zaufania, więc mój seks i jej miłość nie miały zbyt dużych szans na przetrwanie. Torin Cella do ująłby to w ten sposób: Między piękną i młodą dziewczyną a jej eleganckim i mocno już dojrzałym amantem istniała niestety otchłań wzajemnego niezrozumienia. Kiedyś policzyłem sobie i wyszło mi, że w ciągu ostatnich pięciu lat miałem stosunki seksualne z dwudziestoma dwiema kobietami. To nie jest idealna średnia dla czterdziestopięcioletniego mężczyzny. Zaniepokoiłem się. Nie, to nie był jakiś duchowy niepokój, jakieś wyrzuty sumienia, tylko po prostu lęk przed AIDS. Cholera, nie chciałbym się skazać na przedwczesną śmierć tylko dlatego, że kiedyś trafiłem na niewłaściwą dziurę. No dobrze. Pomiędzy tym moim promiskuityzmem, musiałem jakoś przetrwać. Żeby przetrwać, robiłem się coraz bardziej twardy. Ludzie myśleli, że po prostu wreszcie dojrzałem. Nie, to nieprawda. Próbowaliśmy tylko być twardy i nie pozwalać, by mną manipulowano. Niech każdy sam się troszczy o swoją własną dupę. Musiałem bardzo ostrożnie dawkować tę resztkę miłości, która mi została, i pilnować, by strzałka paliwa nie stanęła na zerze i żeby motor się nie zatrzymał. Ciągle miałem nadzieję, że gdzieś udami się jeszcze zatankować. Cholerny ze mnie utopista. Przywalony gównem wciąż wierzę, że znajdę w sobie coś pięknego, że znów zatankuję do pełna i że będę mógł wszystko powtórzyć. Że na powrót się stanę wielkodusznym, szlachetnym i kochającym facetem. Zastanawiałem się nieraz: Czy naprawdę jesteś takim naiwnym idiotą? Kiedy indziej znów, gdy miałem trochę lepszy nastrój, powtarzałem sobie: Tak, to ciągle jest możliwe. No i tak sobie żyłem. Niepokojąc się coraz bliższą starością bojąc się związanej z nią samotności i innych tego typu rzeczy. Wciąż jednak pojawiały się kobiety, które mi mówiły: Ach, jesteś takim doświadczoneym i dojrzałym mężczyzną! Strasznie mi się to u ciebie podoba! Chciałabym z tobą spędzić resztę życia. Tyle rzeczy moglibyśmy razem zrobić! A ja wtedy myślałem: O tak! Jestem dojrzały i doświadczony. Gdybyście znały prawdę, z krzykiem byście stąd uciekły, a potem omiłybyście mnie o kilometr. Więc byłem wciąż sam. Sam i mając czterdzieści pięć lat. Z każdym dniem było mi coraz lepiej i łatwiej. Pierwsze oparzenie boli najbardziej, później skóra grubieje. Tak mówi mój przyjaciel Hank. Po czterdziestce wszystko staje się prostsze. Albo przynajmniej człowiek wszystko widzi jaśniej. Wyciągnąłem już pewne wnioski. Ha, ha! Wyciągnąłem wnioski. Strasznie to brzmi. Ciekawe, czy ktokolwiek na świecie potrafi to uczynić. No dobrze, chciałem tylko powiedzieć, że teraz zrozumiałem już coś równie starego jak ludzkość, ale człowiek wciąż na nowo musi się tego uczyć: etyką biedaka jest kochać tego, kto ma pieniądze i od czasu do czasu może mu rzucić jakiś ochłap. Etyką niewolnika jest kochać i uwielbiać swego pana. W sumie to jest bardzo proste. Biedak albo niewolnik, to wszystko jedno nie może sobie za bardzo komplikować moralności ani być zbyt wymagającym, jeśli chodzi o godność. Chyba że chce umrzeć z głodu. Jeśli da mi trochę, to znaczy, że jest dobry i go kocham. To wszystko. Kobiety na ogół rozumieją to od dziecka i godzą się z tym. My, mężczyźni, wolimy utrudniać sobie życie, buntować się, mieć swoje zasady i tak dalej. W końcu też to rozumiemy, tylko trochę później. No więc ten dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy jest jedną z twarzy ubóstwa. Ale ubóstwo ma też inne twarze. Może najbardziej widoczna jest małoduszność lub raczej zawężenie ducha. Stajesz się żalonym, chciwym i wyrachowanym typem. Twoją jedyną troską jest przeżyć. Po diabła ci szlachetność, solidarność, uprzejmość, pacyfizm. Gdy tak targaly mną te wszystkie wątpliwości, przyszedł do mnie mój przyjaciel Alejandro. Ra dosny i na pół pijany. Właśnie go powia domili, że na loterii wizowej wygrał prawo pobytu w USA. Facet był w euforii. Wszystkie jego przyjaciółki chciały się za niego wydać. Były gotowe mu zapłacić, byle się z nimi ożenił i wywiózł je do Stanów. Ale on im odmawiał. Chciał tylko wziąć swoją matkę. Nikogo innego nie zamierzam brać sobie na głowę. Oby tylko te skurwysyny z ambasady zechciały dać jej wizę. Nie mogę przecież mojej starej zostawić tutaj samej. Wyciągnąłem butelkę rumu. Zaczęliśmy pić. Straszne ilości rumu wypiliśmy tej nocy. Alej andro snuł plany i mówił, co będzie robił i czego nie będzie robił w Miami. O tylu rzeczach gadaliśmy, że teraz już prawie nic z tego nie pamiętam. Wiem tylko, że wciąż się zarzekałem: W przyszłym roku złożę papiery na tę loterię. Może też będę miał szczęście.

Dziś mam potwornego kaca. Rum był ohydny i od rana głowa mnie boli jak cholera. Ale i tak wciąż próbuję

uporządkować swoje życie wewnętrzne. Z zewnętrznym nie mam problemów. Wszyscy myślą, że jest tylko jeden Pedro Juan: solidny, pogodny i aktywny. Nikomu do głowy nie przyjdzie, że u mnie w środku jest cała kupa małych Pedritów: kłócą się, biją jeden drugiego próbuje ściągnąć na dno, byle tylko samemu wychynąć na powierzchnię.

URLOP W HAWANIE

Byłem kilka dni na wsi i przywoziłem mnóstwo towaru: langusty, wołowinę i dwanaście litrów rumu. Policja dwa razy rewidowała autobus, a mnie dwa razy żołądek podchodził do gardła. Zawsze mnie jednak ratuje ta moja twarz jak poważnego faceta. Gdy znalazłem się z moim ładunkiem na dworcu, musiałem zorganizować sobie jakiś transport do domu. Było tam pełno aut, które polowały na łebków, ale ci piraci chcieli po sześćdziesiąt peso za kurs do Hawany Centrum. Kiedy próbowałem się trochę targować, zawsze słyszałem to samo: Nie, nie, ja muszę przynajmniej zarobić na benzynie. Teraz benzyna jest droga... Bardzo droga. W końcu pojawił się jakiś facet, całkiem nie nachalny, który nieśmiało podszedł do mnie i powiedział, że może mnie odwieźć rikszą. Gość był strasznie chudy, więc go ostrzegłem: Słuchaj, ja ważę osiemdziesiąt osiem kilo, a ten mój majdan grubo ponad pięćdziesiąt. Dasz radę? Pewnie! To byłoby aż na róg San Mzaro i Perseyerancia. Ile za to chcesz? Dwadzieścia pięć peso. Pojechaliśmy przez Ayestarań, Karola III, Zanja, Belascoain i San Mzaro. Gdy było trochę z górki i facet mógł zaczerpnąć tchu, opowiadał mi o swoim życiu. Był technikiem odlewnictwa metali. Gdy zaczął się kryzys, został bez pracy. Już od pięciu lat tak jakoś kombinuję. Nie jest łatwo. Mam żonę i dziecko. Teraz moja żona znów zaszła w ciążę. Nie chce się skrobać. Jak się troje wyżywi, to i czworo też. Facet ostro pedałowal i był cały spocony. O jedenastej majowe słońce potrafi nieźle dopiec. Chłopie, ty dziennie tracisz chyba ze dwa kilo na tej rikszy. Nie, już nie. Z początku rzeczywiście schudłem. Ale teraz już nie. Najważniejsze, że z tego wózka da się żyć. Zawsze wpadnie kilka peso. Na jedzenie starczy. Tak, a poza tym ostatnio wszystkim nam się schudło na Kubie. To prawda. Ciekawe, jak długo jeszcze będziemy tak dziać. Facet wyglądał jak szkielet. Więcej schudnąć już nie mógł. Dojechaliśmy. Zapłaciłem i nawet pomyślałem, że dam mu pięć peso ekstra. Ale nie. Mnie nikt nie daje napiwków. Przeciwnie: wszyscy się ze mną targują o wołowinę, rum, langusty. No więc życzyłem mu tylko szczęścia i koniec. Przed domem stało zaparkowane eleganckie czarne hayanauto. Poszedłem prosto do mieszkania. Wsadziłem do lodówki mięso i langusty. Zrobiłem sobie kawę i siadłem, żeby odpocząć. Nagle ta gruba starucha, która mieszka obok, zaczęła krzyczeć. Miała chyba jakiś kryzys nerwowy, bo od czterech dni brakowało u nas wody. W całym domu i w okolicy. Nawet nie było co marzyć, by zdobyć gdzieś choćby jedno wiadro. A stara darła się coraz bardziej. Z potarganymi włosami wybiegła na podwórze: Zróbcie coś z tym, kurwa, poszukajcie gdzieś wody! Nawet się wysrać nie można, bo tyle gówna w tym kiblu! Syn i córka próbowali ją uspokoić: Mamo, przestań już, nie krzycz tak strasznie. Z mieszkań powychodzili sąsiedzi, żeby pogapić się na szalejącą Prudencję. W końcu podszedł do niej jakiś stary Murzyn i opanował sytuację. Zaczął smagać Prudencję gałązką jakiegoś ziele. Coś tam mamrotał pod nosem, ale tak cicho, że nic się nie dało zrozumieć. Prudencia osunęła się na ziemię. Wyglądało, że straciła przytomność. Murzyn dalej robił swoje. Ocułił ją. Sąsiedzi podnieśli Prudencję i posadzili ją na krześle. W pierwszej chwili chciałem jej zanieść trochę kawy, ale się powstrzymałem. Tu nikt od nikogo nie weźmie nic do jedzenia ani picia. Ludzie panicznie boją się uroku. Z tymi rzeczami nie ma żartów. Ja jestem nowy w tym domu i sąsiedzi mi nie ufają. Ja też im nie ufam. Smród gówna i moczu ciągnący się od ubikacji był naprawdę nie do wytrzymania. Po czterech dniach bez wody w domu, gdzie mieszka dwieście osób, i przy takich upałach człowiek rzeczywiście może oszaleć jak ta gruba starucha. Zamknąłem drzwi do mieszkania i wyszedłem postać sobie trochę na ulicy. Już za chwilę podszedł do mnie taki jeden mój kumpel. Słuchaj, stary, dziś wieczór będzie tu Formuła 1. Chce przeskoczyć dziesięciu gówniarzy. O kurczę! Stawiam sto peso, że mu się uda. Nie ze mną, stary. Ja też wiem, że on to robi. No to trudno, nie pogramy. Może masz kogoś, kto kupiłby wołowinę albo parę langust? Kurwa, Perucho, przecież chyba znasz Robertica? Nie. Facet od lat siedzi w Niemczech, a teraz przyjechał tutaj na urlop. Pogadaj z nim. A gdzie on teraz jest, ten Robertico? Tutaj, w tym domu. W ostatnim pokoju, tam z tyki. Popatrz, jakie hayanauto sobie wynajął ten czarnuch. On ma kupę zielonych. Przyjechał z taką Niemką i z dwójką chłopaków. Wszyscy są w jednym pokoju? Tak. Jego rodzina to dziewięć osób, a teraz jeszcze on, Niemka i dwóch chłopaków. W sumie trzynastoro. Robertico to prawdziwy krezus, więc pojęcia nie mam, czemu się nie zatrzymał w hotelu. Jak długo już on jest w Niemczech? Jedenaście lat, stary. Wyjechał w osiemdziesiątym czwartym. Pamiętasz, były wtedy te umowy o wyjazdach do pracy i na studia. No nie, możesz nie pamiętać, nie jesteś przecież stąd. W każdym razie idź i pogadaj z nim, może coś od ciebie kupi. Robertico miał na szyi trzy złote łańcuszki, a na każdym ciężki i również szczerzoty medalik: ze świętą Barbarą, świętym Łazarzem i z Matką Boską Łaskawą z El Cobre. Do tego jeszcze biały

naszyjnik Obatal i czerwony Changó. W pokoju stało pełno walizek, paczek i kartonowych pudeł, w których były wentylatory, czajniki elektryczne i nowiutki telewizor. Robertico miał jakieś trzydzieści pięć lat. Gdy siedział tak półnagi i z ciałem lśniącym od potu, wyglądał jak piękny czarny maharadża. Obok była ta jego Niemka urodziwa, postawna i trochę od niego wyższa kobieta i dwoje Mulaciątek, które mogły być chyba przykładem jednej z najbardziej udanych mieszanek rasowych, bo rodzice dobrali się idealnie. Widok, który miałem przed oczyma, wydawał się nierealny, lecz miał swoją wewnętrzną logikę: blondynka, Murzyni, Mulaci oraz te wszystkie błyszczące i kolorowe przedmioty w dusznym, ciemnym i straszliwie brudnym pokoju w ob-skurnej i na pół zrujnowanej czynszówce. Najciekawsza była ta Niemka. Nie rozumiała nic po hiszpańsku, uśmiechała się tylko i mówiła cieszcz. Wiele bym dał, żeby wiedzieć, co ona naprawdę myślała o tej śmierdzącej i pozbawionej wody ruderze, w której panował ciężki, wilgotny i duszący upał. A jednak śmiała się, była pogodna i wyglądała na szczęśliwą. Z facetem nie poszło mi łatwo. Targował się i w końcu musiałem mu dać rabat, ale za to kupił ode mnie cały towar: wołowinę, langusty i rum. Przywiózł nawet zamrażarkę i w ten sposób mógł ją zainaugurować. Kiedy mi zapłacił, powiedziałem mu, że też byłem kiedyś w Niemczech. Facet otworzył butelkę rumu i nalał mi szklaneczkę. Tak? Kiedy? W 1982. Trzyście lat temu. W Berlinie? Pracowałem tam przez rok. Zwiedziłem całą część wschodnią. Wtedy byłem dziennikarzem i dość często jeździłem do Europy. I teraz mieszkasz w tej ruderze? Tak. Kurwa, stary, ale dali ci w dupę! Ty chyba nigdy nie mieszkałeś w takich czynszówkach? Nie, ale wszystko jest w porządku. Jakoś sobie radzę. Widzisz, a ja tęsknię za tym jak cholera. Od jedenastu lat zapieprzam jak dziki osioł. Dobrze, że przynajmniej mam Ingrid i tych dwóch chłopaków. Ale żyje ci się nieźle. Tak, nieźle, tylko to wszystko nie jest takie łatwe. Golnę sobie dwa kieliszki i od razu chce mi się płakać. Nawet z moimi synami nie mogę sobie pogadać po hiszpańsku. Nie chcą mówić w tym języku. Nie podoba im się. Wszystko robię, żeby się nauczyli, ale oni są uparci. No ale i tak zostaniesz w Niemczech. Jak się przyzwyczaiłeś do lepszego życia, to tu byś już nie wytrzymał. Chyba nie. Nie potrafiłbym wrócić. Tutaj jest coraz gorzej. dy tak przyjeżdżam co dwa, trzy lata, widzę, że u nas wszystko się sypie. Teraz nawet wody nie ma. Jeśli tak dłużej jej nie będzie, przeniosę się chyba do hotelu. A nie chciałbym. Wolałbym spędzić te parę dni tutaj, wśród swoich. No dobra, Robertico. Muszę iść. Dzięki za poczęstunek. Co robisz dziś wieczór? Nic. To nie wychodź nigdzie. Poczekaj na mnie. Zabiorę cię autem w Hawanę. Poszukamy sobie dwóch dziwek i pojedziemy na plażę. Nie chcę się umawiać z tymi czarnuchami tutaj. Oni zawsze lubią się upić, potem jest jakaś awantura i wszystko kończy się na policji. My, biali, też się czasem upiemy. Ale to co innego. Ja cię właściwie nie znam, ale widzę, że jesteś poważny facet. A ta twoja Niemka pozwala ci tak wychodzić? Ona? Stary! Z nią to ja robię, co chcę. Słuchaj, skorzystaj, bo dziś ja wszystko stawiam. Poszalejemy. Znajdziemy sobie jakieś dwie dupy i mamy czas aż do rana. W końcu ja tu jestem na urlopie. Potem wrócę i znów mnie czeka ten elektryczny śrubokręt i skrzynka śrub do kręcenia. Osiem godzin od poniedziałku do piątku. Śrubki i śrubki. Dobra. No to będę u siebie w pokoju.

NIKTÓRE RZECZY SĄ WIECZNE

Wczoraj wśród głośnej muzyki, ogólnego pi jaństwa i zwykłego sobotniego zgiełku Carmencita obcięła swemu mężowi kutasa. Nie wiem, jak to się stało, bo zawsze staram się trzymać z daleka od tych ludzi. Prawdę mówiąc, oni mnie dość przerażają, ale nie chciałbym, żeby to zauważyli. Gdyby wiedzieli, że się ich boję albo że mi przeszkadzają miałbym zupełnie przesrane. Siedziałem sobie w drzwiach mego mieszkania, czekałem, aż się trochę ochłodzi i cały czas myślałem, gdzie by tu pójść, żeby nie słuchać tej wrzawy. Chętnie wróciłbym dopiero wtedy, gdy się wszyscy trochę uspokoją. Ja nie potrafię spać przy takim hałasie. No więc siedzę tak sobie na progu, a tu nagle ze swego mieszkania wylatuje jakiś Murzyn. Cały zakrwawiony, wrzeszczy t trzymając się zajaja. Za nim wypada Carmencita. Też krzyczy, wymachuje nożem, a w drugiej ręce ma kawałek penisa, który rzuca na podłogę za mężem: Teraz to się już możesz pieprzyć z tymi swoimi dziwkami, ty skurwysynu! Dwóch czy trzech sąsiadów złapało przerażonego i wrzeszczącego Murzyna, żeby zaprowadzić go na pogotowie. Zapomnieli o kutasie, który leżał na podłodze, ale na szczęście jakaś stara babka podniosła go, wsadziła do plastikowego worka i wybiegła za nimi, krzycząc: Weźcie to, może mu go z powrotem przyszyją! W Bogu jest zawsze nadzieja! Carmencita zniknęła się w swoim pokoju. Teraz musiała być nieźle wystraszona, bo na wendetę nie będzie długo czekać: albo szwagrowie posiekają ją maczetami, albo się nią zajmie policja, albo sam jej mąż, gdy tylko wyjdzie ze szpitala, obedrze ją żywcem ze skóry. Tydzień wcześniej Lily oblała naftą i podpaliła swego męża. Facet jest ciągle jeszcze w szpitalu i podobno nie zamierza zgłaszać sprawy na policję. Nie wiem. Jedni mówią, że to z miłości do Lily, inni, że po prostu nie może, bo wciąż leży nieprzytomny na intensywnej terapii. No dobrze. W każdym razie trzeba uważać z tymi Murzynkami. One są cholernie agresywne. Czasem myślę, że to przez te ich zabawy: wpychają sobie jedna drugiejj palce, język albo inne rzeczy

i robią się tak napalone, że jak widzą portki, to tracą już na amen głowę. To jakiś obłęd, bo przecież jeden mężczyzna mniej czy więcej nie powinien im robić różnicy przy tych kilkudziesięciu lepszych i gorszych, jakich miały w życiu. Dziś jest spokój. Niedziele tutaj zawsze są nudne i spokojne. Cisza, bezruch, cały dom śpi. Ta nasza rudera jest jak ogromny i niemrawy smok, który przez sześć dni w tygodniu przewraca się z boku na bok, zije ogniem i powoduje trzęsienia ziemi, a na siódmy zapada w sen i regeneruje siły. Chcę wykorzystać ten spokój i napisać opowiadanie o dwóch transwestytach, którzy mieszkają u nas w domu. To moi przyjaciele. Zresztą nie tylko moi. Wszyscy ich lubią. Są łagodni, sympatyczni i bardzo z sobą szczęśliwi. Jeden z nich marzy o karierze piosenkarskiej. Na estradzie występuje jako Samantha i wtedy bardzo przypomina Marilyn Monroe. Robi to świetnie. Wszędzie na świecie zbierałby nagrody i żyłby jak król. Tutaj przymiera głodem i życie ma całkiem do dupy. Zarabia grosze jako domokrażny fryzjer. Gdy raz udało mu się wystąpić w teatrze America, zaczęło się później prawdziwe polowanie na czarownice. Władze przypuściły atak. Nie na pedałów, bo to byłoby zbyt prymitywne, tylko na dyrekcję teatru i na osoby, które pozwoliły, by na scenie produkowali się transwestyci. Tam na górze wszyscy panicznie się boją, że jakiś malutki obszar indywidualnej wolności może się nagle rozszerzyć i ogarnąć sferę ideologii. Jednak dzisiaj nie mogę z sobą dojść do ładu. Nie idzie mi pisanie. Powtarzam tylko w kółko: Kocham blizny, a nie rany. Czemu uczepliłem się tego zdania jak paranoik? Kocham blizny, a nie rany. Z każdym dniem coraz bardziej upodabnam się do tych Murzynów, którzy tu mieszkają i którzy nie mają nic do roboty, tylko siedzą na chodniku przed domem i próbują przeżyć, sprzedając jakieś bułki, mydło albo pomidory. Co się trafi. I tak dzień po dniu. Nie myślimy, co się stanie jutro i co będziemy robić. Zawsze można usiąść na chodniku z kostką mydła albo z dwiema paczkami papierosów w rękę i czekać, aż minie kolejny dzień. I jakoś trwamy. Dni mi jają. Tak sobie myślałem o tym wszystkim, znudzony i wciąż kochając blizny, kiedy wreszcie przyszła Luisa. Była kompletnie padnięta i śpiąca, ale nie wracała z pustymi rękami. Przyniosła taki mały skarb: czterdzieści dolarów, dwie puszki piwa i pół butelki whisky. Zawsze to jest coś, choć mogło być lepiej po sobotniej nocy. Wykąpała się, zażyła aspirynę, włączyliśmy wentylator i nago wyciągnęliśmy się na łóżku. Luisa nie chciała już pić, ale ja nalałem sobie szklanekę whisky z lodem. Zaczęła mi mówić o facecie, którego wczoraj wieczorem upolowała na Malecónie. Luisa lubi mi opowiadać o takich rzeczach, i to ze wszystkimi szczegółami. Ten wczorajszy facet chciał się pieprzyć na plaży, na piasku. No i dobrze. Miał, co sobie wymarzył: księżyc w pełni, palmy i piękną Mulatkę. Bardziej tropikalnie być nie mogło. Gość był bardzo europejski, miał nawet w kieszeni własne prezerwatywy. Całkiem normalny klient bez żadnych dziwnych żądań ani ekstrawagancj i. Miał dość małego i sflaczałego kutasa, ale z takim garbem po lewej. Trochę mnie bolało. Nie, nic, wszystko było w porządku. Kochanie, później ci opowiem resztę, daj mi teraz spać, bo ledwie żyję. I zasnęła od razu. Skończyłem whisky i nalałem sobie następną. Nie byłem śpiący, a poza tym nie umiem spać w dzień. Lubię patrzeć na tę nagą Mulatkę. Jest piękna. Zgrabna i bardzo szczupła. To jest właśnie szczęście. Póki trwa, nie można żądać więcej. Niczego lepszego nie znalazłbym na świecie. I wtedy przypomniałem sobie tamten poranek. Kiedyś, lata temu, mieszkałem w bardzo dobrym miejscu i miałem wielki taras z widokiem na Morze Karaibskie. Obudziłem się wcześniej, jeszcze przed świtem, i wyszedłem na taras. Na lekko już rozjaśnionym niebie zobaczyłem gorejącą Wenus. Poszedłem do pokoju dzieci, obudziłem Anneloren, która wtedy miała jakieś pięć czy sześć lat, zaprowadziłem ją na taras i pokazałem jej tę poranną gwiazdę: Popatrz, tak jest każdego dnia. Najpierw wschodzi Wenus, a potem słońce. To się nigdy nie zmienia. Wszystkie ważne rzeczy te naprawdę ważne są wieczne. Wiemy, że są, i możemy im być za to wdzięczni. Potem już nie wiem, co było. Chyba dalej piłem whisky, aż się skończyła butelka.

KIEDY TRWA CYKLON

Od kilku dni puszczałem strasznie cuchnące baki. Jadłem wyłącznie czarną fasolę i to chyba ona powodowała u mnie te okropne wiatry. Pierdziałem bez przerwy. Sam już nie mogłem wytrzymać tego smrodu. Na szczęście poza mną nie było nikogo w pokoju. Luisa od tygodnia mieszkała z jakimś ła dowanym Hiszpanem w hotelu. Głupio bym się czuł, gdyby tu akurat była. Raz sobie pierdnąć to nawet fajnie. Dwa, może też, ale więcej, to się już robi obrzydliwe. Zwłaszcza gdy te baki tak śmierdzą. Mam nadzieję, że Luisa wróci z jakimiś pieniędzmi. Będzie nam wtedy trochę lepiej. Choćby przez parę dni, ale zawsze. Byle tylko nie wydała wszystkiego w tych dolarowych sklepach na ciuchy i perfumy. Powinniśmy sobie coś kupić do jedzenia. Od trzech dni nie mam ani grosza, a ten cholerny czarnuch obok cały czas tłucze młotkiem w blachę. Robi wiadra. Podejrzewam jednak, że Luisa nie wróci wcześniej, aż się nie pożegna z tym swoim Hiszpanem na lotnisku. Kurwa, aja tu tymczasem będę zdychać z głodu. Nie. Pohandluję wiadrami. Idę do faceta i chwilę z nim pertraktuję. Wreszcie daje mi jedno wiadro. W komis. Gdy uda mi się je sprzedać, zarobię dwadzieścia peso.

Gówniane pieniądze, ale zawsze są lepsze niż nic. No dobra. Biorę wiadro i wychodzę na ulicę. Pada deszcz. Podobno cyklon dotarł już nad Tampę, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego musi lać u nas, skoro Tampa jest na Florydzie. W każdym razie wolę zmoknąć, niż siedzieć w domu. Przez tego gościa od wiader człowiek może ogłuchnąć. Nie da się przecież cały dzień słuchać walenia młotkiem w blachę. Albo krzyków jakiejś Murzynki, która akurat postanowiła wyiskać wszystkie swoje czarne bachory, a ma ich ponad dziesięcioro. Do tego jeszcze ta stara histeryczka, która głośno wzywa wszystkich świętych, bo gdy pada, lecą jej na łeb kawałki sufitu, więc boi się, że lada chwila szlag trafi cały budynek. Niemal bez zastanowienia idę z tym moim wiadrem do Artura. To taki stary mistyk, różokrzyżowiec, jog i malarz prymitywista. Żywi się owocami, pszczelim miodem i wchłania pranę. Wszystkim, czego potrzebujemy, jest karma. Twój bezład zaczyna się i kończy w tobie samym. Uporządkuj siebie, medytuj i zrównoważ swoją karmę. Zawsze mi mówi to samo, ale ja nie mam czasu na te wszystkie głupoty. Muszę szukać czegoś do żarcia. Umrę z głodu, gdy zacznę równoważyć karmę. A ta moja kurwa w każdej chwili może wsiąść do samolotu i tyle będę ją widział. Dowiem się, gdy będzie już w Europie. No więc muszę wciąż iść do przodu. Do przodu, jeśli nie chcę zdechnąć. Kiedyś może będę mieć czas na równoważenie karmy i na te inne pierdołki. Arturo przeżywa teraz romans z dwudziestoletnią aktorką. On sam ma już jakieś sześćdziesiąt pięć lat. Podoba mi się ta jego dziewczyna. Ale nic z tego. Świata nie widzi poza tym staruchem. Nie wiem, jak on to zrobił, ale kompletnie ją zauroczył. Teraz ciągle maluje jej akty. Arturo mieszka w malutkim domku niedaleko tej mojej czynszówki. Żyje mu się nieźle, bo ten stary cwaniak swoje obrazy sprzedaje za dolary turystom. Przez uchylone drzwi ledwie widzę jego oczy. Chyba jest całkiem goły. Nie chce wiadra. Arturo, mogę ci je zostawić i zapłacisz mi jutro. Nie, nie, dziękuję. Nie potrzebuję wiadra. A może któryś z sąsiadów? Znasz kogoś, kto byje kupił? Nie, nie wiem. Nie znam nikogo. No dobra, stary. Trzymaj się. Jakoś się trzymam. Cześć. Dobry pasterz nigdy nie pozwoli, by wilk zbliżył się do jego owiec. Idę dalej. Powoli, pod okapami, i od czasu do czasu mówię: Wiadro, dobre wiadro, nie z plastiku. Wiadro raz na zawsze. Teraz takich wiader już nie ma. Z prawdziwej blachy, kupisz i masz je do końca życia. Czasem ktoś przystanie i zapyta o cenę. Tak z nudów. Zaraz odchodzi i nawet nie czeka na odpowiedź. Schodzę w dół przez Galiano aż do Malecónu. Morze jest coraz bardziej wzburzone. Wieje silny wiatr. Czyżby cyklon jednak o nas zahaczył? Idę w stronę domu, w którym przez tyle lat mieszkałem. Wychodzę na ostatnie piętro, aż na sam dach. Dzwonię. Może stara Hortensja kupi ode mnie to wiadro? Jestem cały przemoczony, ale wszystko jedno. Lubię taki deszcz i wiatr. Hortensja zawsze pracowała w policji. Miała stopień kapitana w Urzędzie Bezpieczeństwa. Kilka lat temu poszła na emeryturę. Potem owdowiała i teraz jest w zupełnym dołku. Kiedy umarł jej mąż, Hortensja straciła wszystko. Nie ma pieniędzy, jedzenia, wody ani mydła. Nawet rodzina się jej wyparła. Hortensja mieszka sama i jest na pół wariatką. Zawsze uważała, że wszyscy są przeciwko niej. Wciąż jednak jest autorytarna i władcza, mimo że jej status nie odbiega wiele od statusu rozgniecionego karalucha. Własna córka się na nią wypięła. Kiedyś gdy byłem jeszcze sąsiadem Hortensji powiedziała mi, że nie cierpi swojej matki: Daj mi znać, kiedy stara w końcu wykituje. Wtedy pomyślałem sobie, że ta córka Hortensji tojakiś niezły wyrodek. Ale nie. Później ją zrozumiałem. Odkąd się wyprowadziła, nie da się już żyć na tym tarasie. Jestem tu jak na wygnaniu. Ale dlaczego, Hortensjo? Musisz być silna i jakoś sobie radzić. Nie myśl ciągle o Luciu. No trudno, umarł. Och, synu, ja nie mogę o nim nie myśleć. Lucio był moim jedynym oparciem. A ja ciągle na niego krzyczałam i chciałam się rozwodzić! Teraz już nie mam nikogo. Nie, nie mów tak. Zawsze jest przy tobie Bóg. Powiedziałem jej to dla draki, bo ona chyba nawet nie wierzy w swoją własną matkę). Jaki Bóg, co ty mi opowiadasz! Zrozum: ja nie mam z czego żyć! Bez dolarów w tym kraju człowiek może tylko zdechnąć. Dużo mi tu Bóg pomoże! Chodź, siadaj, pogadamy chwilę. Nie teraz, Hortensio. Muszę już iść. Chcę sprzedać to wiadro. Ach! Może je kupią od ciebie te łobuzy, co mieszkają obok. Tak myślisz? Oni siedzą na forsie. Facet pracuje w sklepie za dolary i kradnie, ile wlezie. Skurwysyn! Przecież on okrada nas wszystkich, rząd, Fidela... Daj spokój, Hortensjo. Zapomnij o polityce. Ciesz się życiem i spróbuj jakoś fajnie przeżyć te kilka lat, co ci zostało. Och, synu! A ileż mi ich zostało? I popatrz, co się porobiło z tą naszą rewolucją! Chińczycy mówią, że czas jest kolisty. Prędzej czy później wraca się do początku. Co takiego? Nie bardzo cię rozumiem. Nie, nic. Po prostu nie martw się. Idź, zawołaj tych ludzi, może kupią wiadro. I rzeczywiście kupili. Zaraz potem poszedłem. Nie miałem cierpliwości, żeby wysłuchiwać tych wszystkich żalów Hortensii. Już byłem w drzwiach, kiedy mi powiedziała: Przecież nie mogą tak zupełnie zapomnieć o ludziach. Cały ten dom się rozsypuje, nie ma wody, nie ma gazu, nie ma jedzenia, nie ma nic. Co to znaczy? Jak długo mamy tak żyć? Rząd powinien się nami trochę zająć. Jesteś dziennikarzem, prawda? Dlaczego nie napiszesz czegoś o tym domu? Może kogoś wreszcie ruszy sumienie. Tu mieszka mnóstwo starych ludzi, którzy są zdani wyłącznie na siebie i którzy... Posłuchaj, Hortensjo, nie widzisz, że sprzedają wiadra? Ja teraz jestem nikim. No dobra, przyjdę tu za parę dni, to wtedy pogadamy. Trzymaj się. Zszedłem na dół na piechotę. Winda już od lat nie działała. Dwanaście pięter. Na drugim przyszło mi do głowy, że mógłbym wstąpić do Flayii. Przez dwa lata mieliśmy bardzo fajny romans.

Zdążyliśmy nawet opracować cały plan, jak to będziemy żyć razem i kochać się aż do śmierci. Ona miała się zajmować rzeźbą a ja swoimi powieściami. Mówiła do mnie kotku i była bardzo czuła. Wciąż mi powtarzała: Jesteś mi potrzebny, kotku. No ale w końcu pojechała do Hiszpanii, a potem do Nowego Jorku. Okazało się, że jest samowystarczalna i że nie potrzebuje już kotka. Zapomniała o naszych planach. Potem wróciła. Widzieliśmy się przez godzinę. Dla mnie to nasze pożegnanie było bardzo patetyczne, dla niej raczej ra dosne. Minęło dużo czasu od tamtego spotkania. Znowu wyjechała do Nowego Jorku. Miała kilka indywidualnych wystaw i wernisaży z kalifornijskim winem. Sprzedawała swoje rysunki po tysiąc dolarów za sztukę. Gdy teraz do niej przyszedłem, wyciągnęła zdjęcia. Pokazała mi na nich właściciela galerii, jakiegoś pedała, który pomagał jej urządzać wystawę, i kilku tamtejszych znajomych. No dobrze. W każdym razie Flavia wyglądała na dużo bardziej spokojną niż kiedyś. Jasne, miała dolary. Dolary to dobry środek na uspokojenie. Zrobiła mi kawę i powiedziała: Wiesz, to nie jest łatwo przebić się w Nowym Jorku. Czasem myślę, że wołałabym poszukać sobie gdzie indziej pieniędzy i skorzystać trochę z życia. Chyba tak byłoby lepiej, prawda? Nie wiem. Nigdy nie próbowałem przebić się w Nowym Jorku. Och, czemu tak mówisz? Ciągłe masz do mnie żal? Nigdy nie miałem do ciebie żalu. Jest mi tylko bardzo smutno.

No dobrze, nie mówmy już o tym. Wpadłem tylko na chwilę, żeby zobaczyć, co u ciebie. Musisz trochę przytyć. Strasznie schudłeś. Dlaczego? Zapisalem się do baletu. Wiesz co? Z tobą się nie da rozmawiać. No trudno. Idę. Trzymaj się. Poszedłem. Ona nie ma pojęcia, że na oceanie mych łez i cierpienia zostawiła po sobie długi kilwáter przeraźliwie smutnych wierszy. Zupełnie jak w tych sentymentalnych bolerach. Nigdy się o tym nie dowie. Nie dam jej tej satysfakcji. Teraz już leje jak z cebra. I do tego ten wiatr. Nie lubię takiej pogody. Gdy pada deszcz, robię się jeszcze bardziej głodny.

PODCZAS PEŁNI NA TARASIE

Luisa gdzie się włóczyła z jakimś Hiszpanem. Takim jej kolejnym księciem z bajki. Wpadła na chwilę do domu, zostawiła mi dziesięć dolarów i powiedziała: Wszystko jest w porządku. To taki facet z Asturii. Burak, ale ma kupę forsy. Jaki burak? Ciągłe ci się przyczepiają jakieś takie dziwne słowa. Ha, ha! Uczę się. Wiesz co? Zamiast tak dzia dować, mógłbyś też sobie poszukać jakiejś Hiszpanki. Nie pierdol, Luisa! Daj mi spokój z Hiszpanką! Co to jest burak? Wsiok, kochanie. Chłop, rolnik, kmiotek... Ano tak... Chce mnie z sobą zabrać. Jasne. Wszyscy chcą cię zabrać. A gdy potem trzeba jechać na lotnisko... Nie kracz. Ty chyba naprawdę przynosisz ludziom pecha. No dobra, idę. Wrócę, jak z nim skończę... Kochanie, będę bardzo tęsknić za tobą. E tam! Ty za nikim nie tęsknisz. Dla ciebie najważniejsza jest twoja własna cipa. Oj, nie mów tak do mnie... Gdyby ci na mnie zależało, to byś mi zostawiła trochę więcej forsy. Co to jest dziesięć dolarów? W sam raz, żeby umrzeć z głodu. Kochanie, on mi w ogóle nie daje pieniędzy. Sam za wszystko płaci. Musiałam mu buchnąć tę dychę, żebyś też coś miał. Nie bądź taki niewdzięczny. Obsypała mnie pocałunkami. I poszła. Cudownajest ta Mulatka. Zawróciła mi na amen w głowie. Kiedy zostałem sam, schowałem te dziesięć dolarów pod zawiasem drzwi: starannie złożyłem banknot i wsunąłem go pod blachę między dwie zardzewiałe i obluźowane śruby. Potem usiadłem na krawędzi dachu. Mieszkałem wtedy w nadbudówce na płaskim dachu wieżowca przy Malecónie. Na dwunastym piętrze i jakieś sześćdziesiąt metrów nad ulicą. Lubiłem siadać na samym skraju dachu z nogami dyndającymi w powietrzu. To było proste. Wystarczyło zeskoczyć z tarasu na okap: na taki piękny okap podtrzymywany przez kamienne gargulce w kształcie gryfów i rajszych ptaków. Ten nasz budynek był stary, bardzo solidny i w takim bostońskim stylu, j jednak coraz bardziej niszczał. Dewastowali go ci wszyscy ludzie, którzy gnieździli się w nim i próbowali jakoś przeżyć. Dobrze. No więc w sumie było to proste. Przynajmniej dla mnie. Czułem się trochę jak ptak i przypominałem sobie czasy, kiedy miałem jeszcze jaja na swym miejscu i wypuszczałem się na lotni ze wzgórze w dolinie Viñales. Pamiętam, jak zaciskałem tyłek ze strachu, że lada moment dupnę nim o ziemię. Ale tamto urządzenie nigdy mnie nie zawiodło. A więc wieczorami zeskakiwałem na okap i siadałem z nogami zwieszonymi nad ulicą. Rozkoszowałem się chłodem i patrzyłem na pogrążone w mroku miasto. To były fantastyczne chwile. Marzyło mi się, żeby skoczyć, polecieć jak ptak i poczuć się najbardziej wolnym z ludzi. Tamtego wieczoru przyszła Carmita. Carmita to niespokojny duch. Wtedy kręciła równocześnie z trzema facetami: z marynarzem, z mechanikiem i z inspektorem od ceł. Carmita jest bardzo szczególnym przypadkiem. Ma czterdzieści jeden lat, ale zachowuje się jak jedenastoletnia dziewczynka. Najbardziej ją pasjonują seks, pieniądze i hazard. Choć może to nie najlepsza kolejność. Powinienem powiedzieć: pieniądze, seks, pieniądze, hazard i pieniądze. A poza tym kantowanie, żeby zawsze wygrać i za wszelką cenę. Carmita mieszka na piątym piętrze z dziećmi i z wszystkimi swymi facetami. Pojęcia nie mam, jak ona to robi, że marynarz, mechanik i celnik nigdy się jeszcze z sobą nie spotkali. Podejrzewam, że tamtego wieczoru, kiedy pojawiła się ii mnie, postanowiła dodać czwarty okaz do swej kolekcji pożytecznych

mężczyzn. Nagle usłyszałem za plecami jej krzyk. Była piękna księżycowa noc, pełnia, błękitne niebo, gładkie, nieruchome morze i niemal bezludny Malecón. Tkwiłem jak nietoperz na tym moim okapie, w ekstazie, zawieszony nad pustką i nie myśląc o niczym. Cudownie jest wisieć tak w powietrzu, gdy od morza naprzeciw wieje chłodna czerwcowa bryza, a na dodatek jest niemal absolutna cisza. Wtedy człowiek rzeczywiście o niczym nie myśli. Mogę o niczym nie myśleć, bo czuję się nieważki, płynę, przenikam w siebie i niczego nie pragnę. Jestem sam na sam ze sobą. To prawdziwy cud pośród tych wszystkich sztormów i katastrof. i Cud, który dokonuje się we mnie. I oto nagle Carmita krzyczy: Pedro Juan, spadniesz! Co ty tam robisz? Matko Boska, złaż stamtąd zaraz! Hej, hej, spokojnie! Po co tyle krzyku? Ta kobieta traktuje mnie, jakby była moją matką albo kimś w tym rodzaju. A poza tym po raz pierwszy przyszła do mnie na taras. Przypuszczam, że gdybyśmy mieszkali razem, to by mnie zawsze spędzała z okapu, a później dostawałbym od niej parę klapsów. No dobrze. Nie wiem, jak to się stało, ale już po chwili biegłem na dół po schodach. Kupiłem jakiś tani rum, który śmierdział naftą ale z lodem i cytryną dało się go pić. Nalaliśmy sobie jedną drugą, trzecią szklanekę, a potem rozmawialiśmy o mnóstwie lu: dzi, którzy zostali bez pracy. Wszyscy sprzedawali coś tam na ulicy i próbowali przeżyć. Wiesz co, Pedro Juan, oni mnie nie obchodzą. Niech sobie zdychają. No nie, dziewczyno! Mnie ich szkoda. A mnie nie. Tobą kto się przejmuje? Przecież widzę, że ledwo ciągniesz. Gdybyś nie kombinował, to byś umarł z głodu. To prawda, ale... A nade mną ktoś się użala? Ci ludzie, sprzedając na ulicy pizzę albo cytryny, wynoszą swój problem na zewnątrz i od razu wszyscy o nim wiedzą. Ja przez dwa lata mordowałam się z tym moim grubym, dumnym i wiecznie pijanym majstrem, i to tylko dlatego, żeby mieć sześćdziesiąt peso na tydzień. Ale to był mój problem. Domowy. Nie musiał o nim wiedzieć nikt obcy. No i tak jakoś ciągnęłam, aż wrócił marynarz i mogłam przegonić tamtego tłuszciocha. Ty to masz dość cyniczne podejście do życia! Tak, ja mam cyniczne podejście! A ty niby nie? Sam żyjesz z tej swojej dziwki. Wszyscy o tym wiedzą. Ja wcale nie jestem cyniczna. Mnie po prostu od dziecka uczyli, że męża się ma nie dla przyjemności ani dlatego, że jest przystojny albo żeby się pochwalić taką domową maskotką. Nie. Mąż jest, żeby pracował i żeby mnie utrzymywał. Jak mi facet nie daje pieniędzy, to go nie potrzebuję. Moje dzieci ucze tak samo. Nie chcę w domu niedojdów ani próżniaków. Ani tym bardziej takich alfonsów jak ty. Ode mnie się odwal. A co ci takiego daje ten twój marynarz? Marynarz przyjechał z całą furą prezentów. Przywiózł mi wszystko: ubrania, buty, perfumy. Wszystko. Nawet takie dwie piękne sukienki z chińskiego jedwabiu. Był w Chinach. Jak Marco Polo. Kto to jest Marco Polo? Taki mój znajomy. Dobra, ale nie wiem, czy ten twój Marco Polo ma równie dobry gust jak mój Yeyo. Wszystko, co przywiózł, pasuje na nas jak ulał. Nawet buty. Jesteśmy już urządzeni, ja i moje dzieci. To jest prawdziwy mężczyzna, nie taki nieudacznik jak ty. No i tak sobie rozmawialiśmy. Nie wiem dlaczego, ale po trzech czy czterech szklaneczkach nagle miałem ochotę, żeby ją przytulić. Nie wiem, dlaczego: po prostu na chwilę się wyłączyłem, bo Carmita mówiła o jedzeniu, o kuchni, o tym, jak pięknie wygląda jej mieszkanie, że je ciągle czyści i pucuje, że ma taką specjalną ściereczkę, że mój pokój jest strasznie zagnojony i że ona nie wie, jak można tak żyć. Tutaj brakuje kobiecej ręki. Ja cito wszystko doprowadzę do porządku. Zawieszę firaneczki, będziesz mieszkać jak w domku dla lalek. Opowiadała te swoje głupoty, aja cały czas się jej przyglądałem. Ma czterdzieści jeden lat, ale prezentuje się nieźle. Nie wytrzymałem. Wstałem, pogładziłem ją po głowie i przycisnąłem podbrzusze do jej twarzy. Rozpięła mi pasek i zsunęła zamek. Najpierw wydobyla na wierzch moje włosy, a potem kutasa, który pomału zaczął pęcznieć, prostować się i dziarsko patrzeć do góry, jak gdyby pytając, kto go wołał. Ach, Pedro Juan, jaki śliczny kutasik! Ekstraklasa! Mówiła to czułym i afektowanym głosem, zupełnie jakby miała przed sobą cukierek. Potem powoli wsunęła go sobie do ust. Poczułem jej wargi, język, zęby, wszystko. Ciasną ciepłą i wilgotną przestrzeń. Delikatne ukąszenia na czubku. Zaczęła poruszać głową w rozmarzeniu, z zamkniętymi oczami. Do przodu i do tyłu, uparcie, aż wytrysnąłem. Wyssała wszystko, do ostatniej kropli. A teraz, kotku, pójdziemy do łóżka. Uf, nie, poczekaj. Zrobimy sobie pauzę. Ona myśli chyba, że jestem piętnastolatkiem. Wyssała mnie, wydoiła i teraz chce jeszcze. Nie, nie będzie żadnej pauzy. Masz przecież języki palce. Napaliłeś mnie, więc nie możesz mnie teraz tak zostawić. No jazda, chodźmy do łóżka! I od razu zaczęła się rozbierać. Ona ma fantastyczne ciało! Czterdzieści jeden lat, codziennie ryż z fasolą trzy porody, żadnych kremów, żadnych klubów fitness, żadnych saun, ale jej figura wciąż jest idealna. No dobrze, nie było rady. Nalałem sobie jeszcze jedną szklaneczkę, a potem wziąłem się do roboty językiem i palcami. Przez dłuższą chwilę tak pracowałem, a ona wzdychała i miała eden orgazm po drugim. Wreszcie odzyskałem trochę wigoru i kutas znów mi się zaczął podnosić. Nie za bardzo, ciągle był miękki, więc pędzlowałem nim tylko po jej szparze. Carmita jeszcze jakiś czas pojęczała, miała dwa kolejne orgazmy i skończyliśmy. No! Chodźmy teraz ochłonać na zewnątrz. Dochodziła już północ. Na tarasie było cicho i pusto. Udało mi się za dowolić Carmitę. Bolał mnie trochę język, ale ogólnie czułem się pełen energii. Wskoczyłem z łóżka i nago wybiegłem na taras. W błękitnym świetle księżyca ujrzałem dwóch facetów. Musieli wszystko widzieć przez uchyloną żaluzję. Zaskoczyłem ich i teraz w popłochu chowali kutasy

do spodni. O nie! Te gnojki trzepały sobie konia naszym kosztem! Wściekłem się i rzuciłem na nich z pięściami. Spuściłem im niezły łomot. To byli dwaj młodzi chłopcy, tak wystraszeni, że w pierwszej chwili nawet nie zareagowali na ten nagły grad ciosów. W końcu jeden z nich cofnął się, wyciągnął pistolet i wymierzył go we mnie. Dopiero wtedy spostrzegłem, że obaj byli w mundurach. Kurwa, to wy jesteście z policji! I podglądacie ludzi, żeby sobie potrzepać! Drugi policjant również wyciągnął pistolet, ale moje krzyki zdążyły pobudzić sąsiadów, którzy powychodzili na taras i zobaczyli, jak goły drę się i wygrażam dwóm uzbrojonym gliniarzom mierzącym do mnie z pistoletów. Nikt nic nie rozumiał. W końcu jeden z tych umundurowanych gówniarzy wyciągnął kajdanki i chciał mi je założyć. O nie! Żadne kajdanki, ty zboczony gnojku! Słuchajcie, oni tu przyszli pogapić się na nas przez okno i potrzepać sobie kutasy za darmo! Carmita, chodź tu zaraz! Carmita! Wszedłem do pokoju, żeby włożyć spodnie. Carmita zniknęła. Uciekła w dół po schodach, gdy tylko zobaczyła, że jest awantura z policją. A to dziwka! Ładnie mnie urządziła! Obywatelu, to jest zakłócenie porządku publicznego. A poza tym w miejscu publicznym obywatel chodzi nago. Proszę złożyć ręce i podać nam je tutaj. Idziemy na komisariat. Wtedy sąsiedzi na nich naskoczyli. Przestańcie głupio pieprzyć! To jest nasz taras, a nie żadne miejsce publiczne! A wy po coście tu przyszli? Popatrzcie na gołe baby? Kto tu zakłóca porządek? Wstydu nie macie! Po chwili na tarasie było już ze dwudziestu sąsiadów. Otoczyli gliniarzy. Ci nie spuszczały z tonu i próbowali odzyskać kontrolę nad sytuacją. Proszę wziąć dowód osobisty i iść z nami... W dupę się ugryź jeden z drugim! Nigdzie z wami nie idę! Spierdalajcie mi stąd, ale już! Byłem tak wkurzony, że aż sąsiedzi zaczęli mnie trochę mitygować. W końcu policjanci postanowili się wycofać. Za dużo ludzi było dookoła i wszyscy pytali, co oni właściwie robili w nocy na naszym tarasie. Niemal zbiegli po schodach, ale wciąż jeszcze się odgrażali: My tego tak nie zostawimy! Zaraz tu będziemy z powrotem! Poszli i wszystko się uspokoiło. Sąsiedzi wrócili do mieszkań i znów położyli się spać. Wziąłem resztę z moich dziesięciu dolarów i zszedłem poszukać piwa i czegoś dojedzenia. Po takiej gimnastyce człowiek staje się głodny. No dobrze, w końcu nieźle było. Dowaliłem im parę razy, zanim wyciągnęli pistolety. Fajnie.

BRAMY KRÓLESTWA BOŻEGO

Salva dorowi .Rodriguezowi del Pino

Siedzieliśmy z tym moim meksykańskim jankesem w podcieniach hotelu Deauville i piliśmy jedno piwo po drugim. W centrum Hawany niebezpiecznie jest w niedzielny wieczór siedzieć na zewnątrz i pić piwo z grubym, rumianym i bardzo białym facetem. Ten sześćdziesięcioletni facet na pewno ma kupę szmalu. Dokoła nas czai się cała sfera i szczerzy kły, czując zapach pieniędzy. No więc zwęszyli nas i przypuścili atak. Najpierw dzieci zaczęły prosić o monety. Potem pojawiły się nachalne kurwy. Ich alfonsi oferowali rum, papierosy i afrodyzjaki. Wszystko z przemytu i wszystko supertanio. Każdy przy tym próbował opowiedzieć nam swoją historię. Nędza niszczyła wszystko i wszystkich, od środka i od zewnątrz. Skończył się etap socjalizmu i nie gryź ręki, która daje ci papu. Teraz była inna zasada: Ratuń się, kto może. Do diabła ze współczuciem i tego typu rzeczami. Całkiem fajnie bawiliśmy się przy tym piwie. Opowiadał mi różne anegdotki ze swego gejowskiego dzieciństwa w Acapulco. Od urodzenia był gejem, i na dodatek niezłym wariatem. Właśnie dlatego te jego opowieści były takie śmieszne. Całą historię swej rodziny przedstawił mi jakby od podszewki. Zabawnie było słuchać o kłopotach bogatych burżujów podczas rewolucji meksykańskiej, o nocnych widmach szkockich przodków i o różnych wędnących w staropanieństwie ciotkach. Jasne, że ci cholerni Meksykanie mogą pisać dobre powieści: mają tyle pierwszorzędno materiału, i na dodatek zawsze dostawali w dupę. Koło północy mój zamerykanizowany Meksykanin poszedł do hotelowej toalety. Od razu wdarły się tam za nim trzy kurwy. Próbowaly go zgwałcić czy coś w tym rodzaju. Facet wybiegł wystraszony, by szybko znaleźć się pod moją opieką. Wtedy opadła nas banda czarnych i białych gówniarzy, którzy z krzykiem starali się coś od nas wycygnąć. Cokolwiek. Robili miny, jakby umierali z głodu, wyciągali ręce i w kółko powtarzali: Panie, proszę, daj nam najedzenie, panie, proszę, daj nam najedzenie, proszę, najedzenie! Usiłowałem ich przepędzić. Hej, dosyć już! Nic tu dla was nie ma. Jeden z nich, który wyglądał na przywódcę, zgarnął całą grupę i powiedział z godnością: Bardzo pana przepraszam, ale czasy są takie, że wszyscy już tracimy głowę. Nie będziemy się już więcej naprzykrzać. Chłopaki, idziemy! I poszli. Po chwili ich rezolutny lider wrócił uśmiechnięty. Widział pan, jak sobie z nimi poradziłem? Da mi pan coś za to? Choćby na hamburgera. Nie, stary. Nic nie dostaniesz. Spadaj. W tym momencie spostrzegłem, że mój kumpel jest strasznie zdenerwowany. Enrique, co się dzieje? Nie, nic, tylko jedna z tych bab chciała mi włożyć rękę do spodni. Wiesz, to już jest poważna sprawa. Molestowanie, próba gwałtu. Troszkę mnie to rąbnęło. Zdenerwowałem się. Chodźmy stąd, poszukamy miejsca, gdzie można by coś zjeść. Każdy z nas miał już w sobie osiem albo dziewięć piw. Wypiliśmy na pusty żołądek, a więc z wia domym efektem. Byliśmy trochę zawiani. Nie za bardzo, ale trochę. Jankes zapłacił i poszliśmy na Malecón.

Była tam kupa ludzi. Wilgotny lipcowy upał kazał wszystkim wieczorem powyłazić z nor i szukać ochłody nad morzem, a przy okazji zabawić się i posłuchać muzyki. Niemal cały Malecón był pogrążony w ciemnościach i pełen ostrej muzyki. Właściwie nawet nie muzyki, tylko przeraźliwej kakofonii dobiegających zewsząd dźwięków. Morze było kompletnie nieruchome, a powietrze stało. Żadnego powiewu, nic. Tylko lepki upał, tłumy ludzi, ciemność i smród przepelnionych szamb. Dogoniły nas dwie z owych kurw, które dopadły mego kumpla w toalecie. Chwyciły go za ramię. Były to dwie ładne Mulatki, bardzo młode i bardzo spocone. Może trochę zbyt chude i z takimi podkrążonymi oczami. Jak nie chcesz z nami spać, to daj nam przynajmniej dolara, żebyśmy sobie kupiły hot doga! Nie! Nie dam! Nie mam dolara. Przepraszam, dajcie mi spokój. Ach, tak! Od razu widać, że jesteś pedałem! To oto ci chodzi! Parówa! Poproś swego faceta, to może ci wsadzi. Ej, ty! Zerznij mu dupę, niech się cieszy! Pies je drapał, nie próbowałem im nawet odpowiadać. Nie warto było. Poszliśmy dalej. Ludzie gapili się na nas, my na nich. Upał. Wszyscy byliśmy spoceni. Odkąd przyjechałem na Kubę, cały jestem mokry zaśmiały się Enrique i otarł sobie z czoła pot czerwoną chustą. W zaśnieżonych górach Kolora do wiązał chyba sobie tę chustę na szyi, żeby uchronić się od przeziębienia. Przez chwilę wyobrażałem sobie kowbojów, którzy w skórzanych kamizelkach i z chustami na szyi przemierzali konno tamte góry. Powinniśmy coś zjeść, Pedro Juan. Nie jesteś głodny? Jestem. Zobaczmy ten bufet na rogu. Może coś tam mają. Poszliśmy do bufetu. Dookoła stało mnóstwo stolików. Wszystkie zajęte. Obok też tłum ludzi, hałas. Skąd się ich tylu wzięło? Wszyscy krzyczeli, śmiali się, tańczyli. Przeciskając się wśród spoconych ciał, dotarliśmy do bufetu. Zamówiliśmy po kawałku kurczaka z frytkami i dwa piwa. Prawdę mówiąc, miałem ochotę upić się tej nocy. Lecz cóż: gdy z takim nastawieniem zabieram się do picia, mogę wlać w siebie jedno piwo, drugie, trzecie, dwudzieste i ciągle nic. Najwyżej lekki rauszyk. Jakiś młody Mulat, właściwie jeszcze gówniarz, zaczął się przedzierać w stronę lady. Odepchnął nas. Nie przeprosił, tylko bezceremonialnie odsunął nas na bok. Oparł się o kontuar, wyciągnął dziesięciodolarowy banknot i zamówił coś u barmana. Inny Mulat niemal całkiem czarny i też bardzo młody zaszedł go od tyłu i szarpnął za ramię. Obrócił go twarzą do siebie i przycisnął plecami do lady. Z furią i z wyrazem jakiegoś obłąkania w oczach dwa razy dźgnął go nożem w pierś. O kilka centymetrów ode mnie. Wszystko stało się tak szybko, że dopiero po chwili zrozumiałem, czym był ten błyszczący przedmiot, który dwa razy zagłębił się i wynurzył z piersi owego chłopaka z dziesięciodolarowym banknotem. Dwa czyste pchnięcia i ani śladu krwi.

Odruchowo szarpnąłem Enrique, żeby się odsunął, a sam przywarłem do kontuaru. Zraniony chłopak rzucił się do ucieczki, a ten drugi pognął za nim, dziabiąc go na oślep nożem. Wrzaski, panika, ludzie w popłochu rozstępują się na boki. Jakiś policjant trzy razy strzelił w powietrze z czterdziestki piątki. Dziwne. Ten gliniarz, ubrany po cywilnemu, stał daleko od jasnego i oświetlonego bufetu, ale mimo mroku widziałem go bardzo wyraźnie. Dotąd pamiętam tę jego wystraszoną i zdezorientowaną twarz. Chciałem jak najszybciej wyprowadzić stamtąd Enrique. Szukam go wzrokiem: leży na brudnej i mokrej podłodze, a jakichś czterech typów trzyma go i grzebie mu po kieszeniach. Musiał upaść po tym moim szarpnięciu. Idę mu na odsiecz i krzyczę, żeby przepłoszyć tamtych drapieżników: Hej, co tu się dzieje? Puszczają go i znikają. Pomagam mu wstać. Szybko, Enrique! Zmywamy się stąd. Udaje się nam przepchnąć przez wrzeszczący tłum. Przechodzimy przez Malecón na szeroki chodnik, który biegnie wzdłuż morza. Nagle zdaję sobie sprawę, że jesteśmy tam jedynymi białymi. W parku Maceo jakaś kapela gra salsę: Gdy patrzę na ciebie, to wiem, że jesteś gotowa na wszystko; właśnie takiej szukam dziewczyny, zapamiętasz tę noc i mnie. Dokoła wszyscy wiją się w nieokiełznanym tańcu. Ukradli ci coś? Sprawdź. Enrique obszukuje się. Brakuje mu sześćdziesięciu dolarów, które miał w kieszonce w koszuli. Nie ma też okularów przeciwsłonecznych i prawajazdy. Zostało mu trochę pieniędzy w tylnej kieszeni spodni. Boli go prawe ramię, w które uderzył się, upadając. Na plecach i na siedzeniu jest cały ubłocony. Szybko wynosimy się stamtąd. Odcinek Malecónu, który zaczyna się za parkiem Maceo, jest wyłącznym terytorium pedałów i lesbijek. Takie gejowskie sto metrów. Free loye. Dalej, w stronę Veda do, wszystko się zmienia. Geje są granicą między niebezpieczną strefą black power i względnym spokojem Veda do, które wydaje się obce tamtemu chaosowi. Ale to nieprawda. Zaraza dotarła już wszędzie. W końcu wszyscy jesteśmy w jakiś sposób mieszańcami. W Veda do niepokój czai się pod ziemią. Wystarczy trochę podrażnić, a wybuchą z taką samą gwałtownością jak gdzie indziej. Weszliśmy do pizzerii przy hotelu Saint John. Czysty, jasny lokal, mało ludzi, klimatyzacja. Ale spokój! Płaci się w dolarach, choć w sumie nie tak drogo, ale na pewno nie ma tu wstępu motłoch, który dla dziesięciu dolarów jest gotów się zadźgać nożami. Zamówiliśmy dwie pizze z szynką i piwo. Odetchnęliśmy głęboko i uśmiechnęliśmy się do siebie. Lubię oddychać świeżym, suchym i pachnącym powietrzem. Mam wtedy poczucie luksusu, komfortu i ogólnego błogostanu. Jesteś w miejscu z klimatyzacją i czujesz, jak w płuca wnikają ci same lekkie i życiodajne neutrony. Wszystkie protony zostają na zewnątrz razem z wilgotnym upałem, hałasem i bezmyślnym tłumem. Tutaj nie ma tłumów. Jest bardzo mało ludzi, wszyscy są dobrze ubrani, grubawi i mówią przyciszonym głosem. Przy sąsiednim stoliku siedzi trzech młodych i dobrze

odzywionych Meksykanów ze złotymi łańcuszkami na szyjach i z grubymi bransoletkami. Są za dowoleni i spokojnie z sobą rozmawiają. Enrique uśmiecha się do nich i w swoim najlepszym meksykańskim pyta, czy są z Guadalajary. Nie, są z Monterrey. Głoszą słowo Boże. Przyjechali dziś rano, a już zdążyli być w świątyni, gdzie nawrócili paru ludzi. A jak to zrobiliście? Mielicie jakieś adresy, kontakty czy coś w tym rodzaju? Nie, proszę pana. Przed wyjazdem trzy dni spędziliśmy na poście i modlitwie w intencji odszukania tu braci potrzebujących słowa Bożego. Modliliśmy się, by wielu zagubionych braci mogło wraz z nami przekroczyć bramy Królestwa Bożego. I już pierwszego dnia nasza modlitwa przyniosła skutek. Dziś rano jakiś chłopak chciał nam coś sprzedać na ulicy. Powiedzieliśmy, że nie będziemy niczego kupować i że jesteśmy tu, by głosić Słowo Boże. Wtedy podszedł do nas inny młody człowiek i zaprosił nas do swojej kaplicy. Właściwie to nie była kaplica, tylko prywatne mieszkanie, w którym oni odprawiają te swoje obrzędy. I oto tam, w naszej obecności, dwie osoby zerwały swoje magiczne naszyjniki, upadły na kolana, głośno wyrzekły się bałwochwalstwa i przyznały, że opętał je Szatan. To był wzruszający moment, proszę pana. A więc coś już osiągnęliście powiedział Enrique. Tak, proszę pana. Z Bożą pomocą. Teraz codziennie będziemy nawracać. Odwiedzimy jeszcze inne takie pogańskie przybytki. Tam są nasi bracia, którzy tego potrzebują. Szatan wziął się na ten kraj. Ludzie grzeszą i nie mogą znaleźć Boga. Chcemy im pokazać drogę.

Nie wiedzieliśmy, co na to odpowiedzieć. Rozmowa uwiędła. Skończyliśmy jeść nasze pizze. Enrique wziął taksówkę i pojechał do hotelu. Uśmiechnięty i najwyraźniej za dowolony z tych wszystkich nocnych atrakcji. Musiałem wrócić tą samą drogą przez Malecón. Była już druga w nocy. Wyszedłem za granicę terytorium gejów i przypomniałem sobie słowa tamtych meksykańskich misjonarzy. Tutaj rzeczywiście wszyscy grzeszyli, i to grzeszyli na potęgę. Jakiś Murzyn i Murzynka pieprzyli się, siedząc twarzą do siebie na murze Malecónu. Z wysoka, ze spiżowego konia, przyglądał się im Maceo, a oni tymczasem dysząc i sapiąc, rżnęli się pracowicie z zamkniętymi oczami. Nie mogłem się oprzeć pokusie i postanowiłem się trochę pogapić. Usiadłem jakieś dziesięć metrów od nich, żeby ich posłuchać i poobserwować. Facet od czasu do czasu wysuwał z niej kutasa, trzepał go sobie jedną ręką a drugą tarł wilgotną szparę dziewczyny. Dokładnie to wszystko widziałem. Nie byłem w stanie wytrzymać dłużej. Wyciągnąłem laskę i zaczęłam ją sobie masować. Po drugiej stronie to samo robił jakiś Mulat. Trochę dalej zobaczyłem kobietę, która leżała na murku i wyglądała na pi janą. Nie chciałem spuszczać się sam. Podszedłem do niej i pokazałem mego mocno już twardego kutasa. Ona też widziała, co robiło tamtych dwoje ledwie kilka metrów od niej. Wyciągnęła rękę, chwyciła moją laskę i zacisnęła na niej dłoń. Potem zwolniła uścisk i zaczęła mi pokazywać na migi, że ma pusto w brzuchu i że chciałaby coś zjeść. Znow ścisnęła mi kutasa, tym razem mocniej. Spojrzała proszącym wzrokiem w moje oczy. Cholera! Niemowa, i na dodatek głodna. Chcesz hot doga? Wydała z siebie charkot, który miał chyba znaczyć, że chce hyrkch, hyrkch a potem jeszcze kilka razy potaknęła głową. Przeszukałem kieszenie. Miałem dziesięć peso i dwa dolary. Nie, mowy nie ma. Nie mogłem wydać dolara na hot doga dla jakiejś niemowy, żeby mi obciągnęła druta, i to prawdopodobnie na sucho, bo wątpię, by mi go wzięła do ust. Pokazałem jej gestem, że nic z tego, i znow zacząłem się gapić na tamtą parę. Dalej się rżnęli z zamkniętymi oczami. Podszedłem bliżej, żeby dobrze ich słyszeć. Usiadłem twarzą do morza i plecami do miasta. Przez chwilę sam trzepałem sobie kutasa, aż wytrysnął. Długi strumień spermy wpadł do czarnej i nieruchomej wody. Morze przyjęło me nasienie. Od dawna już byłem bez kobiety i pozwalałem, by czas tak po prostu płynął.

WAŻ, JABŁKO I JA

Dałem się uwieść tej kobiecie. Miała w sobie hipnotyczną moc, zupełnie jak biblijny wąż, który skusił Adama i Ewę do skosztowania zakazanego jabłka. Byłem znudzony, miałem już wszystkiego dość i potrzebowałem kobiety, żeby mi dała odrobinę czułości. Podpisałem kontrakt z przedsiębiorstwem wiertniczym, które szukało u nas ropy, i przez dwadzieścia pięć dni w miesiącu mieszkałem w przyczepie kempingowej zaparkowanej pod takim małym miasteczkiem niedaleko Hawany. Przez dziesięć godzin dziennie harowałem jak wół na skałach o parę metrów od morza. Nosilem jakieś żelazne szpeje, rury, wiadra ze szlamem, wiertła i tym podobne rzeczy. To była cholernie ciężka robota. Człowiek był cały umazany smarem, ubłocony, i do tego jeszcze ten smród siarki. Wieczorem byłem wykończony. Na kolację dostawałem jakąś bryję, a potem waliłem się do łóżka, by o piątej rano zacząć od nowa to samo. Czasami wydawało mi się, że lepszajest ta ogłupiająca monotonia niż dzia dowanie i wieczne awantury z czarnuchami w tej mojej ruderze w Hawanie. Kiedy indziej znow chciałem rzucić to wszystko w diabły i wracać jak najszybciej do siebie. Zawsze byłem chwiejny i pełen wewnętrznych rozterek. Zmienny jak chorągiewka na dachu. Wolę jednak te moje wieczne rozterki od ugrzęźnięcia raz na zawsze w gnoju.

Nie miałem tutaj czasu ani siły, żeby myśleć, i to akurat było dobre. Dotąd to moje pośpieszne i chaotyczne życie co rusz mnie pakowało w jakiś ślepy zaulek. Na przykład, w jakąś bezsensowną i beznadziejną miłość.

Nieustannie czymś się dręczyłem, biegłem gdzieś, wracałem, nigdzie nie mogłem zagrać miejsca. Jak człowiek, który czegoś gorączkowo i daremnie szuka. A równocześnie starzeję się. Nagle odkryłem, że tracę zdolność do cynizmu. Tracę energię, ra dość życia i umiejętność manipulowania ludźmi. Już nie potrafię manipulować nimi tak cynicznie jak dawniej, kiedy byłem młody i w każdej sytuacji umiałem wyjść na swoje.

Już od pewnego czasu ta kobieta próbowała mnie uwieść swym spojrzeniem. Była ładną, dobrze zbudowaną brunetką. Mogła mieć jakieś trzydzieści pięć lat, o dziesięć mniej ode mnie. Pracowała jako pielęgniarka w tutejszej przychodni. Widzieliśmy się dwa lub trzy razy. Musiałem kiedyś pójść do tej przychodni, żeby mi opatrzyli takie paprzące się skaleczenie, i wtedy zwróciłem uwagę na toje spojrzenie w stylu Libertad Lamarque i usteczkajak u Sarity Montiel. Wydała mi się trochę koścista, ale w sumie miała, co trzeba: fajny tyłek i równie fajne cycki. No więc jeśli o mnie chodzi, było mi wszystko jedno, czy w głowie ma mózg czy wiązkę słomy. Postanowiłem podjąć tę jej grę. Parę razy rozmawialiśmy w przychodni, aż wreszcie umówiliśmy się na spotkanie, ale inaczej niż to zwykle bywa. Wiesz co? To cholernie plotkarska miejscowość. Może lepiej, żebyś ty do mnie przyszedł? Mieszkam sama. Lubisz grać w domino? Tak, ale... Ale co? Nigdy dotąd kobieta nie zapraszała mnie do siebie na domino. Spotkaliśmy się jeszcze tego samego wieczoru. Przedtem porządnie się wykapałem, żeby zmyć z siebie ten okropny smród siarki i szlamu. Mieszkała w takim małym domku gdzieś na kompletnym zadupiu, wśród krzaków i zarośli, które z trudem udawały ogród.

Wieczór ciągnął się beznadziejnie. Dom był ciemny, zbudowany z nie malowanych desek, pusty, prawie bez mebli. Za całe oświetlenie służyły dwie lub trzy słabe żółte żarówki. Drzwi i okna były szczelnie pozamykane, więc w środku panował niemiłosierny upał. Brakowało jakiegokolwiek kobiecego akcentu: jakiejs firaneczki, kwiatów albo ładnego bibelotu na półce. Nie było nic. Jednak wciąż kusiło mnie to jabłko. Kusiło mnie, mimo że ta kobieta robiła wszystko, żeby mnie zniechęcić. Zaprowadziła mnie do kuchni, usiedliśmy przy stole i zaczęliśmy grać w domino, pijąc ohydny ciepławy rum z gatunku tych najtańszych, które można kupić w jakichś piackich melinach. Wyciągnęła paczkę papierosów z czarnego tytoniu i paliła jednego po drugim. Pół godziny później udało mi się wykręcić od domina. Nie, naprawdę to była izba tortur. W pewnej chwili miałem już ochotę trzasnąć drzwiami i wyjść. Powstrzymałem się. Spróbowałem nawiązać rozmowę. Chodziło mi głównie o to, żeby jednak skosztować tego jabłka. Zaczęła mi mówić o baseballu. Że niby co ja o nim sądzę. Nic nie sądzę. Nie jestem ani za, ani przeciw. Nie mam pojęcia o baseballu. No to przeszła na karate. Pokazała mi swoje twarde i pokryte odciskami dłonie. Codziennie ćwiczę. Jednym ciosem umiem złamać deskę. A te odciski nie przeszkadzają ci w pracy? Nie. Wprost przeciwnie. Jak to? Nie musisz wszystkiego wiedzieć. Masz rację. Nie muszę. Właściwie mnie to nie obchodzi. Wstała. Poszła do sypialni i wróciła z kopertą. To były jej zdjęcia. W bikini. W bardzo skromnym i przyzwoitym bikini. W różnych pozycjach. W sumie zdjęcia te wyglądały jak ilustracje ze szkolnego atlasu anatomii. Nudne, bez wyrazu i wszystkie ujmowane z tej samej perspektywy. W życiu nie widziałem tak żalonych fotek. Nie wiem, może ona naprawdę myślała, że mnie nimi napali i że właśnie na tym polega pornografia. Pomału zaczęła we mnie wzbierać wściekłość. Co to za zdjęcia? Moje. Kto ci je robił? I gdzie? Kochanie, nie bądź taki ciekawy. O pewnych rzeczach czasem jest lepiej nie wiedzieć. Podeszła do mnie bardzo blisko. Być może myślała, że ją pocałuję albo złapię za cycek, nie wiem. Ale nic z tego. Traktowałem ją jakby była jednym z tych niedźwiedziowatych i owłosionych typów, z którymi pracowałem i którzy zawsze byli spoceni i śmierdzący zastarzałym brudem. Pomyślałem, że jest już najwyższy czas, by w miarę elegancko się zmyć, bo za moment byłem gotów jej powiedzieć, żeby ugryzła się w dupę. Nie lubię obrażać dam. Czemu nie puścisz jakiejs muzyki? Nie mam radia. Ten twój dom jest chyba nie do końca urządony. Tak. Widzisz... No dobra, powiem ci... Bardzo długo byłam poza Kubą. Dopiero niedawno wróciłam. Och, tajemnicza kobieta... Wszystkiego nie możesz wiedzieć. Przynajmniej na razie. Kiedyś ci powiem, ale jeszcze nie teraz. Pracujesz w bezpiecznie, prawda? Zrobiła chępliwą gest, który znaczył: być może. Pokazałem na szafę, z której wyjęła zdjęcia. A tam pewnie trzymasz pistolet, który ci został z czasów, gdy razem z brygadą Ameryka ganiałaś po dżungli wśród węży i małp. Ej! Kurwa, kim ty właściwie jesteś? Znasz mnie? Co wiesz o brygadzie Ameryka? Była zaniepokojona. Wstała i wtedy ja też się wystraszyłem. Znała karate, aja tylko kiedyś trochę się boksowałem. Cholera, do tej pory nie wiem, co mnie podkusiło, żeby mówić o tej brygadzie. Telepatia? Czort wie, telepatia, przypadek czy jeszcze coś innego, w każdym razie musiałem ją teraz jakoś uspokoić. Nie, dziewczyno, nico tobie nie wiem. Daj spokój, nie denerwuj się. Przecież nic takiego nie powiedziałem. To był żart. Nie żartuj tak. Lepiej tak nie żartuj! Słuchaj, jest już późno. Pójdę sobie. Jutro muszę wstac o piątej. Przecież jest wczesna godzina. Nie ma jeszcze dziesiątej. Nalać ci rumu? Nie. Kiedy się znów zobaczymy? Przyjdiesz jutro? Może tak. Wieczorem. Wstąp do przychodni i mnie uprzedź. Bez uprzedzenia nie mogę? Nie. Chciałabym wiedzieć wcześniej. Dobrze cię wyszkolono, towarzyszeko. Trzebabyć czujnym. Już ci mówiłam, żebyś tak nie żartował. Lepiej powiedz, skąd mnie znasz. Nie, nie, nic ci nie powiem. Jutro się zobaczymy. Cześć. W końcu udało mi się jakoś

wymknąć. Odetchnąłem głęboko świeżym nocnym powietrzem i wtedy nagle mnie olśniło: ta kobieta po prostu nie pachniała kobietą. To dlatego nie poczułem nic w jajach. Mój kutas spał. Przez cały rok pracowałem przy nafcie, ale już więcej się z nią nie widziałem. Harowałem ciężko i nie miałem czasu na myślenie. Jeszcze bardziej zdziczałem. Postarałem się. Skóra mi się pomarszczyła i wygarbowała od słońca, soli i siarki.

MNÓSTWO ZGIELKU DOKOŁA

Poznaliśmy się w autobusie. Przez półtorej godziny siedzieliśmy obok siebie. Oboje emanowaliśmy seksem i wchłanialiśmy go jedno od drugiego wszystkimi porami skóry. Anisia miała dziewiętnaście lat, a ja czterdzieści pięć. Jest ładną, szczupłą i wysportowaną Mulatką, ma wszystko na swoim miejscu i do tego jeszcze te swoje roziskrzzone oczy. Złapaliśmy dobry kontakt, bo wyglądało, że nadajemy na tych samych falach. Zapisaliśmy sobie nasze numery telefonów, a potem cześć, ja tu wysiadam, ty jedziesz dalej? Tak. No to trzymaj się, zadzwonię. I właśnie teraz jest u mnie. Kilka razy dzwoniła, ale nigdy nie było mnie w domu. W końcu się umówiliśmy i przyszła do mnie na ten mój dach. Spocona i zadyszana. Te dziewięć pięter bez windy naprawdę daje w kość. Nagle znów mam telefon. Słyszę, jak woła mnie taka starucha z ósmego. Za każdą rozmowę bierze ode mnie po peso. Muszę coś z tym zrobić, bo jak tak dalej pójdzie, taniej byłoby mi wykupić kubańską telekomunikację. Schodzę. Dzwoni Zulema. Jest cała w nerwach, bo przyjechał jej siostrzeniec ze Szwecji, a ona właśnie po jakiejś pi jatyce wyrzuciła z domu tego swój ego marynarza. Jasna cholera, dlaczego wszyscy myślą, że muszą się dzielić ze mną swymi problemami? Jej siostrzeniec ma łeb. Osiem lat temu załatwił sobie pracę w Varadero, żeby nie musieć mieszkać ze swym ojcem komunistą. Trafił tam na jakąś bogatą Kanadyjkę. Ożenił się z tą starą i brzydką, ale ła dowaną babą i wyjechał z nią do Kanady, gdzie znalazł pracę, nauczył się świetnie mówić po angielsku i dostał obywatelstwo. Potem się rozwiódł, ale po ciężkich bojach, bo stara nie chciała go puścić. Jeszcze raz się ożenił, tym razem z dziewczyną dużo mniej bogatą ale młodą i ładną. W końcu nie wiem jak, ale wylądował w Szwecji. Był tam pięć lat i teraz przyjechał na tydzień do Hawany, by spędzić tutaj urlop. Jest dumny i za dowolony z życia, bo waży sto pięćdziesiąt kilo, co roku jeździ na wakacje do innego kraju, ma własny dom z elektrycznym ekstraktorem zapachów w kuchni i pracuje jako robotnik w fabryce samolotów wojskowych i rakiet. Tutaj w Hawanie cały czas źle się czuje, jest w depresji i ciągle musi pić herbatkę z lipy. Przyzwyczyił się już do ładnego, jasnego i czystego świata, więc straszne wrażenie na nim wywarł ten nasz ogólny brud, nędza i ruina. Zulema opowiadała mi to wszystko jednym tchem. Jest dumna z sukcesów swego siostrzeńca robotnika, z jego stu pięćdziesięciu kilo i z elektrycznego wyciągu w kuchni. Ale mu się udało, Pedro Juan! Tak, pewnie. Urnie jeszcze mówić po hiszpańsku czy już tylko po szwedzku? Wiesz co, nie wiem. Zresztą to wszystko jedno. Ale przytył! Teraz codziennie ma na obiad befsztyk. Fajnie, nie? Niech sobie mówi po hiszpańsku, po chińsku, nieważne. Przynajmniej może sobie zjeść i ma ten swój dom, a w kuchni elektryczny wyciąg. Pamiętam, że kiedyś była z niego sama skóra i kości. No tak, jasne. Mnie jest tylko smutno, bo on przecież tak długo u mnie mieszkał. Ja go najbardziej lubiłam spośród wszystkich moich siostrzeńców. Gdy przyjeżdżał z Yaradero, zatrzymywał się u mnie, bo nie mógł znieść tych ciągłych awantur ze swoim ojcem. Zawsze był z niego taki wariat. Szkoda, żeś nie widział, jakie miny robił za plecami tej swojej Kanadyjki! Ja nic nie rozumiałam, bo rozmawiali ze sobą po angielsku, ale gdy patrzyłam na niego, to cały czas się śmiałam, a stara zupełnie nie wiedziała, o co chodzi. Kiedy pierwszy raz jątu przyprowadził, powiedział: Ciociu, ten potwór to taka stara czarownica, ale ma forszę, więc chyba z nią wyjadę. Mówił po hiszpańsku, więc ta Kanadyjka nic nie rozumiała i tylko uśmiechała się. Z niego naprawdę jest cholerny spryciarz. Najpierw była taka Peruwianka, później Meksykanka, a potem to już sama nie wiem. Mnóstwo ich było. Ale on mi zawsze mówił: Ciociu, to jeszcze większe głodomory niż ja! Niech się same martwią o siebie, ja nie będę się z nimi męczyć. Szukam kobiety, która ma forszę. Trzy lata siedział w tym swoim Varadero, aż wreszcie znalazł sobie odpowiednią babę. On zawsze wiedział, czego chce. To facet z charakterem, a niejakiś narwany gówniarz. Dobra, teraz tylko, żeby dali ci wizę... No właśnie. Jeśli Bóg pozwoli, a on dalej będzie za mną tęsknił... Zobaczysz, jeszcze w tym roku przyśle mi papiery. Ty nawet nie wiesz, jaką siłę ma ta moja cipa. Ciągnie facetów jak traktor. Słuchaj, muszę kończyć. Jestem trochę zajęty. Ty i zajęty? Stary, nie opowiadaj. Przecież żyjesz jak karmelita. Wpadnij kiedyś. Pamiętaj, że pozbyłam się już tego marynarza. To cholerny skurwysyn, wiecznie pijany i pali dwie paczki papierosów dziennie. Pomyśl: facet nie ma ani grosza, nawet na mleko dla dziecka! Pieprzyć się urnie, nie powiem, podoba mi się, ale trudno, nie mogę przecież przyjść do sklepu i powiedzieć, żeby mi dali na kredyt, bo mój facet jest bardzo fajny, potrafi rznąć się cztery razy na dzień, tylko że pije i nic innego nie robi. Nie. Wiem, co bym usłyszała: Możecie się rznąć i pięć razy na dzień, ale jak chcesz mieć towar, to dawaj pieniądze. No nie! Musiałam coś zrobić. Wykopałam go z domu. Kiedyś ci o tym opowiem. Chyba się nawet popłakał. Nie wiem, nie chciałam patrzeć na niego. Wpadnij do mnie kiedyś. Jak będziesz chciał, możesz u mnie zostać. A on nie

wrócić? Nie. Odebrałam mu klucze. Gdyby był aż tak bezczelny, to go znów wykopię. No to co? Przyjdiesz dziś wieczór? Tak. Ale nie dzwoń już. Przyjdę. Cześć. Pa, kochanie. Czekam. Nie mam zamiaru do niej przychodzić, póki jej mieszkanie się nie wywietrzy po alkoholu i papierosach tego marynarza. Jak już musisz jeść po kimś resztki, to przynajmniej pilnuj, żeby nie były obślinione. Wracam do siebie na górę. Anisia siedzi na podłodze i przegląda jakieś pomograficzne czasopismo, które znalazła wśród moich szpargałów. Siadam obok niej. Co to? Grzebałaś mi w papierach? Nie, w ogóle nie ruszałam twoich papierów! To pismo leżało na wierzchu, więc je wzięłam. Och, popatrz! To mnie naprawdę napala! Pomału kartkowała pismo. Na wielkich kolorowych zdjęciach na całą stronę Murzyni o gigantycznych członkach różni się z jasnowłosymi Norweżkami, których obfite kształty przywodziły na myśl odaliski Rubensa. Wolisz te blondynki czy tych Murzynów? Murzynów, jasne. Oni są obłędni. Dlaczego? Lubię takie długie i grube kutasy. Ale przecież ty jesteś chyba dość ciasna. Nie szkodzi. Lubię, jak mnie trochę boli. To taki fajny ból. No tak. Napijesz się? Pewnie! Nalewam trochę rumu do dwóch szklanek. Myślę, że chyba nikt tak naprawdę nie potrzebuje pornografii. Potrzebujemy autentycznej miłości. I trochę ducha, religii, filozofii. Ale to wszystko wymaga czasu, ciszy i refleksji. Właśnie dlatego jesteśmy tacy zagubieni. Za bardzo się śpieszymy i za dużo jest wokół nas zgiełku. Ten zgiełk w nas wnika i każe nam działać kompulsywnie, bez zastanowienia. Powiedz mi, Anisia, byłaś kiedyś zakochana? Nie, nigdy. Nie chcę sobie komplikować życia. Pedro Juan, ja naprawdę muszę stąd wyjechać! Ty też? Co ja też? Kto jeszcze wyjechał? Nie, nic. Tak mi się powiedziało. Dokąd chcesz wyjechać? Do Miami! A gdzie indziej? Mam tam wujka i chcę, żeby mi przysłał papiery. Jesteś akurat w wieku, żeby to zrobić. Gdybyś sobie skomplikowała życie i na przykład miała tutaj dzieci, byłoby ci trudniej. No właśnie. Ale i tak muszę się jakoś przygotować. Parę dni temu byłam u takiego wiedzącego. Kazał mi sobie kupić biały naszyjnik. Obatalś Mówił, że w ten sposób otworzę sobie drogę. I kupiłaś? Nie, bo kosztuje pięćdziesiąt peso. Dam ci te pięćdziesiąt peso. Nie, nie chcę. Jestem fryzjerką, umiem robić manicure i jakoś sobie radzę. Mąż też mi coś daje, więc nie potrzebuję. No dobrze, ale mogę ci przecież zrobić prezent? To daj mi kwiaty albo jakiś wiersz. Lubisz wiersze? Zrobiła miinę psotnej dziewczynki. Jasne! Czasem przepisuję jakiś wiersz i sama sobie go daję w prezencie. Nie opowiadaj! Chyba nie jesteś aż tak romantyczna? Ależ tak! Zawsze chciałam być żoną poety, który by mi dawał kwiaty, perfumy i dedykował swoje wiersze. Twój mąż tego nie robi? Skąd! Ten czarnuch jest mechanikiem. Cały dzień chodzi wymazany smarem. Jest prymitywny i głupi jak stołowa noga. To go zostaw. Nie. Ja lubię takich facetów. Cholernie jestem o niego zazdrosna. No to go naucz, żeby pisał wiersze i dawał ci kwiaty. Każdy jest, jaki jest. Ostatni wiersz, jaki sobie przepisałam i nauczyłam się go na pamięć, mówi coś o tym. Wiesz, jak się zaczyna? Pojęcia nie mam. Czyj to wiersz? Już nie pamiętam. Chyba Benedettiego. Nie wiem. Zaczyna się tak: Nie obwiniaj nikogo. Nikt i nic poza tobą nie ponosi winy. Ty ze swoim życiem zrobiłaś to, co chciałaś. Jej mina przewrotnej i diabolicznej dziewczynki doprowadzała mnie do obłędu. Wyciągnęłam rękę i rozpiąłem jej bluzkę. Nie miała stanika. Strużki potu spływały jej między piersiami. Przepięknymi piersiami: były drobne jak u nastolatki, ciemne, twarde, z ostro sterczącymi sutkami. Zaczęłam je całować i gryźć. Pozwalała mi na to z wyraźną przyjemnością. Miałem potężną erekcję. Anisia poszukała ręką mojej łaski i zacisnęła na niej dłoń. Rozgrzewaliśmy się tak przez chwilę. Opowiadała mi o swych seksualnych gustach i jak to zwykle robi z Murzynami. Tylko raz się zgodziła, by Murzyn wsadził jej łaskę do tyłka. To było niedawno, z moim mężem. Nasmarowałam mu kutasa miodem i powiedziałam: Tylko powoli i nie szalej. No i jakoś wytrzymałam. Stałam na czworakach, rozkraczyłam się jak muł i tylko oczy o mało co wyszły mi na wierzch. Och, Pedro Juan! W pewnej chwili myślałam, że umrę! Byłam później wykończona, ale w sumie mi się podobało. Lubię taki ból. Nie odważyłam się już tego powtórzyć, ale chyba to jeszcze kiedyś zrobimy. Muszę się przyzwyczaić. Tylko że ten jego kutas to prawdziwa maczuga! Mówię ci, nie jest łatwo go zmieścić z przodu ani z tyłu. Ilu miałaś facetów? Przez chwilę zastanawiała się, czy mi to powiedzieć. W końcu zdecydowała się. Kiedyś liczyłam i wyszło mi, że pięćdziesięciu osmiu. To teraz będzie ich z siedemdziesięciu? Chyba. Może trochę więcej. Tak bardzo to lubisz? Co? Różną się. Przecież ty chyba nic innego nie robisz. Tak, lubię, przepadam, mam bzika na punkcie kutasów. Ale dopiero pierwszy raz kręcę z dwoma facetami równocześnie. Zawsze ich miałam pojedynczo. No tak, pojedynczo. Dziś jeden, jutro drugi, pojutrze trzeci i tak dalej. I oczywiście bez gumy. Pewnie, że bez. Gumy są nie dla mnie. Lubię czuć w sobie ciało. Tymczasem zsunęła mi zamek i wyciągnęła na wierzch moją łaskę. Zaczęła ją pomału masować. Patrzyła na nią, jakby to był cukierek, i wreszcie włożyła ją sobie do ust. Rytmicznie ruszała głową do przodu i do tyłu, aż wytrysnąłem. To był prawdziwy gejzer, a ona połknęła wszystko. Wyssała mnie do końca. Trochę spermy wyciekło jej na wargi, więc skrętnie ją zlizwała. Nie chciała stracić ani kropli. Ja zawsze dochodzę bardzo hałaśliwie. Nie mogę się powstrzymać. Kiedy się spuszcza, krzyczę, jęczę, gryzę. Po prostu czubek łaski jest u mnie bardzo wrażliwy i dlatego tracę nad sobą kontrolę. No więc kiedy zacząłem jęczeć i wrzeszczeć jak wariat, Anisia przestraszyła się. Dla niej jestem już starym dziadkiem. Mam dwadzieścia sześć lat więcej niż ona, a to cholernie dużo. Inne

pokolenie, prawda? Wypuściła z ust mojego kutasa, który wciąż jeszcze tryskał spermą. Ja miałem oczy w słupek i przeraźliwie jęczałem. To był rodzaj takiej niesamowitej ekstazy, rozkoszy, w której się na amen zatraciłem. U mnie zawsze tak jest, a zwłaszcza gdy ktoś mi robi laskę ustami. Kiedy normalnie ją wsadzam do dziury, trochę bardziej panuję nad sobą. Za pierwszym razem każda kobieta jest przerażona i myśli, że za chwilę wykorkuje na zawał. Nic dziwnego, że Anisia też spanikowała. No dobra. W końcu mi przeszło. Miałem jeszcze jeden wytrysk. Wycisnąłem ręką kutasa od nasady i strzepnąłem ostatnie krople na podłogę. No co? Połknęłaś wszystko? Fajnie było? Tak, tak, ale co ci się działo? Dobrze się czujesz? Nie przejmuj się. U mnie jest tak zawsze. Ach, bo ja już myślałam, że coś jest z tobą niedobrze. Chciałam nawet uciec. Opadłem na krzesło. Dyszałem ciężko i byłem wykończony. Chyba spuściłem w nią całego siebie, a ona to przełknęła. Musiałem chwilę odetchnąć. No więc chciałaś uciec. Gdybym na przykład miał atak serca, to byś mnie tak zostawiła, prawda? Pewnie! Ja nie chcę mieć problemów. Przecież gdyby ten mój czarnuch się dowiedział, to by mnie chyba zabił. Dobrze, Anisia. Nic się nie stało. Napijesz się jeszcze? Nie. Już wystarczy. Muszę iść. Słuchaj, nie bój się, wszystko jest w porządku. U mnie to normalne. Daj, naleję ci. Ja się nie boję, ale nigdy jeszcze tego nie widziałam u faceta. Czego nie widziałaś? Takiej reakcji. Trochę dziwnie się poczułam. No nic. Muszę iść. Zadzwoń. Pocałowała mnie i poszła. Nigdy więcej się już nie spotkaliśmy.

WZIAĆ BYKA ZA ROGI

Obudziłem się o świcie z okropnym bólem głowy. Po wczorajszej piątyce zasnąłem na murku Malecónu. Nie wiem, ile godzin spałem. Podniosłem się. Próbowałem usiąść i pomyśleć. Wtedy spostrzegłem, że jestem bez butów, bez koszuli i z pustymi kieszeniami. Ukradli mi nawet klucze do mieszkania. Cholera, będę musiał rozwalić zamek. Ból rozsadał mi czaszkę, ale mimo wszystko starałem się uporządkować trochę myśli. Wczoraj piłem do późnej nocy z taką starą pięćdziesięciolatką: jest gruba, potężna, ale ma niezłe cycki i tyłek. W ostateczności można ją przelecieć. To moja sąsiadka i cały czas spędza na hodowaniu kur i cuchnących prosiaków na tarasie. Nie wiem, jak się nazywa. Wszyscy do niej mówią Cusa. Ciągłe mnie prowokuje. Rano wychodzi na taras karmić te swoje kury i zawsze to robi w nocnej koszuli, białej i prześwitującej, tak już zużytej, że jeszcze bardziej wszystko przez nią widać: wielkie czarne sutki i malutkie majtki, które niemal giną między jej obfitymi pośladkami. Zerka wtedy w okna mojego mieszkania, żeby sprawdzić, czy ją widzę. Dobrze wie, że kiedy mężczyzna jest bez kobiety, to zwykle nie grymasi. Wystarczy mu jakakolwiek dupa. Stara urnie walczyć. Musi utrzymać dwójkę dorastających dzieci. To jest taki typ ludzi, którzy pracują, pracują i pracują, są zawsze poważni i odpowiedzialni, nie śmieją się, nie piją i potrafią stawić czoło przeciwnościom. Do mnie jednak ma chybajaką słabość. Nawet takim nieprzystępnym kobietom uderza coś czasem do głowy i nagle czują się mokre. Odbi ja im i sajak kozy na wiosnę: potrzebują kogoś, kto wykorzystałby tę ich wilgoć. I tak właśnie było z Cusą. Nie zwracałem na nią uwagi, aż wreszcie jej nadprodukcja gruczołów skoincydowała z moją. Nie chciałem brutalnie zerznąć jej u siebie w domu, a potem kazać się jej wynieść. Postanowiłem być elegancki. Czasem przypominam sobie, że w końcu jestem kulturalnym i wykształconym facetem. Zaproponowałem jej spacer po Malecónie. Miałem trzy dolary. W sam raz, żeby zrobić na niej wrażenie. Najpierw kupiłem dwa piwa w puszkach. To prawdziwy luksus. Potem wystarczyło mi jeszcze na butelkę bimbru. Z początku wahała się, czy może ze mną wyjść. Chyba wolałaby, żebym ją cichu przeleciał tu na górze, a nie pokazywał się z nią na Malecónie. Chociaż w dzielnicy nie mam złej opinii. Nie jestem ćpunem ani zboczeńcem, nie robię awantur i nie mam problemów z policją. Nic z tych rzeczy. Nawet jeśli czasem człowiek zapali sobie skręta, przeleci jakąś dziewczynę albo upije się, to jeszcze za mało, by zszargać sobie reputację. Wiele rzeczy można w życiu robić, tylko trzeba wiedzieć jak. Co innego, gdy ktoś chodzi stale naćpany albo pokazuje kutasa sąsiadkom. Taki na pewno źle skończy. No dobra, w końcu jednak uznała, że na parę godzin może zostawić te swoje kury i prosiaki, zejść z dachu i wybrać się z facetem na spacer. Cały czas mi tylko powtarzała, że nie chce, by się o tym dowiedziały jej dzieci. Cholera. Ci poważni ludzie są naprawdę straszni. Tu był jeszcze jeden problem: tego typu rozsądne i odpowiedzialne kobiety zawsze za dużo oczekują od człowieka. Od razu spostrzegłem, że ona liczy na coś więcej niż na zwykły numer w łóżku od czasu do czasu. Postanowiła złapać mnie na dłużej. Piec kurczaki co niedzielę, zapraszać mnie na obiady. I próbować szczęścia ze mną. Gdybym się zagapił, przez resztę życia hodowałbym z nią kury, nudził się całymi dniami i przy okazji pomagał utrzymywać to jej potomstwo. Nie, to nie dla mnie. A poza tym nie lubię takich starych bab. Sam już jestem aż za bardzo stary. Mam czterdzieści pięć lat, ale czuję się jakbym miał ich osiemdziesiąt. Cusajest w sam raz, żeby się z nią od czasu do czasu pobzykać. I wystarczy. Potem ciao, jaw swoją stronę, a ona w swoją. W końcu dawno już przestałem pisać te moje naiwne wiersze, w których mówiłem kobietom, że są wolne i że jeśli chcą mogą do mnie wrócić albo iść swoją drogą. Nie. To minęło. Teraz od lat nie oczekuję już niczego. Niczego,

absolutnie niczego. Ani od kobiet, ani od przyjaciół, ani od samego siebie. Od nikogo. Jednak od czasu do czasu obiadek z pieczonym kurczakiem i frytkami? Chybabym nie odmówił. Wygląda jednak, że przesadziłem z tym bimbrem pitym na pusty żołądek. Nie bardzo wiem, co później ze mną się działo. Pewien jestem, że nie zgwałciłem Cusy i że wszystko skończyło się spokojnie. Przecież pamiętałbym, gdyby była jakaś draka. Chyba po prostu upiłem się, a stara wtedy spanikowała. Zostawiła mnie gdzieś na Malecónie, żeby nie mieć później kłopotów. A to kurwa! Ledwie się podniosłem i spróbowałem pomyśleć, a tu już mi nie dają. Obok zatrzymał się radiowóz: Obywatelu, proszę tu podejść. Zwlekam się z murku i podchodzę do radiowozu. Boli mnie wszystko, jakby mi spuścili niezłe manto. Czuję przeszywający ból w głowie. Wydaje mi się, że ktoś wali w nią od środka młotkiem. Cholera, co to był za bimber? Co oni mi sprzedali? To musiała być jakaś trutka. Jeszcze chwila, a oszaleję. Dowód proszę. Słuchaj, stary, nie mam, okradli mnie dziś w nocy, bo... Gliniarz nie daje mi skończyć. Wychodzi z auta. Drugi zostaje przy kierownicy. Wiem, co będzie dalej. Ręce na dach! Rozsunąć nogi, głowa między ramiona. Proszę nic nie mówić. Przeszukuje mnie. Nie znalazł ani centa. Każe mi wsiąść do samochodu. Z tyłu. O nic już nie pyta i jedziemy na komisariat. Dwie godziny siedzę na ławce i czekam. W końcu mnie wzywają. Spisują protokół. Dalej się upieram, że mnie w nocy okradli. Powtarzam to kilka razy, ale nie pozwalają mi iść. Wracam na tę drewnianą ławkę. Na szczęście ciągle jestem słaby i czuję się, jakbym za chwilę miał zemdleć. Czasami w takich sytuacjach próbowałem się stawiać, mówiłem coś o swoich prawach i o innych tego typu rzeczach. Wtedy oni przypominali sobie, że są jednak policją. Robili się nieprzyjemni, dostawałem w łeb i łądowałem w celi. Dopiero po kilku dniach mnie puszczali, i to z tysiącem pogróżek. Teraz postanowiłem być bardziej dyplomata. Trzymali mnie na tej ławce, aż o szóstej zmieniła się obsada. Nikt mi nic nie tłumaczył. Przyszedł jakiś nowy oficer, przeglądał papiery i zawołał: Pedro Juan! Tak? Możesz iść. Wyniosłem się stamtąd jak najprędzej. Przystanąłem za rogiem, u zbiegu Zanja i Lealtad. Czuję, jak w moim brzuchu walczy sfora rozwścieczonych psów. Już nie mogłem tak dłużej. Musiałem coś zrobić, jeśli nie chciałem za chwilę zemdleć z głodu. Minąłem jeszcze kilka przecznic i w końcu usiadłem na chodniku. Próbowałem jakoś uporządkować myśli, lecz bez specjalnego powodzenia. Wciąż byłem pijany. Nic nie jadłem od czterdziestu ośmiu godzin i tylko wlewałem w siebie alkohol. Czy to możliwe, bym ciągle jeszcze miał go we krwi? W głowie rozbrzmiewał mi gregoriański śpiew z klasztoru w Silos. Kiedyś często go słuchałem. Nie pamiętam gdzie ani kiedy, ale zdążyłem się go już nauczyć. Wciąż do mnie wracał jak natrętny refren. Uderzyłem się parę razy po twarzy, by wrócić do rzeczywistości. Udało mi się wstać i poszedłem dalej. Nie wiedziałem, gdzie idę. Być może włączył się we mnie automatyczny pilot, który trzymał kurs. Czuję się, jakbym nic w sobie nie miał, żadnych flaków, gówna, serca. Nic. Byłem pusty i lekki. Szedłem jak automat i nagle wszystko stało się jasne. Pedro Juan, musisz wziąć byka za rogi. Przystań się nad sobą rozczulać. Teraz musisz być mocny. Stań twardo przed bykiem, złap go za rogi i nie pozwól, by cię obalił. O nie! To ty masz zwyciężyć. Ty go pokonasz i dalej będziesz mógł żyć szczęśliwie. Aż pojawi się kolejny byk i zacznie szarżować na ciebie. Wtedy znów będziesz twardy i znów go pokonasz. Tak to jest. Poj ednym byku przychodzi następny. Zawsze jest jakiś byk, którego trzeba wziąć za rogi. Idę w górę od Zanja aż do Reina. Cały czas prosto i powoli. Właściwie wlokąc się po ulicy. Oddalam się od domu i nie rozumiem, dlaczego to robię. Dlaczego nie idę w stronę Malecónu? Dlaczego nie wlokę się do domu? Potem w ogóle już nie myślę. Mój automatyczny pilot zgubił kurs. U zbiegu Reina i Belascoain widzę pseudogotycki kościół. Jest otwarty. Wchodzę. Siadam w ławce i patrzę na witraże. Śpiewy gregoriańskie potęgują się i aż dziw, że ludzie ich nie słyszą. Tak głośno brzmią w mojej głowie, że powinni je słyszeć. Ale nie. Nikt nie zwraca na nie uwagi. Poza tym nic się nie dzieje. Nie mam nastroju do modlitwy. Jestem zbyt lekki i pusty, żeby się modlić. Nie mam za co dziękować Bogu. Ja Boga nigdy o nic nie proszę. Ja Mu tylko dziękuję. Zwykle jest dużo rzeczy, za które mogę Mu dziękować, ale teraz nie. Teraz jestem pusty i przezroczysty jak powietrze. Wstaję, wychodzę z kościoła i idę dalej przez Karola III Un ter den Linden. To znakomita pora. Kończy się dzień. Drzewa w promieniach zachodzącego słońca. Czas libacji, jak mówiła najpiękniejsza kobieta, jaką miałem w życiu. Zwykle o tej porze jej mąż zaczynał pić w jakimś barze i pił aż do dziesiątej. Myśmy wykorzystywali ten czas na małe parogodzinne orgie, które kończyły się wspólną pi jatyką od dziesiątej, gdy on wracał z baru. W końcu byliśmy przyjaciółmi. Przypuszczam, że on jednak coś podejrzewał, ale to jest całkiem inna historia. Od tamtego czasu zmierzch jest dla mnie zawsze bardzo trudną porą. Nie, Pedro Juan. Teraz nie będzie żadnych libacji. Musisz zdobyć coś do jedzenia. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że jestem po prostu żalonym żebrakiem. Obrzydliwym, brudnym i zarośniętym żebrakiem. Byłem bez butów, bez koszuli, wciąż na pół pijany i szedłem, zataczając się, prawie nieprzytomny. Może gdybym wyciągnął rękę, to by mi coś dali i kupiłbym sobie jakieś żarcie. Kurwa, a potem wróciłbym do domu, złapał Cusę za karki popytał o parę rzeczy! Dlaczego mnie tam zostawiłaś, ty ździro? I lujaw pysk! Lubię czasem przyłożyć kobietom, kiedy sobie na to zasłużą. A potem bym ją zerznął. Waliłbym ją w gębę, aż by mi stanął. I jazda! Ale byłoby fajnie! Niech ją boli, niech jej cała twarz spuchnie i niech mi powie: Ach, nie bij mnie, tylko wsadź mi! Wsadź mi go

do końca! Ale już nie bij, wystarczy! I już w chwilę później dochodzi, ja się spuszcza, a ona krzyczy i jęczy. Och, ale urządzę tę cycatą staruchę! Zacząłem żebrać. Wyciągałem rękę ku przechodniom. Coś tam bełkotałem. Gdy prosisz o jałmużnę, nie możesz mówić jasno i wyraźnie. Jesteś przecież nędznym stworzeniem, żalonym robakiem, któremu inni tylko z litości coś dają. Jesteś wyrzutkiem, nie należysz do świata ludzi. Tak było zawsze. Zebranie jest prawdziwą sztuką. Musisz umieć udawać kretyna, półgłówka, chronicznego pi jaka lub cofniętego umysłowo debila. Tylko debil prosi o jałmużnę. Gdybyś nie był takim absolutnym debilem, to byś przecież coś robił. Tak to jest. Tak ludzie myślą. Jeśli nie wyglądasz jak debil, niejesteś przekonujący. Ale mnie się i tak nie udało. Nie użebrałem nic! Z błędnym wzrokiem i twarzą kompletnego idioty szedłem w dół przez Karola III, powoli mi jałem jedną przecznicę po drugiej, bełkotałem coś i wyciągałem ręce do każdego przechodnia. I nic. Nikt mi nie dał ani jednej monety! Przecież to zgroza! Umrę z głodu dziś w nocy. Nie wiem, ile czasu to trwało. Dwie lub trzy godziny. Doszedłem do końca Karola 3. Prosiłem choćby o malutki datek. Na miłość boską, dajcie jedno peso! Wszyscy odwracali głowy. Albo patrzyli na mnie, jakbym był przezroczysty. Dotąd nigdy jeszcze nie żebrałem. Cholernie trudno jest żebrać, gdy dokoła jest taka nędza. Wszyscy ledwie wiążą koniec z końcem i nienawistnym wzrokiem patrzą na każdego, kto mówi, że jest mu źle. Kilka razy usłyszałem od przechodniów: Spadaj, stary! Ja też mógłbym pójść na żebrę. No więc nic. Zero. Udało mi się za to odzyskać jasność umysłu.

Powinienem wrócić do domu. Dlaczego dotąd tego nie zrobiłem? Teraz nagle zrozumiałem. Po prostu nie chciałem się tam pokazywać obdarty i na pół przytomny. Sąsiedzi lubią plotkować. Tak, to był jedyny powód. Teraz mogłem już myśleć trochę bardziej trzeźwo: Pedro Juan, wracaj do domu. Spróbuj jakoś tam dojść. Jest już ciemno i nikt cię nie zobaczy. Chyba udało mi się wyłączyć automatycznego pilota i samemu przejąć ster. I nagle widzę, że jestem przed domem, w którym mieszka Zulema. Och, tak, ona na pewno mi pomoże! Przeszedłem przez jezdnię i wspiałem się po schodach. Kiedy ostatni raz widziałem Zulemę, była bardzo smutna, bo jej siostrzeniec wrócił do Szwecji, a ona tymczasem zdążyła już wyrzucić swój ego marynarza pi jaka. To niezła dziwka, ale dani jeść, może też dostanę od niej jakąś koszulę i buty. Zulema mieszka w malutkim pokoju, cztery metry na cztery. To taka sama obrzydliwa nora jak moja. Byłem u niej parę razy i zawsze pieprzyliśmy się aż do rana. W tych rzeczach onajest niezmordowana. U mnie było nam lepiej, bo w przerwach między V kolejnymi rundami mogliśmy przynajmniej popatrzeć na morze. Jej pokój ma tylko takie małe okienko na śmierdzący psim gównem korytarz, gdzie cały czas sąsiedzi drą się, kłócą i biją. No i tak sobie żyje. Ciągle ma nadzieję, że Carlos Manuel sprowadzi ją do Miami. Przez długie lata Carlos Manuel był jej facetem. Wzięli nawet ślub i mieli dziecko. Potem Carlos Manuel próbował uciec z kraju. Złapała go straż graniczna. Dostałby za to jakieś dwa lub trzy lata, ale gość jest pyskаты i na rozprawie zaczął coś tam wygadawać na rząd i na komunizm. W sumie nic takiego. Na pewno nie powiedział wszystkiego, co naprawdę myślał. Ale nie był to najlepszy moment. Jego adwokat nawet nie otworzył ust. Dali mu dziesięć lat. Odsiedział je, a kiedy wyszedł, załatwił sobie papiery i wyjechał. Nie mógłby już mieszkać na Kubie. Zulemie rodzina nie pozwoliła na wyjazd. Jej matka miała udar i przez cały rok leżała w łóżku. Teraz Carlos Manuel przypomniał sobie o Zulemie. Chce ją do siebie sprowadzić. Jak najbardziej legalnie: wysłał papiery jej, swemu dwudziestoletniemu już synowi i córce, którą Zulema ma z jakimś innym facetem. Wlazłem z trudem na to trzecie piętro. Pukam do drzwi. Otwiera je Zulema i patrzy na mnie wytrzeszczonymi oczami, zupełnie jakby zobaczyła ducha. Próbuje zatrasnąć mi przed nosem drzwi. Wsadziłem w nie nogę. Zulema, poczekaj! Cholera jasna, przecież to ja! Jak mnie nie wpuścisz, to ci zaraz tu umrę! Ona dalej mocuje się ze mną żeby zamknąć drzwi. Nic nie mówi. Ani słowa. Pcha drzwi i widać, że jest przerażona. Nagle ktoś szarpie drzwi i otwiera je na oścież. Pojawia się w nich jakiś ogromny facet. Prawdziwy orangutan. Gruby i potężny Mulat z czarnym wąsem, który okala mu usta. Jest wściekły. Kurwa, co tu się dzieje?! Jak komuś przydupcę! Co to za gnojek? Nie wiem! Ja go nie znam! krzyczy Zulema. Zulema, jak to mnie nie znasz? Znasz go czy nie? ryczy orangutan. Ach, Pipó! Pierwszy raz go widzę! To chyba jakiś złodziej! Nie wiem, nie znam go! Ach, ty dziró! Nie znasz mnie? Przecież... Facet nie pozwolił mi skończyć. Na mózg ci padło, gnojku? Jak ty mówisz do mojej dziewczyny? Chwył mnie, przyciągnął do siebie i zaczął walić jak w worek treningowy. Nie potrafię tego opisać. Nie potrafię, bo gdy tylko o tym myślę, robi mi się słabo. Te jego pięści były jak dwa stalowe katary. Albo jakby miał w nich ołów zamiast ciała. Pogruchotał mi kości i zrzucił mnie ze schodów, a potem zatrasnął drzwi. Znowu rozbrzmiały śpiewy gregoriańskie. Aye Maria. Alleluja. Sam nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny. Ocknąłem się na szpitalnym łóżku. Ktoś musiał mnie chyba zawieźć na pogotowie. Mam złamaną szczękę, lewe ramię, obojczyk i kilka żeber. Pielęgniarka mówi, że miałem też operację, podczas której zszywano mi pękniętą śledzionę. Podobno moje nerki i wątroba są w fatalnym stanie, ale tu nic się nie da zrobić. Lekarze pytają, czy piję metanol, czy może kwas siarkowy. No dobra, nie wiem. Mogło być gorzej. W każdym razie jestem unieruchomiony. Założyli mi dwie lub trzy kroplówki, z których sączy się coś w moje żyły. Bardzo

mi się tu podoba taka jedna pielęgniarka, aleja z tąmojąsiwą niechlujnąbrodąwyglądam jak stary dziadyga. Jak zapomniany przez Boga żebrak, który wciąż jakimś cudem wegetuje na świecie. A ta pielęgniarka cały czas próbuje mi matkować. One to lubią. Wszystkie pielęgniarki są takie same. Zawsze traktują człowieka, jakby był głupkiem, kimś nienormalnym, małym dzieckiem albo inwalidą. Mnie to wpięprza. No nic, będę miał tutaj czas, żeby to wszystko przemyśleć. Zulema kiedyś mi powiedziała, że zawsze miała podłe życie. I chyba dalej ma takie. O tym też będę musiał pomyśleć. Cholera jasna, dlaczego fajna i piękna kobieta decyduje się na takie życie, a potem nie urnie już powiedzieć sobie dość i dalej grzęźnie w tym gównie? Bieda naprawdę ludzi niszczy.

Ale przede wszystkim muszę odzyskać siły, żeby wziąć byka za rogi. Przyłożę temu Pipowi gazurkę. Poczekam na niego na schodach i zmasakruję gościa. Tak go skopię wjaja, że mu już nigdy nie stanie.

GLUPEK Z FABRYKI

Nie rozmawialiśmy już z Luisą o tych trockistach, odkąd się wyprowadzili. Pewnego popołudnia rznąliśmy się od dobrych paru godzin. Czasem tak z nami jest. Pieprzymy się bez przerwy cały dzień. Albo całą noc. O niczym innym wtedy nie myślimy. Gdy Luisa w południe wróciła z pracy, od razu wpadliśmy w ra dosne podniecenie. No i się zaczęło. Kilka godzin w najrozmaitszych pozycjach, we wszystkie dziury, na łóżku, na krześle, językiem, palcami, czym się dało. Dla polepszenia nastroju mieliśmy pół butelki taniego rumu. Fajnie jest się pieprzyć z Luisą. Pamiętam, że opowiadała mi wtedy o swoich przygodach z innymi facetami. Ja rewanzowałem się tym samym. Szeptaliśmy sobie na ucho te pornograficzne historie, oczywiście ze wszystkimi szczegółami, i mieliśmy orgazm za orgazmem. Jeden po drugim i wciąż nam było mało. Ciekawe, co by pomyślał psycholog, gdyby posłuchał, o czym rozmawiamy, gdy Luisa oplata nogami me pośladki i podnosi biodra, bym wszedł w niąjak najgłębiej. Do końca, wsadź mi go do końca wciąż powtarzała o tak, niech mnie trochę boli! Dla każdego psychologa byłaby to prawdziwa uczta. Psycholodzy to klasa średnia, a klasa średnia nie ma pojęcia o świecie i dlatego ciągle jest sfrustrowana. Chciałaby wiedzieć, co jest dobre, a co złe, i jak można by to czy tamto poprawić. Wszystko jej się wydaje nienormalne. To straszna rzecz należeć do klasy średniej i chcieć wszystko osądzać, ale z zewnątrz, żeby przypadkiem nie umoczyć tyłka. No dobrze. Spauzowaliśmy na chwilę. Luisa pije parę łyków rumu i zamyśla się. Przez moment jest jakby nieobecna. Przy łóżku leży stos ulotek i broszur propagandowych, które zostały po trockistach. Luisa przygląda się im w milczeniu i wreszcie pyta: Słuchaj, czy trockiści robią to tak samo jak my? Nie wiem. Chyba tak... A dlaczego by nie? No bo jak oni są tacy rewolucjoniści... A co to ma do rzeczy? Nie, Pedro Juan. Oni to robią inaczej. I chyba rzadko. Może tylko w niedzielę po południu. Nie wiem, ale myślę, że nie pieprzą się jak my. Ci trockiści to było takie kanadyjskie małżeństwo choć cholera wie, czy małżeństwo i czy na pewno kanadyjskie no i właśnie od tej Kanadyjki Luisa dostała broszurę po hiszpańsku zatytułowaną: Wyzwolenie kobiety poprzez socjalistyczną rewolucję! Tytuł wydrukowany grubymi i agresywnymi literami nakładał się na zdjęcie młodej radzieckiej kobiety w czarnym płaszczu, szaliku i rękawiczkach, poważnej, o pięknych, przeraźliwie smutnych oczach i z karabinem przewieszonym przez pierś. W tej poważnej, smutnej i ubranej na czarno Rosjance nie było żadnej gwałtowności. Wprost przeciwnie, sama miękkość i słodycz. To była po prostu ciepła i łagodna rosyjska dziewczyna. W rogu był jeszcze podpis: Radziecka gwardia honorowa. Luisa próbowała przeczytać tę broszurę, ale nic z niej nie rozumiała. W końcu strona po stronie zużyliśmy ją do klozetu. Luisa ciągle mi wypominała to moje próżniactwo. Wtedy jeszcze nie kurwiła się na Malecónie, tylko pracowała w wytwórni butów ortopedycznych. Chciała, żebym ja też się tam zatrudnił w magazynie. Wciąż mi mówiła: Codziennie będziesz mógł wynieść parę butów. Luisa, nie gadaj takich głupot. Jak mnie złapią, to ja pójdę do pierdła, a ty będziesz mogła tu dalej sobie mieszkać, i to bez żadnych zobowiązań. Wiesz co? Nie bądź taki cykor. Tam wszyscy kradną. Od samej góry aż po tego głupka Juana. No i dałem się namówić. Zacząłem pracować jako magazynier. Przez pierwsze kilka dni myślałem, że się tam wykończę. Jedna para butów wydaje się lekka, ale co innego, gdy przez osiem godzin musisz nosić kartony po dwadzieścia cztery pary w każdym. Kurwa, cały czas się bałem, że coś mi w brzuchu pęknie! Wieczorem Luisa masowała mi plecy. Ona ma ręce jak bokser. Twarde i silne. Smarowała mnie ciepłym łojem baranim i tak długo ugniatała, aż moje mięśnie odzyskiwały sprawność. Codziennie wynosiłem z magazynu jedną parę butów. Luisa gdzieś je sprzedawała i w ten sposób trochę się nam polepszyło. Luisa była młodszą referentką w księgowości. Ona ma głowę do tych rzeczy. Urnie robić interesy i zawsze wychodzi na swoje. Wszystko musi sobie starannie przeliczyć i do niczego się nie weźmie pod wpływem pierwszego impulsu. W tej fabryce pracował też taki półgłówek. Głupi Juan, tak go nazywali. Młody, mocny i dobrze zbudowany Murzyn. Ludzie mówili, że jest siostrzeńcem dyrektora administracyjnego. Rano sprzątał biuro, a potem cały dzień po nim łąził i nic nie robił. Zdrowy, wypoczęty i za dowolony zżycia. Czasami sobie

myślę, że fajnie byłoby być głupkiem. Bez przerwy zaczepiał urzędniczki w biurze, ale one go prowokowały. Mówiły mu na przykład, że ma kutasika jak dziecko i że na pewno mu nie staje. Z początku nic nie mówił i tylko się uśmiechał. Potem miał już dość, wyciągnął swoją łagę i wszystkim ją pokazywał. To nie był kutas: to było grube czarne monstrum, długie najakieś trzydzieści centymetrów. Dopiero trochę mu stało. Facet chwycił je w rękę i obracał się za dowolony. Lubił wzbudzać podziw. Wszystkie baby zaczynały krzyżeć i rzucać w niego zszywaczami i przyciskami do papierów. Ale to była tylko taka gra. W rzeczywistości lubiły sobie popatrzeć na ten czarny i pulsujący kawał ciała. Kto wie, może niejedna marzyła później nocami o takim instrumencie, podczas gdy mąż wypychał jej to, czym Bóg go obdarzył i co na pewno było dużo mniejsze. U głupków tak jest zawsze. Taka równowaga: nie mają w głowie, to mają gdzie indziej. Dobra. Na razie wszystko było w porządku, tyle że ten głupek zaczął urządzić swój show już nie od czasu do czasu, ale niemal codziennie. Szedł do biura, gdzie siedziały te wszystkie urzędniczki, i wyciągał przed nimi kutasa. Luisa opowiadała mi o tym wieczorami, tak że byłem na bieżąco. Wiedziałem, która go tym razem sprowokowała albo która powiedziała mu to czy tamto i co on wtedy zrobił. Pewnego razu trzy najbardziej rozrywkowe baby zaciągnęły go do toalety. Chciały mu przetrzepać konia, ale facet miał tak śmierdzącego kutasa, że brzydziły się w ogóle go dotknąć. Wtedy jedna z nich wpadła na pomysł, że dobry byłby słoik po kompocie, bo w ten sposób można by uniknąć bezpośredniego kontaktu. Cholera wie, kiedy ten głupek się ostatnio mył. Ale cóż: kutas nie zmieścił się mu do słoika. Poszły szukać większego. Z trudem, bo z trudem, ale w końcu laga weszła mu do środka. Zaczęły ruszać słoikiem. Chciały zobaczyć, jak facet się spuszcza. No więc kiedy wytrysnął, to jak później mówiły Luisie, napelnił cały słoik, a i tak trochę spermy się wylało. Ja jakoś nie mogłem w to uwierzyć. Zmierzyły oba słoiki. Pierwszy po kubańskim kompocie miał cztery i pół centymetra średnicy. Drugi był po kompocie rosyjskim i miał sześć centymetrów. Luisa, która była zawsze bardzo pedantyczna, w mojej obecności sprawdziła te wymiary na dwóch podobnych słoikach. Wtedy właśnie głupi Juan zrozumiał, że został supergwiazdą biura. Zaczął poszerzać swój program. Już nie tylko wyciągał gigantyczną łaskę i pokazywał ją wszystkim, obracając się jak modelka na wybiegu, lecz dodał nowy numer: szeptał coś po cichu i powoli się masturbował. Nigdy jednak nie kończył. Luisa mówiła, że bełkocząc coś niezrozumiale i masując sobie kutasa, podchodził do tej czy innej kobiety, a ona wtedy ze śmiechem krzychała: Ej, ty głupku, odsuń się! Odsuń się, bo mnie ochlapiesz! I patrzyła jak zahipnotyzowana. Wyglądało, że tak naprawdę chciała krzyknąć: Ochlap mnie! Ochlap mnie w końcu! Pewnego dnia sam to mogłem zobaczyć. Poszedłem z magazynu do biura, bo chciałem coś powiedzieć Luisie. Nie był to dobry moment. Głupek urządził właśnie swój show. Masturbował się i okręcał dokoła, by wszystko było dobrze widać. Wzdychał, wywracał oczy i przechodził od biurka do biurka, a te głupie baby chichotały i pokrzykiwały z udawanym lękiem. Gdy mnie zobaczyły, zamarły. Luisa przedtem też śmiała się i widać było, że ją strasznie bawi ten spektakl, a teraz nagle zamilkła i jakby ją sparaliżowało. Kurwa, co jest?! krzyknąłem. Co się tutaj dzieje?! Ty durny czarnuchu, chowaj ten swój interes! Ale głupi Juan był w całkiem innym świecie. W ogóle mnie nie słyszał. Pomyślałem, że jak dam mu parę razy w gębę, to może się opamięta. Wkurzyło mnie, że Luisa ma aż taką frajdę, patrząc na tego czarnego kutasa. No więc podszedłem i otwartą dłonią strzeliłem głupka w twarz. I oto nagle facet wybałusza oczy, patrzy na mnie przerażony i się spuszcza. I to jak się spuszcza! Strzela jak gejzer prosto na mnie. Odskokczyłem, ale ta fontanna miała chyba dwa metry. Oblał mnie jak z hydrantu. Cholerajasna! Pojęcia nie mam, jakim cudem mógł wyprodukować tyle spermy i gdzie mu się ona pomieściła! I to nie był koniec. Facet obrócił się i tryskał na wszystkie biurka. Psiakrew, przysięgam, sam to widziałem i nie przesadzam! Też bym nie uwierzył, gdyby ktoś mi o tym mówił! Ten czarny idiota miał w jajach co najmniej litr spermy! I to takiej gęstej, skondensowanej. Już chciałem się rzucić na niego, skopać go, rozwalić mu tę głupią mordę, ale się pohamowałem. Przecież to imbecyl. Nie lubię się pastwić nad takimi. W sumie nie wiedziałem, co robić. Ale tylko przez chwilę. Podbiegła do mnie Luisa. Z papierową chusteczką, żeby się wytarł. Wyła dowalełem się na niej. Odepchnąłem ją, skląłem i wysłałem w diabły. Wyszedłem i więcej już nie wróciłem do fabryki. Przez długie dni Luisa i ja nie rozmawialiśmy ze sobą. Ona dalej pracowała w tej swojej administracji, ale po kilku miesiącach całą fabrykę zamknęli. Zabrakło surowców i prądu. Kryzys był już wszędzie. Głodowaliśmy przez jakiś czas, ledwie wiązaliśmy koniec z końcem, aż wreszcie miałem dość tego dławienia i powziąłem decyzję. Pewnego dnia jasno postawiłem sprawę: Słuchaj, Luisa, przestań się obi jać! Jak długo jeszcze mamy tak głodować? Jazda na Malecón, może coś upolujesz! To była dobra decyzja. Ta Mulatka potrafi nieraz wyciągnąć i trzysta dolarów na tydzień. No i fajnie. Skończyła się bieda.

MAJĄC JUŻ PIEKŁO ZA SOBĄ

Wyszedłem z malutkiego kina, które jest na ulicy Industria zaraz za Kapitołem. Zawsze puszczały tam jakieś stare filmy. Most na rzece Kwai. Przez dłuższą chwilę gwizdałem tego marsza. Szedłem i gwizdałem. Kiedy

powstał ten film, miałem siedem lat. Od tamtego czasu minęło ich już czterdzieści, a ja ciągle gwizdę to samo. Chyba nie ma na świecie drugiego takiego miejscajak Kuba: tutaj człowiek wciąż jest niby taki sam, a równocześnie inny. To jest trudne. Zawsze potrzebujemy jakiejś jednej małej przestrzeni, którą moglibyśmy ogarnąć. Ogrom świata nas oszalał. Lub raczej oszalał nas świat domość, że jesteśmy tacy maleńcy. Było już prawie ciemno. Szedłem przez Hawanę Centrum jak ktoś, kto musi przejść przez obszar spustoszony jakimś kataklizmem. Na rogu Laguna i Perseyerancia zająłem do baru. Cześć, Lily. Co słychać? Co słychać? Popatrz! Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie. Z domu naprzeciw wynosili na noszach nieboszczyka. Był nakryty prześcieradłem. Wsadzili go do czekającej karetki. Miałem wrażenie, że czuję trupi zapach. Kto to był? Lily nie odpowiedziała. Wydawało się, że mnie nie słyszy. Wpatrywała się w ledwie widoczny w ciemnościach ambulans. Przeżegnała się dwa razy i szepnęła: Panie, zmiłuj się nad nim. Ja nic nie mówiłem, tylko oparłem się o kontuar. Wtedy weszli do baru dwaj Murzyni. Lily miała butelkę rumu, nalała im i zaczęli pić. Nieboszczyk z przeciwka był marynarzem. Miał czterdzieści trzy lata. Mieszkał tu od zawsze. Sześć miesięcy temu wrócił z rejsu. Zrobiło mu się jakieś świństwo najęzuku. Rak. Potem wszystko poszło już bardzo szybko. Facet rzygał krwią i przeraźliwie śmierdzał. Przez kilka ostatnich dni był nieprzytomny i w końcu umarł. Podobno to był taki wesoły gość, który ciągle myślał, że się zaraz wyleczy i że znów wypłynie. Zostawił trójkę dzieci. Cholera, tyłu skurwysynów chodzi wciąż po świecie, a porządni ludzie umierają! Przecież to był taki dobry ojciec i mąż. W całej dzielnicy takich już nie ma. Ze świecą trzeba by ich szukać. I tak dalej, i tak dalej. Słuchałem tego przez chwilę, ale potem wyszedłem. Ostatnio ciągle mi mówią o raku. Wszyscy umierają na raka. Dalej gwizdałem marsza znad rzeki Kwai. Cały czas myślałem o tym, że w domu nie mam nic do jedzenia. Zostało mi siedem peso. Natknąłem się na faceta, który sprzedawał pizze. Kupiłem sobie jedną. Na jej widok Włoch od razu by się przewrócił. Zimna, bez smaku i twarda jak dłoń nieboszczyka. Zjadłem ją. Teraz miałem już tylko dwa peso. Bóg nie da człowiekowi zginąć mówiła jedna z moich teściowych w czasach, gdy miałem jeszcze teściowe. No dobrze. Trzeba mieć nadzieję. Jutro będzie inny dzień i coś wykombinuję. W końcu człowiek właśnie tak żyje: po kawałeczku. Łączy z sobą okruchy swego życia, dni, godziny, etapy, ludzi, których tu czy tam poznał. Układa życie jak puzzle. Nie lubię mówić o etapach w moim życiu, bo wtedy odnawia się ból. Ale, niestety, tak jest. Człowiek żyje z rozdziału na rozdział. Trzeba się z tym pogodzić. Wielu ludzi, których spotykałem, wsączało mi w duszę nienawiść i urazę. Wiedziałem, czym to się może skończyć: najpierw wpadam w chaos, potem lecę coraz niżej, aż ląduję w piekle. Gdy zacznę tam smażyć w smole, nie będzie już ratunku. Już czułem w nozdrzach odór siarki i żar piekielny na skórze, kiedy udało mi się wyhamować upadek. Nawet pomalutką odzyskałem odrobinę tego, co kiedyś w moim życiu było najlepsze. Z trudem mi to szło. Nigdy nie byłem już taki jak wtedy, gdy zacząłem spadać. Na szczęście życie jest nieodwracalne. Najważniejsze, że oddalałem się od piekła. No cóż, w życiu człowiek musi przejść różne próby. Jeśli nie umiesz albo nie możesz im sprostać, jesteś załatwiony. Nie będziesz nawet mieć czasu, żeby się pożegnać. Winda znów nie działa, a na schodach jest kompletnie ciemno. Wszyscy ciągle kradną żarówki, dewastują windę i budują coraz więcej nielegalnych półpięter, antresoli i komórek, żeby się jakoś pomieścić. Kiedyś cały ten nasz budynek się zawalił. Mam już po dziurki w nosie tej nędzy. Między czwartym a piątym znów te nasze głupki zesrały się na schodach. Ten smród świeżego gówna naprawdę jest nie do wytrzymania. Rada lokatorów chce naprawić zamek w bramie, żeby można było ją zamykać. Zwłaszcza na noc. W nocy włączają do bramy różne typy i robią tam wszystko: pieprzą się, palą trawkę, srajają i sikają. Ale nie da się zamykać bramy i sprawić, by każdy z lokatorów miał klucz. To księżycowy pomysł. Kiedyś nasz dom był eleganckim ośmiopiętrowym budynkiem z dwiema fasadami w bostońskim stylu, jedną od San Lázaro, a drugą od strony Malecónu i morza. Dziś wygląda jak arystokrata, który zszedł na psy. Teraz mieszkają tutaj tylko sami czarni, jakieś nieszczęsne staruchy, alkoholicy i kurwy: zarówno młode, jak i takie bardziej już zdarte dawne luksusowe dziwki z hoteli. No i całe mnóstwo hołoty z Oriente, która ściąga tu całymi stadami. Czort wie, jak oni potrafią się zmieścić po dwadzieścia osób w jednym pokoju. A więc ta nasza naiwna rada lokatorów chce zamykać bramę, żeby wreszcie na schodach był spokój. Problem tylko, że ten cały budynek się sypie. Dosłownie, nie w przenośni. Stoi nad samym morzem i kruszy się po kawałku od wiatru i rozpylonej soli. Nie ma kto go remontować.

No dobra. Nie wiem, po co o tym piszę, bo mnie to nie obchodzi. Dawno mogłem uciec na tratwie. Nieraz chcieli mnie zabrać przyjaciele, którzy sami zbudowali tratwy. Ale nie. Sporo pływałem po Zatoce i wiem, czym naprawdę jest Morze Karaibskie. Boję się tratw. Czasem niedobrze jest wiedzieć za dużo. Ignorantom jest łatwiej. Ludziom się wydaje, że tylko ktoś bardzo odważny może płynąć do Miami na dętkę od ciężarówki. Taki facet nie jest wcale odważny. To jest po prostu samobójca. Na tarasie jest spokój. To akurat fajnie, bo zwykle jest tu cholerny harmider. Piekielny upał i ani odrobiny wiatru. Morze gładkie jak stół. Zapowiada się piękna noc. Dziś jest pełnia. Z ósmego piętra mam doskonały widok. U mnie w pokoju nie da się wytrzymać. Dach jest z eternitu, więc czuję się jak w piecu. Przydałaby się jakaś porządna ulewa, może wtedy by się trochę

ochłodziło. Rozbieram się i wychodzę na taras. Jest jeszcze woda w cysternach. Kąpię się, a potem zostaję na zewnątrz, żeby wyschnąć. Na płaskim dachu budynku jest siedem mieszkań. Wszystkie są zatłoczone, tylko ja mieszkam sam. Ludzie lubią żyć na kupie. Ja nie. Nie chcę być za nikogo odpowiedzialny. Nawet za siebie. Dotąd byłem odpowiedzialny aż za bardzo. Teraz już koniec. Teraz tylko czasem przychodzi sąsiadka i zostaje u mnie na noc. Taka szczupła i jędrna Murzynka. Ma trzydzieści dwa lata. Podobamy się sobie i fajnie jest nam w łóżku. Ona jest bardzo czarna i ostro pachnie pod brzuchem i pod pachami. Ten zapach cholernie mnie podnieca i mogę się wtedy z nią rznąć przez wiele godzin. Ale na tym koniec. Nic więcej od niej nie chcę. Luisy nie widziałem już od dwóch miesięcy. Ustrzeliła trzysta dolarów od jakiegoś faceta i widocznie uznała, że taką fortuną nie musi z nikim się dzielić. Zniknęła, ale myślę, że wkrótce się pojawi z jakąś nową bajeczką i oczywiście bez grosza. Przez cały wieczór dudnią bębny. Słychać je wszędzie. Dziś jest siódmy września, wigilia Matki Boskiej Łaskawej z El Cobre. Słucham tych bębnow i przypominają mi się filmy o wyprawach do Kongo: Oho! Otaczają nas ludożercy. Ale przecież to bzdura. To tylko nasi Murzyni obchodzą święto Matki Boskiej. Oni tak to robią. Nie ma się czego bać. Ode mnie z góry widać całe miasto pogrążone w mroku. Nie ma wiatru, więc nad kominami elektrowni w Tallapiedra wisi nieruchomo czarny i gęsty dym. Odór amoniaku przenika miasto wysrebrzone blaskiem pełnego księżyca, który lśni nad ową ciężką i smrodliwą chmurą. Na ulicach prawie nie ma ruchu, od czasu do czasu jakieś pojedyncze auto przejeżdża przez Malecón. Wszędzie jest cisza i spokój i tylko z daleka słychać głuche bębnienie. Lubię to miejsce. Mogę stąd patrzeć na srebrne morze, które rozciąga się aż po horyzont. W końcu jednak nie wytrzymuję tego śmierdzącego amoniakiem dymu, wracam do mieszkania i zamykam drzwi. Ciągłe jest gorąco. Chyba dopiero nad ranem upał trochę zelżeje. Zostawiam tylko otwarte małe okno od południowej strony. Stamtąd też widać całe miasto, które ciemne i ciche dusi się tam w dole w srebrnym świetle księżyca. Wygląda, jakby było zbombardowane i opuszczone. Rozsypuje się coraz bardziej, ale jest piękne to cholerne miasto, w którym tak wiele kochałem i równie wiele nienawidziłem. Kładę się spać spokojny i wyciszony. Dziś nie będzie żadnego seksu. Ostatnio było go za dużo. Trzeba trochę odpocząć. Odpocząć, podziękować Bogu i prosić Oo o siłę i o zdrowie. Tylko o to. Nie potrzebuję nic więcej. Muszę być silny, by bronić się przed demonami. Jeśli komuś brak wiary, każde miejsce jest dla niego piekłem.

PANOWIE I NIEWOLNICY

Wszystko źle mi szło. I to już od pewnego czasu. Nie opuszczał mnie też gniew. Za dużo miałem w sobie tego gniewu. Zszedłem z kursu i teraz już tylko dryfowałem. Pełen wściekłości dryfowałem donikąd. To jest straszne uczucie. Czasem jednak zdarzało się, że przez kilka dni byłem w dobrym nastroju i ukrywałem kipiący we mnie gniew. I właśnie jeden z takich dni wykorzystałem, by spotkać się i po przyjacielsku pogadać z Margaritą: taką szczupłą, lecz dobrze zbudowaną Murzynką o ogromnych piersiach. Mieszkała dużo niżej, na drugim piętrze. Podobała mi się, odkąd ją zobaczyłem, ale cóż, człowiek nie może tak od razu wiązać się z każdą ładną kobietą. Umówiłem się z nią na piwo gdzieś na Malecónie. Potem był rumu mnie na tarasie, a na koniec opadła na łóżko i rozchyliła nogi. No i zaczęło się rżnięcie. Fajnie było, więc robiliśmy to aż do rana. Później jeszcze nieraz się spotykaliśmy, ale co z tego? Dalej chodziłem wściekły i ogólnie zniechęcony do życia. Zwłaszcza kiedy była pełnia. Nie wiem dlaczego, ale księżyc w pełni zawsze na mnie tak działa. Kompletnie mnie rozstraja i zamienia we wściekłego psa. Walczę z tą myślą odrzucam ją od siebie, ale ciągle widzę, że chyba naprawdę tak jest. To nie jest żadne urojenie. Muszę się pogodzić z tym faktem, a nie walczyć z nim jak głupi. Sporą część tej mojej wściekłości wyła dowywałem na Margaricie, która w łóżku była cudowna, ale poza tym nie mogłem z nią wytrzymać. Ja wtedy zupełnie nie miałem forsy, jadłem gorzej niż źle i całkiem poważnie zastanawiałem się, czy nie poszukać sobie pracy przy zamiataniu ulic. Najtrudniej byłoby mi pierwszego dnia, później bym się przyzwyczaił i gwizdał na wszystko. Przynajmniej miałbym jakiś stały grosz co miesiąc. Margarita była mną zachwycona. Ja czułem się kompletnie zdolowany, atami tymczasem szczebiocze: Kochanie, jesteś cudowny! Jak mi z tobą dobrze w łóżku. Kocham cię! Nie mogłem znieść tego jej debilizmu. To było ponad moje siły. Z drugiej strony, nie potrafiłbym bez niej żyć: przyciągał mnie kolor jej skóry, zapach jej potu i wilgotnej szpary pod brzuchem, dotyk jej kędzierzawych włosów i smak jej sutków w mych ustach. Podobała mi się, ale opowiadała straszne głupoty, a na drzwiach swego mieszkania wywiesiła napis: Uwaga, dzieci! Czasami wydawało mi się, że to wszystko jest jedną wielką komedią. Margarita uśmiechała się do mnie, aja w tym jej uśmiechu czytałem: Masz frajdę, więc płacisz. Psiakrew, ten cholerny dzisiejszy merkantylizm! Margarita była bez pracy. Straciła ją trzy lata temu, a należała do gatunku tych ludzi, którzy prędzej umrą z głodu, niż wezmą się do jakiejś sensownej roboty. Mieliliśmy tylko tyle pieniędzy, ile mnie się udało gdzieś skombinować psim śwędem.

Modna była wtedy taka salsa, która zaczynała się w ten sposób: Znajdź sobie gościa, który ma szmal. On będzie płacił, a ty się baw. Nie za młodego, nie za starego, czterdziestolatek będzie w sam raz. Kiedyś mi się to już zdarzyło z taką inną piękną Murzynką. Pracowała na uniwersytecie, była bardzo elegancka i subtelna. Długo trwał ten nasz romans. Najpierw przez całe lata pragnęliśmy się po kryjomu, ale nigdy nasze drogi nie mogły się skrzyżować. Aż wreszcie ona została sama. Kompletnie sama przez parę lat. I wtedy się spotkaliśmy. Poszliśmy od razu na całość. Bawiło mnie to, bo w swym wyuzdaniu nie ustępowała chyba największym grzesznicom w historii ludzkości. Gdy tylko czuła w szparze mojego kutasa, natychmiast traciła głowę. W kąt szedł cały jej intelektualny blichtr i zmieniała się w oszalałą sukę. Mrs Jekyll and Mrs Hyde. I wszystko bez kropli rumu, bez jednego skręta. Nie, nie potrzebowała takich rzeczy. Mogła to robić a cappella. I cały czas przy tym mówiła, a gdy zaczynała dochodzić raz, drugi, trzeci potok jej słów płynął coraz szybciej. To była naprawdę gorąca dziewczyna. Mnie ten cyrk niesłychanie podniecał. Nie będę teraz robił za świętego i mówił, że przeszkadzała mi ta jej perwersja. Nie, nie! Wprost przeciwnie: lubiłem, gdy zaczynała szaleć. Kochanie, chcę być twoją niewolnicą. Zwiąż mnie i wysmagaj! Mam tu sznur i skórzany pasek. Chcę, żebyś mnie bił i żebyś kazał mnie zgwałcić czterem facetom naraz. Chcę być dziwką, chcę, żeby mnie rżnęli na twoich oczach. Och, wsadź mi! Patrz, jaki mam twardy tyłek! Jest twój, weź mnie! Weź mnie tu, zaraz! Dla ciebie mogę też z dziewczyną. Znajdź mi jakąś ładną blondynkę, ajajatak przerobię, że będzie szaleć za tobą. Jestem twoją niewolnicą możesz mnie bić. Pasem, batem, czym chcesz. Gryź mnie! Chcę poczuć na sobie twoje zęby. Włóż mi palec do tyłka.

Miała różne pornograficzne pisemka i lubiła dochodzić, patrząc na te wszystkie zielonookie blond piękności. No dobra, bawiło mnie to i nigdy nie próbowałem jej zrozumieć. Nie da się zrozumieć wszystkiego. Albo żyjesz, albo chcesz zrozumieć swoje życie. Brak ci czasu na obie te rzeczy. Musisz wybrać. W końcu ją zostawiłem. Nie przez te jej szaleństwa, tylko ponieważ czułem, że ma coś złego w oczach i może mi zaszkodzić. Niewolnica spostrzegła, że jej dobrze idzie i że podoba mi się, więc zaczęła stawiać wymagania. Chciała, bym jej kupował sukienki, buty, perfumy i żebym ją zabierał do drogich restauracji. No cóż, po prostu wyszła na jaw jej ukrywana chciwość. W tamtych czasach mogłem sobie pozwolić, by zaspokajać jej zachcianki, ale pewnego dnia zaczęła się we mnie uparcie wpatrywać. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie i nagle usłyszałem złowieszcze słowa: Pedrito, masz tyle ubrań, że nie zużyjesz ich do końca życia.

Cholera! Fakt, że miałem wtedy dużo ubrań, i to porządnych, ale chciałem też jeszcze sobie trochę pożyć. Tfu, na psa urok! U tej czarnuchy było coś niedobrego w oczach. Nigdy więcej do niej nie poszedłem.

Innym razem było na odwrót. Z taką jedną Katalonką. Ona czuła się wszechwładną panią i patrzyła na mnie jak na karalucha. W łóżku było nam dobrze, ale zaraz potem ona zmieniała się w bezwzględny szeryfa. Nieraz chciałem ją po prostu zamordować, ale się powstrzymałem. W końcu trzasnąłem tylko drzwiami i poszedłem. Taki mam zwyczaj: kobiety zostają a ja idę. Nie chcę o tym pisać, bo nie jestem jeszcze przygotowany, by wziąć skalpel i powiedzieć szanownej publiczności: Drodzy państwo, proszę patrzeć, ale pozatykać nosy. Zaraz rozetnę te flaki. Ostrzegam, że wypłynie z nich mnóstwo gówna. Będzie śmierdzieć. Gdyby ktoś nie wiedział: gówno zawsze śmierdzi. Nie, jeszcze nie mogę. Trzymam skalpel w ręku, ale brak mi odwagi, by zrobić nim głębokie cięcie i wypuścić to całe gówno na zewnątrz. Takie już jest to zaszrane życie. Jeśli masz mocny charakter, jesteś nieugięty i pełen pogardy dla innych. Wewnętrzny rygor i dyscyplina robią z ciebie autentycznego twardziela. Tylko słabi są pokornymi i uległymi pasożytami. Potrzebują silnych. Są gotowi poświęcić wszystko za byle jaki ochłap. Nawet własną godność. Wiem, że to źle brzmi, ale na świecie tak jest, że jedni są od rządzenia, a inni, żeby ich słuchać. Ja nie potrafię być posłuszny. Nikomu, nawet sobie. Nie jest mi łatwo. Drogo za to płacę. A więc gdy rozsadza cię furia i wściekłość, musisz jakoś się rozładować. Są różne sposoby, wszyscy je znamy: alkohol, seks, narkotyki. No dobrze, niektórym wystarcza jakaś dieta, czekoladki, nie wiem. U nas w dzielnicy wszyscy na ogół wybierają seks, potem może trochę alkoholu i trawkę. Są też mistycy i im się żyje najlepiej. Ale to jest inna sprawa. Zostawmy mistyków i ezoteryków. W końcu jest ich bardzo niewiele. Nie liczą się.

Margarita długo wytrzymywała tę moją wściekłość. Życie nauczyło ją wytrzymałości. Niewiele potrzebowała. Chciała tylko, żeby ją kochano. Ciągle mnie o to prosiła. W okolicy wszyscy na nią polowali to znaczy wszyscy mężczyźni i mieli bardzo skuteczną taktykę. To był taki rodzaj sportu. Chcieli ją złapać na kutasa. Tutaj mieszka pełno Murzynów i Mulatów oraz kilku białych, którzy niewiele majądo roboty i jeszcze mniej do myślenia. Na Margaritę był jeden pewny i wypróbowany sposób: trzeba jej było pokazać kutasa. Gdy się jej spodobał, no to już ją mieli. Proste i prymitywne, ale działało bez pudła. W sumie nic nowego. Spadkobierczyni Vargasa Vili 1860-1933 kolumbijski pisarz i dziennikarz, autor skandalizujących pamfletów politycznych i obyczajowych (przyp. tłum.)] nieraz mi mówiła ze śmiechem: Uwodź je, psuj i deprawuj. One są słabe. Ja nie do końca w to wierzyłem, ale ona wciąż mi to powtarzała, aż kiedyś wyznała, że Vargas Vila nienawidził kobiet: To był taki mizogin. Znaczą pedał? zapytałem. Nie wiem. Może nie aż pedał, ale mizogin.

No więc dobrze. Z jednej strony jest Margarita i ci wszyscy czyhający na nią myśliwi, z drugiej strony jestem ja i ta moja wściekłość. Mogę być zły, mogę się gotować z gniewu, ale przynajmniej nie próbuję jej uwodzić ani deprawować. Niech robi, co chce, ze swoim życiem, ale niech mnie zostawi w spokoju.

Czasem jej nawet kupuję jakieś mieczyki albo gałązkę jaśminu. Kiedy wieczorem daję jej te kwiaty, chciałbym, żeby po prostu wzięła i nic nie mówiła. Ale nie. Ta cholerna czarnucha zamyka wtedy oczy i wacha w rozmarzeniu bukiet, a potem zaczyna mi dziękować i mówić, jaki ja jestem cudowny i jak bardzo mnie kocha. Mnie wtedy szlag trafia. Po co tyle gada? Niech bierze te kwiaty i sływa.

Zaraz, zaraz. Dlaczego ja tracę kontrolę nad sobą? Dlaczego ta moja pycha tak raptownie wzrasta i aż przelewa się we mnie? Wszystkiego mi mało, gdy przestaję kontrolować pychę. Ona mnie niszczy.

I wtedy odkryłem, że to bliskość niewolnika potęguję mą wściekłość. Gdy obok jest niewolnik, zmieniam się w złego i pysznego pana. W pana kipiącego gniewem. Muszę unikać niewolników. Trzymać się od nich z daleka. Oni są cholernie zaraźliwi.

RATUJ SIĘ, KTO MOŻE

Zeszłego wieczoru piliśmy do późnej nocy. Haydce opowiadała mi te swoje spirytystyczne historie, a potem zaczęła narzekać, że wszystkiego się boi i że brak jej odwagi, by w końcu coś zmienić w swoim życiu. Jorge tylko słuchał. On zawsze słucha i nic nie mówi. Byliśmy już na pół pi jani, gdy o czwartej nad ranem poszliśmy wreszcie spać. To takie małe mieszkanie: małe pokój, ubikacja i wnęka z kuchenką naftową. Haydce rozłożyła na podłodze kapę. Zwałem się na nią i zasnąłem od razu. Chyba jeszcze słyszałem, jak się pieprzą na skrzypiącym łóżku. Ci Murzyni są niezmordowani.

Wstałem o dziewiątej. Umyłem sobie twarz, wziąłem moich dwadzieścia zamrożonych langust i poszedłem na stację. O dwunastej miałem pociąg do Hawany. Zawsze jest cholernie zatłoczony, ale to lepiej, bo wtedy policja mniej kontroluje.

Główną ulicą miasteczka szedł pogrzeb. Długi i milczący orszak. Za dużo tych żałobników i chyba trochę przesadna ta cisza. Miałem z sobą całe pudło langust i powinienem się raczej śpieszyć, ale zacząłem rozpytywać ludzi. Nikt nic nie wiedział.

Ludzie teraz chodzą brudni, głodni, obdarci i nikomu nie chce się gadać. Wszyscy mają tylko jeden problem: jak zdobyć trochę żarcia i pieniędzy, żeby przeżyć.

Potem przez całe popołudnie telepałem się w pociągu, który odjechał z trzygodzinnym opóźnieniem. Włókł się niemilosiernie i zatrzymywał co pięć minut.

W końcu o dziesiątej wieczorem dojechałem do Hawany. Cały dzień zmarnowany w tym cholernym pociągu. Ale nie upadałem na duchu. To dobrze. Nie można tracić otuchy. Gdy jej nie masz, lada moment będziesz pastwą robaków. Wsadziłem langusty do lodówki, nalałem sobie szklankę wody z cukrem i położyłem się spać. Byłem potwornie zmęczony. Spałem jak zabity aż do siódmej rano, kiedy ktoś zaczął się dobić do drzwi. To była Margarita. Ona ma chyba jakiś szósty zmysł, no bo skąd wiedziała, że już wróciłem? Zrobiła mi kawę. Potem powiedziała, że posprząta u mnie zupełnie jakby ta moja nora była jakimś pałacem a że było gorąco, więc rozebrała się. Podniecił mnie ten striptiz. Popieprzyliśmy się trochę. Trzy dni się nie widzieliśmy. Lubię tę Murzynkę. Zwłaszcza kiedy przez chwilę nie mówi. Zawsze opowiada jakieś głupoty i stara się być sympatyczna. To męczące. Ale i tak chodzi tu tylko o seks. Mnie to wystarcza. Nie chcę nic innego. Zrobiłem się twardy i kobieta może u mnie co najwyżej wywołać erekcję.

Fajne są takie przypadkowe miłostki, bo człowiek się po nich niczego nie spodziewa. Nie mają przeszłości ani przyszłości. Nadzieja potrafi wiele rzeczy zepsuć. Nie tak łatwo jednak żyć bez niej.

Margarita chciała koniecznie posprzątać, a potem zrobić mi coś do jedzenia. Nie zgodziłem się. Dość, nie będziemy się bawić w tatusia i mamusię. Wziąłem cztery langusty i wyszedłem, żeby je gdzieś sprzedać. Przedtem wysłałem Margaritę do domu, no to pa na razie, później się zobaczymy.

Naprzeciwko mieszka facet z Guantánamo. Wynajmuje samochód i nieźle z tego żyje. Ma czerwonego plymoutha, rocznik pięćdziesiąty czwarty. To takie ogromne bydlę ze skrzydłami i potężnymi błotnikami. Kupa miejsca w środku, chrom i małe okienka. Mnie się wydaje dość ponury, ale turyści mówią że to już klasyka. Chętnie go biorą żeby się przewieźć po Hawanie albo pojechać z kurwami na plażę. Coś tam powiedziałem facetowi, że w świetnym stanie jest ten zabytek, a on mi na to: Słuchaj, stary, ten samochód to kopalnia złota! A na dodatek studio pornograficzne. Jakie studio? Zwariowałeś? Chłopie, co ty wiesz! Pożyczam go turystom, by sobie robili zdjęcia z kurwami. W środku, na dachu, na masce... Oni mają bzika! Dają mi aparat albo kamerę, żebym ja to robił. Płacą za to ekstra. Ty nie masz pojęcia, ile można wyciągnąć z tego grata! Facet kupił ode mnie dwie langusty. Nieźle. Dał mi po dolarze za sztukę i nawet się nie targował. To dobra przebitka. Ja

rybakom płacę dolara za trzy sztuki. Cholera, gdybym mógł ich tak od razu przywieźć dwieście! Poszedłem dalej. Zaglądnąłem do restauracji Urbana. No i dobrze. Chciał dziesięć. Może być. Dziś mi się udał dzień. Przyniosłem mu te dziesięć langust, wziąłem forszę i zacząłem szukać rumu. Na razie dość, życie jest za krótkie, żeby aż tyle pracować. W monopolowym była potworna kolejka. Podeszedłem z boku i podałem sprzedawcy butelkę. Nalał mi do niej rumu, a ja mu dałem trzydzieści peso. Bezcelnie i na oczach wszystkich. Jak ktoś ma pieniądze, to nie musi stać z butelką dwie godziny po przydziałowy rum. Pieprzę to. Płacę podwójnie i załatwiam sprawę w dwie minuty. W kolejce zrobiła się awantura. Jakies staruchy zaczęły się strzepić: Do kolejki! A gdzie kolejka? Wszyscy tu stoimy, nie ma takich lepszych! Odszedłem parę kroków i wrzasnąłem: Co, nie ma lepszych?! A stójcie sobie do zasranej śmierci! Ja nie mam ochoty! No i wtedy podchodzi do mnie stary Martin, pijanyjak zwykle. Daj spokój, Pedro Juan! Zostaw tych biedaków. Muszę kiedyś wpaść do ciebie na ten twój dach. Mam schowaną butelkę, to ją wypijemy razem. Dobra, Martin. Przyjdź, kiedy chcesz. Nie, nie. Nie kiedyja chcę, tylko kiedy masz czas. Powiedz. Od miesiący startuje do mnie z tągadką. Mam go już dość. Słuchaj, Martin. Wieczorem zawsze jestem w domu. Nie wychodzę. No to dobra. Mam parę historyjek, które chcę ci opowiedzieć. Może coś o nich napiszesz. Ja już nie piszę, Martin. Widzisz przecież, że cały czas muszę tu kombinować na ulicy. A co? Nie jesteś dziennikarzem? Byłem. Kiedyś nim byłem. Teraz to już dawna sprawa. Jak to? Nie pierdol. Ja mówię poważnie. Daj spokój, Martin. Wpadnij, kiedy będziesz mieć ochotę. Przynies tę butelkę i pogadamy o kobietach albo o piłce. Nie. Ja jestem poważny facet. Gdy byłem mały, a i potem również, znałem takiego gościa, którego ty też na pewno znasz... Kim on jest? No a kim może być? Wiesz co, Martin? Daj sobie siana. Ja już nie piszę. Nie zwracaj głowy. Zostawiłem go i poszedłem.

Postanowiłem wrócić z tą moją butelką na dach. Mam rum, ugotuję sobie do niego langustę. Jedno z drugim nie bardzo pasuje, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Tak sobie o tym wszystkim myślałem, kiedy nagle napatoczył się Tony. To taki mój dawny kolega. Przywitaliśmy się i pogadaliśmy chwilę. Raczej to on cały czas mówił, bo właśnie wrócił z Matanzas, gdzie badał sprawę UFO, które podobno wylądowało tam przed paroma dniami. I chyba to jest prawda. Głównie dlatego, że świadek jestjakimś ciemnymi prymitywnym chłopem, który sam nie potrafiłby tego wszystkiego wymyślić. UFO miało wielkość małego samochodu wyglądało jak żółw, jak skorupa żółwia i wylądowało bezszelestnie na łące. Wyszedł z niegojakiś ludzik, zebrał kilka roślin, wrócił do pojazdu i równie cicho wystartował. Zostały tam jeszcze ślady i ten mój kolega je sfotografował. No dobra, Tony. Ja zawsze wierzyłem, że sąjakieś inne zamieszkałe planety. Problem tylko, że oni nie chcą się z nami komunikować. Myślisz, że mają nas za barbarzyńców? Jasne. Za prymitywnych i cholernie agresywnych dzikusów. No nie, Pedro Juan! Nie napalaj się tak strasznie. Wiesz co? Opowiadasz mi takie rzeczy i chcesz, żebym się nie napalał? Słuchaj, muszę iść. OK. Jeszcze kiedyś pogadamy. No tak, jeszcze tego nam brakowało: ufoludków, którzy się nam płączapo Kubie. Wyszedłem do siebie na górę. Włożyłem langustę do garnka i zacząłem ją gotować. Wszędzie dokoła był spokój. Z każdym dniem coraz bardziej doceniam ciszę, spokój i samotność. I nie oczekuję za wiele. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Gdy jest cisz, mogę być po prostu sobą. I mnie to wystarcza. Moje życie jest cholernie ekspansywne. Jestjak wezbrana rzeka, która nagle występuje z brzegów i rozlewa się dokoła. Wtedy muszę zostawić wiele rzeczy i myśleć o tym, co jest pożyteczne i dobre. Tylko w ten sposób mogę kontrolować przybór wód i sprawić, by wróciły do swego łożyska. To działa jak wahadło i było tak od zawsze. Przyzwyczałem się już do tych okresowych powodzi, które co prawda niszcząwszystko, ale po nich następuje spokój, samotność i cisza. Wtedy znów odzyskuję kontrolę nad sobą i nad sytuacją. Długo się tego nauczyłem. Właściwie nigdy człowiek do końca się tego nie nauczy. Tak myślę. No więc langusta gotowała się w garnku, a ja popi jałem rum. Wtedy właśnie przyszła Maria: to taka moja sąsiadka, bardzo już stara, która ciągle ma jakieś znaki i przychodzi do mnie, bym pomógł jej je zinterpretować. Od lat jest wdową. Zawsze terroryzowała swego męża i z dumąmówiła, że biedak się jej boi i ani słowa nie pisnie. Powiem ci, co mi się zdarzyło wczoraj po południu. Ty czujesz takie rzeczy, więc może mi to wytłumaczysz. Ja? Nie, to ty się na tym znasz. Dużo lepiej by ci było, gdybyś doradzała ludziom. Za stara jestem, by się brać do tego. Kiedyś może powinnam była, ale teraz jest już za późno. No więc co ci się stało? Słuchaj, synku: czytałam gazetę, głowa mina chwilę opadła i zniknęłam oczy, bo chciałam trochę odpocząć. Nie, wcale nie zasnęłam. Zaniknęłam tylko oczy i wtedy mi się pokazał Manuel. Był bardzo spokojny i uśmiechał się. Powiedział mi bez złości:

Zabiję cię. A potem zniknął. A ty co na to? Otworzyłam oczy i nawet się nie przestraszyłam. Ale do dziś nie mogę o tym zapomnieć. Zwykle mi się sprawdza to wszystko, co widzę. Powiedz mi, Pedro Juan, co mam robić? Chyba jednak się boisz. Nie, nie! Słuchaj, Maria: postaw szklanke wody z zapachem i idź do jakiejś wiedzącej, niech odprawi porządną mszę. To taki duch, który nie może się wznieść. Facet zginął w wypadku: nie spodziewał się i teraz wciąż pokutuje. Jeśli nie zadziałasz w porę, żeby zyskał spokój, zabierze cię ze sobą. On potrzebuje mszy jednej, dwóch, trzech, nie wiem, ale w końcu musi uznać, że jego miejsce jest na cmentarzu, a

nie tutaj. Trzeba go przekonać, żeby odszedł. Och, synku, ja w to zupełnie nie wierzę. No to w takim razie wszystko ci się przywidziało. Ale skąd! Ja go naprawdę widziałam, czemu mi nie wierzysz? Wiesz co, Maria? Musisz się zdecydować. Albo go widziałas, albo nie. Jeśli nie, to w porządku, nic się nie stało, zapomnij o tym wszystkim. Jeśli tak, to musisz załatwić mu mszę i pomóc, by opuścił ziemię. W końcu Maria sobie poszła. Ona jest zawsze niezdecydowana. Od samego początku rewolucji była działaczką i miała stopień oficerski w armii. Zawsze była taka sama. Lubiła rozkazywać i wszystko mieć pod kontrolą. Ludzie w dzielnicy byli z nią bardzo ostrożni i zawsze się do niej zwracali przez towarzyszkę kapitan. Teraz jest sama, brudna i żyje w absolutnej nędzy. Nie chce jej się nawet wyka.pac. I znów był spokój na tarasie. Piłem rum i gotowałem langustę. Za chwilę jednak usłyszałem stukot obcasów. To była moja inna sąsiadka, taka ładna, może dwudziestoletnia Mulatka. Niewątpliwie ma klasę i choć jest kurwą, mogłaby być modelką. To autentyczna piękność. Mieszka w równie obskurnej norze jak moja, ale ma nieugięte zasady: nie masz forsy, to spadaj. Czasem mnie spostrzeża i mówi coś na dzień dobry, ale bez specjalnego przekonania. Cześć, sąsiedzie. Cześć, sąsiadko. Coś długo ci zeszło w robocie, bo jest już prawie południe. A kto ci powiedział, że ja pracuję w nocy? Chyba jesteś trochę bezczelny. Mam nosa. Czuję przecież te perfumy. No to żałuj, kochasiu. Pooblizuj się trochę. Jesteś okrutna. Wszyscy tak mówią. Pa, trzymaj się. Chcę się chwilę przespac. Może ze mną? Dawno mi już stoi. Jak zarobisz trochę pieniążków, to wtedy pomyślimy. Na razie nie ma o czym gadać. Wolę mieć cię z daleka, żebyś mi nie przyniósł pecha. No to trudno, kochanie. Śpij dobrze. Pa, kocieczku. Pa, nocna kocico. Weszła do mieszkania i zamknęła drzwi, aja wróciłem do mojej langusty. Tak to jest. Jak masz pieniądze, to możesz wszystko, ajak nie, to zdychaj. Gdy tonie statek, jest podobnie: każdy się ratuje, jak może. Mimo wszystko lubię tę dziewczynę. Rok temu przyjechała ze wsi. Ręce miała pełne odcisków, a palce u nóg brudne od czerwonej ziemi. Mówi, że mieszkała w Palma Clara. Czort wie, gdzie to jest. Nie ufa ludziom. Myśli, że każdy chce ją wykorzystać. Kiedyś jednak opowiadała mi trochę o sobie. Gdy miała dwanaście lat i była w piątej klasie, rzuciła szkołę. Zaczęła pracować przy zbieraniu kawy, bo chciała mieć jakieś własne pieniądze. W domu ojciec wszystko przepi jał i wydawał na papierosy. Miałam sześcioro rodzeństwa i w kółko jedliśmy tylko mamałygę i bulwy pochrzynu. Sama nie wiem, jakim cudem wyrosliśmy zdrowi i silni. Po kilku latach doszła do wniosku, że praca przy kawie to zajęcie dla głupków i nieudaczników. Pewnego popołudnia wzięła kąpiel, włożyła najlepszą sukienkę i nie żegnając się z nikim, wyszła na szosę, skąd jakąś ciężarówką zabrała się do Hawany. Nie miała pojęcia, co będzie w tej Hawanie robić. Zawsze tylko słyszała, że dopiero tam da się żyć, bo ludzie mają więcej pieniędzy, i tak dalej. No więc pojechała. Kiedy mi o tym mówiła, widziałem w jej oczach siłę: Jestem ładna, nawet bardzo ładna, myślisz, że nie wiem? Dość mam tej kawy, do dupy jest takie dzia dowanie, niech inni się w to bawią! W życiu nie wrócę do Palma Clara... Och, nie! Boże, przebac... Kiedy moja matka umrze, będę musiała pojechać na pogrzeb. To naprawdę święta osoba. No więc przyjechała, jak stała, z pustymi rękami. Przez pierwsze kilka dni mieszkała z szoferem, który ją przywiózł na łebka. Po tygodniu wyniosła się od niego: facet chciał z niej zrobić niewolnicę, z którą mógłby się pieprzyć o dowolnej porze, a poza tym miała mu prać, gotować i nudzić się, gdy akurat nie byłoby go w domu. Ona tego nie wytrzymała. Znalazła sobie taką inną wiejską dziewczynę i zamieszkały razem. Wieczorami wychodziła na Malecón i zaczynała łowy. Po roku z zahukanej chłopki zrobiła się całkiem nowa kobieta. Teraz już nawet mówi i pornsza się inaczej. Ma klasę. Lada dzień zostawi tę swoją norę na tarasie i przeniesie się do porządnego mieszkania. Lubię takich ludzi. Takich twardych, którzy wiedzą czego chcą. Słabi i tchórzliwi zawsze będą płakać i narzekać. Myślą, że dzisiaj wszystko się kończy. W rzeczywistości jest dokładnie na odwrót: dzisiaj jest dniem, w którym się wszystko zaczyna. Hawana, 26 marca 4 listopada 1995

MÓJ SMAK

Byłem w restauracji Floridita, poznałem mnóstwo lupanarów i hoteli z ruletką i rzędami jednorękich bandytów, z których sypał się grad złotych monet, odwiedziłem teatr Szanghaj, gdzie za dolara i dwadzieścia pięć centów można było obejrzeć wyuzdane spektakle, a w przerwach filmy z gatunku tych najbardziej porno. I wtedy nagle przyszło mi do głowy, że to nieprawdopodobne miasto, w którym każdy grzech jest dozwolony i wszystko można sprzedać albo kupić, byłoby idealną scenerią dla mojej komedii.

GRAHAM GREENE, O Naszym człowieku w Hawanie

Człowiek nie jest stworzony do klęski. Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać.
ERNEST HEMINGWAY, Stary człowiek i morze (tłum. Bronisław Zieliński)

W JEDNEJ CELI Z BASILIEM

Basilio siedzi na pryczy i dłubie między palcami u nóg. Śmierdzamujak cholera. Co chwila przerywa i podnosi dłonie do nosa. On lubi się tak drapać i potem obwąchiwać. Robi to zawsze przed kąpielą. Oczywiście, jeśli jest woda i możemy się wykapać. Czas szybko mi ja, kiedy się nie zwraca na niego uwagi. Nie mamy zegarka ani kalendarza. Wiemy tylko, że niedziele są to, by odpoczywać i nudzić się za kratami. Od roku jesteśmy razem w jednej celi. Wieczorami i w nocy, bo w dzieńja pracuję w wytwórni materacy, a Basilio na więziennym folwarku. To taki prosty chłop i lubi robić w polu.

Z początku źle to wszystko znośłem. Dostałem ataku klaustrofobii i przestałem panować nad sobą. Kiedy poczułem się zamknięty, ogarnęła mnie furia. Zacząłem krzyczeć i toczyć pianę z ust. Kiedy dwaj klawisze chcieli mnie związać, rzuciłem się na nich, a oni wtedy spuścili mi taki łomot, że straciłem przytomność. Gdy odzyskałem ją było jeszcze gorzej: zamknęli mnie w izolatce. To była taka mała klatka z żelaznych prętów na dachu kobiecego bloku. Człowiek nie mógł w niej stanąć ani się położyć. Cały czas musiał siedzieć skurczony. Przez wiele dni trzymali mnie tak pod gołym niebem. Właściwie nie wiem, jak długo. Kiedy w końcu mnie stamtąd wyciągnęli, byłem wykończony. Ledwie żyłem. Bardzo pobieżnie o tym opowiadam, bo wolałbym sobie nie przypominać szczegółów. To straszne mieć świa domość, że jesteśmy bestiami i że nienawidzimy każdego, kto głośno o tym mówi. Basilio, przestań się drapać. Słuchaj, stary, to naprawdę śmierdzi. Ha! Ale delikacik! Koteczku, zapomniałeś, gdziejesteś? Koteczku, możesz mówić do tych idiotek z kobiecego bloku, z którymi się pieprzysz na folwarku. Ja to sobie wypraszam. Och, stary! Nie udawaj twardziela! Ja nie udaję. Jestem twardy i chcę, żebyś o tym wiedział. Jasne? Nie jesteśmy przyjaciółmi. W więzieniu nie ma przyjaciół. Wszystkich trzeba trzymać na dystans. Pozwolisz komuś się zbliżyć, a nawet się nie spostrzeżesz, jak ci wsadzi kutasa do dupy. A poza tym Basilio lubi gadać. Z takimi trzeba uważać. To są zwykle ludzie bez charakteru, którzy każdego gotowi są sprzedać. Ja nie gadam. Milczenie jest złotem. Basilio mało wie o mnie. Tyle tylko, że przypadkiem jesteśmy z tego samego osiedla: z El Palenque. Ja dawno się stamtąd wyniosłem. El Palenque to takie zbiorowisko bud z blachy, przegniłych desek i kawałków nylonowej folii. Obok jest rzeka Quibń, która śmierdzi gównem, odkąd Bóg ją stworzył. Gdy byłem mały, myślałem, że w rzece zawsze musi płynąć gówno, aż wreszcie zobaczyłem rzekę, w której była woda. Cholernie mnie to zdziwiło i zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób odcedzono z niej te wszystkie świństwa. Gdy byłem akurat w finansowym dołku... Ha, ha, ha! Jak gdybym kiedyś w nim nie był! Ale zawsze to brzmi mniej dramatycznie: otóż pewnego razu, gdy byłem w finansowym dołku, poszedłem odwiedzić moich dawnych kumpu w El Palenque i udało mi się podłapać robotę w wytwórni syropu u niejakiej Dinorah. Miałem czyścić trzcinę i zajmować się lodem. Wstawałem przed świtem i zabierałem się do obdzierania trzciny. O szóstej jechałem z taczkami po lód, który potem tłukłem młotkiem na drobniuteńkie kawałki. Dinorah nazywała tę lodową kaszę frappé. Do tej pory pamiętam to francuskie słowo. O ósmej Dinorah ła dowalała trzcinę pod prasę i wyciskała z niej sok, który później sprzedawała z lodem. W sumie miałem fajną pracę. Do czasu.

Był już prawie wieczór. Mieliśmy na siebie ochotę. Dinorah to babka gdzieś pod pięćdziesiątkę, ale dobrze się trzyma, ma ciągle niezłe cycki i tyłek. Wie, czego chce, i urnie sobie radzić. Jest wulgarna, pyskata i pełna bojowego ducha. Inaczej nie mogłaby żyć w El Palenque. Tam musisz być twardy ijeszcze raz twardy. Gdy zaczniesz mięknąć, szybko pakuj manatki i się wynoś. Lubię takie kobiety. Mają mocne, twarde plecy i kręgosłup. Aż się proszą by je wziąć od tyłu. To są kobiety z charakterem, ale gdy człowiek unie do nich podejść, stają się słodkie jak cukiereczek. Mężczyzna i kobieta zawsze dobrze wiedzą, kiedy się mająku sobie. Nie muszą nic mówić. Tamtego dnia schowałem butelkę rumu. Kiedy skończył się lód i mieliśmy już zamykać, wyciągnąłem tę zasparowaną butelkę. Masz, Dinorah, łyknij sobie. A kto ci powiedział, że ja w ogóle piję? To od razu widać. Nie udawaj świętej. Roześmiała się. Podobał mi się śmiech tej kobiety. Był głośny, szczery i swobodny. Tak, to Ochun i Yemava: sama ra dość życia. Wylała trochę rumu na ziemię dla świętych, pociągnęła łyki podała mi butelkę. Zamknęliśmy od środka syropiarnię. Byliśmy brudni i spoceni. Śmierdzący. Cały dzień pracowaliśmy w słońcu. Aleja to lubię. Nie cierpię perfum ani maki jaży. Nie zastanawiałem się nigdy dlaczego. Nie mówię o tym nikomu, choć też nie wiem, czemu to ukrywam. W każdym razie nie lubię ładnych, czystych i wyperfumowanych kobiet. Ani subtelnych i dobrze wychowanych. Wolę, jak są brudne, spocone, włochate pod pachami i wszędzie. Nie mieliśmy już o czym gadać. Wypiliśmy jeszcze parę łuków rumu, zamknąłem tylne drzwi do sklepiku i zabrałem się do Dinorah. Chwyciłem jąza pośladki, przyciągnąłem do siebie i zacząłem całować. Wyraźnie czekała na to, bo westchnęła tylko: No wreszcie! Myślałam, że nigdy się nie zdecydujesz. Spuściłem spodnie. Jej też zdjąłem spodnie i bluzkę. Obmacywaliśmy się przez chwilę, aż w końcu ona wzięła mo jego kutasa, żeby go sobie wsadzić do ust. Ach, ty niechluj! krzyknęła. Masz taką brudną tę laskę. Aż śmierdzi! Ale jaka jest twarda i gruba! I zaczęła mi ją obrabiać. Wtedy postanowiłem zrobić coś, co mi się zawsze podoba. Kazałem jej stanąć tyłem do mnie i pochylić się do przodu, bym mógł jej wsadzić w dupę. Cholernie to lubię. No dobrze. Wypięła się, ale w pewnym momencie nie wytrzymała. Pierdnęła i poczułem

smród świeżego gówna. Zesrała się. Jestem flejtuchem, ale tego było już za dużo. Wściekłem się. Kutas z miejsca mi opadł i wrzasnąłem: Zesrałaś się! Masz pełno gówna w dupie! Ja?! Tak, kurwa, ty! Jesteś świntucha! A ty nie? Kazałeś mi obciążać tego śmierdzącego kutasa. To nie to samo. Jak to nie? Pomacaj się po dupie, to zobaczysz. Znalazł się delikatny! Już zwiśł kutasik! Urodziłeś się nad Quibń, nad tą gnojówką więc nie udawaj takiego wrażliwca! Ale nie mam zafajdanej dupy! Rum robił swoje, więc temperatura rosła. Zwyzwaliśmy się od ostatnich. W końcu wyrzuciła mnie ze sklepu i powiedziała, bym się jej nie pokazywał na oczy. Poszedłem. Wyniosłem się w ogóle z El Palenque, bo Dinorah zna różne sposoby i bałem się, że w końcu rzuci coś na mnie i mi zaszkodzi. Wtedy zająłem się czymś dużo łatwiejszym i bardziej dochodowym. Zacząłem żyć z próchna. Ale wyłącznie z żeńskiego. Z takich starych turystek. Pedalów nie trawię. Autentycznie. Gdy tylko mnie taki zaczepi, to mi się coś robi w żołądku i chętnie bym mu dokopał. Ze starszkami jest całkiem inna sprawa. Niektóre są nawet interesujące. Sam biznes jest prosty. Wkładasz podkoszulek koniecznie bez rękawów, żeby pokazać muskuły idziesz pod hotel, opierasz się o mur i już. Forsiaste starszki zlatują się jak muchy do miodu. Są takie, które wołałyby Murzynów, ale się ich boją. Myślą że każdy czarnuch to na pewno złodziej lub morderca. Aja to wykorzystuję, by zdobyć klientelę: Och, tak! Czarni to kryminaliści. A do tego cholernie brutalni. Biją kobiety, bo takajuz mają naturę. Nie, nie, nigdy z nimi nie chodź. Za duże ryzyko. Mogą cię zamordować. Poza tym mają tak ogromne laski, że wszystko ci w środku rozwalą. Będiesz leżeć zakrwawiona w łóżku, a oni tymczasem obrobiją cię do czysta. Znam mnóstwo kobiet, którym się to przytrafiło. Biedne starszki patrzą na mnie ze zgrozą i wierzą w każde moje słowo. Potem proszą mnie o numer telefonu, bo chciałyby go podać swoim przyjaciółkom, które też się tutaj wybierają z wycieczką. Te stare są jakby z innego świata. Nic nie wiedzą rzeczywistości. Wydaje im się, że każdy ma telefon, samochód i codziennie je befsztyki na obiad. One są po prostu głupie. A może tylko niewiarygodnie naiwne. Nie wiem, w każdym razie było to zabawne i nieźle mi się wtedy żyło. W końcu to jest najważniejsze. Czasami jednak trafiały mi się rupiecie mocno już zniszczone przez czas. Wtedy człowiek musi być artystą. Prawdziwym artystą. Musisz zgasić światło, zasunąć firanki, puścić muzykę, łyknąć sobie rumu i wyteńczyć wyobraźnię. Zamykasz oczy, myślisz O jakiejś innej ładnej dupci i wtedy już możesz. Zimne piwo każdy urnie wypić. To żadna sztuka. Problem jest dopiero z tymi steranymi przez lata starszkami, które są jak ciepłe piwo. Och, życie! Jakie ty jesteś okrutne wobec tych biednych starszek! Bezlitośnie przepuszczasz je przez swój młynek i przerabiasz na trzeciej klasy mielonkę.

Ale miałem też fajne starszki. Na przykład taką Dmę Peralto. Chciała, żebym się nauczył włoskiego i pojechał z nią do Florencji. Zupełnie oszalała na mym punkcie. Na twarzy miała tysiące zmarszczek i wszędzie z sobą nosiła tuzin słoiczków z kremami. Jadła tylko marchewkę i ciemny chleb, ja natomiast codziennie zżerałem na obiad dwa ogromne befsztyki. Patrzyła na mnie rozmarzonymi oczami i sama za wszystko płaciła. Nic nie wiedziała o życiu i wszystkim, co jej robiłem, przyjmowała z prawdziwym zachwytem. Niewiarygodne, ale szparę miała wciąż różową, wilgotną i ciasną jak u młodzianki dziewczyny. Pachnącą i apetyczną. Powód był prosty: jej mąż, kiedy umarł, miał dziewięćdziesiąt trzy lata, a ona dopiero niedawno skończyła siedemdziesiąt jeden. Opowiadała mi o swoich podróżach po świecie, o tym, jak dobry był dla niej jej małżonek i jak zawsze powtarzał: Ja się o wszystko zatroszczę, a ty graj sobie w brydża i w golfa. Nazywała mnie swoim makiawelicznym gigolo. Ciągle mi tak mówiła, ale nigdy nie chciała powiedzieć, co ma właściwie na myśli. Spędziliśmy razem ponad miesiąc, a potem bye, bye i koniec. Tak to jest w tym biznesie. No i dobrze. Z taką starszką da się wytrzymać przez tydzień. Po miesiącu nic, tylko się pociąć.

Dla mnie był to czas obfitości. Jadłem do syta i codziennie mogłem się napić. Palilem dobre papierosy. Miałem forszę, a w głowie mnóstwo nowych pomysłów i rojeń. Jedynym problemem była policja. Pewnego dnia trochę się zagalopowałem. Było nas dwunastu lub trzynastu facetów i staliśmy na ulicy na tyłach hotelu Noiba. Zajechał swoją taksówką Chiquitico. To taki nasz kumpel i mieliśmy z nim układ: od zwycięzcy konkursu brał dwadzieścia zielonych. Z taksówki wysiadła starsza pani. Bardzo elegancka, w naszyjniku z pereł. Od razu było widać, że jest to osoba, która nie znosi sprzeciwu. Bez pośpiechu zaczęła się nam przyglądać. Chciała dobrze wybrać. W takich sytuacjach zwykle pokazuje się towar, żeby klientka wiedziała, co zabiera do domu, i żeby później nie było reklamacji: za mały, za duży, za cienki albo za gruby. No więc wyjęliśmy nasze instrumenty i zaczęliśmy je trochę trzepać, żeby nabrały odpowiednich rozmiarów. Akurat wtedy policja urządziła kocioł. Kilkunastu gliniarzy po cywilnemu zasadziło się w okolicy. Zablokowali nas i zgarnęli. Chcieli mi wrzepić pięć lat. Za ekshibicjonizm, obrazę moralności publicznej i napad na cudzoziemkę. Uff! Na szczęście, miałem kilka dolarów i poszukałem sobie dobrego adwokata. Skończyło się na dwóch latach.

No i siedzę. Jestem potulny jak baranek, szyję materace i myślę, że lada dzień mnie zwolnią za dobre sprawowanie. Najgorsze, że nici z mojego biznesu. Koniec z próchnem. Już nie będę mógł z niego żyć. Gdyby znów mnie złapali, byłbym recydywistą. Starsze panie będą musiały się obyć beze mnie. Stracą mnóstwo wrażeń

z Kuby. Trudno. Takie jest życie. Jestem już za stary, by ryzykować dziesięć lat w więzieniu. Jeszcze pomyślę, co będę robić, kiedy mnie wypuszczą. Całkiem fajna jest ta robota przy materacach. Daje kilka peso, a człowiek się nie naharuje. Poza tym uczę się robić tatuaze. Z tego też jest trochę forsy. Nawet nieźle mi wychodzą. Ludzie są za dowoleni. Na razie muszę jednak siedzieć w jednej celi z Basiliem, z tym idiotą który cały czas wydlubuje sobie brud spomiędzy palców. Czekamy, aż nam powiedzą czy przyjechał beczkowóz i możemy wziąć kąpiel, czy też mamy iść brudni i śmierdzący na kolację do kantyny. Wszyscy mamy świerzba i wszyscy jesteśmy zawszeni. No może nie wszyscy, bo ja coś tam zarabiam na tatuazach i zawsze mam mydło. To jest właśnie więzienie. Dni mi jają powoli i każdy drobiazg jest ważny. Basilio przynajmniej lubi gadać i mam z nim jakąś rozrywkę. Większość życia spędził w więzieniach. Za kradzież koni. Pierwszy raz złapali go, gdy miał szesnaście lat. Dostał cztery lata poprawczaka. Wyszedł i dalej kradł konie. Zamknęli go na dwa lata. Potem za to samo dostał jeszcze trzy, a teraz odsiaduje sześć, z których cztery ma już za sobą. Ciągłe narzeka, że nie ma żony ani dzieci i że wszystkie kobiety go oszukują. Na szczęście ma jeszcze matkę. Chyba jednak u niego jest coś nie tak z głową, bo nikt normalny nie kradnie koni dla rozrywki. Gdybyje sprzedawał albo zabił ją na mięso, to jeszcze bym rozumiał, ale kraść konie, żeby się powysicigować i porobić parę zakładów? Nie, on musi być mocno szurnięty. W przyszłym miesiącu może mnie wypuszczą, bo odsiedzę już cztery lata. I co będziesz robić, Bas ilio? Daj spokój koniom, nie pchaj się już w to gównno. Nie. Mówiłem już matce, że chcę kupić wóz i konia. Będę woził ludziom różne rzeczy. Ale wóz i koń to kupa szmalu. Skąd twoja matka weźmie na to w tym swoim El Palenque? Moja stara ma kasę. Prowadzi własny biznes. Jaki biznes? Sprzedaje wodę z Quibń? Nie, co ty gadasz! Robi syrop. No tak, z tego może być forsa. Jasne! Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Basilio dalej dłuwał w nogach. Obrzydliwe. Nagle coś mi się przypomniało i powiedziałem bez zastanowienia: To ta syropiarnia Dinorah? Tak. Znasz ją? Coś o niej słyszałem. Dinorah to moja stara. Jak cię wypuszczą musisz tam pojechać, żeby ją poznać. Tak, tak, pewnie.

DAJ JEJ NOŻEM, STARY

Dwóch typów stanęło pod drzwiami. Zapukali. Betty otworzyła mm, ale zostawiła założony łańcuch. Czego panowie chcą? Pani jest Betty? Tak. Jesteśmy z firmy. Luis mówił, że coś tu trzeba zrobić. Przyszliśmy zobaczyć. Ach, tak, ale... Rzucimy tylko okiem. Jak się umówimy, możemy jutro zacząć. Dobrze.

Betty zdjęła łańcuch. Faceci weszli. Jeden z nich, potężny Murzyn, miał na twarzy bliznę, chyba po nożu. Ktoś go musiał nieźle ciachnąć od ucha aż po górną wargę. Drugi był biały, chudy i nie ogolony. Śmierdział, jakby się nie mył od tygodnia. Obaj mieli przekrwione i obłąkane oczy, ale Betty jest porządną kobietą i o wielu rzeczach nie wie. No więc weszli. Biały zamknął drzwi i założył łańcuch. Murzyn wyciągnął spod koszuli długi wojskowy bagnet. Wypolerowany i lśniący, jakby był ze srebra. Nie tracili czasu. Obezwładnili Betty chwytem judo. O mało co nie złamali jej ręki. Zdarli z niej ubranie i rzucili ją na sofę. Betty jest bardzo biała, grubawa, o miękkim i gąbczastym ciele. Ma czterdzieści jeden lat, ale wygląda co najmniej na pięćdziesiąt. Była tak przerażona, że nie potrafiła wypowiedzieć słowa. Biały nie pozwolił jej nawet drgnąć. Tymczasem Murzyn wyjął z kieszeni kawałek sznurka i związał jej ręce za plecami. Potem spuścił spodnie i przyłożył jej kutasa do ust. Betty zacisnęła wargi i wtedy Murzyn trzasnął ją w twarz otwartą dłonią. Kurwa, otwórz gębę, bo chcę ci go tam wsadzić! To siłowanie się z Betty napaliło go jeszcze bardziej. Kutas twardo mu stanął. W końcu Murzyn zmusił Betty, by otworzyła usta, i wepchnął jej łaskę aż do gardła. Jedną ręką gładził Betty, a drugą rysował nożem cienkie krwawe kreski po jej brzuchu. Kutas tak mu nabrzmał, że Betty zwymiotowała. Murzynowi się to spodobało. Wyciągnął kutasa i jego czubkiem roztarł wymioty po twarzy i po włosach Betty. A teraz rozłóż nogi, stara kurwo! Zobaczysz, jak ci będzie fajnie. Zwalił się na nią i wpakował jej kutasa w szparę. Betty krzyknęła z bólu, ale Murzyn dał jej parę razy w gębę, więc zamilkła. Starła się wytrzymać w ciszy. Nagle poczuła, jak na jej twarz spadają jakieś gęste i ciepłe krople. Biały od dłuższego czasu masturbował się nad nią i teraz właśnie wytrysnął. Miał cholernie dużo spermy, więc zalał jej całe oczy i włosy. Wtedy Murzyn naprawdę się nabuzował. Sapiąc i gryząc piersi Betty, spuścił się na nią aż do końca. Przez chwilę Betty myślała, że jej serce tego nie wytrzyma. Że po prostu stanie. Ale nie. Dygotała z bólu i ze strachu. Wszystko w środku ją bolało. Miała wrażenie, że ktoś jej młotkiem wbił ją w pochwę klm. Murzyn wstał. Spodnie wciąż miał opuszczone i widziała tę jego potworną i teraz już zwisającą bestię. Wziął bagnet i dźgnął nim Betty w szparę między rozwartymi nogami. Betty znów zaczęła krzyczeć. Kurwa, nie krzycz, bo ci go wsadzę aż po trzonek. Ale mam na to ochotę...! Rozpruję ci ten tłusty brzuch... Mów, gdzie są pieniądze. Ach, nie! Ja nie mam pieniędzy! Biały wsadził jej w pochwę palce, a potem caładł. Brutalnie i z wściekłością. Potem zwinął dłoń w pięść i mocno pechnął, uderzając Betty w jajniki. Mów, gdzie są pieniądze, ty tłusta starucho! Mów, bo cię zabiję! Betty dostała krwotoku. Musieli coś jej w środku uszkodzić. Nie wiedziała, czy to zrobił Murzyn czy ten biały, który z

wyraźną satysfakcją wpychał jej pięść w macicę i cieszył się widokiem krwi. Betty związała się z bólu. Słuchaj, stara kurwo, mów zaraz, gdzie są pieniądze. W kuchni. W malakserze. Murzyn poszedł do kuchni. Wrócił z plikiem banknotów po pięćdziesiąt i po dwadzieścia peso. Przeliczył je. Było ich dużo. Wsunął pieniądze do kieszeni. Na sofie tymczasem powiększała się czerwona plama. Betty drżała, a spomiędzy jej ud płynęła strużka krwi. Daj jej nożem i chodźmy powiedział biały. Co ty? Dureń jesteś? Po co mamy się śpieszyć? Może coś tujeszczce jest. Słuchaj, stara, gdzie jest biżuteria? Nie mów, że jej nie masz, bo ci cyce obetnę. I znów ją zaczął kłuć bagnetem. Tym razem w piersi, w szyję i w twarz. Ostrze wbi jąło się w skórę i pozostawiało drobne ranki. Bolesne i krwawiące. Nie, ja nie mam żadnej biżuterii. Kto cito powiedział? Mam tylko te pieniądze. To wszystko, co mam. Głos Betty drżał. Całe jej ciało drżało, gdy tak leżała skulona na sofie, a krew z jej wnętrza płynęła coraz szybciej i rozlewała się w szeroką kałużę. Nic już jej nie bolało. Strach ją zupełnie znieczulił. Jej mózg zdawał się pływać wjakiejś gęstej cieczy. Prawie nie myśląc, wybelkotała: Jak mój mąż wróci, to was zabije. On jest z policji. Wyszedł po papierosy. Zaraz wróci. Zastrzeli was. Twój mąż to gliniarz? zapytał Murzyn. Tak. Zabije was. Idźcie sobie! Teraz oni zaczęli drzeć. Byli wystraszeni. Da nożem, stary, i spływajmy stąd powiedział biały. Dureń jesteś, już ci mówiłem. Przecież tu wszędzie są moje odciski. Murzyn wziął z podłogi bluzkę Betty i poszedł do kuchni. Starannie wytarł malakser i oparcie krzesła. Wrócił. Był cały rozdygotany. Nogi drżały mu ze strachu. Daj jej nożem, mówię ci. Daj jej nożem, bo ta stara nas rozpozna. Drżącą ręką Murzyn przyłożył Betty nóż do gardła. Słuchaj, starucho, nikomu ani słowa, rozumiesz? Bo wrócę i cię potnę na kawałki. Rób z siebie idiotkę, wymyśl coś, ale nigdy nas nie widziałaś. Nas tu nie było. Po co tyle gadać, stary! Daj jej nożem i spokój. Murzynowi coraz bardziej drżała ręka. Ty jej daj! Co to, wszystkie trupy muszą iść na moje konto? Masz. Ciachnij ją i pójdziemy. Chciał podać białemu bagnet. Nie, nie, ja nie! Ty to zrób. Pośpiesz się. Daj jej nożem i znikajmy, bo wszystko się pokomplikowało. Murzyn schował nóż. Zdjął łańcuch i otworzył drzwi, dotykając je przez bluzkę Betty. Wyszli. Przerazona Betty została sama. Leżała na sofie i wciąż krwawiła. W sąsiednim domu był przytułek dla starców. Jakiś sklerotyk wołał bez przerwy: Rosa, Rosa, Rosa, Rosa. Betty słyszała go przez uchylone drzwi. Jej myśli zaczęły niezbornie krążyć wokół tragedii tego nieszczęsnego starca, który co wieczór powtarzał swą rozpaczliwą litanie. Pomału przestała ją słyszeć. Kiedy odzyskała świa domość, była już noc. Przestała się bać. Była spokojna. Krew, która płynęła z jej pochwy, zdążyła już zakrzepnąć na sofie. Betty była bardzo słaba. Próbowwała wstać, ale nie mogła. Ręce miała wciąż związane za plecami. Ostrożnie stoczyła się na podłogę. Z trudem stanęła na nogi. Wszystko dokoła niej wirowało. Oparła się o ścianę i znów ogarnął ją lęk. Panika. A jeśli wrócą? Przecież mogąwrócić i zarznąć jąnożem, żeby nikomu nic nie powiedziała. Wokół była cisza. Głucha cisza. Przewyciężywszy strach i mdłości, wyszła z mieszkania. Plecami oparła się o drzwi sąsiada i zaczęła w nie kopać. Była bosa, naga i nie miała sił. Walała w drzwi piętą. Jej sąsiadem był taki staruszek, który mieszkał sam, podobnie jak ona. Mi jały minuty. Chyba już spał. W końcu podszedł do drzwi i zapytał, kto tam. Ostrożnie je uchylił. Betty opowiedziała mu o wszystkim. Była trzecia w nocy. Dziewięć godzin leżała nieprzytomna. Teraz też jej się zdawało, że lada moment zemdleje. Stary rozwiązał jej ręce, zaprowadził z powrotem do mieszkania i położył na zakrwawionej sofie. Powiedział, że pójdzie po lekarza. Srał w portki ze strachu, ale trzymał fason. Ostrożnie wyszedł na ulicę, stanął na rogu i czekał. W końcu pojawił się radiowóz. W chwilę później wycie policyjnych syren obudziło całą dzielnicę. Przyjechali detektywi z psami. Zabrali Betty do szpitala, podłączyli jądo kroplówek iw końcujakoś z tego wyszła. Opisała obu facetów i policyjny technik zrobił ich portret pamięciowy. Po tygodniu Betty wróciła do domu. W nocy nie może spać i jest przekonana, że tamci dwaj znów do niej przyjdą. Już dwa razy zaczęła ją na ulicy jakaś kobieta i wyszeptala jej do ucha: Przecież ci mówili, żebyś nikomu się nie wygadała. Teraz obetną ci język. Potem odwracała się i odchodziła. Z każdym dniem Betty puszczają coraz bardziej nerwy. I nie wie, co ma robić.

UCZEŃ

Okropnie wiało z południa. Wilgotny i gorący wichur wzbi jał tumany kurzu, przez co ogólny brud wydawał się jeszcze większy. Luisito nie mógł znieść duszącego upału, jaki panował w mieszkaniu. Irytowała go głupota matki, która potrafiła mówić tylko o kościele, Bogu i grzesznych ludziach, oraz ojciec wiecznie uciekający na taras do swoich kur i gołębi, żeby nie słuchać tych idiotyzmów. Teraz akurat matka zasnęła. Była cisza, ale upał nadal przytłaczał. Luisito czułjakiś niepokój. Zszedł na ulicę. Zaniosta go aż na Malecon. Usiadł na murku twarzą do morza. Była błękitna noc z księżycem w pełni. Daleko na północy wisiały ciężkie burzowe chmury rozświetlane co chwila elektrycznymi wyładowaniami. Widać było tylko bezgłośnie błyski, które sygnalizowały odległą nawałnicę. Zawsze gdy Luisito siedział tak nocą na Maleconie, myślał o swoich trzech braciach i ogarniała go coraz większa melancholia. I oto nagle czuje, jak ktoś łapie go z tyłu za kark. Jacys ludzie szarpia

go i zaczynają bić. Dokoła nie ma żywej duszy. Luisito krzyczy. Tamci dalej go biją. Po głowie, po plecach, wszędzie. Spuszczają mu porządny łomot. Dość, dość, przestańcie, to pomyłka! Za co?! To nieja! Ty, ty, skurwysynu, i wiesz, za co! Przystają go bić, za to jednym szarpnięciem obracają go do siebie, rozdzierając mu przy tym koszulę. Felipito i Szyjka. Dwa takie same głodomory jak on. Przyjaciele z dzieciństwa, bawili się razem z nim na ulicy. Kurwa, przecież jesteśmy kumplami! Szyjka, co jest? Znamy się od urodzenia! Ty nie jesteś żadnym moim kumplem. Moim kumplem jest Kozioł. Ja nie mam kumpu wśród takich gnojników jak ty. Dobra, Szyjka, nie gadaj. Nie rób z siebie gangstera, bo sam też jesteś zwykłym gównojadem. Może kiedyś nim byłem, ale teraz mam kupę szmalu i pracuję dla Kozła. I masz do mnie mówić z szacunkiem. Felipito przytrzymał Luisita od tyłu, a Szyjka z całej siły dał mu pięścią w brzuch. Luisito zgiął się z bólu. Pociągnięciem za kołnierz Felipito kazał mu się wyprostować. Luisito, nie chce mi się dużo gadać. Jesteś winien Kozłowi siedem dolarów i czterdzieści centów. Jutro przyjdiesz i dasz je mnie, bo Kozioł nie chce nawet cię widzieć. Jutro nie dam rady. Może pojutrze. Nie kombinuj. Przyniesiesz mi je jutro albo dostaniesz w łeb gazurką. Dzisiaj to było nic. Jak nie zrobisz, co ci mówię, to się dopiero przekonasz. Dobra, stary, spróbuję... Nic nie spróbujesz. Jutro w zębach przyniesiesz mi forszę. Ach, właśnie: Kozioł mówi, że skończył ci się kredyt. Teraz jak chcesz mieć trawkę albo prochy, przychodzisz z kasą i z rączki do rączki. No to cześć, Luisito, i uważaj, bo u Kozła masz przechłapane. Odwrócili się i poszli. Luisita bolało wszystko. Pomacał się po twarzy i po głowie. Nie było krwi, ale wściekły ból przeszywał go całego. Oparł się o mur i pomyślał: Tak, to prawda. Od trzech lat u wszystkich mam przechłapane. Takie jest życie. Masz pieniądze, masz przyjaciół, ajak nie masz pieniędzy, to każdy kopnie cię w dupę. Łzy zakreśliły mu się w oczach. Pomyślał, że ma prawdziwego pecha, ale powiedział sobie: Nie, Luisito, tak nie można. Musisz być twardy. Musisz zdobyć te pieniądze, bo inaczej te skurwysyny cię zatłuką. Jesteś jeszcze za młody, by umierać. Daleko nad morzem błyskawice wciąż przeskakiwały pomiędzy chmurami. Luisito nagle zapragnął, by spadła potężna ulewa. Żeby chłodny deszcz go odświeżył. Jak znokautowanego boksera, któremu przemywają twarz mokrą gąbką. Nic z tego. Z południa nadął wiał lepki i gorący wiatr. Luisito powlókł się w stronę Starej Hawany. Pomyślał, że jednak będzie musiał zaglądnąć do tego starego pedała i wyciągnąć od niego trochę kasy. Przy okazji napije się dobrego rumu, który postawi go na nogi. Morze było spokojne, bardzo jasne i błękitne. Przy pełni wszystko ładnie wygląda. Niedaleko od brzegu siedmiu facetów łowiło ryby. Pływali na napompowanych dętkach od ciężarówki. To dobry interes, ale moczenie tyłka nocą w zimnej wodzie nie najlepiej wpływa na kości. Ci faceci mało jeszcze wiedzą.

Powoli szedł wzdłuż Malecónu. Jeszcze raz popatrzył na rybaków i przypomniał sobie tratwę, którą zbudowali wspólnie z bratem i pięcioma innymi chłopakami. Było to w sierpniu dziewięćdziesiątego czwartego. Wypłynęli z tego właśnie miejsca o drugiej w nocy. Mieli nawet kompas, by móc trzymać kurs prosto na północ. Po pół godzinie ta ich dzia dowska tratwa zaczęła tonąć. Wtedy jego własny brat kazał mu skakać do wody i płynąć do brzegu. Mówił, że tratwa jest przeładowana. Ktoś musiał się poświęcić i padło na niego. Takie rzeczy zawsze padały na niego. Na koniec zawsze jemu kazali się odpiardolić. Jemu, bo był najmłodszy z całej czwórki rodzeństwa. Minęły już trzy lata. Teraz tamci mieszkają w Neyadzie, a on dalej musi klepać biedę. I ciągle ma pecha. Każdy jego biznes z miejsca robi klapę. Jakby go ktoś zauroczył. Kiedy zamknął oczy i puścił wodze wyobraźni, zemdlilo go. Nie jest łatwo wsadzić kutasa w dupę staremu grubasowi. Najważniejsze, by najpierw wziąć forszę. Skreślił w bok z Malecónu. Poszedł w górę Galiano aż do Trocadero. Potem w lewo i po paru przecnicach stanął przed domem starego. Dokoła nie było nikogo. Odetchnął z ulgą, bo przynajmniej nie naje się wstydu. Zapukał. Po chwili stary wyjrzał przez judasza i zapytał, kto tam. To ja. Nie bój się, otwórz. Ach, chłopcze, wreszcie się zdecydowałeś! Wykrzyknął ra dośnie gospodarz i otworzył drzwi. Był to stary grubas o miękim i obwisłym ciele. Trzysta funtów tłuszczu. Od śmierci rodziców mieszkał sam, był stale wystraszony i w ogóle nie wychodził z domu. Jego spacerki ograniczały się do dwudziestu sześciu metrów powierzchni mieszkania. Żałosny i zarazem komiczny był ten sześćdziesięcioletni tłusciuch, który wdzięczny się i krygował jak stara dziwka. Luisito znalazł jego mieszkanie. Poszedł prosto do kuchni, wyciągnął ze spiżarki butelkę rumu i nalał sobie szklaneczkę. Stary nie odstępował go na krok. Chłopcze, co ci się stało? Jesteś cały posiniaczony. Chodź, zdejmij koszulę, zaraz coś z tym zrobisz. Nie dotykaj mnie, ty stary pedale, bo cię zaraz kopnę! Masz, weź go sobie do gęby i ciągnij. Postaraj się, żeby mi stanął, jeśli chcesz, bym ci go wsadził. Ach, to właśnie lubię u ciebie! Jesteś taki brutal! Nie stanął mu. Luisito był cały zbrzydzone, wściekły na siebie a na dodatek bolały go wszystkie gnaty. Marzył tylko, by wypić do końca rum, zapalić papierosa i skopać starucha. Gniew w nim aż kipiał. Luisito miał ochotę zatłuc tego głupiego pedała i zabrać mu całą forszę. Daj mi dziesięć dolców, bo muszę iść. Za co? Przecież nic nie zrobiłeś. Nawet ci nie stanął. A poza tym nie mam dziesięciu dolarów. Nie mam ani jednego dolara. Co ty sobie wyobrażasz? Musisz trochę popracować. To już przepełniło czarę. Luisito strzelił dwa razy w twarz starucha, który tymczasem zdążył spuścić spodnie. Pod ogromnym brzuchem wisiał

mu kutasik malutki jaku dziecka. Stary wziął go w rękę i zaczął się masturbować. Ach, to jest właśnie to. Bij mnie. Bij mnie po twarzy, a potem mi go wsadź. Luisito poczuł jeszcze większy gniew i obrzydzenie. Teraz już bił go na oślep. Miał lekką erekcję, więc stary od razu to wykorzystał i przyssał się mu do laski. Sobie też cały czas trzepał. Luisito wyrwał mu kutasa z ust, poszedł do łazienki, umył swój instrument i schował go do spodni. W kuchni stary dalej masturbował się zapamiętale i popiskiwał: Chodź, kotku, chodź! Luisito poszedł do kuchni i wziął butelkę rumu. Stary lewą ręką próbował go złapać, a w prawej wciąż trzymał swego fiuta. Luisito wyniknął się i zaczął iść w stronę drzwi. Na antycznym stoliku w salonie stała piękna porcelanowa karocaz czwórkałoni. Musiała mieć sporą wartość. Luisito wsadził butelkę do kieszeni, chwycił w obie ręce bibelot i wyszedł. Stary pobiegł za nim do drzwi. Zdyszany i przestraszony, nie odważył się protestować ani krzyknąć i tylko bezgłośnie szepcąc powiedział: Przyjdź, kiedy chcesz. Przyjdź koniecznie. Zamknął za Luisitem drzwi. Poszukał misternej szkatułki pokrytej wytłaczaną skórą. Wyjął z niej cygaro. Drżały mu ręce. Był zmęczony. Usiadł w fotelu. Oddychał z trudem, brakowało mu powietrza. Zapalił cygaro. Głęboko wciągnął dym w płuca i rozkoszował się nim w ciszy popołudnia. Wciąż jednak był wystraszony. Wziął papier i ołówek. Bezmyślnie i żeby się uspokoić, zaczął pisać:

Łobuz bandyta wrazenie

Kuropatwa drapie

Skarżąc się dlatego właśnie lub bez sensu.

PERWERSJA, DUŻO PERWERSJI

Po południu nie miałem nic do roboty. No dobrze, tak jest u mnie codziennie. Nigdy nie mam nic do roboty. W kieszeni zostało mi pięć peso. Usiadłem na progu i oparłem się o drzwi. Od dawna już nie mogłem się napić, nie miałem pieniędzy i czekałem. Na co właściwie czekałem? Na nic. Czekałem. Tutaj wszyscy czekają. Dzień po dniu. Nikt nie wie, na co czeka. Dni mi jają. I mózg powoli tępieje. To dobrze. Dobrze jest mieć otępiąły mózg, bo wtedy się nie myśli. Ja czasem myślę za dużo i niepotrzebnie wpadam w desperację. Kiedyś studiowałem, byłem zdyscyplinowany, miałem plany na jutro i na przyszły rok. Chciałem zbawiać świat. Później wszystko szlag trafił i wylądowałem w tej norze. Tutaj jedni mają świerzb, inni wszy albo mendy. Nie ma pieniędzy, jedzenia ani pracy. Z każdym dniem jest nas coraz więcej. Pojęcia nie mam, skąd się bierze tylu obdartusów. Ludzie żyją tu jak karaluchy. Po dziesięciu, dwunastu w jednym pokoiku.

Dlatego lepiej jest nie myśleć za dużo i tylko się bawić. Rum, kobiety, maryśka. Od czasu do czasu jakaś rumba. Cała reszta to gówno. Nie warto w nim grzebać, bo śmierdzi. No więc tak właśnie sobie żyłem. Chudy jak szkielet, wygłodzony, ale wciąż tylko myśląc, jak kupić sobie za dwa peso cygaro, zapalić i zapomnieć o wszystkim. Wtedy przyszedł Monino. Co u ciebie, stary? A, nic. Słuchaj, dziś stawiam. Chodźmy gdzieś się napić. Poszedłem z Moninem. Dobrze wiem, czym się zajmuje. Sprzedaje blanty i spidy dla Kozła. Kokę kupują głównie ludzie z Veda do albo z Nowego Veda do. Artyści, muzycy, dyrektorskie synki i inni dobrze ustawieni. Koperta z koką chodzi po sześć albo i siedem dolarów. Kogo na to stać? Jeden joint z maryśką kosztuje dziesięć peso. Sprzedasz dwa albo trzy i już wychodzisz na czysto. Swo jego masz za friko. Kurwa, ale człowiek musi się nakombinować, żeby przeżyć! Poszliśmy do baru na Galiano. Monino kupił całą butelkę. Usiedliśmy na Malecónie i pomału zabraliśmy się do niej. Kupiłem sobie cygaro. Kurczę, ale fajnie. Rum, cygaro, siedzimy sobie na Malecónie, jest chłodno, z tyłu mamy morze. W złocistopomarańczowym świetle popołudnia na redzie stoi jacht. Biały, ogromny, trzymasztowy. Luksus. Łe Posant. Czeka na pilota, żeby wejść do portu. Muszą być na nim same grube ryby. Co najmniej pięćdziesiąt. Chyba jednak warto mieć pieniądze, i to nie tylko tyle, ile jest konieczne. Trzeba mieć nadwyżkę, żeby na przykład kupić sobie jacht i pływać po Karaibach. Burbon, prażone migdały, a do tego jeszcze jakaś szczupła i piersiasta babka. Kurczę, ale fajnie. W ten sposób człowiek nawet nie wie, że tam na brzegu ludzie gnieźdzą się jak karaluchy. Nie. Z jachtu widać tylko palmy, złociste popołudnia i piękne plaże z turkusową wodą. Wchodzisz na pokład, masz forszę i zapominasz o wszystkich świństwach, jakie w życiu zrobiłeś, o ludziach, których rozgniołeś, żeby tylko napęłnić sobie kieszeń. Tak to jest. Pieniądze przyciągają pieniądze, a z biedy jest tylko jeszcze gorsza bieda. Byłem głodny, ale o tym można zapomnieć, gdy jest rum. Skończyliśmy butelkę i dopiero wtedy złapaliśmy naprawdę dobry nastrój. Nie byliśmy nawaleni. No, może trochę. Monino to mój kumpel. Nieraz mi już pomógł, więc zacząłem go przekonywać, że powinniśmy razem otworzyć wytwórnię materacy. Nauczyłem się je robić w więzieniu. Dwa lata się tym zajmowałem i nawet nieźle mi szło. Robota jest łatwa, ale gdzie tam! Monino nie chce o tym słyszeć. Jemu wystarcza trawka i prochy. Stary, daj spokój. Ja się do tego nie nadaję. Chodź, przypalimy sobie. Mam akurat dwa jointy. Dwa? Stary, bracie, jesteś kochany! Chodźmy do mnie na dach. Była już noc. Nikt nas nie widział, kiedy wychodziliśmy na dach. Na górze jednak zastaliśmy Jorgita, który wytrwale trzepał sobie konia. Gapił się na jakąś parę, która w sąsiednim budynku pieprzyła się przy otwartym oknie. Prawie nic nie było widać. Jorgito

mówił, że widzi. Poprzyglądaliśmy się chwilę, ale naprawdę niewiele zobaczyliśmy. No dobra, daj już spokój swojemu kutasowi powiedziałem. Chcieliśmy tu trochę posiedzieć. Najpierw zapaliliśmy jednego jointa. Do spółki. Zaciągaliśmy się powoli i głęboko. To była dobra trawka. Prawdziwy skun. Miałem już dość, ale Monino uparł się, by zapalić drugiego. Ujarałem się. Gdy człowiek jest głodny, to taka mieszanka rumu, tytoniu i trawki może go załatwić na amen. Przysnąłem. Obudziłem się, gdy Monino zaczął mną potrząsać. Hej, chcesz tu zostać? Chodź, zaprowadzę cię do łóżka. Nie, później pójdę. Kręci mi się w głowie. No dobra, ale jaja idę. Zobaczymy się jutro. Jak będziesz chciał się bawić w te twoje materace, to ci pożyczę trochę forsy. Jutro jeszcze o tym pogadamy. Znow na pół usnąłem. Po chwili się obudziłem. A może nie po chwili, tylko po paru godzinach. Nie wiem. Kutas stał mi sztywno jak patyk. Już od kilku dni nie miałem kobiety, a na dodatek zawsze, gdy odpocznę, to się od razu napalam. Wystarczy, że mózgowi dam trochę luzu, i już jestem gotów. Mogę strzelać. Byłem sam na dachu. Poszedłem do miejsca, gdzie przedtem stał Jorgito. Cholera, zamknęli okno. Ciągłe się czułem na rauszu. Zlazłem z dachu. W całym domu była cisza i spokój. Musiało być już późno. Zobaczyłem tylko Esther, która siedziała na podłodze przed drzwiami swego mieszkania. Esther ma jakieś pięćdziesiąt kilka lat, a może nawet sześćdziesiąt. Jest okropnie gruba. Ma szeroki zad i ogromne obwisłe piersi. Jest wesołą i wrzaskliwą Murzynką. Urodziła chyba tuzin dzieci. We wszystkich możliwych kolorach. Mnie nigdy nie przyszło do głowy, żeby się przespać z tą grubą staruchą. To nic fajnego. Nikomu by się nie podobało. To byłoby, jakby pieprzyć się z żółwiem. Ja zawsze lubiłem szczupłe, wesołe dziewczynki o twardym i jędrnym ciele. Teraz jednak byłem napalony i wciąż na niezłym cyku. Esther chyba też. Obok miała butelkę rumu i strasznie się pocila. Powiedz mi lepiej, białasie, co ty robiłeś tamo tej porze na dachu? Co znow kombinujesz? Nic. Popiliśmy trochę z kumplem i zasnąłem. Kotku, jest już druga w nocy. Kto ci w to uwierzy? A potem macie kłopoty z policją. Och, stara, nie pierdol. Stara jest twoja babka. Ja, stara? Masz, łyknij sobie, to cię postawi na nogi. Napilem się z nią. Promile znow mi skoczyły i straciłem kontrolę nad sobą. Kutas na nowo mi zeszywniał i zacząłem go sobie pocierać przez spodnie. Lubię napalać tak babki. One też to lubią, choć czasem udają wstydnisie. Każda kobieta chętnie popatrzy, jak przy niej facetowi staje. Stara czarnucha chyba na to właśnie czekała. Nabuzowałeś się, kotku. Położyła mi rękę na lasce i ścisnęła. Psiakrew, ale twarda bestia! Szuka dziury. Wyciągnęła mi kutasa ze spodni i wsadziła go sobie do ust. Nie ma co, trafiłem na prawdziwą ekspertkę. Weszliśmy do jej mieszkania i przez godzinę leżałem na górze ciepłego i wilgotnego ciała. Oboje strasznie się pociliśmy, czasami brakowało nam tchu. Ale podobało mi się. Naprawdę mi się podobało. Ona miała chyba pięćset orgasmów i cały czas powtarzała: Och, tak, białasie, głębiej. Chcę się poczuć jak suka.

Gdy wreszcie się w nią spuściłem, chciałem już tylko spać. Zasnąć od razu w jej łóżku. Przyduś mnie tymi cycami... powiedziałem. Och, jak ja lubię ten ciężar.

Ona śmiała się i kładła swe ogromne piersi na mą twarz. Czułem na sobie jej miękkie i spocone brzuch. Niemal kwiczałem z rozkoszy. Aż w końcu zasnąłem. Nie mogłem już dłużej.

TRUDNA NOC

Clotilde cały dzień przesiedziała w bramie swego domu, ale nie sprzedała nic. Obok niej leżały dwie paczki papierosów, kilka cygar, trzy oryginalnie zamknięte torebki z rozpuszczalnym ekstraktem malinowym, cztery szczoteczki do zębów w celofanowych opakowaniach i dwa pęczki młodej cebulki. Wszystko dużo tańsze niż w dewizowych sklepach.

Był już prawie wieczór. Gdy nic nie udawało się jej sprzedać, Clotilde wpadała w depresję. Większą niż zwykle. Od lat miała ciągle depresję. Wszystko zaczęło się psuć w kwietniu osiemdziesiątego roku, kiedy jej mąż pojechał do Marielu pogapić się na amerykańskie jachty, które całymi chmurami przyplływały i wypływały z portu. Wpadł w zachwyty i zapomniał o wszystkim. Zabrał się na jednym z tych jachtów i po sześciu godzinach był już w Miami. Później nie dał znaku życia. Ktoś kiedyś mówił Clotilde, że jej mężowi nieźle się powodzi i że mieszka w New Jersey. Ich dziecko miało wtedy pięć lat. Odtąd Clotilde skoncentrowała się wyłącznie na nimi na oczekiwaniu jakichś wieści od męża. Ale Hawana Centrum nie jest najlepszym miejscem na wychowywanie dzieci. Chłopak rzucił szkołę. Pracował tu i tam, przeważnie nie pracował. Pewnego dnia przyszedł do domu z drewnianym kuferkiem pełnym magicznych przyborów: kości do gry, podwójnych lejków, specjalnie spreparowanych butelek i kapeluszy z drugim dnem. Na kufierku były wymalowane srebrne gwiazdki i napis: Czarnoksiężnik Cherry. Ćwiczył całymi dniami. Chciał być magikiem w cyrku i robić sztuczki. Był szybki i zręczny, ale brakło mu czasu. Pewnego popołudnia pod koniec sierpnia dziewięćdziesiątego czwartego roku przeszła przez Malecón, przed ich domem, ogromna antyrządowa manifestacja. Zamieszki trwały dwa dni, a potem już każdy klecił z byle czego tratwę i uciekał. Chłopak też to zrobił pewnego dnia o świcie. Miał wtedy dziewiętnaście lat i wszystkim swoim kolegom mówił: Mój stary ma w Stanach własny biznes. Nieźle mu idzie.

Tam dopiero będę miał życie. Z nikim się nie pożegnał. Wszystko zrobił po kryjomu, jak zwykle. Ktoś mówił Clotilde, że widział go, jak wiosłuje na tratwie, oddalając się od brzegu. Potem nic już o nim nie słyszała. Nie wie, czy dopłynął, czy też po drodze zjadły go rekiny. Ciągłe jednak skrupulatnie liczy. Minęły trzy lata. Jej syn w czerwcu będzie miał dwudzieste drugie urodziny. Czasem Clotilde ma ochotę się zabić. Myślała już o pigułkach, o tym, żeby się połać spirytusem i podpalić albo żeby się po prostu powiesić. Brakuje jej odwagi. Boi się. Ale wie, że to tylko kwestia czasu. Kiedyś w końcu się odważy. Próbowwała już wszystkiego. Chodziła do kościoła. Modliła się. Starła się znaleźć jakąś pracę, ale pracy nie ma. Tym bardziej dla takiej wychudłej, brudnej i źle ubranej staruchy o przegniłym oddechu. Codziennie się upi ja. Nie myśli o jedzeniu. Ważny jest tylko alkohol. Zapadła już noc, jest ciemno i Clotilde w końcu podejmuje decyzję. Zbiera swój towar. Idzie w górę po schodach, które śmierdzą moczem i zastarzałym gównem. Bierze butelkę z domowym rumem i długo ciągnie z gwinta. Jest ciemno i cicho. W kącie stoi ten cholerny kuferek czarnoksiężnika Cherryego. Clotilde płacze. Płacze z żalu nad sobą. Jest na siebie wściekła. Nienawidzi się. I płacze coraz bardziej. Jej dom stoi na rogu Malecónu i Campanario. Jest mocno zniszczony przez wiatr, sól, czas i zaniedbanie. W ceglanych murach widać wielkie dziury. Sufity i ściany są splekane. Kilka dni deszczu przy północnym wietrze i wszystko się zawali. Ale wciąż mieszka tutaj kupa ludzi. Nikt dokładnie nie wie ile. Jedni przychodzą, inni się wyprowadzają. Kilka żarówek daje słabe i żółtawe światło. Dalej jest mroki cisza. Wszyscy mieszkają tutaj nielegalnie. Beznadziejnie przesuwiają się pod ścianami jak karaluchy. Nie chcą żeby ktoś ich widział. W każdej chwili może wpaść policja, wygarnąć ich i deportować na wschód, do miejsca, gdzie się urodzili. Albo zabrać do przytułku gdzieś na obrzeżach Hawany. Do dwóch sal z pryzkami. Jednej dla mężczyzn, a drugiej dla kobiet. I cóż mieliby tam robić? Daleko od Hawany, czym mogliby handlować? Tutaj jest lepiej. Nawet gdyby cały dom miał runąć i pogrzebać ich pod gruzami. W pokoiku obok mieszka inny samotny lokator. Też lubi rum. Czasem piją razem. To taki stary Murzyn, brudny, nigdy się nie goli. Nie pamięta, kiedy ostatni raz się kąpał. Clotilde puka do niego do drzwi i zaczynają pić. Wtedy ona zawsze i w kółko powtarza mu swoją historię. On milczy. Nigdy nic jej nie mówiło sobie. Żyje sam, jest głodny i brudny. Słucha w milczeniu i pije. Clotilde nawet nie wie, jak się jej sąsiad nazywa. Tej nocy jednak przemówił: Przez całe lata czekałem na Robespierrea. Teraz już nie czekam. Skończyło się. Kto to jest Robespierre? Twój syn? Och, napij się rumu i nie pierdol. Życie mnie zniszczyło. Tak to jest. Albo życie cię niszczy, albo ty sama niszczysz swoje życie. Słuchaj, stary, dla mnie już wszystko przepadło. Życie zniszczyło twą dumę. Sraj na dumę i niczego się już nie spodziewaj. I co mam robić? Zbierać rzeczy po śmietnikach? Tak jak ty? Mam się grzebać w gównie? A dlaczego nie? Nie można być dumnym. Duma człowieka zabi ja. Ty jesteś stary dziad. I na dodatek czarny. A ty jesteś stara dziadówka. I na dodatek biała. Dlatego nic nie wiesz. Coś takiego! Murzyni wiedzą więcej? Jasne. Wiemy więcej. O wszystkim. Ach, idź do diabła! Clotilde bierze butelkę. Na dnie zostało jeszcze trochę rumu. Wychodzi, ale nie chce być sama u siebie w pokoju. Siada na podłodze w korytarzu twarzą do ogromnej wyrwy w ścianie. Patrzy przez nią na ciemne morze. Jest głucha noc. Na Malecónie prawie nie ma ruchu. Słychać tylko fale, które uderzają o skały i rozpylają sól na całe miasto. Clotilde pije i nie myśli o niczym. Przez te wszystkie lata nauczyła się pić, nie myśląc. Z kompletnie wyzerowanym umysłem.

SZCZURY KŁOACZNE

Miałem paskudną pracę, ale nawet nieźle mi szło. Z kluczem francuskim chodziłem po Hawanie Centrum i czyściłem przewody gazowe. Pewnego dnia wczesnym rankiem musiałem wejść do jakichś ohydnych podziemi, które cuchnęły jak wszystkie tego typu miejsca w naszej dzielnicy. Przegniłe deski, kałuże obrzydliwej cieczy i piekielny smród. Towarzyszył mi jakiś stary brudas, który mówił, że jest gospodarzem domu. W piwnicy brakowało żarówek, a my nie mieliśmy laterek, więc stary przyświecał mi zapalkami. Człowieku, trzeba poszukać żarówki. Jak tak dalej się będziesz bawił zapalkami, to wylecimy w powietrze. Nie, nic się nie stanie. Jak to nic się nie stanie? To jest moja praca i wiem, co mówię. Chłopcze, daj spokój, trzeba tylko przetkać te rury. Nie będę gadał z jakimś starym durniem. Ja stąd idę. Byliśmy na samym końcu piwnicy. Obróciłem się i po omacku chciałem dojść do drzwi. Nastąpiłem na jakieś spróchniałe deski i nagle spod nich wyskoczył szczur. Któraś z desek musiała go przygnieść, bo zaatakował. Gwałtownie i z wściekłością. Poczulem na ciele jego zęby i pazury. Ugryzł mnie w brzuch, w pierś i w szyję, podrapał po twarzy i uciekł. Nie miałem czasu, by zareagować. Nigdy jeszcze nie czulem na sobie czegoś tak ohydneho. Cholernie mnie bolały te wszystkie ukąszenia i zadrapania. Wystraszyłem się. Pobiegłem do drzwi. W panice i na oślep. Stary nie wiedział, co się stało, i został gdzieś daleko z tyłu. Dopadłem do drzwi. Wybiegłem po schodach i w końcu ujrzałem światło dzienne. Szczur ugryzł mnie jeszcze w lewe ramię, które cholernie mnie bolało i krwawiło. Na dodatek całe było pokryte jakimś kłoczonym brudem. Kurwa, cały dzień spieprzony.

Poszedłem na pogotowie. Poczekałnia była pełna starych mężczyzn i kobiet. Siedzieli na ławkach i smutno czekali na swoją kolej. Zaczęła się scysja. Tłumaczyłem staruchom, że mój przypadek jest nagły i że nie mogę czekać. Od melancholii przeszli do agresji. Zaprotestowali. Mówili, że ich przypadki też są nagłe i że wszystkich obowiązuje kolejka. Była tylko jedna pielęgniarka, która wszystko robiła powoli i z wyraźną niechęcią. Wywarła na mnie fatalne wrażenie. Miała piękne ciało, fajny tyłek, była szczupła i młoda, ale ta jej twarz! Zupełna katastrofa: jak u zniszczonego faceta. Ospowata, Z nosem jak dziobek od czajnika, tłusta i z ropiejącymi pryszczami. Do tego jeszcze rzadkie, brudne i rozczochrane włosy. Zgroza. Koszmarne zwieńczenie doskonałego ciała. Opatrzyła mnie i zaszczepiła przeciw tężcowi. Wszystko jakby z łaski. Mówiła, że jest głodna i że nie miała jeszcze czasu, żeby zjeść śniadanie. A szczepionka przeciwko wścieklicznie? zapytałem. Nie ma. No dobrze, a jeśli szczur był wściekły i mnie zaraził? To niech pan przyniesie zwierzę na obserwację. Ale i tak nie ma szczepionki. Bezceremonialnie obróciła się do mnie plecami i zawołała: Następny! Kurwa! Wyszedłem z ambulatorium. Po dwóch krokach zatrzymałem się. Wetknąłem głowę w drzwi i zapytałem: A czy będzie w jakimś szpitalu? Co? Szczepionka przeciwko wścieklicznie, kochanie. Powiedziałam już, że nie ma. Jakaś stara za mną próbowała weisnąć się do gabinetu, mamrocząc coś pod nosem przeciwko takim, którzy pchają się bez kolejki. Pielęgniarka zdenerwowała się. Proszę pani, niech pani poczeka, aż zawołam. Proszę się nie tłoczyć, bo zaniknę i nikogo już dzisiaj nie przyjmę. I zatrasnę drzwi. Całkiem mi się to nie podobało. W którymś ze szpitali muszą przecież mieć rezerwę szczepionek przeciwko wścieklicznie. Postąpiłem chwilę przed drzwiami ambulatorium. Nie wiedziałem, co robić. Nagle podchodzi do mnie jakiś facet i mówi: Szefie, ile byś za niego chciał? Za co? No za tego francuza. Zupełnie zapomniałem o kluczu. Teraz błyskawicznie przeleciało mi przez głowę, że nie będę przecież przez całe życie łąził po wszystkich śmierdzących piwnicach w Hawanie, żeby wyciągać jakieś brudy z tych cholernych rur. Stary, sto peso i jest twój. Kurczę, to dużo. Nie, to nie jest dużo. Za oryginalny francuski klucz? Takich już od lat nie ma na całej naszej wyspie. To import. Spuść na osiemdziesiąt. Nie. Sto peso. To ostatnie słowo. Ja wcale nie muszę go sprzedawać. Facet w końcu wyciągnął sto peso, dał mi plik banknotów i zabrał klucz. W tym właśnie momencie z ambulatorium wyszła tamta wredna pielęgniarka. Gdy zobaczyła, jak przeliczam forszę, rozbłysnęły jej oczy. No, no, chłopysiu! Jesteś niezłe dziany. Przyjrzałem się jej dokładnie. Boże, co za szkarada! Musiałem jednak rozwiązać swój problem. Pójdiesz ze mną na pizzę? Jasne. Czemu nie? Poszliśmy do baru obok, gdzie zamówiliśmy dwie pizze i jakieś wodniste lody z mango na deser. Kiedy płaciłem, spostrzegłem, że babka nie spuszcza wzroku z banknotów. Nagle doznałem olśnienia. U mnie zawsze tak jest. Nie muszę długo myśleć. W najmniej spodziewanym momencie Changó i Babalń Ayé zawsze wskazują mi właściwą drogę. Kochanie, napiłabyś się ze mną rumu? Nie, nie. Jestem w pracy. Słuchaj, widzisz tę forszę? Chcę ją z tobą przepuścić. No dobrze, a co z tą twoją szczepionką? Po niej nie będziesz mógł pić. Ja nie, ale ty tak. No więc? Kierownik ambulatorium schował gdzieś kilka dawek. To taka żelazna rezerwa. Po ile one są? Och, nie wiem. Mam spytać? Jasne. Wróciliśmy do ambulatorium. Znalazła dla mnie szczepionkę. Czterdzieści peso. Dała mi zastrzyk. Złym wzrokiem popatrzyła na melancholijno-agresywnych staruchów w poczekalni. Powiedziała, że teraz będzie przerwa. Do pierwszej nie przyjmuje nikogo. Wyszliśmy. Cholera jasna, i co ja mam zrobić teraz z tą maskarą? Drogo mnie będzie kosztować ta szczepionka. Stanęliśmy na ulicy. Tutaj w pobliżu nie ma nigdzie rumu. Trzeba pójść do Pompilia. Facet miał całą beczkę rumu. Sprzedawał go po trzydzieści peso za butelkę. Naley mi flaszkę powiedziałem. Weź dwie. Mamy czas. Kupiłem dwie butelki. Chodźmy do mnie do domu. Muszę się przebrać z tego kitla. Mieszkała tuż obok na rogu Malecónu i Campanario, w takim starym budynku, który wyglądał, jakby za chwilę miał się zawalić. W bramie siedziałajakaś baba i sprzedawała papierosy, szczoteczki do zębów i inne tego typu drobiazgi. Clotilde, daj mi paczkę papierosów powiedziała ta moja potwora. Całą? Widzę, że dzisiaj ci się trafiło. Oby tak dalej. Zapłaciłem, choć nie przepadam za papierosami. Ma pani może cygara? Nie, złotko, dzisiaj akurat nie mam. Paskuda mieszkała na drugim piętrze. Sufit w jej pokoju był popodpierany drewnianymi stemplami. Zresztą podobnie było w całym budynku. Przypuszczam, że gdyby usunąć jedną z takich belek, wszystko zmieniłoby się w kupę gruzów. Po zawilgoconych ścianach łążyły stada karaluchów. No więc weszliśmy do jej mieszkania. Pierwszy łyk rumu wypłynął na podłogę. Dla świętych. Następny długo pociągała z butelki, a potem powiedziała: Siadaj. Nie było krzesel. Usiadłem na rozwalającym się wyrku. Dziś rano fatalnie się czułam. Zupełnie nie chciało mi się iść do roboty. Nie gniewaj się, trafiłeś na zły moment. Nic nie powiedziałem. Też bym sobie golnął, żeby jakoś przetrwać te następne chwile z Paskudą, ale nie mogłem. Trudno. Trzeba będzie to przeżyć. Jeszcze raz się napiła i włączyła radio. Grali salsę. Otworzyła okno i w wilgotny półmrok pokoju wtargnęła świeży powiew znad Malecónu. Zapach soli, morza i łagodne światło. A teraz numer specjalnie dla ciebie. Ty to masz szczęście! Zmysłowo tańcząc, zaczęła się rozbierać. To był taki powolny striptiz. Zdjęła kitel i zawiesiła go na ramiączku przymocowanym do belki. Kryjąc za nim twarz, wciąż tańczyła. Kurczę, super! Popatrz, jak wyglądam. Pokazałem jej łaskę, która już od pewnego czasu mi stała. Twarda jak kamień, równe osiem cali. Gruba i żylasta. Trochę zwichrowana w lewo. Och, jak ja lubię na to patrzeć! Nie, nie ściągaj spodni.

Wolę, jak ci tak sterczy. Chcesz się sztachnąć? A masz trawkę? I to jaką! Najlepszą. Z Baracoa. Chodzi po dwadzieścia peso za skręta. Ale ta jest moja własna. Pal, ile chcesz. Wysunęła szufladę z nocnej szafki. Był w niej całkiem spory pakiet. Co najmniej dwa funty. No tak! Teraz to już będzie fajnie. Urządziliśmy sobie orgietkę. Babka dostawała świra, gdy tylko widziała kutasa. Miała dwanaście lat, gdy rum i maryśka zaczęłyja rajcować. Pochodziła ze wschodu, zjakiejs górskiej wiochy. Dwa lata już mieszkała w tej ruderze. W ambulatorium pracowała od niedawna. Ja to rzucę. Wolę sama coś pokombinować. Ale co? Cokolwiek. Mogę pohandlować. Penicyliną, maryśką, rumem, wszystko jedno. Czasem na Malecónie zrobić loda jakiemuś staruchowi. Długo jeszcze się różniliśmy. A ona dalej piła. Teraz nawet mi się podobała. Z początku zamykałem oczy, bo nie mogłem patrzeć na jej twarz. Po dwóch jointach przestała mi przeszkadzać ta jej gęba jak u wielekroć nokautowanego boksera. Pod wieczór mieliśmy już dosyć. Byliśmy głodni. Na nią rum nieźle już zadziałał i właśnie zabierała się do drugiej butelki. Ja oparłem się o parapet i patrzyłem na morze. Zapomniałem o szczurze. Chyba wszystkie ukąszenia zaczęły się już goić. Wiesz co? Chodźmy coś zjeść. Ale wrócimy tu jeszcze, prawda? Mnie ciągle swędzi między nogami. Tak będzie aż do rana. Dobrze, ale teraz ubieraj się i idziemy. I wtedy właśnie ktoś zapukał do drzwi. Jakiś chudy, brudny, niedożywiony i zarośnięty dziadyga. Przez chwilę coś tam szeptał i między sobą. Potem ona podeszła do mnie. Słuchaj, kochanie, wyjdź na moment i poczekaj na mnie na dole. Ale nigdzie nie odchodź. Co się stało? Wiesz, ten stary co jakiś czas do mnie przychodzi. Przynosi mi proszek, olej, mydło... No, rozumiesz, pomaga mi... Poczekaj, aż cię zawołam. Nie, ja sobie idę. Kotku, to nie będzie długo. Jemu nawet nie staje. Nie, nie. Mnie się to nie podoba. Trudno. Musisz się przyzwyczaić. Mam jeszcze kilku takich staruchów. Dzięki nim żyję. Moja pensja z przychodni starcza mi na tydzień. Popatrzyłem na jej twarz. Podobał mi się ten kontrast. Na pół mężczyzna i na pół kobieta. Zszedłem na ulicę. Usiadłem na Malecónie. Byłem zmęczony, głody i na haju. Przed chwilą spuściłem się do końca. A teraz ta dziwka obciąga laskę jakiemuś staremu świntuchowi. Była gorsza niż szczur, który mnie pogryzł dziś rano, ale mimo wszystko podobała mi się. Tak sobie o tym myślałem, kiedy nagle słyszę, jak woła do mnie z okna: Chodź tu! Chodź tu szybko! Pośpiesz się! Była niewątpliwie pi jana, ale na pewno też mocno wystraszona. Wbiegłem po schodach na górę. Stary leżał na podłodze, goły, twarzą do sufitu. Co? Wykitował? Cholera, nie wiem! Co mu zrobiłaś? Nic, zupełnie nic. Trochę się napalił. Chciał mi wylizać. Zawsze to lubił. Dałam mu, a on nagle oczy w ślup i spada z łóżka. Próbowałem gościa podnieść, żeby go z powrotem ułożyć na wyrku, ale nagle coś mi przyszło do głowy. Jesteś pielęgniarką, prawda? Tak. Nie, ja tylko pomagam w ambulatorium. Wszystko jedno. Możesz chyba zobaczyć, czy ma puls i czy w ogóle oddycha. Przykucnęła. Próbowała mu zbadać tętno na nadgarstku, a potem na szyi. Nie. Nic z tego. Nic nie czuję. Matko Boska, on chyba naprawdę umarł! I zaczęła płakać, jak gdyby stary był jej ukochanym dziadkiem. Przestań, nie rycz. Umarł to umarł. Co cię obchodzi ten stary piernik! Ale mnie jest go żal. Daj spokój. Kipnął, jak ci lizał cipę. To chyba fajna śmierć. I co my teraz zrobimy? Ubierzemy go i wyniesiemy na korytarz. A potem sobie pójdziemy. Zaczęliśmy ubierać dziadka. Przy okazji znaleźliśmy u niego w kieszeni osiemdziesiąt peso. Położyliśmy go na podłodze w korytarzu i poszliśmy coś zjeść. Kotku, ty to masz głowę! Umarł? No to co? Niech ktoś inny go znajdzie i się martwi!

WARIACI I ŻEBRACY

Postanowili zgarnąć wszystkich wariatów i żebraków z centrum miasta. Kroiło się coś ważnego. Jakaś historyczna rocznica albo najazd turystów, jak to zwykle w jesieni. Nie wiem. W każdym razie powód musiał być ważny. Ja nigdy nie wiem, co jest ważne. Kiedyś próbowałem tak klasyfikować wszystko dookoła. Pewne rzeczy były ważne, inne nie. Te były dobre, a tamte złe. Teraz już tak nie robię. Teraz jest mi wszystko jedno. No dobra. A więc trzeba było wyłapać wariatów i żebraków. Akurat mnie wyznaczili to zadanie. Mnie i jeszcze paru innym. Kiedy rzuciłem to przetykanie rur, przez jakiś czas nie miałem nic do roboty. No, nie do końca: coś tam musiałem robić, bo ta cholerna Paskuda nie chciała mnie utrzymywać. Dziwka. Gdy zobaczyła, że jestem już spłukany, wywaliła mnie na zbity łeb. I wzięła sobie następnego. I właśnie wtedy zacząłem pracować przy oczyszczaniu miasta. Każdej nocy od dwunastej do ósmej. Oprócz pensji płacili mi ekstra za pracę na nocnej zmianie, za trudne warunki i za szkodliwość dla zdrowia. To ostatnie znaczyło mniej więcej, że zawsze może się zdarzyć jakiś wypadek albo że człowiek po prostu czymś się zarazi. Dobra. Wyciągałem prawie trzysta peso na miesiąc. Tyle co inżynier. Do tego jeszcze dochodziło porządne śniadanie po pracy. Ale cóż: musiałem sam sobie trzepać. Żadna dziewczyna nie chciała się ze mną zadawać. Wszystkie się brzydziły. Mówiły, że śmierdzą gównem i zgnilizną. A to nieprawda. Codziennie się kąpałem. To musiał być jakiś psychologiczny smród. Zawsze gdy im mówiłem, gdzie pracuję, zaczynały się achy i ochy, że niby cuchnę brudem i gnijącym śmietnikiem, że mam pełno gnoju za paznokciami i w uszach. A potem omi jały mnie szerokim łukiem. No i biedny Pedro Juan znów miał tylko swoją własną rękę. Tu nie chodzi oto, że jestem jakoś specjalnie napalony.

Nie, myślę, że jestem normalny. Tyle że gdy nie mam przez kilka dni kobiety, muszę sam sobie przetrzepać. To jest silniejsze ode mnie. Inaczej bym nie wytrzymał. No więc szefostwo wyznaczyło nas czterech. Dali nam płócienne tenisówki, ubrali w szare uniformy i czapki z odznaką państwowych służb sanitarnych. W pracy zwykle byliśmy brudni i obdarci. Całą noc łaziliśmy spoceni w ohydnych postrzępionych gaciach, bez koszuli i w rozlatujących się butach. Szkoda porządnego ubrania, gdy człowiek musi się grzebać w gównie i w cuchnących śmietnikach.

Robota wydawała się prosta. Kazano nam powoli jeździć po ulicach, wypatrywać wszystkich bezdomnych obłąkańców i żebraków, po czym spokojnie ła dować ich do ambulansu. Przede wszystkim należało unikać awantur i używać tylko łagodnej perswazji. Nasz ambulans był wielką, białą szczelnie zamkniętą ciężarówką bez okien i z oznaczeniami jakiejś firmy elektronicznej. Akcja była zaplanowana na dwa lub trzy tygodnie i nikomu mieliśmy o niej nie mówić. To nie jest żadna tajemnica powiedział nasz kierownik ale lepiej jest to robić dyskretnie. Na koniec dostaniecie premię: olej, mydło, proszek i inne takie rzeczy. Nie pożałujecie .

Praca była czysta, człowiek się nie wypaprał, a na dodatek mógł całkiem niezłe zarobić. Oczywiście, wszystko to było dość intrygujące, bo nigdy nam nie pozwalano zajrzeć do wnętrza ciężarówki i nikt nie mówił, dokąd wywożono tych wylapanych biedaków. Odbierali ich od nas jacyś milczący i ubrani na biało faceci, którzy wyglądali na sanitariuszy. Żaden z wariatów nawet nie pisał, gdy go brali do ciężarówki. Może każdemu dawali tam jakiś zastrzyk. Nie wiem. Lepiej jest nie wiedzieć za dużo. Nie pytać. Mój ojciec zawsze mówił: ciekawość to pierwszy stopień do piekła. No więc ja nie pytam. Wolę trzymać gębę na kłódkę. A poza tym gdy zaczniesz się za bardzo szarpać, to skończysz tak jak oni: na ulicy. Albo ześwirujesz. No i dobrze ci tak. Sam tego chciałeś. Potem siup i do ciężarówki. Cholera wie, czy jeszcze wrócisz na ulicę.

Nie liczyłem, ale myślę, że wylapaliśmy ich parę setek. Możliwe, że była jeszcze jedna taka ciężarówka. Robiliśmy to przez całe trzy tygodnie i nie zdarzyło się nic szczególnego. Tylko ostatnia noc była trochę bardziej pokomplikowana. O świcie chcieliśmy zabrać jakiegoś starego brudas. Leżał przed bramą szpitala. Chyba spał. Podeszliśmy do niego we dwóch. Kiedy go podnieśliśmy, zobaczyliśmy kałużę krwi. Stary rzygał krwią. Obiema rękami trzymał kurczowo worek pełen mango. Cholernie ciężki był ten worek, ale stary go nie puszczał. Musieliśmy go wlec razem w workiem, a dziadek cały czas nic tylko rzygał czarną i cuchnącą krwią. Musiało mu coś pęknąć w brzuchu. Położyliśmy go z powrotem na ziemi. Kurwa mać! Co my z nim zrobimy? zapytałem mego kolegę. Jeśli go tu zostawimy, to i tak każą nam po niego wracać odpowiedział Cheo. No dobra, ale dziadek zarzyga całą ciężarówkę, zanim umrze. Chodź, zaciągniemy go tu na izbę przyjęć. Znow go podnieśliśmy. Skurczybyk dalej nie wypuszczał z rąk worka. W izbie przyjęć nie było nikogo, tylko jakaś stara Murzynka ze szmatą i wiadrem. Siedziała na krześle i drzemała. Wściekła się, gdy nas zobaczyła z tym zakrwawionym dziadkiem. Co to jest?! Nie, nie, nie! Tutaj nie! Proszę pani, jak to nie tutaj? No to gdzie? Nie, nie. Wynieście go na zewnątrz. Pani tu pracuje? To proszę wezwać lekarza. Chodź, Cheo, idziemy. Obróciliśmy się i chcieliśmy wyjść, ale nagle z kąta wyszedł jakiś policjant. Zaraz, zaraz, chwileczkę. Dokąd? Panie władzo, ten stary leżał przed bramą szpitala i rzygał krwią. Co mieliśmy zrobić? Przynieśliśmy go tutaj na izbę. O tej godzinie? Jest wpół do piątej. Dokumenty. Obaj. Adres, miejsce pracy, co robicie? Nic. Nie pracujecie? Tak... To znaczy... Wywozimy śmieci. Śmieci? Tak ubrani? Jesteśmy w Szwajcarii czy co? Zatkalo mnie. Ten debil Cheo też nigdy nie urnie się odezwać. Stary znow zaczął rzygać na worek i na podłogę. Jeszcze gorzej niż przedtem. Sprzątaczką wpadła w histerię, bo wiedziała, że będzie musiała to wszystko posprzątać. Z dziadka wylewało się chyba całe jego gówno. Dostał drgawek i umarł, cuchnąc jak śmieciarka w upał. Nawet mnie to zbrzydziło, choć jestem na ogół odporny. Na to wszystko przyjeżdża taksówką dwóch ogromnych Murzynów. Jeden był trochę jaśniejszy, może Mulat, z grubym złotym łańcuszkiem na szyi. Był za ładny, jak na mężczyznę. Wyglądał najakiegoś aktora. Płakał z bólu. Miał spuszczone spodnie, a z tyłka sterczał mu wbity patyk. Krwawił. Nie mógł sam iść. Ten drugi mu pomagał. Był przerażony, ale go podpierał. Policjant poszedł zobaczyć, co się dzieje. Mój chłopak wsadził mi do pupy ten patyk! Nie mogę go wyjąć, och, ratunku, policja, zaraz zemdleję... Łapcie go, nie pozwólcie mu uciec, niech mnie samej nie zostawia...! Zemdlął i upadł na podłogę. Ten drugi, potężny i dobrze zbudowany Murzyn, wystraszył się jeszcze bardziej. Kurwa, ty pierdolony pedale! krzyczał. Jaki ze mnie twój chłopak? Panie władzo, ja jestem normalny facet! Ja tego gościa nie znam! Policjant zabrał się do odpinania kajdanków, które miał przyczepione do paska. Murzyn tymczasem rzucił się do ucieczki. Policjant poleciał za nim. Z taksówki wysiadł szofer i zaczął przetrząsać kieszenie nieprzytomnemu pedałowi. Chciał wziąć forszę za kurs. Stara sprzątaczką skorzystała z tego zamieszania i zachachmęciła worek z mango. Poszła z nim do kąta i wybrała kilka mniej zarzyganych i zakrwawionych owoców. Zaczęła je jeść. Wziąłem Cheo i wyszliśmy. Marzyło się nam trochę rumu, ale o tej porze wszystkie bary były zamknięte. Szedłem szybkim krokiem, a Cheo truchtał obok mnie i mówił: Stary, wolę wywozić śmieci. To dla mnie jest zbyt skomplikowane. Miał rację. Następnego dnia wróciliśmy do naszej dawnej pracy. Do śmieci. Myślę jednak,

że tamte trzy tygodnie nie były takie złe. Wciąż widzę coraz więcej wariatów i żebraków na ulicy. Wygląda, że mnożą się jak króliki. Wszędzie łażą jakieś zapi jaczone brudasy i świrusy. Zaczepiają ludzi albo sami do siebie coś mówią. Cheo codziennie mi powtarza: Stary, w każdej chwili znów mogą nas wziąć i kazać nam zbierać tych wszystkich czubów i żebraków. Ty byś poszedł? Ja nie. To dla mnie jest zbyt skomplikowane.

POWRÓT MARYNARZA

Po dwóch latach milczenia marynarz przysłał Carmicie telegram. Z Maracaibo. Mówił, że wraca i że ją bardzo całuje. Carmita była całkiem zbita z tropu. Zwariował czy co? Przecież ja już o nim zapomniałam. Po tygodniu przyszła następna depesza: Niestety, dłuższy postój w Puerto Cabello. Wkrótce już będę tęsknić i całuję. Tym razem Carmita wzięła depeszę i rozra dowana pokazywała ją wszystkim sąsia dom. Przez tydzień miała czas to wszystko przemyśleć. Och, jak ja się za nim stęskniłam! To jest mój prawdziwy mężczyzna! I od razu zaczęła przygotowania. Poszła do biura Marynarki Handlowej, gdzie powiedziała, że jest jego żoną. Pozwolili jej wysłać telegram: Otrzymałam wia domość. Czekam niecierpliwie. Całuję. Tego samego dnia postanowiła, że musi to jakoś sprytnie rozegrać z Miguelitem. Od roku facet utrzymywał ją i dwójkę jej dzieci. Był gruby, dość gburowaty, miał ogromne wąsy i mocno już niemodne bokobrody. Zawsze śmierdział potem i był owłosiony jak niedźwiedź. Przychodził do Carmity kilka razy na tydzień o dowolnej porze. Carmita musiała wtedy wysyłać dzieci na ulicę, zamykać drzwi i starać się go jakoś za dowolić. Jakkolwiek. Gdy akurat miała miesięczkę, pozwalała mu włożyć do tyłka. Miguelito zawsze zostawiał jej czterdzieści albo i pięćdziesiąt peso. Poza tym kawałek mięsa, trochę ryżu i jakiś inny prowiant. Nie wymagał wiele. Łatwo było zrobić mu frajdę. Bez niego jednak Carmita nie potrafiłaby przeżyć. Czasem nie było go przez tydzień i wtedy Carmita sama szła do niego do warsztatu. Gość był tokarzem i całkiem nieźle zarabiał. Wystarczająco, by utrzymać żonę, troje dzieci i Carmitę z jej dwójką potomstwa. Był tylko jeden problem: Carmen po prostu go nie cierpiała. Czasem siadała na brzegu łóżka, żegnała się i modliła do świętego, którego obrazek stał na nocnym stoliku: Święty Łazarzu, pomóż mi przejść tę ciężką próbę. Facet oblał ją wtedy jak goryl, brutalnie przyciągał do siebie i mówił: Zostaw te głupoty i chodź! Zwykle od dłuższego już czasu leżał naplecach, masując sobie kutasa, który sterczał mu do góry jak maszt. Patrzył na Carmitę, która chodziła po pokoju, powoli rozbierała się i wciąż odwlekała decyzję. Ten rytuał bardzo go podniecał. Tak czy inaczej, ciężka próba trwała może pięć minut. Carmen wiedziała, jak poruszać biodrami i jak zaciskać swoje dolne wargi, by wszystko skończyło się po krótkiej chwili. Facet spuszczał się, sapiąc i jęcząc. Potem był za dowolony i senny. Zawsze jej mówił: Ty to jesteś prawdziwa dzikuska. Dajesz się spuścić facetowi aż do końca. Ta twoja dziurajest miękka jak rękawiczka. Na tym się kończyło. Zapalał papierosa, wypijał kawę, żeby się pokrzepić, i wychodził. Dwa dni po drugim telegramie Carmen znalazła sobie jakiś pretekst do kłótni z Miguelitem. Wylała kawę na stół, powie działa, że Miguelito jest skąpy i że chciałby ją tylko wykorzystać, anankoniec wyrzucił go z domu. Nawet nie myśl, że możesz tu jeszcze kiedyś wrócić! Nie próbuj! Będę cię potrzebować, to zadzwonię do pracy. A teraz znikaj i więcej mi się tutaj nie pokazuj. Miguelito był małym facetem. Właściwie nigdy się nie odzywał bez potrzeby. Dobrze wiedział, że Carmen i tak go zawoła, gdy zabraknie jej dwudziestu peso. No więc nie chciało mu się gadać. Wzruszył tylko ramionami i poszedł. Carmen uprzedziła swych synów o rychłym powrocie Luisita. Chłopcy już go nie pamiętali. Macie być grzeczni, jak tu przyjdzie. Przywitacie się, podacie mu rękę, a potem jazda na ulicę. Nie chcę, żebyście nam tu przeszkadzali. Potem zrobiła generalne porządki. Wysprzątała całe mieszkanie cztery metry na pięć łącznie z antresolą. Na dole jest mały pokój z kuchenką zlewozmywakiem, szafką i prysznicem. Na górze, na antresoli, są dwa łóżka. W jednym śpi ona, w drugim chłopcy. Na ścianie wisi kawałek stłuczonego lustra, a w kącie rozpięty jest sznurek z trzema drewnianymi ramiączkami. Rozwieszony są na nich ubrania Carmity i dzieci: dość już zniszczone i wypłowiałe. Carmen wyczyściła wszystko i nie zostawiła ani pyłka. Sama czasem przez kilka dni się nie myje. Nie lubi wody ani mydła i nie przeszkadza jej zapach potu. Mieszkanie za to musi mieć wypucowane. Żeby ukryć zaczątki siwizny na skroniach, pofarbowała sobie włosy na kruczoczarny kolor. Carmita ma czterdzieści cztery lata, ale wygląda, jakby miała o dziesięć mniej. Starannie ogoliła sobie nogi i pachy. Jasnoróżową emalią która świetnie pasuje do jej ciemnej skóry, pomalowała sobie paznokcie u rąk i nóg. Mówiąc, że ma migrenę, przepłoszyła wścibskie sąsiadki, a potem wygoniła dzieci na ulicę. Tu przychodzicie tylko po to, żeby spać. Poza tym nie chcę was widzieć. Jesteście już mężczyznami. Mężczyźni nie siedzą w domu. Chłopcy mają dziesięć i dwanaście lat, ale znajdują się już na życiu. Carmen zawsze była zajęta swymi facetami, więc jej dzieci musiały sobie radzić same. Odkąd skończyły pięć czy sześć lat, całymi dniami włóczyły się po ulicy. Codziennie rano Carmita im mówiła: A teraz wynoście się i nie przeszkadzajcie. Gdy wszystko było już przygotowane, Carmita usiadła i czekała, słuchając muzyki instrumentalnej z Radiowej Encyklopedii i

czytając stare romanse sprzed czterdziestu lat, napisane przez Corina Tella do i wydane przez Rozmaitości. Dwa dni później przyjechał Luisito. Carmita była świeżutka, wypoczęta, ra dosna jak ptaszek i pachniała wodą kolońską. Luisito pojawił się w domu o świcie z sześcioma ogromnymi i ciężkimi jak ołów walizkami. Był w Japonii, Chinach i Wietnamie. Zwiedził wszystkie tamtejsze porty. W powrotnej drodze jego statek przepłynął Kanał Panamski i kabotażował między Argentyną Brazylią Wenezuelą i Kolumbią. W sumie cały rejs trwał dwadzieścia osiem miesięcy. Luisito przywiózł mnóstwo rzeczy: od chińskiego jedwabiu na metry i wietnamskich wachlarzy po wielkie słonie z terakoty, kolumbijską marihuanę ukrytą w buteleczkach po szamponie, japońskie zegarki i całą furę tandety kupionej za grosze w Hongkongu. Poza tym miał przy sobie tysiąc pięćset dolarów, a po zejściu na ląd wypłacili mu dziesięć tysięcy peso zaległej pensji. Nadeszło Trzech Króli i fiesta rozkręciła się na dobre. Przez tak długi okres abstynencji Luisito nagromadził tyle spermy, że zaczęła mu już sięgać do mózgu i lada moment mogły się w nim zacząć krótkie spięcia. Carmita rozwinęła wszystkie swe umiejętności. Była gotowa zdobyć złoty medal, a przy okazji pobić rekord świata. Nic poniżej jej nie interesowało. Przez dwie doby straciła pięć kilo. Jej twarz się pomarszczyła, oczy miała podkrążone, a na szyi i biuście pełno fioletowych siniaków i śladów po ukąszeniach. Dumnie obnosiła się z nimi, żeby pokazać sąsiadkom, jakim to macho jest jej facet. I że ona wciąż jeszcze potrafi napalić każdego mężczyznę.

W chwilach, gdy Luisito pozwalał jej wstać z łóżka, Carmita niepostrzeżenie podkradała mu rzeczy z walizek. Sprzedawała je później wśród sąsiadów. Chustki, haftowane bluzki, buty, grzebienie, kadzidła, wyciąg z żeńszenia, posążki Buddy, słoniki, ciemne okulary i plastikowe zabawki. Za bezcen.

Fiesta trwała na okrągło: rum, piwo, papierosy, dobre żarcie, swoboda i rozpusta. W jakimś lupanarze w Osace Luisito dał sobie osadzić perłę na czubku kutasa. Ten jego kaprys był teraz dla nich źródłem autentycznej frajdy. Tego jeszcze nie było. Różni się z perłą pośrodku.

Trzeciego dnia Luisito wymknął się na chwilę od Carmity. Poszedł do swojej matki chrzestnej od świętych. Dał jej pakiecik kadzidła, posążek Buddy, haftowaną chusteczkę i pięć dolarów. Poprosił, żeby zadzwoniła do jego braci w Santiago.

Dwa dni później przyjechała do Hawany cała czwórka braci. Ciemni, zarośnięci, weseli, roześmiani. Już w pociągu się upili. Kiedy wysiedli, wszędzie chcieli wszczynać rozróbę. Żeby pokazać, kto tu jest najlepszy. Kto jest większym macho. Byli młodzi, agresywni, energia ich aż rozsadała. Luisito był najstarszy z rodzeństwa. Miał trzydzieści trzy lata. Najmłodszy z braci skończył dwadzieścia siedem. Rozbili obóz w mieszkaniu Carmen. Jakoś się pomieścili. Teraz fiesta zmieniła charakter. Wygłodzeni i żarłocznymi Mulaci, muskularni i rozbawieni, najpierw poszli z bratem do sklepu. Wymienili swoje stare łachy na nowe ubrania. Wszystkie w jaskrawych i aż krzyczących kolorach. Kupili sobie dezodoranty i inne kosmetyki. Ipo grubym złotym łańcuszku dla każdego. Trafili do rajy i teraz poczuli się panami. Głośna muzyka, rum i wyżerka. Tak jak to u nich świętuje się w Santiago: na całego i nie myśląc o jutrze. Mężczyźni się bawią a kobiety do kuchni. Niech czekają kiedy im się powie, że już czas do łóżka. Dla Carmity zaczęło się piekło. Pięciu braci stale udawało swoją męską wyższość. Głównie w jedzeniu i w picciu. Sprowadzili sobie jakieś cztery dziewczuchy i pieprzyli się z nimi na zmianę za zasłonką prysznic. Carmita wytrzymała trzy dni. Potem jeszcze jeden. Piątego dnia miała przebłysk zdrowego rozsądku. Ukryła u sąsiadki resztę chlamu z walizek. Luisito akurat spał po pi jatyce, więc przetrząsnęła mu kieszenie. Znalazła tylko trzysta dolarów i siedemset peso. Szlag ją trafił. Jak to? Ten zapity skurwysyn zdążył już prawie wszystko przepuścić ze swymi braciszkami? Z wściekłości lzy stanęły jej w oczach. Chciała się rzucić na niego z pięściami. Powstrzymała się. Cholera jasna! Przez pięć dni rozeszły się pieniądze, które mogły wystarczyć na dwa lata. Pomyślała chwilę i postanowiła: nie, tak dłużej nie będzie! Złapała trzysta dolarów i siedemset kubańskich peso, po czym wsunęła je pod materac. Obudziła Luisita, szarpiąc go za nogę. Hej, ty skurwysynu, wstawaj! Dość już spania! Idź leczyć kaca do burdelu! Była druga w nocy i wszyscy sąsiedzi na piętrze słyszeli awanturę. Nie zdziwiła ich, bo wiedzieli, że prędzej czy później Carmita musi wybuchnąć. Cholera, co ci się stało? Kobieto, daj mi spać! Luisito jest macho, więc nie rozumie, że kobieta może się wreszcie zbuntować. Dla niego wszystko jest w porządku: trwa zwykła tradycyjna fiesta, która się skończy, kiedy nie będzie już pieniędzy. Zawsze tak było. Bracia też się budzą i dochodzi do nich, że Carmita chce ich po prostu wyrzucić. Ach, Luisito, tej babie coś odbiło! Strzel ją parę razy, to zrozumie, kto tu rządzi. Wtedy Carmita chwytą za maczetę. Niech któryś spróbuje podnieść na mnie rękę! Odrąbię! Największy macho woli dać spokój, gdy widzi maczetę w ręku wściekłej i zdecydowanej na wszystko kobiety. Stary, ona chyba zwariowała! Chodźmy stąd, zanim się stanie nieszczęście. Niewdzięczna! Taką fajną imprezę jej tu zorganizowaliśmy, a ona nas wyrzuca! Luisito próbuje opanować sytuację. Wyjdźcie na chwilę na taras, a ja z nią porozmawiam. To ty stąd wyjdź, ty pi jaku! Ależ kochanie, dlaczego chcesz wszystko zniszczyć? Chciałem się z tobą ożenić! ...Wypchaj się! Zabieraj swoich braciszków i niech was więcej tutaj nie widzę! Luisito chwytą się ostatniej szansy. Postanawia być uwodzicielski. Wyciąga swego ogromnego kutasa i jaja wielkie jak roz-

plodowego byka. Maca się po nich i mówi: Patrz, Carmita, to jest twoje. Chcesz to stracić? Powiedz tylko, a wysłę ich do domu i zostaniemy tutaj sami. Ty i ja, jak dawniej. Nie, nie, żadne takie. Koniec. Już postanowiłam. Chowaj te klejnoty, bo ci je obetnę maczetą! Wykastрую cię! Ty byś tylko wykorzystywał kobiety, a ci twoi braciszkwowie to też banda drani. Nie chcę was tutaj! Carmita, tyle pięknych dni przeżyliśmy razem! Zastanów się, przemyśl to na spokojnie. Ja tak bardzo chciałbym mieć z tobą dziecko. Dziecko? Ze mną? A po cholere mi taki bachor? Żeby się wdał swego tatusia pi jaka? Kochanie, dwa lata myślałem o tobie na statku. Nie rób mi tego. Myślałeś o mnie? Takie rzeczy to ty mów tym swoim dziwkom! Przez dwa lata nie pisałeś do mnie. Nie przysłałeś mi . ani jednego peso. A teraz co? Przyjeżdżasz jak do swego domu! Wynoś się! Skarbie, ja cię tak bardzo kocham. Trwało to jeszcze chwilę. Carmita nie wypuszczała maczety z rąk i nie pozwalała, by Luisito zbliżył się do niej. Była głucha na wszystkie jego prośby i przymilania. W końcu marynarz dał za wygraną. Ubrał się i płacząc, wyszedł na taras. Jego bracia byli zgorszani. Och, Luisito, dobrze, że nikt nas nie widzi. Mężczyźni nie płaczą. Pedał jesteś czy co? Stary, ta baba jest do niczego. Nie martw się. Jedź z nami do Santiago i tam dokończymy zabawę. Carmita wyrzuciła za nimi przez drzwi pustą walizkę. Spieprzać mi stąd wszyscy, i to już, bo zawołam policję! Wsadzą was do pierdła! Won, nie ma was! I zatrzasnęła drzwi. Luisito podniósł walizkę i poszli. Następnego dnia Carmita chodziła po całym domu i próbowała sprzedać słonia z imitacji porcelany. Ogromnego, miał jakieś trzydzieści centymetrów wysokości. Chciała za niego pięć dolarów. W końcu sąsiadka kupiła go od niej za trzy. Carmita wzięła banknoty i cała szczęśliwa powiedziała: No dobra. I to byłoby już wszystko, co mi zostało po tym moim marynarzu.

MÓJ SMAK

Wczesnym rankiem ta Mulatka z pięknymi i krągłymi piersiami o twardych i sterczących sutkach jest dla mnie cudowną wizją rozpusty i grzechu. Ma na sobie żółtą bawełnianą bluzeczkę, bardzo obcisłą i kusą która odsłania płaski brzuch i pępek. Do tego jeszcze wąska talia i jędrny tyłeczek opięty czerwoną i lśniąca lycrą. Dziewczynajest wciąż rozespana, przeciąga się rozkosznie jak za dowolona kotka. Potem wychodzi z domu. Ma twarde, czarne i skręcone włosy oraz ciągle jeszcze resztki snu w oczach. Słyszę odgłos jej kroków w kauczukowych pantoflach. Z ukosa rzuca na mnie spojrzenie i idzie dalej. Tutaj dużo kobiet chyba większość jest córkami Ochun, Najświętszej Panny Miłosiernej z El Cobre. Są ładne, dobre, czule i wierne. Dopóki kochają bo potem już nie. Potem potrafią być okrutne. Z czasem człowiek uczy się je rozpoznawac.

Jakiś wielki i potężny Murzyn próbuje nabrać wody ze studni. Nie idzie mu łatwo, bo wody prawie nie ma. To taka uliczna pompa, która stoi na skrzyżowaniu San Uizaro i Perseyerancia. Nikt już nie pamięta, skąd się tam wzięła. Postawiono ją chyba jeszcze za czasów kolonii. Solidna, żeliwna, w tym samym stylu co kratki ściekowe na jezdniach. Wszyscy też już zapomnieli, kiedy ostatni raz była normalnie woda w tej dzielnicy. Na ogół ludzie muszą brać o świcie z kranów przy rurach wystających ze zrujnowanych ścian i chodników. Czasem o czwartej lub piątej ranem w tajemniczy sposób pojawia się trochę wody w najniższych partiach tych zardzewiałych instalacji. Teraz Mulatka, nie kryjąc się już, spojrzała na mnie. Oczy miała w półprzymknięte, a włosy zmierzwione poduszką i nocą pełną seksu. Na jej twarzy wciąż było widać ślady snu, wczorajszych rozkoszy i rumu. Podeszła do studni. Chciała pomóc mężowi przy pompie. Ten był w złym humorze i odrzucił jej pomoc. Wyprostowała się z godnością i teatralnym głosem pełnym sarkazmu i wystudiowanej rezerwy powiedziała: Dobrze, kochanie, to ja poczekam.

Obróciła się i poszła z powrotem do bramy, kręcąc biodrami i tyłkiem. Teraz wyraźnie już na mnie patrzyła. Jej mąż to dostrzegł i krzyknął: Idź do domu i tam na mnie czekaj! Udaje, że nie słyszy ukrytej w tym poleceniu pogroźki. Dalej idzie, stukając pantoflami, kołysząc się rozkosznie i patrząc na mnie z pożądliwością wciąż jeszcze przysłoniętą przez nie do końca odpędzony sen. Wraca do mieszkania. Nie mam nic do roboty. Więcej nawet: nie mam w ogóle pomysłu, co mógłbym robić dzisiaj, jutro, za miesiąc, za rok, za sto lat. Może to lepiej, bo w ten sposób człowiek się nie zadrecza i nie myśli, że marnuje jakąś szansę. Nie wiesz, co masz robić, żeby przeżyć, ale to nieważne. Jesteś jak latawiec ciągnięty przez wiatr i czujesz się z tym dobrze. Tylko że czasem nie ma wiatru. Muszę gdzieś skombinować trochę forsy. Przez rok pracowałem jako śmieciarz, ale w końcu rzuciłem tę robotę. Za ciężka. A poza tym w nocy. Nawet nieźle płacili, ale nie warto się zabić jać. Człowiek skręci jakiś interes i za jeden dzień ma tyle samo albo więcej. Do tego jeszcze ten ohydny smród i grzebanie się po śmietnikach. Wszystkie kobiety przede mną uciekały. Brzydziły się. Teraz używam perfum, które przygotowała dla mnie pewna znająca się na rzeczy babka. Wiem, że składają się zwody fiołkowej, pszczelego miodu i trzech rodzajów ziół: zwykłego tytoniu oraz mieszanek Dla ciebie i Mogę więcej niż ty. Rano skrapiam się nimi i wychodzę na miasto. Kobiety na mnie lecą i otwierają się przede mną wszystkie drzwi. No i gdy tak stoję oparty o ścianę i czekam, co zrobi Mulatka, słyszę, jak woła mnie rzeźnik ze sklepiku na rogu. Podchodzę

do niego, a on mi szepcze na ucho: Pedro Juan, mam trochę wołowiny. Muszę się jej szybko pozbyć. Najlepiej dzisiaj.

Po ile? Jak dla ciebie, po półtora dolara za funt. A ile jest tych funtów? Osiemdziesiąt. Och, kurczę! To dużo. Wiem. Ale może coś z tym zrobisz. Dobra, stary. Wezmę to od ciebie. Będę musiał pójść na Veda do. W Hawanie Centrum ludzie żyją samym powietrzem. Przyzwyczaili się. Nikt tu nie ma dolarów i każdemu wystarcza woda z odrobiną cukru, rum i tytoń. I dużo ostrych rytmów. Tak to jest. Póki się żyje, trzeba jakoś ciągnąć do przodu. Walczyć o życie, bo inaczej czeka nas pewna śmierć. Wtedy właśnie Mulatka staje w oknie. Widzi mnie. Patrzymy na siebie. Ale muszę iść. Najpierw forsa, a potem dopiero zabawa. Gdybym się z nią umówił na dziś wieczór i będąc na zerze, nie mógłbym niczego postawić, to by mi powiedziała: Kurczę, szkoda mi czasu na takiego golca. Masz pecha, więc spadaj, i to szybko, bo pech się lubi przenosić. W radiu facet czytał dziennik. Słyszałem tylko: to nasze zwycięstwo, rezultat, entuzjazm narodu, ra dośnie i z nadzieją. Nie wiem, o czym gość mówił. Powtarzał tylko te słowa. Daję znaki Mulatce. Pokazuję jej ręką że później się spotkamy. Uśmiecha się za dowolona. Mąż dalej męczy się przy pompie. Wracam do rzeczywistości i mówię do rzeźnika: Słuchaj, stary, rozglądnę się w paru miejscach, ale musisz mi dać pięć funtów na początek. Masz forszę? Chłopie, skąd? Przecież wiesz, że jestem goły. No to jak? Stary, nie zrobię ci żadnego numeru. Co? Okantowałem cię kiedyś? Nie, ja wiem, że jesteś w porządku, ale jak wpadniesz? Daj mi pięć funtów i nie gadaj. Nic mi się nie stanie. Oj, Pedro Juan... Daj spokój, nie martw się. Zobacysz, że jeszcze dziś ci opchnę całą furę tego mięsa. Będziesz mieć z głowy. Dał mi pięć funtów. Miał bardzo fajną wołowinę. Prawie bez skóry. Ale to była trochę ryzykowna sprawa. Teraz podnieśli wyroki i człowiek mógł trafić nawet na dziesięć lat za kratki. I to jeszcze za takie gówniane pieniądze. Na pięciu funtach mam dwa i pół dolara, bo funt sprzedaję za dwa. Na szczęście szybko pozbyłem się towaru. Znam kilku takich gości, którzy mają forszę. Przychodzę z żarciem, a oni kupują wszystko, jak leci: kurczaki, mięso, ser, jajka, langusty. Od ręki. Cholera, cito się odżywiają. Zrobiłem cztery kursy. Sprzedałem dwadzieścia funtów. Na czysto mam dziesięć dolarów i nie naharowałem się tak jak przy śmieciarce. Szczęściarzem jestem. Changó i Oggún zawsze wskazują mi właściwą drogę. W głowie miałem jednak wciąż tylko tę Mulatkę. Zrobiłem rachunki z rzeźnikiem. Powiedział, że jutro też będzie miał trochę mięsa. Potem przeszedłem na drugą stronę ulicy, gdzie jest taki stragan z jarzynami. Nie powinni mnie widzieć wciąż w tym samym miejscu. U straganiarki wszystko jest jak zwykle. Stragan ma pusty, siedzi na skrzynce oparta o bramę i dłubie w nosie. Jest gruba, ma jakieś pięćdziesiąt lat, cellulitis i paskudne fioletowe żyłki na nogach. Ale się nie przejmuje: zawsze nosi szorty i ciasne krótkie podkoszulki, spod których wystają spore fragmenty jej brzucha i ogromnych piersi. Patrzy na mnie, wita się, unosząc brwi, i dalej grzebie palcem w nosie. Z rozkoszą wyciąga smarki. Przez chwilę rozmawiamy. O tym, co zawsze: że jej syn siedzi, że jego sprawy się pokomplikowały i że teraz podnieśli mu wyrok do dwudziestu lat. Przynajmniej córka dobrze sobie radzi. Ta to urnie zbi jać kasę. Teraz ma takiego Włocha. Stary jest, co prawda, brzydki i brzuchaty, ale słodko puszcza, jakby go parzyły w palce. Wszędzie z nią chodzi i daje jej na wszystko. Mówi, że się z nią ożeni, a potem ją zabierze do Włoch. Druga córka, ta najmłodsza, ma dziesięć lat i jest prawie biała. Ma takie śliczne włosy i wszystko. W szkole jest najlepsza. Chce być dziennikarką w telewizji. I znów zaczyna mówić o swym synu kryminaliście: On nie udał mi się. Od początku był taki dziwny. Pierwszy raz go zamknęli, gdy miał dziesięć lat, bo rozbił głowę takiemu chłopakowi. Tu przed domem, na ulicy. Chyba mu się spodobało w więzieniu. Mówię ci, to syn Oggúna, ma coś nie tak w głowie. Wtedy nagle Mulatka znów pokazała się w oknie. Popatrzyła na mnie, ale ja udałem, że jej nie widzę. Po chwili zeszła. Stukocząc pantoflami, zaczęła iść po ulicy. Przeszła obok mnie, wyprostowana, z piersiami do przodu i z tyłeczkiem wypchniętym do tyłu. Matko Boska, co za widok! Patrzę na nią i mój kutas od razu jest gotowy. Staje, robi się gruby, sztywnieje. Och! Skręca za róg i idzie dalej. Zachodzę ją od tyłu i mówię: Dokąd to idziemy, koteczku? Ja wiem, dokąd idę. A ty? Nie mam pojęcia. Chyba oboje idziemy w tym samym kierunku. Tak? A skąd wiesz? Słuchaj, ten twój mąż to naprawdę taka bestia? Bardziej udaje, ale nie myśl sobie: jak się wkurzy, to potraz niego wyjść diabeł. Ja nie chciałbym mieć problemów. Boisz się go? Przecież cię nie zje. Nie. Boję się samego siebie. Ach! Ty też lubisz pozować, tak jak on. Dobra, mów, co chcesz, ale od razu widać, że jesteś w nim zadurzona po uszy. E, gdzie tam! To taki teatr. Muszę trochę poudawać, bo mnie utrzymuje. Lubi, gdy go traktuję jak swego pana i władcę. Ale w końcu to jest twój facet, prawda? Tak. Ale nie aż tak bardzo. No wiesz, Murzyni lubią się tak popisywać przed ludźmi. On ma jakiś kompleks? Pewnie, że ma! Chce być macho. Dobrze, skończmy z nim. Co mnie obchodzi twój facet? Powiedz lepiej, co teraz. Co, co teraz? Co teraz robimy, ty i ja? Och, nie wiem. Popatrz tylko. Widzisz? Wystarczy, że jestem przy tobie. Pokazałem jej na swoje spodnie. Kutas stanął mi, napęczniał, zrobił się twardy i napinał cienki materiał. Zaczęła się śmiać. Kurczę, ty to jesteś napalony! A przecież jeszcze nic nie widziałeś. Jakbyś zobaczył i dotknął, to byś się od razu spuścił! Podobasz mi się, i to cholernie. Ja bez ciebie nie mogę. A skąd ty to wiesz? Pierwszy raz się widzimy. Nie znasz urnie i już nie możesz? Dziewczyno, nie udawaj. Przecież wiesz,

o co chodzi. Po prostu chcę ci wsadzić. No świetnie! Tak po prostu? Nie podobam ci się? Słuchaj, ja spotykam codziennie pięćdziesięciu facetów, którzy mi się podobają, ale to wcale nie znaczy, że od razu muszę brać ich do łóżka. To tak nie jest. Nie rób z siebie takiej subtelnej.

Nie robię. Wy, biali, zawsze jesteście tacy sami. Wciąż wam się wydaje, że dziewczynie wystarczą dwa słowa i już jej można wsadzić kutasa. Dobrze, zostawmy już to. Najpierw mnie napalasz, a potem dajesz kopa. No widzisz. Tak to jest. Przecież ja jestem normalnym facetem. Nie znam się na tych głupotach.

Słuchaj, nie mój problem. To ty mnie zaczepiłeś. No więc czego chcesz? Forsy? Nie. To miał być żart? Czy ja wyglądam na kurwę? Każdy potrzebuje forsy. Ludzie kombinują. Kochanie, ja mam swojego faceta. Ten czarnuch zna się na interesach. Forsa sama mu wchodzi do kieszeni. Wiesz co? Za dużo tego gadania. Ja spadam. Dobrze. Sam nie wiesz, co tracisz. Co tracię? Idziesz gdzieś konkretnie? Tu za rogiem mieszka moja matka chrestna. Poczekaj. Najpierw wejdę ja. Potem ty. Na razie tu zostań. Nic takiego się nie wydarzyło w domu tej jej matki chrestnej. Przedstawiła mnie jako swego przyjaciela. Usiadłem w saloniku. Na chwilę wyszła gdzieś ze starą. Wróciła z filiżanką kawy. Popatrzyła na mnie z tym swoim uśmiechem młodej i cwanej kurewki, po czym znowu znikła. Za jakieś dziesięć minut pojawiła się ze swoją matką chrestną. Usiadły, przyniosły w torbie damskie ciuchy. Same nowe body z lycry. On chce cztery dolary za parę powiedziała stara. Jest ich w sumie siedem. Jutro je sprzedam. Po pięć. Mówi, że na razie zostawił ci ich tylko tyle, ale ma dwieście par. Jakiś niezły połów. Chyba tak.

Po kolei zaczęły je przeglądać. Och, mamó! Wszystkie są czerwoniębieskie. Przecież on wie, że najlepiej idą białe, żółte i czerwone! No dobrze, córeczko, spokojnie, może ci się uda. Pożegnaliśmy się i wyszliśmy. Po chwili ona powiedziała: Słuchaj, kochanie, a teraz spadaj. Nie komplikuj mi życia. Nie chcę mieć problemów z tym czarnuchem. Zaraz, zaraz, o co tutaj chodzi? Jaja sobie robisz? Po co mnie wzięłaś do tej twojej matki chrestnej? Kochanie, chciałam, żeby cię zobaczyła. Nie opowiadaj! No i co? Ach, za dużo chcesz wiedzieć, koteczku. Dobra, ja spadam. Z tobą się nie da. Słuchaj, jutro rano, tak gdzieś koło dziesiątej, idę pod Ultra z tymi body. Poszukaj mnie tam przed głównym wejściem. O tej godzinie nie mogę. Jesteś zajęty? Tak. Mam swoje sprawy. Kochanie, nie rób mi tego. Przyjdź i będziemy mogli pogadać przez chwilę. Dobrze, zobaczę. Przyjdiesz, to się dowiesz, co mi powiedziała moja matka chrestna. Nie tyle ona, ile święci, którzy wiedzą wszystko. O tobie i o mi. Powiedziała ci coś dobrego? Przyjdź jutro. Teraz muszę iść. OK. Mój ojciec zawsze mówił: gdy ofiara krwawi, rekin nie popuści. Janiejestem ofiarą ani ty rekinem. Nie udawaj takiego drapieży. No i tak to wszystko zostawiliśmy. Do jutra. Po co mamy się śpieszyć?

Budzę się z kacem po wczorajszym rumie. Jest chyba dziewiąta albo dziesiąta. Patrę przez malutkie okno. Na Malecónie jakaś turystka robi zdjęcia zniszczonych domów. Jej mąż kręci to samo na wideo. Oboje są zachwyceni widokiem tych ruin. Z daleka rzeczywiście ładnie wyglądają. Wychodzę na taras. W blaszanym wiadrze jest woda. Myję twarz i przepłukuję usta, a równocześnie kątem oka patrzę na Isabelitę. Siedzi w cieniu pod murem. Zdążyła już wyprać całą tonę rzeczy. Teraz pali papierosa i odpoczywa. Isa, która jest godzina? Cholera wie. Wcześniej dziś wstałaś. Tak. Było jeszcze ciemno. Ale już skończyłam. Kiedy będę wielki pan z mnóstwem ubrań, też mi będziesz je prała. Tobie za darmo. Co za darmo? Ha, ha, ha... Wszystko. Co zechcesz. Piłaś już kawę? Tak. Jeszcze trochę zostało. Chodź. Isabel jest wysoką i szczupłą Mulatką o jasnej skórze w kolorze cynamonu i o długich, czarnych i kręconych włosach. Od dawna jesteśmy sąsiadami. Podoba mi się i ja jej też. Właściwie nie wiem, dlaczego do tej pory nie wykrzesaliśmy trochę iskier. Mieszka ze swoim byłym mężem. Ciągłe się kłóć, ale nie ma sposobu, żeby czarnuch zebrał manatki i się wyniósł. Mówi, że nie ma dokąd iść i że nikt go stąd nie wykurzy. Na płaskim dachu naszego budynku jest sześć mieszkań i jedna tylko ubikacja. Cuchnie jak diabli. Wodę trzeba wnosić we wiadrach. Raz jest więcej ludzi, raz mniej. Czasem mieszka tu i czterdzieści osób. Potem niektórzy wracają na wieś i żyje się nam trochę lepiej. To tak jak przyplawy i odpływy morza. Isabel chyba za bardzo wyszczuplała. Pewnie tak jak wszyscy nie ma co włożyć do garnka. Wciąż jednak jest wesoła i sympatyczna. Za kilka peso pierze ludziom ciuchy, nie dojadła, męczy się z tym facetem, którego nie może się pozbyć, a do tego musi jeszcze wychowywać jedenastoletnią córkę. I tak mi jają jej dni: w przerwach papieros, tyk rumu, kawa, jakiś fajny macho, czasem wszystko naraz. No i muzyka. Dużo muzyki. Muzyki nie może zabraknąć. A poza tym nie wolno myśleć za wiele. Teraz właśnie widzi, jak zamyślony piję kawę.

Co ci jest, Pedro Juan? Wstałaś lewą nogą czy też wczoraj pohulałaś z dziewczyną i dziś ledwie zipiesz? Nie. Już od dawna nie mam żadnych dziewczyn. Żyję jak asceta. Twój wybór. Gdybyś tylko chciał... Nie pieprz, Isabel. Martwię się. Nie mam pracy i interesy też mi niezbyt idą. No to wróć do tej swojej śmieciarki.

Nie, nie, wykluczone! Słuchaj, nie przejmuj się tak życiem, bo ci się mózg roztopi. Daj sobie trochę luzu. Może masz rację. Martwienie się nic nie da. Przejdę się trochę. Później, wieczorem albo kiedy chcesz, zawołaj mnie, żeby złożyć ofiarę świętej Klarze i Najświętszej Pannie od dróg i wędrowania. Zrobisz to sam, ale ja ci

wszystko przygotowuję. Strasznie dobra jesteś dla mnie. Bo gdybyś wiedział... No już, już, nie rób się sentymentalna. Wszyscy wiedzą kim jesteś, ajajuz nie chcę w życiu się angażować. Sentymentalna kurwa, tego mi jeszcze brakowało! No więc, co zrobisz? Cynikjesteś, syn Changó, od razu widać. Też lubisz kurwy, więc nie udawaj świętoszka. Chyba że wolisz uchodzić za pedała, który na kilometr omi ja kobiety? Ach, nie dramatyzuj! Muszę iść. Potem pogadamy. Pomału ruszyłem w stronę Ultra. W górę przez Galiano. W jakimś państwowym bufecie zjadłem bułkę z krocketem i popiłem wodnistą oranżadą. Podobno jest epidemia żółtaczki, zapalenia spojówek i czegoś tam jeszcze, nie wiem. Zamknęli wszystkie prywatne bary. Mamy ciężkie lato. Piekielne upały i wilgoć. Mikroby aż się tarzają z ra dości i mnożą się bez pamięci. Wszyscy mają biegunkę, ameby albo lamblie. Ach, te tropiki! Są cudowne, jeśli się przyjeżdża na tydzień i ogląda zachody słońca w jakimś cichym i odludnym miejscu. Unikając bliższego kontaktu. Nie, nie wystawiła mnie do wiatru. Była tam. Piękna. Błyszcząca pośród innych. Sprzedawała te swoje body u wejścia do Ultra. Ach, co za babka! Sama też była ubrana w czarne obcisłe body z lycry, które odsłaniało jej całe plecy. Lśniące rozpuszczone włosy, modne buty na wysokich koturnach i jędrne, idealne nogi. Cudowne boskie ciało. Wyglądała jak naga. Pod cienką lycrą wszystko było widać: sterczące sutki, pępek i łagodne zakrzywienie brzucha aż do dwóch pionowych warg między nogami. Niemal czułem zapach potu spod jej pach: ten intymny i erotyczny aromat, który właściwy jest tylko Murzynkom i Mulatkom. Kurczę, to naprawdę była piękna kobieta! Obok było pełno innych. Handlowały wszystkim, od dolarów po gumę do żucia. W nieustannym ruchu i wciąż rozglądając się dokoła. Nieufnie patrzyły na stojących opodał policjantów, którzy na razie nie interweniowali, ale ich twarde spojrzenia wyraźnie mówiły, kto tu rządzi. Kobiety były gotowe w każdej chwili wpakować rzeczy do toreb i rzucić się do ucieczki. Cały czas były spięte, nerwowe, bez żadnego luzu. Przez chwilę stałem tuż za nią. Wciągałem w nozdrza powietrze. Była spocona z upału. Czułem lekki zapach jej potu. Od razu zaczął grubieć mi kutas. Sam z siebie. Wystarczyła ta woń i już się podnieciłem. Nachyliłem się i szepnąłem jej do ucha: Kupię wszystkie, które ci zostały. Odwróciła się zaskoczona. Zobaczyła mnie i roześmiała się. Wiedziała, że przyjdiesz, ty narwańcze! Sprzedałaś już coś? Ale skąd! Dopiero co przyszłam. A poza tym popatrz, sątu jeszcze cztery inne z lycrą. W głowie dzwięczały mi fragmenty bolera, które zapamiętałem z dzieciństwa. Zanuciłem je po cichu: Jeśli nawet ze swego życia chciałabyś wykreślić mnie, wróć i znów ci obejmę, spróbujemy jeszcze raz. Dałem ci całego siebie, nie zapomnisz mnie, bo wiem, że do dzisiaj w swoich ustach musisz czuć mój smak. Ach, jakie to ładne! Co ci tak wesoło? Zawsze mi wesoło na duszy, gdy na ciebie patrzę. Nie, nie, zostaw to. Nie jesteśmy na ławeczce w parku. Nie wierzysz mi? Trudno. Przez chwilę nie rozmawialiśmy. Ona trzymała body w ręce i gdy tylko przechodził jakiś facet, mówiła mu po cichu: Chodź, popatrz, jaka fajna lycra dla twojej dziewczyny. Weź, bo to już ostatnia. Gdy trafiała się jakaś kobieta, to ją zachęcała: Tow sam raz dla ciebie! Popatrz, jaka ładna! Będzie cipasować. Bierz, bierz, bo już mi się kończą. Przez jakiś czas obserwowałem ją z daleka. Potem znów podszedłem. Słuchaj, przecież umówiłaś się tu ze mną. Chciałaś mi coś powiedzieć, prawda? Ha, ha, ha! Nie, nie, nie tak zaraz! Wszystko w swoim czasie. Zostało mi w kieszeni siedem dolców. Chcesz piwo?

Tak wcześnie i na pusty żołądek? Chodźmy tam naprzeciw. Postawię ci colę. No dobra, czemu nie? Przeszliśmy przez Reina. Na chodniku stało kilka stolików. Zamówiłem colę i hot doga. Dla siebie piwo. Może teraz mi coś powiesz. Ach, to nic takiego. Moja matka chrzestna mówiła mi tylko, że my, córki Ochńń, nie możemy dać się powodować pragnieniu, bo później będziemy żałować. Ale zapomnij o tym. Religii nie można brać dosłownie. Nie dałoby się żyć. Masz rację. A pragniesz czegoś? Jasne. Inaczej nie rozmawiałabym tu z tobą. Wszyscy przechodzący mężczyźni pożerali ją oczami. Rozmawiała ze mną, ale cały czas patrzyła w stronę baru. Rozpalała facetów tym swoim body. Chyba nawet za bardzo. Przy barze jakiś gruby, młody i bardzo biały cudzoziemiec zamawiał wodę sodową. Świdrowała go wzrokiem. Słuchaj, opanuj się trochę i patrz na mnie. Przecież mówię do ciebie. Och, stary, nie jesteś moim mężem. Zyj i daj żyć innym. Uśmiechnęła się do faceta. Facet uśmiechnął się do niej. Teraz już zupełnie przestała na mnie zwracać uwagę. Oczy jej się zaświeciły, gdy pomyślała o dolarach. Podeszła do gościa. Masz papierosa? Na to on: Nie palę. Ale mogę ci kupić całą paczkę. Hiszpan. Od razu poznać po akcencie. Och, dziękuję. Mam straszną ochotę zapalić. Zabrałem się stamtąd. Nie chciałem jej przeszkadzać. Może ustrzeli tego półwyspiarza i przez kilka dni będzie żyłajak ludzie. Szedłem w dół przez Galiano i nuciłem pod nosem bolero: jestem biedny, więc ci mogę tylko siebie dać. Wstąpiłem znów do masarni. Zawsze mogę zarobić kilka dolców na tej wołowinie. Stary, o tej porze? Dlaczego nie było cię wcześniej? zawołał na mój widok rzeźnik. A która jest godzina? Piętnaście po dwunastej I już nic nie masz? Od dawna. Miałem jakieś dziesięć czy piętnaście funtów. Cholera! Słuchaj, ale przyjdź później i zapytaj. Może mi jeszcze trochę przyniosą. Kiedy? A skąd mogę wiedzieć? W każdej chwili. Wiesz, jak to jest. Bądź gdzieś w pobliżu. Wyszedłem na swój dach. Isabel, pochylona nad kratką ściekową, szorowała jakieś garnki i talerze. W jej pokoju głośno grało radio. Akurat puszczała salsę: Wykorzystaj, że cię kocham, nie wia domo przecież. ile taka miłość może trwać... Oparłem się o ścianę, żeby lepiej móc się jej przyjrzeć. O tej porze nie było nikogo na

tarasie. Ona ma cholernie ładny tyłeczek. Nie za duży, ale twardy i foremny. Podchodzę do niej niezauważenie i gładzę ją po włosach. Obraca się i patrzy na mnie. Hej! Coś szybko wróciłeś? Tamta Mulatka nieźle mnie napaliła. Czuję się smutny i trochę oszukany. Nachylam się i całuję Isabel w policzek. A ciebie co ugryzło? Ktoś cię nabuzował i teraz chcesz się na mnie wyła dować? Nie, nie. Co ci też przyszło do głowy? Słuchaj, znam cię od lat. Chcesz się do mnie dobrać tutaj, tak na oczach wszystkich? Przecież tu nikogo nie ma. Tak ci się tylko wydaje. No dobrze, ale co cię to obchodzi? Wstała. Zostawiła na podłodze te swoje garnki i talerze. Uwiesiłami się na szyi i zaczęła mnie całować. Wsadziła mi język aż do gardła. Nie, kochanie, jeśli to jest z tobą nic mnie nie obchodzi. Ale może chodźmy do mnie. Chodźmy. W łóżku poszliśmy na całość. Nie myślałem, że to będzie aż tak. Różnieliśmy się jak wariaci. Podobało mi się. Może dlatego, że Isabel nie jest tak cynicznjak tamta bezczelna i zarozumiała Mulatka, która chciałaby wszystkich mężczyzn owinąć sobie wokół palca. Ale i tak było mi trochę smutno. No cóż, samotny mężczyzna, bez pracy, mieszka w obskurnej norze, nie ma dzieci ani żadnej stałej kobiety. Naprawdę, trudno tu znaleźć jakiś powód do radości. Nadzy i spoceni leżeliśmy w łóżku, ja na niej, ona pode mną. Dochodziliśmy do siebie po odłotowym orgazmie. Psiakrew, skąd mi się wzięło tyle spermy w jajach? Poglądziłem Isabel po włosach i pocałowałem ją z ogromną czułością. Zaczęłem nucić po cichu: .. kiedy minie tysiąc lat, gdy się dla nas zacznie wieczność, nie wiem, czy po tamtej stronie miłość może dalej trwać. Jednej rzeczy jestem pewien: zawsze będziesz, tu czy tam, w ustach czuć mój smak Pedro Juan, nie rób mi tego. Nie oszukuj mnie. Nie potrzebujesz trochę czułości? Od dawna potrzebuję. Ja też. Ale widzisz, ja już nie chcę cierpieć. Zakocham się, a potem wszystko szlag trafi. No tak, to prawda. Odwróciłem się na bok. Cholera, ale człowiek się poci. Wstała i ubrała się. Otwórz drzwi, bo się tutaj podusimy. Daj mi pościel i ręcznik, to ci je wypiorę. Zgnijesz w tym brudzie. Otworzyłem drzwi. Isabel wyszła na taras i wróciła do swoich garnków. Włożyłem szorty i usiadłem w progu. Zrobił się lekki przeciąg. To dopiero początek, ale już się boję tej Mulatki. Jest kurwą i jest romantyczna, a na dodatek podobam się jej. To jest za dobra mieszanka. Żadne z nas nie chce sobie komplikować życia. Po co nam szukać problemów? Wystarczą nam te, które już mamy.

ZBWIENIE I ZGUBA

Na rogu Infanta i Jovellar jakiś reporter z telewizji atakuje przechodniów z mikrofonem w ręku. Dopada każdego i strzela mu prosto w twarz: Co to jest szczęście, był pan kiedyś szczęśliwy? To nie jest pytanie a raczej to nie są pytania na które można odpowiedzieć tak od razu. Trzeba się namyślić, ale reporter nie daje czasu. Kamerzysta wymierza obiektyw w ankietyowanych, a ci nie wiedzą, co powiedzieć. Niektórzy w ogóle nie chcą mówić, inni znów próbują być inteligentni, by podbudować swoje ego, i coś tam bełkoczą bez sensu. Z domu wychodzi hydraulik. Skręca za róg i nadziewa się na kamerę, mikrofon i na reportera, który pyta go o szczęście. Facet zatrzymuje się. Z niezmaconym spokojem i gorzką rezygnacją odpowiada: Szczęście? Nie pierdol, synu. Szczęście nie istnieje. Już chce iść dalej, ale reporter nalega: Był pan kiedyś szczęśliwy? Hydraulik przez chwilę się zastanawia i w nagłym przypływie szczeroci mówi: Szczęśliwy byłem w dniu, kiedy się ożeniłem. To był jedyny szczęśliwy dzień w moim życiu. Potem już były same nieszczęścia. Odchodzi równym, spokojnym i nieśpiesznym krokiem. Jest mocnym i dość korpulentnym mężczyzną, białym, z mnóstwem czarnych włosów na głowie i na całym ciele. Żaden z nich nie jest siwy. Mimo swych pięćdziesięciu dwóch lat facet jest pełen energii i mocny jak byk. Urodził się na wsi wśród plantacji tytoniu. Jego ojciec był emigrantem, a matka Kubanką. Od czterdziestu lat nic o nich nie słyszał. O nich ani o swoim jedenaściorgu rodzeństwa. W ręce ma brezentową torbę, a w niej narzędzia i kawałki rur. Idzie skończyć robotę, którą zaczął wczoraj w domu o trzy przecznice dalej. To taki wielki dom z mnóstwem mieszkań. Nikt nie wie dokładnie, ile tam jest tych małych klitek. Piętnaście, szesnaście, może nawet dwadzieścia. Przy każdym spisie część mieszkań znika, za to pojawiają się inne. Wszyscy się w tym gubią. Podobnie jest z lokatorami. Raz ich jest więcej, raz mniej. Nikomu jeszcze nie udało się ich policzyć. Może ich być stu, stu pięćdziesięciu albo i dwustu. Wydział lokalowy patrzy na to przez palce, bo cóż może zrobić.

W jednym z takich mieszkań hydraulik kończy właśnie instalować dwa zbiorniki na wodę. Bardzo porządnie to zrobił. Teraz, gdy pojawi się woda w miejskich wodociągach co zdarza się raz na kilka dni będzie można napełnić oba te zbiorniki. W kącie pokoju, obok kuchenki na naftę, zainstalował kurek nad zlewozmywakiem i połączył go rurką ze zbiornikami. W sumie nic takiego, ale w stosunku do innych mieszkań to był prawdziwy luksus. Ubikacja jest wspólna dla wszystkich lokatorów. Właściwie dwie ubikacje: jedna dla mężczyzn i druga dla kobiet. Oczywiście, ciągle są przed nimi kolejki. Na ogół jednak ludzie nie czekają, tylko srają na papier, a potem zwi jają go i wyrzucają do rynsztoka albo do kublów na śmieci, które stoją przed domem.

Na odkrytym podwórzu są jeszcze dwie betonowe pralnie. Dom zbudowano w kolonialnych czasach, na początku dziewiętnastego wieku, i obecnie jest na pół zrujnowany, pełen szczurów i karaluchów. Wciąż jednak służy i ludzie będą w nim mieszkać, dopóki całkiem się nie rozsypie.

Hydraulik nazywa się Pancraccio. Jemu to nie przeszkadza. Zresztą nawet nie chodzi o to, że mu nie przeszkadza: po prostu nie zdaje sobie sprawy, że jego imię może kogoś śmieszyć. W ogóle takie pojęcia jak piękno czy brzydota sąmu najzupełniej obce. Mieszka sam w malutkim, ale niezależnym pokoju, z którego drzwi wychodzą wprost na uliczkę między uniwersytetem i kabaretem Las Vegas. Jest mu tam nieźle. Prawdę mówiąc, nigdy jeszcze nie mieszkał tak dobrze. W życiu próbował już wszystkiego. Zamiatął ulice, sprzedawał mango i awoka do, malował mieszkania w bogatych dzielnicach. Najbardziej jednak podoba mu się zawód hydraulika. Sam nie wie dlaczego i nigdy się nad tym nie zastanawiał. Podoba mu się. Instalacja zbiorników i zlewozmywaka, a potem połączenie ich rurkami, to na czysto było trzynaście godzin pracy. Teraz jest południe. Właścicielka mieszkania to Murzynka, na oko czterdziestoletnia, zresztą bardzo ładna. Ma męża, dzieci i wnuki. Wczoraj w jej domu było jak w ulu, bo tyle ludzi przewalało się przez jej pokój. Dzisiaj jakoś tak wszystko ułożyła, by być sam na sam z hydraulikiem. Facet wreszcie zebrał narzędzia, popatrzył na nią i powiedział: No dobrze, proszę pani. Zrobione. Jest woda. Wszystko jest w porządku? Tak, Pancraccio, jasne. Wszystko działa. A więc dwieście peso? Tak, proszę pani, dwieście peso. Widzisz, Pancraccio... Mam taki mały problem z pieniędzmi. Nie, proszę pani. Jeśli pani ma jakiś problem z pieniędzmi, to ja w dziesięć minut mogę to wszystko rozmontować i zabrać. Poczekaj, nie bądź taki brutalny. Ja nie jestem brutalny, proszę pani. Mówię tylko, że jeśli pani mi nie zapłaci, rozmontuję to wszystko i pójdę. Dwa dni tu pracowałem. A jak pani na mnie naśle jakiegoś Murzyna, to niech on lepiej uważa. Poczekaj, Pancraccio, możemy porozmawiać. Dogadamy się. Co tu się dogadywać? Dwieście peso i rozstaniemy się w zgodzie. Pancraccio, jak długo już nie miałeś kobiety? A co to panią obchodzi? Obchodzi mnie, i to bardzo. W mieszkaniu jest strasznie gorąco. Pokoik nie ma okna, brakuje też wentylatora. Do tego jeszcze ta okropna wilgoć i smród zgnilizny, grzyba, kurzu, potu, moczu, brudu i karaluchów. Oboje są spoceni, lecz Santa idzie do drzwi, zamyka je na skobel i zapala słabą żarówkę, która wisi samotnie pod sufitem. Odwraca się do hydraulika i rozpiną bluzkę. Nie nosi stanika. Ma wielkie, potężne i cudowne piersi, lekko opadłe, z sutkami czarnymi jak węgiel. Skóra lśni jej od potu. Santa uśmiecha się. Podchodzi do Pancraccia i całkiem już zdejmując bluzkę. Brzuch ma prawie płaski, z pięknym pępkiem, pod którym zaczynają się czarne i skręcone włosy, im niżej, tym gęstsze i bardziej prowokacyjne. Podnosi spódnicę i pokazuje swój wzgórek Wenery. Jest swobodna i pewna siebie oraz władzy, jaką daje to idealne ciało godne afrykańskiej bogini. Wie, że najbardziej zimny i nieczuły facet na sam jej widok rozпали się do czerwoności, i ta świą domość zmienia ją w rozgrzaną kotkę, która wabi samców w czasie ru. Pancraccia zamurowało. Nie wie, co powiedzieć. Seks nigdy zbytnio go nie interesował, a jeszcze teraz z każdym dniem interesuje go coraz mniej. Od trzech lat, a może nawet dłużej, Pancraccio nie miał żadnych seksualnych kontaktów. Widok tej cudownej i imponującej Murzynki, i to tak wyraźnie napalonej, powoduje jednak, że Pancraccio robi się nerwowo: Na miłość boską, proszę pani! Mów do mnie Santa. Ja nie jestem pani. Santa, niech się pani ubierze! Przecież mogą przyjść dzieci. Mąż... Kochanie, nikt nie przyjdzie, nie przejmuj się. Mamy dla siebie całe popołudnie. Nie, nie. Ja chcę tylko pieniądze i zaraz sobie pójdę. Ja... Przestań już o tych pieniądzach. Chodź, zabawimy się. Zobaczysz, że ci się spodoba i będziesz chciał jeszcze. Santa zdjęła spódnicę i majtki. Popchnęła Pancraccia na łóżko, a potem uklekła mu okraciem nad twarzą. Gdy facet poczuł ten ostry i mocny zapach, ostrożnie wsunął czubek języka w jej krocze. Wtedy Santa zaczęła pisać nieczym rozkoszna nastolatka, dla której jest to pierwszy raz. Później już poszli na całość. Santa zna się na rzeczy. Jest prawdziwą ekspertką. Jak zaczęła ruszać biodrami i zaciskać pochwę, facet spuścił się w pięć minut. Wytrysnął jak gejzer. Gęsty biały płyn aż się wylewał ze szpary. Santa była zachwycona. Och, cóż to było?! Ty jesteś dzikus! To niesamowite! Pancraccio leży na niej, widzi ten jej entuzjazm i sam też traci kontrolę nad sobą. Zaczyna ją walić po twarzy. Santa lubi, gdy w takich momentach faceci ją biją: otwartą dłonią w twarz, aż cała skóra piecze. Napala się jeszcze bardziej. Dochodzi. Ma orgazm, a Pancraccio dalej w niej jest i wciąż ma twardego i grubego kutasa. Nie przestaje jej bić. Teraz już ją to boli. Santa próbuje go powstrzymać, ale facet nie panuje nad sobą. Biję ją i wpycha się w nią coraz głębiej, jakby chciał ją przygwoździć do łóżka. Santa czuje, że lada chwila zmiażdży jej wszystkie kości na twarzy. Chce złapać go za ręce, ale Pancraccio jest mocnym mężczyzną. Za chwilę będzie mieć drugi orgazm. Lewą ręką trzyma Santę za szyję, a prawą uderza ją raz za razem po twarzy. Santa dusi się, a on w paroksyzmie wyuzdanej furii powtarza: Masz, kurwo, masz! Masz, weź kutasa, głębiej! Santa jest przerażona. Brakuje jej tchu, ale w chwili, gdy Pancraccio po raz drugi się spuszcza i opada wyczerpany na łóżko, udaje się jej jakoś wyswobodzić. Zrywa się na nogi, staje nad Pancracciem i zaczyna go okładać kulakami po plecach.

Ty skurwysynu, o mało mnie nie zabiłeś! Wariat jesteś czy co? Pancraccio czuje, że ktoś go bije. Raptownie wstaje z łóżka i prawym prostym wali Santę w szczękę. Tylko raz. Nieprzytomna Santa pada na podłogę. Teraz dopiero Pancraccio rozumie, co zrobił. Przynosi dzbanek z wodą i wylewa ją Sancier na twarz. Potrząsa nią. W końcu Santa odzyskuje przytomność. Otwiera oczy i zaczyna głośno krzyczeć, tak żeby wszyscy sąsiedzi słyszeli. Ratunku, ten facet chce mnie zabić! Odejdź ode mnie, ty skurwysynu! Wynoś się! Z nosa i z ust leje się

jej krew. Pancraccio szybko ubiera się i składa do torby swe narzędzia. Santa ani na chwilę nie przestaje krzyżeć. Pancraccio otwiera drzwi. Świeży powiew pozwala mu zaczerpnąć oddechu. W korytarzu jest jakaś staruszka i kilku młodych chłopaków. Patrzą na niego wystraszeni. Pancraccio w ogóle ich nie widzi. Szybko oddala się, słysząc za sobą krzyki Santy. Idzie w górę ulicą do swego mieszkania, które jest o kilka przecznic dalej. Nie boi się. Nie wie, co to znaczy strach. Jest tylko trochę wzburzony. Jego mieszkanie jest zawałone starym i porzewiałym żelastwem oraz najrozmaitszymi szpejami. Przez lata zgromadził mu się w domu cały skład rzeczy związanych z hydrauliką: kawałki rur o różnych średnicach, reduktory, kurki, umywalki i muszle klozetowe. Wszystko brudne, zakurzone i pokryte pajęczynami. W kącie stoi jego łóżko, czyste i idealnie posłane. Przy ścianie jest mały ołtarzyk z Matką Boską Łaskawą z El Cobre, a w głębi mieszkania miniaturowa łazienka z prysznicem. To wszystko. Pancraccio rzuca na podłogę brezentową torbę i podchodzi do naftowego prymusa tuż przy drzwiach do łazienki. Parzy sobie kawę. Nie chce myśleć o tym, co przed chwilą zrobił. Zawsze jest tak samo. Gdy tylko coś się komplikuje, od razu staje mu przed oczyma ten sam wciąż obraz: puste, zaorane pole i ojciec, który motyką bije go po głowie. Pancraccio miał wtedy dwanaście lat. Tego samego wieczoru, poraniony i z krwią ciekącą po czole, uciekł z domu i od swoich jedenaściorga rodzeństwa. Nigdy już tam nie wrócił. Pracował w różnych miejscach, przy tym czy przy tamtym, aż w końcu trafił do Hawany. Ożenił się. To był szczęśliwy dzień w jego życiu. Jedyny naprawdę szczęśliwy. Ale już nazajutrz zaczęły się problemy. Po tygodniu Pancraccio rozwiódł się z żoną. Od tego czasu nic go już nie interesuje. Nawet seks go nie pociąga. A poza tym jest zawsze taki sam jak dzisiaj: w łóżku Pancraccio traci kontrolę nad sobą i zaczyna bić swe kobiety. To był powód, dla którego musiał rozstać się z żoną. Nikt by przecież tego nie wytrzymał. A Pancraccio nie potrafi się opanować. Lubi to. Musi je bić i wyzywać od kurw. To silniejsze od niego. Na szczęście Pancraccio nie myśli. Z nikim nie rozmawia, niczego się nie boi i niczym się nie martwi. Po prostu prześlizguje się przez życie. Tak jak urnie: nie czekając na nic i niczego nie pragnąc. Jego życie jest takie zwykle: skromne jedzenie, bez żadnych szaleństw i przygotowane na naftowym prymusie, kawa, cygaro i praca. Dużo pracy. Praca go otepia i pozwala nie myśleć. Żadnego alkoholu, kobiet ani hazardu. Żadnych przyjaciół. Żadnych kosztownych nałogów. I tak za dużo już wydaje na kawę i na cygara. W kącie pod tymi wszystkimi zakurzonymi rupieciami jest taka specjalna skrytka. Zrobił otwór w podłodze i wylał go cementem. Ma tam tysiące peso schowane pod płytką. To jego jedyna namiętność. Co wieczór odsuwa rury i inne szpeje. Podnosi płytkę, wyciąga pieniądze i je liczy. Potem znów coś do nich dodaje. Nigdy jeszcze nie wziął stamtąd żadnego banknotu. Nawet gdy był głodny. Lubi czuć pod palcami pieniądze. W życiu zna tylko trzy przyjemności: pieniądze, kawę i cygara. Nie wie, dlaczego wystawił ołtarzyk Matce Boskiej z El Cobre. Nigdy o nic Jej nie prosi. Nie urnie się modlić. Czasem nawet myślał, by zlikwidować ten ołtarzyk i wyrzucić go na śmietnik. Ale zabrakło mu odwagi. Kawa jest już gotowa. Pancraccio wlewa ją sobie do filiżanki. Zapala dobre cygaro. Otwiera drzwi i siada w progu. Pali cygaro i patrzy na przechodzących ludzi. Czasem przejeżdża jakaś ciężarówka albo rower. Pancraccio patrzy i zaciąga się dymem. Teraz jest już spokojny. Nie myśli o niczym, tylko patrzy, jak przechodzą ludzie. Pali swoje cygaro. Nic się nie dzieje. Nic nie jest straszne. Nic nie jest piękne. Tylko czasem eksploduje gniew i wylewa się na zewnątrz jak lava. Pancraccio nie panuje nad nim. Potem gniew gaśnie. Gniew każdego może zgubić. Ale Pancraccia nie. Pancraccia nic nie zbawi ani nic nie zgubi.

KASYNO ESPERANZAzak1

Zielony jeep pędził przez San Mzaro. Zamontowali na nim dwa głośniki i dwie czerwone chorągiewki. To miała być taka propagandowa akcja. Samochód jednak przejechał tak szybko, że niczego nie dało się usłyszeć. Tylko urywki zdań: właśnie tworzy się historia, na schodach uniwersytetu, wznosi się po wszystkie czasy. Jeep przemknął jak bolid i na ulicy znów zapanował spokój. Była cisza i bezlitosny południowy upał. Na niebie ani jednej chmury. Na Malecónie kąpało się w morzu kilku chłopaków z dzielnicy. Taplali się przy brzegu w wodzie brudnej od ropy, oleju ze statków, moczu i gówna z całego miasta. Wszystkie ścieki z Hawany płyną prosto do morza, ale chłopakom to nie przeszkadzało. Było tam też kilku dorosłych. Woda może śmierdzieć, ale ludzie i tak będą się w niej kąpać, opalać, popi jać rum i syrop z pokruszonym lodem. Turyści robią im zdjęcia, a oni wtedy na chwilę zamierają w bezruchu jak zahipnotyzowani, śmieją się lub pajacują przed obiektywem. Potem wszystko wraca do normy i dzieci z krzykiem biegną za fotografującymi, dopraszając się monet. Przez chwilę patrzyłem na nich, ale nie działało się nic ciekawego. Dostrzegłem kilka kobiet, ale chudych, brudnych i obdartych, z mnóstwem rozwrzeszczanych bachorów. Położyłem tam jeszcze trochę. Czasem może się trafić coś interesującego. Gdy człowiek jest w dżungli, ciągle musi być czujny. Stale musi polować. Codziennie. W sumie niewiele mi potrzeba: trochę forsy, jedzenia i rumu. Do tego jeszcze parę papierosów i czasem jakaś kobieta. Bez kobiety robię się neurotykiem, lecz równocześnie to straszne mieć przy sobie jakąś idiotkę, która człowieka

potrafi zupełnie zdołować. A poza tym zawsze jest tak samo: zaczyna się od wesołych igraszek w łóżku, od picia razem rumu i od śmiechu z wszystkiego, co człowiek im powie. Wtedy potrafią być czułe. Później zresztą też, ale chcą już czegoś więcej. Chcą, żebyś harował jak wół i przynosił im do domu forszę i jedzenie. Nie tylko dla nich, bo zwykle każda ma troje albo czworo dzieci z trzema lub czterema różnymi facetami, którzy w swoim czasie przelecieli ją a potem gdzieś się rozplynie. Nie, tak się nie da. To nie ze mną. Niech sobie radzą jak mogą a najlepiej, żeby potopiły trochę tych szczeniaków. I tak jest już nas za dużo. Mają dwanaście lat i już umieją się pieprzyć. Kończą czternaście i rodzą pierwszego bachora. Dziesięć lat później mają już czwórkę albo piątkę gówniarzy, którzy latają po ulicy, drą się, żebrzą dajaw kość wszystkim sąsiedziom. Czasem wydaje mi się, że jestem biedakiem na przekór samemu sobie. Biedak nie może analizować wszystkiego ani przyglądać się za bardzo otoczeniu, bo zwariuje albo się powiesi. Ajajestem głupi, bo przez całe życie patrzę na ten ponury krajobraz wokół mnie i myślę. To fatalny nawyk. Śmiertelnie niebezpieczny.

I wtedy nagle zapala mi się w głowie jakaś żaróweczka: kurczę, przecież mogę pójść do tej starej Esperanzy i zagrać sobie w domino. U niej zwykle stawia się po pięć peso. Przy odrobinie szczęścia może się trochę odkuwać. Mogę też przegrać, ale teraz nie będę się nad tym zastanawiać. Niedobrze jest myśleć o złych rzeczach, bo to przynosi pecha. Zostało mi jeszcze w kieszeni jakieś dwadzieścia peso.

Stara mieszka w tym samym budynku co ja, na drugim piętrze. Jest wiedząca i zawsze zajmowała się magią. Gdy do niej przychodzę, od razu czuję się tak jakoś dziwnie. Esperanza ma ciągle kontakt ze zmarłymi. Nie boję się, bo do tej pory nigdy mi się u niej nic nie przyczepiło, ale to trochę niesamowite pomyśleć o tych tabunach duchów, które krążą po jej domu. Esperanza jest bardzo starą chyba trochę straciła już swój dar. Ma coraz mniej klientów, więc musiała pomyśleć o jakimś innym źródle dochodów. Przed rokiem otworzyła u siebie szulernię: jeden stół do domina i drugi do kości. Bierze dwa peso za wstęp, a potem gracze sami już ustalają stawki. Czasem ma nawet zimne piwo. Oczywiście rumu i papierosów nigdy nie brakuje. Można też u niej obstawiać numery na loterię. To taka wenezuelska loteria. Wyniki losowań podaje wieczorem radio Margarita, które całkiem dobrze u nas słychać. Tak czy inaczej, stara robi niezły interes. W dzielnicy złośliwcy mówią na tę jej szulernię Kasyno Esperanza. Oba stoły są zajęte i osiem osób czeka, aż się zwolnią. Stają w kolejce do kości, bo partie domina zwykle trwają dłużej. Esperanza jest w kuchni. Zajmują sobie kolejkę, podchodzę do niej i płacę dwa peso za wstęp. Kupuję podwójny rum i przez chwilę rozmawiamy. Ciągłe mnie namawia, żebym się u niej poradził, i gdy tylko może, próbuje mnie nastraszyć: Pedro Juan, powinieneś sprawdzić, co u ciebie. Widzę przy tobie bardzo mocnego Murzyna, ale stoi tyłem. Czasem pojawia się Indianin, ale też odwrócony plecami. Musisz kupić sobie Indianina i przynieść go do mnie, żebym ci go przygotowała. Potem weźmiesz go z sobą do mieszkania. Ale zanim to wszystko zrobimy, musisz przyjść, żebym cię zobaczyła. Zawsze mi mówi to samo. Ja nie dyskutuję, ale nie chcę się jej radzić. Chodzę do mej matki chrzestnej. Esperanza wie, że tych rzeczy nie wolno mieszać i że porada może być tylko jedna. Dla kilku peso gotowa jest jednak przyjąć samego Mahometa i powiedzieć, że przygotowuje mu specjalny naszyjnik, bo jest synem Changó. Prawdę mówiąc, chcę tylko ubić interes z tą starą. Od kilku dni już jej o nim wspominam, ale ona wciąż zbacza z tego tematu. Otóż pomyślałem sobie, że można by tu wstawić jeszcze jeden stolik do kości, ale taki profesjonalny. Ja byłbym krupierem. Od pewnego czasu już ćwiczę i coraz lepiej mi to idzie. Esperanza, posłuchaj, mogę załatwić porządny stolik z zielonym sukniem i chińskie kości. Oryginalne, z kłów słonia. Wszystko nowe, profesjonalne i takie, jak trzeba. Pełna elegancja. Zobaczysz, jak cito podniesie poziom tej twojej obskurnej i szemranej szulerni. Pedro Juan, jesteś poważnym facetem, więc przestań mnie obrażać. Do czego może być ten twój stolik? Na przykład do tryktraka. Pamiętasz chyba tę grę? Do pięćdziesiątego dziewiątego była bardzo popularna we wszystkich kasynach w Hawanie. Tak, tak, ale wyleciała mi z głowy ta nazwa. A poza tym ja nie chodziłam do kasyn. Jasne, wtedy wolałaś grzeszyć inaczej. Pedro Juan, nie jesteś przecież taki stary. Skąd ty to wszystko wiesz? Och, Esperanza, ty masz jednak straszną sklerozę. Synu, z szacunkiem! Rozmawiamy poważnie. A więc, szanowna pani, mówiłem już sto razy, że mój wujek był krupierem w takim jednym lokalu. W Montmartre. Ma kości i stolik. Nauczył mnie wielu rzeczy i teraz ja chcę się zająć tym biznesem. Powiem ci więcej i możesz palce lizać: mój wujek ma całą skrzynkę z kartami. Sto zapieczetowanych tali. No więc potem otworzę stolik do Black Jacka, a drugi do pokera. Oj, za bardzo chcesz mnie w to wplątać. W nic cię nie chcę wplątać. Ty będziesz tylko zbierać peso. Chłopcze, zejdź na ziemię! Tu nas ciągle pilnują niczego się nie da za bardzo rozkręcić. Wbij to sobie do głowy, bo będziesz mieć kłopoty. Ten triktrak może być, podoba mi się pomysł, tym bardziej że to ty będziesz za wszystko odpowiadać. No to jutro przyniosę stół i zaczniemy. A jak będzie z forszą? Zobaczmy, jak to pójdzie, a potem się umówimy, ile ci będę odpalał. Dobra, przyniesiesz ten stół. Ale chciałam cię uprzedzić, żeby wszystko było już jasne: tu nie ma być żadnych bójek ani awantur. Nikt nie może wejść z bronią. Te czarnuchy wszędzie lubią chodzić z nożem albo przynajmniej z jakimś szydłem. Tu wszystko musi być jak zawsze. Radio lub magnetofon, muzyka, i to głośno. Wszyscy wchodzi i wychodzi pojedynczo, bez

zwracania uwagi. Nikt się nie upi ja i nikt nic nie kombinuje. Od kombinowania jestem ja. Jak mi ktoś podskoczy, to więcej tu nie wejdzie. Aha, i jeszcze jedno: żadnych dziwek. Kobiety zawsze wszystko komplikują i dają mężczyznom powód do awantur, aja chcę, żeby mi tu był spokój i porządek. Tak jak dotąd. Dobrze, proszę pani. To już cała lista czy będzie coś jeszcze? Cała. I zapamiętaj ją sobie, bo jak mi nawalisz raz, to nie będę czekać na drugi. Wylecisz stąd razem z tym stołem i z kopniakiem w dupie. Ostrzegam. OK. Jutro zaczynamy. A jak zrobisz ze stołem? Przyniosę go dziś wieczór. Nie, nic się nie martw, dyskretnie, umiem robić takie rzeczy. Dwa lata trzymali mnie w pierdlu i drugi raz już się nie dam złapać. Tak, tak, wiem, że jesteś sprytny. U białych to normalne. Ha, ha, ha! Daj mi jeszcze jeden podwójny, musimy to oblać. Dobra, ale trzeźwieć będziesz gdzie indziej. Esperanza, ale ty jesteś drętwa! Nigdy się nie śmiejesz? Dość się już naśmiałam w życiu. To prawda, że jesteś z dzielnicy Colón? Jak wiesz, to po co pytasz? Shichaj, kiedy zamknęli tam te wszystkie kluby, ty chyba miałaś jakieś czterdzieści lat? Tak, ale byłam jak cukierek. Palce lizać! Miałam czterdzieści dwa lata, ale gdybyś mnie widział, to byś oszalał. Znalazłam sobie wtedy takiego faceta. Sliczny lalusz, biały, dwadzieścia sześć lat i wyglądał jak aktor filmowy. Ubierałam go w białe garnitury, wszędzie miał pełno złota, na szyi, w zębach, nawet w tych trzonowych. Ciągłe to po tobie widać. Ech, chłopcze, nie żartuj. Nic już nie widać. We wrześniu skończę siedemdziesiąt siedem lat. Ale świetnie się trzymasz. Wyglądasz na sześćdziesiąt. To ty tak mówisz. Mój wujek też tam miał bar. Na rogu Consula do i Virtudes. Ach, tak! Ale tam był spokój. Ten bar do dzisiaj działa. A ty w którym klubie pracowałaś? We wszystkich, synku. Jak skończyłam czternaście lat, to już weszłam do tego biznesu. Przez cztery lata pracowałam nawet w yacht dubie. Wiesz, tym przy porcie. Tak, to było znane miejsce. Liczyło się w Hawanie. Tam nie przychodził byle kto. Wszyscy goście byli w garniturach, z krawatem. Dawali ci prezenty, perfumy, a następnego dnia przysyłali kwiaty. Ludzie z klasą, mieli szyk. My też miałyśmy klasę. Inne tam nie pracowały. Och, to były najlepsze lata w moim życiu. To dlaczego stamtąd odeszłaś? Dobra, dość już. Ty umiesz mnie podejść i za dużo ci już powiedziałam. Nie o wszystkim chcę mówić. Pewne sprawy zabiorę ze sobą do grobu. Wtedy przyszła Katia, córka Esperanzy, i powiedziała nam: Bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Państwo rozmawiają ale ja muszę nakarmić moje dzieci. Kurczę, Katia, ale ty dzisiaj jesteś wytworna! Jak zawsze. Jestem czarna, ale umiem się zachować. Nie tak jak ta twoja dziewczyna, która chce udawać białą ale wciąż wychodzi z niej chamstwo. Katia od roku jest w domowym areszcie. Złapali ją jak kradła w dolarowym sklepie, i dali jej dwa lata. Ma sześciolatniego syna i malutką córeczkę. Na rozprawie też była z brzuchem i dlatego nie wsadzili jej od razu za kraty. Nie może wychodzić z domu. Co jakiś czas zagląda tu policjant i sprawdza, czy Katia jest u siebie. Nie wolno jej nawet pójść do sąsiadki. Gdyby naruszyła ten rezim, wsadziliby ją do pudła. Służy ci ten pobyt w domu. Tak myślisz? Ha! Dziewczyno! Katia była zawsze taką bardzo chudą Murzyneczką. Teraz przytyła przynajmniej piętnaście kilo, ale nie poszło tojej w tłuszcz, tylko w cycki, dupcię i uda. Świetnie się to u niej rozdzieliło. Ojcem jej dzieci jest taki czarny recydywista, który mieszka w domu naprzeciw. To straszny bandzior. Esperanza nie chce go widzieć u siebie. Przedtem Katia chodziła z nim pieprzyć się na schody albo chowali się w jakimś innym miejscu. Teraz nie wiem, jak to jest, bo jej nie wolno się ruszać, a on ma zakaz wstępu do domu. Czasem rzucam haczyk i patrzę, czy Katia go weźmie. Ona lubi się ze mną podrażnić, kręci mi tyłkiem przed nosem i na tym koniec. Może i chętnie by się zabawiła, ale ma tego swego faceta, a gość jest raczej trudny. Gdyby ją przyłapał na jakimś skoku w bok, to nieźle by jej zerznął dupę. Albo i gorzej. Siedzę w kuchni oparty o stół i patrzę na Katię. Może coś wskóram u niej tym spojrzeniem. Cóż mam robić? Przecież nie rzucę się na nią. I nagle widzę Isabel. Hej! A ty tu skąd? Oj, kochanie! Wiem, że wilka ciągnie do lasu, więc my, kobiety, musimy być czujne. Katia robi pogardliwą minę i wypuszcza strzałę. Możesz być czujna, a czasem i tak nic nie poradzisz. Ktoś ci sprzątnie faceta, a ty zostajesz na lodzie. No właśnie. Zwłaszcza gdy nie można wyjść z domu. Zaraz, zaraz! Co to znaczy? To miał być żart? Wmieszałem się, bo rozmowa przybrała nie najlepszy obrót. Dobra, przestańcie już. Isabel, po co tu przyszłaś? Szukać sprzeczki? Idź na górę i poczekaj na mnie. Nigdzie nie pójde. Ty popi jasz sobie rum, aja co? Gorsza jestem? Nie mogę? Kurczę, chciałem zagrać w kości. W kości? Tutaj w kuchni? Z Katią? Tojakaś dziwna gra! Słuchaj, uspokój się. Przestań już rozrabiać. Ja tu zostaję. Będę twoją maskotką i przyniosę ci szczęście. Wyjdę razem z tobą. Kochanie, wiem, że lubisz takie dupiaste Murzynki, ale dzisiaj nie pójdzie ci tak łatwo. Cholera jasna! Wzięłam ją poszliśmy do pokoju, gdzie były stoły do gry. Zaczęliśmy się przyglądać. Z kobietami zawsze jest problem. Przelecisz je parę razy i już im się wydaje, że mają prawo do ciebie. Jak się ugniesz i nie zareagujesz w porę, to ci wleżą na głowę i będziesz mieć przesrane. Isabel oparta łokciami o parapet gapiała się na ulicę. Ja chwyciłem kubek i zacząłem grać z takimi trzema gośćmi. Robiło się coraz goręcej w tej norze. Tużin facetów stał nam za plecami i czekał na swojakolej. No dobra, jutro zrobię im frajdę tym triktrakiem. Ledwie zdążyłem rzucić trzy razy, a tu nagle w pokoju obok zrobił się straszny rejwach. Najpierw usłyszeliśmy krzyk sąsiadki. Ty bezwstydniku! Jak powiem mojemu synowi, to ci łeb rozwali! Nie potrzeba nam tu zboczeńców! A potem zaczęły wrzeszczeć Esperanza i

Katia. Ktoś kogoś bił. Bachory Katu darły się jak opętane. Esperanza dostała ataku hysterii, wypadła z pokoju z pasem w rękę, którym okładała Katię. Nagle w korytarzu zabrakło jej tchu. Z czarnej zrobiła się popielata. Upadła i jej głowa uderzyła jak kamień o podłogę. Leżała wyprostowana i sztywna. Katia z płaczem rzuciła się na nią. Mamo! krzyczała. Mamo, co ci się stało? Nie umieraj! Ludzie, pomocy! Ratunku! Skorzystałem z tego zamieszania. Wsadziłem do kieszeni kubek i kości. Nikt się nie spostrzegł. Wszyscy uciekli w popłochu, jakby ich gonił sam diabeł. Isabel złapała mnie za rękę. W jednej sekundzie byliśmy na schodach i biegliśmy na nasz dach. Osiem pięter. Dotarliśmy na górę zadyszani. Esperanzę chyba szlag trafił powiedziałem. Chyba? Ja wiem, że na pewno. Widziałaś, co się stało? Jasne. Ten czarnuch Katu wyszedł na taras, żeby się wykapać. Ty, oczywiście, musiałaś to zobaczyć. A ty niby nie lubisz patrzeć na dupiaste Murzynki? Mnie rajcują Murzyni o takich długich kutasach. No to dlaczego wciąż jesteś ze mną?

Już, kochanie, daj spokój. On mnie wcale nie widział. Byłam w oknie, ale tak z boku. Podglądaczka! Ty też podglądasz i sam sobie trzepiesz, więc nie rób z siebie świętoszka. No dobra, i co było dalej? Katia też była w oknie, ale w drugim pokoju. Zaczęła go prowokować. Pokazywała mu język i cycki. I czarnuch się napalił. Od razu. Był tylko w slipach. Wyciągnął z nich kutasa. I to jakiego! On między nogami ma prawdziwą bestię! Nie wiem, jak Katia sobie z nim radzi. Zaczął go sobie trzepać. Obiema rękami, ale i tak ledwie się mu w nich mieścił. No ale skąd ta cała awantura? Bo ta stara Ofelia, wiesz, ta z trzeciego piętra, też to widziała ze swego okna. Zaczęła krzyżeć, że to skandal, że tak nie można i tak dalej. Za późno, bo ten Murzyn już się właśnie spuszczał: oczy w słup i całą fontannę przed siebie. Kurczę, jacy ci czarni są w tych momentach brzydki! Esperanza usłyszała te krzyki Ofelii, podeszła do okna i zrobiła piekło. Katu nieźle się dostało. Esperanza nie cierpi tego faceta. Nie cierpiała. Teraz Esperanzę zakopią, a on będzie mieszkał z Katią i z dziećmi. Zapomni o tej swojej zagrzybionej norze. Teraz on tu będzie rządził. Zobaczysz. Owinie sobie Katię wokół palca. Cholera, mój biznes diabli wzięli. Jaki biznes? Ach, taki, który już sobie obgadałem z Esperanzą. Masz pecha, kochanie. Ani rusz nie możesz wyjść na prostą. Przynajmniej w tym zamieszaniu zwędziłem kubek i kości. To zawsze jest coś. Tak. Zobaczysz. Wypłynę. Muszę pokombinować i oni wszyscy będą jeszcze grać tylko dla mnie.

JA, NAJBARDZIEJ NIEWIERNY

W więzieniu najwspanialsze jest to, że uczysz się być w zgodzie z samym sobą. Potrafisz żyć w malutkiej przestrzeni i niczego więcej nie potrzebujesz. Równocześnie rozwi jasz całą swą przebiegłość samotnego wilka, by inne głodomory nie pożarły cię albo nie zajęły tej twojej życiowej przestrzeni. Uczysz się trwać w bezruchu, nic nie robić ani na nic nie czekać. Zapominasz o czasie i o tym wszystkim, co dzieje się na zewnątrz. To samo robi wiele zwierząt. Zapadają w letarg. Spią. W ten sposób nieświa domie wytwarzasz jakby skorupę, która cię broni. Taki twardy ochronny pancerz, którego uczysz się skutecznie używać. Aż tu nagle pewnego dnia wzywają cię do biura, zadają mnóstwo idiotycznych pytań, żeby wypełnić papiery, a potem ci mówią: Wasz wyrok został skrócony o pięć lat i sześć miesięcy. Spakujcie swoje rzeczy. Po południu możecie stąd iść. To nie znaczy, że są tacy dobrzy i szlachetni. Po prostu muszą od czasu do czasu poszukać paru lepiej rokujących okazów i wypuszczać na wolność, bo w więzieniu jest już dwa razy więcej osadzonych, niż powinno. Brakuje jedzenia, ubrań, butów i pracy dla takiej masy ludzi. No dobra. A więc po pobidniujestem wolny. Wychodzę na ulicę. Idę do tej mojej nory na dachu, gdzie mieszkałem, zanim mnie zamknęli. Nie było mnie tam dwa i pół roku. Po cichu otwieram drzwi, stoję w progu i zaglądam do mrocznego wnętrza. Parę rzeczy się zmieniło przez ten czas. Isabel ma innego faceta i zajmują teraz dwa mieszkania: jej i moje. Jak widać, Isabel nie traciła czasu. Wystraszyli się. Po tym więzieniu muszę chyba wyglądać jak groźny, ponury i wyrachowany typ. To część tego mojego pancerza. Isabel i jej facet coś bełkoczą. Nic nie rozumiem. Po trzech miesiącach Isabel przestała przychodzić do więzienia, a więc od dwóch lat i trzech miesięcy nie widzieliśmy się i nie mieliśmy o sobie żadnych wia domości. Jajuz nawet zapomniałem trochę jej twarzy. Teraz Isabel nie wie, co robić, i zaczyna mnie przeproszać. Mnie na tym nie zależy. W końcu byliśmy z sobą ledwie kilka miesięcy. Może rok, nie pamiętam. Potem złapali mnie pod tym hotelem, gdzie pokazywałem kutasa jakiejś starej turystce, której zachciało się ostrego seksu, i wszystko szlag trafił. Nic mnie nie łączy z Isabel, ale ona lubi udawać kochającą żonę. Kiedy mnie odwiedzała w więzieniu, ciągle od niej słyszałem: kiedy nasza miłość kwitła albo będę czekać choćby całe wieki. Śmiałem się wtedy i kpiłem: Co ci jest, że się tak wyrażasz? Mówisz jak dama. Musiałaś złapać jakiegoś kulturalnego gościa i powtarzasz teraz po nim jak papuga. Ona wtedy robiła się czerwona, spuszczała wzrok i gorąco wszystkiemu przeczyła. A wkrótce potem przestała przychodzić. Zniknęła dla mnie. Aż do dzisiaj. Mówi teraz, że wszystko mi wytłumaczy. Dobra, Isabel, skończ już. Nic mi nie musisz tłumaczyć. Czy ja cię o coś pytam? Wyprowadź mi tylko stąd tego gościa. Przejdę się trochę i za godzinę chcę mieć puste mieszkanie. Nigdzie nie musisz iść, Pedro Juan. Już w tej chwili wszystko stąd zabierzemy. Idę. Chcę ci dać czas, żebyś tu

posprzątała i wywietrzyła ten pedalski zapach. Facet udał, że nie słyszy. Lubię być ostry, jak przystało na syna wojowniczego Oggóna. Miękki to będę dopiero na cmentarzu, półtora metra pod ziemią. Zszedłem na dół i usiadłem na murze Malecónu. Jestem za bardzo wyciszony i samotny, by zostać na tarasie, gdzie od razu zacząłby się rejwach. Już widzę, jak wylażą sąsiedzi i krzyczą: Ach, Pedro Juan! Wróciłeś! Zaraz wyciągnęliby rum, bębny i zaczęłaby się impreza na całego. Nie. Nie mam nastroju do rumu ani imprez. Od dawna a dokładnie od dwóch i pół roku nie piłem rumu ani kawy, nie dotykałem bębnow batń i nie próbowałem maryški. I nie miałem żadnej kobiety. To nie to samo wsadzić w dupę jakiemuś pedałowi albo przetrzepać sobie własnoręcznie. No cóż, zgorzkniałem w tym więzieniu. Muszę trochę побыć sam i lepiej niech mnie nikt nie dotyka, bo wybuchnę, a teraz na pewno nie wolno mi się pakować w jakieś problemy. Jest już prawie wieczór i ostatni dzień sierpnia. Wilgotny, duszny upał. Nagle pogoda zaczyna się zmieniać. Niebo zakrywają ciężkie, czarne chmury. Z północy zrywa się wiatr. Rzeški i pachnący. Dziwne srebrzyste światło rozlewa się po morzu i po budynkach na brzegu. Czterdzieści lat tu mieszkam i nigdy czegoś takiego nie widziałem. Na górze brutalna ciemność i chmury jak roztopiony ołów, na dole wszystko jest srebrne, świetliste i delikatne. To takie piękne przywitanie się z Oggónem. Czuję jakby dreszcz. Oggón domaga się rumu i tytoniu. Teraz już mogę muje dać. Muszę gdzieś zdobyć szklanke rumu i jakieś dobre cygaro. Podzielimy się nimi w mieszkaniu. Mam nadzieję, że Isabel nie tknęła jego żelaz ani kociołka, bo chybabym ją zabił. Nagle zaczyna padać i cholernie wiać. Prawdziwy potop. W jednej chwili jestem cały mokry. Woda orzeźwia mnie, więc zostaję na Malecónie. Morze jest gładkie jak stół, a srebrzyste światło pomału znika. Deszcz zacina coraz bardziej. Zamykam oczy. Słyszę tylko i czuję na sobie spadające krople. Czuję wolność. Dopiero teraz dociera do mnie, że znów jestem wolny i że mogę robić, co chcę. Mogę się poruszać, mogę biec. Mogę poszukać kobiety, poczarować ją, zawrócić jej w głowie i jeszcze dziś w nocy się z nią przespać. Jestem wolny i szczęśliwy. Wypełnia mnie ra dość. Z nieba dalej woda leje się na mnie strumieniami. Deszcz przybrał na sile i jest coraz ciemniej. Po chwili ulewa staje się trochę mniejsza. Jest już noc. Wracam do domu. Wspinam się na ósme piętro, potem na mój dach. Mieszkanie jest już puste. Isabel daje mi klucz i znów próbuje ze mną porozmawiać. Wciąż trochę się mnie boi. Czemu tak zmokłeś? A co cię to obchodzi? Poczekaj, poszukam ręcznika. Nie, idź sobie. Jak chcesz... Wchodzę do mieszkania. Nie ma w nim nic. Tylko wciąż ten sam brudny i wypatroszony materac, który zostawiłem na łóżku, a w kącie drewniana skrzynka z żelastwem Oggóna. Nachylam się nad skrzynką. Trzy razy pukam w deskę. Witam się i proszę o wybaczenie, że nie przyniosłem rumu ani cygar. Mówię, że musi poczekać do jutra. Gaszę żarówkę. Wyciągam się na materacu i znów słyszę Isabel. Woła mnie i puka do drzwi. Otwieram. P odaje mi szklanke z wódką i cygaro. Boi się wejść i tylko stoi w progu. A to co? Pamiętam, co zawsze lubieś. W pierwszej chwili nie chcę, ale Isabel już zdążyła wyjść. Kurczę, skąd ona to wiedziała? Szukam po omacku kontaktu i znów zapalam żarówkę. Idę do skrzynki Oggóna. Żelaza są zakurzone i pokryte pajęczynami. Kłaniam się i wypluwam na nie łyk wódki. Muszę się znów u niego zasłużyć. I wtedy Isabel jeszcze raz poj awia się w drzwiach. Masz zapaliki? Nie. No to weź. Podaje mi pudełko. Teraz już zostaje. Ta dziwka lubi z siebie robić troskliwą mamuszkę. Zapalam cygaro i dmucham dymem na żelaza. Reszta będzie dla mnie. Isabel stoi i wpatruje się we mnie. Lubię tak patrzeć, jak pijesz rum i palisz cygaro. Ja też się jej przyglądam i nic nie mówię. Ten facet już się wyniósł. Słuchaj, to nie było nic poważnego. Mnie nie obchodzi twoje życie. Przestań mi już o nim opowiadać. Zostawiłam ci trochę jedzenia. Cały talerz, na potem. Masz jeszcze wódkę? Poszła do siebie i po chwili przyniosła pół butelki. Nalała mi. A masz może miód? Dla Oggóna? Na te jego żelaza? Tak. Chce go ode mnie, odkąd tu przyszedłem. Nie mam. Ale jutro rano pójde i ci go załatwię. Przez dłuższy czas milczałem. Rozkoszowałem się tym, że mogę być u siebie w domu, przy kociołku Oggóna, że piję wódkę i palę dobre cygaro i że jest przy mnie fajna babka, która aż się rwie, by pójść ze mną do łóżka. Za oknem zaczęło grzmieć. Otworzyłem drzwi i wyszedłem, by popatrzeć. Nasze mieszkania moje i Isabel są jedynymi na dachu, które mają widok na morze. Reszta to labirynt bud skleconych ze spróchniałych desek i kawałków cegieł. Ludzie żyjąw nich głodni, dusząc się od upału i od smrodu. Daleko nad morzem przewalała się burza. Od nas z tarasu widać było tylko błyskawice. Tutaj w Hawanie ulewa przeszła w gęsty drobny deszcz. Wiatr ucichł. Słyszałem tylko delikatny werbel kropel na eternitowym dachu. To była taka monotonna i kojąca muzyka. Miałem wrażenie, że lata temu moja dusza opuściła mnie i teraz właśnie wracała. Czulem, jak pomahi wchodzi w moją krew i przenika do wszystkich zakamarków ciała. Isabel usiadła na łóżku. Czekala na mnie. Wystarczyło, że na nią spojrzalem, i od razu miałem erekcję. Wciąż mi się podoba ta Mulatka. W końcujak mogę od niej wymagać wierności? Sam jestem przecież jednym z najbardziej niewiernych facetów. Zamknąłem drzwi. Pomału zaczęliśmy się rozbierać. Objęliśmy się i pocałowali. Byliśmy blisko, ciało tuż przy ciele. Serce mocno mi zabiło i poczułem lzy w oczach. Ale powstrzymałemje. Nie mogłem przecież rozplakać się przed tą dziewczyną. Wszedłem w nią bardzo powoli i cały czas gładząc ją po włosach. Była wilgotna i rozkoszna. Czulem się, jakbym wchodził do rajy. Ale też jej tego nie mówiłem. Wolę ją kochać po swojemu, milczaco, tak żeby o tym

nie wiedziała.

WIDOK NA RUINY

Berta ma siedemdziesiąt sześć lat. Mieszka sama na ósmym piętrze, przedostatnim w takim wysokim budynku przy San Lazaro w Hawanie Centrum. Wychodzi na balkon i od razu wpada w depresję. Wszystko dokoła jest jak po bombardowaniu. Same ruiny. W dole słychać tylko głuchy szum zdewastowanego miasta. Od pewnego czasu Berta przestała nawet otwierać drzwi na balkon. Z każdym dniem chroni się coraz bardziej wśród pamiątek, które trzyma w szafie i w szufladach komody. Sąto suknie, rękawiczki, kapelusze z kwiatami, zaproszenia na bale, puste flakoniki po francuskich perfumach, bielizna z holenderskimi koronkami, pantofelki na szpilkach, szkatułki pełne naszyjników z pereł, bransoletek, kolii, klipsów i kolczyków. Wszystko pachnące cedrowym drewnem szafy i naftaliną. Wszystko zmięte, pożółkłe i delikatne. Większości tych rzeczy nie nosi się już od trzydziestu albo i czterdziestu lat. Kiedyś jej mąż umarł, Berta miała sześćdziesiąt trzy lata. On dziewięćdziesiąt cztery. Był bardzo znanym i wziętym lekarzem w Hawanie. Nigdy go nie kochała. Nigdy się jej nie podobał fizycznie. Kiedy się poznali, Berta była uroczą osiemnastolatką, a on mocno już dojrzałym czterdziestodwuletnim wdowcem. Traktował ją po ojcowsku i obiecywał gwiazdkę z nieba. Berta dała się oczarować. Po kilku dniach odbył się ich ślub. Odtąd życie Berty składało się z samych przyjęć, rozrywek i podróży: Meksyk, Portoryko, Miami, Caracas, Nowy Jork. Aż wreszcie wszystko zaczęło się kończyć. Powoli. Dzielnica przestała być tym, czym była dawniej. Zamieszkali ją już inni ludzie: prymitywni Murzyni i najrozmaitsze chamstwo przybyłe z prowincji. Wszyscy brudni, źle ubrani i bez żadnego wykształcenia. Nikt nie dba o mieszkanie i o budynki, więc popadają w ruinę i pomału zmieniają się w obskurne noclegownie dla tysięcy osób gnieźdzących się w nich jak karaluchy. Chudych, źle odżywionych, obdartych i bezrobotnych. Całymi dniami piją rum, palą marihuanę, grają na bębnach i mnożą się jak króliki. Ludzie są tu ograniczeni, nie mają żadnych perspektyw. Śmieją się tylko. Z wszystkiego. Nikt nie jest smutny, nikt nie chce się zabić i nikogo niemartwi, że te ruiny mogą kiedyś runąć i ich wszystkich pogrzebać. Nie. Wprost przeciwnie. Dokoła wszystko się wali, a ci ludzie żyją za dowoleni, śmieją się, korzystają z życia, i tylko stale są czujni. Węch, słuch i wszystkie zmysły mają wyostrzone. Są jak te małe i słabe zwierzęta, które wiedzą że nigdy nie będą mocne ani groźne, więc nauczyły się koncentrować całą energię i używać swych wszystkich innych umiejętności. Urodzili się w rumach, więc teraz muszą walczyć. Trwać. Nie mogą pozwolić, by ktoś im kazał się poddać. Wszystko wolno, każdy sposób jest dobry, byle tylko nie dać się pokonać. Berta już od lat mieszka sama. Nie ma dzieci. W życiu знаła tylko jedną miłość: pełną szacunku miłość mężczyzny, którego traktowała jak ojca. Był to dobry i łagodny człowiek, z którym rzadko sypiała. Zawsze wtedy była wystraszona, zamykała oczy i pragnęła, żeby jak najszybciej skończył i z niej zszedł. Ale zawsze też była i jest bardzo zmysłową i romantyczną kobietą. Wciąż lubiła czytać *Damę kameliową*, *Annę Kareninę* i *Wichrowe Wzgórze*. Już od lat wzrok nie pozwala jej czytać, szyć ani robić na drutach, ale i tak wieczorami siada i patrzy na ilustracje w starych numerach *Rodziny*. Ma całokolekcję roczników tego pisma. Głównie interesują ją strony z haftami i z robótkami na szydełku. Na przykład, jak można zrobić wełniane skarpetki. Lubi też powoli przeglądać fotografie ze swego ślubu i z podróży. Żyje w ciszy i wśród wspomnień. Często jest głodna. Renta po mężu nie starcza jej na życie, a poza tym niewiele można kupić na kartki. Berta nieraz myśli: To są czasy dla młodych i silnych. Starzy nie mają szans. Tu się nie da żyć. Tutaj kończy się jej refleksja. Nigdy nie była zbyt mocna w myśleniu. Nie potrzebowała. W ten sposób Berta pomału zamknęła się zupełnie w swym mieszkaniu. Boi się z niego wychodzić, a poza tym strasznie ją męczą schody. Winda od lat już nie działa. Tylko raz na miesiąc Berta wyprawia się do banku, by odebrać rentę. Zaraz po pierwszym jakiś chłopak z sąsiedztwa przynosi jej kilka małych toreb z kartkowym jedzeniem. To wszystko, i musi jej wystarczyć. Berta dużo się modli do Matki Boskiej Łaskawej i przywykła już do ciszy, głodu i do braku pieniędzy. Pogodziła się już z tym, że jest przeraźliwie chuda i że całe dni spędza zamknięta w mieszkaniu, które robi się coraz bardziej brudne. Z dwóch powodów: Berta nie ma dolarów na mydło i proszek i brakuje jej sił, żeby sprzątać. A poza tym jej nie zależy. Jest jej wszystko jedno. Teraz już się nawet nie czesze, bo na szczotce zostawały jej całe pasma włosów, więc przestraszyła się, że wyłysieje. Zęby ma wciąż swoje własne, brakuje jej tylko trzech trzonowych. I nigdy nie choruje. W tej części miasta, mimo jej ogólnego upadku, przynajmniej zawsze jest prąd. Z jakichś przyczyn technicznych nie da się go okresowo wyłączać dla oszczędności. Dla Berty to prawdziwe szczęście, bo panicznie boi się ciemności. Zawsze śpi przy zapalonym świetle. Niżej, na siódmym piętrze, od pewnego czasu są nowi lokatorzy. Poprzedni wyjechali do Miami. Przez kilka miesięcy mieszkanie stało puste i zapieczętowane, aż w końcu zajęła je jakaś inna rodzina. Kupa ludzi. Ciągłe jest u nich harmider, nie umieją mówić po cichu, drą się, kłócąc nawołując po schodach. Do tego jeszcze radio na cały regulator, zabawy, pi jatyki i tańce aż do rana. Dają popalić sąsiedzi dom. Teraz łomem zaczęli rozwalać ściany i budować nowe, by podzielić mieszkanie na małe klitki. Jest ich dużo, więc się nie

mieszczą przy dotychczasowym podziale. Mieszkanie miało całkiem sporo pokoi, ale ich jest coraz więcej. Co roku rodzą się nowe dzieci. Najpierw Berta się ich bała. Unikala ich, starała się z nimi nie spotykać na schodach. Wydawali się jej bandą rozwrzeszczanych lumpów, którzy zdepczą i zniszczą wszystko, co im stanie na drodze. Ale mi ją zamiesiają i oto babka, najstarsza z rodziny, zaczyna zauważać Bertę. Czasem zatrzyma się, przywita, coś tam zagada. Potem któregoś dnia kupuje chleb, zrobi pranie albo przyśle przez kogoś talerz ryżu z mlekiem. Raz ofiaruje jej mydło, a raz każe którejś wnuczce posprzątać u Berty w mieszkaniu. Z początku Berta nie dostrzega tej zmiany. Wszystko dzieje się powoli, bez pośpiechu. To dobrzy ludzie, myśli wreszcie Berta, która pomalu zaczyna się pozbywać tej całej podejrzliwości, jaka się w niej nagromadziła przez lata samotnego życia. Teraz ciągle ktoś jej towarzyszy. Któraś z dziewcząt myje jej włosy szamponem, inna robi jej manicure albo ciepłą kąpiel. Czasem nawet przynoszą Bercie trochę wody kolońskiej. I bardzo pilnują się u niej w domu. Nie hałasują, nie krzyczą nie kłócą się. U siebie też ściszą radio i starają się Bercie nie przeszkadzać. Berta nie jest już głodna i nie chodzi tak brudna jak dawniej, kiedy nie myła się tygodniami. A poza tym na powrót nauczyła się rozmawiać z ludźmi. Teraz nawet ośmiela się otwierać drzwi na balkon. Dokoła dalej są ruiny, ale młodzi ludzie ich nie widzą. Młodzi patrzą głównie na innych ludzi. Widzą przystojnego mężczyznę, który przechodzi ulicą albo zapóźnioną kurewkę, która o dziesiątej rano wraca do domu w wieczorowej sukience. Zobaczą ładny nowoczesny samochód, ślub w odkrytym chevrolecie rocznik 57, z kolorowymi balonikami albo kilku starych piaków zataczających się na rogu. Młodzieńczy optymizm jest dla Berty ochronnym pancerzem. Życie stało się dla niej ciekawsze i weselsze. Pewnego dnia rano pojawił się Omar. To jeden z tej rodziny z dołu. Czyjś tam brat, kuzyn takiej czy innej, siostrzeniec starej. Skąd się wziął? Mieszkał kiedyś na siódmym? Tak, ale potem wyjechał do innego miasta. Teraz właśnie wrócił. Mało mówi o sobie, bardzo ogólnie. Trudno coś z tego zrozumieć. Stara przedstawiła go jako swojego siostrzeńca. Omar ma dwadzieścia trzy lata, jest przystojnym ciemnym mężczyzną z pięknymi włosami zaczesanymi do tyłu. Jest szczupły, ale szeroki w ramionach. I umie mówić. Umie czarować kobiety. Kiedyś musiałaś być bardzo ładna. To widać. Tak, byłam. Naprawdę jeszcze widać? Pewnie. Masz taką delikatną i zadbaną skórę. Berta wyciąga zdjęcia z dzieciństwa, z młodości, ze swojego ślubu. Chce, żeby zobaczył, jaka była piękna. To taki przyjemny chłopak. I to pośród takiego prostactwa. A on tymczasem dalej ją czaruje. Gdybym żył w tamtych czasach, chyba bym się z tobą ożenił. Lubię eleganckie i subtelne kobiety. Nawet byś na mnie nie spojrziała. Byłbyś zblazowanym donżuanem. Kim? Donżuanem. Dandysem. Takim, co tylko z kwiatka na kwiatek. Dobra, ale na pewno przeżylibyśmy niezapomniany romans. Berta nie wie, co na to odpowiedzieć. Czuje się pochlebiona. To emocjonujące po tylu latach ciszy i samotności spotkać takiego księcia z bajki, który jej mówi same komplementy. Ach, chłopcze, mógłbyś być moim wnukiem. Ale nie jestem, więc po co o tym myślisz? Myśl o rzeczach pięknych. Omar nie pracuje, nie uczy się. Nie robi nic. Cały jego majątek to krótkie spodnie, stary wypłowiały podkoszulek i zniszczone sandały na gumowych podszewkach. Jest kompletnym golcem. Jego marzeniem jest wyjechać do Stanów i mieszkać w którymś z tamtych zimnych i zaśnieżonych miast, gdzie ludzie chodzą dobrze ubrani. Chciałby pracować jako kierowca ogromnego trucka albo autobusu. Ożeniłby się z jasnowłosą Amerykanką o błękitnych oczach i jeździłby po autostradach swą supernowoczesną ciężarówką. Miałby troje albo czworo dzieci, oczywiście białych, ale dzieci czasem lubią wdać się w dziadków. Wtedy któreś mogłoby się urodzić jeszcze ciemniejsze niż on. Omar jest strasznym rasistą. Sam jest mieszańcem: ma kręcone włosy, grube wargi i dość ciemną skórę, ale nie aż tak jak u Murzynów. Zresztą u niego w rodzinie wszyscy są mieszańcami. Od dziecka nazywali go Maurem, bo rzeczywiście wygląda na Araba. Wie, że jest przystojny, ale wolałby być białym. Wykształconym i dobrze ubranym białym, który ma pieniądze, samochód i duży, wygodnie urządzonej dom. Tak jak wszystkim marzy mu się to, czego nie ma. Gdy zobaczył mieszkanie Berty te wszystkie antyczne meble, dywany, zasłony i bibeloty z porcelany i brązu pomyślał sobie: To musi być moje. Omar jest uwodzicielem z powołania. Nic innego nie potrafi robić. To jest jego sposób na życie. Lubi, jak kobiety go utrzymują. Albo mężczyźni, wszystko jedno. Poza tym lubi dojrzałe kobiety i dojrzałych mężczyzn, którzy równocześnie mogą być dla niego kochankami oraz matkami i ojcami. Tak jest łatwiej, bo nie musi się martwić o pieniądze. Całe godziny spędzał na rozmowach z Bertą. Słuchał jej opowieści, bez końca przeglądali razem stare fotografie. Babka i dziewczyny z siódmego piętra sprzątały Bercie mieszkanie, prały i przynosiły jedzenie. Omar i Berta rozmawiali. Z każdym dniem dłużej. Dobrze było im razem. Pewnego popołudnia Omar zapukał do drzwi Berty. Przedtem trochę wypił. W jednej ręce miał talerz z jedzeniem, a w drugiej szklankę pełną rumu. Berta, to od mojej ciotki. Och, spaghetti, jak ja je lubię! Poczekaj, nie jedz jeszcze. Napij się najpierw. Nie, nie, chłopcze. Od lat nie miałam w ustach rumu. No to choć trochę spróbuj. Berta ledwie zanurza wargi w szklance. Jest cała spięta. Od pewnego czasu wciąż tylko chciałaby być z Omarem. Gdy go widzi, serce od razu jej przyspiesza. I jest niespokojna, gdy mi ją godziny, a Omara nie ma.

Omar włącza radio. Szuka stacji z jakąś spokojną muzyką, a potem od tyłu podchodzi do siedzącej w fotelu

Berty. Kładzie ręce na jej ramionach. Berta zaczyna drzeć, a serce bije jej jak oszalałe. Wprawne dłonie Omara masują ją po karku. Berta, rozluźnij się. Nie bądź taka sztywna. Berta zupełnie już zapomniała, czym jest ludzki dotyk. Nie pamięta, kiedy ostatni raz ktoś jej dotykał. Jej mąż przestał to robić na jakieś dziesięć lub dwanaście lat przed śmiercią. Może nawet wcześniej. A ona nigdy nie była z innym mężczyzną. Z trudem udaje się jej wyartykułować parę słów: Jestem taka zdenerwowana. Omar, dlaczego mi to robisz? Bo mi się podobaś. Przecież jestem stara. Nie jesteś stara i podobaś mi się. Bóg cię pokarze za te kłamstwa. Ja nie kłamię. Podobasz mi się. Bardzo pomalutką zsunął jej z ramion sukienkę. Wciąż ją masował i dotykał wargami jej karku. Później zdjął jej biustonosz. Zaczął ją gładzić po piersiach, pomarszczonych i obwisłych, ale wciąż z różowymi i aż lubieżnymi sutkami. Och, te twoje cycuszki są obłądne! Nie, Omar, przestań. Mnie to krępuje. Pozwól mi się ubrać. Masz, napij się.

Nabiera w usta rumu, całuje Bertę i przy okazji zmuszają, by go przełknęła. Potem gryzie ją piersi językiem obiegając jej sutki. Pomalutką coraz bardziej jęrozgrzewa. A najdziwniejsze, że sam też się napala, zupełnie jakby miał przed sobą kobietę o gładkiej i elastycznej skórze, a nie mocno już zwiędłą i pomarszczoną siedemdziesięciosześcioletnią staruszkę. Zsuwa z bioder szorty. Nie ma pod nimi slipów. Berta widzi jego zarośnięte czarnymi włosami podbrzusze. Jest coraz bardziej nerwowa, ale patrzy jak urzeczona. Po chwili ma przed oczami owo monstrum, grube i prawie całkiem czarne. Jej mąż miał ledwie połowę tego. A na dodatek u niego było blade i miękkie. Nigdy tak twarde i wielkie. Omar wie, że ją zahipnotyzował. Podnosi ją z fotela, całuje i znów w ten sam sposób każe jej przełknąć trochę rumu. Znosi ją do sypialni. Po drodze ściąga z niej do końca sukienkę i majtki. Jest zdumiony. Ta staruszka wciąż ma różową cipkę z ciemnoczerwonymi wargami i gąszczem siwych włosów dokoła. Jest strasznie dużo tych włosów: ani jednego czarnego, wszystkie kompletnie białe. Wąska szpara pośrodku wygląda na nietkniętą. To, co Omar wyobrażał sobie jako ciężką próbę, nagle okazuje się łatwym i bardzo wdzięcznym zadaniem. Wtula twarz w podbrzusze Berty, całuje ją, a potem ostrożnie wsuwa w nią język. Berta jest ciasna, wilgotna i przyjemnie pachnie. Obojgu jest dobrze. Berta w milczeniu przeżywa coś, o czym nigdy nie sądziła, że jest możliwe. Omar rozwija wszystkie swe umiejętności, aż w końcu po półtorej godziny dochodzi. Chce zrobić starej dodatkową przyjemność, więc spuszcza się na jej piersi, a później gryzie umazane spermą sutki. Nie do wiary, ale Berta jakoś to przeżyła. Jest szczęśliwa i wdzięczna, ale zupełnie wyczerpana. Omar też. W sumie jednak było bardzo fajnie. Przez cały tydzień będą to powtarzać każdego popołudnia. Berta uczy się robić rzeczy, o których nie miała pojęcia. Za każdym razem jest jej coraz lepiej. Pewnego wieczoru, gdy kolejny ich seans zakończył się równą obfitością Berta zapytała Omara: Dlaczego nie przeprowadzisz się do mnie? Wiesz, nawet by mi to pasowało, ale nie. Dlaczego nie? Widzisz, Berta, ja jestem mężczyzną. Nie lubię być zależny od kobiet. Ale... Nie, nie. Jestem ci bardzo wdzięczny, ale zostanę u ciotki. Mogę tam dalej spać na podłodze. Śpisz na podłodze? Tak. Rozkładałam kapę z łóżka i śpię. Jestem przyzwyczajony, nie przejmuj się. Berta milczy przez chwilę, aż wreszcie zbiera się na odwagę. Posłuchaj, Omar, z naturalnych przyczyn niewiele mi już zostało życia. Och, nie mów tak. Możemy jutro pójść do notariusza. Zrobię testament i wszystko ci w nim zapiszę. Mieszkanie, meble, co tylko mam. Teraz Omar milczy. Ale proszę cię, zostań dziś na noc. I potem też. Dobrze, Berta. Ty jesteś moim jedynym szczęściem. Przenieś się do ciebie. Następnego dnia Omar zaprowadził Bertę do notariusza. Spisała testament. Wrócili do domu, a potem Omar zostawił ją samą i zniknął na dwa dni. Miał inną kobietę. Taką piękną czterdziestoosmioletnią Mulatkę, która go utrzymywała. Sprawiała mu już ubranie i buty. Obiecała też kupić złoty łańcuszek. Berta była bardzo niespokojna. Przez cały tydzień miała Omara dla siebie i czasem nawet kochali się dwa razy dziennie. O drugiej po południu nie mogła już wytrzymać i zawołała ciotkę Omara. Ta przyniosła jej jakiś proszek na uspokojenie i siedziała przy niej tak długo, aż Berta w końcu zasnęła. Drugi dzień był jeszcze gorszy. Omar wciąż nie przychodził, a do tego wieczorem na kilka godzin zgasło światło. Coś niespotykanego w tej dzielnicy. Musiała to być jakaś awaria sieci. Przerażona Berta znów zawołała ciotkę Omara. Stara natychmiast przybiegła. Berta siedziała w ciemnościach i była cała rozdygotana. Nikt w sąsiedztwie nie miał latarki ani nawet zwykłej lampy naftowej. W końcu kuzynka Omara przyniosła ogarek świeczki, którą zapalała dla świętych. To nikle światełko nie uspokoiło Berty. Ja strasznie boję się ciemności. Od dziecka. Gdzie jest Omar? Gdyby przynajmniej Omar tu był. Zaraz go poszukamy. Przyjdzie. Gdzie jest? Wysłałam go, żeby mi załatwił taką rzecz. Niech się pani nie martwi, przyjdzie. Na pewno jest u jakiejś innej. U młodszej. Nie, pani Berto. Niech pani nawet tak nie myśli. Jestem przekonana, że ma inną. A ja tu jestem sama. Nie. On naprawdę panią bardzo kocha.

Nie, nie wierzę. Ubiorę się. Zawołaj szofera, chcę gdzieś pojechać potańczyć. Jest tu dziś w okolicy jakiś bal? Co takiego? Przynies mi tę moją sukienkę z tafty. Wiesz, tę różową. Nie będę tu siedzieć po ciemku, podczas gdy on się łądacz z jakąś inną kobietą. Ależ pani Berto, co się pani stało? Nic mi się nie stało. Puśćcie jakąś muzykę i przygotujcie mi kąpiel, taką relaksującą, z solami. Potem trochę perfum, najlepiej Channel. Chcę

ładnie pachnieć, kied przyjdzie Omar. Tak, tak, oczywiście. Ale pośpiesz się, kobieto. I poszukaj mi tej sukni. Jak Omar się spóźni, to pojedę sama. Berta wstaje z fotela. Nagle kręci się jej w głowie i upada na podłogę. Jest nieprzytomna, ale żyje, bo gwałtownie łapie powietrze. Umarła dopiero w szpitalu o trzeciej nad ranem, nie odzyskawszy przytomności. Lekarz zapytał, czy ostatnio nie przeżyła jakiegoś emocjonalnego wstrząsu. W szpitalu była tylko ciotka Omara. Młodzi za wiele gadają, więc wolała zostać sama przy Bercie. Była spokojna, ale bardzo przejęta i strapiona, gdy odpowiadała lekarzowi. Ależ skąd, panie doktorze! Myśmy się o nią tak troszczyli! Ja lepiej bym nie traktowała swojej własnej matki. Miała udar mózgu, więc dlatego pytam. Nie, panie doktorze. Ona prowadziła takie spokojne i beztrudne życie. Przy nas niczego jej nie brakowało. Chce pani, żebyśmy zrobili sekcję? W ten sposób będziemy mogli dokładniej określić przyczynę zgonu. Oczywiście, panie doktorze. Byłabym bardzo wdzięczna. Pan doktor wie, jak to jest z ludźmi. Zaczną plotkować i w końcu wyjdzie, że myśmy ją otruli.

MAJ DIR DRUMS MASTER

Miałem na tarasie pułapkę na gołębie. Właściwie były to dwie skrzynki. W jednej z nich trzymałem gołębia, który miał wabić samiczki. Na okolicznych tarasach mnóstwo ludzi hoduje gołębie pocztowe.

Mnie się nie chce tego robić. Mój sposób jest prostszy. Dziennie łapię jedną, czasem dwie gołębicę. Sprzedaję je później po dwadzieścia peso takiemu facetowi, który handluje gołębiarni. Podobno na potrzeby kultu, ale nie wiem. Może je piecze i sprzedaje jako kurczaki. Mnie to nie obchodzi. Ja chcę tylko przeżyć. Nigdzie nie ma pracy, a tym bardziej dla kogoś, kto spędził parę lat w więzieniu. I tak mi mi ja dzień. Pilnuję pułapki i próbuję zmusić mo jego gołębia, żeby trochę polatał. To taki mocny samiec, ale chyba za bardzo go zmęczyłem. Siedzi ogłupiały i nie chce mu się latać. Może mu się znudziło, bo nie rozumie, dlaczego ciągle ma pecha:

szuka sobie jakiejś ładnej samiczki, znajduje ją, sprowadza do klatki, uwodzi, aż tu nagle ona znika, a on zostaje sam i nie wie, co się stało. Z początku był wtedy niespokojny, wystraszony i miotał się rozpaczliwie po klatce. Wyglądało, że za chwilę zwariuje. Teraz już nie. Teraz gość robi się tylko coraz bardziej smutny, aleja mu nie dają czasu na psychiczne depresje. Znow mu każe latać i szukać innej samiczki. Mają tu sprowadzić i od nowa. Gołębiowi, którego się używa na wabia, nie można pozwolić na amory. Zakocha się taki, straci głowę, polecą za samiczką i tyle będę go widział. Tak to jest z miłością. Dlatego żadnej miłości. Szkoda czasu na głupoty. No i tym się właśnie zajmowałem pilnowałem klatek i gołębia kiedy pewnego dnia rano przyszła do mnie Isabel z parą jasnowłosych, niebieskookich i białych Europejczyków. Dziewczyna była zdrowa i dość korpulentna, ale facet przypominał nieboszczyka. Robił fatalne wrażenie. Oboje uśmiechali się i rozglądali dokoła. Chyba byli trochę zaskoczeni tym moim dachem i widokiem na morze. Słuchaj, Pedro Juan, chciałam ci przedstawić moich przyjaciół. Poznaliśmy się na Malecónie. Kiedy? Teraz? Tak, przed chwileczką. Dziewczyna mówiła trochę po hiszpańsku, facet nie, no więc ona zaczęła: Dzień dobry. Dzień dobry. Ha! ar ju? Do ju spik Inglisz? Very bad. Do ju spik Spanisz? Tylko trochę. A lot of Inglisz and a lot of Spanisz yz so macz. Ha, ha, ha! To jest dobry rachunek. Jea. Do ju nid room or anyfing? Nie... Tak... Może, mejbi. Ach! Hi yz jur hazbend, jur partner? Hi yz maj friend. Przyjaciel. On jest muzyk. Ja antropolog.

Porozmawialiśmy sobie jeszcze przez chwilę takim łamanym językiem. Facet nic nie mówił, tylko na zmianę patrzył na nią i na mnie. W końcu Isabel nam przerwała: Facet chce się nauczyć grać na bębnie. Powiedziałam, że świetnie się składa, bo ty jesteś nauczycielem muzyki. Ja? Tak, ty. Oni płacą za lekcje, a ty jesteś nauczycielem muzyki. Zaraz, ja na bębnie... Coś im tam mogę pokazać... Nie, no jasne, pewnie! Kochanie, nie jesteś zbyt lotny. Kurczę, no to fajnie! Widzisz, Bóg człowieka próbuje, ale go ratuje. Co wy mówicie? zapytała Angela. Kiedy mówicie szybko, ja nie rozumiem. Proszę, jeszcze raz powoli. Mówimy, że tak. Mogę pokazać, jak się gra na bębnie. Na takim kubańskim. Nazywa się tumba dora. Cuban drum. Chcecie? Och, tak! On bardzo chce. Ty jesteś profesorem? Tak, jestem profesorem. Od perkusji. Ty też chcesz się uczyć? Nie, ja nie. Folklor nie. No tak... And... Włot ebał ju? Twoje imię jakie jest? Pedro Juan, a to jest Isabel. Ja Angela and hi yz Peter. Jesteśmy imiennikami. Pardon? Tak samo się nazywamy. On i ja. Nie rozumiem. Pedro yz similar to Peter. Ar dze sejm nejms. Och! Dobra, nieważne. No więc on chce grać na bębnie, aja go mogę uczyć. O forsie pogadamy później. A ty co? Ty tylko zwiedzasz? Jesteś na wakacjach? Nie, nie. Będę tutaj rok. Robię studia. On tylko piętnaście dni. Ma mało czasu. A więc masz stypendium. Co studiujesz? Zaczęła grzebać w plecaku i po chwili wyciągnęła jakieś kubańskie pismo sprzed dwóch lat. Szybko je przekartkowała i pokazała mi artykuł Czarnobiała miłość o rasizmie w erotycznych kontaktach między ludźmi na Kubie. Był to rodzaj ankiety i wypowiadały się w niej wyłącznie mieszane pary: on czarny, ona biała albo odwrotnie. Wszyscy mówili o

przykrościach, jakie ich spotykają w rodzinie i wśród znajomych. Co to ma być? Rasizm. Przez rok będę tutaj badać rasizm. Potem napiszę treatise. Wiesz, co to jest? Treatise, praca. Tak. I co? Chcesz robić doktorat? Ach, ju no! Tak, tak. Tu piszę, bronię w Europie. Zaraz potem Angela zaczęła nas zasypywać pytaniami. Isabel jest Mulatką a ja wyglądam na całkiem białego. Tymczasem Peter złapał bęben, który stał w kącie, i zaczął w niego walić. Zupełnie bez sensu. Znęcał się nad nim, jakby mu coś zawiniła ta biedna tumba dora, która nie mogła się bronić. To była po prostu zbrodnia wobec nieszczęsnego bębna. Próbowałem mu pokazać jakiś rytm, ale nic z tego: uważnie słuchał, wpatrywał się we mnie, a potem wszystko robił po swojemu. Angela powiedziała nam, że to taki muzyczny geniusz. Podobno świetnie grał na fortepianie, skrzypcach, saksofonie, gitarze, oboju i na różnych ludowych instrumentach swego kraju. No dobra, tu mi zupełnie nie wyglądał na geniusza. Już drugiego dnia uznałem, że to beznadziejny przypadek. Brałem forszę za lekcję, pokazywałem mu coś nowego i wychodziłem. On zostawał i bębnił. Przynajmniej nie musiałem słuchać tej pozbawionej rytmu łupaniny. Facet jadł tylko jarzyny, parzył jakąś herbatkę z ziółek, coś tam pisał w grubym notesie i patrzył na morze. Nie palił, nie pił, nawet żadnej kawy, nic. Przez cały ten czas nie mogliśmy sobie nawet pogadać. Patrzyliśmy tylko na siebie i uśmiechaliśmy się. Czasem wyciągał aparat i robił zdjęcia. Po kilku dniach naszego wspólnego mieszkania Angela była milcząca i znudzona. No i co? Skończył ci się już twój zapas pytań? Co mówisz? Nie rozumiem, mów powoli, proszę. Już nie masz więcej pytań do Isabel i do mnie? Ach, nie. Juz nie. i co będziesz robić? Myśleć. Jesteś teoretyczką. Teoria jest potrzebna. Tak, ale praktyka jest fajniejsza. Pardon? Znajdź sobie jakiegoś sensownego Murzyna i pomieszkać z nim. Nagle jej na pół znudzona i na pół smutna twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem. Och, tak! To jest możliwe? Pewnie! Co mam zrobić? Nic. Poszukać sobie Murzyna, który ci się spodoba, pomieszkać z nim, a potem napisać pracę. Badania terenowe. Tak, tak. Tylko zapłać mi, zanim sobie pójdziesz. Tak. Jutro zapłacę za siebie. Przeprowadzam się. Już? Tak szybko? Już zdążyłaś znaleźć jakiegoś czarnucha? Ty to jesteś niezły numer! Nie rozumiem. Mów powoli, proszę. Mówię, że dobrze robisz. Ucz się. Ucz się od Murzynów. Następnego dnia Angela spakowała plecak, zapłaciła i poszła. Nigdy nie mieliśmy tylu pieniędzy naraz. Postanowiłem wypuścić mojego gołębia, żeby poleciał sobie i znalazł wreszcie jakąś fajną samyczkę. Ale nic z tego. Stracił chęć do życia. Został sam i smutny na tarasie. Zdechł, bo prawdę mówiąc, zapomniałem, że go mam, i nie dawałem mujeść ani pić. No nic. Zgłupiał, więc skończył jak wszystkie głupki.

Peter dalej łomotał w bęben, popi jał ziółka i patrzył na morze, czerpiąc z niego natchnienie, albo czytał małą książeczkę zatytułowaną John Cage. Ciągłe mi się wydawało, że u niego jest kiepsko ze zdrowiem, ale nie chciałem go o to pytać. Uśmiechaliśmy się tylko do siebie. Pokazywałem mu taki czy inny rytm, on go uważnie słuchał, a potem sam zabierał się do bębna i wydobywał z niego jakiś celtycki albo nordycki łoskot. Nie, facet był niewyuczalny. Miał drewniane ucho. Patrzył na mnie, oczekując aprobaty. Ja wtedy uśmiechałem się i mówiłem: Och, good, good! Wszystkie dziewczyny z sąsiedztwa uwzięły się na niego. Każda chciała, żeby ją przeleciał. Narzucały się mu. On tylko uśmiechał się i patrzył na morze. Kompletnie go nie interesowały. Może to pedał? zapytała mnie kiedyś Isabel. Nie wygląda. Ty też nie wyglądasz, a lubisz, jak ci wsadzam palec do dupy. Słuchaj, jak cię strzelę! Przecież to prawda. Dobra, dobra. Ale śmieszne.

Przed wyjazdem kupił ode mnie ten bęben i zabrał go ze sobą. Później przez sześć miesięcy przychodziły do nas pocztówki z jego miasta. Zawsze zaczynały się: My dir drums master. Potem było kilka słów w obcym języku. Mam je do tej pory. Jest ich sześć. Jedna na miesiąc. Minęło znów trochę czasu i przypadkiem spotkałem Angelę. Jechała na rowerze, była cała spocona. Bardzo dobrze już mówiła po hiszpańsku. Ra dośnie wyściskaliśmy się na środku ulicy. Angela nieźle się już zaaklimatyzowała. Była wesoła, uśmiechnięta i dużo bardziej otwarta niż przedtem. Wiesz, Peter dość długo przysyłał mi kartki, ale potem przestał. Nie wiem, co się z nim dzieje. Pedro Juan, teraz ci już mogę powiedzieć. Peter był bardzo chory, kiedy przyjechał na Kubę. Myślę, że umarł. Tak? A co mu było? AIDS. Och. To dlaczego chciał się uczyć na bębnie, jak mu już wtedy tak niewiele zostało?

Nie wiem. To był mój przyjaciel. Prosił, żebym z nim poszła do ciebie. Ja nie chcę więcej wiedzieć. Nie, ja też nie. Dobra, porozmawiajmy o czymś weselszym, A twój Murzyn? Mój Murzyn? Przecież załatwiłaś sobie jakiegoś Murzyna. Do twego doktoratu. To nie był jeden Murzyn. To było dużo Murzynów. Fajnie miałaś. Dla antropologa to dobre. Tak, tak. Właśnie. Poznałam trzydziestu dwóch Murzynów. Mam dużo materiałów. Notatki, zdjęcia, całą dokumentację. To były dobre badania terenowe. A teraz co? Żadnego z sobą nie weźmiesz? Nie zakochałaś się? Nie, nie, to były tylko badania. Oni tak, dużo miłości, dużo seksu, sam ogień. Ale ja nie. Ja pracowałam. Myślałam, że się zakochasz tu na Kubie. Ze ci się spodoba jakiś Murzyn. Och, tak, spodobali mi się. Ale ja nie chcę miłości. Nie mam czasu. Dla mnie to problem mieć narzeczony na Kubie. To dalej jesteś sama. Tak, tak. Ale wrócę. Może się spotkam z którymś. Prześpiemy się i stop. Na tym koniec. Ach, tak. No to w porządku. Tak, u mnie wszystko jest OK. Jak wrócisz, to odwiedź nas na tym dachu. Tak, przyjdę. Obiecuję. Cześć, Angela. Szczęśliwej drogi. Cześć, Pedro Juan. Trzymaj się. Jeszcze

raz się uściśniliśmy i każde z nas poszło lub pojechało w swoją stronę. Tamte pieniądze za lekcje dawno mi się już skończyły i nie było żadnego innego cudzoziemca, który chciałby się uczyć gry na bębnie. To dobry interes, tylko uczniów jest nie za dużo. Gdy mi ich akurat brak, muszę znów sprzedawać taki mocny i aromatyczny towar w bardzo dobrym gatunku. Mam z tego kilka peso, ale lekcje bębna są na pewno mniej ryzykowne i w sumie dają więcej. Tak, to jest moje powołanie: drums master.

BATY, DUŻO BATÓW

Mieszkanie Roberta jest całe zakratowane. Wszędzie są grube pręty, sztaby i solidne kłódki. Człowiek czuje się tam jak w więzieniu. Dawniej nikt nie robił takich ordynarnych zabezpieczeń. Od kilku lat jest inaczej. Teraz gdy ktoś ma coś wartościowego, to się nawet nie zastanawia, tylko od razu zakłada kraty.

Roberto ma w domu setki bibelotów z europejskiej i japońskiej porcelany, z brązu, z jadeitu albo z kości słoniowej. Wszystko bardzo stare, misterne i autentyczne. Roberto zna się na tych rzeczach. Przez całe życie kupował je pomału i systematycznie. Zawsze szukał okazji, żeby kupić tanio. Przeważnie kupuje od takich dystygowanych i podupadłych dam. Są to starsze panie, które nie tak łatwo się poddają. Z godnością próbują ajakoś przeżyć, ale do pewnego czasu. Przychodzi moment, kiedy mają już dość głodowania i zaczynają się pozbywać różnych rzeczy z domu. Tanio. Tu naszyjnik z pereł, tam złota broszka, lampa stołowa, porcelanowa lalka, dębowe meble z jadalni, dywan. Wszystko za bezcen, żeby tylko móc coś zjeść i przeżyć jeszcze jeden dzień. Roberto przez całe lata je urabia. Dzwoni do nich, odwiedza je, przynosi im różne małe prezenty: pół kilo mleka w proszku, mydélko, paczuszkę herbaty albo słoik keczupu. Przy okazji poplotkuje, pośmieje się, opowie jakąś anegdotkę. Trudno powiedzieć, ile Roberto ma lat. Na pewno ponad sześćdziesiąt. Jest bezwstydnym i zdeprawowanym cynikiem. Do tego jeszcze wariatką. Kompletną. Niektóre z tych podupadłych dam też są bezwstydne. Są wśród nich damy do towarzystwa jak lubią mówić o sobie najbardziej eleganckich mężczyzn z przedrewolucyjnej Hawany. Czasem Roberto nazywa je heterami, a one wtedy się śmieją i wspominają dawne dobre czasy. Roberto przynosi też pornograficzne czasopisma i zostawia im je na kilka dni. Panie są olśnione i podekscytowane, patrząc na kolorowe fotografie pięknych kopulujących par. To po prostu znaczy, że Roberto używa wszelkich możliwych środków. Wszystko jest dobre, jeśli pozwala mu osiągnąć cel. Zdobył zaufanie i zaprzyjaźnił się z dziesiątkami podupadłych dam. Zwłaszcza w Hawanie Centrum i w Veda do. W Starej Hawanie ten gatunek już zanikł. Całkiem go wytępiono. Roberto zawsze był bardzo żywy, wesoły i życzliwy ludziom. Zawsze chętnie pogadał, poplotkował. Pasjami lubił zielone dywany, kotary z czerwonego aksamitu, lustra w złożonych ramach, delikatne światło, ciężkie perfumy i operetkowe arie. Zachwycają go El Pichi i Las Leandras. Cekiny, koronki, stukot obcasów, fru, fai szerokich sukien. Przesypane naftaliną trzyma w szafle stroje do hiszpańskich tańców, koronkową bieliznę i kastaniety. Od dawna nie używa już tych rekwizytów. Przedtem urządzał u siebie w mieszkaniu huczne imprezy, podczas których udawał Lolę Flores. Do dziś zna na pamięć cały jej repertuar. Wszyscy świetnie się bawili, a potem Roberto odkrywał, że raz zniknęła mu popielniczka, raz kieliszki albo srebrne sztucce, kiedy indziej dzbanek albo figurka z brązu. Zawsze wtedy oburzał się na ludzką nieuczciwość i wreszcie sobie powiedział: Wszyscy elegancy i wykształceni ludzie z klasą dawno już wyjechali z Kuby. Została sama swołocz. Kurwa, przecież tu nie ma nikogo na poziomie! Nie, nie będzie więcej imprez. Koniec! Akurat w radiu dawali modną wówczas salsę: Jesteśmy cool, jesteśmy top, jesteś my tacy, bo ludzie tak chcą... Po co nam innymi być, jesteśmy przecież super. Super? zaczął się zastanawiać Roberto. Właśnie to znaczy być super? Wyłączył radio i od tego czasu poświęcił się wyłącznie malarstwu i swojej kolekcji antyków. Malował olejne płótna o krzykliwych kolorach i nieporadnym rysunku: Chinki w kimonach na moście, zakochane pary pod palmami podczas księżycowej nocy, akty, które miały naśla dować Maję naga, i inne tego typu bohomazy. A najdziwniejsze, że sprzedawał te swoje dzieła. Co prawda bardzo tanio. W jeden dzień potrafił wyprodukować nawet i sześć takich potworków. Malował je taśmowo. Ustawiał przed sobą trzy płótna i kolejno nakładał na nie błękit: woda, woda, woda. Potem most, most, most. Chinka w kimonie, Chinka w kimonie, Chinka w kimonie. Po prawej stronie wierzba płacząca, wierzba, wierzba. Czasem znów całymi tygodniami Roberto malował tylko aftykańskie królowe w chińskich lektykach niesionych przez smukłych Murzynów ubranych po egipsku. Dokoła dżungla, anakondy zwisające z gałęzi i lwy czyhające po obu stronach ścieżki. Trochę dalej słonie i żyrafy. Roberto miał dużo klientów. Takie rzeczy nieźle się sprzedają pod warunkiem że kupujący nigdy przedtem nie widział porządnego obrazu. Roberto był szczęśliwy. Mówił o sobie, że jest znanym hawańskim malarzem, i był święcie przekonany, że w narodowym związku artystów plastyków wszyscy mu szczerze i bezgranicznie zazdroszą. Od lat się staram o członkostwo, ale oni wciąż się nie godzą. To zazdrość. Wiedzą że mógłbym ich przyćmić. Zawsze lubił to wszystkim powtarzać. Napuszony i za dowolony z siebie. No więc od pewnego czasu dla Roberta istnieją tylko malarstwo i

jego pieczołowicie gromadzona kolekcja. Na tym punkcie ma kompletnego bzika. Żadnego seksu, żadnych imprez, żadnych wizyt w barach, nic. Nigdy też z nikim nie związał się na stałe. Lubi Murzynów. Więcej nawet: czuje do nich autentyczną pasję. Problem tylko, że teraz się ich boi. Od czasu, gdy go napadli. Było to parę lat temu, w taki sobotni wieczór. Przyszło ich trzech, przystojnych i ogromnych. Zapukali do drzwi. Mogło się to wydawać normalne, bo wszyscy wiedzieli, że Roberto dobrze płaci. Dziwne było tylko, że jest ich aż tylu. Zwykle mężczyźni nie lubią mieć świadków, kiedy przychodzą do pedałów. Na szczęście Roberto spostrzegł, że coś jest nie tak, i nie otworzył kraty. Tylko drzwi. Gdy zobaczyli, że nie tak łatwo będzie im wejść, rozpięli spodnie i pokazali swe wyposażenie. Na widok tych ogromnych, żylastych i muskularnych instrumentów w Roberta jakby piorun strzelił. Stał nieruchomo, niezdolny do ucieczki jak młody jelonek zahipnotyzowany wzrokiem wygłodniałych wilków. Po chwili podszedł do kraty i wyciągnął rękę, by dotknąć tych nieprawdopodobnych monstrów. Nie, nie zamierzał otwierać kraty, bo Murzyni wyglądali na autentycznych kryminalistów. Nie byli jak ci wszyscy normalni faceci z sąsiedztwa, którzy od czasu do czasu odwiedzali Roberta, ale zawsze po kryjomu i w wielkiej tajemnicy, bo nie chcieli, by ktoś się domyślił, że za pięćdziesiąt peso wsadzają kutasa do dupy staremu pedałowi. Teraz Roberto miał przed sobą trzech ogromnych i rozrośniętych twardzieli o byczych karkach i ogolonych głowach, ze złotymi łańcuszkami dyndającymi na piersiach. Och, to obłędne! Niech przynajmniej dotknę! zawołał do jednego z nich Roberto. I jeszcze bardziej zbliżył się do kraty. Wtedy Murzyn złapał Roberta za ramię, drugą ręką chwycił go za kark i z całej siły uderzył jego głową o żelazne pręty. Jazda, ty pierdolony pedale, dawaj klucze! Gdzie masz klucze? Roberto nawet nie pisnął. Z miejsca stracił przytomność i upadł na podłogę. I to go uratowało. Bandyci spłoszyli się, gdy zobaczyli krew, i uciekli. Gdy parę minut później Roberto ocknął się, całą twarz miał we krwi, która płynęła z szerokiej rany na czole. Musiał pojechać do szpitala. Dyżurny policjant zaprowadził go na komisariat, żeby zgłosił napad. Potem zaczął się rwetes: psy, detektywi, zbieranie odcisków, nie kończące się przesłuchania. Roberto był w fatalnym stanie psychicznym: wciąż przerażony, nie reagował na nic i nie potrafił wyjść z emocjonalnego szoku. Nigdy nie przypuszczał, że akuratjemu może się coś takiego przydarzyć. Zamknął się w mieszkaniu. Podejrzewał, że bandyci wrócą by się z nim porachować za to, że powia domił policję. Bał się. Całymi dniami siedział w bujanym fotelu i palił jedno cygaro po drugim. Wpadł w straszliwą depresję i czuł tylko smutek, strach i niepokój. W ogóle nie chciał wstać z fotela. Obok miał małą arabską szkatułkę, a w niej fotografię ślicznej młodzianki dziewczyny. Na odwrocie była dedykacja: Robertowi kochająca Caruca, Hawana, 12 września 1932. Oboje mieli wtedy po szesnaście lat. Ona mu się bardzo podobała. Od trzech miesięcy chodzili ze sobą i dotąd tylko całowali się ukradkiem. Caruca chciała czegoś więcej. Żeby przynajmniej złapał ją za pierś. W końcu postanowiła przejąć inicjatywę. Poszli do kina na Matę Hari z Gretą Garbo. Caruca położyła Robertowi rękę na udzie, a potem powoli przesunęła jąw stronę krocza. Zaczęła szukać dłonią. Nic nie znalazła. Jeszcze raz, dokładniej. Roberto drżał i cały był oblany zimnym potem. Ona nie traciła nadziei i wciąż macała dłonią. Nie było nic. Wtedy postanowiła pójść na całość. Była bardzo rezydentną dziewczyną. Rozpięła Robertowi pasek, potem parę guzików w spodniach i wsunęła rękę do środka. Nie było włosów. Trochę niżej znalazła miękki pomarszczony penis, a pod nim dwa drobne orzeszki, malutkie jak niemowlęcia. Przez chwilę siedziała nieruchomo. Nie wiedziała, co robić. Później wstała i bez słowa wyszła. Roberto rozplakał się. Jak dziecko: długim i niepoohamowanym szlochem. Był zdruzgotany. Jakiś facet popatrzył na niego, niepostrzeżenie podszedł i usiadł obok. Po chwili wyciągnął swój całkiem spory instrument i zaczął go sobie masować. W

ciemnoS
ciach wypełnionych nosowym głosem Greta Garbo i mimo łez Roberto wszystko to dokładnie widział. Najpierw się wystraszył. Szybko otarł łzy i udawał, że interesuje go wyłącznie Mata Hari. Facet wziął go za rękę i położył ją sobie na kutasie. Robertowi spodobało się i zacisnął dłoń. Nigdy nie widział czegoś tak grubego i wielkiego. A już na pewno nie dotykał. Bardzo mu się spodobało. W tym momencie odkrył swoje ziemskie powołanie.

Odtąd nigdy już nie słyszał o Camce, jednak zawsze gdy czuł się smutny i samotny, brał do rąk tę fotografię. To były trzy miesiące miłości. Jedynej miłości, jaką kiedykolwiek przeżył. Nie potrafi o niej zapomnieć. Albo raczej nie chce. Została mu po niej tylko ta fotografia i dwa krótkie listy od Caruki. To wszystko.

Dni mi jały i Roberto pogrążał się w coraz większej depresji. Ciągłe tylko palił cygara i pił kawę. Jedną filiżankę po drugiej. Nawet przestał już myśleć. Po sześciu dniach zapukała do niego sąsiadka. Roberto nie zareagował. Roberto, czy ty jeszcze żyjesz? Odezwij się, bo pójde po policję, żeby wyłamali drzwi! Uśmiechnął się. Z trudem wstał, podszedł do drzwi i otworzył. Sąsiadka była wstrząśnięta. Matko Boska, Roberto, jak ty wyglądasz! Co się z tobą dzieje? Nic. Ciągłe się boisz tamtych bandziorów? Och, stary, nie martw się, oni już nie wrócą! Poczekaj, przyniosę ci trochę zupy. Nie, nie. Ugotowałam jąw myśląo tobie. Nie pozwolę, żebyś zmarł z głodu. Już zaraz, poczekaj, za minutę tu będę. Po chwili sąsiadka wróciła z talerzem zupy i z Glendą, swoją siostrzenicą, która niedawno przyjechała z prowincji. Była to chuda i najwyraźniej niedożywiona

dziewczyna o miłym, lecz równocześnie nieco perwersyjnym wyrazie twarzy. Skórę miała pełną plam spowodowanych przez takiego pasożyta, którego u nas nazywają wity. Do tego jeszcze długie, brudne i rozczochrane włosy, mocno nieświeża i wyblakła sukienka oraz bardzo zniszczone ręce. No dobra. W sumie wyglądała dość nędznie i niechlujnie, ale na przekór temu była wesoła, rozmowna i serdeczna. Posiedziała trochę z Robertem, podczas gdy on jadł zupę. Gadali o różnych rzeczach, a potem Glenda zaczęła opowiadać o sobie: Strasznie nudne życie miałam w tej mojej pipidówce. W końcu uciekałam do cyrku. Pracowałam tam cztery lata. Co robiłaś? Najpierw byłam tancerką. Tańczyłam rumbę. Byłyśmy trzy, nazywałyśmy się Ogniste Mulatki. Na zmianę z kłownami wypełniałyśmy przerwy między numerami. No więc cztery lata tańczyłaś rumbę. Nie. Tylko na początku. Później... później weszłam w spółkę z Zorro. To taki stary skurwysyn. Występowaliśmy razem. Mieliśmy numer z batem. Nazywał się Zorro i Srebrna Kobieta. Musiał być fajny. Wychodziłaś goła i tylko pomalowana na srebrno. Coś ty! Ale wymyślasz! Nie. Miałam na sobie malutkie bikini i byłam owinięta w szeroką pelerynę. Wszystko ze srebrzystej lamy. W pewnej chwili zrzucałam z siebie pelerynę i wyglądało, jakbym chciała sprowokować Zorro. Wtedy on brał bat i zaczynał mnie gonić, aja uciekałam. Rzuciałam wafelki, papierosy, kawałki staniolu, a on trafiał je batem w powietrzu. Czasem mnie też się oberwało, bo Zorro nie zawsze miał aż tak dobry cel. Nieźle to musiało wyglądać. Chybaby mi się podobało. Wiesz, to był taki pieprzny numer. Ja wtedy byłam trochę grubsza, miałam większe cycki i tyłek. No tak, teraz z ciebie to sama skóra i kości. Widzisz, przydałby mi się jakiś stary i bogaty gość, który by o mnie trochę zadbał. Na przykład ty. Och, dziecko, zwariowałaś? Wiesz przecież, że mnie podobają się tylko faceci. Tak jak tobie. Jesteśmy tacy sami. Nie, wcale nie. Zobaczyłbyś, że cię potrafię napalić. I to jak! Nawet sobie nie wyobrażasz. Och, nie. Ja mam wstręt do kobiet. Przekonasz się... Poczekaj moment, zaraz wracam. Poszła do mieszkania swej ciotki. Po chwili wróciła z plastikową torbą. Wyciągnęła z niej bat i gumowy wibrator. Popatrz. To są rzeczy Zorro. Najpierw łałam go batem, a potem wpychałam mu wibrator. Skąd to teraz masz? Ten twój Zorro umarł? Nie, ukradłam mu te zabawki i uciekałam. Znudził mi się facet. Codziennie po przedstawieniu musiałam walić go batem i wsadzać mu do dupy tego gumowego kutasa. To był kompletny zboczeniec. I nigdy nie miał dosyć. Ty to jesteś niezła wariatka. Od dziecka taka byłam. Glenda podeszła do drzwi i starannie zamknęła. Rozebrała się i z lubieżnym uśmiechem wysunęła język. Nawet nieźle wyglądała z tą miną choć jej erotyczność była dość tania i wulgarna. Potem rozebrała Roberta i kilka razy delikatnie uderzyła go batem. Och, to cudowne! Tego nikt mi jeszcze nie robił! Bat i wibrator Zorro sprawiły, że Roberto płakał z bólu i rozkoszy. Następnego dnia Glenda przeprowadziła się do Roberta. Pomahi przejęła kontrolę nad wszystkim. Stary był już za bardzo zmęczony, żeby zajmować się domem. Zaufał tej kobiecie z batem. Odtąd mieszkali razem. Glenda miała swoich kochanków i kochanki, ale przy tym potrafiła dawać Robertowi rozkosz, jakiej nigdyjeszcze nie zaznał. Doskonale kierowała wszystkim jak dobry dyrygent orkiestry symfonicznej. Ona i Roberto świetnie się dobrali. I byli szczęśliwi.

PYTYJSKI TRÓJKĄT

Wciąż mi się w życiu rozpada ten cholerny trójkąt: miłość, zdrowie i pieniądze. Miłość to kłamstwo, pieniądze, wróbel na dachu, a zdrowie coraz bardziej się niszczy. Tak jest u mnie. Ciągle gdzieś idę i muszę zawracać. Żyjesz wjakiejs utopii i nagle ta utopia się wali. To nie jest wina utopii. W końcu zawsze wszystkie utopie były rozwiązaniami na przyszłość, na jutro, dla następnych pokoleń. Ty też nie jesteś winien. Taka jest nasza kanna. Po prostu. No dobra, ale dzieje się tak i co wtedy? Zastanawiasz się, co robić. Możesz uciec albo zostać i próbować przeżyć na gruzach. Trwać. Zacząć od nowa. Albo zbudować coś innego. Tylko pokonani uciekają. Dobrze. A więc jesteś gotów przyjąć wyzwanie. Ale to jest wyłącznie efekt kopa, jakiego dała ci w mózg marihuana. Masz pełno jej dymu w płucach. Parę łyków wódki i palisz następnego jointa, aż wreszcie nie potrafisz już myśleć ani o katastrofie utopii, ani o swojej własnej katastrofie, ani o tym, co mógłbyś teraz zrobić, żeby się jakoś pozbierać. Myślisz, że może Bóg by ci pomógł. Ale drogę do Boga nie jest łatwo znaleźć. Czasem się jęprzezuwa. Tylko tyle. A więc przeczuwasz ją mówisz sobie: Och, spróbuję odzyskać wiarę. No i dobrze. To już jest coś. Ratunkowa lina rzucona ci na pełnym morzu, podczas gdy obok ciebie wszyscy zjadają się nawzajem na tratwie wstrząsanej sztormem i otoczonej parzącymi meduzami. No więc tak to jest. Palę trawkę dwa lub trzy razy na dzień, do tego jeszcze rum i cygaro. I trochę grupowego seksu. Nic wielkiego. Wśród gruzów nic nie może być wielkie. Wszystko na umiarkowaną skalę. Isabel też to lubi. Czasem robimy to w trójkę, czasem w czwórkę. Zależy, kto przyjdzie do nas na ten dach. Ale nie będę o tym opowiadał, bo to byłoby historie zbyt porno. Choć absolutnie prawdziwe. Takie jest życie. Zawsze najbardziej pociąga nas to, co jest zakazane. No więc pewnego sierpniowego wieczoru siedzimy sobie spokojnie z Isabel na Malecónie i rozkoszujemy się świeżą morską bryzą. Milczymy i słuchamy, jak drobne fale szepczą na przybrzeżnych skałach. Patrzymy daleko przed siebie w czarne niebo i w czarne morze, które raz przybliży się, raz oddała.

Istnieje dla nas tylko to: ciemność jak ogromna czeluść rozwarta przed nami i niewinny szmer wody u naszych stóp. Jaj ednak jestem pusty w środku. Czarna otchłań i szum fal przenikają mnie na skroś. Nie zostają we mnie. Przechodzą i już ich nie ma. Ale przynajmniej mogę się trochę pokrzepić. Wciągam głęboko powietrze i przez moment czuję w sobie świeżość ogromnego świata. Ale prawdziwy spokój nie nadchodzi. To wszystko jest jak lekka przekąska. Po chwili się o niej zapomina. Obok nas siedzi gruba czarna kobieta. Ma jakieś sześćdziesiąt lat, może trochę więcej. Gadatliwa, roześmiana i bezwstydna, wygląda jak stara i rozpustna nimfomanka. Prawdziwa herodbaba i do tego jeszcze kurwa. Słyszymy, jak mówi do takiej jednej młodszej, która stoi obok: Mniej jest wszystko jedno, może być biały, może być czarny. Jak się napalę, to i tak zaraz cieknę. Jakies dwa metry od starej i od jej przyjaciółki siedzą trzej chłopcy. Są młodzi, biali i na pewno nie stąd. Nie wyglądają takich, którzy mieszkają wśród gruzów. Młodsza z kobiet przez chwilę rozmawia z nimi po cichu, a potem nachyla się i szepcze coś starej na ucho. Babsztyl drze się rozra dowany: Siedemnaście lat! Znakomicie. Wszyscy trzej się zmieszczą tymi swoimi siusiakami! Żeby się tylko nie wystraszyli, jak zobaczą taką czarną cipę! Ha, ha, ha! Dawaj mi ich tutaj. Młodsza odwraca się do chłopców, ale ci są najwyraźniej przekonani, że trafiłi na jakąś wariatkę. Albo się spłoszyli, nie wiem. To chyba takie maminsynki, którym rodzice nie żalują grosza. W każdym razie rezygnują. Są dobrze wychowani, grzecznie się żegnają do widzenia pani i w trzy sekundy ich nie ma. Stara śmieje się na całe gardło. Wystraszyła ich. Gdyby podeszła do nich w inny sposób, może by nie uciekli. Ja nigdy jeszcze nie rznąłem się z taką grubą staruchą. Z chudymi tak. Ale chude są inne: żywe, zawsze pełne energii, chętne, bezwstydnne i bez zahamowań. Im starsze, tym bardziej bezwstydnne. W łóżku chuda starucha bywa lepsza od niejednej młódki. Patrzę na tę babę, łapię się za jaja i trochę nimi potrząsam, żeby nabrały odpowiednich rozmiarów. Stara wlepią we mnie wzrok. Hm... Widzę, że masz tam coś interesującego. Czego chcesz, chłopczyku? Postrzelać sobie trochę. Od razu poznać, że cię przypiliło. Ona też? Nieźle się to zapowiada. Ta druga nie chce iść z nami. Jest sąsiadką starej i mówi, że kocha ją jak własną matkę. Nie wygląda na taką, która by kogokolwiek kochała, lecz ta jej deklaracja brzmi bardzo patetycznie. No cóż, jej strata. Stara mieszka sama w dużym mieszkaniu w takiej czynszowej kamienicy niedaleko od Malecónu. Idziemy do niej. Ma butelkę rumu. I jest fajnie. Ta stara to niezła kurwa. Widać, że to lubi i że zna się na rzeczy. Po czterech godzinach baba wciąż nie ma dosyć. Chce jeszcze. Ale już wystarczy. Za gorąco. Jesteśmy spoceni, a we wspólnej łazience akurat nie ma wody. Wynosimy się stamtąd. Stara krzyczy za nami, żebyśmy zostali i że jesteśmy parą wariatów. No dobra. Wróciliśmy na Malecón. Siadamy na chwilę na murku w świeżych powiewach wiatru znad morza. Mimo późnej pory mnóstwo ludzi robi to samo. Jesteśmy wykończeni. Pomału wywlekamy się na ten nasz dach. Bierzemy kąpiel, kładziemy się na łóżku i śpimy jak zabici. O świcie ktoś puka do drzwi. Isabel chrapie, coś krzyczy przez sen, śmieje się, znów chrapie. Budzę ją. Słuchaj, coś ci się śni? Nie, Zostaw, nie budz mnie. Wstaję. Do drzwi dalej ktoś się dobi ja. Kto tam? Susi. Susanita, zwariowałaś czy co? O tej porze? Daj się ludziom wyspać. Nie gadaj, tylko otwórz. Jest tam Isabel? Śpi. Chrapie jak świnia. Otwórz. Otwieram i ta dziwka wchodzi, ubrana wciąż jak do pracy w kuszonych złotych szortach odsłaniających połowę pośladków i w mocno wyciętej, obcisłej i przezroczystej bluzeczce, pod którą wyraźnie widać jej piękne piersi bez stanika. Do tego jeszcze białe buciki na wysokich i cieniućkich obcasach oraz czarne, długie i rozpuszczone włosy. Dziewczyna, że palce lizać. Ale cóż: w głowie ma istny kalkulator: tyle a tyle, to można pójść do łóżka. Mowy nie ma, żeby bez pieniędzy. Nieraz próbowałem ją zwerbować do tych naszych małych orgii na tarasie. Nic z tego. Ona ma chyba jakąś obsesję na punkcie Jankesów i dolarów. Jeśli w ogóle ma kiedykolwiek orgazm, to chyba tylko wtedy, gdy klient wsadzi jej zwinięty banknot do cipy. Ej, cizia, czego ty właściwie szukasz? Słuchaj, Pedro Juan, mów do mnie inaczej! Inaczej? A do kogo? Podchodzi do Isabel i szarpie ją za ramię. Isabel, wstawaj. Przyjechał ten plastikowy Jankes. Isabel budzi się natychmiast. Kiedy? Wczoraj. Pośpiesz się, bo powiedział, żebyś zaraz przyszła. Próbuję zainterweniować, bo czuję, że będą tu jakieś pieniądze. Kto to jest ten plastikowy Jankes? Taki facet, który przyjeżdża co kilka miesięcy. Później ci wszystko opowiem. Za dziesięć minut Isabel jest już gotowa: biała lycra, skórzana torebka, ostre perfumy, mnóstwo świecidełek i całkiem zwariowana fryzura. Wesoła i roześmiana daje mi całusa i mówi: Ale nam się trafiło! Pa, kochanie, nie czekaj na mnie, bo na pewno zejdzie mi przynajmniej do jutra. Ciao. Trzymaj się. No i mi ja dzień. Spokojny, duszny i upalny. Z każdym rokiem są coraz większe upały. Zostało mi kilka cygar, więc je sprzedałem, żeby kupić sobie pizzę i oranżadę. Kurczę, ale się odżywiam! Ważę siedemdziesiąt kilo, a powinienem dziewięćdziesiąt. I mi ja wieczór. Nie mam ani grosza. Nie mam też rumu, jedzenia ani trawki, żeby się ujarć i nie myśleć o niczym. Siedzę jak głupi na murze Malecónu. Na szczęście nigdzie nie widzę tamtej zboczonej staruchy. Wróciłem do domu. Położyłem się wcześniej, ale bardzo źle mi się spało. Głód, niepokój, krążące wszędzie karaluchy, jakiś sznur, a poza tym w mieszkaniu Isabel chyba coś jest. Wypadałoby się tego pozbyć. Potrzebny będzie kokos i kilka ziół. To jakaś mętna sprawa, ale Isabel o takie rzeczy nie dba. Może dlatego wszystko się tak komplikuje. W końcu zasnąłem na chwilę. Był to sen niespokojny i pełen koszmarów. A do

tego ten smród gówna ze wspólnej toalety. Od dwóch dni nie ma wody. Ludzie noszą ją w wiadrach, żeby coś ugotować albo się umyć, ale nikt nie myśli o przelewaniu nią ubikacji. Nagromadziło się tam kupę gówna. Jest nas tutaj na górze... Zaraz, ile? Nie wiem. To się ciągle zmienia, ale teraz akurat chyba nie tak dużo. Na siedem mieszkań będzie nas jakieś czterdzieści osób. W każdym razie wystarczy, żeby zapchać kibel. Pomału robi się jasno. Wschodzi słońce. Zostaję jeszcze chwilę w łóżku. Mam dość wszystkiego, nie chce mi się wstawać. Znow zasypiam. I wtedy właśnie przychodzi Isabel. Zmęczona i na pół przytomna z niewyspania. Och, ten Jankes nie dał mi spać aż do rana. Kochanie, jestem wykończona. Cała cipa mnie boli. Kurczę, cóż to za kretyn! Słuchaj, powiedz mi: ten facet ma plastikowego kutasa? Nie, nie. Tylko sam czubek. Wiesz, ta cała główka to uniegojest proteza. Ale i tak się nie spuścił. Ani z Susi, ani ze mną. Byłyście z nim obie naraz? Tak. Całą noc się z nim męczyliśmy i nic z tego. Zostawiłam go z Yakelin. Czasem musi się rznąć dziesięć dni, zanim dojdzie. To przez ten plastik? Pewnie. On czuje tylko tym kawałeczkiem na dole. A wiesz, jak się przy tym wścieka? Do niego trzeba mieć cierpliwość... Ile ci dał? Stówę. On zawsze płaci sto dolców za noc. Nigdy ci o nim nie mówiłam? Nie. Och, to chyba dlatego, że od roku już nie przyjeżdżał. Ten Jankes... No dobra... Jest nas... Poczekaj, Susi, Yakelin, Mirtica,

Lili, Sonia i ja. Jest nas sześć. Tak długo się zmieniamy, aż facet w końcu w którąś z nas się spuści. Potem zaczynamy od nowa, bo gość jest niezmordowany. Potrafi tak noc po nocy, a czasem jest tu trzy tygodnie. Gdy mu się wreszcie uda, jest na luzie i zaprasza nas wszystkie na kolację do restauracji, a potem do jakiejś dyskoteki. I zostawił ci całą stówę? Tak, kochanie. Mam ją. A poza tym za trzy lub cztery dni zaczynamy następną kolejkę. Ten Jankes jest nasz. Myśmy go złapały i nikomu go nie odpuścimy. Chłopie... To kopalnia złota. Isabel, pójdę coś zjeść, bo za chwilę umrę. Ja już jadłam. Miałam królewskie śniadanie. Tosty, masło, ciastka. Masz piątkę, idź sobie coś skombinuj. Zdążyłaś już rozmienić? Ha, ha! A co ty myślałaś? Że ci dam całą stówę? Żebyś ją za jeden dzień przepuścił? Nie, nie, kochanie. Ja nie po to przez całą noc kręciłam dupą i to z tym plastikiem w środku, żebyś teraz wydał wszystko na rum i na maryskę. Mowy nie ma. Piątka musi ci wystarczyć. A teraz idę spać. I nie budź mnie... Kurwa, z tym sraczem nie da się wytrzymać... Smierdzi jak cholera!... Ja nie wiem, jak tu ludzie śpią. Od dwóch dni nie ma wody. Szlag by to trafił. Ja mam już dość. Kochanie, bądź taki dobry i nie budź mnie, proszę... Poszedłem kupić sobie pizzę i oranżadę. Fajnie, że w ogóle mogłem coś wrzucić na ruszt. Mówią, że Bóg człowieka próbuje, ale go ratuje.

KANIBALE

Pomału zaczynało świtać, Ciężkie brudnoszare chmury rozjaśniły się czerwono-pomarańczową poświatą. U wejścia do Zatoki woda jest spokojna, ale cholernie zimna. Prawie zupełnie zamarłem. Łowiłem całą noc. Czteryście metrów od brzegu, siedząc na napompowanej dętce od ciężarówki. Dokoła widziałem jakichś dwudziestu facetów, którzy robili to samo. Ale wrzesień i październik to nie są dobre miesiące. Od szesnastu dni niczego nie złapałem. Coraz bardziej przypominam tamtego starego z Cojimar, który samotnie pływał łodzią po Golfstronie i przez osiemdziesiąt cztery dni nie złowił ani jednej ryby.

Tylko że tamten był bohaterem, i to w dawnym stylu. Można go było zniszczyć, ale nie pokonać. Ja nie mam w sobie nic z bohatera. Ani ja, ani nikt inny. Dzisiaj nikt już nie jest tak uparty, nie ma takiego poczucia obowiązku ani godności zawodowej. Naszymi czasami rządzi merkantylizm. Grunt to pieniądze. Najlepiej dolary. Po prostu brakuje materiału, z którego tworzą się bohaterowie. Dlatego właśnie politycy i księża wciąż nawołują do wierności i solidarności. Muszą to robić albo zmienić zawód. Ale my, którzy jesteśmy głodni, dalej jesteśmy głodni i dla nas wszystko jest jak zawsze. Politycy i księża myślą że wszystko można zmienić siłą woli. Przez samorządztwo. Ale tak nie jest. My, istoty ludzkie, wciąż jesteśmy dzikimi bestiami: fałszywymi i samolubnymi. Chętnie odłączamy się od stada i obserwujemy wszystko z daleka. Unikamy kłów i pazurów innych bestii. I oto nagle ktoś przychodzi i mówi o lojalności wobec stada. Najmądrzejszą etyką zjąką się spotkałem, była ta, którą głosił taki stary i samotny anarchista. To było w dzieciństwie. Facet mieszkał niedaleko nas, w San Francisco de Paula, i był stróżem nocnym u takiego potężnego Amerykanina z ogromnymi bokobrodami, który miał czarnego cadillaca i piękną posiadłość na wzgórzu. Czasem chodziłem tam, żeby popatrzeć na Hawanę. Z góry widać było całe miasto. Musiałem się kryć, bo Amerykanin był cholerykiem i nie lubił intruzów. Siadałem, żeby pogadać chwilę z Pedrem Pablem, który w dzień zajmował się ogrodem. Wtedy właśnie mi powiedział: Życiem powinny rządzić dwie zasady. Pierwsza: każdy człowiek ma prawo robić, co chce. Druga: nikt nie ma obowiązku stosować się do zasady pierwszej. Do tej pory pamiętam te dwie zasady starego Pedra Pabla, ale rzadko mogłem je stosować. Przeważnie musiałem ugiać karku. W każdym razie wtedy, przed czterdziestoma laty, każdy miał swój zawód i mógł z niego żyć. Ludzie wiedzieli, gdzie jest ich miejsce, i nie mieli aż tak wielkich ambicji. Nie komplikowali sobie życia. Teraz jest straszny rozrzut. Nikt nie wie, gdzie

należy ani co powinien robić. Czego naprawdę chce, ku czemu zmierza i gdzie jest jego miejsce. Wszyscy rozpaczliwie gonimy za pieniędzmi. Możemy robić cokolwiek, byle tylko zdobyć trochę forsy. Potem znów coś innego i znów. Jedyne, co udało się nam osiągnąć, to ogólny chaos i walka wszystkich z wszystkimi. Och, za dużo myślę. Poza tym łupie mnie w kościach, dupę mam mokrą, a jaja mi już chyba całkiem odpadły. To cholernie niezdrowo całą noc moczyć tyłek na tej dętce. W końcu co mnie obchodzi, czy ludzie zgłupieli czy nie. To nie moja sprawa. Ja mam łapać duże ryby, a gdy ich brak, to powinienem wypuścić powietrze z dętki, schować sprzęt, zająć się czymś innym i poczekać do grudnia. Gdy przyjdą północne wiatry, znów zaczną się ryby. Zwłaszcza pargusy i okonie morskie. One są potulne i łatwo sięje łowi. Nie tak, jak błękitne marliny, których szukał stary Santiago dokładnie w tym miejscu, naprzeciwko Hawany. Wyszło już całe słońce. Żółte, przymglone i jakby wilgotne. Coś za dużo tych ciężkich chmur dookoła. Pora cyklonów. Lepki upał, wilgoć i ostry wiatr z południa. Dla mnie to ohydna pogoda. Czuję się przy niej rozbity i ciągle boli mnie głowa. Składam sprzęt, ubieram płetwy i płynę aż do Malecónu. Handlarze nawet nie spojrzaw moją stronę. Kiedy coś mam, to uśmiechają się do mnie i wszyscy są moimi kumplami. Idę do domu. Wychodzę na mój dach. Spuszczam powietrze z dętki. Isabel już wstała. Cóż to, Pedro Juan? Już nie będziesz łowić? Od dwudziestu dni próbuję i nic z tego. Trzeba poczekać, aż powieje z północy. zak2 Ten południowy wiatr... No to z czego będziemy żyć? Idź i pokręć tyłkiem na Malecónie. Na przykład dziś wieczor. Ach, łatwo ci się mówi! Wiesz przecież, że mam już dwa ostrzeżenia z policji. Jakjeszcze raz wpadnę, to mnie zamkną.

Nie odpowiedziałem. Nie mam nastroju, żeby słuchać tych jej głupot. Isabel jest rezolutna i urnie sobie radzić w życiu, ale czasem tak truje, że nie da się wytrzymać. Wylałem na siebie trochę słodkiej wody. Od dobrych kilku dni nie mamy mydła. Jak dalej tak pójdzie, to chyba dostaniemy świerzba. Zjadłem trochę chleba i popiłem go osłodzoną wodą potem położyłem się na chwilę. Zasnąłem jak kamień. Obudziłem się o drugiej po południu. Otworzyłem oczy i przez dłuższy czas wpatrywałem się w sufit. Mózg pracował mi gorączkowo: i co ja teraz zrobię? Sąsiad dalej tłucze te swoje blaszane wiadra, ale nie chce wchodzić w żadne spółki. Nie mam ani grosza. Jak Isabel upoluje kogoś na Malecónie, to może dociągniemy do grudnia. Najlepiej, gdyby wyjechała z jakimś dewizowcem. Mogłaby mnie utrzymywać z zewnątrz. A jeśli nawet o mnie zapomni, to trudno. Mnie jest wszystko jedno. Od nikogo niczego już nie oczekuję. Najwyżej wrócę do tej roboty przy śmieciach. Widać pisane mi jest pracować po nocach. Kurczę, ale chciałbym być pomocnikiem kierowcy ciężarówki! To byłaby fajna fucha! Potem wyrobiłbym sobie licencję i mógłbym już sam jeździć. Podobami się taka praca. Coś się dzieje, człowiek jest tu, tam, ciągle w ruchu. No dobra. Dziś wieczór poszukam Kurczaka. Pogadam z nim. Na pewno ma trawkę. Pomogę mu opchnąć kilka skrętów i wpadnie mi parę peso. Z Bożą pomocą jakoś się przeżyje.

Isabel nie ma. Nie ma też kawy. Wstaję i wychodzę na taras, żebyjuż nie myśleć. Niebo wciąż jest ołowiane i ciężkie od wilgoci. Przypomina mi się dzieciństwo na wsi. W San Francisco de Paula mieliśmy dwie krowy, kozy i trochę kur. To było lepsze niż życie w tym dzia dostwie tutaj. Jeśli dożyję, to na starość wrócę na wieś. Poszukam sobie jakiejś starej baby i wyjadę. Jak nie znajdę żadnej, to wyjadę sam. Tam w górach jest kupa miejsca, a my wolimy gnieść się tutaj jedni na drugich. Jak Bóg da mi zdrowie, to gdy mi się znudzi ta ciągła partyzantka, wyniosę się na wieś. No więc stoję na tarasie. Przed sobą mam morze. Wciąż się zastanawiam, jak skombinować trochę peso. Podchodzi do mnie jakiś facet. Chyba jest nowy na tym naszym dachu. Ciągłe tu ktoś przyjeżdża z prowincji. Ze wsi. Wszyscy przyjechaliśmy ze wsi. Tam dopiero jest nędza. Gorsza niż w Hawanie. Bo nie ma forsy. Nie ma skąd jej zdobyć. Tutaj coś wymyślę, i to jeszcze dziś wieczór. W ostateczności może być ta maryśka. Facet zaczyna ze mną rozmowę. Chyba jest z Oriente, bo tak fajnie zaciąga. Eeeej, stary, jeszcze cię nie widziałem. Tytumieszkasz? Chłopie, kupę lat. Ach... To znaczy jajestem nowy. No to się poznajmy. Baldomero. I podaje mi twardą, pokrytą odciskami dłoń. Widać, że facet nie boi się roboty. Jest chudy, brudny, zarosnięty i ma popsute zęby. Uśmiecha się i najwyraźniej chce sprawić dobre wrażenie. Ja też wyciągam rękę. Pedro Juan. No to jesteście sąsiadami, stary. Ja jestem tu z Vivian. Z Vivian? Od kiedy? Och... No dobra... Od kilku miesięcy, ale... To znaczy, tu w Hawanie jestem dopiero parę dni. Aha. Vivian to taka biała dziwka. Duża i mocno zbudowana farbowana blondynka. Ma łeb do interesów. Obraca grubą forszą i zawsze jest czysta, dobrze ubrana, pachnąca i ze złotym łańcuszkiem na szyi. Zupełnie nie pasuje do tego głodomora, który wygląda jak dziad. Vivian jest u siebie? Tak, słucha jakiejś powieści przez radio, a ja wyszedłem, bo tu jest trochę chłodniej. To moja przyjaciółka. Zobacze, może ma kawę. Vivian częstuje mnie kawą i dalej słucha radia. Znów wychodzę z Baldomerem na taras. Stary, a co ty właściwie robisz? Z czego żyjesz? W Hawanie nie jest łatwo. U mnie na wsi też nie, ale tutaj chyba jest gorzej. Nie, odwrotnie. Tu jest więcej ruchu. Ale ty dopiero przyjechałeś, więc nie wiesz. Może. Pierwszy raz jestem w Hawanie. Nie mogę już wrócić, bo nie mam gdzie. Dlaczego? Ach. Słuchaj, Baldomero, jesteś silny, możesz pracować gdziekolwiek. Jasne. Jestem chudy, bo zawsze byłem taki. Od dziecka. Ale jestem silny. Umiem pracować. U nas na wsi robiłem wszystko. To dobrze, tylko musisz się ruszyć,

bo tu na dachu umrzesz z głodu. Vivian mówiła, że zna jakichś facetów z targu na Cuatro Caminos. Pójdę jutro z nimi pogadać. Może tam znajdę robotę. Ja tam jakiś czas pracowałem, za trzydzieści peso dziennie. Tylko wiesz: to jest przez okrągły tydzień, od poniedziałku do niedzieli. Przychodzisz rano, o szóstej albo wcześniej, i kończysz o szóstej albo siódmej wieczór. To daje człowiekowi w dupę. Ale zawsze można pokombinować. Pewnie. Skręcisz coś na boku i już masz kilka peso więcej. Słuchaj, to w sam raz dla mnie. Nie będę czekać, zaraz tam pójdę. To daleko? Nie. Idź cały czas prosto w górę przez Belascoain. Dziesięć, dwanaście przecznic i zobaczysz targ. Od tego czasu facet nie próżnował. Zwiął się jak w ukropie. Brudny, zarosnięty i gadatliwy, nosił jakieś worki, sprzątał, zbierał śmieci. Zawsze pogodny i uśmiechnięty. Po miesiącu znów spotkaliśmy się na tarasie. Zaproponował mi trochę rumu. Słuchaj, stary, dawnośmy nie gadali. Napijesz się? Poczekaj. Poszedł do pokoju. Wrócił z pełnym kieliszkiem. Mam całą butelkę. Jak skończymy, to otworzymy następną. Kurczę, Baldomero, szybko się odkułeś. Nie aż tak bardzo. Coś tam zarabiam... Mam taki biznesik, nawet niezły... Aha. Wątroba wieprzowa. Aha. Kiepsko idzie na targu. Biorę ją za grosze, a potem sprzedaję po ludziach. Aha. Mam jej trochę w lodówce. Jest świetna. Gdybyś znał kogoś, kto by chciał akurat kupić, to mi powiedz. Wieprzowa wątroba jest bardzo dobra. I jaka pożywna! Słuchaj, podobasz mi się, dam ci kawałek.

Nie, nie, Baldomero. To jest twój biznes. Czemu masz mi ją dawać, skoro z tego żyjesz? Ej, stary, nie zbiednieję, jak ci trochę odpalę. Poszedł do mieszkania Vivian i po chwili wrócił z kawałkiem wątroby. Isabel zrobiła ją po włosku, z mnóstwem papryki. Wyszła jej znakomicie. To był spory kawał, więc wystarczył nam na dwa obiady. Później jeszcze dwa razy kupiłem u Baldomera wątrobę. Bardzo niedrogo ją sprzedawał. Parę miesięcy później Baldomero przestał się już tak zaharowywać. Kupił sobie nowe ubranie, ale wciąż wyglądał jak brudny i zagłodzony żebrak. Co dziwne, Vivian wyraźnie przygasła, zupełnie jakby do niej przyłgnęło to ogólne niechlujstwo Baldomera. Już nie robiła tych swoich interesów. Nie wychodziła z domu. Zawsze była wesołą i towarzyską kobietą z mnóstwem facetów dookoła. Lubiała imprezować do rana. Teraz przycichła i zerwała wszystkie kontakty. Baldomero z każdym dniem przynosił coraz więcej wątroby. Miał już stałych klientów, a żeby zdobyć sympatię sąsiadów, raz temu, raz innemu dawał kawałek za darmo.

Nadszedł grudzień i czekałem już tylko na pierwszy wiatr z północy, żeby wypłynąć w morze. W pokoju miałem schowane trochę marihuany. Tylko dzięki niej mogliśmy jakoś przeżyć, bo Isabel nagle zrobiła się porządna i powiedziała, że ją brzydzą ci wszyscy zagraniczni turyści. No to co, że cię brzydzą? Trudno. Daj się któremuś przelecieć, bo umrzemy z głodu. Och, nie, nie bądź taki cyniczny! Przecież wiesz, że to ty jesteś moim jedynym facetem. Słuchaj, nie czaruj. Od trzech miesięcy robisz z siebie kurę domową. Gdy cię poznałem, byłaś niezłą dziwką. Tak, ale człowiek się zmienia. Dobra, daj spokój, bo codziennie mi powtarzasz to samo. Zrób lepiej skręta dla nas dwojga. Przecież nic innego nie mamy do roboty. No dobra, masz rację... Skręćmy sobie... A właściwie dlaczego nie mogłabyś pracować albo prasować dla kogoś? Może by cię gdzieś przyjęli do domu na Miramarze? Mówiłam ci już, żebyś dał spokój, bo znów się pokłócimy. Zamknij drzwi.

Lubimy tak sobie razem zapalić i popić rumem. Odlatujemy wtedy i przez kilka godzin jesteśmy całkiem out. Maryśka wali mnie w głowę jak młot. Wyciągnąłem trawkę i zacząłem ją skręcać. Nagle słyszę, jak ktoś łomocze do drzwi. Otwierać! Policja! Żołądek podjechał mi do gardła. Wsadziłem wszystko pod materac. Tylko tyle mogłem zrobić. Teraz to już mam przesrane! Dwa kilka trawki w mieszkaniu! Nie miałem czasu na myślenie. Znów załomotali. Isabel zaczęła drzeć. Otworzyła. W drzwiach pojawił się gliniarz. Macie lodówkę? Nie. A co? Mieli Baldomera w kajdankach i plastikową torbę. Chwycili go za kark i wepchnęli do pokoju. Czy ten obywatel sprzedawał wam wątrobę? Nam? Nie. Na pewno? Na pewno. Jedliście wątrobę, która pochodziła od niego? Nie. To się cieszcie.

Żołądek wrócił mi na swoje miejsce. Stałem w drzwiach, by obserwować rozwój sytuacji. Policjanci szli od mieszkania do mieszkania i wszystkich pytali o to samo. Każdy oczywiście zaprzeczał. Nikt nie jadł wątroby, która pochodziłaby od tego obywatela. Wtedy gliniarze postanowili zmienić taktykę. Stanęli pośrodku tarasu z Baldomerem w kajdankach i z plastikową torbą. Wszyscy byliśmy w drzwiach i patrzyliśmy na nich nieufni i wystraszeni. Jeden z nich mówił, a drugi tylko miał minę: uważaj bo ci przyłożę pałką. Słuchajcie, towarzysze! Dziś po południu ten obywatel został zatrzymany przez patrol w momencie, gdy wynosił z prosektorium torbę, w której miał ludzkie wątroby... Wśród nas rozległ się szmer, który zagłuszył słowa policjanta. Dajcie mi skończyć. Ten obywatel od dwóch miesięcy pracuje w prosektorium i podejrzewamy, że już wcześniej wynosił wątroby zmarłych i sprzedawał je na czarnym rynku jako wątroby wieprzowe. Potrzebujemy świadków... Ludzie znów zaczęli szemrać. Nagle jakaś starucha krzyknęła: Co za skurwysyn! Niech go szlag trafi! To prawda, panie władzo! On nam sprzedawał wątrobę! Wstydu nie ma! Bóg go za to pokara! Isabel i ja popatrzyliśmy na siebie. Zacząłem się śmiać, podczas gdy Isabel robiła miny pełne obrzydzenia. Słuchaj, Isabel, zjedliśmy i dawno już zdążyliśmy wysrać. Daj spokój, zapomnij. A poza tym ta wątróbka była całkiem smaczna. Nie bądź takim bydlakiem, Pedro Juan! Niech się te staruchy prawują z Baldomerem. Ja nie będę składał żadnych zeznań.

Nadmucham dętkę i przygotowuję sprzęt. Chyba dziś wieczór wypłynę i może uda i się coś złowić. No wreszcie! Zapalę świeczkę Matce Boskiej Łaskawej, niech ci pomoże. Wziąłem dętkę i zacząłem ją nadmuchiwać. Baldomero patrzył na spisujących protokół gliniarzy oraz na rozwrzeszczane i wygrażające mu staruchy. Śmiał się. Nie wiem z czego. Chyba ze strachu.

ŻELAZA NIEBOSZCZYKA

Rak zżarł go od środka i w parę miesięcy zabił. Miał zaledwie trzydzieści dwa lata i wszyscy nazywali go zdrobniale Santico, ale był z niego kawał skurwysyna. Chodził z dwukołowym wózkiem i sprzedawał awoka do, mango, cebulę, cokolwiek. Codziennie miał z tego kilka peso, które natychmiast przepuszczał na kobiety, rum i tytoń.

Jego żona Danais miała dwadzieścia lat i była bardzo ładna. Taka fajna Mulatka. Zakochała się na zabój w Santicu. Kiedy umarł, niemal oszalała z rozpacz. U nich w jednej izbie mieszkało trzynaście osób: sami Murzyni i mniej lub bardziej ciemni Mulaci. Teraz mieli trochę więcej spokoju, bo Santico zwykle przychodził pijany nad ranem i najpierw bił Danais, a potem się z nią pieprzył. Lubił patrzeć, jak płacze. On wobec wszystkich zawsze był brutalny. Każdej nocy powtarzało się to samo: bicie, płacz, krzyki, a na koniec seks i zduszone stękanie. Reszta rodzeństwa oraz wszyscy kuzyni, kuzynki i siostrzeńcy udawali, że śpią, a ci się rżnęli w ciemnościach. Trzynaście osób w jednym wilgotnym, zrujnowanym, brudnym i śmierdzącym od potu pokoju, pięć metrów na sześć, do tego jeszcze w korytarzu wspólna kuchnia i ubikacja, z których korzystało pięćdziesięciu innych lokatorów: w takich warunkach nie ma mowy o jakiejś dyskrecji czy też prywatności. Zresztą nikt się tym nie przejmował. Dla nich to było normalne. Santico zawsze był skurwysynem. Lubił krew i bił jatyki na noże. Był odważny i agresywny. Zwłaszcza gdy wstępował w niego święty zesłany mu przez Oggñna. W kącie pokoju został po nim kociołek z żelazami, figurki wojowników, kieliszki z wódką misczki z awoka do, juką pieprzem i papryką. Piorunowe kamienie, wiązki drewniaków z mastykowca i trochę suszonych ziół: panieńskie ciało, camagua, jaguey i amarantowe calalí. Do tego jeszcze łańcuch, maczeta, kowadło i noz. Za wcześnie umarł. Nie chciał odchodzić, będąc jeszcze tak młodym, tak silnym i pełnym energii. Koniec był szybki, ale Santico umarł, wyjąc z bólu i rzygając czarną cuchnącą krwią. To była taka nędzna i obrzydliwa śmierć. Danais zatrzymała sobie kociołek z żelazami oraz zielone i czarne naszyjniki. Kiedy wróciła z cmentarza, przez dwa dni bez przerwy płakała i dopiero matce Santica udało się ją trochę podnieść na duchu. Stara miała dziewięcioro dzieci teraz zostało jej ośmioro i siedmioro wnuków. Znała się trochę na życiu. Gdy Danais doszła w końcu do siebie, wybrała się na targ. Wróciła z żywym kogutem, psem i gołębiem. Uwiązała całą trójkę w kącie przy kociołku Oggñna. Co tydzień w poniedziałki lub piątki zabiła kurę, zrasza jej krwią żelazaw kociołku i dodaje trochę miodu dla osłody. Wciąż jest bardzo smutna. Z nikim nie rozmawia. Mężczyźni mówią jej komplementy, a ona się obraża. Potrafi zwyzywać każdego, kto się do niej zbliży, nawet w dobrych intencjach. Pewnej nocy Santico ukazuje się jej we śnie i bardzo cicho mówi: Chodź ze mną Danais. Przyszedłem po ciebie. Santico śmieje się i podchodzi do niej. Danais wyraźnie go widzi. Budzi się wystraszona i drżąca. Otwiera oczy. W ciemnościach błyszczy nad nią czerwone, wirujące światelko o rozmytych konturach. Danais modli się i żegna rozdygotaną ręką. Zmiłuj się nad nim, Panie. Pozwól się wznieść jego duszy. Zmiłuj się nad nim. Ale jego dusza się nie wznieście, bo choć nikt o tym nie wie, Santico zabił trzech ludzi w nocnych ulicznych porachunkach. Wielu innych poranił i za dużo na nim ciąży ludzkiej krzywdy. Teraz pokutuje. Danais nikomu o tym nie mówi, ale wizyty Santica stają się coraz częstsze. Ona też wpada w coraz większą obsesję. Ofiarowuje mu kwiaty, szklanki z wodą świece, modli się za jego duszę. Ale Santico nawet po śmierci nie daje ludziom spokoju. Wciąż chce z sobą zabrać Danais. Matka Santica próbuje nakłonić Danais, żeby wróciła do swoich rodziców. Danais jest z Guantañamo. Nie chce wracać. Chce jeszcze jakiś czas zostać. Mamo, ja muszę pomóc jego duszy. Niech się wznieście. Pozwól mi. Ja go tak bardzo kocham. Stara rozumieją i nie nalega. Danais przestała się już bać. Teraz nawet lubi te wizyty Santica i z utęsknieniem czeka na nie nocą, kiedy wszyscy śpią. Santico pojawia się. Ściąga koszulę i spodnie. Łaska zwykle mu już stoi. Brutalnie wbił ją w Danais, która jęczy i ma jeden orgazm po drugim. Potem Santico znika, a Danais śpi dalej. Jest kompletnie wyczerpana. Rano budzi się i stwierdza, że jest mokra. To nie był sen. Musiała naprawdę w nocy przeżyć kilka orgazmów. Podobało się jej. Kiedy Santico przychodzi, zwykle mało mówi, czasem nie odzywa się ani słowem. Danais zawsze stawia mu obok kociołka kieliszek z wódką i kładzie przy nim cygaro. Czasem Santico podchodzi tam, uśmiecha się, siada na podłodze i nic nie mówi. Danais budzi się i znów widzi nad sobą to czerwone, wirujące światelko. Już się zupełnie nie boi. Wstaje, idzie do kociołka, bierze kieliszek i wypija go jednym haustem. Bezsilnie opada na rozłożony na podłodze materac, który zawsze służył jej za posłanie. I oto jest już przy niej Santico, wesoły i roześmiany, znecony zapachem alkoholu. Wchodzi na nią jak rozbuchany

ogier na klacz. Trwa to godzinę, czasem dwie. Santico spuszcza się raz, drugi, trzeci i wciąż ma sztywnego jak pal kutasa. Kiedy wreszcie kończą Santico chce znowu wódki i cygara. Nic do siebie nie mówią. Nie muszą. Rozumieją się bez słów. Danais znów wstaje i idzie do kociołka. Bierze cygaro i zapala je. Siedzi na podłodze oparta o ścianę i zaciąga się dymem. Na pół jest na jawie i na pół śpi. Santico pali, ale nie ma wódki. Po ostrym rżnięciu zawsze lubił się napić. Psuje mu się humor. Wali w twarz Danats, a ona płacze. Jeszcze raz, i jeszcze. Znów się napala. Na mokrej i brudnej podłodze przy kociołku Ogguna, na gównach koguta, psa i gołębia, znów wchodzi na Danais, która wciąż myśli, że śni. Nie wierzy, że to prawda. Czuje tylko, że ma w sobie grubą długą i potężną łaskę, która przebi ją prawie na wylot. Wszyscy w pokoju słyszą jak w ciemnościach jęczy, dyszy, przewraca się z boku na bok. Zapalają światło i ją widzą. Piękna i naga leży na podłodze z uniesionymi i rozchylonymi nogami oraz z rozwartą i pulsującą szparą. Wygląda, jakby ktoś niewidzialny bił ją po twarzy i gwałcił. Wszyscy są wystraszeni. W końcu matce Santica udaje się zapanować nad sytuacją. Bierze stoik ze święconą wodą nasyconą zapachem siedmiu potęg. Wylewa ją na Danais i modli się. Zmiłuj się, Panie. Zmiłuj się, Panno Łaskawa, daj mu wieczny odpoczynek. Och, Obatalń! Niech się już nie męczy. Zmiłuj się, Panie. Obataki, niech jego dusza się wzniesie. Niech nie cierpi tutaj. Naciera święconą wodą głowę i kark Danais. Potem ramiona i nogi. W końcu dziewczyna wraca do siebie. Nie wie, co się z nią działo. Płacze i obejmuje starą. Och, on do mnie przychodzi każdej nocy! Każdej! A ja na niego czekam. Dobrze, wszystko będzie dobrze. Już minęło. Stara ją pociesza, ale swoje wie. Woli jednak nic nie mówić. Kiedy do mieszkania wreszcie wraca spokój, gasi światło i wszyscy znów zasypiają. To prawda, z początku było trochę strachu, ale w gruncie rzeczy nikt się specjalnie nie zdziwił. Wszyscy przecież wiedzieli, że Santico nie odejdzie spokojnie i że przedtem da im jeszcze nieźle popalić. Trzeba będzie odprawić mszę duchową. Jedną drugą trzecią dziesiątą aż do skutku. Aż jego dusza się wzniesie. Wszyscy myślą tak samo, ale nikt się nie ośmiela otworzyć ust. Ze zmarłym trzeba uważać. Lepiej się nie mieszać w jego sprawy. Tylko matka Santica, leżąc w łóżku, mówi do siebie po cichu: On myśli, że wciąż żyje. Biedaczek! Trzeba będzie mu pomóc, żeby się wzniosł. Następnego dnia stara wstaje bardzo wcześnie, żeby zorganizować mszę. Idzie do swojej kумы, która zna się na tych rzeczach. Po dwóch godzinach raca i zastaje Danais leżącą na podłodze przy kociołku Ogguna. Słuchaj, Danais, msza będzie w poniedziałek, bo wtedy moja kuma ma czas. No więc już za pięć dni ją odprawimy. A tobie co jest? Dlaczego tak leżysz? Nie wiem. Nie chce mi się nigdzie iść. Nie, nie, koniec z tymi głupotami. Bierz karton z awoka do, idź przed dom i spróbuj coś sprzedać. Co ty sobie myślisz? Mam cię teraz utrzymywać? Dobrze, mam, już idę. Jestem tylko taka zmęczona i smutna... Nie wiem, co się ze mną dzieje. Danais mobilizuje się. Wstaje. Zabiera awoka do i kilka cytryn i rozkłada je na zaimprovizowanym z paru desek straganie, który stoi na chodniku przed domem. Żyje z niego. Codziennie ma coś do sprzedania. Zaczepia przechodniów, targuje się i wtedy nagle podchodzi do niej jakaś sąsiadka. Danais, ale masz spuchnięte nogi! Co się stało? Danais nie zwraca na nią uwagi i dalej zajmuje się handlem. Młodzi nie myślą o chorobach. Wieczorem stopy, łydki i uda spuchły jej jak balony. Danais likwiduje swój stragan i wraca do domu. Jutro pójdę do lekarza. Mam chyba zapalenie węzłów. Tej nocy Santico nie przyszedł. Danais widzi go gdzieś daleko w lesie, jak przemyka się wśród zarośli. Nie patrzy na nią. Ona stoi sama i naga na polanie pod ogromną ceibą. Santico krąży dokoła, ale się nie zbliża. Nagle obraca się i pokazuje jej potężnego i wyprostowanego fallusa. Śmieje się i znika wśród drzew. Potem Danais idzie całą noc. Jest zimno i wilgotno. Wreszcie niebo szarzeje i wstaje mglisty świt. Danais jest naga, bosa i z rozpuszczonymi włosami. Jest piękna, ale wyczerpana tą długą wędrówką. Całe ciało ma podrapane przez krzaki i ciernie. Wie, że jest sama i że zgubiła się w lesie. Następnego dnia ledwie wstaje z łóżka. Jest potwornie zmęczona i jeszcze bardziej opuchnięta. Piecze ją podrażniona, napięta i pokaleczona skóra. Danais to bardzo ładna Mulatka o ciemnej skórze koloru cynamonu, teraz jednak jest zmaltretowana i ma podkrążone oczy. Strasznie się postarzała przez te kilka dni. Matka Santica jest przestraszona, bo ma swoje lata. Wiele rzeczy już w życiu widziała. Nie, Danais, nie pójdziesz do szpitala. Pójdziesz ze mną. W sąsiedniej budzie na dachu mieszka Rómulo. To taki znachor. Ma sześćdziesiąt pięć lat, dużo wie i można mu zaufać. Nie naciąga ludzi. Nie jest jak ci wszyscy młodzi szarlatani, którzy na niczym się nie znają, ale bezczelnie wykorzystują naiwnych i wy pompowują z nich pieniądze. Ludzie szanują Rómulo. Gdy widzi starą i Danais, wita się z nimi i mówi do matki Santica: Wiedziałem, że w końcu tu przyjdziecie. Za długo zwlekałyście. Czemu nie przyprowadziłaś jej wcześniej? Przecież ty wiesz. Nie urodziłaś się wczoraj. Tak, Rómulo, ale ty nie radzisz za darmo. Myślałam...

Dobre rzeczy kosztują. No, zobaczymy, co będę mógł zrobić. Chodźcie tutaj. Za parawanem Rómulo ma świętych. Wszyscy troje siadają na podłodze. Pośrodku Rómulo kładzie tablicę Ifą. Rzuca muszle. Nic nie mówi, tylko pomału iw zamyśleniu rozsypuje je po tablicy. Potem drugi raz i trzeci. Wciąż milczy. Gotowe mówi wreszcie. Zabierz ją do lekarza, może on coś poradzi. Matko Boska, Rómulo! krzyczy stara. Nie, nie ma czego się bać, trzeba się tylko modlić za nią. Zaprowadź ją do lekarza. Ja nic nie mogę dla niej zrobić. Danais nie ma pojęcia, o co chodzi. Jest za młoda, żeby zrozumieć. Niewiele zna się na życiu. Santico zakochał się w

niej i wyciągnął ją nędznego szalasu z desek i krowiego łajna, w którym mieszkała z rodzicami i ośmiorgiem rodzeństwa. Ten ich dom stał na szczycie wzgórza na pustkowiu wśród zarośniętych przez chaszczę i zaniedbanych krzaków kawy. Danais miała wtedy osiemnaście lat i już od dziewięciu nie chodziła do szkoły, tylko wraz z rodzicami i siostrami zajmowała się zbieraniem kawy. Bracia po kolei wynosili się z tego zadupia pod Baracoa w poszukiwaniu jakiejś innej pracy. Tylko dzięki nim jej rodzice, siostry i ona sama nie umarli z głodu. I to dosłownie. Z każdym rokiem kawy było mniej. Kiedy Santico ją zobaczył, od dawna już nie miała butów, bielizny ani mydła. Wszystkiego jej brakowało. Santicowi spodobała się ta na pół dzika i naiwna dziewczyna, gotowa zakochać się w każdym, kto zechciałby ją stamtąd zabrać. Kiedy pierwszej nocy Santico wziął ją pod siebie po swojemu, jak oszalały furiat albo jak rwący i wezbrany po powodzi potok, który przez cztery dni nie może wrócić do swojego koryta była zdumiona i wstrząśnięta. Nieraz już to robiła ze swoimi poprzednimi chłopakami, ale nigdy w ten sposób. Odtąd na zawsze już wpadła w sidła tego przystojnego, mocnego i tak strasznie męskiego Murzyna. Nauczono ją podziwiać i niemal wielbić mężczyzn. Oddawać się im całkowicie i być ich niewolnicą. Tu w górach zawsze tak było i będzie. Danais wyjechała z nim. Santico sprowadził ją do Hawany i zamknął w tej swojej budzie na dachu. Danais była zbyt ładna, by móc się pokazywać w tej zbójckiej dzielnicy. Poza tym przyjechała ze wsi i nie знаła Świata. Każdy mógłby jej tu łatwo zawrócić w głowie, oczarować ją i uwieść. Dlatego na ulicę wolno jej było wychodzić tylko w towarzystwie Santica. Resztę czasu spędzała, siedząc w czterech ścianach domu. Santico nie pozwalał się jej ruszać i zasłonił jej cały świat. A ona się z tym pogodziła. Więcej nawet: była wręcz za dowolona. Podobała jej się taka brutalna i despotyczna miłość. U niej w górach mężczyźni zawsze tak kochali. Stara wzięła Danais i prosto od Rómula poszła z nią do szpitala. Była raczej sceptyczna. Lekarze rozpoznali rozległe zapalenie żył. Przyjęli Danais na oddział, by podać jej parę antybiotyków. Nie były najbardziej odpowiednie przy tak zaawansowanym stadium, ale w szpitalu brakowało innych, więc musiały wystarczyć. Wieczorem Danais jeszcze bardziej obrzękła. Spuchły jej dłonie, ramiona i cały tułów. Rano przenieśli ją na intensywną terapię. Lekarze nie potrafili jasno powiedzieć, co jej jest. Gdy stara ich pytała, wykręcali się. To nietypowy przypadek. Musimy jeszcze zrobić parę badań. Podłączyli Danais do kroplówki. Po kilku godzinach wpadła w śpiączkę. Dostała tlen. Pojawił się Santico. Z uśmiechem podszedł do Danais. Gdy go zobaczyła, też się uśmiechnęła i zaczęła ściągać z siebie koszulę. Pielęgniarski obok nic nie rozumiał, nie wiedział, z czego Danais się śmieje, i tylko próbował nie dopuścić, by zdjęła z siebie szpitalną koszulę. Cholera jasna, przecież była nieprzytomna, więc skąd ten śmiech i te dziwaczne gesty? Danais i Santico są sami w lesie pod ogromnym i starym figowcem. Santico rozbiera się i nakłada naszyjnik z czarnych i zielonych paciorków. Drugi taki sam zawiesza na szyi Danais. Spomiędzy nóg sterczy mu do góry imponujący fallus, potężny i twardy niczym serce dzwonu. Santico jest wesół, ale wciąż niespokojny i nienasycony. Jak zwykle. Ani w dzień, ani w nocy nie potrafi znaleźć odpoczynku. Obok z krzaków patrzy na nich orsza, patron dróg i niegodziwych postępów. Ślimakowatymi oczyma na słupkach pilnie baczy na wszystko. To przyjaciel Oggóna. Zawsze chodzą razem, wspólnie wszczynają wszędzie awantury i bójki oraz gwałcą wszystkie napotkane kobiety. Santico zakopuje w ziemi zakrwawiony gwóźdź. Jest odważny, pijany i wiecznie buntowniczy. Przelewa krew strumieniami. Dużo krzywd wyrządził na świecie. Boi się, że będzie musiał za nie w końcu zapłacić. Nikomu nie ufa, wszystkim i wszystkiemu stawia czoło, żeby chronić plecy. Sam się boi i jego też się boją. Nieustannie jest wściekły. Nigdy nie był szczęśliwy. Jest wielkim, wspaniałym i niezwykłym wodzem wszystkich wojowników. Dotyka Danais, a ona jego twardą i zimną rękę czuje na sobie niczym żelazną pieczęć śmierci. Pachnie złowrogą żądną krwi stalą. On jest panem metali, kuźni, żelaza i ognia. Bez żadnych pieszczot, gwałtownie i bezlitośnie wbi ją w Danais. Ona oddaje mu się chętnie, lecz lekko jak zakochana dziewczyna. Wystarczył sam czubek tego potężnego fallusa i już przeżyła pierwszy orgazm. Potem jest wiele następnych. Spleceni razem tarzają się na trawie i wilgotnej ziemi. Oggiin potrzebuje soków tej pięknej i niewinnej dziewczyny, która oddaje się mu z miłości. Danais wije się w konwulsjach. Pielęgniarski próbuje przytrzymać ją na łóżku, ale dziewczyna ma nadnaturalną siłę. Gryzie go po rękach, jęczy, krzyczy, rzuca się na łóżku, unosi biodra, jakby naprawdę z kimś się kochała. Później z łoskotem spada na podłogę. Schodzi na nią śmierć i wszystko się kończy. Przez chwilę Danais ciężko oddycha z wykrzywioną twarzą, a w lesie tymczasem zrywa się nagły wiatr. Santico podnosi się z wyprostowanym wciąż członkiem, bije ją w twarz i zostawia leżącą na ziemi. Odchodzi. Znika wśród ceib, mastykowców i drzew camagua. Z hałasem biegną za nim pies, kogut i leci gołąb. Danais zostaje. Rozpaczliwie płacze. Jest sama, uwiedziona i porzucona wśród tego nieprzebytego lasu. Nadchodzi i ogarniają cyklon. Wiatr, deszcz, grzmoty, błyskawice. Danais nie wie, co się dzieje. Nigdy się nie dowie.

KONIEC TOWARZYSZKI KAPITAN

Przez całą noc Chicha trzęsa się ze strachu, słuchając, jak jakiś wielki i mocny szczur buszuje wśród kuchennych garnków. Szczur był wyjątkowo bezczelny i czuł się jak u siebie. Żeby wyjść na dach, korzystał ze starej i pordzewiałej rynny. Przez osiem pięter wspinał się rurą i wyskakiwał na taras, gdzie mógł grzebać w zalegających tam śmieciach albo włazić do któregoś z mieszkań. W siedmiu budach, które przez trzydzieści lat pomалу powstawały na dachu, gnieździ się co najmniej pięćdziesiąt osób. Jasne, że szczury mają tu dla siebie mnóstwo zakamarków i mogą liczyć na odpadki i resztki jedzenia. Chicha była przekonana, że to jest tylko jeden szczur, bo pewnego wieczoru widziała go, jak wyłazi z rury i gładko skacze cały metr, żeby przedostać się na taras. W rzeczywistości za tym wysportowanym szczurem wyskakiwała cała horda innych, która nocą obejmowała dach w swoje wyłączne posiadanie. Nic dziwnego, bo w piwnicach była tylko wilgoć, błoto, spróchniałe deski oraz zardzewiałe żelastwo, rury i kable. Żadnych rzeczy, które dla szczurów mogłyby być interesujące. Niektóre z tych zwierząt wypuszczały się na Malecón. Penetrowały wszystkie brudne bramy i chodniki. Zawsze coś tam znajdowały, choć od czasu do czasu przepłaszła je reszta nocnej fauny: kurwy, pijacy, policjanci i różni bezdomni włóczędzy. W końcu zaświtało i Chicha, cała w nerwach, zaczęła oglądać szkody. Szczur zrzucił pokrywkę z garnka, w którym były resztki kartofli i fasoli. Wyżarł prawie wszystko, a na dodatek zesrał się na stole. Wokół garnka też pozostawił swoje ślady. Chicha zawsze była brudna i niechlujna, ale tego już nie stolerowała. Otworzyła drzwi od mieszkania. Postawiła garnek na podłodze tarasu i nalała do niego wody. Wtedy właśnie przyszła jej siostra Tita. Hałaśliwajak zawsze, ra dosna i ukazująca w uśmiechu swe ogromne plastikowe zęby, które wychodziły jej z dziąseł i wyglądały, jakby lada moment miała je wypluć na rozmówcę. Dzień dobry! Dobry? Jak dla kogo. Musisz tu przychodzić tak rano i zawracać głowę? A cóż ci się stało? Już masz te swoje humory? Żadne humory. Daj mi spokój. Dobrze wychowany człowiek powinien trochę panować nad sobą. Nawet jak ma się zły dzień, to trzeba być uprzejmym dla innych. Dobra, Tita, skończ już. Nie rób z siebie takiej mentorki. Żle spałaś? W ogóle nie spałam. Pamiętasz tego szczura, który wyłaził z rynny i wskakiwał na taras? Tak. No więc dziś w nocy wlaź mi do mieszkania. Grzebał po garnkach, widocznie szukał czegoś do jedzenia. Zgroza! Jaka zgroza? Nie przesadzaj. Ja nie takie rzeczy przeżyłam. Dlaczego nie wstałaś, nie zapaliłaś światła i nie walnęłaś go jakiś drągiem? Strasznie jesteś niezaradna. Dobra już, dobra! Kiedy mąż mnie opuścił i zostałam sama z czwórką dzieci... Tita, przestań. Mózg ci się rozmiękczył. Widzisz? Ty tylko umiesz ludzi obrażać. Czemu się mnie czepiasz? To raczej ty jesteś stara sklerotyczka. Dziś w nocy trzeba było być taką mądrą. Ale nie, bo ty się wszystkiego boisz. W takich sytuacjach jesteś jak dziecko. I dalej się kłóciły. Jak zwykle. Jedna podpuszczała drugą i na odwrót. Sześć lat temu Chicha owdowiała i odtąd mieszka sama. Teraz ma sześćdziesiąt dziewięć lat. Tita jest jej młodszą siostrą i przychodzi kilka razy w tygodniu, żeby jej pomóc w domu. Tak naprawdę przychodzi głównie po to, żeby napić się kawy, zapalić papierosa, pokrzywzić trochę i pokłócić się z Chichą. Nie znoszą się nawzajem. To co, Tita? Posprzątasz mi dzisiaj w mieszkaniu? Nie rozkazuj mi! Nie jestem twoją służącą. Ach, Tita, ja przez ciebie oszaleję! No to po co tu przyłazisz? Przecież mówiłaś, że chcesz mi pomóc. Przychodzę, żebyś nie była taka sama. Popatrz, nawet twoja rodzina nie może z tobą wytrzymać. Począwszy od twojej córki i wnuczek. Ktoś musi spełnić ten chrześcijański obowiązek. Jaki chrześcijański obowiązek! Co ty mitu pieprzysz! Musisz tak truć od samego rana? Widzisz? Właśnie dlatego ludzie cię nie lubią. Jesteś źle wychowana i wszystkich tylko obrażasz. Miej trochę szacunku dla czyichś uczuć. Wiesz przecież, że ja wierzę w Boga... Bzdury. Boga nie ma. Gdyby Bóg istniał, nie byłoby tyle nędzy i głodu na świecie... No! A ty znów swoje! Komunizm, polityka, obrażanie innych. Powiedz lepiej, co oni zrobili, ci twoi komuniści. Bóg nie rozwiązał naszych problemów, to prawda, ale oni też nie. Popatrz, jak to wszystko u nas wygląda. Z tobą lita, nie da się rozmawiać, bo jesteś analfabетка. A ty niby taka wykształcona. Ach, towarzyszką kapitan... patrzcie, patrzcie! No już, dosyć. Przynajmniej mogłabyś pójść po chleb. Pewnie, że pójde! Nie mam zamiaru siedzieć z tobą tym gołębniku i słuchać, jak wygadujesz na Boga i na cały świat... Idź już po ten chleb. Tita wyszła, a Chicha przypomniała sobie sen, jaki miała pewnego dnia, gdy zdrzemnęła się na chwilę w fotelu. Widziała w nim, jak jej siostra żebrze na ulicy. Bosa, rozczochrana i brudna po tych wszystkich nocach spędzonych na ławce w parku, jedną rękę wyciągała ku przechodniom, a w drugiej trzymała figurkę Matki Boskiej. Chicha miała wrażenie, jakby to był jakiś znak. U niej często tak było. Potrafiła na przykład przeczuć czyjąś śmierć. Dziesięć lat wcześniej, nim się powiesił jej ojciec, nieraz widywała go w snach z grubą pętlą na szyi. Podobnie było z jej mężem. Miał sześćdziesiąt cztery lata, wciąż był mocny i zdrowy, ale pewnego dnia przyśnił się jej w momencie, gdy wlaził na awoka do. Wesoły, uśmiechnięty i jak zwykle bez troski, sięgał po jakiś owoc i wtedy omsknęła mu się noga. Spadł i uderzył głową o kamień. I tak się stało naprawdę. Wstrząs mózgu okazał się śmiertelny. Chicha nie wierzyła w te znaki. Mówiła sobie: To czysty przypadek. Za wiele wycierpiała w życiu głodu i niedostatku. Za dużo było tych wszystkich upokorzeń, gdy musiała służyć w bogatych domach. Nie, gdyby Bóg istniał, nie pozwoliłby na to. Gdy zwyciężyła rewolucja, Chicha dostała pracę w policji. Dali jej pistolet i mundur. Teraz moja kolej pomyślała. Czas na rewanż. I rzeczywiście tak było.

Gdzie tylko się dało, wszędzie zaprowadzała porządek. Żelazną ręką. Wszystko musiało być pod kontrolą. Przed ośmioma laty przeszła na emeryturę. Niedługo potem umarł jej mąż. Od tego czasu boi się wszystkiego. Ogarnianieopanowany lęk, gdy myśli o wyjściu z domu na ulicę czy chociażby na schody. Jest przekonana, że wtedy od razu ją zamordują. Tylko u siebie w mieszkaniu czuje się bezpieczna. Wciąż brakuje jej pieniędzy i jedzenia. Jest chuda jak szkielet, wyniszczona, i na dodatek ma chroniczny katar: wciąż smarka i pluje cuchnącą flegmą. Teraz dopiero zrozumiała, że jest kompletnie sama. Nie cierpi jej sąsiedzi ani własna rodzina. Nikt nawet nie pójdzie, żeby jej kupić przydziałowy chleb. Sąsiedzi nie mówią niej Chicha, tylko towarzyszka kapitan. I omi jają z daleka. Tak więc Chicha jest sama, głodna i chora. Coraz bardziej zarasta brudem w tym swoim pokoju cztery metry na cztery z dwoma zrujnowanymi fotelami i rozpadającym się wyrkiem. Nigdy nie posłużyła się rewolucją dla swojej własnej korzyści. Zawsze była absolutnie uczciwa. Wierzyła, że rewolucyjna moralność to przede wszystkim uczciwość, autorytet, porządek, dyscyplina, kontrola i surowość. Wobec siebie i innych. Teraz nie ma pieniędzy, nie ma co jeść, więc czasem jest zdesperowana. W kącie stoi mała biblioteczka zapchana książkami: Mao, Lenin, Marks, Kim Ir Sen, przemówienia, stare roczniki Sputnika i Reader Digest. Chicha patrzy na te zakurzone szpargały. Bierze do ręki jakiś numer pisma z 1957 roku. Otwiera go na chybił trafił. Wywiad z Frankiem Lloydem Wrightem: Jak długo moglibyśmy przetrwać, gdyby zabrakło poezji? Jak długo może przetrwać cywilizacja pozbawiona duszy? Nauka nie jest wybawieniem, bo doprowadziła nas na skraj przepaści. Tylko sztuka i religia mogą nas ocalić, bo one są duszą każdej cywilizacji. Chicha zamknęła pismo i odrzuciła je na bok. Ci jankesi to cholerne mięczaki! Otworzyła drzwi, przysunęła do nich fotel i usiadła w nim na chwilę. Jakiś facet gromadził w mieszkaniu cegły. Wynosił je po dziesięć na ósme piętro, składał u siebie w pokoju i schodził po następne. Był bosy i tylko w spodniach obciętych nad kolanami. Jego czarną i spoconą skórę pokrywał szarobiały pył z wapna i cementu. Wyglądał jak żywy posąg. Jak klasyczna rzeźba z gipsu, cementu lub surowego kamienia. Był to młody, wysoki i muskularny Murzyn. Dziwny widok: rzeźba, która się porusza. Facet nosił cegły z jakiegoś domu w okolicy, który niedawno musiał się zawalić. Prawdopodobnie chciał nielegalnie zbudować ścianę albo antresolę. Tutaj wszyscy to robią. Rozwalają ściany, wybi jają drzwi, dzielą pokoje na mniejsze. Wystarczają im jakieś spróchniałe deski, kawałki plastikowej folii albo potrzaskane cegły z odzysku. Cokolwiek. Z każdym rokiem coraz więcej ludzi mieszka w tych malutkich kłitkach, trzy metry na cztery albo cztery na cztery. Żyją jak karaluchy. Jedni na drugich, czasem po kilkanaście osób w jednej takiej brudnej i ciemnej norze. Zasadniczo jest zabronione dokonywać jakichkolwiek przeróbek w mieszkaniach, ale nikt się tym nie przejmuje. Wszyscy robią, co chcą i nie pytają o zgodę. Zajmują wszystko, co się da, każdy kąt, i wciąż ściągają ze wsi coraz więcej krewnych. Albo po prostu mnożą się jak króliki, a potem żyją stłoczeni i jakoś sobie radzą. Chicha nie odezwała się ani słowem. Jeszcze parę lat temu poszłaby zobaczyć, co tam robią. Sprawdziłaby, czy to legalne i czy mają zgodę Miejskiego Wydziału Architektury i Gospodarki Przestrzennej. Jeśli nie, wezwałaby policję i inspektorów z nadzoru budowlanego. Tamci musieliby rozebrać to, co już zbudowali. Prawa trzeba przestrzegać i na wszystko musi być zezwolenie. Teraz jednak Chicha odpuściła sobie. Nie chciało jej się. Było jej już wszystko jedno. Sąsiedzi z nią nie rozmawiali i traktowali ją jak powietrze. Ona ich też. To było normalne. Wzięła stary numer Sputnika z 1982 roku i zaczęła czytać krzepiący reportaż o budowie stulecia: o kolei BajkałAmur. Pochłonięta lekturą przeniosła się myślami na zaśnieżone stopy do tych młodych bohaterów, którzy pracowali z oddaniem pod łopoczącymi na wietrze czerwonymi sztandarami. Tymczasem w sklepie Tita zdała sobie sprawę, że nie ma nawet pięciu centayo na chleb. Ogarnęła ją przeraźliwa depresja. Podczas tych jej ataków zawsze czuła się najędźniejszą i najbardziej nieszczęśliwą istotą na świecie. Łzy jej napłynęły do oczu i wtedy ekspedientka powiedziała: Co, nie masz pięciu centayo? No dobra, weź sobie ten chleb, tylko mi tu nie płacz, bo tego nie lubię. To mi przynosi pecha. Tita wzięła chleb i dopiero wtedy naprawdę się rozpłakała. Długim i rozpaczliwym szlochem. No już, już! Idź sobie! Ekspedientka wypchnęła ją za drzwi. Wszyscy w sąsiedztwie wiedzieli, że Tita jest nieźle stuknięta. Nikomu jednak nie przyszłoby do głowy, dlaczego tak naprawdę mąż ją opuścił i pozostawił samą z czwórką dzieci. Tita była wtedy młodą i ładną kobietą perfumowała się i malowała twarz, ale nigdy się nie myła. Nie sprzątała domu i nie zajmowała się dziećmi. Była kompletną fletuchą i abnegatką ale twarz miała zawsze starannie wypielegnowaną. Wszystkie pieniądze wydawała na kawę i na papierosy. Kiedy mąż oszedł, Ticie coś się przestawiło w głowie. Wpadła w depresję i przez trzy lata nie wstawała z łóżka. Psychiatrzy uznali, że jedyną nadzieją są elektrowstrząsy. Teraz, po trzydziestu latach, Tita z promiennym uśmiechem i szczerząc do ludzi swe ogromne plastikowe zęby sprawdziwszy najpierw językiem, czy nie wypadają z dziąseł szeroko otwiera oczy i ra dośnie mówi każdemu, kto ma cierpliwość jej słuchać: Miałam trzydzieści dwa elektrowstrząsy, ale teraz czuję się dobrze, bardzo dobrze, bardzo dobrze. Czuję się świetnie, naprawdę świetnie. Jeśli muszę mie ich więcej, to niech mi je dadzą. Bardzo proszę. Choć ja już naprawdę bardzo dobrze się czuję. Świetnie się czuję, świetnie. Wychodzi ze sklepu, płacze i jest w potwornej depresji. W ogóle nie pamięta o chlebie, który miała przynieść

siostrze. Wlecze się powoli ulicą. W końcu przestaje płakać. Zatyka jedną dziurkę w nosie, potem drugą i wydmuchuje smarki na chodnik. Idzie przez Animas w stronę Galiano. Mi ja kilka przecznic i siada w parku na rogu Galiano i San Rafael. Patrzy przed siebie w przestrzeń. Potem przez chwilę przygląda się budynkowi naprzeciw. To dawny Ten Cent. Przypomina sobie te szczęśliwe lata, kiedy była młoda i pracowała tam jako ekspedientka w dziale kosmetyków i perfum. Była ładną i wysoką brunetką o pięknych piersiach. Jej wygląd, łagodny uśmiech i uprzejmość emanowały spokojem i niewinnością. Może właśnie dlatego udawało się jej tak dużo sprzedawać. Miała wielu chłopaków. Całe dziesiątki. Dawali jej kwiaty, perfumy, czekoladki. Dlaczego wybrała sobie akurat tego wariata? Wstąpiła do milicji, zamknęli Ten Cent, Amerykanie się wynieśli, a ona wyszła za męża, bo była już w ciąży. Ach, jaką bił ten prymityw! Nawet gdy chodziła z brzuchem. Aż dziw, że nigdy nie poroniła. Ciekawe, co teraz jest w tym Ten Cent? W parku jest mnóstwo innych wariatów i wariatek, bezdomnych włóczęgów, żebraków i kobiet, które próbują sprzedać jakieś dzia dostwa przechodniom. Paru podekscytowanych ekshibicjonistów pokazuje swoje instrumenty żebraczkom. Tita nie widzi całej tej fauny. Jest jakby w letargu. Wyciąga rękę do przechodzących ludzi. Chciałaby sobie kupić papierosy i kawę. Tylko tego jej potrzeba. Cichym głosem mówi: Ludzie, na miłość boską, proszę o kilka monet. Na papierosy i kawę. Bądźcie tacy dobrzy. Wyświadczcie mi tę grzeczność. Wszyscy powinniśmy sobie pomagać. To przecież tylko kilka monet. Nie myślcie o mnie źle. Pomóżcie jak bliźni bliźniemu. Ludzie jej nie rozumieją. Tita mówi bardzo cicho. Starannie wymawia każde słowo z uśmiechem, którego wyuczyla ją szkoleniach w Ten Cent. Chicha tymczasem skończyła czytać heroiczny reportaż o kolei Bajkał-Amur i zaczęła się zastanawiać, dlaczego Tita nie wraca z tym cholernym chlebem. Pomyślała, że właściwie dawno powinna ją była posłać w diabły. Nie, muszę być twarda i pogonić ją stąd. Po cholerę mami tu przychodzić? Kiedyś przez nią oszaleję i będę taką samą wariatką jak ona. Szlag mnie trafia, gdy siedzi tu za dowolona, pije kawę i pali jednego papierosa po drugim. Nie, muszę to zrobić! Potem zrzeknę się tego mieszkania i pójdę do domu starców. Przez chwilę stała na środku pokoju i myślała. Od kilku miesięcy nosiła się z tą myślą ale wciąż jej brakowało odwagi: Tak, zrobię to. Raz w końcu to zrobię. Przecież to jest bez sensu. Mam coraz mniej sił i chyba wkrótce nie potrafiłabym go użyć. Podeszła do niewielkiej komódki. Wyciągnęła szufladę. Na jej dnie, pod stertą brudnej bielizny, leżał amerykański rewolwer. Colt. Kiedyś dał go jej pewien wysoki oficer. Zaraz na początku rewolucji. To był taki model używany jeszcze w poprzedniej armii, teraz już go wycofano, ale wciąż był w doskonałym stanie. Przez długie lata starannie go czyściła i smarowała. W kartonowym pudełku miała trzydzieści naboji. Przesypała je do słoika i zalała wodą. W ten sposób przerdzewieją i same się zniszczą. Schowała słoik pod łóżko i pomyślała, że przydałby się jej młotek. Mogłaby nim rozbić rewolwer na kawałki. Ale skąd wziąć młotek? Z powrotem wsadziła broń do szuflady i nakryła ją bielizną. Wsunęła szufladę i znów usiadła w drzwiach w swym zdezelowanym fotelu. Tamten facet dalej nosił cegły. Był jak poruszający się posąg z kamienia i cementu. Niewzruszony i niezniszczalny posąg, który bez końca nosi cegły.

ZAWSZE SIĘ ZNAJDZIE JAKIŚ SKURWYSYN

Stary Czolo skończył zbierać książki, które miał rozłożone na podłodze w sieni. Były ich tysiące. Poskładał je do kartonowych pudeł, które później wniósł do swego zrujnowanego mieszkania. Wziął brudną zardzewiałą puszkę, starannie zamknął drzwi na klódkę i wybrał się po jedzenie. Od Karola III i Belascoain do Cuba i O'Reilly jest dwadzieścia sześć przecznic. Czolo szedł szybkim krokiem i zajęło mu to trzydzieści minut. Najpierw w dół przez Reina aż do Montserrate, a potem na O'Reilly skręcił w prawo na Cuba. Kiedy doszedł, była już prawie siódma. Kucharka miała jak zwykle kiepski humor i krzyknęła do niego to samo co zawsze: Znów tak późno! Czolo, czemu musisz przychodzić ostatni? Masz, tylko to zostało. Nałożyła mu do puszki trochę ryżu z grochem i postawiła krzyżyk przy jego nazwisku na liście trzystu czterdziestu dwóch stołowników tej kuchni prowadzonej przez opiekę społeczną. Nie masz już nic więcej? No nie, poszukaj jeszcze trochę w tym garnku! Nic więcej nie ma. Twoja strata. Trzeba było przyjść wcześniej. Wyszedł. Parę kroków dalej usiadł w jakiejś bramie. Wyciągnął z kieszeni łyżkę i wyjadł z puszki tę pozbawioną smaku bryję. Dalej był głodny. Pomyślało tych tanich jadłodajniach, które niedawno utworzyli na Belascoain. Było jednak już późno. Jeśli cokolwiek zostało o tej porze, to chyba tylko rum i papierosy. Wsadził rękę do lewej kieszeni spodni. Wymacał zwitek banknotów. Całkiem gruby zwitek. Dzisiaj zarobił na starych książkach co najmniej pięćset peso. Miał ich tysiące ukrytych w mieszkaniu w tekturowym pudle. Dużo tysięcy. Sam nie wiedział ile. Podeszła do niego jakaś kobieta. Chciała mu sprzedać trochę skrętów z maryską. Nie. Czolo nie trwoni pieniędzy na głupstwa. Nie pali, nie pije rumu ani kawy i je tylko dwa razy dziennie. Bardzo skromnie. Jedyne jego nałóg to kobiety. Ma siedemdziesiąt sześć lat, ale wyglądana sześćdziesiąt: wciąż jest silny i muskularny. Jest niskim ciemnym blondynem o niebieskich oczach. Jego matka mówiła, że wdał się w ojca: krępego i mocnego jak byk Baska,

który żył z nią kilka miesięcy, a gdy zobaczył, że jest w ciąży, zmył się i nigdy więcej już go nie widziała. Czolo też go nie znał. Matka umarła, gdy miał cztery lata. Już jej prawie nie pamięta.

Czolo wychował się na ulicy. Bez ojca, bez matki, bez rodzeństwa. Sam. Spał po bramach, na ławkach, byle gdzie. Pracował, przy czym się dało. Robił wszystko: był tragarzem, czyszcicielem szamb, śmieciarzem, bokserem, sprzedawcą gazet, pucybutem, pomagał na budowach. Nie ma chyba takiej brudnej i fizycznej pracy, której by nie zakosztował. Próbował szczęścia wszędzie: na wysypiskach śmieci, w rzeźniach, na targu, w fabrykach. Całe życie, bez przerwy, odkąd umarła jego matka. Nigdy nie miał domu ani jakiejś stałej kobiety. Czasem nawet lubi być dłużej z jedną kobietą, ale ona zaraz zaczyna się domagać coraz więcej pieniędzy, robi się zazdrosna i usiłuje organizować mu życie. Chce mieć dzieci, chce, żeby Czolo wydawał forszę na mydło i żeby codziennie się kąpał. Nie, nie! Dłużej niż miesiąc z kobietą nie da się wytrzymać. No więc Czolo jest silny i zdrowy. Dwa lub nawet trzy razy na tydzień kutas staje mu jak u buhaja. Właśnie dlatego potrzeba mu pieniędzy. Kobieta od jointów wciąż krążyła obok i wypatrywała klientów, ale nikogo nie było. Czolo przyglądał się jej uważnie. Była chuda, może trzydziestoletnia, z włosami, z których speszła farba, ni to brunetka, ni blondynka, dość niechlujna, o czarnych i zrogowaciałych piętach. Jeszcze raz się jej przyjrzał. Uśmiechnęła się do niego. Zęby miała jak on: czarne i spróchniałe. No co, stary? Może kupisz trawkę? Po jednym peso za skręta. Nie, nie chcę trawki. Ale chodź tu do mnie. Usiądź. Po co mam siadać obok ciebie? Zwariowałeś? Wtedy Czolo wstał i sam podszedł do niej. Chcesz dwadzieścia peso? Kobieta spojrzała na niego nieufnie. Za co? Daj sobie wylizać cipę. Tylko tyle. O nie, nie! Brzydzę się, jesteś brudny. Jeszcze się czymś zarażę. Dam ci trzydzieści. A jak mi stanie, żebym mógł ci wsadzić, dorzucę jeszcze dziesięć. Nie, mowy nie ma. Jesteś flejtuch i nie chcę. W parę minut możesz zarobić czterdzieści peso. Naprawdę nie chcesz? Nawet za sto nie pozwolę, żebyś mnie dotknął ani tym bardziej mi wsadził. Na mózg ci padło? Dziewczyno, nie bądź głupia. To tylko jeden moment. Odwal się i daj mi spokój. Odeszła od niego i dalej krążyła po ulicy ze swoimi skrętami. Czolo chwilę na nią patrzył, uśmiechnął się i zawołał: Dam ci sto dwadzieścia! Zatrzymała się. Wróciła do Chola i powiedziała z szerokim uśmiechem: Naprawdę? A to co innego. Nie, zaraz, to nie tak, jak myślisz. Ale popatrz: czterdzieści dzisiaj, czterdzieści jutro i czterdzieści pojutrze... Ach, nie pierdol, staruchu! Bezcelny jesteś! Jak się nie odczepisz, to zawołam policję. Czolo napalił się. Kutas już mu prawie stał i wypychał od środka spodnie. Stary był dumny z siebie. Pomyślał, że jest chyba jedynym mężczyzną na świecie, któremu w tym wieku kutas wciąż robi się twardy jak skała. Wiedział, że jest prawdziwym rozplodowym bykiem. Podskoczył kilka razy na środku ulicy. Przyjął postawę bokerską pochylił głowę i strzelił parę krótkich prostych w twarz wyimaginowanego przeciwnika. Krótko i prosto. Masz atomowy strzał w prawej ręce. Wal głównie prawą mówił mu trener w klubie America. W ciągu trzech lat dziewięćdziesiąt siedem walk wygrał, dwadzieścia trzy przegrał. Czolo Banderas. Tak się nazywał na ringu. Banderas dodał mu trener, żeby lepiej brzmiało. Czolo Banderas bardziej wpada w ucho. Ma w sobie taki swing. Aż wreszcie pewnego dnia znokautował go taki jeden czarnuch. Zwalił go nieprzytomnego na deski. Czolo miał wtedy pęknięcie czaszki i odtąd nie mógł już walczyć. Potem trafił na dwa lata do więzienia. Właściwie za nic: jakiś głupi i bezcelny gliniarz sprowokował go, więc Czolo użył paru krótkich prostych. Skończyło się na dwóch latach. W więzieniu Czolo czuł się całkiem dobrze. Nie pracował. Milczał i przez okrągły dzień leżał w kącie na pryczy. Inni opowiadali jakieś głupoty i chwalili się, jacy to oni są twardzi. On nie. Do nikogo się nie odzywał i nie miał przyjaciół. Nic. Cały dzień sam. Jak zwykle. Aż w końcu znów mógł wyjść na ulicę. Od tego czasu minęło wiele lat. Już prawie o tym zapomniał. Prawdę mówiąc, nigdy niczego nie starał się pamiętać. Często sobie powtarzał: Żyje się dzisiaj. Wczoraj minęło, ajutrajeszcze nie ma. W gruncie rzeczy było mu wszystko jedno, czy jest bokserem czy kanalarzem. Czy jest w więzieniu czy pod gołym niebem. Stał teraz na ciemnej ulicy z prawie już sztywnym kutasem. Rzucił puszkę na jezdnię. Z całej siły, żeby narobić hałasu. Czuł się wypoczęty i twardy. Rozmasował sobie barki, bicepsy i mięśnie trójgłowe.

Jesteś w formie, Czolo! Teraz przydałaby ci się jakaś dupa! Ruszył przed siebie, podskakując i wypuszczając krótkie proste ciosy w powietrze. Poszedł w stronę Ayenida del Puerto. Ta okolica zawsze mu się podobała, tyle że przedtem było łatwiej. Przy Ayenida del Puerto, u wylotu Muralla, mieszkały takie trzy wesole dziewczyny. Każda w osobnym pokoiku z czerwonymi drzwiami. Każda miała własną złotą wizytówkę: Berta, Olga, Lola. Z nimi Czolowi wiążą się najlepsze wspomnienia z życia. To były takie trzy kurewki. Brały pięć peso za numer. Rozmawiały z nim, śmiały się i żartowały. Z czasem zdążył się z nimi zaprzyjaźnić. Kiedy przychodził, robiły mu lemoniadę, kąpały go i strzygły. Wtedy Czolo dawał im kilka peso więcej. W życiu nic nie jest za darmo. Niestety, wszystkie trzy dawno już umarły. Teraz miałyby jakieś sześćdziesiąt lat. Bardzo młodo umarły. On wprost przeciwnie: wciąż jest pełen życia. Pancierz, który zaczął wytwarzać wokół siebie, gdy był jeszcze dzieckiem, teraz stał się jeszcze bardziej twardy. Czolo nigdy nie miał żadnej innej ochrony, a teraz już na pewno wie, że nikogo i niczego nie musi się obawiać. Jest jak dzika bestia w dżungli. Zawsze sami z daleka od

stada. Miał wiele kobiet i spłodził wiele dzieci, nikt jednak do niego się nie zbliża i nie mówi: Jesteś moim ojcem. Moją matką była taka a taka. Pamiętasz? Wszystkich zdążył gruntownie przepłoszyć. Nigdy nie pamiętał swych kobiet ani tym bardziej ich dzieci. Żadna nigdy nie urodziła przy nim. Znikał, gdy tylko słyszał, że są w ciąży. Któż mógłby mu zagwarantować, że to jego dziecko? Wszystkie kobiety są takie same: za kilka peso prześpią się z każdym, a potem szukają frajera, który będzie utrzymywał bachora. Nie, z nim to nie przejdzie. Już nie. Od lat nikt nie próbuje wrabiać go w ojcostwo, choć właśnie teraz najlepiej mu się żyje. Śmieje się z wszystkich i z całego świata. Mówią, że Kuba przechodzi najgorszy kryzys w swej historii. Czolo nieraz myśli: Najgorszy? Dla mnie ten kryzys jest najlepszy. Kiedy w 1990 nastął prawdziwy głód, Czolo ustawił w bramie fotel i zaczął ludziom czyścić buty. Przyszło mu do głowy, że przy okazji mógłby handlować używanymi rzeczami. Zaczął kupować i sprzedawać różne rupiecie: od kawałków rurek i elektrycznych kabli po plastikowe wieszaki, stare buty, książki, ilustrowane pisma, lusterka i dziecięce zabawki. Wtedy na Kubie nie było nic. Absolutnie nic. Ludzie mieli pieniądze, ale nie mogli ich wydać nawet na papierosy. Wkrótce Czolo spostrzegł, że z tego interesu może wyciągnąć więcej niż z czyszczenia butów. Poza tym na Kubie znikła pasta, więc nie miał co robić jako pucybut. Kupował i sprzedawał cały ten swój chlam bardzo tanio. Mieszkał w dobrym punkcie miasta, w samym centrum, więc dużo ludzi przechodziło przed tą jego bramą. Na ogół wszyscy się zatrzymywali, żeby pooglądać towar. Pytali o ceny. Niektórzy coś kupowali. W końcu Czolo zorientował się, że najlepiej idą stare książki i czasopisma, więc dał sobie spokój z innymi rzeczami. Z kawałka tektury zrobił sobie sztyl, na którym ktoś mu napisał: Kupuje stare ksionszki i gazety. Odbieram je od klientów. Chodził na piechotę po całej Hawanie z czterema ogromnymi brezentowymi torbami. Wracał do domu objuczony jak muł. Nie umiał czytać, więc kupował hurtem. Wszystko. Tysiące książek, które później rozkładał na podłodze w sieni. Codziennie miał setki klientów. Nigdy tyle nie zarabiał. Wieczorem chował banknoty do tekturowego pudełka, które nakrywał starymi książkami. Nikt by się nie domyślił, że Czolo ma tam prawdziwą fortunę. Nigdy z nikim nie rozmawiał, do nikogo się nie uśmiechał. Ludziom nie można ufać. Dasz im palec i zechcą całą rękę. Czasem całymi dniami milczał i otwierał usta tylko po to, żeby powiedzieć tak albo nie jakiemuś klientowi. Doskonale wiedział, co się dzieje. Diabeł jest cwany nie dlatego, że diabeł, tylko że jest stary. Problem w tym, że ludzi łatwo przestraszyć. Amerykanie pogrożą przyjdzie trochę głodu i już wszyscy srają w portki ze strachu. Łażą po ulicach jak błędni, chudzi, wylęknieni, coś tam gadają do siebie. Cholera wie, skąd się u nas bierze tylu tchórzy. W końcu na Kubie zawsze tak było. Trzy, cztery lata dostatku i dwadzieścia lat nędzy. Tak to jest, odkąd pamiętam. Dlatego nie można się bać. Trzeba żyć normalnie. I do przodu. Tak sobie myślał, ale nigdy tego nie mówił. Po pierwsze, nie miał do kogo. Po drugie, nie umiał rozmawiać z ludźmi. Nie lubił. Lepiej milczeć. Milczenie jest złotem. Doszedł na ulicę Muralla i usiadł pod łukiem ujej wylotu na Ayenida del Puerto. Było ciemno. Czolo siedział spokojnie. Trochę dalej, jakieś sześć metrów od niego, Murzyn i Murzynka pieprzyli się na stojąco oparci o kolumnę. Słyszał, jak stękają i jęczą. Rznęli się w zapamiętaniu. Czolo jeszcze bardziej się napalił. Tą ulicą rzadko ktoś przechodził. Właściwie nikt. Czolo wyciągnął laskę i pomasaował ją sobie, patrząc na tamtą parę. Tylko trochę. Już od dawna się spuszcza na darmo. Nie te czasy, kiedy produkował taką masę spermy, że za jednym razem potrafił napelnić całą szklankę. Kobiety były wręcz wystraszone tymi jego gejzerami. Teraz tryskał dużo słabiej. Nie mógł sobie pozwolić na jakieś marnotrawstwo. Czolo był w dobrym humorze. Hmrrm, ale fajnie. Schował do spodni swój instrument i zaczął szukać ofiary. Dziś w nocy znajdzie sobie szparę za dwadzieścia peso albo nie nazywam się Czolo. Znów parę razy podskoczył i poboksował powietrze, potem poszedł przez Ayenida del Puerto w stronę Malecónu. Wszędzie kurwy, otwarte bary i dowożące klientów taksówki. Trzy zawalone budynki, które musiały się rozsypać po ostatnim cyklonie. Trudno przejść przez gruzy. Chyba zatkały się kolektory, które odprowadzają ścieki do morza, bo koło baru Los Marinos ulica jest zalana gównem. Czolo nie zwraca na to uwagi. Całe życie spędził w takim gnojowisku. Teraz chce tylko szpary za dwadzieścia peso. Pned Los Marinos stoi grupka młodych kurewek. Czekają na klientów. Są ładne, apetyczne, wyperfurnowane. Czolo dawno już tędy nie chodził, ale myśli, że jak zawsze kurwa to kurwa i że wszystkie są takie same. Woła do siebie taką drobną Mulatkę. Dziewczyna jest zdziwiona, że zaczepiają jakiś obrzydliwy staruch. Nie ma zamiaru do niego podchodzić i tylko krzyczy z daleka: Czego chcesz, dziadku? Dziadku mów do swo jego alfonsa. Stul pyski chodź tu! E! A tobie co jest, ty pierdolony staruchu? Odbiło ci? Nie wnerwiaj mnie, bo cię dziabnę nożem! Czolo nie reaguje. Woła inną. Tajest bardziej pokojowo nastawiona, więc zbliża się na dwa metry. Powiedz, dziadku, czego chcesz od nas? Pieniędzy? Jesteśmy splukane. Nie mamy ani centa. Poproś jakiegoś turystę. Nie, to ja ci chcę dać forszę. Podejdz tu bliżej. Nieee! O co ci chodzi? Dam ci dwadzieścia peso, jak mi pozwolisz wylizać sobie cipę. No, chodź. Dwadzieścia czego? Peso? Tak. Dwadzieścia kubańskich peso. Och, puknij się w głowę. Z wariatkowa uciekłeś czy co? Dziewczyna odwraca się do swoich koleżanek i szyderczo woła: Mówi, żerni da dwadzieścia peso kubańskich, jeśli pozwolę mu się wylizać! Ha, ha, ha! To jakiś dureń albo kompletny skleroty! Ha, ha, ha!

Śluchaj, stary, zjeżdż na ziemię! Jedna chwila z nami kosztuje pięćdziesiąt zielonych, a jak ktoś tak śmierdzi jak ty, to i stowa jest mało. A poza tym ty chyba w życiu nie widziałeś dolara. No więc nie zawracaj głowy, tylko spadaj. Inne dziewczyny też śmieją się i kpią sobie z niego: Ej, stary, zjeżdżaj stąd, bo psujesz nam powietrze! Idź się umyć! Czolo wstaje i idzie dalej. Nie on, tylko te kurwy chyba zwariowały. Szybko liczy w pamięci. Dolar jest po dwadzieścia trzy, razy pięćdziesiąt daje tysiąc sto pięćdziesiąt. Psiakrew, niemożliwe! Jak to? Taka dziwka za jeden numer bierze dwa razy więcej, niż on zarobi przez cały dzień? Przecież one będą milionerkami za... Nie, nie będą. Nie będą, bo nie oszczędzają. Wydają wszystko na perfumy, torebki i na te paskudztwa, którymi się pacykują. To jest właśnie problem większości ludzi. Nie oszczędzają. Idzie dalej. Mi ja kilka barów. Ludzie siedzą w nich, piją puszkowe piwo, słuchają muzyki, śmieją się. Czolo nawet na nich nie patrzy. Zawsze szlag go trafia, gdy widzi takie marnotrawstwo pieniędzy. Odchodzi kawałek i siada na murze Malecónu. Sam. Przygląda się ludziom. Mało kto tamtędy przechodzi. Widzi Mulata, który pedałuje riksą i zatrzymuje się akurat przed nim. W rikszy jest jakaś biała dziwka z tlenionymi włosami. Wysiąda. Facet wprowadza swój wehikuł na chodnik i ustawia go przy murze. Potem oboje siadają naprzeciwko siebie. Bardzo blisko. On twarzą do morza, a ona ku miastu. Facet jest mocno nabuzowany, Rozpina spodnie i wyciąga napęczniałą łaskę. Dziewczyna chwytając lewą rękę i zaczyna masować. Nie odzywa się i w ogóle nie patrzy na gościa. Czasem ktoś przed nimi przejdzie, ale nie zauważa dyskretnych ruchów jej ręki. A wszystko to dzieje się o kilka kroków od Chola, w którym wzrasta ciśnienie jak w ekspresie do kawy. Po pięciu minutach Mulat jest już gotów. Głęboko wzdycha. Dziewczyna usuwa dłoń, żeby się nie pobrudzić. Facet daje jej kilka banknotów i mówi coś po cichu. Za dowolony wsiada na riksę i pogwizdując, odjeżdża. Dziewczyna dalej siedzi pod murem. Czolo uważnie na nią patrzy. Babka jest brudna i mocno już zniszczona, ale ma niezłe ciało. Czolo podchodzi do niej i bez żadnych wstępów mówi: Masz dwadzieścia peso, jak mi dasz wylizać cipę. Nie, nie, dziadku. Daj mi spokój. Dobrze, no to ty powiedz. Co mam powiedzieć? Ile chcesz. Za wylizanie cipy? Tak. Ach... Nie wiem... Trzydzieści? No to chodźmy. Dobrze, niech będzie.

Naprzeciwko jest taki mały ogródek dla dzieci. Dawno już zamknięty, ciemny i zarośnięty krzakami. Nikogo tam nie ma. Wchodzą między krzaki. Czolo jest podekscytowany jak dziecko. Dziewczyna ściąga szorty i majtki, kładzie je na ziemi, siada na nich i rozwiera nogi. No jazda, bierz się do roboty. Masz tylko parę minut. Nie myśl, że będę tak siedzieć przez godzinę. Stary najpierw wacha i dotyka jej czubkiem języka. Potem idzie na całość. Jego brudny i szorstki język wie, o co chodzi. Czolo jest jak ssąca pompa. Zna się na rzeczy i umnie używać swojej wiedzy. Rozwił ją cały swój repertuar, a dziewczyna traci panowanie nad sobą. Czolo gryzie ją w łechtaczkę i doprowadza do długiego i potężnego orgazmu. Och! Przez chwilę cały świat dla niej nie istnieje. Wreszcie odzyskuje świa domość i mówi sobie w duchu: Marisela, nie trać głowy z tym cholernym staruchem. Kontroluj się, Marisela, kontroluj. Już, już, stary. Wystarczy. Czolo dalej ją ssie i masuje sobie kutasa. Marisela widzi ten jego instrument: jest wielki, gruby i twardy. Nie, nie, dość! Co ty robisz? Ale ta ogromna i potężna laga ma przemożną siłę. Nieświa domie Marisela rozwierasz jeszcze bardziej nogi. Stary wchodzi na nią i wypycha jej w cipę kutasa. Aj, stary, uważaj! Masz takiego wielkiego. Ostrożnie!

Potem ona ma jeden orgazm za drugim. Wreszcie Czolo też nie może wytrzymać i się spuszcza. Kończą. Czolo wstaje i znów zaczyna skakać jak bokser, młocąc powietrze krótkimi i prostymi ciosami. Kipi energią jest wesół i w ogóle nie zmęczony. Rozgrzał się i teraz mógłby walczyć przez następne dziewięć rund. Kobieta nie może wyjść ze zdziwienia. Chłopie, chodź tu, powiedz, ile ty masz lat? Siedemdziesiąt sześć. Nie, to niemożliwe. Co niemożliwe? Ta twoja krzepa. Jak u dwudziestolatka. Ach, tak. Taki już jestem. Masz, weź swoją forszę, bo idę dalej. Poczekaj, poczekaj, nie bądź taki skurwysyn. Jak to, trzydzieści peso? Trzydzieści peso miało być za samo lizanie. A kto ci kazał tak rozkładać nogi? Ja nie. To twój problem. Idę. Nie tak szybko, bo jak cię strzelę w łeb, to się nakryjesz nogami. Tak? Nie mów. Ty chyba żartujesz? Nie, nie żartuję. Ja jestem twarda. Chcesz się przekonać? Dawaj drugie trzydzieści peso za kompletny numer. Nie, mowy nie ma. Daj mi jeszcze trzydzieści peso albo ci rozpruję twarz. To nie była tylko czeza pogróżka. Marisela miała w kieszeni szydło. Błyskawicznym ruchem wyciągnęła je i zamachnęła się, żeby przejechać nim Czolowi po policzku. Stary w porę uchylił się i odskoczył. Ech, ale masz pazury! No dobra, dobra. Dam ci te trzydzieści peso. Czolo wydobywa z kieszeni gruby plik banknotów i zaczyna liczyć. Mariselę zatkało. Kotku, ale ty masz tej kasy! Aha, teraz jestem kotek. Masz, bierz tę forszę, zanim się rozmyślę. To było najdroższe rżnięcie w moim życiu. Kto ty jesteś? Czolo. Jaki Czolo? Czolo. No to chodź ze mną. Dokąd? Och, za dużo pytasz. Chodź, nie pożałujesz. Idą przez Reina w stronę Karola 3. Dochodzą do brudnej, wilgotnej i zawalonej książkami nory Chola. Stary zapala słabiutką żarówkę. Śpi na podłodze na jakiejś obrzydliwej derce rozścielonej na kilku warstwach kartonów. Gdy Marisela to zobaczyła, szczeka jej opadła. Wyciągnęła z za pazuchy paczkę papierosów, zapaliła i w zdumieniu wpatrywała się w Chola, który tymczasem zaczął ściągać z siebie swoje łachy. Rozebrał się do rosołu. Znów miał erekcję. Jazda, Marisela, wyskakuj z ciuchów. Nie, ja nie mogę w to

uwierzyć. W co? Masz kupę forsy, a żyjesz w takim chlewie. Myślisz, że się położę w tym gnoju, wśród karaluchów i szczurów? To się nie kładź. Zerznę cię na stojąco. Mnie jest wszystko jedno. Nie, nie, dość. Zostaw mnie... Idę. Chodź tu, dziewczyno, nie gadaj. Co ty jesteś, księżniczka? W pałacu mieszkasz? Niby skąd tutaj przyszłaś? Chcesz wiedzieć? Dobra, powiem ci. Z więzienia. Po dwunastu latach. Z początku dali mi dwadzieścia, bo żelaznym garnkiem trzasnęłam męża w głowę. Potem go pokroiłam i po kawałku wyniosłam. O kurwa, mocne! Tak, mocne!? Więc nie rób z siebie twardziela, bo sam widzisz, że jestem twardsza od ciebie. Jak mi podskoczysz, to cię potnę. Cholera jasna, ja w tym więzieniu miałam lepiej niż ty. Żyjesz w gnoju jak świnia. Może ty tak potrafisz, ale ja nie. Czemu zamknąłeś drzwi od środka? Zdejmuj tę kłódkę! Żadnych numerów, chcę wyjść. Koniec tej zabawy. Nie, to nie przez ciebie ta kłódka. Zawsze się zamykam od środka, bo nie chcę, by mnie ktoś zaskoczył, gdy śpię. Nic mnie to nie obchodzi. Otwieraj. Ty, popatrz na mnie! Widzisz, jak mi stoi? Chodź, jeszcze raz to zrobimy. Zapłacę ci. A potem sobie pójdziesz. Nie, ja już stąd idę. Nawet ze mną nie próbuj. Trzy dni temu wypuścili mnie z pierdła. Wiesz, co to znaczy? Teraz to już nie wierzę nawet własnej matce. Tak jest w życiu najlepiej. Zawsze się znajdzie jakiś skurwysyn. Ja o tym dobrze wiem. Nie potrzebuję twoich rad. Coś ci powiem. Może ci się spodoba. Umiesz czytać? Jasne. To pomóż mi przy tych książkach. Sprzedaję je tu w bramie. Czasem ktoś przychodzi i pyta o taką czy inną, a ja wtedy muszę mówić, że nie mam. To ty nie umiesz czytać? Nie. A po cholere mi to? Wiesz co? Gdybyś przypadkiem upadł na czworaki, to byś już tak został i do końca życia na nich biegał. Patrzcie, kto mi to mówi! Jeśli ja jestem bestia, to ty jeszcze większa. Ja przynajmniej nikogo nie poćwiartowałam. Bo nie musiałeś. Może. No dobrze, Czolo, zostawmy to. Ile bym u ciebie miała? Ja wiem? Na tym się dużo nie zarabia. Mogę ci dawać dziesięć peso dziennie. Och, stary, nie pierdol. Za dwa numery na dzień mam czterdzieści albo i pięćdziesiąt peso. Nie widzisz, że jestem biała? Na tym punkcie czarni mają świra. Każdy tylko chciałby się różnić z białą. A gdzie ty właściwie mieszkasz? Gównno cię to obchodzi. Zdejmuj kłódkę i idę. Chcę trochę popolować na Malecónie. Za dużo ci już powiedziałam. Ja też powiedziałem za dużo. Czolo zdejmuje kłódkę i otwiera drzwi. Do pokoju wpada świeże nocne powietrze. Marisela wychodzi i znika gdzieś w mroku. Czolo siada w bramie na podłodze. Jest chłodno i wieje lekki wiatr. Czolo nie jest śpiący. Chyba już minęła północ. Stary zrywa się jak za naciśnięciem sprężyny. Skacze i wypuszcza krótkie upper cuts. Prosto w wątrobę przeciwnika. Oto na ringu klubu America, w czerwonym narożniku, sam Czolo Banderas! Gonggg! Atomowa pięść! Dziewięćdziesiąt siedem zwycięstw! Miasto śpi, ciche i pogrążone w ciemnościach. Czolo Banderas jest sam. Nikt go nie widzi. Ma już dość boksowania się z niewidzialnym przeciwnikiem, więc śmieje się z całej piersi. Ale fajna noc, kurwa, ale fajna! Która to może być godzina? Chyba za chwilę będzie świt. Trzeba wynieść książki. Czas zacząć walkę. To kolejna runda. Nie można spuszczać gardy. Dlatego wtedy mnie znokautowali. Bo spuściłem gardę.

Hawana, kwiecień październik 1997